

WSPOMNIENIA NOWOGRÓDEK WIĘZIENIE WYGNANIE PRZEZ EDWARDA PAWŁOWICZA
LWÓW, NAKŁADEM AUTORA — Z DRUKARNI E. WINIARZA 1887 CZĘŚĆ I

1

Zabierając się snuć dalszy wątek wspomnień moich*), sędzę, że ich lepiej zacząć nie mogę, jak od słów któremi Silvio Pellico zaczyna swą piękną książkę „Lemie prigionii”. „Miałbym pisać te pamiętniki przez próżność mówienia o sobie? Pragnę — aby tak nie było; i o ile wolno być sędzią samego siebie, — mniemam, że mię spowodowały do tego inne, lepsze cele: oto, aby się przyczynić do podtrzymania niejednego w niedoli, przedstawieniem mu nieszczęść jakie wycierpiałem, — i pociech, jakie wielkich nieszczęść bywają następstwem; — aby zaświadczyć, że wśród moich długich udręczeń, nie znalazłem wcale ludzkości, ani tak nikczemną, — ani tak niegodną pobłażania, — ani tak ubogą w dusze wybrane, za jaką ją przedstawiają zwykle; aby zachęcić serca szlachetne, by ukochały jak najwięcej, a nikogo ze śmiertelnych nie miały w nienawiści, by nienawidziły, i to nieubłagane, tylko fałsz podły, tylko małoduszność i zdradę, tylko wszelki moralny upadek, oto nareszcie, aby powtórzyć tę prawdę tak dobrze znaną, a tak zapominaną często, — a którą nam zarówno religia jak i filozofia nakazuje, — że obok energii woli, która wiedzie do czynu, iść powinna spokojna rozważa; bez czego, ani sprawiedliwości, ani godności, ani podstaw bezpiecznych być nie może”.

*) Wspomnienia z nad Wilii i Niemna. Studya - Podróże. Lwów 1883.

2

Do tych słów natchnionych miłością prawdy i ludzkości, by je nawiązać do kartek, które czytelnik ma przed sobą, niech mi będzie wolno dorzucić słów parę. Oto, że więzień Szpilbergu, pomimo ogromu swych nieszczęść był o wiele szczęśliwszym od innych, bo wrócił do kraju, który znalazł takim, jakim zostawił, a wróciwszy, nie doznał bólesci patrzenia na ruinę swej pracy, i nieopłakiwał straty najbliższych sercu, których nadmiar nieszczęść przedwcześnie wtrącił do grobu!

I.

Pogląd ogólny na okres panowania cara Mikołaja. Rok 1858 -1859.

Ostatnio dni pobytu mego w Paryżu. Kilka słów Litwina do duchowieństwa i szlachty. Powrót na Litwę. Obrona góry zamkowej w Nowogródku. Moje w nim zamieszkanie. Towarzystwo nowogródzkie. Społeczność miejska, wychowanie młodzieży i życie nad stan. Wojsko. Otwarcie gimnazjum. Pensjonat żeński. Walka propinacy z Towarzystwem wstrzeźliwości. Moja kwatera w domu Palczowskich. Feryc na wsi. Bał u XX. Radziwiłłów. Główne ogniska powiatu. Praca nad ludem. Szkółki. Święta wielkanocne w Nieświeżu. Pożar. Prace artystyczne. Propozycja założenia Biblioteki i Czytelni. Odezwa. Organizacja biblioteki. Podstęp. Rok 1860. Wakacje w Gródku. Powrót i zmiana pomieszkania. Moja pracownia. Wieści o wypadkach warszawskich. Demonstracje. Urządzam teatr amatorski. Powodzenie teatru. Sprawozdanie. Okolice Grodna. Manifestacje. Jeziorska parafia. Bogatko. Oleszewicze, i moje obrazy. Skutki demonstracji. Rozmowa z horodniczym. Nabożeństwo po śp. Arcybiskupie Fiałkowskim. Rok 1862. Założenie szkoły dla żydów; szkoła niedzielna. Lekcje prywatne rysunku dla gimnazystów. Przyjęcie Wł. Mickiewicza. Bronisław Zaleski. Walka z demonstratorami. Zastępstwo nauczyciela języka polskiego. Wakacya. Wyjazd na wieś. Rodzina Puszczyńców i moje z nią stosunki. Włościanin architektem. Piesze wycieczki. Idylla. Okolice Nowogródka. Postawa chłopów w obec demonstracji. Aresztowania. Deportacje. Mohilański. Wilia w Zadwiei. Odezwa w sprawie zaprzestania demonstracji. Rok 1863. Projekt adresu do tronu. Manewra Rządu. Pogląd na nasze powstania. Sprawa własności ziemskiej. Powstanie. Lud w obec powstania. Dzień 19 Lutego. Przemowy popów do ludu. Śmierć p. Poliwowskiej. Pożar domu Mickiewiczów. Wystrzał. Trwoga Moskali. Spalenie moich papierów. Pożegnanie z matką. Manifest Rządu Naród. Odezwa do popów. Uwięzienie moje.

RZUT OKA NA STAN SPOŁECZNY RUSI LITEWSKIEJ W OKRESIE PANOWANIA CARA MIKOŁAJA I.

Aby ułatwić zrozumienie epoki którą zamierzam przedstawić, uważam za niezbędne, cofnąć się wstecz do czasu, którego czynniki przygotowały przeważnie do niej materyał, „mianowicie, do czasu panowania cara Mikołaja, zaczynając od 1831 roku, odkąd rządy jego przybrały stanowczy względem Polski charakter.

Upadek powstania 1831 roku, odbił się boleśnie na losach Litwy. Żelazna ręka cara Mikołaja, zaciężyła tam wkrótce, dodając do polityki zemsty, politykę właściwą caryzmowi: tępienie żywiołu polskiego i gaszenie światła. „Odtąd, stałym dogmatem polityki rosyjskiej było, zdobyć dla wielkiej unifikacji panrossyjskiej, massy ludu;

— zniszczyć do szczętu unię, izolować społeczne i religijne żywioły polsko-katolickie; przyznawając im taką tylko tolerancją, jaka wystarczała do powolnego konania". Pierwszym więc tego objawem była konfiskata majątków osób zamieszanych w powstaniu; za tem poszło: zniesienie Uniwersytetu wileńskiego (1833 r.); zamknięcie szkół utrzymywanych przez duchowieństwo, a wkrótce potem zniesienie klasztorów, zamknięcie kościołów, lub zabranie, ich na cerkwie. Jeszcze w 1828 r. pierwszą ofiarą tego systemu padły Żyrowice, w okolicach Słonima, sławne od dawna obrazem Matki Boskiej i wyższą szkołą utrzymywaną przez Bazylianów. Uroczem położeniem, świętością ustronia cichego, ściągały one z dalekich stron ku sobie ludność pobożną i uczącą się młodzież, jakby stworzone dla modlitwy i nauki. To też wkrótce po 1831 roku, ziemia nowogródzka, (w obrębie dawnego województwa) zaludniona przeważnie unitami, stała się widownią nawracania i prześladowania ludu i księży, widownią znęcania się, męczeństwa i apostazy. Siemaszko, Zubko, Hołubowicz, wyniesieni do godności biskupów (archierejów), pierwsi renegaci wśród duchowieństwa unickiego, byli tam pierwszymi apostołami prawosławia. Cios ten przez nich zadany naprzód Bazylianom na Rusi, był zapowiedzią zniesienia Unii, które też w lat kilka, zwolna ale stanowczo wprowadzane, w 1838 roku, uroczyście w Wilnie, pod nazwą „Wozsojedinienia" (powrotu i połączenia z Prawosławiem) dokonaniem zostało*.

Po zniesieniu szkół i Unii kościelnej, przyszła kolej na szlachtę, tak zwaną „zaściankową". Ponieważ od niepamiętnych czasów, czy to wskutek migracji z sąsiedniego Podlasia, czy też wojen, szlachta ta liczna, osiadła w ludnych koloniach, stanowiąca oddzielną klasę ludności, przedstawiała w sobie żywioł polski na Rusi litewskiej, niezmącony żadnymi wpływami, zamknięty w swoich tradycjach, przeważnie katolicko – polskich, przedsięwziął rząd środki dla jej wytępienia. Nakazał legitymację szlachectwa.

I oto, gdy większość nie posiadała środków do prowadzenia tej kosztownej sprawy, która nierzadko aż *) W 1795 roku Katarzyna II w celu „powrócenia" ludności ruskiej narodowości do obrządku wschodniego, wydała ukaz na imię Jenerał – Gubernatora litewskich gubernij Tutołmina, znoszący biskupstwa unickie w tej prowincji, a zarazem objawiła wolę. swą bez ogródki wykorzenienia Unii (Ruskaja Staryna 1870 r.).

O Petersburg się opierała, pomimo pergaminów i herbów, pozbawioną się ujrzała szlachectwa i wpisana do stanu tak zwanych „Jednodworców", z obowiązkiem dawania rekruta. Pobór ten zaś, na tak wysoki procent był obliczony, w stosunku do zwykłego poboru chłopów, że niewiele lat było potrzeba, aby młodź szlachecka zaściankowa znikła. „Nadto, w ostatnich latach, rząd przyjął systemat przenoszenia gwałtem jednodworców w głąb Rossyi „na osady"; łatwo sobie wyobrazić, ile taki środek wpłynąć mógł na zniszczenie ostatków pomyślności tych nieszczęśliwych rodzin. To zaś co z dawnej szlachty pozostało, co jako szlachta dosiedziało na ojcowskim zagonie, poniewierane przez władze, nękanie przez gminne zarządy, pędząc żywot ciężki w odosobnieniu, pozbawione nawet tej opieki i wpływu, jakie dwory udzielały chłopowi w czasach poddaństwa, zostawione same sobie, a nie wyzute z resztek buty szlacheckiej, zeszło z czasem do najniższego poziomu pod względem umysłowym i materalnym.

Gdy więc tak odarto lud wiejski z wiary ojców, wprowadzając mu nieznacznie ale wytrwale do cerkwi obrzędy prawosławne, gdy szlachta drobna systematycznie była tępioną, nie spuszczano też z oka i tak zwanej sfery obywatelskiej, jako przedstawicielki jeżeli nie jedynie, to przeważnie inteligencji i polskości na Litwie. Owszem, wzięto się do niej z całym aparatem bizantyńskiej chytrłości i podstęp.

Po zamknięciu Uniwersytetu a wkrótce po nim Akademii w Wilnie, oraz wyższych szkół w Swistocz, Żyrowicach, Nowogródku, lub zredukowaniu ich do 4° klasowych jak w Słonimie, Lidzie i t. d., albo

zniesieniu zupełnym, jak w Nieświeżu, Łyskowie, Szczuczynie, Mołodecznej i t. d., otworzono w miastach gubernialnych lub powiatowych, znanych z za możności obywatelstwa, tak zwane Błahorodne (szlacheckie) Instytuty. Pierwowzorem tego rodzaju zakładów był Instytut Wileński. Miał on za zadanie, wynagrodzić pod pewnym względem młodź litewską zamożną, za zniesienie Uniwersytetu, miał być tem dla Litwy w duchu carskiej systemy, czem Żoliborz był dla Polski, z tą różnicą, że gdy tamten wychowywał młodź na prawych synów ojczyzny, ten miał wychować wierno - poddanych Jego Cesarskiej Mości.

Rzecz prosta, iż wzięto się do tego stosownie, że organizacja takiego instytutu zawierała w sobie wszystko, co służyło ku temu celowi, a więc wszystko co łechtalo próżność, osłabiało hart ducha, co zewnętrznym łudząc pozorem, ujemnie działało na stronę moralną młodzieży. Więc ani dla dziejów ojczystych, ani dla ojczystej literatury i mowy, miejsca tam nie było. Natomiast język rosyjski i francuski, jako wykładowy i potoczny, ten ostatni szczególnie, wprowadzony i chętnie przyswojony, zapanował wszech władnie. A dodać należy, że dla uczynienia uniformu bardziej ponętnym, nie zapomniano o szpadach i kapeluszach stosowanych dla najwyższej klasy, które dotąd tylko przez młodzież uniwersytecką były noszone.

A więc widowiska, zabawy towarzyskie, w szkole i po za szkołą, szły po sobie nieustanną koleją, do czego dobierano menderów, w tak zwanych Dozorcach instytutu, znanych ze światowości i pewnego szyku, co się nadawał do widoków rządu. Oczywiście, że gra hazardowa i wszelkiego rodzaju ekscesa, nie były tam ściśle przestrzegane. Dyrektorami bowiem tego instytutu, byli ludzie znani z lekkości charakteru i kwalifikacyi stosownych. Przedostatnim z nich był polak, człowiek gładki, giętki wobec możliwych, namiętny gracz, a żaden pedagog. Łatwo więc sobie wyobrazić, jak prosperowała na korzyść idei rządowej podobna instytucja. Wychowała ona, z małym wyjątkiem znanych z zacności ludzi, całą generacyą lekkoduchów i karyerowiczów. To też gdy po pewnym czasie (1862 r.), znany wileński dygnitarz Czewatti, opuszczając Wilno, zdawał sprawę ze stanu Litwy i jej usposobienia względem władzy, a zarazem, podawał wskazówki co należało robić nadal, aby ją zrusyfikować, o instytucie błahorodnym wileńskim wyraził się, że ze wszystkiego co na Litwie zrobiono w tym celu, to jedno co się rządowi udało najlepiej *).

Jak się wyżej rzekło, Instytut błahorodny wileński był pierwowzorem dla innych. Miał więc jemu podobny i Nowogródek, chociaż ten prosperować długo nie mógł i został zwinięty, z powodu że zamożniejsze rodziny, lub za takie chcące uchodzić, wołały posyłać swe dzieci do Wilna, aby tam zbratane z hrabiami na jednej szkolnej ławie, miały sposobność zawiązania stosunków, z rzekomo przyszłymi przodownikami kraju.

Skutki takiego wychowania, nie długo na siebie czekać kazały. Pierwszym tego objawem, był nieznany, lub mało znany dotąd na Litwie w domach szlacheckich zbytek i tak zwany „dobry ton”, którego cechą główną, miała być francuzczyzna.

Wychowaniec błahorodnego pensjonatu, wróciwszy pod skromną strzechę ojcowskiego domu, nie rzadko czuł się jakby obcym, przybyszem, wobec skromnej skali domowego trybu życia. Nie smakowały mu domowe zwyczaje, ni rodzinna mowa i jej literatura, którą go lekceważyć uczono, a jeżeli się od niej nie odwracał stanowczo, to pewno jej nie szukał. To też prawdopodobnie i nie spieszył do starego zegara, by posłyszeć Dąbrowskiego mazurek gdy wrócił z Wilna do domu... Potrzeba mu było komfortu, szyku, towarzystwa ludzi wyższych sfer, z którymi się zbliżył był w szkole, tam tylko jedynie były cele jego ambicyi. Gdy więc raz się dorwał do rządów majątku i niezależności, nie omieszkął pofolgować w tem sobie i zaprowadził reformę.

Znikały więc zwolna ze starych dworów, dawna prostota, serdeczna uprzejmość, może niekiedy nieco rubaszna, ale za to szczerza, co się nie wysadzała nad stan i nie wiele

*) To świadectwo Rosyanina znanego z bystrości poglądu i niepospolitego umysłu, niech posłuży za odpowiedź wszystkim, którzyby w obronie tej Instytucyi stawali.

Kosztowała, a jej miejsce zajęły wystawne przyjęcia, zbytłowne sprzęty, umeblowania, liberie, powozy. Z zapałem godnym lepszej sprawy, przerabiano wygodne i poważne, pełne charakteru i pamiątek dwory, na modne angielskie Cotedże, włoskie wille. Z żalem przyszło patrzeć jak padały odwieczne dęby i lipy starych alei ogrodowych pod siekierą nowomodnych ogrodników, którzy je uprzętałi dla angielskich parków. Ale nikt się temu nowożytnemu wandalizmowi opierać nie śmiał, bo

to było modne, bo tak było u hr. X., u księcia Z... i t. d. Jednym słowem, epoka ta wprowadzenia komfortu, szyku i zbytku, zmieniła do niepoznania fizygnomię kraju, a co najgorsza, wprowadziła nam mało dotąd znaną, a tak w następstwach fatalną, klasę półpanów. Nie pomyłę się może, gdy powiem, że zjawienie się tego pasożyta na organizmie narodowym, przypada w tej epoce nie tylko na Litwie, był on niestety, całej Polski udziałem. Jakiegokolwiek były tego powody miejscowe, w różnych kraju prowincjach i działach, jeden z nich, i to najważniejszy, wszystkim był wspólny.

Rozbudzona społeczność wybuchem powstania, którego świetne początki tyle nadziei budziły, z upadkiem zaś jego przygnębiona w swych aspiracjach i porywach, ujrawszy się naraz zamkniętą jakby w jednym wielkim więzieniu, pozbawiona ognisk oświaty, pozbawiona życia publicznego a z niem wszelkiego ruchu, co mógłby godnie zająć umysły i serca, z natury zaś swej pełna energii, zapалу i siły, musiała tę energię i tę siłę zużywać na cele drobne, zamknięte w szczupłym kole towarzyskiego życia, bo to tylko było możliwe. Ztąd to, co gdzie indziej, wśród normalnych stosunków, miało tylko znaczenie akcesoryjów podrzędnych, u nas, stało się prawie celem zajęcia i życia wśród wczasu biernej rezygnacji którą rozsądnym poddaniem się losowi nazwano. A więc, jak Polska długa i szeroka, zapanował kodeks konwenansów, form wielkoświatowych, a z niemi cudzoziemczyzna i zbytek.

Tłumaczami tego kodeksu były przeważnie kobiety. One to rozdawały dyplomy, pasowały na rycerzy z wśród licznych szeregowców tych nowomodnych hufców. Nie chcemy utrzymywać, aby to była choroba powszechna, niemniej jednak była groźna, bo dotknęła młodzież w tej właśnie sferze, która jako liczna, najwięcej na losy kraju wpływać miała.

Poczucie własnej godności, oparte na szacunku należnym innym i sobie, uwielbienie dla wszystkiego co piękne, wzniosłość i szerokość poglądów na zadanie życia, poszanowanie opinii publicznej, która dotąd trzymała na wodzy wybryki bujnej fantazyi, nie były tam wpisane na pierwszym miejscu do paragrafów tego kodeksu. "Wizerunki surowych prababek kurze pokrywały, a słodki i serdeczny głos Hofmanowej, jeszcze nie był trącił o serca zwrócone ku błahym drobnostkom salonowego ceremoniału. Poprzedzić go miał inny głos potężny, który też wkrótce zatrzęsł sercami i zbudził z letargu, co mówię? ze snu gnuśnego kraj cały!

Nim się to jednak stało, zanim społeczność wykołejona wróciła w przeważnej części na dawny tor i wytrzeźwiała długo jeszcze jakaś chorobliwa sentymentalność, jakby zmora ciężyla widocznie nad nią. „Od czasu politycznego upadku

*) ziemia nasza powlokła się kirem żałoby i smutku. Zerwaliśmy z rzeczywistością, odkąd ta rzeczywistość stała się dla nas źródłem utrapienia.

„Za nami, znękanymi i odartymi z blasku, pozostała przeszłość obfita w chwałę i świetność, szumiąca zdobytymi sztandary i błyszcząca od złota rycerskiej zbroi i pozostała jak wspomnienie dnia pogodnego w dniach burzy, jak wspomnienie rajy w dniach czysca. „Przed nami, pokłóconymi z chwilą teraźniejszą, mgliła się przyszłość zastłonięta chmurzyskami obecności, pełna przewiewnych nadziei i błędnych światełek, ale

*) J. Szujski. pełna uroku, jak ląd stały na widnokręgu, dla skołatanego burzami żeglarza „Z tej zroszonej boleścią, poetyczności, rozlanej po całej ziemi polskiej urodziły się nieszczęśliwe i zgubne natury poetyczne, dusze bez dna i spokoju, lkary podlatujące ku słońcu, a ginące w morzu zapomnienia. „Śmierć moralna przez tę chorobliwą poetyczność, była jedną z licznych kar Bożych, spuszczonej na nas z nieba. Z gniazd sławnych siłą męskiego żywota, powychodziły blade postacie, mające w sercu śmiertelnego mola poetyczności, tęsknotę trawiącą, odrywającą od życia rzeczywistego, odrywającą od obowiązków, praw rozumu, tradycji domowej, słowem wszystkiego, co się mogło stać treścią istnienia na ziemi. „Lunacy ci nie mogli zostać niczem, bo nie mieli daru Bożego aby zostać zwykłym porządnym człowiekiem. Ta chorobliwa poezja, kazała im się kochać i szaleć z miłości, aby potem żonę unieszczęśliwić; kazała im szukać chwały, aby się zniechęcić pierwszem niepowodzeniem, kazała im iść między ludzi, aby ich znienawidzić i wiecznie na niezrozumienie narzekać. Szczęśliwi, jeżeli znaleźli śmierć na polu bitwy szczęśliwsi, jeżeli śmierć wczesna życie im przecięła i nie dała doczekać się lat późniejszych, w których staliby się ciężarem społeczności".

Dla dokładności obrazu należy dodać, że w tym samym czasie powstało stronnictwo wśród młodzieży, przeważnie majątniej, które stanowić miało reakcję wobec tak wybujałego sentymentalizmu; wydała

je Ukraina i Podole w t. z. partyi Bałagutów. Znużone duszną atmosferą konwenansów, miało za zadanie, dać pole swej hulaszcznej naturze, godne męskiej energii i tradycji potomków rycerskiej przeszłości. Skończyło się to wszakże po niedługim istnieniu, na jarmarcznych burdach i hazardowej grze, która pochłonęła niejednemu całą ojcowiznę, w tym samym czasie, gdy chluba narodu Adam Mickiewicz, zastawiał zegarek w Paryżu, aby opędzić koszta kuracyi swej rodziny... Próbowano tę nowość wprowadzić i na Litwę, ale tam zdrowy instynkt narodu odrzucił ją na wstępie.

Gdy więc tak puszczonej samopas duch młodzieży, błąkał się po manowcach fantazyi, przerzucając się z jednej ostateczności w drugą, tymczasem modne panie, wczytane w powieści Balzac'ow, Jul-Janin'ów, Dumas'ow, Georges -Sand'ow, rozegzaltowane scenami paryskich budoarów, uprawiały na ojczystej niwie francuskie sentymenty! — Płakały z BecherStove nad niedolą murzynów w Ameryce, nie chcąc wiedzieć, co się działo w chałupach własnych wiosek. Muzyka, taniec, owiane sentymentalizmem, to były punkta kulminacyjne ich wychowania. One to dały początek nieznanym dotąd w szlacheckich dworach lafiryndom, które zgubiwszy cel, właściwy położeniu swemu i kraju, znudzone prozą codziennego życia, w pogoni za ideałami chorobliwej wyobraźni, szukały rozrywki podług budoarowych przepisów, nie zawsze licujących ze świętością domowego ogniska. Jednem słowem, stało się, co słusznie ktoś zauważył: „w miarę, o ile się zwiększała u nas liczba modnych, salonowych dam, o tyle nam ubywało rządnych gospodyń, a co najważniejsza, dobrych i sumiennych matek”.

Napróżno ci co mieli odwagę mówić, wskazywali na wyższe Cele, na ważność stanowiska obywateli - ziemian, stojących wśród ludu, którego stan opłakany dopominał się polepszenia; na przykłady Brzostowskich, Chreptowiczów itp.; napróżno przypominali, że moda francuszczyzny, wszczepiona nam w najnieszcześniejszych dla kraju okolicznościach, pozostanie na zawsze smutną pamiątką schorzonego ducha, a zaś dla wrogów naszych najdzielniejszym sprzymierzeńcem, że ubieganie się o akcent paryski, o nazwę Francuzów północy, dobre dla tych, co poza sobą zaszczytnej przeszłości nie mają, zbyteczne i ubliżające dla nas, i że nareszcie za drogo się ten akcent opłaca, gdy nad kolebką polskiego niemowlęcia, nie matka-polka, lecz francuska bona czuwa, aby jego pierwszą myśl, pierwsze słowo w obcą pochwycić mowę. Tak mówili wszyscy, co się trzeźwo zapatrywali na rzeczy, ale głos ich był głosem wołającym na puszczy.

Rzecz naturalna, że takie hołdowanie modzie, jako kosztowne, otwierało na rozcież podwoje dla zbytku. To też następstwem jego była ruina, tej zaś skutkiem najbliższym bezwładność. I tu to właśnie leży cel zaborczych rządów, tu pięta Achillesowa powalonego narodu! Społeczność bezsilna, moralnie i materyalnie, pozbawiona energii, niezdolna inicjatywy, przestaje być niebezpieczną.

To też widzieliśmy, jak przez długie lata rząd rossyjski co tak troskliwie śledzi symptomata naszej społecznej niemocy, i studyje nasze skłonności, przeznaczał spore sumy wielkorządom w Wilnie i Kijowie, na bale, ucztę i wszelkiego rodzaju kosztowne zabawy, na które spraszana, wciągana szlachta odpłacając się potem wzajemną uprzejmością, sadziła się w domu i za domem na zbytek, aby się nie dać prześcignąć w ostentacyi, złożyć dowody wytwornego smaku, zadość uczynić regulaminowi dobrego tonu.

Rzecz prosta, że przykład idąc z góry, powoli lecz stale, wsiąkał w najszersze masy, aż zawładnął ogółem.

Pomyślne położenie powiatu nowogródzkiego, pod względem gleby, a stąd większa niż gdzie indziej zamożność obywateli, wśród których kilka imion ze starych rodów godnie noszonych, dawało ton okolicy, przytem pamięć świetnej przeszłości, jak niemniej urok niejednej zasługi, i niejednej sławy, które tam miały kolebkę, dawały mu przed innymi pierwszeństwo na całej Rusi litewskiej. Nic zatem dziwnego, że w kolei rzeczy, i wymagania towarzyskiego życia, gdy te z czasem, siłą okoliczności, stały się celem zajęcia i ambicyi, podniesione tam zostały do wyższej skali, i o wyższy ton naciągnięte niż indziej. Dłużej tam bowiem i hojniej pozwalały na to miejscowe warunki.

Ziemia nowogródzka oparta z jednej strony o głębokie puszcze Polesia i nieopodal o systemę wodną kanałów Ogińskiego, łączącą morze Czarne z Bałtykiem, korzystała (gdy nie znano jeszcze kolei) ze stosunków handlowych z nad Czarnego morza, które przeważnie dostarczały jej soli, z drugiej strony dotykając Niemna, posiadała gościniec handlowy dla transportu swych płodów na Bałtyk i zaopatrywania się płodami zachodu.

Dostateczna ilość lasów, oprócz większych puszczy, jak Nalibocka, Koczerezka, Rzepichowska, które z trzech stron otaczają pobraża powiatu, wystarczała aż nadto dla budowli i opału. Rzeki Szczara, Usza, Serwecz, z mnóstwem pomniejszych rzek i strumieni, zasilając rozległe łąki i pastwiska, ożywiały i upiększały okolicę. Gleba Szczorsowska, Kajszowska, Darewska, z nad brzegów Serweczy, Uszy i Dźwiejki, dla szczególnej zalety, nosi tam nazwę nowogródzkiej Ukrainy. Cała zaś miejscowość powiatu, pofalowana wzgórzami, ocieniona gajami, porznięta dolinami, żyzna, malownicza, o licznych dworach, starych kościołach i cerkwiach, ludnych, gęstych wsiach i okolicach, bezsprzecznie do najszcześniejszej położonych na Litwie zaliczona być może.

To też i nic dziwnego, że zbytek przyjął się tam i rozgościł najszerzej. W domach szlacheckich (nie pańskich) gdzie się podług starego obyczaju obywano dotąd domowym miodem i to od wielkiego dzwonu, pojawiły się na stole zagraniczne wina, spotykane przedtem tylko u panów. Pani na kilkunastu lub kilku chatach, wołałaby nie wyrzeć cały rok z domu, niż wybrać się do kościoła lub sąsiedztwa w szlacheckiej bryczce, byłoby to w złym tonie. W tym samym stosunku szły reformy w urządzeniu domu, toalety, przyjęcia. Bo tam, gdzie silono się na francuzczyznę, nie można już było obejść się bez kucharza, libery, powozu, fortepianu itp.; robiono wszystko aby jednym dorównać, zakasować drugich. Zabawy karnawałowe w mieście i na wsi, polowania, jarmarki (w Zelwie, Nieświeżu), kontrakty, wizyty, imieniny, toalety, assamble, z całym arsenałem powiatowych i parafialnych komerażów, oto były zwykłe zajęcia i główne cele zabiegów i ambicji, jakie w przeważnej części zaprzętały ówczesną społeczność na Litwie.

Zaledwie raz na trzy lata, odrywał ją, od tego pozór publicznej sprawy, który się „sejmikami” zwał, lecz że te się odbywały w ciasnych ramach rządowych, więc prócz rozbudzenia kilku ambicji, niewiele miały wpływu na ogół. Obrany raz marszałek gubernialny lub powiatowy, gdy przypadł do smaku, panował niekiedy przez kilka trieniów, redukując nierzadko swą czynność do podpisywania papierów podawanych przez sekretarza, który najczęściej de facto powiatem lub gubernią kierował; do przyjęcia gubernatora lub składania mu hołdu, w dniach uroczystości carskich; przeważnie zaś, w ujęciu szlachty popularnością, w czym posługiwała zamożność, dobra kuchnia, pewien takt i staropolska uprzejmość. Bo wiedzieć należy, że za Mikołaja, gdy rząd głaskał jeszcze obywatelstwo jako podporę konserwatywną tronu, stanowisko marszałka jako przedstawiciela szlachty i jej interesów wobec władzy, było poważne i szlachetne. To też ubiegano się o nie. Taki to był stan kraju i takie usposobienie społeczności Litewsko-ruskiej w pierwszym dziesiętku lat po 1831 roku. Zapyta kto może, dlaczego ta szlachta, ujrawszy się odepchniętą od spraw publicznych, skazana na nieczynność na polu politycznym, w kraju przeważnie rolniczym, przez sam instynkt zachowawczy nie wzięła się do tego, na czym się jej byt materialny opierał — do roli; a wolna podówczas od wszelkich ciężarów, podatków, opłat, jakie później na nią spadły, mając we władaniu ludność wiejską, nie podniosła jej materialnie i moralnie i nie użyła jej rąk do dźwignienia własnego i jej gospodarstwa z poziomu najniższego stopnia rutyny.

Jakie było zachowanie się w tym względzie duchowieństwa, stojącego wpośrodku między wsią i dworem?

Odpowiedź na to krótka.

Pierwszym powodem był wskazany wyżej upadek ducha, zwykłe następstwo gwałtownych i niepomysłnych wybuchów. Drugim, brak naukowych odpowiednich instytucji, a ztąd obniżenie intelektualnego poziomu apatya, która wszelką myśl o reformie społecznej zwała „romansem”, ale najważniejszym, był brak materialnych środków, brak kapitałów, powszechny niedostatek; gdyż w niespełna lat kilkanaście po 1831 roku, pomimo szerokich prerogatyw i pańszczyzny, z małym wyjątkiem wszyscy byli zadłużeni.

Były to skutki życia nad stan.

Co do duchowieństwa, to, oprócz żmudzkiej diecezji, zasilane przeważnie młodzieżą szlachecką, obciążone kłopotami gospodarki nierzadko obszernej i intratnej pracy swego stanowiska i powołania zamykało jedynie w zakresie kościelnych obrzędów mało się troszcząc o losy parafii. Pleban ówczesny, był to w całym znaczeniu słowa szlachcic w sutanie. Przewyższał go może tem, że nie trwonił a zbierał lecz że nie podniósł oddanej mu gospodarki nie wniósł światła pod strzechę kmiotka, nie świecił przykładem, nie umiał czy nie chciał być pośrednikiem między chłopem a panem to

niemniej rzecz pewna. X. Paweł Brzostowski nie miał jeszcze w tym czasie na Rusi litewskiej naśladowców.

Jednym słowem, prócz rzadkich wyjątków, które słabo oddziaływały na ogół, szlachta i duchowieństwo tej epoki, nie stanęły jeszcze na stanowisku, jakie winne były zająć wobec ludu. Załedwo je w tym względzie od zarzutu broni garstka obywateli litewskich gubernii, która jeszcze w 1818 roku pod przewodnictwem swego marszałka Michała Romera, podała prośbę do tronu, o uwolnienie włościan z poddaństwa. Prośba jak wiadomo, była odrzucona, gdyż ważną tę sprawę zarezerwował rząd dla siebie, aby w razie danym mieć ją w pogotowiu, jeżeliby kiedy trzeba było tę szlachtę jako żywioł polski na Litwie zniszczyć. To też czujny z tej strony rząd, działając ze zwykłą sobie względem nas konsekwencją wiedząc że naród co padł nieładem i swawolą, ładem tylko i ofiarą dźwignąć się mógłby, postanowił uczynić go bezwładnym, rozbawiwszy moralnie i materialnie bo szczepiąc i podtrzymując zbytek, którego następstwem ruina, pragnął uczynić tem samem wszelką, z jego strony inicjatywę i ofiarę niemożliwą. Nie szukamy w tem usprawiedliwienia w obec obrachunku narodowego sumienia, bo go nie ma i być nie może, przeciwnie, wskazując fakt, wskazać pragniemy drogę i jej pochyłość po której schodzą do jarzma narody.

Tak było mniej więcej do 1848 roku. O wiele wszakże pierwej, prace Towarzystwa demokratycznego, którego emisariusze (Konarski, Wołowicz, Zaliwski) przebiegali wzdłuż i wszerz Litwę i w ślad za tem, uwięzienia, komisyje, wygnania z całym szeregiem ucisków, konfiskat, a może też i duch czasu, co już gotował Europie rewolucję 1848 roku, budząc litewską społeczność, dały początek jej odrodzeniu. Odtąd nie było domu, rodziny w której czuć umiano, gdzieby nie znano Illiciej części Dziadów, Pana Tadeusza, Ksiąg pielgrzymstwa: Mickiewicza Kordyana: Słowackiego Przedświtu i Psalmów: Krasińskiego Pieśni o ziemi naszej: Pola itp. One to wytrąciły z rąk wielu, popularne dotąd utwory francuskiej belletrystyki. Przyszła też w pomoc wkrótce i literatura powieściowa rodzima. Co Mickiewicz, Krasiński, Słowacki i inni, w szerokich rzucili zarysach to Grabowski, Korzeniowski, Kraszewski, itd. dopowiedzieli w powieści, snując dalej tę nić złotą, na swojskiej kanwie rodzinnego życia i w jego tradycji wznosząc silną warownię w obec ucisku co się z dniem każdym zaostrzał.

I inne też działy z dziedziny piękna przyczyniły się niemało do tego odrodzenia, bo duch skrzępowanego narodu, raz zbudzony, szukać sobie musiał ujścia na różnych polach. Zanim malarstwo które dziś stało się naszą chlubą i pociechą zajęło zaszczytne miejsce w tym duchowym koncercie, muzyka dała nam Chopina, Lipińskiego, Moniuszkę, Komorowskiego, itp., którzy wsłuchani sercem w tętno ojczystej ziemi z pól, lasów, siół i mogił zebrawszy rozproszone dźwięki, cudne stworzyli nam dzieła i pieśni.

Ziemia nowogródzka, kolebka Rejtenów, Korsaków, Mickiewiczów, Czeczotów, mogłaż nie odczuć tego tętna, które elektryzowało kraj cały ! ?... Mogłaż nie rozumieć tych nowych nawoływań i hasel szczególnie, gdy się zważy, że w tym to właśnie czasie, przypadł powrót Zana i Czeczota, z długiej w Syberyi niewoli...

Składając wszakże hołd należny prawdzie, wyznać trzeba że pomimo zbudzenia się ogólnego, objawy jego, nieprzekraczały jeszcze w tym czasie, granic mglistych aspiracji nie były one jeszcze owocem wyrobionych zdrowych zapatrywań własnych nie wydały też i praktycznych rezultatów czy to pod względem uznania konieczności reformy w życiu własnem, czy w sprawie nie cierpiącej zwłoki, zajęcia się ludem pracy nad nim i zarazem nad sobą. Czytano wprawdzie już wiele, marzono jeszcze więcej ale nic nie robiono albo prawie tak jak nic. Było bowiem jeszcze czas, kiedy wszelka myśl o roformie zasłyszana w antr - aktach preferansa lub horoskopów wielkiej polityki, zwała się u ojców: romansem, dla dzieci zaś była tylko marzeniem.

To też marzono i bawiono się w najlepsze, nie troszcząc się o jutro.

Toż i nie dziw, że tę epokę zamykają świetne balei przyjęcia wyprawiane na cześć gwardyi kwaterującej podówczas na Litwie; bale wprawdzie narzucone z góry, niemniej jednak comme une douce violence, w pewnych sferach praktykowane szczególnie tam gdzie przepych i lafryndyzm, spodziewały się znaleźć szerokie dla popisu pole *).

Bo i jakże to musiało być rozkosznie w namiętym wirze walca lub polki, opierać się na ramieniu, co tak jeszcze niedawno obwijało kibić carowych, księżniczek i tylu mnych heroin dworu! Miała też w tem być i dyplomacya... dowód lojalności wobec krytycznego podówczas położenia Rosyi (1856 r.).

*)W czasie wojny krymskiej pułki gwardyjskie stały na Litwie.

2*

Taki to stan usposobienia społeczności, wprowadzie jeszcze bierny, zawsze jednak otwierający przystęp dla nowych wyobrażeń, i taki nastrój, w którym zbudzony organizm narodowy, z wolna odzyskiwał zdrowie i siły w którym zdarzające się nawet dyssonanse nie mąciły już ogólnej harmonii, ale raczej jak w dziedzinie tonów, wykazywały wartość i piękność przeciwnych jej dźwięków, dotrwał do 1855 roku, to jest do czasu wojny krymskiej i śmierci Mikołaja. I można już dziś to przyznać, że jeżeli jest prawdą, co tak dowcipnie powiedział o nim E. Chojecki (Charles Edmond) „que Vempereur Nicolas a couv e les oeufs du Nihilisme en Russie", to niemniej jest prawdą, że dumny ten autokrata przyczynił się nie mało do rozbudzenia patryotyzmu w Polsce. A co również dobrze wypowiedział Brandes: że „odkąd ojczyzna przestała być rzeczywistością widzialną stała się przedmiotem wiary i marzeń Polaków".

Reasumując zatem cośmy wyżej powiedzieli, a mianowicie: konfiskata majątków zniesienie Uniwersytetu wileńskiego i wyższych szkół na prowincji wprowadzenie do wykładów języka rosyjskiego zamknięcie kościołów i klasztorów z zabranie ich funduszy na skarb oderwanie ludu wiejskiego od unii kościelnej i narzucenie mu prawosławia wytępienie drobnej szlachty przez pobór w niej nieproporcjonalny rekruta usunięcie z sądownictwa Statutu litewskiego rujnowanie obywatelstwa przez zaszczepienie w młodzieży demoralizacji i zbytku wreszcie, wprowadzenie ponowne komisji śledczych do spraw politycznych, w Wilnie i Kijowie których rezultatem było, wywiezienie kwiatu młodzieży i obywatelstwa na Kaukaz i Sybir a niemniej, oburzająco nieludzkie porwanie dzieci żydowskich do tak zwanych kantonistów, na floty, a gdzie prześcigając okrucieństwa Herodowe, skazane na męczeństwo ducha i ciała, oderwane od łona matek pacholęta, rzucono na łup znęcania się prawosławnego prozelityzmu oto co dały Litwie i Rusi rządy Cara Mikołaja. Jakże zaś było osobiste usposobienie tego cara, a jak go podówczas zwano „Dyktatora Europy" względem Polaków, niech nam to opowie, niepodejrzany wcale o sprzyjanie Polakom autor rosyjski. W tomie XXIV roku 1878, publikacji „Eusskaja Staryna" w artykule: „Zapiski Iwana Stiepanowicza Zyrkiewicza", autor ich tak mówi o audyencji, jaką miał u cesarza przed odjazdem na stanowisko gubernatora do Simbirsk. „...po rozmówieniu się ze mną zwrócił się cesarz do p. Gonoropuła, powitał go uprzejmie, mówiąc, że już go zna oddawna, i że w tej chwili musi mu przypomnieć, że go naznaczył na gubernatora do Białego Stoku, wskutek przedstawienia ks. Dołhorukowa (wileńskiego generał-gubernatora). Tu, oczy cesarza zabłyśły; wyprężyła się cała postać, i podniósłszy głos tak powiedział.

Nie potrzebuję cię uczyć, jak masz postępować z Polakami. Żywym tego przykładem będzie dla ciebie Dołhorukow. Miej na rękach żelazne rękawice! Zajrzą ci oni tam do duszy, będą się ugiwać, płaszczyć, bić czołem ale pamięta moje słowa: Polak zawsze Polakiem! Zapomina dobrodziejstw, ba, nawet ich nie czuje! jak wąż będzie się wiał u nóg twoich, będzie je lizał, póki się nie dobierze do szyi, a tam udusi cię!

— Powtarzam, Strzeż się! — (Dierzy ucho wostro!)

— Potem z uprzednio łaskawym wzrokiem, zwróciwszy się do mnie, zapytał kiedy zamierzam odjechać, i t. d., i t. d.

Oto instrukcja, jaką carowie rosyjscy dają dygnitarzom wysyłanym do Polski. Nie inną też być musi i ta, którą swym następcom przekazują!...

Na tem też i kończymy nasz pogląd pobieżny na stan społeczny Rusi litewskiej w okresie panowania cara Mikołaja Igo. Potem cośmy wyżej rzekli, nie od rzeczy tu będzie podać słowa przysięgi którą Car Mikołaj wykonał przy wstąpieniu na tron w Warszawie 12 maja 1829 roku: „*Dieu Tout puissant! Dieu de Mes Pères! Roi de Bois! O Toi qui cr ea Tunivers par Ta divine parole et dont la sagesse infinie forma l'homme pour gouverner le monde dans la voie*

de la v erit e. Tu m'as appel e à être Boi et juge de la valeureuse nation polonaise. Je reconnais avec un saint respect les effets de Ta c eleste bont e envers moi, et en Te rendant grâce, pour Tes bienfaits, je m'humilie en même temps devant Ta divine Majest e. Daignes, o mon Maître et mon Dieu, eclairer mes pas dans cette carrière suprême et diriger mes actions pour l'accomplissement de cette haute

vocation; que la sagesse qui environne Ton Trône soit avec moi, Fais la descendre des deux, pour que je sois p en etr e de Tes volont es souveraines, et de la v erit e de Tes commendements ; que mon coeur soit dans Ta main et que je puisse r egner pour le bonheur de mes peuples et pour la gloire de Ton Saint Nom, d'après la Charte octroy ee par mon Auguste Pr ed ecesseur, et d ejà jur ee par moi, afin que je ne redoute pas de comparaître devant Toi, au jour de Ton jugement eternel; par la gloire et la mis ericorde de Ton divin Fils J esus Christ, avec Lequel Tu es b eni, ainsi qu' avec le Très el ement, Très-Vi-vifiant, Saint Esprit, jusqu'à la fin des siècles. Amen. (Bushaja Staryna. Zapiski k. k. Merdera 1885 goda).

Boże wszechmogący! Boże ojców moich, królu królów! O Ty któryś Tw em Boskiem słowem świat stworzył i którego nieskończona mądrość stworzyła człowieka aby światem rządził, w drodze prawdy. Tyś mię powołał być królem i sędzią walecznego polskiego narodu. Uznaję w pokorze skutki Twej dla mnie niebieskiej dobroci, i składając ci dzięki za Twe dobrodziejstwa, upokarzam się zarazem przed Twym Boskim majestatem. Racz o Panie mój i Boże oświecać me kroki w tym najwyższym zawodzie i kierować czynami moimi ku spełnieniu tego wzniosłego powołania; niech mądrość która tron Twój otacza, będzie zawsze ze mną. Spuść ją z niebios, abym został przejęty Twą najwyższą wolą i prawdą Twych rozkazów; niech me serce będzie wręku Twojem, abym mógł panować dla szczęścia ludów moich i na chwałę Twego świętego imienia, według praw nadanych przez mego poprzednika i już zaprzieszczonych przezemnie; bym się nie lękał stanąć przed obliczem Twoim w dniu ostatecznego sądu; przez chwałę i miłosierdzie Twego boskiego Syna Jezusa Chrystusa oraz ożywiającego wszystko Ducha Świętego, z którym bądź błogosławiony na wieki wieków. Amen".

NOWOGRÓDEK

I.

Rok 1859 pozostanie dla mnie na zawsze pamiętnym. W tym bowiem roku, po skończeniu studyów artystycznych najprzód w Akademii petersburskiej, a następnie w Rzymie i Paryżu, wróciłem na Litwę i zamieszkałem w Nowogródku. Po długiej wędrówce na obczyźnie, gdy się znalazłem wśród swoich, powiodło mi się w krótkim dość czasie, zawinąć z moją artystyczną nawą do przystani, w tej właśnie okolicy w której mi przeszły lata dziecinne, gdzie snuł pasmo marzeń młodzieńczych, gdzie wśród szerokiego koła życzliwych i bliskich z krwi i ducha, zaznałem niemało dni pomyślnych, i co najważniejsza, gdzie zastałem jeszcze świeże ślady tyłu mężów, co ją blaskiem swego geniuszu lub poświęcenia wstawili.

To też dzień w którym otwarła mi się sposobność ofiarowania usług Nowogródzkiej ziemi sposobność pracowania dla niej, na wdzięcznej niwie, estetycznego kształcenia młodzieży do najszcześliwszych dni życia zaliczam.

Zanim jednak to się stało, winienem dla dokładności opowiadania cofnąć się nieco, do czasu, gdy byłem jeszcze Po za krajem. Do roku 1858 mieszkalem w Paryżu. Był to rok pamiętny w dziejach ludzkości; w tym to bowiem mniej więcej czasie, weszła na stół sprawa, na którą czekały wieki, sprawa swobodzenia włościan pod panowaniem Rossyi.

Przebiegłszy większą część Europy, bo Niemcy, Belgią, Francją, Hiszpanią i Włochy jakkolwiek cel tej podróży przeważnie był artystyczny, rozpatrzywszy się wszędzie, z myślą, o rodzinnym kraju miałem sposobność sformułowania sobie pewnego programu życzeń w celu polepszenia jego doli, ku czemu właśnie miała posłużyć jako kamień węgielny, świeżo postawiona sprawa włościańska.

Nikt już temu zapewne dzisiaj nie zaprzeczy, że pańszczyzna rozdzielając naród nieprzebytą przepaścią nienawiści, była najważniejszą z przyczyn jego słabości, że ogromna masa narodu, w upodleniu, ciemnocie i niewoli trzymana, była właśnie tą ujemną stroną naszych dziejów, co tak fatalnie na szali naszych losów zaważyć miała.

Rzecz naturalna, że sprawa na którą zwrócona była uwaga całej Europy, zajmować musiała i zajmowała w najwyższym stopniu kolonię polską w Paryżu. I nic dziwnego sprawa ta miała spowodować rdzenną zmianę w warunkach egzystencji szlachty i podwładnego jej ludu. Wiadomo też, że była wnoszoną niejednokrotnie, a zawsze bezskutecznie. To też każda wieść z kraju, w tym względzie, lotem błyskawicy oblatywała towarzystwo polskie. Nie brakło pocieszających, ale wyznać należy, nie brakło też i niepomyślnych, i to nie rzadko z tej strony, z kąd by się ich najmniej

spodziewać było można. Wiersz Syrokomli, w którym poeta oburzony tem co widział, ciska swą tarczę herbową, potwierdził wkrótce to, czemu się wierzyć nie chciało. Poruszona gwałtownie społeczność, jakby źródło po długim zastoju, musiała się zakłócić i męty podjęły się w górę. Znaleźli się ludzie, a było ich sporo, do których interes osobisty przemówił głośniejszy, nad wszelkie głosy jakimi przeszłość, obecność i przyszłość wołały. Zagrożeni zmianą stosunków włościańskich w dotychczasowym dobrobycie, wyszukiwali wszelkich sposobów, aby zapobiedz, by ta zmiana tak dla nich niefortunna (która od tak dawna była celem usiłowań i zabiegów najzaciejszych ludzi, a przeprowadzona sprawiedliwie, mogłaby jeszcze być dla nas deską ocalenia), by ta zmiana jak najmniej dotknęła ich mienia. Była to wprawdzie mniejszość, ale mniejszość groźna — bo szumiąca po wierzchu. Dopóki był czas deklamacji, panowie ci udrapowawszy się w patryotyczne frazesy, przybierali postać ofiary skrzepowanej w wielkodusznych porywach ofiary odepchniętej od czynu, zmuszonej do rozsądnej rezygnacji. To ostatnie wyrażenie dające się wyłożyć i określić każdemu, według słownika własnego jego sumienia, było już bardzo wygodne znaleźli jeszcze wygodniejsze, powiadając: że co robią dla siebie to robią wszystko dla dobra kraju. Ten więc płaszczył się i podlił, żeby otrzymać tytuł i stopień dla służenia krajowi ów rujnował się na przepych i pozór pańskości, żeby znaczenie dozwalało mu opiekować się krajem inny frymarczył, zdzierał, ciemnił, powtarzając ciągle, że wzrost majątków prywatnych jest wzrostem bogactw krajowych. Aż oto niespodziewanie przyszła na nich próba: zostali powołani do czynu, na dzień którego była konieczność ofiary. Kwestya być lub nie być, dostała się w ich ręce. Jak ją pojęli, wiadomo. I w tem to właśnie leży przeważnie przyczyna późniejszej klęski naszej! — tu bierze początek owa nieszczęsna rozterka ojców i dzieci, w całej Polsce która się zakończyć miała fatalną dla wszystkich katastrofą!

Gdy bowiem słowo „Reforma” wymówione po raz pierwszy przez rząd, stało się hasłem powszechnem gdy otwarte Pole pracy, czekało sumiennych pracowników, nieraz długo lub napróżno a gorzej, gdy w miejscu czynów kraj słuchać musiał nierzadko czczych deklamacji; gdy ojcowie, jedni nie umieli — drudzy się ociągali, a inni na fałszywe tory pchnąć usiłowali sprawę narodową gdy czas naglił, a zabójcza beczynność lub co gorsza, czynność zamknięta w błahych drobnostkach hołdowania światowym formom towarzyskiego życia zaciążyła już zanadto na sumieniu narodowem wzięła ją w swe ręce młodzież, Parta duchem czasu a jako niedoświadczona, gorąca, namiętna, wpędziła na mielizny i spowodowała rozbięcie.

Było to nieuniknione. Rezultatem najbliższym była wśród młodzieży ukraińskiej partya tak zwanych chłopomanów, która niepomna, że jedynie tylko szlachta na Rusi, żywioł polski i inteligencją przedstawia, zamiast pracy nad jej poprawą, pracowała nad jej poniżeniem, na korzyść rozbałamuczonego przez się ludu. Ale gdy nienawiść nie buduje więc też i niedługo było czekać na rezultat tej nieszczęsnej roboty. Dała ją Sołowiówka *) na Ukrainie. A po roku niespełna, ozwało się jej echo i na Litwie, w słowach skazanego na śmierć — wyrzeczonych do prezesa śledczej komisji w Wilnie. Na zarzuty sobie czynione, jak mógł narażać siebie i rodaków na pewną zgubę odpowiedział:

— Tak wiedziałem co nas czeka ale zginę zadowolniony bo stanie się, czegom pragnąłem...

— I czegóż to pan tak gorąco pragnąłeś, czy nie można wiedzieć, zapytał jenerał?

— I owszem; pragnąłem zrujnowania szlachty.

— Jeżeli tak, odrzekł prezes komisji, to podajmy sobie ręce.

Epizod ten wyjęty z dziejów martyrologii naszej, nie może być zapewne brany, jako wyraz ogólnej tendencji młodzieży ówczesnej, biorącej udział w powstaniu, z pośród której większa część jako szlachta wierna tradycji, szła na śmierć pewną w obronie ojczyzny; niemniej jednak miał miejsce, i dlatego notujemy go tu. Taki był stan rzeczy w kraju, gdym powrócił z zagranicy.

Dodać winienem, że przed wyjazdem w Paryż, zachęcony przez starszyzną emigracji pod wrażeniem złych wieści wydrukowałem w „Przeglądzie rzeczy polskich” Elżanowskiego „Kilka słów Litwinów” skierowanych do naszej szlachty i duchowieństwa, w których starałem się wykazać, *) Wieś gdzie chłopci wymordowali w najokrutniejszy sposób młodzież akademicką, zapowiadając im swobodę i darowiznę ziemi. że najważniejszą obecną chwilą dla nas polityką była Praca nad ludem.

Gdym przybył w Nowogródzkie, rzecz ta była już znana, i zrobiła wrażenie stosowne do sfer w jakich się zjawiała. Pomimo gorczy słów, podyktowanych ważnością chwili, zrozumiano pobudki, oceniono intencje szczególnie, gdy się rozpatrzone, że w tej odezwie, nie o szlachcie lecz do szlachty była

mowa. Co do Duchowieństwa, to odpowiedź jaką wkrótce dało, gdy szło o zaprowadzenie wstrzemięźliwości wśród ludu, była godną jego dawnej tradycji i niewątpliwym wyrazem pomyślnego w nim zwrotu. Wiadomo zaś do jakiego heroizmu wzniosło się w nieszczęsnych czasach powstania, później wygnania i z jaką rezygnacją dźwiga tam dotąd krzyż męczeństwa, kładąc swe kości w pustyniach Sybiru.

Nie biorę ztąd pochopu do przypisywania jakiejkolwiek bądź w tem sobie zasługi uznaję w tem raczej wolę Bożą która swych pracowników zbudziła samą siłą wypadków ale też i nie widzę powodu zamilczeć, że należał nie do ostatnich, co mieli odwagę przemówić jak bracia do braci w obec niedoli wspólnej matki. Czym to słusznie uczynił? nie mnie o tem sądzić.

II.

Zanim jeszcze osiadłem w Nowogródku, nadarzyła mi się sposobność oddania przysługi temu miastu. Stało się to w następujący sposób.

Młody lekarz Al... K... trochę entuzjasta, trochę deamator, uzyskał był od niedawna prawo czynszowe na górę zamkową, w celu wybudowania tam dla siebie domostwa na cześć córki, której na imię było Aldona. Wiadomość, że szanowne szczątki zamku Mendoga, że góra zamkowa, która jakby piedestał gotowy, oczekiwała lepszych czasów aby na jej szczycie stanął pomnik Adama miały być sprofanowane siedzibą prywatną, przeraziła wszystkich. Gdy jednak z czasem pierwsze wrażenie przemineło i gdy, jak to u nas bywa, po wybuchu przyszła obojętność — i uwaga zwróciła się w inną stronę a nowy nabywca historycznej miejscowości rozpoczął tymczasem krzątaninę na dobre około projektowanej budowy, czas był wielki zapobiedz temu. Otóż, gdy wszelkie w tym celu środki, —bądź perswazyi, bądź prośby i groźby okazały się bezskutecznymi i już się zaczęło oswajać z myślą ujrzenia na zamku

Grażyny nowoczesnej Aldony, wydrukowałem w Gazecie warszawskiej z r. 1859 artykuł, przemawiając w nim pomiędzy wierszami do uczuć młodego lekarza jako do Polaka, przypominając mu ideały prawdopodobnie do niedawna czczone na uniwersyteckiej ławie ideały, które każą szanować i kochać wszędzie i zawsze wszystko co szacunku i miłości godne.

Słowa te wypowiedziane serdecznie i ciepło, odniosły skutek pożądany. Dr. K... przy pierwszem ze mną spotkaniu, w Nowogródku, solennie, wobec zebranych obywateli, zrzekł się praw swoich do zamku i zamiar zabudowania góry został stanowczo zaniechany. Natomiast rozpoczęto starania u rządu, o pozwolenie postawienia pomnika Mickiewiczowi w Nowogródku, co też, jak to było do przewidzenia, niezwłocznie odmówionem zostało.

Ta więc okoliczność szczęśliwej obrony zamku, przed inwazyą grożącą mu w pełni XIX stulecia zjednała mi na wstępie nie mało życzliwych, wśród tych nawet, co nie mogli jeszcze przetrwać „Kilim słów Litwina” lub korespondencyi posyłanych „s pod Nieświeża do Wiadomości Polskich”.

Nareszcie 1 listopada 1859 roku, wezwany pismem Kuratorji Okręgu białoruskiego, zamieszkałem w Nowogródku, jako nauczyciel świeżo otwartego gimnazjum. Tak więc, stało się, czegom pragnął. Niosąc skromną cegiełkę do budowy lepszej przyszłości, a zatem dążąc do istotnej reformy społeczeństwa zająłem miejsce u najsilniejszych jego podstaw, stanąłem wobec młodzieży której kierunek miał być odtąd zadaniem mojego życia.

III.

Nowogródek od czasu zaboru przez Rosyę, przestawszy, być stolicą województwa, podobnie jak wiele innych miast, zredukowany został do skromnych rozmiarów siedziby władz urzędowych powiatu *). Zniesiono liczne klasztory z niemi

*) Dygnitarze Nowogrodzcy od czasów najdawniejszych jakie zna historia (Senatorowie i Dygnitarze Wielkiego Xięstwa litewskiego 1380—1799 r. przez Józefa Wolfa. Kraków 1885 r.).

Województwo nowogrodzkie utworzone zostało w styczniu 1507 r. do tego czasu Nowogródkiem zarządzali Namiestnicy.

Namiestnicy:

Montygerdowicz Piotr, jako namiestnik występuje 1431—1452 r. jednocześnie był marszałkiem ziemskim; umarł 1453 r.

Gasztołd (Gaształdowicz) Marcin 1464—1471. Na początku 1471 został wojewodą, kijowskim.

Monwid (Monwidowicz) Wojciech Janowicz, 1475, jednocześnie podstoli.

Montwiłowicz Michał, 1483—1474. Jednocześnie kasztelan trocki, umarł 1486.

Sołtan Aleksandrowicz (właściwie Stretowicz Sołtan Aleksandrowicz 1486—1487).

Radziwiłłowicz Mikołaj 1488—1490. Jednocześnie kasztelan trocki postąpił na wojewodę wileńskiego i kanclerza.

Pac (Pacewicz) Jurij, poprzednio wojewoda kijowski; namiestnik nowogrodzki 1492—1496. Został namiestnikiem połockim.

Zabrzeziński Jan Jurjewicz, kasztelan trocki i namiestnik połocki, zamienił się z Pacem na namiestnictwo. Roku 1498 został wojewodą trockim i marszałkiem ziemskim litewskim.

Chrebtowicz Jan Litawor (Iwan Bohdanowicz), namiestnik Słonimski i prawdopodobnie jednocześnie nowogrodzki. W bitwie pod Wiedroszą dostał się do niewoli moskiewskiej 14 lipca 1500.

Holszański kniaź Semen Jurjewicz, poprzednio starosta łucki i marszałek ziemi wołyńskiej, gdy tylu senatorów dostało się do niewoli, został 1500 r. wojewodą (nie namiestnikiem) nowogrodzkim i hetmanem najwyższym litewskim.

Hlebowicz Piotr, chwilowo namiestnik nowogrodzki umarł 1502 r.

Zakłady naukowe duchownej i świeckiej młodzieży, ze skasowaniem zaś Statutu litewskiego, znikła liczna palestra,

Gasztołd Olbracht Marcinowicz, wojewodzie trocki, namiestnik nowogrodzki już w lutym 1503 jednocześnie i podczaszy litewski.

Wojewodowie:

Hliński kniaź Iwan Lwowicz, wojewoda kijowski. Król Zygmunt mianuje go wojewodą, nowogrodzkim i miejsce w Radzie wielkksiążęcej naznacza mu podle starosty żmudzkiego. Zbiegł do Moskwy 1508 r.

Gasztołd Olbracht Marcinowicz, podczaszy. Po ucieczce mińskiego chwilowo wojewodą nowogrodzkim powrócił do podczaszowstwa 1509 r.

Zabrzeziński Jan Janowicz, mianowany wojewodą nowogrodzkim 26 lutego 1509 r., jednocześnie od 1522 r. marszałek ziemski litewski. Oba te urzędy piastował jeszcze w październiku 1530 r. Pozostając marszałkiem ziemskim został wojewodą trockim 1530 roku.

Gasztołd Stanisław Olbrachtowicz wojewodą nowogrodzkim mianowany 1530 r. postąpił na wojewodę trockiego 1532 r.

Ostyk Hryhory Hryhorowicz krajczy, mianowany wojewodą nowogrodz. 1542 r. Postąpił na kasztelana wileńskiego 1644 r.

Chodkiewicz Aleksander Iwanowicz starosta brzeski, mianowany wojewodą nowogrodzkim 1544 r. umarł 1549 r. Vacat 1549—1551.

Polubiński kniaź Aleksander Iwanowicz sprawca województwa nowogrodzkiego 1551 r.

Hornostaj Iwan, z marszałka dwornego, podskarbiego ziemskiego, pisarza gospodarskiego, dzierżawcy Słonimskiego, mścislawskiego, bereźniańskiego, zelweńskiego, z pozostawieniem przy tych urzędach, mian. wojewodą nowogr. 6 sierpnia 1554 r. umarł 1558 r.

Sapieha Paweł Iwanowicz, z wojewody podlaskiego, mianowany wojewodą nowogrodzkim 1558, umarł 1579 r.

Radziwiłł książę Mikołaj Mikołajewicz, łowczy litewski, mianowany wojewodą nowogrodzkim 1579, umarł 1589 r.

Tyszkiewicz Teodor Skuminowicz, podskarbi ziemski, mianowany wojewodą nowogrodzkim 1590, umarł 1618 r.

Sapieha Mikołaj Krzysztof wojewoda miński, i mianowany wojewodą nowogrodzkim 1618 r. umarł 1638 r.

Słuska Aleksander, z wojewody mińskiego, mianowany wojewodą nowogródzkim 1638 r., postąpił na województwo trockie 1642 r. 35 rozprószył się zastęp adwokatów; znikły „dworki” zamieszkane przez szlachtę na dewocyi lub wypoczynku zmienił

Radziwiłł książę Zygmunt Karol, kawaler maltański, z podczaszego litewskiego mianowany wojewodą nowogródzkim 1642 r. Umarł we Włoszech w Assyżu 1642, nie objąwszy województwa.

Sapieha Tomasz, z wojewody wendeńskiego mianowany nowogródzkim 1643, umarł 1646 r.

Chrebtowicz Jerzy, z wojewody parnawskiego mianowany nowogródzkim 1646, umarł 1650 r.

Chalecki Krzysztof, miecznik, mianow. wojewodą nowogr. 1650 r.

Wiażewicz Piotr Kazimierz, podkomorzy mściśławski, mianowany wojewodą nowogródzkim 1653 r., umarł 1658 r.

Wołodkowicz Krzysztof, pisarz ziemski miński, mianowany wojewodą nowogródzkim 1658—1670.

Kiersnowski Jan, sędzia ziemski nowogródzki mianowany wojewodą nowogródzkim 1670 r.

Połubiński Dymitr Samuel, podkomorzy słonimski, mianowany wojewodą nowogródzkim 1671 r., umarł 1679 r.

Unichowski Bogusław Aleksander, pisarz ziemski nowogródzki i marszałek trybunału litewskiego, mianowany wojewodą nowogródzkim 1689 r., w tym samym roku został wojewodą trockim.

Tyzenhaus (von Tiezenhausen) Stefan, kuchmistrz litewski, mianowany wojewodą nowogródzkim 1689 r., umarł 1709 r.

Radziwiłł książę Jan Mikołaj, krajczy litewski, mianowany wojewodą nowogródzkim 1709 r., umarł 1729 r.

Radziwiłł książę Mikołaj Faustyn, z miecznika litewskiego mianowany wojewodą nowogródzkim 1729 r., umarł 1746 r.

Radziwiłł książę Jerzy, starosta luboszański, mianowany wojewodą nowogródzkim 1746 r., umarł 1754 r.

Jabłonowski książę Józef Aleksander, stolnik litewski, mianowany wojewodą nowogródzkim 1755 r., rezygnował 1773 r., umarł w lipcu 1777 r.

Niesiołowski Józef, kasztelan nowogródzki, mianowany wojewodą 1773 r., po rezygnacji Jabłonowskiego, przeżył upadek Rzeczypospolitej, umarł 8 marca 1814 r.

Kasztelanowie:

„Kasztelan” w pierwiastkowej formie, był rządcą zamku. Na Litwie był to urząd a raczej dostojęństwo, utworzone dla powiększenia liczby senatorów. Kasztelanowie byli zastępcami wojewodów jako zaś właściwy obowiązek posiadali dowództwo nad wojskiem się cały skład towarzystwa. Obecnie, staoowili je: Marszałek, Prezes (sędzia) powiatowego sądu; pleban i dziekan okolicznego obwodu. Zamiast „kasztelan” używano także wyrazu „pan”; stąd „pan Trocki”, „pan Wileński” i t. d.

Kasztelania nowogródzka utworzona została 1560 r.

Wołowicz Hryhory Hrynkowicz, starosta słonimski, mian. kaszt. nowogr. 1566 r., um. 1585 r.

Połubiński książę Aleksander Iwanowicz, mian. kaszt. nowogr. 1586 r., um. 1607 r.

Wołowicz Samuel, starosta mołczadzki, mian. kaszt. nowogr. 1608 r., um. 1626 r.

Kopeć Wasil Wasilewicz, podkomorzy brzeski, mian. kaszt. nowogr. 1626 r., um. 1636 r.

Rudomina Dusiacki Jan, chorąży nowogródzki, mian. kaszt. nowogr. 1636 r., um. 1646 r.

Stetkiewicz Zawierski Bohdan Wilhelmowicz, kasztelan mściśławski, mian. kaszt. nowogr. 1646 r., um. 1651 r.

Stetkiewicz Samuel, mian. kaszt. nowogr. 1652 r., um. 1660 r.

Judycki Mikołaj Władysław, generał artylerii lit., mian. kaszt. nowogr. 1660 r., um. 1670 r.

Zenowicz Stanisław, podkomorzy wilkomierski, leśniczy wilkijski, mian. kaszt. nowogr. (prawdopodobnie) 1671 r., um. 1672 r. (Niesiecki).

Jeśman Krzysztof, chorąży słonimski, mian. kaszt. nowogr. 1672 r., został wojew. smoleńskim 1677 r.

Przezdziecki Mikołaj Władysław, marszałek oszmiański, mian. kaszt. nowogr. 1677 r., um. 1683 r.

Wojna-Jasieniecki Aleksander, starosta bractawski, mian. kaszt. nowogr. 1684 r., um. 1698 r.

Aleksandrowicz Stefan, marszałek grodzieński, mian. kaszt. nowogr. 1698 r., um. 1700 r.

Obuchowicz Teodor Hieronim, podkomorzy nowogródzki, mian. kaszt. nowogr. 1700 r., um. 1707 r.
 Nowosielski Antoni, strażnik polny litewski, mian. kaszt. nowogr. 1709 r., um. 1726 r.
 Oskierko Antoni, pisarz W. ks. lit., mian. kaszt. nowogródzkim 1726 r., um. 1734 r.
 Niczabytowski Bogusław, starosta propejski, mian. kaszt. nowogr. 1734 r., um. 1739 r.
 Rdułtowski Jan, kasztelan witebski, mian. kaszt. nowogródzkim 1739 r., um. 1744 r.
 Szyszka Daniel, stolnik lidzki, mian. kaszt. nowogr. 1744 r., um. 1756 r.
 Chreptowicz Jan, kasztelan brzeski, mian. kaszt. nowogródzkim 1756 r., um. 1765 r.
 Niesiołowski Józef, cześnik lit. mian. kaszt. nowogr. 1765 r., został wojewodą 1773 r.
 Jeleński Rafał Józef, sędzia ziemski wiłkomierski, mian. kaszt. nowogr. 1773 r., um. 1780 r.
 Jeleński Gedeon, starosta mozyrski, mian. kaszt. nowogr. 1780r., przeżył upadek Rzeczypospolitej, umarł 1798 r.

miejscowy; kilku lekarzy*); kilku prawników
 **); dowódzca konsystującego wojska nareszcie sprawnik, strapczy, horodniczy, kaszacz (skarbnik); pocztmajster; i paru domów przyległych miastu. Oto cała prawie śmietanka, tak zwanej intylogencyi miejskiej nie wyjmując, rozumie się prefekta szkoły, jako urzędowego jej przedstawiciela. Znikły już bowiem były w owym czasie te nieszczęsnej Pamięci, resztki swawoli XVIII wieku, te domy gry, istne jaskinie zbójckie, utrzymywane w każdym prawie mieście.

Po upadku kraju, pod firmą niewinną towarzyskiej zabawy, a reprezentowane zazwyczaj w osobie gładkiego amfitryona, którego wykształcenie, ujmujące obejście, rozległe stosunki, a w dodatku wyborna kuchnia, ściągały licznych gości z miasta i okolicy. Tamto zwykle młodzież złota albo pozłacana, zdobywała sobie pierwsze ostrogi na polu, którego pochyłość wiodła do marnotrawstwa i ruiny gdzie pod pozorem robienia stosunków w obywatelskim stanowisku, rzucało się na kartę lekkomyślnie ojcowiznę, a nierzadko z nią i honor.

*) Orzechowski — Gnoiński — Siemiradzki — Brzeziński — Karpowicz — Truskowski.

**) E. Szulakowski — Hejbowicz — Bijołt — Wróblewski — Markiewicz — Palczewski.

Takim do niedawna w Nowogródku był dom Lulewicza, przezwanego od używanego przezeń przysłowia „kochanie”, i tak się to tam bawiono jeszcze do niedawna. A trzeba to było widzieć w czasie zjazdu szlachty na sejmiki lub kontrakty, ba, nawet wśród fet i balów w domach prywatnych, aby mieć pojęcie patrząc na kupy złota rzucane na kartę o jej dostatku i marnotrawstwie ówczesnym. Ale zmieniły się czasy, obniżył się poziom ogólnego dobrobytu, znikły więc i domy gry. Zła gospodarka, szalone wysilenia na podtrzymanie wystawnego życia, ochrzczonego mianem dobrego tonu, na zbytek, przewany dziś komfortem, który jakby rak, pożerał życiowe zasoby społecznego organizmu, wszystko to spowodowało, co było do przewidzenia zubożenie, brak kredytu i lichwiarskie długi. To też zjeżdżano się już tylko do miasta na kontrakty, dla załatwienia spraw wekslowych, lub sprawunków, albo, (gdy wyjazd za granicę był podówczas utrudniony) osiadano w nim na czas dłuższy dla kuracji, która, dzięki zasłużonej sławie Dra Orzechowskiego, ściągała pacjentów z okolicy i sąsiednich powiatów. Pomimo to, rzecz dziwna, w miarę jak upadał dobrobyt — wzrastał się i zapanowywał zbytek.

Bo i przypatrzmy się tylko, jaki to był zwykły tryb życia, z małym wyjątkiem, obywatela - ziemianina. Ograny to już niestety na wszystkie tony temat ale go dla całości obrazu powtórzyć trzeba. — Powtarzamy tu słowa powiedziane na innym miejscu *).

Pierwsze zazwyczaj lata młodego człowieka, który, jak się zwykło mówić „ukończył nauki” przechodzą na szukaniu żony. Dawniej był to czas przygotowania się do zawodu obywatelskiego przypatrzenia się zbliska obowiązkom, które go czekały lecz że dziś publiczne życie zamknięte więc młody kawaler obwija się tym pretekstem, rzuca w kąt książki, kupuje powóz, sprzęga konie, galonuje liberyę, i tak uarmowany, rusza w świat po runo złote, a jak krewni mówią jedzie kształcić się na świecie.

*) Kilka słów Litwina 1858 r.

Kształcenie się to zależy na zwiedzaniu większych miast w porze karnawałowej, robieniu stosunków z wielkimi panami, zwiedzaniu wód w kraju i za krajem gdzie się rzuca famę o wielkiej fortunie, i gdzie się urządza stosownie. Tam się bawi, gra, tańczy, hula, i jak to mówią: „młode się piwko szumuje”. Kończy się zaś ta licha komedia prawie zawsze długami bo parol zagięty w taki ej sprawie, rzadko dopisuje. I żeby się bo tylko na t em skończyło ale w tej wędrówce zgubi się niemało ideałów młodzieńczych, owych kwiatów uzbieranych na kwietnikach szkół i uniwersytetów, wytrze się czoło, charakter nabierze własności elastyczno salonow ej. Wróci się wprawdzie z niejednym doświadczeniem, ale się to opłaci nieraz zbyt drogo, bo nierzadko honorem najczęściej ej zdrowiem i majątkiem.

Wszakże niekiedy spotka się w tej wyprawie istotę mówiącą bez akcentu istotę wyższą, wyhodowaną w cieplarni ogrzewanej zapalem talentów Dumas'ów, GeorgeSand'ów, e tutti quanti, istotę, któr ej już pilnie zreasumować wrażenia, i teorie do praktyki zastosować, która wreszcie potrzebuje już niezależności, imienia, tytułu, i za to wszystko płaci gotówką spotyka się więc taką istotę, i oto bóstwo łaskawe zstępuje na próg twojego domu. Nie było tam mowy, a jeśli była mowa, nie było myśli o wzajemności i zgodności uczuć, o ilości ten salonowy anachronizm zostawiono poetom, guwernantkom, artystom. Konwenansowe formy nie dopuszczają uniesień, a wykwinna etykieta zastępuje porywy miłości. Nowi małżonkowie patrzą na siebie jak na akcesorya zawartego interesu. Ona wyobraża etykietkę kapitału, on, okładkę do mających się wydać dzieł... A z takiego stadła łatwo przewidzieć

następstwa, przykład dla sług i ludu co rokować mogą dzieci wychowane na takich wzorach i czym się staje to ognisko domowe, ów znicz familijny, z kąd się ciepło winno rozlewać dokoła.

Tak zwichnięte, starte marnie życie, byłoby więc zabójczo nudn em przy zgubionym celu, przy braku zamiłowania pracy i poważnego poglądu na zadanie życia ale złe nie śpi krok fałszywy pociąga inne przyprowadza w pomoc zabawkę co ma całemu życiu wystarczyć przyprowadza pychę, a z nią zamiłowanie zbytku.

Zbytek, oto plaga która ciąży na nasz em społeczeństwie. Wielcy i mali bogaci i ubodzy, wszyscy pod nim jęczą. Plaga to, która w naszym kraju i stosunkach naszych hamuje wszelki popęd ku dobremu, o którą się rozbijają dobre chęci, obywatelskie cnoty. Przyniesiony od obcych, w czasie naszej największej słabości moralnej, nurtuje i coraz bardziej gangrenuje społeczność i gdy indziej, przychodzi w stosunku wynalazków, przemysłu i bogactw krajowych, u nas się rzecz ma odwrotnie. Upomnienia, przykłady, nawet własne doświadczenie, przechodzą bez śladu. Męczą się, giną, a nikt nie ma odwagi pierwszy powstać i zawołać: dosyć!

I tak to się żyje z dnia na dzień! I cóż to za sobą prowadzi?

Oto uderzenia serca, co za młodu rwało się ku wysokim celom, stygną pod naciskiem poziomych kłopotów myśl zsuwa się nieznacznie na poziom pospolitych trosk i zabiegów horyzont widzenia ścieśnia się do egoistycznych li tylko pobudek, a próżność i pycha stają się dewizą życia. Ale że to rzeczy kosztowne, że się nie chce, nie umie, a może i wstydy pracować więc fortuny szlacheckie rozciągnięte na wszelkie możliwe tortury, pękają stawa się na pochyłości i jestże tam czas dopiero myśleć o ofiarach dla idei, dla kraju lub znaleźć siłę by nie runąć w przepaść...

I oto kolej codzienna, to gościniec szeroki, po którym szlachta nasza leci w otchłań zguby! Bywają tam niekiedy wśród upadku dobre chęci, postanowienia, ale już dla ich spełnienia czasu i miejsca prawie nie ma; ale te już jak błyskawica przed uderzeniem gromu, migną, aby oświecić przepaść; bo przychodzą zapóźno — jak zgryzota i kat. „Gdzież są twoje świetne mary Cele twoje B. Z.

IV.

Taki to był stan mniej więcej społeczności wiejskiej do 1859 roku.

Ale wróćmy do Nowogródka. Jakież więc były duchowe zasoby towarzystwa nowogródzkiego owego czasu, jego zajęcia, rozrywki w chwilach wolnych od pracy co zajmowało pleć nadobną? — zapyta zapewne czytelnik.

Krótką na to odpowiedź, bo ją każde nasze ówczesne na prowincyi miasto podaje. Karty i pijatyka zajmowały mężczyzn, komeraże lub dewocja granicząca nierzadko z bigoteryą, była przeważnie

zajęciem kobiet. Wyjątek stanowił niekiedy marszałek i koło zbliżonych z nim osób, których położenie towarzyskie i wykształcenie, stawiały wyżej po nad poziom miejscowej gawiedzi.

Przyczyniała się do tego, w sposób niepośledni, należy Przyznać, konsystencja wojska. Zwykle kwaterowała w Nowogródku kawaleria: ułani lub huzary. Ale to już nie ta była kawaleria, co tak miłą, po sobie zostawiła pamięć, z czasów „korpusu litewskiego”, a na którą przeważnie składała się młodzież litewska. Od czasu powstania 1831 roku zwykle wojska na Litwę przychodziły z Rosyi. A chociaż dowódcy tych pułków, jak Saburów, Aderkas, Bohuszeński, Oznabiszyn, itp., byli to ludzie rzeczywiście wykształceni, jako potomkowie pierwszych rodzin w Rosyi, młodzież tych pułków była hulaszczą na sposób rosyjski, cyniczna i pijacka. Karty i pijatyka, a z nią bijatyka, to były główne, jeżeli nie jedyne jej zajęcia; to stanowiło pewien szyk, odróżniający kawalerzystę od „piechura”. Zatem, burdy, gorszące sceny i zajścia z miejscową ludnością wśród której zwykle żydzi byli koźłem ofiarnym, nie schodziły z porządku dziennego. Zaledwo szczupła garstka Polaków, zmuszonych ukazem Mikołaja do służby wojskowej, lub od czasu do czasu dana surowa lekcja przez kogoś z miejscowych obywateli jak np. znanego siłacza Wiktora Wojniłowicza, oficera byłego wołyńskiego pułku ułanów, który za wyrządzoną sobie niegrzeczność w restauracji powyrzucał kilkunastu huzarów za drzwi mogły utrzymać na wodzy, i ochronić społeczność miejscową od przykrych następstw rozhukanego junactwa tych nawpół dzikich synów Moskwy.

Spijać na kredyt szampana, prawić o rzekomych dobrach gdzieś na krańcach Rosyi, zgrywać się, hulać i tracić pieniądze i zdrowie, a potem nie opłaciwszy długów zemknąć na urlop, z którego się nie wraca, a zarazem traktować w sposób nieludzki podwładnych sobie żołnierzy, i furmana razem z psem na kartę postawić, to były zwykłe sprawki tego szerokiej natury ruskiego człowieka.

Trafiały się wyjątki, ale te były tak rzadkie, że ich w rachubę brać nie można. Znany w Wilnie z dowcipu baron Kraus, wybornie oddał przeciętnego tej epoki rosyjanina w osobie ks. Mikołaja Dołhorukowa, osławionego satrapy i wojennego generał-gubernatora Litwy, po jego odjeździe z Wilna, mówiąc o nim: „ostaliś dałgi, ujechali ruki.

Rzecz więc prosta, że w tak niewielkim mieście, ruchliwe kółko kilkudziesięciu ludzi, pod względem towarzyskim stojących na widowni, jakkolwiek innej narodowości, nie mogło nie oddziaływać, nie wywierać pewnego wpływu na społeczność miejscową a że złe zaszczepia się łatwiej niż dobre więc karty, pijatyka, znalazły też w nim zachętę. I skutkiem to zapewne tego, na sposób rosyjskich miast, jako wyraz usposobienia publiczności, założonym został klub, a gospodarzem jego obrany miłośnik gry kartowej strapczy Zadarnowski.

W czasie jednak, gdy w Nowogródku osiadł, stała tam już artyleria, i jakto mówią Moskale: „inny wiatr wionął” w pojęciach towarzystwa rosyjskiego, czego powodem prawdopodobnie była niefortunna wojna krymska. Otóż oficerowie stojącego parku, z natury swej broni, byli to już ludzie wykształceni i w przeważnej liczbie Polacy.

W tym to czasie, dzięki zabiegom ks. Konstantego Radziwiłła i innych obywateli, w miejsce powiatowej szkoły, otworzono w Nowogródku wyższe gimnazjum. Przybył więc odrazu, miastu i okolicy, niemały zastęp sił dzielnych i świeżych. Im to dano było przyczynić się znakomicie do zbudzenia wyższych pojęć i pragnień w zakresie towarzyskiego życia, podniesienia poziomu poczucia dobra i piękna, wśród pogrążonej w apatii i lenistwie ducha społeczności. To też wraz z tem poszło otwarcie Instytutu wychowawczego dla panien, pod dyrekcją p. Wolfowej, instytutu, którego brak wielki czuć się dawał od czusu zwinięcia pensjonatu Ponsetów. Zjawiła się też i księgarnia polska, wprowadzając jako spekulacja żydowska, propagująca przeważnie tłumaczenia tanich francuskich romansów i wszelkie śmiecia obcych literatur wszelako był to już objaw świadczący o zbudzeniu się w ojczyźnie Adama potrzeby duchowego pokarmu wśród prozy życia.

A tymczasem na całej prawie Litwie, zaprowadzano wśród ludu, który wkrótce miał być wolnym, towarzystwa wstrzemięźliwości. Moja odezwa do duchowieństwa, wydrukowana w petersburskiem Słowie, obiegała dwory i probostwa. Opustoszały karczmy, przepełniały się kościoły lud wytrzeźwiał przejrzał — i modlił się w przededniu otrzymania zapowiedzianej swobody.

Ale i propinatorowie nie zasypiali. Przerażeni wzmagającym się deficytem, wysilali się by zwrócić lud z drogi, na którą go wprowadziło dzielne i zacne duchowieństwo. Zawrzała walka. Przykro to, ale wyznać trzeba, że była to walka staczana nie na chlubę cywilizacji XIX stulecia. Uciekano się w niej do

najniegodziwszych środków. Ale daremnie lud Przejrzał i wzdrygnął się na widok swego upodlenia i tych co go doń popchnęli. Jeden epizod tej walki miał miejsce właśnie w samym Nowogródku. Gdy pewnej niedzieli, w czasie nabożeństwa, miejscowy pleban zacny ks. Ejmont, w gorącej przemowie o pijaństwie, poruszył do łez masy ludu zarząd propinacyjny, zawiadomiony o tem kazał wytoczyć beczkę wódki na rynek, do powszechnego użycia a że to był dzień targu, i dojmujący chłód na dworze, więc rzucił się uliczny motłoch do bezpłatnego korzystania z napitku; tłoczono się na zabój, i pito bez pamięci. Skończyła się zaś ta niecna sprawa, ta walka złych i dobrych duchów, jak to było do przewidzenia, tragicznie, bo śmiercią kobiety, którą znaleziono zmarłą obok wypróżnionej beczki. O wypadku tym posłałem w kilku dosadnych słowach wiadomość do Słowa. Powtórzyła to wnet cała rosyjska prasa, której tendencje ówczesne zbliżały się do naszych. Oburzenie zapanowało powszechne, i tym razem, ku uciechu ogółu, propinacya przegrała sprawę.

V.

Mieszkanie moje, zanim się przeniósłem do murów poddominikańskich, było w dworku Palczewskich, na końcu Żydowskiej ulicy, położonym wśród ogrodów, w cieniu wiekowych lip i kasztanów. Składały je dwa pokoje z gankiem balkonowym od strony kwiatowego ogródka. Szczupłe to było i skromne, ale miłe i wdzięczne. Służył mi młody chłopak Ksawery Mikulski, szlachcic z Mikulicz przywieziony z domu. Portyer i jego żona mieli staranie o mojej kuchni i innych domowych potrzebach. I dobrze mi tam było. Nie przeczuwałem, że ta pierwsza dłuższa stacya na drodze mego życia miała być z czasem ostatnią w Nowogródku gdy po latach czterech, zakwaterował w niej wojenny Naczelnik, pułkownik Czortów i z kąd mię pod eskortą wywieziono w daleką podróż.

Nauczyciele gimnazjalni w większej części, byle to ludzie z zamiłowaniem oddani swoim obowiązkom. Przemówienie moje w imieniu gremium całego, na obiedzie danym dla dyrektora Czarneckiego, z powodu zatwierdzenia go w tej godności, zjednało mi od razu serca całej jego zacnej rodziny i kolegów, wśród których znalazłem kilku, co mi do serca przypadli jak Donat Kowzan, Romuald Kobecki, Hejbowicz, Cywiński, Edmund Bielawski.

Pleban też miejscowy ks. Ejmont, i jego wikaryusz ks. Felicjan Baszkiewicz, zacni i świętobliwego życia kapłani, wkrótce się do mnie zbliżyli. Młodzież zaś szkolna, w której budzących się zdolnościach coraz więcej z dniem każdym upatrywałem materyału, otoczyła mię wkrótce z całym właściwym jej wiekowi zapałem. Jednem słowem, nie upłynęło kilka tygodni, a poczułem, że mi wśród swoich było dobrze.

Mylili by się wszakże, ktoby sądził, że to powodzenie przypisywałem zasługom swoim. Nie było na to czasu. Ale nie można znowu nie przyznać, że do niego przyczyniały się nie mało antecedenza moje. Wracałem świeżo z Rzymu i Paryża liczne artykuły moje, w których śmiało i dosadnie przemawiałem w sprawach obchodzących ogół, chętnie drukowały dzienniki w kraju i po za krajem kilka moich obrazów znano już na Litwie nic zatem dziwnego, że na partykularzu dalekim od wielkich ognisk świata wszystko to razem wzięte, musiało wpłynąć dla mnie korzystnie na usposobienie społeczności, szczególnie tam gdzie „człowiek drukowany” gdzie artysta-malarz, wracający świeżo z Ermitaża, Watykanu, Luvru, gdzie podróżnik stron dalekich zaliczał się do najrzadszych osobliwości.

Ostatnie dni jesieni rozjaśniła nam muzyka. Marek Sokołowski na gitarze, Chodecki na fortepianie, zachwycili publiczność spragnioną gry prawdziwie artystycznej, którą podnosiła szczególnie rzadkość instrumentu. Owacye w mieście i na wsi, na cześć obu artystów, z których ostatni obok muzycznego talentu wybornym był śpiewakiem i deklamatorem, nie ustawały w ciągu dni kilku. Pisałem o t em do Gazety Codziennej, co spowodowało miłą mi korespondencję z ówczennym j ej redaktorem Kraszewskim.

Ferye świąteczne spędzałem zwykle na wsi. Po odwiedzeniu matki i bliższych sercu w Nowogródzkiem, gdzie się czułem jak wśród własnej rodziny najchętniej lubiłem gościć w Połoneczce, w domu ks. Konstantego Radziwiłła, kuratora szkół nowogródzkich. Uprzejmość staropolska ściągała tam wszystko, co okolica miała zacniejszego. Liczna rodzina, towarzystwo światłych ludzi, odznaczające się miłą, patryarchalną gościnnością i poważną prostotą, tak różną od śmiesznej pretensyi i sztywności, pozujących na arystokrację półpanków, miały tarcie dla mnie powab niezwykle. Był to jeszcze dom, gdzie ze czcią przechowywano tradycje lepszych czasów, i gdzie na to i chęci i

środki starczyły. Jakże mi się mile przypomina dzień imienin ks. Konstantego Radziwiłła, w którym dzieci wiejskie, pod kierunkiem zacnego Wincentego Klimowicza, co był tam zarazem i pisarzem gminy i nauczycielem szkółki, wśród stosownych akcesoryów, wykonały śliczną, kantatę, ułożoną wierszem przez profesora Kowzana. Było to wiązanie najświetniejsze, jakie w tym dniu otrzymał dostojny solenizant bo było dowodem, co można zrobić przy dobrych chęciach i czego się można było spodziewać w przyszłości po naszym kmiotku. Daleko wszakże było jeszcze do tego, aby zwrot ku lepszemu, raz zbudzony, nie napotkał tam i ówdzie trudności. Nic łatwo się wychodzi z koleji, którą wyłobiły lata. Przykład tego nadarzył się właśnie wśród wyżej wymienionego balu.

Gdy w antraktach zabawy, jedna z poważniejszych pań a była nią hr. Mich. Cz... z hr. Cz... w przechadzce ze mną po sali, zwróciła uwagę, że w obecnym patryotycznym nastroju, przykrym razi dyzjonansem mowa francuzka, którą słyszy wśród pań, i zakończyła tę uwagę, mówiąc:

— U nas w poznańskim, inaczej ja korzystając ze zdarzenia odrzekłem:

— Jakżeby to było dobrze, żebyś Pani tę miłą wiadomość, a z nią zarazem i przestrogę, zakomunikowała tym paniom. Może jej słowa lepiej poskutkują, niż nasze prośby i namowy.

Uczyniła to zacna ta pani; lecz nie wiem czy i jaki to miało skutek w następstwie czasu dość, że niedługo potem, pisząc do gazety, zacytowałem w kronice miejscowych wiadomości, ten fakt dodając, że hrabina Cz ... z hr.

Cz... dała lekcję o francuzczyźnie naszym szlachciankom...

Łatwo sobie wyobrazić oburzenie półpanków, gdy się ten numer gazety dostał w ich ręce. Nazwano mię demagogiem, arystokratą i t.p.

Już to co prawda, — nie miano dotąd dla mnie stałej nazwy. Jedni mię zwali konserwatystą, drudzy czerwonym radykalistą, stosownie do ostatniej mojej pracy w świat puszczonej. Jedni mię uwielbiali, drudzy się bali; nie umiano, czy nie chciano pojąć, że nie należąc do żadnego stronnictwa, można przecież służyć dobrej sprawie służąc prawdzie.

VI.

Zbliżał się czas, w którym życie towarzyskie, pod naciskiem okoliczności spowodowanych przeważnie wymaganiami życia nad stan... przybrać miało inne formy. Wiele domów w tych czasach albo się zamknęło, albo podupadło, jak Snów Odachowszczyzna Rdułtowskich, Lipa Obuchowiczów, Swojatyczne Czapskich, Bartniki-Wolna Ślizieniów, Tuhanowicze Wereszczaków, później Tuhanowskich i t. d. Nawet gościnna i zamożna Sworotwa, ze śmiercią szefa Niezabytowskiego, przestała gromadzić w swych ścianach liczną szlachtę z okolicy i sąsiednich powiatów. Starojeleniska parafia, której członkowie z Maryaszem i Wołoszynem, w taratatkach i przedwiecznych frakach dotrwali do ostatnich czasów, nie miała już w odnowionych salonach, wśród wymagań wielkoświatowej etykiety, swoich przedstawicieli. Inne już były tam zwyczaje, inni goście i inne przyjęcia.

To co powiedział ktoś o szlachcie poznańskiej, możnaby zastosować do wielu okolic Litwy. „Dwór wiejski stracił to co było jego cechą polsko - szlachecką i wdziękiem, a przybrał wielko-pańskie pretensje. Ztąd przy całej wykwinności, salony jego stały się sztywne i śmieszne, a życie obywateli wiejskich stać się nieraz musiało cccze i powierzchowne, za efektem goniące. Naturalnie, mówi się tu o przeciętnym typie, którego nie zmienia pewna liczba bardzo miłych i nad ogół wznoszących się wyjątków”.

Pomimo to wszystko, życie wszakże szlacheckie, jakkolwiek przygnębione tłało.

Oczywiście, że jak wszędzie wśród dojrzałej społeczności, posiadał też i powiat nowogródzki, rozmaite sfery, w których się skupiały pokrewne sobie żywioły. Tym sferom przewodniczyły domy, do których jakby do ognisk ciążyły inne. Rzecz prosta, że stanowisko społeczne, zacność charakteru, zamożność, niekiedy świetność rodu nieskalana, były to przeważnie warunki niezbędne atrakcyi dla takich ognisk. To też jak w systemie planetarnym, tak i tutaj, w społecznym, przyciąganie i krążenie odbywało się jednakowo, około słońc krążyły mniejsze światy i ich satelity, około tych, jeszcze mniejsze, i tak aż do najmniejszych. Tam to każdy, podług swoich skłonności, znajdował zasiłek lub podniętę, które przyciągając go do obrębu swego wpływu, tworzyły niejednokrotnie wręcz przeciwne obozy. Nie

ścierały się już one wprowadzić na polu publicznym, bo go nie było, niemniej jednak w różnych kierunkach nurtowały społeczność, propagowały swoje przekonania, tworzyły opinię.

Pierwszym z takich domów w nowogrodzkiej ziemi przez długie lata, były Szczorsy, starodawna dziedzina możnej i znakomitej rodziny Litaworów - Chreptowiczów, z których Joachim Chreptowicz kanclerz W-go księstwa litewskiego, wymurował tam pałac w guście francuskim, i zgromadził szacowny księgozbiór, zawierający samych polskich dzieł 6000 tomów. Są tam między innymi najrzadsze druki i wielce ciekawe rękopisy. Tenże kanclerz, celem wyzwolenia i oświaty podległych sobie włościan, pierwszy na Litwie oczynszował ich około 1790 roku, wprzód rozsadzając każdego gospodarza na oddzielnych posadach. On także w swoich folwarkach pierwszy poprawne gospodarstwo wprowadził, co wszystko z czasem sprowadziło dobrobyt w jego dobrach i u włościan. To też nic dziwnego, że te same Szczorsy, za życia hr. Adama Chreptowicza, nosiły już nazwę Puław Litewskich*).

*) Oto co pisze o Szczorsach, świadek ostatnich czasów ich świetności, a zarazem i o innych domach nowogrodzkiego powiatu Adolf Kobyliński z Cieszewli.

To też i przykro pomyśleć że ze śmiercią hr. Adama, i oddaniem się służbie rządowej na drodze dyplomacji jego spadkobiercy, rezydencja ta osamotniona z ukrytymi w niej skarbami dla nauk i sztuki, przestała być dostępną dla pragnących z nich korzystać. Za tem idzie Worończa rezydencja ostatniego wojewody Józefa Niesiołowskiego; po którym przeszła do Kobylińskiego generała — a następnie w drodze kupna dostała się Mierzejewskim. Jako taka, miała przeszłość świetną!

Po niej Snów, z miasteczkiem i wspaniałą rezydencją możnej niegdyś rodziny Rdułtowskich. Tutaj to był podejmowany król Stanisław August w podróży do Nieświeża. Ostatni jej właściciel marszałek Rdułtowski mąż niepospolitych przymiotów umysłu i serca, znakomity gospodarz i obywatel zasłużony, podniósł ją i upiększył wzniesieniem pałacu, założeniem rozległego parku i otoczenia pełnego gustu; okrężały ją folwarki o poprawnym gospodarstwie wśród sławnej z rodzajności gleby. Dobra ta około połowy bieżącego stulecia przeszły do rąk bar. Hartinga; rezydencja zaś opuszczona, ze swymi stawami, kanałami, i parkiem uległszy zaniedbaniu, przedstawia dziś obraz pustkowia świadczącego o lepszej „Najprzód z lat dzieciennych pamiętam jak bywałem z ojcem w Szczorsach, u hr. Adama Chreptowicza, u którego szczególnie w czasie wakacyjnym liczne towarzystwo się zbierało. Na cały czas feryi, zjeżdżali się tam, zwykle profesorowie Uniwersytetu wileńskiego. Z nich najlepiej wrażli mi się w pamięć, Münich i Rustem, bo u tych największą, miałem łaskę i bardzo mię małego pieścili. Zjeżdżała się tam często na kilkatygodniowy pobyt zacna księżna Ludwikowa Radziwiłłowa, z dwiema ładnymi córkami, z pierwszego małżeństwa, pannami Walewskimi i małym jeszcze podówczas ks. Leonem. Toż hr. Rudolfowie Tyzenhauzowie; księstwo Radziwiłłowie z Połoneczki, i wielu innych. Wrzało więc tam życie nie tylko towarzyskie ale i naukowe. Pamiętam dobrze, jak chodziłem z profesorami do założonej przez hrabiego Adama szkoły systemu Lankastra, a ponieważ umiałem już dobrze czytać, przeto żartowali, że mię tam na nauczyciela zostawiają." Wspomnienia z bliska i z daleka. przeszłości i obecnym upadku*). Pomimo że miasteczko posiada murowaną cerkiew, po 1863 r. zabrano parafialny kościół na prawosławie.

Nieopodal od Snowia leżą Swojatyce hr. Czapskich. Rezydencja to jedna z najpierwszych rodzin na Litwie. Przechowuje się tam pamięć wdzięczna ostatniej jej dziedziczki hr. Stanisławowej Czapskiej, która jako wielkiej zacności prawdziwie polska matrona, zamieszkawszy w Swojatykach, zakładała szkoły, ochronki dla włościan; wymurowała wspaniały kościół, postawiła plebanię. W roku 1863 zebrano to wszystko na prawosławie.

*) Snów, najludniejszym był, kiedy tam czas jakiś przemieszkował śp. syn marszałka Konstanty Rdułtowski. Do niego mnóstwo młodzieży się zbierało; dla niej tam bowiem była przynętą, śliczna Malwina Jeleńska, późniejsza Oskierczyna, siostrzenica marszałka a siostra nieodżałowanej pamięci Napoleona, pogrzebionego niedawno w Krakowie.

Tam to się zastrzelił Szpitznagiel, wielkich zdolności młodzian, w przededniu wyjazdu swego na wschód, prawdopodobnie z miłości. O marszałku Rdułtowskim (ojcu) wiele dałoby się powiedzieć, bo był to człowiek jakich teraz nie ma; rozumny, uczony, bo nawet doktor filozofii; a przytem miły, w towarzystwie łatwy, wesoły, z rzadkim dowcipem, którego nigdy na cudzą, szkodę nie używał. Był to

najszanowniejszy człowiek całego powiatu. Rodził się z Rzewuski ej, rodzonej siostrzenicy ks. Karola (panie kochanku).

Pomimo to, z panami był tylko panem, a szlachcie choćby i najuboższej nigdy nie imponował. I dlatego kiedy szedł na marszałkostwo, to cała demokracja była za nim. Arystokracja zaś, na której czele był wojewoda Niesiołowski, prowadziła Konstantego Rajeckiego (późniejszego pułkownika w wojnie 1812 r.).

Ale bracia - szlachta podtrzymała swego ulubieńca i wybór padł na niego. Po wejściu Napoleona zamianowany został podprefektem nowogródzkim, a po upadku tego, znowu marszałkiem. Gospodarz z niego był znakomity. On prawie pierwszy zaprowadził poprawne owce w tych stronach i wielkie usiewy kartofli, dla przepędzenia j ej na wódkę. Założył na wielką, skalę fabrykę sukna w Odachowszczyźnie, w której własną wełnę produkował i tom zachęcił współobywateli do utrzymywania lepszego gatunku owiec których wełnę nabywał. A. K.

Kroszyn Jurahów, z miasteczkiem i kościołem parafialnym. Siedziba ta której panią była poważna i poważana siostra ks. Konstantego Radziwiłła, była długo ogniskiem zacności, i poszanowania tradycji rodzinnych i narodowych... dla cał ej okolicy. Przeszła wskutek małżeństwa córki jedynaczki do imienia Zawadzkich, z Galicyi.

Bartniki, Wolna, Ślizieniów, o tej miejscowości tak mówi wyżej zacytowany A. Kobyliński. „W tym samym czasie, w innej stronie powiatu, najbardziej ożywiony był dom w Bartnikach chorążstwa Ślizieniów. Tam się zbierała młodzież akademicka, jako koledzy starszych synów Rafała i dziś żyjącego Ottona. Tam często przebywali, Mickiewicz, trzech braci Zanów, Jan Czeczot i wielu innych. Tam życie przy największej przyzwoitości, było hulaszce. Cała młodzież paliła ofiary ślicznej Zosi, córce gospodarstwa, (późniejszej Korbutowej). Tam też pierwszy raz, widziałem teatr amatorski, urządzony w gaju Kłatecznej. Przyjeżdżał wtedy z Wilna z Zanami ich krewny Surewicz później znakomity artysta teatru Wileńskiego i ten spektakle urządzał i w nich suflerował. Piękną cerkiew Bazylianów w Wolnej zabrano na prawosławie po 1836 roku".

Połoneczka ks. Radziwiłłów. Pałac mieszczący w sobie bibliotekę i liczny zbiór rodzinnych portretów, z całym otoczeniem, ogrodem i obszernym parkiem, jest dziełem śp. ks. Konstantego, który zaniechawszy ukończenie zaczętego przez ojca pałacu, na przeciwległej górze, stworzył wśród masy zieleni ogrody, miłą i wygodną rezydencję. Tuż obok niej parafialny kościół. Czem była Połoneczka dla okolicy, mówiliśmy wyżej.

Horodziej, Brochockich, w pięknym położeniu z gustownym pałacem i ogrodem, panujący okolicy, wśród wybornej gleby, ze śmiercią ostatniego jej dziedzica pułkownika Brochockiego, cichy dziś i pusty. Tu się gromadziło kółko licznych w swoim czasie szczątków armii Napoleona; — polityka tu przeważała.

Zadwieja, piękna niegdyś wpośród pszennej gleby siedziba Macieja Mierzejewskiego, kapitana gwardii wojsk francuskich, ozdobionego legią honorową, za zdobycie Somosiery z przywiązaniem doń majoratem. W pobliżu parafialny kościół, po 1863 roku zabrany na cerkiew. Była to jakby filia wojskowo - polityczna Horodzieja.

Tuhanowicze, rezydencja Tuhanowskich (niegdyś Wereszczaków) pełne pamiątek Adama i Maryli, ze swą altaną, kaplicą i sławną murowanką (zwykłą kwaterą młodzieży) ze swymi kurhanami dokoła; do niedawna gościnna stacja uniwersyteckiej młodzieży, pełna życia, gwaru, wesela, owiana urokiem poezji, młodości i wspomnień, dziś prawie pusta i samotna. Czego nie zniszczyła tam burza dokonała śmierć*).

Rajca, głośna w swoim czasie, położona w pięknej okolicy, zwanej Szwajcaryą nowogródzką, zamożna i okazała siedziba Rajeckich, obecnie prawem sukcesji przeszła do rodziny Wereszczaków.

Jatra, niegdyś Kaszyców, za udział w powstaniu 1831 r. ostatniego jej dziedzica Józefa Kaszyca, marszałka ówczesnego, zabrana na skarb; dwór zamieniony na koszary wojskowe, park i ogród w pień wycięty, ferma rozdana chłopom w części, w części zaś darowana urzędnikom.

Sworotwa, Niezabytowskich, zabudował ją zacny i poważany od szlachty Jakób Niezabytowski, przeniósłszy do niej swą rezydencję z położonej w lasach Bobrujskich Swisłoczy, ozdobił wzniesieniem pałacu i założeniem ogrodu i oranżeryi, której rzadkie planty są dotąd celem troskliwości i zamięłowania jego syna Stefana, byłego marszałka gubernii Grodzieńskiej. Urok wdzięków, gościnność

staropolska, były tu przez długie lata tego domu godłem. Pamiętne tam są jeszcze liczne zjazdy, fety, polowania, które ze wszystkich stron gromadziły obywatelstwo, ujęte uprzejmością starego szefa**).

*) Dziedzic jej ostatni Konstanty Tuhanowski, zmarł w Wileńskim więzieniu 1863 roku, za nim poszła żona i dwie córki.

***) Spoczywa w grobowej kaplicy w Sworotwie.

Starojelna, gościnna, staropolska siedziba chorążego Chlewińskiego, głównie ognisko znanej z konserwatyzmu szlachty Starojeleńskiej; po jego śmierci, w pierwszej połowie bieżącego stulecia, przeszła na jego siostrzaną A. Pileckiego. Ten ją sprzedał ruskiemu nabywcy, Izwiekowowi, a od tego przeszła do żyda Giersona Cyryńskiego, wraz z rozległymi dobrami. Nieopodal dworu był kościół parafialny drewniany z XVII-go wieku, po 1863 roku zabrany na cerkiew.

Wsielub, generała broni hr. O'Rurka. Dwór ten stary zamieszkały przez znaną rodzinę, połączoną przez małżeństwo z Litwą, długie lata był dla powiatu tarczą i ochroną wobec rządu, dzięki wysokiemu stanowisku tego wielkiej prawości męża. To też nieodrodni synowie, razem ze czią dla ojca, przechowują po nim w spuściźnie piękną tradycję służenia ziemi, która się dla nich stała ojczyzną. Tuż obok dworu, na końcu długiej alei wznosi się kościół parafialny.

Weresków, (przed em Dybowskich) obecnie Brochockich, na brzegu lasów nieopodal Niemna położony. Gościnne ściany tego zamożnego domu rade się rozsuwać zawsze po dawnemu, i po dawnemu też dają przytułek rozbitkom... Tamto wśród uroczego na wzgórzu kwiecia, zwraca wzrok przychodnia piękny grobowiec ku czci i pamięci znacznych niewiast, co były niedawno miejsc tych ozdobą a dziś są celem żalu, osieroconego tej rezydencji dziedzica*).

Żelaznica, dom zamożny starożytnej rodziny Wolskich, dwór obszerny, okazały, wśród ogrodów rozległych i żyznej gleby, był w ostatnich czasach siedzibą Mikołaja Wolskiego. Oto co o nim mówi uczonego Mikołaja Malinowskiego w dziele: Herbarz starożytnej szlachty podług heraldydyków polskich. „Rok 1831 wywołał przeciw wielkiej liczbie szlachty przewody sądowe ze strony władzy. Naznaczono komisję pod *) Władysław Brochocki, były marszałek nowogródzki do 1863 r. prezydentą ówczesnego grodzieńskiego gubernatora-generała Murawjewa; Mikołaj Wolski z miejsca swego jako prezes sądu głównego, wezwany był do zasiadania w jej gronie. Od wyroku tej komisji zależało życie i majątek stawionych przed nią osób. Trudno wystawić trudniejsze położenie; a jednak Wolski wzięwszy za przewodnika sumienie, kierowany właściwym sobie umiarkowaniem i dojrzałością sądu a gdzie potrzeba wymagała, tęgością charakteru, jako prawy obywatel gdzie tylko chociaż cień powodów do zmniejszenia winy istniał, silnie go popierał, a ręki swej do wyroku potępienia nie przyłożył. Cnotliwe pojęcie i sumienne wykonanie włożonego nań obowiązku zjednało mu szacunek władzy a szczerą wdzięczność ogromnej liczby osób pociągniętych przed komisją, którzy wolność i majątek mieli ocalone.

Kiedy wskutek nowego administracyjnego podziału kraju, powiat nowogródzki przyłączono do gubernii mińskiej i gdy nadszedł czas sejmików gubernialnych, wstęp Wolskiego do izby obrad obywatelskich w Mińsku poprzedził odgłos nabytej sławy na komisji grodzieńskiej. Ale pierwszej jeszcze, obywatele nowogródzcy w roku 1833, składając hołd jego cnotcie i zasłudze zaprosili go do przewodniczenia sobie, w urzędzie marszałka powiatowego. Na samym wstępie tego nowego urzędowania znalazł Wolski pole do okazania największego dobrodziejstwa jakie z miejsca swego mógł wyświadczyć. Popelniono zgubny, acz zapewne mimowolny błąd przy nowym popisie ludności. Starano się wmówić ubogiej a licznie osiadłej w powiecie nowogródzkim starożytnej szlachcie, aby zapisywała się do stanu jednodorców. Co też uczyniła wielka onych liczba, nie przewidując następstw. Przy pierwszym

dopiero zaciągu wojskowym, otworzyły się oczy nieszczęśliwym, i tu marszałek Wolski stał się prawdziwą dla wielu z nich opatrnością. Wielka liczba tego rodzaju zwiedzionych, wróciła za jego staraniem do prerogatyw rodowitości, a czyn tak szlachetny, w dalekich pokoleniach uratowanej szlachty, wzbudzać będzie cześć dla jego pamięci. „Obywatele powiatu nowogródzkiego, tak wielkiem uwielbieniem byli przejęci dla Wolskiego, że przez ośm, ponawiających się co trzy lata wyborów, nie pozwolili mu urzędu złożyć; tak, że od roku 1833, aż do zgonu swego, bez przerwy

piastował godność marszałka, ponosząc chętnie przywiązane do tego znaczne wydatki, gdyż urząd jako honorowy nie miał przywiązanej do siebie żadnej pensji".

Zwłoki jego spoczywają w kaplicy wzniesionej przezeń na grobie żony z domu Obuchowiczówny, nieopodal dworu.

Jest tam też i cerkiew parafialna niedaleko. Jako wpływowe ogniska należy tu jeszcze dodać kościoły parafialne i plebanie; było ich w powiecie 17, a mianowicie: Wsielub, Niechniewicze, Mir, Zadwieja, Izkołdź, Snów, Krzywoszyn, Stwołowicze, Wałówka, Horodyszcz, Starojelna, Swojatyczne, Woroneża, Kroszyn, Darew, N. Mysz, Połoneczka.

Takie to były niegdyś główne ogniska nowogródzkiego powiatu, które mniej lub więcej w zakresie swojej działalności udzielały ciepła i światła okolicy. Ale zmieniło się wiele, nastały inne czasy, inne zawały prądy. Tylko duch co ożywiał społeczność pozostał niezmienny. Owszem, z nastaniem innej pomyślniejszej epoki, jak ptak długo więziony, ujrzawszy niespodzianie otwarte wrota swej klatki, rwał się do lotu... Niestety, zbytek podciął mu skrzydła! *)

Z nadejściem wiosny, nastały ferye wielkanocne. Znalazłszy się na wsi, jakże miłych doznałem wrażeń, po wsiach i dworach. Miejsce karczem w wielu okolicach, zajęły szkółki. „Czytelnia niedzielna”, „Kmiotek”, rozsyłane po probostwach a stamtąd po wioskach, stały się ulubioną lekturą włościan.

*) Dla dania dokładniejszego wyobrażenia o zasiedleniu powiatu nowogródzkiego przez obywatelstwo, dołączamy tu spis dominiów.

Garderoby pań zapełniała ucząca się wiejska dziatwa. Nauczycielkami były nierzadko same panie lub panny domu.

Pierwowzorem takich szkółek, od dłuższego już czasu była szkołka prowadzona w Basinie, przez hr. Michała O'Ru... zostających we władaniu szlachty od roku 1831 do 1869. Nazwy uprzednich właścicieli objęte są, nawiasem.

1) *Arabinowszczyzna (Godaczewskich) obecnie Herowskich nad jeziorem Kołdyczewskim, przy dworze kaplica (zburzona), filia parafii Stwołowickiej. — Antowil, Pawłoskich, par. Nowogr.*

2) *Bienin dwór Wolskich, par. Wsielub.*

3) *Basin dwór Michała hr. o'Rurka, par. Nowogródzka.*

4) *Brecianka dwór (Białopiotrowiczów), par. Nowogr.*

5) *Boracin dwór Czeczotów (Obuchowiczów), par. Niechniewicz.*

6) *Boryszyn dwór Wojniłowiczów, par. Nowogr.*

7) *Bielczyce dwór (Bobrów) obecnie Bochwiczów, par. Horodyska.*

8) *Burdykowszczyzna dwór (Obuchowiczów) Pusłowskich, par. Horod.*

9) *Bujniwicz dwór (z Obuchowiczów Kamińskiej) Obuchowiczów, par. Horod.*

10) *Bartniki dwór Ślizieniów, par. Połoneczka.*

11) *Baranowicze dwór (Puzowskich, Markiewiczów) Rozwadowskich, par. Mysz.*

12) *Burdziewicze dwór Bułhaków, par. Połoneczka.*

13) *Bereśnie dwór Bereśniewiczów, par. Stwoł.*

14) *Brzuchańszczyzna folwark (Dominikanów), skarbowa.*

15) *Bordziacz folwark (Zaleskich), o'Rurka, par. Nowogr.*

16) *Cząbrówek mały (Terajewiczów) Krzywoulickich.*

17) *Chrulczyce dwór (Sokołowskich), z kaplicą, par. Starojel.*

18) *Czombrów, Karpowiczów, pod Wałówką. Przy niem stare przedhistoryczne Horodyszcze i kurhany nad rzeczką Newdą. (Miejscowość ciekawa).*

19) *Cieszewła, Kobylńskich, par. N. Mysz.*

20) *Czernichów, Rdultowskich, par. Kroszyn.*

21) *Czernichów dolny, (Rdultowskich) Pawłowa, par. Snów.*

22) *Ciepli-woda, v. Lebieżany, Walknowskich, par. Mysz.*

23) *Chodaki, (Guzelfów), par. Starojel.*

24) *Ciepli-woda, Borodziczów, Nowa Mysz.*

25) *Delatynce, Witgenstejna, miasteczko. — Drohinów, par. Nowogródzka.*

26) *Dorohów, (Kobylńskich), (Wołowiczów), Baranowiczów, parafia Worończa.*

27) *Dołmatowszczyzna, Wierzbowskich, par. Mir.*

28) *Delejów (Olszewskich), Wierzbowskich, par. Horod.*

29) *Drohobyl (Mokrzeckich), (Doboszyńskich), (Złotnickich), par. Stwołowicz.*

30) *Drohobyl (Madzarskich), Jurewiczów, par. Stwoł.*

- 31) Domaszewicze, (Korbutów), (Lejów). Pawłowa nad jeziorem, Szlachetny ten obywatel, syn
zaczynego ojca, jakkolwiek noszący imię obcej nam narodowości, w poczuciu obowiązku
obywatela-ziemianina żyjącego wśród ludu, oddał się całkowicie sprawie podniesienia tego ludu
przez oświatę. Bezzenny par. Stwołowicz.
- 32) Drućkowszczyzna, Ślizieniów, par. Swojatycze.
- 33) Dębina, Wolskich, par. Darewska.
- 34) Darew, (Mierzejewskich), Kotarbińskich, parafia Darew.
- 35) Darew (Kuniewiczów), Czyżów, par. Darew.
- 36) Darew-Ustronie, Mierzejewskich, par. Darew.
- 37) Darew, (Kiersnowskich), Różańskich, par. Darew.
- 38) Dworzec, (Wereszczaków), Gnoińskich, par. Woroneża.
- 39) Feliksów, (Magnuszewskich), Wierzbowskich, par. Nowogr.
- 40) Gierdówka fol., (o'Rurka), Strokowskiego, par. Wsielub.
- 41) Gutowszczyzna, Wereschczaków par. Horod.
- 42) Gorzelnia, Kobylińskich, koło Połonki, par. Mysz.
- 43) Gosławszczyzna, Kobylińskich, par. Darew.
- 44) Giełtowicze, Dzierdziejewskich, par. Swojat.
- 45) Horodeczna, (Ablamowiczów), Abramowskich, par. Nowogr.
- 46) Horodżiłówka, (Kiersnowskich), par. Nowogródek.
- 47) Horodyszcz, (Paców), Dwór i miasteczko, po 1831 r. na skarb zabrane, (kościół parafialny po
1863 r. zabrany na prawosławie).
- 48) Horainowszczyzna, Truskowskich, par. Horod.
- 49) Horki, par. Mir.
- 50) Horodziej, Brochockich, par. Mir.
- 51) Horodziej, Marcinkiewiczów, par. Mir.
- 52) Horodziej, Bołtucia, par. Mir.
- 53) Horodziej, (Bohdanowiczów), (Niesłuchowskich), par. Mir.
- 54) Hacziszcz, Hacziskich, par. Stwołowicze.
- 55) Hacziszcz,..... Hacziskich, par. Stwoł.
- 56) Hacziszcz Szpihalskich, par. Stwoł.
- 57) Horodyszcz, Buchowieckich, par. Krzywoszyn.
- 58) Hajkowce, (Stacewiczów), Kobylińskich, par. Mysz.
- 59) Husaki, Radziwiłłów, par. Połon.
- 60) Izwa (Pawłowiczów), par. Nowogr.
- 61) Iszkoldz Witgenstejna. (Kościół parafialny, starożytny) zabrany na cerkiew po 1863 r.
- 62) Izabelin, Brzozowskiego, par. Woruń.
- 63) Jeremicze, miasteczko.
- 64) Jaroszyce, Szulakowskich, par. Starojel.
- 65) Jatra Kaszyców na skarb zabrana po 1831 r., par. Starojel.
- 66) Jasieniec, Wereschczaków, par. Horod.
- 67) Jaroszew, Bulhaków, par. Molczadz.
- 68) Januarów, Bereśniewiczów, jeszcze podówczas, gdy inni jego rówieśnicy, uganiali się po świecie
za zabawą lub posażnymi pannami, — on, właściciel pięknej fortuny, imienia, tytułu, a bogatszy
jeszcze młodością, urodą, które podnosiło staranne wychowanie, w corocznych par. Stwoł.
- 69) Janów, (Wolskich), Tarajewiczów, par. Swojatycze.
- 70) Jabłonowszczyzna, Wojnów, par. Mir.
- 71) Jastrzębi, (Rdułtowskich), Kotłubajów, par. N. Mysz.
- 72) Jedlina, Miładowskich, par. Darew.
- 73) Kunilów (Lankiewiczów), Przygodzkich, par. Kroszyn.
- 74) Klukiewiczze, (Ancutów) o'Rurków, par. Niehniewiczze.
- 75) Korelicze, Witgensteina, miasteczko, par. Niehniew.
- 76) Kuszelew, (Rajewskich), Umiastowskich, par. Nowogr.
- 77) Krynki, Lipnickich, par. Woruń.
- 78) Kotłów, (Wereschczaków), Danejków, par. Starojel.
- 79) Kosicze, (Olendzkich), par. Starojel.
- 80) Kożuchowce, (Sokołowskich), Leonowiczów, par. Starojel.
- 81) Kozlakiewiczze, (Niesiołowskich), Tarajewiczów, par. N. Mysz.
- 82) Kosicze małe, (Siemiradzkich), Mizgerów, par. Starojel.
- 83) Kawewczyce, par. Horod.
- 84) Kozłowicze, Bylczyńskich, par. Horod.
- 85) Kolpienica wielka, Seminar. Wileń., (zabrane) par. Stwołow.

- 86) Kołpienica mała, kapituły wileńskiej, (zabrana), par. Stwołów.
- 87) Kroszyn, Jurahów, kościół parafialny, Zawadzkich.
- 88) Kamionka, Dawidowskich, par. Snów.
- 89) Kamionka, Strzałków, par. Snów.
- 90) Kamionka, (Miternauskich), Hryniewskich, par. Snów.
- 91) Korzeniowszczyzna, Łopotów, par. Darew.
- 92) Krutowce, Baranowiczów, par. Horodyszcz.
- 93) Kaczany, Mackiewiczów, par. Mir.
- 94) Krzywoszyn, miasteczko. Kościół parafialny zabrany na cerkiew.
- 95) Korośna, (Danejków), Miładowskich, par. Horod.
- 96) Krasiewiczze, (Madzarskich), Tupalskich, par. Stwołów.
- 97) Lubez, miasteczko.
- 98) Lebieżany, (Wereszczaków), Baranowiczów, par. N. Mysz.
- 99) Lipa, Obuchowiczów, par. Snów.
- 100) Lipsk, miasteczko, Potockich, par. Krzywoszyn.
- 101) Lipnica, (Szymonowiczów), Jahołkowskiego, par. Krzywoszyn.
- 102) Łyczycze, Bułhaków, par. Niehniewicz.
- 103) Łahotki, Piotrowiczów, par. Nowogr.
- 104) Łopuszna, (Pileckich), Jodków, par. Starojel.
- 105) Łazowce, (Malinowskich), Dawidowskich, par. Horod.
- 106) Łachozwa, (Slizieniów), par. Mysz.
- 107) Luki W., (Seminarzyskie), skarbowe, par. Mysz.
- 108) Łowce, Lenczackich, par. Starojel. podróży zagranicznych, zwiedzał w sferze szkolnej obce instytucje, ucząc się i wynosząc stamtąd do kraju wszystko, co mu się w tym względzie stosowne było. To też zwolennicy czasów pańszczyźnianych, zdobywając go nierzadko w jego domu,
- 109) Molnicze, Ablamowiczów, par. Nowogr.
- 110) Marulin, (Puszkiniów), Tyzenhauzów, par. Nowogr.
- 111) Mołodów, (Jodków) parafia Nowogr.
- 112) Mondzin, (Ossowskich), par. Woroneż.
- 113) Maluszyce, (Dobczyńskich), Sawiczów, par. Woroneż.
- 114) Miratycze, (Niezabytowskich), Wojnów, par. Woroneż.
- 115) Miratycze, Haciskich, par. Woroneż.
- 116) Mir, miasteczko Witgensteina. Kościół parafialny zabrany na cerkiew.
- 117) Minaki, Danejków, par. Horod.
- 118) Mikulicze, okolica (Mikulskich, Kazigrodzkich), par. Horodyska.
- 119) Miratycze, Baranowiczów, par. Horodyska.
- 120) Michnowszczyzna, Chmielewskich, par. Horodyska.
- 121) Mielachowicze, (Jazwińskich), Trychucków, par. Stwoł.
- 122) Malew, Radziwiłłów, par. Snowska.
- 123) Michałów, (Ancutów), Bułhaków, par. Stwołów.
- 124) Markowszczyzna, par. Darew.
- 125) Mysz Stara, (Kaszyców), Dąbrowskich, par. Stwołów.
- 126) Mysz Nowa miasteczko, (Sapiehów), od 1831, skarbowa oddana Sztoldenrowi. Kościół parafialny, cerkiew.
- 127) Mobilany, Baranowiczów, par. Mysz.
- 128) Molnicze, Ablamowiczów, par. Nowogr.
- 129) Morozowicze, Jasińskich, par. Nowogr.
- 130) Metropolia, pod Nowogródkiem.
- 131) Niechniewiczze, hr. Chreptowiczów, par. Loco.
- 132) Niechniewiczze, miasteczko. Kościół par. zabrany.
- 133) Niesutycze, Ablamowiczów, par. Nowogródek.
- 134) Niehrymów, (Soroków), Huwalda, parafia Nowogródek.
- 135) Nianków, (Wojniłowiczów), Dybowskich, par. Niehniew.
- 136) Nasiejki, Czeczotów, par. Horodyszcz.
- 137) Niedźwiadka, Domejków, par. Mir.
- 138) Nowosady, Horchladów, (Laskowiczów), Glindziczów, par. N. Mysz.
- 139) Narucewicze, Czapskich, par. Snów.
- 140) Oćminów, Protasewiczów, par. Wsielub.
- 141) Ostaszyn, Magnuszewskich, par. Niechn.
- 142) Ostaszyn, Czeczotów, par. Nowogródek.
- 143) Ostaszyn, Grabowskich, (kościół kalwiński), par. Mir.

- 144) Ostaszyn, Bułhaków, parafia Mir.
- 145) Ogrodniki, Czołkiewiczów, par. Nowogródek.
- 146) Obrynka, Kaszyców, par. Lubez.
- 147) Ozierany, Domejków, par. Starojel.
- 148) Ostrówki, Protazewiczów, Bułhaków, par. Mir.
- 149) Okopy, (Michałowskich), Kalinkiewiczów, par. Horod.
- 150) Oboliszki, Truskowskich, par. w kole dziatwy wiejskiej, wśród wykładu lekcyi, lub dla niej urządzonej zabawy, ruszając ramionami przezywali go maniakiem. Jednem słowem, z małymi wyjątkami, praca nad oświatą ludu, stała się powszechną, — stała się modną; i nie wiele Horod.
- 151) Odachowszczyzna, Rdultowskich, par. Darew.
- 152) Ostrów, miasteczko, dwór, par. Krzywoszyn.
- 153) Półbrzeg, (Brochockich), Dybowskich, par. Wsielub.
- 154) Pieresieka, Ablamowiczów, par. Nowogródek.
- 155) Piotrowicze (Rewieńskich), Kaleckich, par. Stwoł.
- 156) Pucewicze, Terajewiczów, par. Nowogródek.
- 157) Plebania. Probostwo nowogródzkie, par. Nowogródek.
- 158) Połuże, Bogdaszewskich, par. Nowogródek.
- 159) Płużyny, Wereszczaków, par. Woroncza.
- 160) Pieszczanka, Niezabytowskich (na skarb zabrana po 1831 r.), par. Woroncza.
- 161) Puziniewiczze (Rajeckich), Umiastowskich, par. Mir.
- 162) Purniewiczze, (Sucharzebskich), Swieżyńskich, par. Horod.
- 163) Poruczyn, (Kobylińskich), po 1863 r. zabrany, par. Horod.
- 164) Proście, Protasewiczów, par. Mir.
- 165) Przewłoka okolica, (Olizarowiczów, Terajewiczów, Sidorowiczów, Czarnuszewiczów), parana Horod.
- 166) Penczyn, (Rymszów), Przygodzkich folw. par. Połon.
- 167) Połonka, Kobylińskich. Kościół po Dominikański, cerkiew, par. N. Mysz.
- 168) Pacyniany (Bohdanowiczów), Moniuszków, par. N. Mysz.
- 169) Postojka, Ślizieniów, par. Snów.
- 160) Piłatowicze, (Sokołowiczów), par. N. Mysz.
- 171) Podlesiejki, Sokołowiczów, par. Swojat.
- 172) Plebania Snów, par. Snów.
- 173) Paradniewiczze, Guzelfów, par. Starojel.
- 174) Połoneczka, ks. Radziwiłłów, kościół parafialny.
- 175) Ruta metropolitalna, par. Nowogr.
- 176) Rutka, Szpihalskich, par. Nowogr.
- 177) Rutka, Borzobohatych, par. Nowogr.
- 178) Ruta Soroków, par. Nowogr.
- 179) Rowiny (Kobylińskich), Mierzejewskich, par. Woron.
- 180) Rajca, (Rajeckich), Wereszczaków, par. Woron.
- 181) Rusocin, (Bohdanowiczów), Mierzejewskich, par. Woron.
- 183) Radziuki, Jezierskich, par. Starojel.
- 184) Rudawka, Korbutów pod Nieświeżem, par. Iszkoldź,
- 185) Rzepichów, Tyzenhauzów, Potockich, par. Krzywoszyn.
- 186) Romaszki, Ralcewiczów, par. Darew.
- 187) Sienna, (Obuchowiczów), Pusłowskich, par. Nichn.
- 188) Sienieżyce, Wolków, par. Nichn.
- 189) Sieciewin, (Lipnickich), żydowski, parafia Nowogr.
- 190) Sieciewin, folw. plebanii starojel. zabrany, par. Starojelna.
- 191) Starojelna, (Chlewińskich), Gersona Cyryńskiego, par. Starojelna.
- 192) Starojelna, kościół paraf. zabrany po 1863 r. na cerkiew.
- 193) Smolczyce, Wereszczaków, par. Nowogr.
- 194) Serwecz, Niesiołowskich, par. Woron.
- 195) Siohda, folw. (Rajeckich), Wereszczaków, par. Woron.
- 196) Szczonów, (Markiewiczów), Mikulskich, par. Woron.
- 197) Sworotwa, Niezabytowskich, par. Starojel.
- 198) Starodworszczyzna, Obuchowiczów, par. Horodyszcz.
- 199) Skrobów górny, Terajewiczów, par. Połon.
- 200) Skrobów dolny, (Bielikowiczów), Danejków, par. Horodyszcz.
- 201) Skrobówek, (Turczyłłów), Ancutów, par. Horodyszcz.
- 202) Starzynki, (Olszewskich) par. Horodyszcz.

- 203) Starzynki, (Siemiradzkich, Malinowskich), Wierzbowskich, par. Horodyszcz.
- 204) Sawicze, Naruszewiczów, par. Zadwieja.
- 205) Studzionki, Radziwiłłów, par. Iszkoldź.
- 206) Stwołowicze, miasteczko i dwór Radziwiłłów, par. Stwoł.
- 207) Stwołowicze, kościół par. i lozet zabrany po 1863 r. na cerkiew.
- 208) Saczywki, (Domejków), Jezierskich, par. Stwoł.
- 209) Stajki, Puszkiniów, Kobylińskich, par. Kroszyn.
- 210) Samotka, Ślizieniów, par. Swojat.
- 211) Snów, (Rdułtowskich), Hartingów, par. Snów.
- 213) Snów, kościół parafialny i plebania zabrane na prawosławie po 1863 r.
- 214) Swojatycze, Czapskich, par. Swojat.
- 215) Swojatycze, kościół paraf. i plebania zabrane po 1863 roku.
- 216) Sokołów, Sokołowskich, par. Starojel.
- 217) Szczorse, Chreptowiczów, par. Nichn.
- 218) Stary dwór, (Jurahów), Zawadzkich, par. Kroszyn.
- 219) Suchorzebszczyzna, Ostromęckich, par. N. Mysz.
- 220) Skarczew, folw. plebanii kroszyńskiej, par. Kroszyn.
- 221) Sulatycze, (Jazwińskich), Trychućków, par. Nowogr.
- 222) Sadków, (Sadkowskich), Czernika, par. Starojel.
- 223) Turzec, Chodkiewiczów miasteczko, par. Mir.
- 224) Tuhanowicze, (Wereszczaków), Tuhanowskich, parafia Woroneża.
- 225) Tracewicze, (Rymszów), Przygodzkich, par. Połon.
- 226) Torczyce, Rudzińskich, par. Stwoł.
- 227) Torczyce, folwark plebanii stwołowickiej, par. Stwoł.
- 228) Tarejki, (Przygodzkich), Kobylińskich, par. Snów.
- 229) Teofilin, (Czyżów), Łopotów, par. Darew. przyjaciela, którego dom w Stajkach od lat wielu, był dla mnie jakby domem własnym, skąd wyniosłem sporą wiązkę wspomnień uzbieranych w najmiłszej życia dobie, na niwie serdecznych stosunków. W chwilach wolnych zwiedziłem Albę, dawny zwierzyniec i letnią rezydencję ks. Karola (panie kochanku)
- 230) Uciecha, (Ablamowiczów), Ancutów, par. Mir.
- 231) Ułanowszczyzna, ks. Radziwiłłów, par. Połon.
- 232) Użanka, Korbutów, par. Połon.
- 233) Wsielub, o'Rurków, par. Wsielub. 234) Wsielub, kościół parafialny i plebania.
- 235) Weresków, (Dybowskich), Brochockich, par. Wsielub.
- 236) Wołkowicze, Wołków, (Muchlińskich), par. Nowogr.
- 237) Wołca, (Rewińskich), Gnoińskich, par. Nowogr.
- 238) Wilatów, Karpowiczów, par. Mir.
- 239) Wałówka, klasztor i kościół Dominikanów, zabrany 1833 r. na skarb.
- 240) Wierzbnow, (Pileckich), Palczewskich, par. Starojel.
- 241) Woroneża, (Niesiołowskich, Kobylińskich), Mierzejewskich, par. Woron.
- 242) Woroneża, kościół parafialny i plebania.
- 243) Wolna, Ślizieniów, par. Połon.
- 244) Wolna, klasztor i cerkiew Bazylianów, zabrane na prawosławie.
- 245) Waksztewlany, Mackiewiczów, par. Stwoł.
- 246) Wierzejszczyzna, (Kaszyców), Kozarynow, par. Starojel.
- 247) Waszkowce, Bochwiców, par. Darew.
- 248) Wiedźma, Łopotów, par. Darew.
- 249) Zubkowo okolica, par. Nowogr. 250) Zarój, (niegdyś ks. Glińskich, Puszkiniów), Piotrowiczów, par. Starojel.
- 251) Zazierze, Baranowiczów, par. Horodyszcz.
- 252) Zamirze, Witgenstejna koło Mira, par. Mir.
- 253) Zaosie Chmielewskich, par. Stwoł.
- 254) Zaosie okolica, (Stypułkowskich, Terajewiczów), par. Stwoł.
- 255) Zadwieja, kościół parafialny, po 1863 r. zabrany na cerkiew.
- 256) Zadwieja, Mierzejewskich, par. Zadwieja.
- 257) Zakliczyn, Dzierdziejewskich, par. Darew.
- 258) Zańkiewicze, folw. Rdułtowskich, par. Snów.
- 259) Zarzecze, Porcyanków, par. Darew.
- 260) Zabłocie tatarów Zabłockich, par. Darew.
- 261) Zamosze, (Szpihalskich), Wolskich, par. Stwoł.
- 262) Zausze, Morawskich, Witgenstejnów-

263) *Żuchowice małe, Ablamowiczów, par. Polon.*
264) *Żelaznica, Wolskich, par. Stwoł.*
265) *Żuchowice wielkie, Radziwiłłów, parafia Mir.*

brakowało, aby Ruś litewska pozyskaną została na zawsze dla Polski. Święta wielkanocne tym razem przepędziłem w Nieświeżu. Pociągnął mnie tam pobyt czasowy dla kuracji rodziny której pyszna aleja z miasta prowadzi; zwiedziłem zamek nawpół opustoszały, którego podówczas liczne komnaty, obszerne sale, gdym je przechodził, zaludniały jedynie stare portrety antenatów, wśród głębokiej ciszy co się rozsiadła w tem pustkowiu, jakby na cmentarzu minionej wielkości. Byłem i w ich grobach, w podziemiach wspaniałej fary.

W czasie mojego pobytu w tem mieście, wybuchnął był pożar w klasztorze OO. Bernardynów. Było to w wielką sobotę. Palił się już dach klasztorny tuż obok kościoła. Już płomienie sięgały kościelnego dachu. Ratunek w takiej wysokości przy braku straży ogniowej i potrzebnych przyrządów, był prawie niepodobny. Tłoczono się wśród zamieszania, krzyku, rozpaczonych zakonników, ludu; — lecz nikt nie umiał zapobiedz aby się kościół nie zajął; nikt się nie ośmielił wejść na poddasze, z którego dym już się dobywał.

Gdy się tak dzieje, wpadam do środka, aby raz jeszcze rzucić okiem na świątynię i na grób Pański, co się wkrótce stać miał pastwą płomieni. Na stopniach grobu, klęcząca, owiana dymem, postać niewieścia, rozkrzyżowana, zrozpaczona; głośnym płaczem wołała do nieba o ratunek! Jakby iskrą elektryczną tknięty, zrywam się wołam za sobą pierwszego chłopaka, który mi się nawinął, wpadam z nim przez kłęby dymu na chór ztamtąd na poddasze, i postrzegłszy, że się dach jeszcze nie pali, a tylko Płomyki ze spodu, zaczynają go z lekka obwijać, i że jest nadzieja ratunku, nawołuję przez okno: wody! robić łańcuch! tu, do mnie! bywaj! I oto, w mgnieniu oka, nadzieja ożywia tłumy, tworzy się łańcuch podają wodę wpada kilku śmielszych ludzi na poddasze, za nimi inni, i niespełna w kwadrans, ogień ugaszony, uratowany kościół!

Można sobie wyobrazić moją radość i com uczuł, gdy wieczorem, w czasie rezurekcyi, w tym samym kościele, zagrzmał organ i ozwał się z piersi całego ludu, ten tak nam miły śpiew: „Wesoły nam dziś dzień nastał! **)

Płakałem jak dziecię z radości...

*) Kościół ten po 1863 roku, zabrano na prawosławie.

Po powrocie ze świąt, zajęła mnie praca nad obrazem św. Dominika, zamówiona dla kościoła. Posłużył mi do niej szkic głowy tego świętego, zrobiony niegdyś w galerii Borghese, w Rzymie z Tycjana. W antr-aktach tej roboty pisałem do dzienników; wieczory zaś spędzałem na przechadzkach z kolegami lub uczniami, których celem była najczęściej góra zamkowa. Jej stare baszty, jej pyszne widoki, w których się wzrok gubił, a duch unosił, miały dla mnie urok niewysłowiony. Wieleż to tam pomysłów, życzeń, nadziei, wiele zamiarów się zrodziło, wśród tej cichej a tak wymownej ustroni!...

Tutaj to powstał, pamiętam to dobrze, zamiar, którego spełnienie, długo tamowane przeszkodami, tyle miało z czasem przynieść dobrych skutków, i być źródłem niewymownej dla ludzi zacnych pociechy: zamiar założenia w Nowogrodzie biblioteki publicznej i czytelnicy.

Patrząc z góry, na liche domki, u jej podnóża rozsiane, na krzątające się wśród nich biedactwo, naturalnym lotem myśli, dumaliśmy nieraz, nad dolą tych ludzi, nad życiem istot skazanych na podwójną nędzę: fizyczną i moralną. I rzeczywiście, opłakany stan intelektualny miejscowej ludności, zostawionej swemu losowi, jakby na szyderstwo, tuż obok kolebki, gdzie zabłysło wspaniałe światło na chwałę narodu i ludzkości, dopominał się natrętnie naprawy. Niemniej też brak zasobów w zakresie ojczystej literatury i historii, wśród uczących się w świeżo utworzonym gimnazjum młodzieży, domagał się zaradzenia i pomocy. A więc, po orozumieniu się z osobami którym to nie było obojętnem, wygotowałem odezwę do obywatelstwa, motywując w sposób przekonujący, potrzebę podobnej instytucji. Osnowa tej odezwy, mniej więcej była następująca. Słyszymy nieustanne narzekania, na niski poziom wykształcenia i moralności, a raczej na brak ich zupełny, wśród mieszczaństwa, rzemieślników i różnego stanu mieszkańców tego miasta. Słyszymy skargi na przedajność, złą wiarę, demoralizującą urzędników. Narzekania słuszne. Ludzie ci nędzą zgnieci,

rozpusztą spodleni, nie znają słodyczy życia rodzinnego, nie znają korzyści oświaty, nie znają szlachetnej rozrywki. Dniem zajęci pracą, wieczory i noce spędzają na grze, lub pijaństwie, skąd przynoszą i szczepią wśród swych rodzin zepsucie. Ich żony zostawione same, chwile wolne od zajęć domowych, spędzają na niezaszczytnem uprawianiu komerażów, lub na lekturze rzeczy, które od obcych przyniesione, budzą w nich pragnienia nie licujące nieraz z zacnością żon i matek, z czystością domowego ogniska.

Podnieśmy ich z tego poniżenia, dajmy im pokarm duchowy, zdrowy i posilny, zdolny w nich zbudzić poczucie i pragnienie prawdziwego dobra, prawdy i piękna. Zróbmy to, co zrobili inni, co dziś górują oświatą i dobrobytem: dajmy tym ubogim w duchu, dobrą książkę. W miejscu obcego nam klubu którego istnienie w murach dawnej szkoły, jest dla nas hańbą, założmy bibliotekę otworzmy czytelnię. Przyjdzie czas, że ci sami nawet, co dziś są temu niechętni, co w braku innego ujścia dla wymagań chciwej wrażeń natury, tracą marnie zdrowie i pieniądze, przyjdą do nas, aby u czystego źródła zaczerpnąć wiedzy i użyć rozrywki godnej człowieka.

Wieluż to się nurza w brudach życia, dla tego tylko, że braknie im po pracy schronienia czystego, na długie wieczorne godziny.

Dajmy więc młodzieży szkolnej, spragnionej wykształcenia godnego przyszłych obywateli, sposobność dopełnienia tego w dziełach ojczystej literatury, czego w szkole rządowej znaleźć nie mogą. Dajmy polskiej niewieście, tej Piastunce przyszłości, w miejscu trującej ją dotąd lektury, książkę, co ją nauczy miłości kraju, obowiązków żony, matki, obywatelki. Dajmy rzemieślnikowi możliwość oświecenia umysłu, zdobycia tak potrzebnych dla niego wiadomości; dajmy nareszcie tym wszystkim, którym los twardy nie dozwolił korzystać z dobrodziejstw szkoły, sposobność powetowania tych braków. Niech te mury co do niedawna, były siedliskiem nauki, z których wyszedł największy wieszcz i geniusz narodu, staną się znów przybytkiem, skąd światło przemknie w najciemniejsze zakątki tego grodu i okolicy. Nieśmy światło!

Odezwa ta nie pozostała bez skutku. Przedstawił ją Wł. Borzobohaty w Wereskowie, w dniu imienin marszałka Brochockiego, szerokiemu kołu zgromadzonej szlachty. Ziarno padło na przygotowaną glebę. Projekt założenia biblioteki i czytelnicy został przyjęty.

W kilka dni wezwany zostałem do przedstawienia planu i utworzenia komitetu, celem obmyślenia środków ku zebraniu potrzebnych funduszy. Winienem tu powiedzieć, że w zawiązku samym był wielce pomocnym tenże sam Borzobohaty, ofiarowaniem dla biblioteki, kilkudziesięciu cennych dzieł, naukowych i literackiej treści.

Tak więc, w niespełna kilka tygodni, zamiar powzięty w ciszy wieczornej, u stóp starych baszt zamkowych, stał się głośnym w powiecie i kraju. Opowiedziały o nim z uznaniem dzienniki, nie szczędząc pochwał autorom. I stało się, co się dzieje u nas zawsze; sprawa uchwalona, ogłoszona i powołana do życia, podjęta wnet została gorąco.

Sypnęły się składki, w książkach, pieniądzech tak iż w przeciągu kilku tygodni, można było już, otworzyć dla użytku publicznego wypożyczalnię z biblioteki, która do 2000 dzieł liczyła.

Jako pierwszy dygnitarz powiatu kuratoryę honorową przyjął zacny marszałek Brochocki, ofiarując znaczną kwotę na pierwsze wydatki. Na wice-kuratora wybrano ks. Ejmonta, kasyerem został Dr. Karpowicz, zarząd administracyjny oddano ks. Baszkiewiczowi, mnie poruczono dyrekcję i czynność bibliotekarza. Wszystko zaś co w powiecie miało kwalifikację, lub pretensję do dobrego tonu i znaczenia, uważało za obowiązek popierania i wpisania się na członka, tej nowo utworzonej instytucji.

Był to więc w obec klubu nacisk opinii publicznej, z którym się liczyć należało, który, jeżeli nie zwyciężył na razie, to zachwiał silnie jego stanowisko. Szło tu już nie tylko o egzystencję, lecz i o lokal przezeń zajmowany, do którego na mocy kontraktu zawartego z rządem miał prawo*.

Gdy więc tak się waży losy biblioteki i klubu, otrzymuję pismo urzędowe od dyrektora publicznej biblioteki w Petersburgu, barona Korfa, który zawiadomiony przez gazety o założeniu biblioteki w Nowogródku, wzywa w sposób wielce uprzejmy do stosunków jakie się zwykle praktykują w tego rodzaju instytucjach. Wiadomość o tak zaszczytnem uznaniu usiłowań naszych, w wysokich sferach stolicy, — jak piorun przerażała klubowców, a co ważniejsze, długo zwlekane pozwolenie gubernatora w ślad za tem spowodowała. Jednym słowem, ze wszech stron wionął wiatr pomyślny. I oto po

niedługim czasie, klub się zachwiał podupadł, a nareszcie upadł. Zwyciężyliśmy. Bo nie tylko klub został rozwiązany, lecz i lokal klubowy oddany bibliotece, z upokorzeniem przeciwników, do których trzeba wyznać, kilka poważnych osobistości należało.

Pozostało więc już tylko, zająć się urządzeniem stosownem lokalu, co też wkrótce ku zadowoleniu ogólnemu dokonaniem było. Ogłoszonym został abonament dla mieszkańców wsi i miasta, z uwzględnieniem uczącej się młodzieży i ubóstwa, których uwolniono z opłaty; zaabonowano pisma peryodyczne, których nie mało udzielały redakcyje bezpłatnie. Członkowie liczący się do założycieli, zobowiązali się wносить corocznie rs. 10, na co otrzymywali legitymacyjne karty. Zaczyna zaś obywatel Bilczyński z Kozłowicz, ofiarował zbiór kilkuset cennych dzieł*). Kirkor nadesłał swe wydawnictwa z Wilna, za nimi poszli inni.

*) Były to mury rządowe po Dominikanach zabrane.

W pokoju przyległym do biblioteki, urządzono czytelnię otwartą bezpłatnie, od godziny 9tej zrana, do 10tej wieczór, z przerwą dwugodzinną w porze obiadowej. Sobota przeznaczoną była dla wydawania książek gymnazyalistom, od których z przeczytania dzieł ważniejszych wymagano krótkiego sprawozdania i świadectwa z dobrego postępu w nauce.

X.

Zdawałoby się więc, że sprawa której pobudki były czyste, bezinteresowne, a rezultaty widoczne; która nie tylko dla miejscowej ludności pożytek, ale stawszy się głośniejszą była pobudką dla innych, zdawałoby się więc, że sprawa taka nie mogła, nie powinna była spotkać w kraju, wśród swoich, opozycji, a co gorsza, lekceważenia. Stało się inaczej. Powiat nowogródzki, jak każde zbiorowisko społeczne, z natury rzeczy, miał też swoje koterye, co spoglądały na się z ukosa. Jak zawsze i wszędzie, gdzie skrępowana prasa nie mogła być rzetelnym wyrazem opinii; sprawa choćby najlepsza, cierpieć nie raz musiała, dla nielubionej osobistości. To też i w tem zdarzeniu podobnie się stało.

Było pewne kółko złożone z maruderów dawnego autoramentu szlachty, któremu ja i marszałek nie byliśmy sympatyczni. Dlaczego? — nie wiem. (Może dlatego, żeśmy w podniesieniu ludu, widzieli główną dźwignię pomyślności kraju) dość, że wszystko co przez nas, lub za naszą inicjatywą poczętem lub dokonaniem zostało było przez nich wyśmianem. Bo trzeba wiedzieć, że to kółko składali ludzie, wyćwiczeni w wyszukiwaniu zabawnej strony życia ludzkiego; że tam od dawna było ognisko, gdzie się kuły farsy, rozlicznej treści, często zabawnej rzadko szlachetnej. Otóż i w tem zdarzeniu, które się stało z nadto głośniejszym, nie odmówili sobie zadowolenia, aby spróbować rzucić śmieszność na rzecz poważną, usiłując ściągnąć ją do poziomu farsy.

Czy im się to udać mogło, i czy to było godziwem, w danych okolicznościach, zostawiamy to rozważać czytelnika. Nie wymieniamy nazwisk, bo jedni stanęli już przed sądem Bożym, inni dobijają do brzegu. Współcześni się domyślą, następcy zaś nasi, lepiej by o nich nie wiedzieli. Wystarczy tylko ta wzmianka, aby pokazać tym, co śledzą drogi ducha ludzkiego, i na tych drogach radzi pracują, jakie to niekiedy przechodzić musi koleje społeczna robota w kraju, którego stosunki są anormalne.

Oto co zrobili.

List od bar. Korfa był apokryfem, był ich dziełem. Wywołana tym listem odpowiedź marszałka, jako honorowego kuratora biblioteki, spowodowała korespondencyję, z której się wykazała cała ta nieczna robota, której celem było skompromitowanie twórców tej nowej instytucji, zrobienie przykrości tym, którzy się nią szczególnie zajmowali.

I rzeczywiście co do drugiego, nie chybiało. Przykreść była tem większą, że jej pobudki były nikczemne, i że dopuścili się tego ludzie postawieni dość wysoko w hierarchii społecznej a co najważniejsza Polacy.

Wszakże, jakkolwiek ta sprawa osobiście dotknęła tych, przeciw którym była wymierzona, w skutkach swych pośrednich, stała się pożyteczną, gdyż mniemana odezwa bar. Korfa, w Gubernii i powiecie znana jako rzeczywista, przyczyniła się do większego zainteresowania się publiczności losami biblioteki, i do pobłażliwego jej traktowania przez rządowe władze. Odmówiono nam tylko upoważnienia do zawieszenia nad drzwiami biblioteki tablicy z napisem „Biblioteka i Czytelnia”.

XI.

Śród takich to emocji i zajęć upłynął mi czas do wakacji. Spędziłem je w Gródku hr. Tyszkiewiczów, nieopodal od Mińska. Zaproponowano mi, zrobienie tam kopii, z obrazu Mülera „Taniec weselny w okolicach Neapolu”. Przyjąłem tę propozycję i em chętniej, żem się już zapoznał z manierą tego mistrza ekspresji i kolorytu, z jego obrazu „Appel de Condamnes” który kopjowałem w Paryżu. Wabił mię przytem i kontrast pomysłu. Znałem też i tę oryginalną i prawdziwie pańską rezydencję. Położona na pochyłości wzgórza, u stóp ciemnego boru, zstępującego nad brzegi jeziora, w niewielkim pałacyku, w rodzaju Cottage'ow angielskich, mieściła podówczas w sobie, oprócz pysznych albumów, akwarel, rysunków, zgromadzone arcydzieła najpierwszych mistrzów nowożytnej sztuki, jak H. Vernet'a, Gudin'a, Mülera, Verbunkowena, Calama, Ridel'a, autora Rzymianki wstępującej do kąpeli, na tle utkanem z blasków słonecznych i cieniów. Jednem słowem, można tam było spotkać niejedno, co świat zajmowało w dziedzinie piękna, a co smak wykształcony, miłość sztuki i fantazyja artystyczna wielkiego pana, znanego z hojności w kraju i poza krajem, zgromadzić była w stanie. A gdy się doda, że to wszystko otacza dokoła piękna przyroda i cisza właściwa puszczy litewskiej, że się tam czuło dobrze i swobodnie, to łatwo sobie wyobrazić, jak miły był tam pobyt dla każdego, kto życie wiejskie, skupienie ducha i podniosły estetyczny horyzont, przekładał nad gwary miasta. To też kilka tygodni tam spędzonych, śród miłej pracy i niemniej miłych wycieczek, których celem najczęściej była uroczna Cholawszczyzna *) słynna podówczas świętością miejsca, która pobożnych tłumy ściągala, do najmielszych w owym czasie zaliczam.

Po powrocie do Nowogródka, zmieniłem mieszkanie. Nadarzyła mi się sposobność znalezienia takiego właśnie, o jakim zawsze marzyłem: w ciszy i pod sklepieniami murów klasztornych. W tym to bowiem czasie, z rozporządzenia rządu, część murów po-Dominikańskich oddaną została plebanowi Nowogródzkiemu, który, ze względu na dogodność mieszkańców, gdy inne kościoły zostały zamknięte, przeniósł nabożeństwo i mieszkanie swoje, z odległej od środka miasta fary, do tych murów. Otóż, z dawnej klasztornej biblioteki i skarbca zrobiono pomieszkanie, o dwóch pokojach z przedpokojem, i te właśnie zajmłem.

*) Po 1863 r. zabrana na cerkiew.

W istocie, trudno było o pomieszkanie bardziej odpowiednie memu usposobieniu o pracownię, co by mogła więcej podnosić ducha. Jedną ją tylko ściana dzieliła od kościoła. Na dole była zakrystya, a tuż obok pod kościołem grobowe podziemia. Okna z jednej strony dawały widok na stare lipy klasztorne ogrodu z drugiej na mury, gdzie były dawne szkoły *), (z których wyszedł Mickiewicz). Na przeciwnym zaś końcu długiego korytarza, przy którym mieszkali wikaryusze, a którego okna wychodziły na dawny wirydarz miał swe pomieszkanie pleban, zacny ze wszech miar ks. Ejmont. Była to więc kwatera jedyna w swoim rodzaju, co mieściła w sobie wszystko, czego tylko pragnąć mogła dusza stęskniona do spokoju i pracy. I zaprawdę, należała mi się ta cicha ustron po długiem kołatanu się na falach życia ...

I czemuż tak krótko cieszyć się nią miałem!

Zawód, jeżeli go tak nazwać można, artysty malarza owej epoki, który czuł w sobie choćby odrobinę iskry Bożej, nie do najwdzięczniejszych zaliczać było można. Był to bowiem jeszcze czas w którym nie przewidywano nawet zarania śród naszej społeczności, tego świetnego rozwoju sztuki, jaki miał wkrótce zapanować. Ani się znano, ani ubiegano o znajomość i o posiadanie jej dzieł. Portret mniej lub więcej udatny, i podobny, oto wszystko co wówczas zadowolić mogło rzadkich miłośników malarstwa. To też artysta, jeżeli miał powodzenie, zawdzięczał je częściej przymiotom swym osobistym jako człowiek, niż artystycznym jako malarz. Dowodem tego śród innych był prof. uniwersytetu Wileńskiego Rustem. Niebezpieczne to wprawdzie było powodzenie, jeżeli go nie salwował, brak powierzchownych zalet jak to właśnie w nim miało miejsce.

*) Zburzone po 1863 r. Kościół i klasztor fundował hetman Chodkiewicz 1624 r.

Dla duszy wrażliwej, dla wyobraźni ognistej, dla serca bijącego ku wszystkiemu co piękne, serca, co nie zna obłudy i wierzy, jakaż bo to niebezpieczna żegluga, po tych łaknących przestworzach sfer wielkoświatowych, których powierzchnia nie rzadko odbija niebiosą, a głębia kryje skały lub

mielizny... A tylko tam podówczas sztuka miała lub mieć mogła przytułek. Jakiej że to trzeba było nieraz siły woli, a jeszcze więcej dumy szlachetnej, jakiej miłości sztuki, aby w tych pysznych salonach, tak chętnie otwieranych na przyjęcie młodego artysty, gdzie znudzone lub wystygłe serca, rade były się ogrzać przy ogniu poezji lub sztuki, w tych rozkosznych budoarach owianych atmosferą, co upaja zmysły — nie potknąć i nie zbłądzić wśród ich półświatel i półcieni...

XII.

Pierwszą moją pracą artystyczną, z tego czasu, był obraz Ś. Stanisława Kostki, patrona uczącej się młodzieży, ofiarowany przezemnie dla ołtarza gimnazistów. Zrobiłem go podług kopii z Ribery (Espagoletto) malowanej przeze mnie w Rzymie, w galerii Borghese. Za tem poszło malowanie obrazu do ołtarza ś. Filomeny, zamówionego przez mieszkańców miasta. W antraktach tej roboty, kierowałem odnowieniem kościoła; a gdy w malowaniu wielkiego ołtarza, malarz do tej roboty użyty nie wywiązał się z zadania, i niełatwym się okazał do kierowania, sam własnoręcznie wymalowałem cały ołtarz naprzeciw ambony. W tym to czasie ustawiono nowy pyszny organ przywieziony z Rajcy, dla której był zrobiony anim nie zabrano tam świeżo wzniesionego pięknego kościoła na cerkiew. Było to znakomite dzieło mego imiennika Benedykta Pawłowicza. Jemu też i dostał się zaszczyt powiększenia i ustawienia go w Nowogródku, na parę lat przed śmiercią.

Wśród takich to zajęć minęła jesień — nastała zima. Był to czas, w którym nie tańczono, noszono żałobę; był to początek nowych naszych nieszczęść! Fatalne strzały warszawskie do bezbronnego modlącego się ludu, odbiły się echem boleści w sercach całego narodu. Tymczasem sprawa włościańska postępowała raźnie, komitety w guberniach i Petersburgu zajmowały wszystko co kraj miał znakomitszego wśród obywateli i ludzi nauki. Rząd wobec zbliżającej się chwili wyzwolenia wyszukiwał i wzywał ludzi co się poczuwali i znani byli jako kompetentni. Sywały się projekty; — udzielano mi ich i nadsyłało ze wszystkich stron. „Kilka Słów Litwina” dały mi poznać jako bezstronnego, chociaż gorącego tej sprawy szermierza. I oto pracownia moja stała się wkrótce punktem zetknięcia dla wszystkich co się tem zajmowali. A tymczasem, młodzież szkolna ochoczo się uczyła; czytelnia była przepełniona; wyludniły się szynki i karczmy w mieście i okolicy. Na wsi zaś, stosunek dworu do chaty wieśniaczej, ulegając pomyślnej zmianie, stał się miarą obywatelskiej zasługi. Jednym słowem, praca na polu odrodzenia długo tamowana, zapoznawana, zaczynała być powszechną.

Pewnego wieczora wśród ciasniejszego kółka, które zwykle otaczało marszałka, zawiązała się rozmowa o nastroju ogólnym społeczności; a następnie, gdy codzienne życie w zwykłej swej kolei wymagało zasobów i karmi aby niebyło jałowem — nawet wśród chwil poświęconych rozrywce, o sposobie spędzenia długich zimowych wieczorów.

Jak więc, i czem zająć publiczność? gdy nie tańczono, a gra hazardowna w karty wygnana. Jak przepędzić długie wieczory w towarzystwie, któremu nie brakło młodzieży, i wykształconych ludzi płci obojej? która czuła w sobie kipiącą życia energię, a gry niewinne w sąsiada lub cenzurowanego już jej nie wystarczały? Zaproponowano teatr amatorski. Myśl ta rzucona na wieczorze poruszyła wszystkich i wszystkim się podobała. Utworzono komitet pod prezydencją marszałka, który też wnet sporą kwotą składkę otworzył, i oto znowu przypadł mi zaszczyt być dyrektorem, dekoratorem, a gdy tego wypadła potrzeba, nie rzadko i aktorem nowogródzkiej sceny. Nie brakło więc zajęcia, a gdy się jeszcze do tego doda: żeńską pensję szkółkę niedzielną, szkółkę dla żydów, którzy się o nią dopominali z tytułu iż się czuli być Polakami, nareszcie gimnazjum, to zaprawdę, nie trudno sobie przedstawić, jaki zapanował ruch w starym grodzie Mendoga, i jak się w nim podniósł poziom usposobienia i nastroju jego mieszkańców.

Rozumie się, że wszystkie te prace i obowiązki, z wyjątkiem rządowego gimnazjum, ja i moi koledzy spełnialiśmy bezpłatnie. Co zaś do teatru, to pomimo że malowanie dekoracji w sali nieogrzejanej, i zimowej porze, przedstawiało nie mało trudności i narażało zdrowie, z początkiem karnawału został już otwarty komedya Korzeniowskiego „Panna mążatka”.

Powodzenie przewyższyło nadzieje. Panie odegrały swe role jak rutynowane artystki. A więc poszły zatem: „Zemsta”, „Dożywocie”, „Nikt mnie nie zna”, Fredry; — „Majątek albo imię”, Stacya w Hulczy”, „Odludki i Poeta”, Okrężne ze śpiewkami i tańcami”, itp. Nie brakło też i scen zakulisowych, których

treść nie ustępowała nieraz sztukom przedstawianym na scenie. Słowem, powodzenie było znakomite pod wszelkimi względami, a imiona pań i panów którzy dlań nie mało trudów i czasu poświęcili, na długo pozostaną w pamięci*).

To też rozgłos powodzenia nowogródzkiej sceny na którą się składały nie tylko talenta ale i wdzięki nadobnych Nowogródzianek, był tak szeroki, że zjeżdżano się do Nowogrodka z sąsiednich powiatów, a natłok przyjezdnych zdarzał się tak wielki, że zajazdy nie mogły dość nastarczyć kwater, których ceny dochodziły cyfr bajecznych. Rozumie się, że bilety zamawiano o wiele dni naprzód.

*) Oddając co się komu należy, nie można tu nic wspomnieć Bronisława Narbuta, którego talent i dobre chęci, przyczyniły się wiele do powodzenia.

To też i dochód z teatru, dał wkrótce możność wniesienia 400 r. s. na pokrycie kosztów odnowienia kościoła oraz sporą kwotę na zapomogę dla uczniów niezamożnych.

XIII.

Tak przeszła zima, nastał rok 1861, minęły kontrakty które świetnością przewyższyły wszystko, co widziano tam dotąd. I oto, co wkrótce o tem wszystkim mogłem donieść krajowi, w artykule wydrukowanym w numerze 4-tym „Kuryera wileńskiego” 1861 roku.

.... Przekonanie, że nie godzi się milczeć, gdy mówić należy, podaje mi pióro. Dotąd tło naszych prowincjonalnych spraw, szare jak jesienne niebo, nie miało prawie treści, nużyło oko, co by szukało czegoś wyższego na brzegach Płaskich horyzontu; — mroziło duszę, ile się razy ta odważyła otworzyć wrażeniom zewnętrznym. Tak to było, i tak było długo, oddajmy sobie tę sprawiedliwość. Ale czas dzisiejszy, jak trąba archanioła woła do życia do pracy do czynu. Wprawdzie społeczność nasza, podobna jeszcze do człowieka budzącego się z letargu, który słyszy dokoła głosy życia, czuje tętno żywej natury, ale spowity jeszcze więzami snu zdradliwego, nie ma sił ni wiary w siebie, nie ma jeszcze w piersiach głosu, by zawołać, by odpowiedzieć na wołanie. Lecz życie gra już w pulsach, lecz oko silne zagrobową potęgą widzi daleko wierzy....

Gród Mendoga a kolebka Adama, Nowogrodek, w tych czasach przedstawił kilka symptomatów życia, świadczących o pojęciu wyższych jego celów. A więc, na pierwszym miejscu miło mi donieść, że usiłowania Nowogródzianów podniesienia poziomu oświaty, znalazły swój wyraz w świeżo otworzonym gimnazjum, jak niemniej w bibliotece i czytelnicy otwartej z funduszy składkowych.

Prace też na polu rozszerzenia wstrzemięźliwości i oświaty ludu coraz się wybitniej odznaczają, i miło to nam zanotować, że zamknięcie szynków, kasowanie wódki, gdy indziej musiało być koniecznym skutkiem zaprowadzonej wstrzemięźliwości, tu, wśród miejscowych żywiołów,... nieraz staje się tego przyczyną. Pojęcie ważności tej sprawy, poczucie obowiązku, — przekonanie, że tylko połączone siły duchowieństwa i obywateli mogą wyrwać lud z niedoli i upodlenia i wrócić straconą ufność, coraz głębiej przenika prawe i światłe umysły. Co zaś szczególnie daje prawdziwą duszy pociechę, to, że pojęcie obywatelstwa coraz więcej się rozjaśnia. Już dzisiaj Civis romanus, Citoyen, obywatel, w przekonaniu ludzi zacnych, nie są synonimami niesumiennych dorobkiewiczów, samolubnych spekulantów, burzycieli sadyb wioskowych, starych, bezbronnych zamków... owych tak zwanych postępowych przedsiębiorców, co kosztem łez i spokoju kraju, kraj eksploatują. Imiona tych panów, choć je otacza blask złoty, wytknięte na pręgierz opinii publicznej, czyni ich w każdym sumieniu potępione, a mienie ich nosi ohydny nazwę Malaparty. Zostało jeszcze wprawdzie niemało neutralnych, z falangi przeszłości, co ukochali stary rzeczy porządek. Ci ludzie przywykli do korzystania z przywilejów, zapomnieli dawno o obowiązkach, a widząc że świat mimo nich naprzód idzie, „e pur si muove” w nieczynnej i gnuśnej dumie usunęli się na stronę. Wszakże i te strony ujemne, nieliczne.

Praca, ów dotąd anachronizm w egzystencji wiejskiego obywatela, coraz więcej znaczenia i poważania nabiera. Myśl każda wypowiedziana w duchu ogólnego dobra znajduje słuchaczy. Umysły wyższe, serca gorętsze, ludzie talentu, fachu, pracują, układają projekty, w celu dźwignienia rolnictwa, przemysłu, kredytu, ułatwienia komunikacji. Przemysł asocjacji w rozmaitych kierunkach nurtuje społeczność. Jednem słowem, tam i owdzie pracują słowem, piórem, przykładem, aby wykazać prawdę, i dźwignąć budowę przyszłości. Jest to bezwątpienia pierwszy jeszcze szereg, pierwszy atak męźnych w walce z obojętnością, z apatią spleśniałego ogółu, walka. W której niejedno

może serce polegnie, ale wyłom zrobiony otworzy innym drogę ale chorągiew pracy i obowiązków zatknięta, wskaże gdzie cel godny obywatela....

Duchowieństwo nowogródzkie, z swojej strony, pojmuje też obowiązek i zadanie czasu. Od kilku tygodni, za przykładem szanownego proboszcza, lud wiejski słucha nauki, w języku dla niego zrozumiałym. Cześć kapłanom, co się nie zaparli poczucia obywatelstwa, co pracę w winnicy Pańskiej, nie jako ciężki obowiązek, lecz jako słodkie jarzmo, dla miłości Boga i ludzi podjęli. Czas zaiste, aby o tem ogół pomyślał; czas, by się przeniknąć tą prawdą, że nigdy nie będzie nadto pracy na tej niwie, która tak długim odłogiem leży, że nie idzie tu już więcej o deklamację słów, o frazesy retoryczne kazań pisanych dla ludzi klasy nielicznej, która najczęściej ich nie słucha a do której z tyłu trybun świata duch czasu, ów arcymistrz wymowy przemawia; lecz idzie o pracę cichą, bez pretensyi i rozgłosu, idzie tu o tę niwę dziewiczą i żyzną na którą każde rzucone ziarno tysiączny plon wydaje, każde słowo, ogrzane ciepłem serca. staje się ciałem. Idzie tu o maluczkich a prostych a najliczniejszych, ci pozbawieni wszelkiej innej moralnej pomocy, z tego tylko miejsca spodziewać się mogą i mają prawo nauki, a nauki w zrozumiałych słowach i czynach zrozumialszych nad słowa.

.... Na wsi, widać też zwrot pomyślny, znamy domy, gdzie otworzono szkółki dla dzieci włościańskich, w których przezydują przy nauce panie domu, gdzie równiennice heroin budoarowych i turystek (naszych) obiegających bulwary paryskie, równe im urodą i pozycją, lecz wyższe poczuciem obowiązku, obchodzą strzechy włościańskie, niosąc tam pomoc lekarską i zasiłek, ucząc dziatki chłopskie pacierza, zasad wiary, obowiązków człowieka. Rzadkie to są jeszcze przykłady, takiego poświęcenia, lecz one już są, i cześć budzą. Bez wątpienia, są to tylko oazy wśród wielkiej pustyni, lecz nie owe co się rozwiewają w powietrzu, rzucając trwogę i rozpacz w serce podróżnika, lecz te co spragnioną duszę, zasilają czystym źródłem wiary i nadziei — bo ich pobudką miłość*).

Tak więc, choć chmurno, i grube jeszcze cienie nocy walczą z godziną przedświt, lecz już na brzegach horyzontu rumieni się zorza, i błędną nocne ogniki. Może też i dla nas słońce prawdy wyjdzie!...

XIV.

Z nastaniem feryi letnich, wyjechałem w okolice grodzieńskie gdzie miałem kilka domów przyjaznych, następnie, do Druskienik i Grodna. Tam to byłem świadkiem objawów, które skopjowane ze świeżych demonstracyi warszawskich, przez wysłaną w tym celu młodzież, miały na celu wciągnię nie Litwy, na tę samą co i Królestwo drogę. Tam też widziałem z bliska czem jest zapal rozegzaltowanej społeczności, i jak niebezpiecznie z nim igrac. Sprawa grodzieńskiej processyi, która się miała udać do Różannego stoku**), na spotkanie taki ejże, rzekomo idącej z Królestwa, jeżeli się nie skończyła krwawym dramatem, zawdzięcza to jedynie taktowi dziekana grodzieńskiego ks. Majewskiego, jak niemniej ludzkości i rozsądkowi jenerała Goldgojera (Szweda) dowódcy miejscowego garnizonu. Nie przeszkodziło to wszakże aby tenże sam ks. Majewski został uwięziony i następnie wysłany na Sybir do Kurhanu. Strapiony i znękany, resztę wakacyi spędziłem w miłej okolicy, w parafii Jeziorskiej, o kilka mil od Grodna. Był to jeszcze zakątek, gdzie do ostatnich czasów, dotrwała tradycja litewskiej uprzejmości — gdzie wykształcenie prawość charakteru, były najważniejszą kartą polecającą dla przychodnia.

*) Kościół ten wspaniały po 1863 r. zabrano na prawosławie.

**) Działo się to podobnie w innych stronach Litwy (patrz Ruskaja Starina 1885 r., artykuł o Nazimowie.

Do takich to domów należały: Wilanów — Jezioro Leopolda Walickiego*). Położony w dzikiej leśnej okolicy, wśród wielkich jezior nieopodal od miasteczka słynnego z fabryk i jarmarków, mieścił w ścianach skromnego dworu, jakby dla kontrastu z otaczającą dziką naturą i słomianą strzechą, doborową bibliotekę, dzieła sztuki, w rzeźbie, obrazach, kosztownościach, którychby pozazdrościć mogło niejedne muzeum. Przedewszystkiem zaś, gość który chciał z tych zbiorów korzystać, spotykał tam gościnność i swobodę, które jeszcze wiec ej podnosiły ich wartość.

Migów Obuchowiczów, w ślicznej nadniemeńskiej okolicy, jakby pozujący dla malarza, nęcił ku sobie każdego, czyje zamiłowanie bądź w muzyce, której oddawała się pani domu, bądź w literaturze, bądź w zamianie myśli szukało pokarmu dla umysłu lub serca. Szybko też goście miwały tam godziny, co

mówię dnie całe, a nierzadko i tygodnie, taka tu atmosfera pogody i spokoju unosiła się ponad tą łąką litewską siedzibą**).

Hołowacze Czeczotów, nad Kotrą. Gospodarz tej miłej siedziby namiętny myśliwiec, dyletant muzyk, entuzysta; istny typ hulawczy serdecznej natury szlachcica, był nieodrodnym potomkiem imienia które nosił.

Hubinka Romerów, był to dom gdzie uprzejmość gospodarza dla gości rozsuwała ściany! — gdzie pani domu, Prawdziwe uosobienie serdeczności litewskiej, urokiem swego śpiewu i piękną duszą, czarowała wszystkich, co ją poznać mieli sposobność gdzie o troskach życia zapomnieć *) Po 1863 r. na skarb zabrano, Walicki zaś pozbawiony praw stanu wywieziony na Sybir, zmarł w Irkucku. Zebrane targa zaś przez jego przodka podstolego M. Walickiego dzieła sztuki, precjozy, rozkradzione lub zrabowane przez grodzieńskiego gubernatora i jego podwładnych.

**) Po 1863 r. majątek ten przeszedł w ręce moskiewskie gospodarstwo oboje zmarli.

Było można gdzie się czuł jakby wśród rodziny, każdy co się tam zbliżyć miał prawo*). Nareszcie Kotra Bogatków, położona wśród gajów, nad brzegami malowniczej rzeki, ze swym starym kościołkiem, otoczonym grobami, ze swymi kurhanami — otulona cieniem brzozy i dębów, cicha, uroczą, wabiła i przyciągała wzrok i serce każdego, kto ją znał i kto by pędząc niedalekim gościńcem próbował ją minąć. To też rola się ludźmi dla których wykształcenie, nauka, talenta, a przede wszystkim zacność i wyższe poglądy nie były czerem słowem. Kto byli jej mieszkańcy, kto był jej gospodarz? — niech mi w odpowiedzi wyręczy towarzysza ich losu w czasach pamiętnych naszej niedoli. Pani Helena Skirmuntowa pisząc swe kartki wspomnień z pobytu na wygnaniu w Tambowie, tak mówi**).

„...Kozum, gruntowność, użyteczność, od razu widzieć się dają, jako cecha tego zacnego, bardzo pięknych uczuć człowieka”.

Czekał on podówczas przyjazdu córki i żony, z domu Gadonówny, ze Żmudzi, i gdy te nadjechały, pani Helena zapisała w kalendarzyku swoim: „bardzo ciepło i poczyw oboje; w porywie wewnętrznym zapowiadam, że im się rzucam w objęcia bezpiecznie. Odtąd wszystkie moje fakta i gusta

*) Po 1863 r. przeszła w ręce Moskiewskie, — Romerowie wysłani w Sybir.

**) Znakomita rzeźbiarka Litwinka, autorka sławnych szachów, w 1863 r. zesłana do Tambowa — zmarła w południowej Francji 187.....r.

to co pisał o niej, i o sobie w tym samym czasie Bogatko do mnie gdy był w Ołońcu:

Tambów 2 grudnia 1863 r.

Wiesz już z listów Anety, kochany Edwardzie, że od trzech miesięcy zostaję w Tambowie; od tygodnia zaś przyjechała do mnie Józia z Marynią. Tak więc, w dalekiej stronie, w maleńkim domeczku, złączyliśmy się znowu i jak przelotne ptaki, uwiliśmy sobie tymczasem gniazdko. Prezydent Kiernowski mieszka także z nami. Gdy siedzimy wieczorem w swoim małym kółku, kobiety z robotkami, a ja czytam im głośno, cokolwiek, — zapominamy do ich aprobaty i porady odnoszę. Tak pisała w grudniu w lutym zaś oto co doniosła przyjaciółce swojej.

”... Przyszła śmierć wybrać najzaciejszego z pośród nas, śmierć bez kapłana i ołtarza; śmierć, co tak nas się — i prawie wierzyć nie chce że 2000 wiorst oddziela nas od Grodna i Kotry. Jesteśmy razem, spokojni, urządziliśmy się jako tako, a jednak cięży na nas niewypowiedziana tęsknota, a nawet brak ochoty do zajęcia się jakąś poważniejszą umysłową pracą. Dzień po dniu schodzi czas ubiega, a czym się zapełnia, doprawdy sam przed sobą, nie umiem zdać sprawy. Brak mi bardzo zajęcia, a ztąd tęskno i nudno, bo jak wiesz, nie przywykłem do bezczynnego życia. Potrzeba będzie przezwy ciężyć się, i wziąć się seryo do matematyki albo ekonomii politycznej. Nie myśl jednak, żebyśmy całkiem znajomych nie mieli jest tu kilka zesłanych familli, a między niemi Rudomina, z którym poznałem się za granicą. Lecz władza tutejsza ciągle nam zaleca, żebyśmy jak najmniej stosunków zabierali, dlatego też nie często się widzimy, a z tutejszymi mieszkańcami prawie nie mamy znajomości i oni widocznie niechętnie patrzą na nas okiem.

Same miasto na pięć wiorst długie a wąskie, z mnóstwem pustych placów, rynków i bazarów, nie odznacza się piękną architekturą, ma zupełnie obcą dla nas fizyognomię,

otoczonem jest nieprzejrzanym stepem, żyznym lecz nieuprawnym, który przy bardzo małym staraniu rodzi obficie. A lud? — tego nie znam wcale; sądząc potem co widziałem, nie piękny, mało oświecony, choć zamożny, musi się szczególnie pijaństwem odznaczać, bo nigdzie nie widziałem tylu pijanych co tutaj. Oto masz kochany Edwardzie rys kraju w którym teraz zostaję. O sobie nic też więcej nie mam do powiedzenia, wegetuję tu tylko, a myśl unosi się najczęściej gdzieś nad brzegi Niemna i Kotry. Tak jakoś rozleniwiałem, że trudno mi nawet przybrać się do napisania listu. Do ciebie jednak, mój kochany, napisałbym dawno, ale ciągle czekałem żony, i chciałem ci donieść że już szczęśliwie dostała się do

Tambowa. Co ty porabiasz? — jak żyjesz? — wyobrażam sobie, że musisz wiele malować i rysować, a tym sposobem nigdy ci czas zbyt długim wydawać się nie może. Artysta w samym sobie znajdzie mnóstwo resursów. Przed dwoma tygodniami, przywieziono tu panią Kazimirzową Skirmunt, której jako dawny znajomy, pomogłem wynaleźć mieszkanie, w parę dni przychodzę do niej, i już widzę obraz na sztaludze i gotowy przybór do lepienia z gipsu. Gniewa; się tylko, że dnię krótkie otaczających, jak i wybrańca swego, na kilka godzin zaledwo o swej bliskości ostrzegła! A dlatego rada będziesz posłyszeć kiedyś ode mnie, jak Pan dozwolił, aby współwynajmcy od siebie ku lepszemu ojczyźnie puścili brata. Cudnie piękne były rzeczy! Działo się niechybnie tak w katakombach Romy, gdy nagle odchodzącemu nie było możliwości innych ku wyżynie usłać szczebli, prócz serc bratnich jednej wiary jednej nadziei — jednej miłości. Otóż ta miłość co cuda czyni, czyni nas spokojnymi o duszę tego sprawiedliwego miłość nasza, wierzymy, dopełniła dlań miary miłosiernej sprawiedliwości bożej. Umarł Franciszek Bogatko z Grodna. Zapytaj, jakie to były ciche a głębokie zasługi tego człowieka, i o jakże jeszcze wypiękniały tu — na wygnaniu! Był to gospodarz, głowa tego domu, o którym ci pisałam, że w nim dla siebie najwięcej karmi dla ducha i umysłu znajdowałam, i nikt mi tutaj zastąpić go nie potrafi. W stracie którą poniosła gromadka nasza, może moja jest największą, gdy miarę ze wspólności pojęć brać można. I dał mi Pan z nim pociechę wielką, bowiem po żonie i po córce, nikomu drugiemu tak serdecznego nie wyświadczył pożegnania, — tak wyrażnego błogosławieństwa, ile mnie, którą się tak troskliwie od pierwszej chwili przybycia ustawicznie opiekował. Zato nie ostatnia byłam w posłudze przy martwych mało jej zostawiając czasu do pracy. Z tem to i dla ciebie musi być największa przykrość, bo w Ołońcu dnię jeszcze krótsze, a zima już dawno stanąć musiała, kiedy tutaj ledwo od dwóch dni saniami jeździć zaczęto.

Bądź zdrow kochany Edwardzie, pisz do mnie jak się masz co porabiasz — jak czas spędzasz, bo wierzę mi, że wszystko co się ciebie tyczy, szczerze mię obchodzi. Nie na próżno przeżyliśmy razem kilka najpiękniejszych lat naszej młodości te wspomnienia na zawsze zostaną, przyjaźń wtedy zawiązana nie zestarzeje się nigdy. Obyśmy się znowu kiedyś spotkać mogli a tymczasem bywaj zdrow, uściskam Cię serdecznie
Twój Franciszek.

Następuje przypisek żony i zacnego Nikodema Kiersnowskiego prezesa izby cywilnej w Grodnie. Przy zwłokach tej pięknej duszy, co nie omieszkła się ostatecznie odbić, w dziwnie miłym wyrazie śpiącego oblicza. Otówkiem i wszelką umiejętnością dopomagałam do zebrania pamiątek, dla nieutulonej żony, a hartowniejsz ej choć młodocianej córki; — dziś oto wyrabiałam w gipsie odlaną maskę i bez żadnego wstrętu, na trzeci dzień po zgonie, trzymałam w dłoniach tę złodowaciałą głowę, co jeszcze tak niedawno, tak niepospolitym rozumem przemawiała. Żył ten człowiek tak, że co dzień umierać mógł!...

Takich to miałem przyjaciół — i taką była okolica, w której dziś rozsiadła się Moskwa i — ruina!

XV.

Z grodzieńskich okolic, zwykle prowadziła mię droga w nowogródzkie przez Oleszewicze. Wieś ta położona na pograniczu lasów nadniemeńskich, między Kamionką, Mostami i Szczuczynem, znaną była od dawna w okolicy z pałacem, który wzniesiony przed laty — przez jej właściciela Baranowicza, w celu przyjęcia króla w czasie łowów, przeszedłszy w inne ręce chylił się ku ruinie. Wyrestaurował go i

odnowił z całym otoczeniem ostatni dziedzic Konstanty Niezabytowski i zamieszkał w nim po swem ożenieniu z Celestyną Kamińską.

Pamiętne dotąd bale, które w dniu jego imienin ściągały do Oleszewicz połowę Litwy. Była to prawdziwa wystawa przepychu, toalet, a mianowicie piękności, które podówczas tak hojnie uposażoną była Litwa. Mamże dodać, że uprzejmość gospodarza i wdzięk pani domu, jako najcelniejszej jego ozdoby, były tu szczególnie tym magnesem, co pociągał ku sobie tłumy gości z różnych stron.

Zażyłość moja z gospodarzem domu przyjazna, sięgała czasów młodości, a opartą była na podobieństwie uczuć, wspólności stosunków i zamiłowaniu sztuki, które w sobie rozwinął w podróżach włoskich, wśród koła artystów i poetów owego czasu (1846—1848 r.). To też gdy po odnowieniu pałacu, wypadło go stosownie udekorować, podało mi to sposobność do wielu obrazów przywiezionych przezeń z Rzymu dodać kilka prac moich, w kopiach ze znakomitych arcydzieł wykonanych bądź w Petersburgu, bądź w Paryżu i Rzymie.

Miał bowiem śp. Niezabytowski ten zdrowy pogląd na dzieła sztuki, w zakresie malarstwa, że wołał mieć dobre ze znanych mistrzów wykonane kopie, niż podejrzaną wartość i nazwy oryginały. Zrobiłem więc dla niego następne obrazy: „Wniebowzięcie z Murilla”, (z oryginału znajdującego się w pałacu zimowym w Petersburgu); „Ukrzyżowanie Chrystusa”, z Filipa de Champaigne, (z pałacu Luxemburskiego w Paryżu); „Madonna na modlitwie wśród aniołów”, z Carlo-Marato, (z Ermitaża). Dwie wielkie maryny: „Burza na morzu” i „Widok nocny Odessy”, z Ajwazowskiego (z Ermitaża); „Widok Tivoli” z Dietricha, (w Akademii Petersburskiej); wielki i pyszny krajobraz „Widok Neapolu z Gigante”, nabyty przez cara Mikołaja w podróży po Włoszech, (z pałacu zimowego) w Petersburgu, i kilka innych prac pomniejszych. Miło mi dziś po wielu latach wiedzieć, że wszystkie te obrazy, do najcelniejszych ozdób salonów oleszewickich zaliczane dotąd być nie przestają.

XVI.

Po powrocie z feryi, nawał różnych zajęć, wpłynął dość pomyślnie na uspokojenie podrażnionych uczuć, których świeże wypadki w Wilnie i Grodnie były główną przyczyną. Jakże mi pożądaną była cisza, którą spotkałem na progu mego mieszkania, pełnego zieleni, woni, obrazów, po tem wszystkiem com widział i przebolewał świeżo. Nie długi to był wszakże odpoczynek. Horyzont polityczny z dniem każdym się chmurzył — należało działać. Deportacje obywateli, uwięzienia młodzieży komisye opłaty jako kara za śpiewanie hymnów, wieści o wydaleniu z różnych szkół uczniów, i obawa podobnegoż losu dla nowogródzkich gymnazystów, wobec nieustannych a podejrzaną natury podburzań, budziły ciągłą obawę i troskę. Każdy czuł że ten stan sztucznie wywołanej gorączki, która tylko rządowi była na rękę a opanowała młodzież i kobiety, że cała ta sprawa demonstracyjna, tak łatwo zbudzona i rozogniona wobec widocznej intencji rządu, ciężko i boleśnie zakończyć się musi, pomimo wieści z Paryża, czerpanych z listów ks. Janiny Czetwertyńskiej zbliżonej do dworu Napoleona. O jakże często wśród malowania, lub innej roboty, słysząc śpiewy kościelne i muzykę organu przez ścianę, zboleły wobec tego co się stało — i w obawie o przyszłość, powtarzałem w duchu za całym chórem ludu te słowa suplikacyi: — „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!”

Dziwne to i niepojęte zaprawdę drogi, które ludzkość zdążyła ku celom sobie wytkniętym. Zaledwie wśród społeczności naszej, po długich latach zastoju, apatii i tylu zależnych i niezależnych od nas przeszkodach, zbudziło się poczucie potrzeby reform w życiu i stosunkach, — potrzeby pracy nie już chimerycznej, lecz rzetelnej i organicznej, zaledwie objawy tej pracy, dały się tam i ówdzie dostrzedz, gdy oto wśród tejże samej społeczności, siłą zbiegu wypadków, zbudził się prąd w źródle swem szlachetny i wzniosły, lecz w skutkach fatalny, który całą tę pracę i jej ośnowę, miał przerwać i do gruntu zburzyć. Ludzie nie rozumieli siebie i zapanował istny chaos wieży Babel...

Dziś patrząc na to z oddalenia co do miejsca i czasu, obliczywszy spokojnem okiem cały ogrom strat, klęsk i ujemnych rezultatów tej nieszczęsnej sprawy, co nas o wiele lat cofnęła wstecz, obliczywszy ciosy, które wciąż spadając, coraz dotkliwiej ranią i bolą trudno nie przyznać, że był w tem palec Boży.

Padli pyszni i możni dźwignęli się maluczcy i poniewierani!

Tymczasem w Nowogródku, zajęcia szły swoim porządkiem; a z nastaniem zimy teatr amatorski o rozszerzonym repertuarze znowu prosperował. Młodzież się uczyła, spokojna i karna. Pomimo to jednak, Horodniczy von Zembusch, nie przestawał słać gubernatorowi raportów, w których przedstawiał mnie jako głównego agitatora demonstracji. Wiadomość ta dotknęła mię boleśnie i oburzyła; mnie, który właśnie całą pomyślność i lepszą, przyszłość kraju, opierałem na pracy, i prowadziłem do niej czynem i słowem, com się ogłosił wrogiem wszelkiego warcholstwa. To też spotkawszy, zaczępiłem go z tej strony, i rzekłem między innymi:

— Czy pan może sądzisz, że to wszystko co się dzieje w całym kraju jest również mojem dziełem? Doprawdy, to za wiele byłoby honoru. A czy panu nie wiadomo, że gdy z tyłu szkół, tyłu już wydano uczniów, u nas dotąd nikt na to nie zasłużył. A dlaczego? — Oto że się ich poucza, że pierwszym obowiązkiem młodzieńca, aby mógł z pożytkiem służyć kiedyś ojczyźnie, jest zdobyć naukę, że kraj przede wszystkim potrzebuje ludzi światłych, rozumnych. Takie jest moje i moich kolegów przekonanie i tak według niego postępujemy. Że mam wpływ na młodzież, tego nie zaprzeczam, owszem tem się chlubię, ale żebym go miał użyć na jej szkodę, tego mi nikt nie dowiedzie, a kto mówi inaczej, ten kłamie.

Rozumie się, że chytry Niemiec wyparł się wszystkiego. Około tego czasu, nadeszła wieść o śmierci arcybiskupa warszawskiego i o wspaniałym pogrzebie jakim go uczciła Warszawa. Na całej więc Litwie odbywały się za duszę jego nabożeństwa. Nowogródek nie był też ostatnim. Polecono mi urządzenie katafalku. To też trzeba było widzieć zapał całej ludności ku oddaniu czci zasłużonemu mężowi, który życiem i śmiercią zostawił wzór, że być powinien kapłan-obywatel. Katafalk był niepospolicie piękny, prosty i wspaniały. Miał kształt pomnika. Pomagali mi w robocie gimnaziści. Nikt z rzemieślników użytych do wykonania robót bądź stolarskich, bądź dekoracyjnych, nie przyjął zapłaty. Wszyscy radzi składali się na ofiarę dla idei. Nabożeństwo odbyło się wśród tłumnie zgromadzonej publiczności rozmaitych wyznań. Chór uczniów pod dyktando Dragata wykonał mszę żałobną. Dla mnie zaś nie miano dość słów uznania i podzięką za urządzenie całego obchodu. Jakże to miło mi dziś wspomnieć te przelotne błyski mojej pomyślności i zadowolenia wśród gromadzących się podówczas chmur...

XVII.

Nastał rok 1862.

Święta spędziłem w kole przyjaciół, w Stajkach, Zadwiei, Połoneczce. Był to wypoczynek prawdziwy bo nie spotykałem tam dyzjonansu ani w usposobieniach ani w poglądach na bieżące sprawy. Rozumieliśmy się i cieszyliśmy się lub biadaliśmy wspólnie.

A tymczasem w mieście i na wsi robota szła nieustannie co więc jej, z dniem każdym rozszerzał się jej zakres i poczucie jej potrzeby. W Nowogródku deputacja złożona z majątniejszych żydów wniosła prośbę do koła nauczycieli (Polaków) o utworzenie oddzielnej szkółki dla ich dzieci, — w celu dania im nauce kierunku polskiego. Oczywiście, prośba przyjęta została (prywatnie) bośmy pojęli całą ważność nadarzonej sposobności, aby z tej, tak dla nas dotąd szkodliwej a zarazem tak zdolnej i zamożnej ludności, wytworzyć klasę ludzi pożyteczną dla kraju. I oto po dniach kilku, szkółka (rozumie się prywatna) utworzoną została i w niej się nauka wykładała bezpłatnie.

Tak przeszła zima. Kilkunastu gimnazystom, którzy się odznaczyli postępem w rysunku, udzielałem w domu lekcji prywatnych, które wychodziły po za zakres szkolnego programu z zamiarem przygotowania ich do akademii sztuk pięknych. Z nadejściem wiosny, zawitał do Nowogródka gość niezwykajny, którego zjawienie się, jakkolwiek zapowiedziane, zelektryzowało w najwyższym stopniu całe towarzystwo. Był nim Władysław Mickiewicz, syn pierworodny Adama. Zjawienie się jego na ziemi nowogródzkiej, w czasie gdy Litwa w początkach panowania cara Aleksandra nieco odetchnęła, i gdy z powodu podjętej przez rząd reformy, popęd ku społecznej pracy, budził nadzieję lepszej przyszłości, zjawienie się takiego gościa w porze wiosennej, powitano jako wróżbę pomyślną. To też wszystko co żywiej czuło, zbiegło się do Nowogródka. Bo i zaprawdę, godziło się rodakom uczcić potomka tego, któremu naród cały, tyle ze swej chwały zawdzięczał, cóż dopiero Litwinom a cóż Nowogródzianom....

Obwożono go po okolicach ukazywano pamiątki, ślady jego ojca, ze czcią religijną w wielu miejscach przechowywane. Był i w Tuhanowiczach...

Na obiedzie, a raczej na uczcie dan ej na cześć jego przez marszałka Brochockiego w Nowogródku, wśród licznych toastów przemówiłem słów kilka, które później, wezwany od obywateli wpisałem do albumu ofiarowanego dlań, jako wyraz uczuć Nowogrodzianów. Oto com powiedział: „Na ziemi ojczystej, w star ej Litwy stolicy, u kolebki drogiej nam wspólnie wielkiego wieszczu, przyjmij bracie przychodniu, przyjmij synu, w imieniu swego ojca, tę wiązankę uczuć, jako hołd należny mu od nas. Przyjmij ją i zanieś na daleki grób jego. Skromne to i blade kwiaty, ale woń ich serdeczna, kwiaty to polewane łzami matek i siostr naszych; wyrosłe pod chłodem wichrów północy!...

Ale on to rzucił ich ziarno, jego to potężne słowo ogrzało je swem tchnieniem, i jako pochodnia wśród długiej nocy światłem oblało kraj cały! — Gdy więc powiew wiosny obecnej, daje im siłę dobycia się z pod lodów jemu się pierwszemu, pierwszy z nich wieniec należy.

Ty więc drogi bracie, coś przyszedł do nas z daleka, jako zwiastun lepszych czasów, przyjmij go wdzięcznie, zanieś i połóż na drogim grobie, i powiedz, żeś nas zastał na stanowisku. Powiedz, że stary gród Mendoga szanować umie kolebkę swojego wieszczu że nowogródzka ziemia, którą jego geniusz tak świetną aureolą otoczył, nie zmieniła się w opokę, że stare baszty zamkowe umieją oddać wiernie i powtórzyć swem echem stokrotnie, każdy jęk braci na tułactwie i w kraju..."

Wieczorem było przedstawienie amatorskie. Wyborna orkiestra Czechów, przygrywała w antraktach utwory z narodowych polskich motywów. W drugiej zaś sztuce, a było nią „Okrężne", śpiewy, ubiory narodowe, ludowe tańce, gra pełna przejęcia się i zapału, taki wzbudziła entuzjazm wśród podniesionego nastroju publiczności, że na chwilę zapomniano o wszystkim co otacza i boli; ściskano się podawano sobie ręce i łzy rozrzewnienia zabłyły w oczach tak artystów jak i publiczności. Uniesienie nie miało granic.

Chwila ta pozostanie pamiętną!

Po wyjeździe Mickiewicza przeszły kontrakty wśród liczного zjazdu szlachty. Sprawa emancypacji włościan, jako leżąca na stole, była, jak łatwo zrozumieć celem zajęcia wszystkich. Zakipiało życie, nastąpiła pora stosowania do praktyki ideałów... Przed ludźmi czynu otwierały się szerokie horyzonty... Komitety, zjazdy, narady, były na porządku dziennym. Od czasu do czasu wszakże, dochodziły wieści o niesumieinnem eksploatowaniu włościan, w kilku miejscowościach, w których dzierżawcy, ośmieleni wysoki em stanowiskiem właścicieli dóbr*), próbowali korzystać z ostatnich czasów poddaństwa, przenosząc dawne chłopskie lub szlacheckie „sadyby" i zaścianki z pośród pól uprawnych na pustkowia i nieużytki działało się to wprawdzie rzadko, nie mogło się to jednak nie odbić przykrem echem w powiecie i nie podzielać niekorzystnie na usposobienie włościan w okolicach, gdzie ani o krzewieniu oświaty ani o wstrzemięźliwości nie było mowy.

*) Dobra Witgenstejna.

Śród przybyłych obywateli z innych powiatów, zjawił się Bronisław Zaleski; przyjechał świeżo z Petersburga, gdzie zasiadał w komitecie centralnym dla spraw włościańskich. Zaledwie go poznałem ja co z nim byłem zbliżony, jeszcze w czasach sprawy Konarskiego w Wilnie. Zmienił się, postarzał, posiwiał. Gdy wszedł do mnie, o mało żem się nie cofną! z przerażenia. Niestety! to co miało być pociechą jego życia, nagrodą cierpień i trudów dla najlepszej sprawy, to właśnie zatruiło mu życie, zabiło go, a tem było nieszczęśliwe małżeństwo. I rzecz dziwna, osoba z którą swe losy połączył, posiadała wszelkie warunki, tak moralne jak i materyalne, jakie tylko dać może urodzenie, wychowanie, skłonności hojnie uposażonej natury, warunki uszczęśliwienia wybranego przez się człowieka. Zdawało się, że byli stworzeni dla siebie. A jednak inaczej się stało!... Mówię tu o tem, bom był pierwszą, chociaż mimowolną przyczyną poznania się tych dwojga ludzi.

Było to w Dreźnie 1858 roku. W ciągu kilkudniowego tam pobytu, bywałem w domu hr. Oliz..., gdzie właśnie w tym czasie bawiła siostra samej pani domu, panna Mich... Dzie... Pewnego dnia, gdym się spóźnił na obiad, zapytany, co mi się przytrafiło, opowiedziałem, że spotkałem w galerii, przed Madonną sykstyńską, przyjaciela po wielu latach, i że się z nim zagawędził. Któż to był, pytają; skąd ? dokąd! itd. itd. I oto, w krótkich słowach, ale gorących, opowiedziałem kim był Bronisław Zaleski.

Opowiadanie moje nie mogło nie zrobić wrażenia na wrażliwym umyśle pań szczególnie panny M. Dzie... której zajęcie się i współczucie niepróżne materyalnych jak i moralnych dowodów dla ludzi zasługi, wśród emigracji, znanem było oddawna w Paryżu. I to był początek stosunku, który po roku niespełna miał się zakończyć małżeństwem a wkrótce potem rozstaniem, którego następstwa były tak dla niego fatalne. Jak wiadomo, choroba piersiowa bez nadziei, zaszczepiona jeszcze w czasach więzienia i wygnania, po długich cierpieniach w kraju i na wychodźstwie, przerwała pasmo życia, tego zacnego i tak pożytecznego ojczyźnie człowieka. Dwa lata temu, jako zasłużony sekretarz towarzystwa literackiego, umarł we Francji, pochowany w Paryżu.

XVIII.

W tym to mniej więcej czasie, wypadła mi potrzeba być w Wilnie, w celu porozumienia się w kwestiach bieżącej chwili. Dotarłem aż do Kowna, w kilka dni po głośnej demonstracji na Niemnie. To też widziałem jak ruch demonstracyjny ogarniał całą Litwę*). Władze po wypadkach warszawskich nie umiały, czy nie chciały stanowczo temu przeszkadzać. Obie strony, jakby czegoś czekały. Stan ten anormalny nazwany był przez margr. Wielopolskiego wrzodem który miał dojrzeć, aby skuteczna była podług niego operacja. O ile fałszywą była ta dyagnoza, czas wkrótce przekonał. Inaczej myślano na Litwie, i innego tam chciano rozwiązania, chciano tam przedewszystkiem uspokojenia. Po odbytych więc w tym celu naradach, i zabranii potrzebnych poleceń, wróciłem do Nowogródka. I oto nadeszły czasy trudne. Rozkiełzane tłumy ani słyszeć chciały o zaprzestaniu manifestacji patryotycznych, drażniących rząd, z czego już nierzadko robiono sobie profesję. Nieznani przedtem, lub znani z podejrzanego charakteru ludzie, wyrastali jakby z pod ziemi, by przywozić tłumom, w objawach rzekomo patryotycznych, w gruncie zaś mających na celu jątrzenie warstw społecznych, i rządu w celu wywołania represji, a jak się zwykło podówczas mówić, w celu kompromitowania go**). Zaczęła się walka, *) Pierwsza demonstracja miała miejsce 8 (20) maja w katedrze wileńskiej, urządzona przez młodzież uniwersytecką, przybyłą z zagranicy, w celu pchnięcia Litwy na drogę manifestacyjną. (Historia powstania narodu polskiego. Lwów 1882).

**) Do tego rodzaju demonstracji zaliczyć trzeba awanturę wileńską, w której nieznane indywidua, ściągnęły na Pohulankę tłumy ludu w której z jednej strony posypały się potwarze, posądzenia, z drugiej nastąpiło zniechęcenie, wobec rozhukanego warcholstwa. Najlepsi pojąć nie mogli, że minął czas w którym manifestacje miały rację bytu, i że obecnie nie demonstrować, ale działać i to działać szybko i w ciszy należy. Niestety, był to czas, w którym rządził entuzjazm — nie rozum!

Światli i prawi patryoci ujrzeni się wzięci we dwa ognie.

Śród takich to trosk i niepokojów upływało życie w Nowogródku a jednak w owym czasie, była to jedna tylko karta z dziejów całego kraju, karta posępna, złowroga! Jedyńą ośłodą w tem położeniu, było kółko koleżeńskie, lecz i te wkrótce uszczuplić się miało. Kowzan i Hejbowicz zostali przeniesieni do Mińska. W czasach tak ważnych, wyjazd tych dwóch ludzi zacnych i światłych był wielką dla Nowogródka stratą. Zbieraliśmy się zwykle wieczorami, to u dyrektora, to u któregoś z nauczycieli. Na przyjęcia nie sadzono się. Herbata, pot em lekka zakąska ze szklanką wyborowego gawiejskiego piwa, oto wszystko co zwykle było na stole i co wystarczało. Niekiedy muzyka lub czytanie urozmaicały te nasze zebrania. Dwaj tylko, z koła nauczycieli Polaków, nie brali w nich udziału: Hermut nauczyciel języka niemieckiego, i ks. Biedrzyński nauczyciel religii; obaj nie lubieni od uczniów i kolegów. Co się stało z pierwszym, nie wiem, drugi usprawiedliwił aż nadto z czasem, powziętą o nim opinię, jako prałat, przez rząd mianowany, kapituły wileńskiej i osławiony katecheta tamecznego gimnazjum, zebranego u Ostrej bramy okrzykiem: „Spieszmy na spotkanie processyi z Królestwa!" (Co było fałszem). I oto rzuciły się tłumy ku Pohulance, gdzie zawczasu skonsygnowane wojsko stawiało opór by je wstrzymać. Rzucili się kozacy, lud porwał się do kołów wyłamanych z płotu zawrzała walka nierówna której ofiar nikt pewnie dotąd nie policzył.

Braliśmy też udział niekiedy i w zabawach urządzanych na pensji p. Wolfowej, matki dwóch pięknych córek gdzie muzyka, śpiewy i żywe obrazy, których układ mnie poruczano, bawiły licznie zgromadzonych gości. Była to jakby oaza, wśród palących kwestyi i rozhukanych prądów Zanim zamianowano nowego nauczyciela języka polskiego, po wyjeździe Hejbowicza, przyjąłem jego zastępstwo. Z jakąż przyjemnością i pietyzmem, czytałem gimnaziistom, ustępy z Grażyny wobec

widoku z okien gimnazjalnych, na stare baszty zamku Mendoga! Była to zaprawdę nielada ilustracja dla tego niezwykłej piękności poematu, której by mógł niejeden prelegent mnie pozazdrościć.

XIX.

Moja ostatnia wakacya na Litwie.

Nadeszła wakacya, przecucie mówiło, że to była ostatnia którą spędzić miałem na Litwie. Korzystając więc z czasu, wybrałem się na wieś i oto pewnego poranku, trójka pocziwego Tatara Kuby, który mię zawsze woził, uniosła mię jak zwykle w strony Switezi. Trzeba bowiem wiedzieć, że Nowogródek, tak jak każde miasto i miasteczko na Litwie, posiada wśród swojej ludności sporą liczbę Tatarów ma nawet ich meczet i „Mołnę”. Jak wiadomo, była to ludność od dawnych, bo jeszcze Witołdowych czasów uprzywilejowana, gdyż zarówno ze szlachtą osiadłą, korzystała ze swobód, które ją czyniły wolną od wszelkich publicznych ciężarów. Nierzadko się zdarzały, jak np. w powiecie trockim i oszmiańskim, całe wsie Tatarów, czego dowodem wśród innych, nazwa wsi: „Sorok Tatary” itp. Są nawet między nimi zamożni obywatele ziemscy, władający niegdyś poddaństwem. W mieście, którego zwykle zamieszkiwali przedmieścia, tworząc oddzielne ulice „tatarskie” zajęciem ich była przeważnie uprawa ogrodów, jarzyn, garbarnie i furmanka. Ta ostatnia szczególnie, z powodu ówczesnych formalności pocztowych, nastroczała im ważną, część zarobku, dla ich uczciwości, z której znani byli na Litwie. „Posłać po Tatara!” — znaczyło to samo, co gdzie indziej, posłać na pocztę, po konie. W Nowogródku długi czas znanym był z tej strony stary Jakubowski, Aleksandrowicz, Gębicki. Nieraz się zdarzało, że rodzice chcąc sprowadzić dzieci ze szkół na święta, w czasie bezdroża, posyłali kartkę do jednego z nich, a ten je dostawiał zdrowo do domu, o mil kilka lub kilkanaście, strzegąc i pielęgnując paniczów, tak, jakby tego lepiej własny ich ojciec nie zrobił.

Z czasem, to wszakże się zmieniło. Nauka szkolna ograniczona przeważnie umiejętnością czytania, pisanie i rachunków, skierowała młodzież tatarską na inne drogi. Biura policyi, sądownictwa, dziś się przeważnie rekrutują z Tatarów. To też przez to otarcie się z biurokratycznym żywiołem, zaszła pożądania godna zmiana w charakterze i usposobieniu tego niegdyś znanego z prawości plemienia. Lato owego czasu było dziwnie pogodne; łany zboża obiecując zbiór obfity, falowały się bujnie pod wiatru powie wem; rolnik z otuchą spoglądał na nie. Jazda więc była miła. Za miastem, więc każę zwolnić biegu. Piękny poranek w całym znaczeniu słowa dobrze usposabia, otwiera duszę miłym wrażeniom. Pora sianokosu; więc zapach świeżego siana dolatuje z sąsiednich łąk, ponad którymi gdzieś unoszą się jeszcze leciuchne strzępki mgły porannej. Jakaś pogodna błogość drży i migoce w powietrzu i zda się wzywać wszystko co żyje do korzystania z życia. Szeroko, lekko pierś oddycha.

To też rozglądam się dokoła, bo wszystko co otacza, zajmuje i cieszy. Tam długi szereg kosarzy, na zielonych błoniach, jakby na komendę pochylony nad kosą, zamasyżycie tnie trawę, i w równych odstępach, jak legion żołnierzy, posuwa się naprzód i naprzód! — Robota idzie raźnie, ze świstem tnie kosa zwilżona trawa rosą, poranną, kładzie się w równych gęstych pokosach. O, bo kosowica, to praca ciężka — praca męska. W niej ni odstać, ni pofolgować sobie nie można; bo wraz za tobą inni cię tuż gonią. Więc idzie cicho, równo, nieustannie. Czasem tylko jakieś urwane słowo, jakiś śmiech przelotny, przemknie przez całą długość szeregu, a po nim znowu cisza, i znowu słychać tylko świst kosy. Niekiedy jeden przystanie i wnet brzęknął dźwięk ostry, za nim wraz tępy: — to się ostrzy kosa. I oto Patrz, błysnął na jej ostrzu, złamany odbłask słońca! — Błysnął i zniknął, a jednak myśl twa przy tym blasku, mknęła gdzieś w przeszłość daleką gdzieś aż ku Racławicom. Tam znowu wesoła rzesza młodzieży, chłopców i dziewcząt, krząta się żwawo koło siana. Ci grabią, tamci składają, w kopy i na wozy gwarno tam, wesoło, hulaszczko.

Śmiechy, swawola, zwykle jak wśród dziatwy, a z t em wszystkiem robota wre i kipi. Poglądam na to z uśmiechem, bo i mnie cały rój wspomnień, z lat młodzieńczych staje przed czy bo i ja miałem moją Arkadę! i ja czuję jak ta pogoda, ten spokój wsi, którą, Bóg stworzył, a ludzie tak mało cenią, udziela się — opanowuje całą, istotność moją, i jak mi w duszy zadrżały uśpione strony pamięci....

— Boże dopomóż! wołam, mijając roboczą gromadę.

— Dziakuj panoczku, odpowiadają mi raźnie. Ale oto pomknęły konie, obłok kurzawy wzbił się do góry, i zakrył mi tę miłą rodzinną sielankę. Pędzę dalej ku lasom marulińskim.

— A co, mówię do mego Kuby, idzie robota aż miło patrzeć jak się młodzież zwija! Siano zielone jak ruta, a suche aż się kurzy. Jeżeli go dziś zwiozą pod dach, to będzie przysmak nielada dla koni.

— I dla owiec panoczku, bo to mroźne siano, zauważył Kuba, nakładając sobie fajkę. Ej, ej, kiedy lato jak teraz Pogodne, to robota koło siana, prawdziwa rozkosz — zabawa.

Moje dzieci, a nawet i baby, to aż się gwałtem rwą do niej taka to dla nich uciecha a i korzyść nie mała. Ale niedaj Boże lato mokre, to już prawdziwa choroba, to rozpacz. Susz, przewracaj, składaj w kopy znów rozbijaj i susz a tu naraz deszcz ot i po robocie. Czekasz, ledwie się wypogodzi, ledwie wiatr obwieje, spieszysz do siana znów rozbijasz, znów suszysz i już masz składać na wóz, a tu ni ztąd ni zowąd jak ci lunie jak z wiadra, ot i czekajże teraz znów pogody a tu leje i leje, i końca nie ma, a twoje siano tymczasem gnije albo bieli się jak płótno na blechu. Ot i przepadło. Rok temu, jak raz zgniło mi tak kilka wozów najlepszego mrohu; a co namarnowało się czasu i roboty, co się człowiek nagryzł...Ej, prawdę mówiąc, dodał zacinając orczykowego biczem, żeby nie furmanka, co od czasu do czasu daje zarobek niedociągnąłbym z koniętami do wiosny.

Tak gawędząc dojeżdżamy do lasu.

XX.

Cień starych dębów, wita mię miłym chłodem. Starzy to moi znajomi. Po za Hnilicą, minąwszy drogę do Marulina, wysiadam każe jechać naprzód ku Zubkowu i czekać za lasem. Sam idę pieszo, zwabiony wdziękiem leśnej aury. Tu każdy kamień prawie mi znany. Droga tu się skręca i wije przez wzgórza i doliny. Las podszyty gęstą leszczyną i grabem, zaledwie dozwala oku przeniknąć gdzieś w głąb. Uszedłszy nieco, siadam na poręczu mostu, ponad strumieniem, i słucham i patrzę, i tonę duszą w tym rodzinnym obrazie natury.

Nieokreślone a potężne drganie życia otacza mię dokoła. Boć to i pora roku najmiłsza pora śpiewu i kwiecia i woni, co jakby hymn dziękczynny, wśród kadzideł unosi się ku niebu.

Świegot ptastwa dokoła ciągły, nieustanny wszystko co żyje, cieszy się. Tam, gdzieś wysoko, wśród konarów dębu, stuka dzięcioł; tam zerwało się z łopotem stado kaczek, i z szumem przeleciało ponad głową tu gdzieś niedaleko, w gęstwinie świerków, grucha gniewnie gołąb grzywacz, wtórują mu z cicha turkawki a tam znów ozwała się kukułka. Słucham raz, dwa, trzy ustała i znów dalej, to kuka, to chichocze, przelatując z drzewa na drzewo, jakby się napraszała by ją zapytać. Tam znów sojki i sroki spór wiodą i spostrzegłszy mię dają hasło trwogi. Wszystkiemu zaś towarzyszy, tłumny, tajemniczy, nieokreślony szmer, brzęk, gwar, na powietrzu, ziemi, wodzie muszek, pszczoł, owadów przeróżnych, tysiące głosów, szeptów, jakby chór strojny en sourdine, drgającej życiem natury, chór olbrzymi, zmieszany z zapachem ziół i kwiatów wilgotnej głębi lasu, co to wszystko zielonem nakrył sklepieniem.

Mój Boże, jakże tu dobrze w tej ustroni, pomyślałem. Bodaj to żyć na wsi i jechać do przyjaciół, podszeptało serce. O tak, jechałem do przyjaciół. Dom, który był celem mej podróży, był mi przez długie lata, więcej niż domem własnym, bo domem ukochanych moich, gdzie się czułem jakby wśród rodziny. Lata doli i niedoli połączyły mię z nią węzłem, którego moc stanowiło to wszystko, co dla serca i ducha było pożądanem.

Gdy tak myślę, słyszę czyjeś kroki, i wraz za tem:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, odpowiadam; i oto z leśnej drożyny wychodzi gajowy. Patrzę, a to stary Michał z Marulina, z którym nieraz polowałem, gdy ta majętność była w ręku moich przyjaciół, a o których przed chwilą myślałem. Postarzał, pochylił się, głowa mu pobieliała.

— Jak się masz Michale? — No i cóż, czy mię poznajesz? pytam.

— A — a! to pan! Jakże!? miałebym pana nie poznać toż to my, ot tu na tej grobli nieraz z panem na słonki polowali. Dawne to już czasy panoczku, dawne. Ot zaraz policzę, to było jakoś za Madzarskiego*) — jakoś na lat parę przed śmiercią naszej panienki, świeć Panie jejduszy, rzekł uchyliwszy czapki. Toż to już blisko lat piętnaście jak my tu pana nie widzieli.

*) Leon Madzarski, ostatni męski potomek rodziny znanej z wyrobu pasów słuckich umarł w 1779 r. w domu sw ej siostry, p. Maryi Szpihalski ej w Haczyszczach.

Słyszałem ci ja, że pan teraz mieszka w Nowogródku, ale nie przyszło jakoś mnie pana spotkać, a ciężko już staremu wlec się do miasta.

— Jakże się macie, przyjacielu, pytam ujawszy go za rękę, jak się wam tu wiedzie przy innych panach ? — co ?

— A! panoczku, żyję aby dalej. Ej, ej! inne bo to czasy, inni tu ludzie siedzą. Czy pamięta pan nasze polowania na lisa, w tych miejscach? — kiedy to do Marulina zjeżdżał Horbacewicz ze Stajek*) a z nim całe myśliwstwo i kuchnia. Toż to panie było polowanie; jakie gończe, jakie strzelcy! Gdzie im teraz.

— Tu machnął wzgardliwie ręką. A co tu było panów i gości z różnych stron hej, hej, nic to co dzisiaj. Po chwili, podniósł dłoń do ust i zawołał: hop, hop! a bywaj, powtórzył to raz i drugi.

— Kogóż to wołacie? pytam.

— A to moja synowa z dziećmi gdzieś tu niedaleko, poszła na grzyby. Może też i jagód co nazbierali, niechby poczęstowali pana. Hop, hop! a bywaj-tu! Niechże i ona pana powita toż to dawna znajoma ze Stajek Anusia pamięta pan, co przy panienkach była. I oto niebawem, zaszeleściły gałęzie, i z gęstwiny lasu wybiegło śród śmiechu i nawoływania troje małych dzieci, a za nimi matka. Spojrzałem i przed oczyma duszy stanął rój najmilszych wspomnień. Pomimo zmiany, jaką w jej postaci czas zrzucił zostało w niej jeszcze wiele z owej ślicznej dziewczeczki przeżywanego niegdyś niezabudką, dziś już matki trojga jasnowłosych dzieci. Była to jeszcze zawsze śliczna Anusia a chociaż lica pobladły, to jednak błękitne jej oczy, rumiane usta i bujne blond włosy, nadawały jej wyraz ten sam co ją czynił niegdyś tak ponętną tak świeżą jak jagoda. Ubiór jej był nawpół wiejski nawpół dworski. Niosła kosz pełen grzybów dzieci w kozubkach niosły poziomki.

*) Antoni Horbacewicz, ex-unita, zarządca dóbr Puszkiców,

My tu już na gościniec szli dawno, powiada cała zadyszana do Michała, jakeśmy tylko posłyszeli dzwonek, spieszyliśmy w tę stronę. A a, to pan! rzekła zwróciwszy się ku mnie, to pański pewnie Tatar czeka tam z końmi za lasem. To rzekłszy, szepnęła coś ojcu na stronie. A ten jej z uśmiechem rzecze:

- Ta czyż ty nie poznała toż to pan co tak często w Stajkach gościł.

A - a! Tu nastąpiło przywitanie, oględziny, wzajemne Pytania, odpowiedzi itp.

- Ja tak i myślałam wraz, że to pan być musi, alem nie była pewna czy mię też pan przypomni. Tyle to już lat minęło! a i pan się zmienił...

Usiedliśmy więc na murawie; i oto zaczęła się pogadanka na tle wspólnych a tak miłych wspomnień, w których co chwila powtarzało się: czy pamiętasz...

Więc naprzód, przyjazd panienek z pensji Wileńskiej, potem pobyt jej we dworze przy nich ich dola sieroca ich miłość dla brata; potem, zabawy, goście, młodzi panowie co się jak ptaki zlatywali ze wszystkich stron bo ówczesne Stajki których gospodarzem był szlachetny i urodziwy młodzian, a honory domu robiły uroczyste, śliczne jakby trzy gracye trzy siostry jego, były istnym rajem na ziemi wszystko to jakby widzenia, w świątecznych jasełkach, przemknęło przed naszymi oczyma.

Słuchałem - w przeszłość zapatrzony, a ona ciągnęła dalej.

- Niedługo to trwało. Po latach dwóch, zachmurzyło się tam życie przycichła muzyka, którą się tak zachwycali panowie starsza panienska zapadła w jakiś dziwny smutek, a za tem poszła choroba, kuracya, dla której zjeżdżaliśmy z nią do Muralina, dla bliskości Nowogródku i doktorów. Tak trwało lat parę, z różnemi zmianami. Pana tu podówczas nie było.

Umilkła, a potem znowu:

- Wieleż my tu razy, z moją panienczką, w tych oto miejscach zbierały kwiaty, jagody. Wieleż my to razy i pana tu wspominały... Gdy się czuła lepiej, lubiła śpiewać, i tam oto, po nad tą dolinką zbierając konwalie, które nad wszystko lubiła nuciła piosnkę, której i mnie uczyła, Znasz ją pan, boś ją śpiewał często w Stajkach.

- Zauć że mi ją, proszę, albo powiedz jej słowa, mówię z naleganiem, zainteresowany do żywego, tak niespodzianym trąceniem w stronę pamiętek.

- Kiedyż bo może już nic potrafię — ot jakoś tak się zaczynała :

„Chociaż zmuszona będziesz mię porzucić”.

(Mickiewicz).

- Dalej już nie pamiętam. Smutna to snąc była jakaś piosnka, bo po niej najczęściej panienska płakała...

- To niech matulka powie tę drugą, przerwała mała Jagusia, co zaczyna się tak:

„Stała dziewczyna na nad wodą” ...

- No, to śpiewaj że ty ją sama, wszak umiesz. Gdzie mnie tam do śpiewania dodała smutnie. Widzi pan teraz na mojej głowie cała chata, rzeczki tuląc małego chłopczykę do piersi. Mąż mój nie wrócił z wojny zabili go gdzieś i ot zostało mi troje sierotek, na które z dziadusiem pracować musim. Ot i dola!...

- Więc powiedz mi Jagusiu tę piosenkę, a lepiej jeszcze zaśpiewaj ją nam, mówię do dziewczęcia, której szafirowe figlarne oczki zapowiadały, że ją długo prosić nie trzeba. Ująłem ją za rączkę, i oto na powtórzone naleganie, słyszę nieśmiałym ale miłym głosem dziewczeczki nuconą piosenkę, tak mi pamiętną...

Stała dziewczyna nad wodą

Ciesząc się swoją urodą,

Mruga na chłopca i woła:

Chodź tu mój chłopcze, mój śliczny

Napij się wody krynicznej —

Czego zdaleka tak stoisz

I t ej się wody pić boisz.

- Boję się, boję ztąd szkody,

I tej nie będę — pić wody,

Bo w nią twe oczy patrzyły

Pewno ją pewno zaczarowały.

Gdy skończyła, uściśnięm ją serdecznie o tak, serdecznie bo w t em uściśnieniu, zawarte było wspomnienie ulud młodzieńczych na które się składało tyle marzeń, tyle pragnień, tyle ideałów, w zaraniu mojego życia, a z których, jedno śmierć, drugie twarda ręka losu, zburzyły i w proch rozwiały.

— A czy pan wie, że od pańskiego wyjazdu, nigdy już tej piosenki nie śpiewała, tylko zawsze tamtą: O! płakała też, płakała moja biedna panienczka; a po całych wieczorach grała a zawsze smutne jakieś rzeczy.

— No, ale wy tylko gadacie i śpiewacie, a nic częstujecie pana, a macie przecież pełne kozubki jagód, rzeczki Michał zwróciwszy się do chłopców, które sobie tymczasem wyrabiali

z łozy ligawki. Toż to Marulińskie poziomki, sławne na całą okolicę, rzeczki stary, podając mi garnuszek Jagusi. Przyjąłem, dziękując pocziwiej gromadce, ucałowawszy chłopczyków, z których każdy chciał ofiarować swój kozubek. I oto, najniespodzianie, w głuszy leśnej, jeszcze przed chwilą samotny, poczułem się w kółku istot, których obecność w tych miejscach, cofnęła mą pamięć jakby na pożegnanie w najmilsze lata mojego życia.

A po chwili, stary Michał ciągnął dalej.

— Widzieliśmy ją tu raz ostatni — ale to już wtenczas, gdy ją wieźli z Nowogródka do Kroszyna — w trumnie... Zabili ją... podobno doktory.

— Piękną była, moja biedaczka i po śmierci, dodała Anusia. Ubierałam ją, sama, służąc jej po raz ostatni ubrałam jak do ślubu — w białą sukienkę, welon i wianuszek...

Łzy mowę przerwały, umilkła umilkliśmy wszyscy... I cicho było dokoła — bo nawet i miły szczebiot ptastwa i szmer liści wznoszącego się ponad nami dębu, które przelotny wietrzyk poruszał — do tej się ciszy dostroił.

I oto, stanął mi przed oczyma obraz dawno minionej zimy. I widzę siebie, jak na wieść o groźnej chorobie, moich ukochanych, pędzę z dalekich stron Litwy ku nim, w Nowogródzkie.

Trwoga i boleść miotają sercem przepłacam konie na pocztach, lecę. I oto, już mi niedaleko, już tylko mil parę oddziela mnie od Stajek. Zmierzch zapada konie jakby czuły, co się w mej duszy dzieje, lecą jak sokoły już Horodyszcz widać. Patrzę, okna kościelne błyszczą światłem cóżby to było — myślę może czyjeś wesele, i jak zwykle u panów, ślub odbywa się w tej spóźnionej porze. — Ale jakoś dzwony smutnie jęczą znam je, te dzwony!... Zatrzymuję się przed kościołem, i pytam, co to znaczy?

— To wiozą panienkę do Kroszyna, ktoś mi odpowie, tam ma być jej pogrzeb a tu się zatrzymali na noc.

— Jaką panienkę — zkąd?

— Ze Stajek.

W oczach mi ściemniało, zabrakło tchu, uczułem że mię rozpacz dławi odurzony, bez pamięci, wchodzę do kościoła, i oto przedemną katafalk i trumna.

Takie było moje ostatnie z nią spotkanie.

A gdy przyszła wiosna, gdym stanął nad jej mogiłą smutny przychodzień z stron dalekich, by ją brać w krzewy i kwiaty, jakże mi się boleśnie przypomniała ta chwila ostatniej rozmowy, w której po długim niewidzeniu, dając mi pamiątkę przed fataln em jutrem, nowego rozstania, tak mówiła:

— Oddaję panu, co mam najmilszego krzyżyk, co stał dotąd na moim klęczniku. Modliłam się przy nim i dodała ciszej, płakałam..... Smutna to pamiątka, nieprawdaż? i smutna w niej dla mnie przepowiednia. Powiedz dla nas! przerwałem. To też dlatego właśnie ją daję ona mię panu przypomni kiedyś....

Minęło lat wiele, buja wysoko ku niebu brzoza nad jej mogiłą, i szepce jej szmerem gałązek co się pochyliły ku ziemi, tajemnicze słowa z innego jak i ona świata!... I któż by się dziś domyślał, że ten grób skromny zawarł w sobie skarby poezji i wdzięków uroczej czarodziejki, co niegdyś w krainie tonów, grała na sercach słuchaczy!

XXI.

Promień słońca, wymknąwszy się z pod zielonych sklepień lasu ostrzegł, że już pora jechać więc rzekłszy:

„komu w drogę temu czas”, z żalem pożegnałem miłą gromadkę, obdzieliwszy pamiątkami działwę. Odprowadzili mię jeszcze do wozu, zkąd pożegnany serdecznie, ruszyłem w dalszą drogę. Nad wieczorem, stanąłem w Stajkach. Kto doznał kiedy słodczy przyjaźni, ten pojmie uczucie, z jakim się wchodzi na próg domu przyjaciół kto tego nie zna, próżne dlań opisy. To też uczuciową stronę powitania i pobytu w tym domu, na teraz pomijam. Powiem tylko słów parę o rodzinie co go zamieszkiwała.

Ród Puszkiców, Rossya do najpierwszych domów wśród starej swej arystokracji zalicza. Jak wiele innych, tak i ta rodzina, uciekając prawdopodobnie przed okrucieństwem despotyzmu carów, przeszła do Litwy, w niej się osiedliła — i przyjąwszy katolicyzm, wcieliła się do narodowości polskiej. Pierwszą jej siedzibą była przyległa Rosseyi Białoruś następnie przesiedliła się w Nowogródkie, nabywszy tam znaczne dobra. Przedostatni ich dziedzice, stryj i ojciec zmarłego niedawno ostatniego tej rodziny męskiego potomku, posiadali: Zarój, Marulin, Cieniewiczze i Stajki, gdzie mieli rezydencję. Byli to dwaj bracia. Bliski ich sąsiad nowogródzianin, Otton Slizien, w swych pamiętnikach tak mówi o nich:

„O milę od Bartnik, w majątku Stajkach, mieszkało dwóch młodych, kawalerów braci Puszkiców. Obaj przystojni bruneci, obaj myśliwi, w karty grający i towarzyscy, jak na ówczesnych młodzieńców przystało. Obaj też bracia w jednej pannie Czołkiewiczównie namiętnie rozkochani. Panna słusznego wzrostu, hoża brunetka, smagławego nieco lica, o żywym rumieńcu, melanholijn em wejrzeniu, dużych czarnych oczach i bogatym warkoczem miękkich kruczonych włosów, nie dziw że obu braciom jednocześnie bardzo się podobała. Nie było w niej klasycznej piękności, ale stokroć więcej — bo wszystko w niej było pociągającym powabem, zdolnym wzniecić najsilniejsze uczucia. Lubiała muzykę, uchodziła za biegłą pianistkę, nawet za miłą kompozytorkę melancholicznych polonezów a przy tem wszystkim, była panienką niebiedną”.

„O nią to dwaj bracia Rafał i January byli upartymi rywalami. Panna skłonniejszą się okazywała Januaremu, którego wogóle dla wszystkich był sympatyczniejszym. P. Rafał jednak potrafił zjednać sobie matkę, która swą córkę (pomimo że ta wolała młodszego) wydała za starszego”.

„Po ślubie zaproszono i moich rodziców do Stajek na przenosiny. Właściwa Litwinom uprzejmość zajaśniała w Stajkach w całym blasku. January z niepospolitą mocą ducha uprzejmie przyjmował nowożeńców, pomagał ochoczo w ugaszczaniu licznie zebranych sąsiadów wszystko szło pięknie i wesoło. Przy obiedzie wychylały się toasty za toastami; wstawszy od stołu zabrano się do tańców zagrzmięła muzyka poloneza p. January przetańczywszy w pierwszej parze ze swoją bratową służył

naszej matce; lecz po kilku krokach zaczął się płatać, mieszać, bez związku wykrzykiwać, tak że go musiano odprowadzić do oficyny, sądząc, że to był skutek licznych toastów i że jak się wyśpi, będzie zdrow. Tymczasem wypawszy się — ocknął się waryatem furiozo. Musiano go wiązać i pod silną strażą trzymać, zanim nie wywieziono do wileńskich Bonifratrów. Ztamtąd po kilku tygodniach czy miesiącach powrócił wprawdzie w stanie spokojnym — ale już przytomności nie odzyskał co trwał lat kilka, aż do jego śmierci".

Dla dopełnienia tego dramatu dodać tu winienem, że pożycie nie było szczęśliwem to też w lat kilka po zamęściu, zostawszy matką czworga dzieci, Puszkina zmarła w kwiecie wieku, przekazując talent muzyczny i urodę córkom i synowi. Młodość Tomasza i objęcie w posiadanie majątku przypada na czas około 1840 roku. Był to czas jakżeśmy to już rzekli rozrostu szkoły romantycznej w ojczystej literaturze, z jednej strony, a obniżenia poziomu oświaty wyższej, przez zniesienie uniwersytetu w Wilnie, z drugiej, i co za t em idzie, zredukowania zasobów towarzyskiego życia, do powierzchownych form wielkoświatowych tak zwanego dobrego tonu.

Obdarzony od natury niezwyklej miary zdolnościami, rozwinął je w wysokim stopniu, w zakładach naukowych, naprzód w szkole Nowogródzkiej, gdzie był pensjonerem szlacheckiego instytutu, następnie w Grodzieńskim gimnazjum. Śmierć ojca (matkę już był utracił przedtem) na nieszczęście, zaszła w czasie najważniejszym jego życia, bo przy ukończeniu szkół. Urzędowy opiekun, August Sokołowicz, przy całej zacności charakteru, nie posiadał ani dość energii ani wykształcenia, aby młodemu wychowankowi nadać kierunek, godny stanowiska jakie go czekało, a którego wrażliwy umysł bogatej lecz zarazem miękkiej natury, czynił zdolnym do przyjęcia wszystkiego co nań oddziaływało zbliższe. Zamiast więc wysłania go do Uniwersytetu, oddano mu do rąk majątek, otoczono towarzystwem ludzi dla których celem życia jak się to podówczas wśród obywatelstwa praktykowało było: przyjemne przepędzenie czasu zabawa jednym słowem: używanie.

To też przyjęcia, wizyty, zabawy, a wśród tego gra hazardowa, która w owym czasie była nieodstępnym atrybutem szlacheckich zjazdów stały w życiu tego młodzieńca na porządku dziennym. Nic więc dziwnego, że niewiele mu zostało czasu i zachęty, bądź do poważniejszych poglądów, bądź do umysłowej pracy, któraby mu, acz w części zapełniła braki spowodowane przedwczesnem przerwaniem nauk. Lektura lekka autorów swoich i obcych, która w zakresie powieściowym w tym czasie przechodziła w krew i życie naszej społeczności to jedyny był dlań pokarm duchowy.

I oto, człowiek ten, z tylu warunkami powodzenia, mylnem pokierowaniem, jak niemniej skutkiem anormalnego położenia kraju, został zwichniętym na samym wstępie do życia. I z bólem to dziś przyznać musimy, patrząc wstecz, na cały jego przebieg, że to cośmy powiedzieli w ogólnych zarysach o ówczesnej szlachcie, to wszystko, z małym wyjątkiem, uosobionem w nim było. Słowem, był to przeciętny typ zamożnej młodzieży owego czasu. Było to złote serce, lecz miękki jak wosk charakter, istna sławiańska natura, uszlachetniona poczuciem polskiej godności i dumy ale pozbawiona energii, chwiejna.

Zapyta kto może, co było powodem mojego z nim zbliżenia? gdy cele i stanowiska nasze, były tak w początkach różne i co następnie związało mię z nim węzłami długoletniej przyjaźni.

Prosty traf, jak to często bywa, był pierwszą przyczyną lecz najważniejszym powodem zbliżenia, był wspólny obu nam przyjaciel serdeczny*) — jego kolega z czasów szkolnych, mój z czasów akademickich, a którego koszta utrzymania w uniwersytecie więzieniu i w ciągu długiej choroby, co się skończyła śmiercią, on ponosił. Później, zbliżyły nas wspólne stosunki, w których się wyrobiła zgodność poglądów, nareszcie, uwielbienie dla sztuki, dla muzyki — i wszelkiego piękna, którego siedliskiem był właśnie dom jego a westalkami tego poetycznego ustronia ideałów, trzy piękne siostry świteziankami przezwane.

Dwie z nich, celowały w muzyce a była to muzyka co nietylko zadziwiać lecz przede wszystkim wzruszać i zachwycać miała sobie danem, źródło jej było bowiem w wysokim nastroju tych dusz wybranych, którego sporą część przekażała im matka.

Łatwo więc pojąć, jaką atmosferą czuł się owianym każdy, kto podobnie usposobiony, wstępował pod dach tego domu, i jaka z nim łączyła nić tych, co się tam bliższymi czuli. To też i nic dziwnego, że wysokie przymioty duszy młodego gospodarza, kazały przebaczać nieraz usterkom jego młodości.

Złote serce szlachetny i prawy aż do rycerskości charakter, stałość w raz powziętych uczuciach przeważały szalę w ogólnej sumie spraw jego życia.

Oczwicie, że to życie na szeroką skalę które się nie liczyło z przeciwnościami, gdy szło o dogodzenie pragnieniom wrażliwej i namiętnej natury, musiało zachwiać interesa majątkowe i to był pierwszy powód nadwężenia fortuny. Drugim powodem był pobyt za granicą ten wszakże, jeżeli go naraził na straty materialne przyniósł mu korzyść moralną opłacił się nabytkiem zasobów, których mu dotąd brakło. Trzechletni jego pobyt po za krajem, najprzód w Rzymie, potem w Paryżu i Dreźnie w latach pamiętnych 1846—1848 r., w epoce zbudzenia i wybuchu nowych prądów ducha czasu które wstrząsnęły Europą wpłynął nań korzystnie. Zapał wywołany liberalnym początkiem rządów Piusa IX, następnie rewolucja paryska, z całym szeregiem kopii na europejskim kontynencie, rozszerzyły i podniosły horyzont jego widzenia pod względem humanitarnym i politycznym.

*) Maluszycki medyk, zaczął kurs nauk w akad. med. w Wilnie — tam uwięziony w sprawie Konarskiego — skończył w Charkowie — umarł z suchot w Nowogródku 1856 r.

Towarzystwo znakomitych wychodźców, różnych narodowości, w których kole się obracał, bliskie z nimi stosunki ich charakter podniosły wprowadziły go na wyżyny duchowe wpłynęły nań korzystnie, bo wyrobiły w nim przekonania i zdrowe poglądy na cele i ideały godne obywatela ziemianina. To też wróciwszy do kraju, pierwsza jego myśl zwróconą była ku swoim kmiotkom; pierwsz em staraniem ulżenie ich doli. Zamiar jednak oczynszowania pozostać musiał w krainie marzeń bo nie był to czas, w którymby na to rząd pozwolił, a niebyła to już po temu i pora ze względów finansowych własnego majątku.

Wszakże, po niedługim czasie, szczęśliwie zawarte małżeństwo, pozwoliło mu chociaż w części wykonać to, czego nie mógł w całości. Ożeniony z ks. Ewelina Lubecką z Łunina znanego z cnót patryarchalnych, znalazł w swej małżonce towarzyszkę, co pojmowała całą ważność obowiązków obywatela ziemianina. Dziedziniec i sień ich domu stały się wkrótce ambulansem dla chorych. Garderoba i praczarnia rożyły się działwą zebraną dla nauki. Zanim jeszcze sprawa oświaty i wstrzeźliwości, weszła na stół na Litwie, już jedno i drugie w całej pełni praktykowało się w Stajkach. Gdy nastał nieszczęsny rok 1863, fatalne skutki powstania, miały ten jeszcze wśród innych dla Litwy rezultat, że ogołociły ją z ludzi jedni zginęli w nierównym boju, drudzy skazani na wygnanie, w znacznej części wśród tęsknoty i zabójczego klimatu śmierć znaleźli inni zemknęli za granicę. Ci zaś co pozostali, co być musieli świadkami lub ofiarami Murawjowskich rządów, wydani na pastwę siepaczy i znęcania się najpodlejsz ej klasy biurokratycznej hałastry, potrącani deptani, pędzili żywot opłakany. To też jedni z nich, nie widząc wyjścia z tego isticie dantejskiego piekła, pojeni z dnia na dzień goryczą wśród upokorzeń gnębieni, struci w przedwczesnej śmierci znaleźli schronienie drudzy, a takich było niemało, widząc jak się wszystko dokoła wali, co miało być podwaliną lepszej doli, jak wśród upodlenia i upadku ducha swoich, siła przed prawem rozpiera się i ciemieży i jak nikczemny żołdak na czele zgrai wołającej: *Et souillant son linceul chaste et sacr e lambeau Se vautre sur la vierge etendue au tombeau...*

V. Hugo (Les voix interieures).

ze zgrzytem zębów i uśmiechem szyderskim ku platonicznym sympatyom Europy, szukali ulgi i zapomnienia w rozpaczliwych nie rzadko środkach... Do takich należał Puszkina i to był najfatalniejszy okres jego życia, w którym zagrzął jak w bagnie, bez nadziei wydobyć się...

Chociaż nie zajmował się piórem, umiał jednak w razie danym ująć je a obdarzony bystrym umysłem i dowcipem subtelnym znanym był ze swych odpowiedzi, wobec wielkorządców Litwy, które nieraz, korzystając z rosyjskiego brzmienia swego nazwiska, w sposób cięty wypowiadał. Znanym też jest znakomity list jego, wierszem po rosyjsku napisany, w którym z gryzącą, pełną dowcipu i humoru ironią, poleca sprawę swego byłego kmiotka łaskawym względem mirowego sądu. Bali się go też jak ognia moskale - diejatele, których zwykle w poufał ej komitywie, jako imiennik znakomitego ich poety, zapożyczwszy nazwy z jego poematu, zwał, z uśmiechem: „Bratia razbojniki”.

Umarł po dwudziestu latach tej katuszy. Uprzedziły go dwie siostry, a za nim wraz poszła i żona. Na nim też i zakończył się ród Puszkiców na Litwie, w linii męskiej. W takim to domu, zanim to się wszystko stało, spędziłem parę tygodni, w przededniu wypadków, co miały nas rozłączyć na długo. Mc więc dziwnego że w przeczuciu zbliżającego się rozstania, czas ten szybko mi przemknął, to na przeglądzie lat ubiegłych, to na obejściu z nimi ścieżek pamiętnych, po gajach, polach — w ogrodzie, któryśmy założyli sami, gdzie każde prawie drzewo o kimś lub o czymś, tyle do powiedzenia nam miało gdzie nawet kaplica cmentarna w porze dziadów, wchodziła do programu życia i bywała nieraz tematem rozpraw o ludowej oświacie i o wrodzonej pojętności i zdolności naszego ludu a powód tego był taki:

- Przed dworem, na końcu długiej alei; na wzgórku wśród parku, stała kaplica unicka, zwrócona absydą do dworu, frontem do wsi przyległej. Niepodało się to dziedzicowi mówić o tem często z niesmakiem, dodając, że wieleby dał temu, ktoby mu ją odwrócił. Kaplica była z drzewa. Ale na Litwie w owym czasie nie łatwa to była sprawa nie łatwo było o architekta dobrego w miastach, cóż dopiero na wsi. Aż oto pewnego dnia, staje przed nim znany cieśla stajecki, własny jego poddany i mówi:

— Słyszałem czego pan żąda. Ja to panu wielmożnemu zrobię.

Spojrzał mu w oczy stary Puszkic, a że był surowym wobec ludu i popędliwego usposobienia, więc szorstko mu rzecze:

— Jakto, ty mi to zrobisz — ty? — czyś oszalał chłopie.

Ależ ja przecież nie pozwolę, rozebrać cerkwi, toż to gmach przecie. I któżby mi ją złożył potem...

— Ależ ja jej nie rozbiorę, odpowie chłop z pokorą; bądź pan spokojny. Ja ją odwrócę tak jak ona dziś stoi, z tem wszystki em co w niej jest, w całości, nawet z popem, gdyby mu przyszła chęć w tym czasie molebin prawić.

I gdy to mówił, tak jasnym blaskiem błysły mu oczy taka siła przekonania ozwała się w jego głosie, że uderzony tym objawem zapału i wiary w siebie potulnego zwykle kmiotka, zdecydował się P.... w jednej chwili, przyjął propozycję, i wydał stosownie rozkazy. Po dniach niewiele, ku zdziwieniu wszystkich, stała cerkiew frontem zwrócona do dworu.

XXII.

W czasie mojego tam pobytu, robiłem częste wycieczki, pieszo lub konno, w okolice. Zajęcia też gospodarskie, które rad dzieliłem, ileż to mi nastręczały materiału dla ołówka i obserwacji. — Poranki, wieczory, nawet dnie znojne wśród roboty, ileż to dały nieraz treści do pogadanki przy koście, żniwach dożynek. Lubiłem szczególnie pieszce wędrówki, bo w nich zupełnie czułem się niezależnym, bo można było jeszcze podówczas bujać swobodnie jak statek na morzu, po szerokich obszarach Litwy, przez gaje, pola, łąki i sioła. A jakież pocieszające spotykało się tam nieraz widoki!... Wszędzie praca, ład, spokój — nigdzie pijaństwa, karczmy puste!...

I czułem, że jakaś dziwna, nieznana, a raczej z sielanek tylko znana błogość, zstąpiła na tę ziemię żałoby, zstąpił pokój ludziom dobrej woli. Pokój! — i czemuż tak krótkie było jego trwanie!

Pewnego razu, idąc przez Jasin ze Stajek do Zadwiei, postrzegłem przy wyjściu z gaju, gromadkę wioskowych pastuszków, pod cieniem dzikiej gruszki. Tło i główny przedmiot obrazu były tak ponętne, tyle miały prawdziwie sielskiego wdzięku, z tą grupą dziatwy, z rozsypaną trzodą bydła na pochyłości ugoru, i oddaleniem ginącym gdzieś na dalekich planach, rozestanych po nad rzeczką łąk, i heń po za nimi, rozrzuconych wiosek i gajów żem się zatrzymał aby ten widok naszkicować. Czas jakiś, udało mi się być niewidzialnym.

Była to dziatwa wsi stajeckiej, znajoma mnie w większej części, z robót ogrodowych i szkółki. Przewodni był tej grupie chłopak lat może dziesięciu, Stefan, oczywiście w roli mentora, bo od czasu do czasu, dolatywały mię dźwięki wymawianych sylab: b-a, ba; które cała rzesza chłopców i dziewcząt powtarzała. Niekiedy słysząc było reprimandy, częściej jednak śmiechy. Pies, duży kundel, siedział nieopodal, spoglądając bystro w stronę, gdzie się pasło bydło, jakby pojmując, że w tej ważnej chwili, jego to jedynie czujności powierzona była straż. Trwało to dość długo, aż póki trzask złamanej gałązki pod memi nogami, nie zwrócił jego uwagi w tę stronę. Spostrzegłszy mię, warknął i rzucił się ku mnie. I dzieci się zrazu spłoszyły, ale poznawszy mię, przywołały psa i zbliżyły się.

— Cóżecie tam robili pod gruszką? — pytam ich, głaszcząc najmłodsze pacholę.

— My, panoczka, pasiom tu bydło, a Sciepan czytać nas uczyć; odpowiada mi dziewczynka pyzata i rezolutna o ciemnych włosach, ukwiecionych w bławatki, i podobnych bławatkom, dużych bystrych oczach.

— No, to dobrze ale cóż będzie, kiedy podczas gdy wy tu czytacie, bydło pójdzie do szkody, mówię nawpół seryo, nawpół z uśmiechem.

— Ej, niczoho panoczku do szkody ztąd daleko, a nasz Łysko nie dopuści do niej, odpowiada mi łamanym polsko - krywieckiem narzeczem. Jon tak i hledi i pilnuje, kab nieatłuczyła się ni adna karowa, i zaraz nazad honić.

— No i cóż — jakże tam wasze czytanie idzie? pytam, zwracając się, do Stefanka, który, jako celujący uczeń szkółki, wcale już nieźle mówił po polsku.

— A ot, Kasia — mówi wskazując na moją interlokutorkę, już kończy elementarz „po wierzchu”. Janko sylabizuje a Andrus, wskazując na chłopczyka, który pogłaskany, przytulił się do mnie, ten razem z mniejszymi dziećmi, uczy się liter, bo panienka*) kazała, żeby od jesieni przychodzili z nami wszyscy do szkółki.

— A masz-że ochotę do nauki Andrusiu? — pytam malca.

— O, i jak jeszcze, odpowiada za niego Stefan. On tylko o tem i mówi, jakbyto prędzej doczekać się, kiedy już nauczy się czytać, i pójdzie z książką do kościoła, razem z nami. Widząc, że ciekawi wiedzieć, com przed chwilą robił, pokazałem mój rysunek. Cała dziatwa rzuciła się do oglądania.

— A ot, hłań, hłań, Łysko siedzi ot i mamina krówka srokata, bezroga hłań; a ot i nasze barany heń tam pod górką — skubią trawę objaśniała Kasia, skupionej nad rysunkiem dziatwie.

— A to my, pod gruszką dorzucił Stefan. I nuż dalej rozglądać moje gryzmoły wśród chichotek upatrywać podobieństwa do gapiącej się rzeszy; słowem, zadowolenie i uznanie dla autora było zupełne.

Nagadawszy się tak do woli, rozbawiony na dobre, wśród ich figlów naiwnych, uprosiwszy by mi coś na odchodnym zaśpiewali — obdzieliłem dziatwę odrobiną łakoci, w które się zwykle w tym celu zaopatrywałem, i pożegnałem ją nie bez żalu. Ten spokój sielski ta szczerą dziecięcą prostotą, tak mię ujęły za serce, że długo jeszcze idąc w swą drogę spoglądałem ku nim.

— I gdzież się oni zwrócą — gdy dorosną? — pomyślałem. A gdy już odszedł o staj kilkanaście, doleciała mię jakby na pożegnanie, jakby na odpowiedź, jakby dla dopełnienia piękności tego obrazu, uroczysta, poważna nuta naszych kościelnych suplikacyi: „Bóg naszą ucieczką, i mocą!”...

*) Siostra Puszkina.

Zatrzymałem się. Śpiew ten nucony dziecinnymi głosy, wydał mi się zdała, jakby chór aniołów zwiastujący jakiś wielki fakt dziejowy.... Towarzyszył mu skowronek, co się ponad tem wszystkim trzepiocząc skrzydełkami, ku niebu wzbijał, jakby niosąc tę pieśń w niedościgłe wyżyny błękitu....

I w całej przyrodzie było uroczyście....

— O, tak, pomyślałem: „Bóg naszą ucieczką i mocą!”

„Quis ul Deus!”

XXIII.

Zbliżała się jesień nadeszła pora powrotu. Po odwiedzeniu więc blizkich i przyjaciół, a jak dobrze ktoś nazwał: krewnych z ducha, wróciłem do Nowogródka tym razem wzmocniony na ciele i duchu. Tęskno mi już było do cichego ustronia, do mojego klasztornego sąsiedztwa do organu i godzinek porannych, które mię nieraz dochodząc z kościoła, budziły rano. A i wiolonczella, której się w braku skrzypców oddawałem, pociągała mię. Dziwny miał dla mnie urok ten rzewny instrument, w śpiewnych melodyach, pod sklepieniem murów lasztornych.

Towarzyszem moim nieodstępnym w owym czasie był pudel, darowany od przyjaciół. Kładł mi się zwykle przy nogach, w czasie moich muzycznych produkcji. Poczciwe zwierzę, jakby w przeczuciu bliskiego rozstania, nie opuszczało mię na chwilę.

Okolice Nowogródka od północy i wschodu malownicze, często mię z nim widziały. Brecianka Białopiotrowiczów, sławna źródłem wybornej wody, w którą się zaopatruje miasto, Horodziłówna z pięknym lasem gęste zarosłe (pozostałość dębowego lasu) u stóp zamkowych wałów, usiane mnóstwem przedhistorycznych mogił — między Ekonomią i Brecianką, oto były miejsca, co mię

najczęściej pociągały. Z tej strony Nowogródek wspaniale się przedstawia i daje wyobrażenie pod pewnym względem, czym być mógł, gdy był warowną stolicą starej Litwy. Wysokie wały, stare poszczerbione baszty, kościoły, klasztory, cerkwie, na wyżynach gór rozsiadłe, grupują się tutaj w imponującą całość. Najmilszą mi jednak była cisza lasów, cisza pól, których już i skowronek nie ożywiał a z których tylko czasem, na falach wieczornego powiewu, wśród zmierzchu zstępującego na ziemię, dolatywał tęskny śpiew spóźnionej żniwiarki. O, bo i jakież to był kontrast z tem na co się w tym czasie między ludźmi zanosilo!

Nie brakło mi w tych przechadzkach sposobności mówienia z włościanami o sprawach bieżących. Dziwna na pozór, a w gruncie rzeczy, uzasadniona była postawa ludu naszego, wobec zapowiadanych reform, których celem głównym miała być jego emancypacja. Jakby na dane hasło, pomimo całego uroku, jaki wyraz swoboda ma i mieć musi dla człowieka, cała prawie ludność Litwy i Rusi, przyjęła o niej wiadomość z pewnem niedowierzaniem i jakby z obawą podstępny, jakby z obawą, aby nowość którą rząd razem z panami wprowadza, nie była gorszą od losu z którym się oswoiła przez wieki. Nie wierono, aby ztamtąd, gdzie było dotąd źródło niedoli — przyjść mogło dla niego dobro. Nawet tam, gdzie był dobry stosunek wsi do dworu, gdy przyszło do ogłoszenia i wprowadzenia nowych ustaw, normujących stosunek obywatela do kmiotka, gdy zwoływano urzędownie lud dla ich odczytania, nawet tam, niechętnie się zgromadzał — a niechętniej jeszcze, kładł swoje podpisy na aktach. Zdarzały się nawet wypadki, w których policja (nie bez ukrytej intencji, by niechęć ściągnąć na szlachtę).

Podobne podpisy, pod różgami zdobywała.

Jedno tylko, co z całem zaufaniem przyjął i ocenił chłop litewski, i którego rezultaty nie długo na się czekać kazały, to była wstrzemięźliwość i pierwsze kroki ku oświacie.

Nie minął rok, a już się chlubił zaoszczędzonym groszem, i poprawą gospodarstwa, czego rezultatem był spokój, ład i dobrobyt.

A trzeba było widzieć, z jaką dumą lubił opowiadać o swej dziatwie, która mu w dniach świątecznych, w miejsce karczemnych bakchanalii, czytała w domu „z książki, mądre rzeczy”, lub z kantyczek śpiewała pieśni nabożne. Zaprawdę, był to czas, kiedyśmy byli na dobrej drodze!...

XXIV.

O aresztowaniach, deportacjach, z dniem każdym częstsze dochodziły wieści. Całe tłumy wygnańców z Królestwa pędzono w Sybir. W Nowogródku wypadały im dniówki, więc składki bielizny, odzienia, pieniędzy, zajmowały mieszkańców wszelkich stanów. Kilka osób z młodzieży, uwięzionych za śpiewy, kazano pod eskortą wywieść do Mińska. Przeprowadzono ich ostentacyjnie o parę wiorst za miasto. Poczciwe chłopaki, usadowieni po dwóch na bryczkach pocztowych, pozowali na więźniów stanu. Około tego też czasu, artyleria stojąca dotąd w Nowogródku, ustąpiła miejsca kozakom i piechocie, której dowódzca Czertów, zamianowany został naczelnikiem powiatu. Wojenny stan rozciągnięto na całą Litwę.

W tym to mniej więcej czasie, zjechał do Nowogródka, zapowiadany od dawna, wizytator szkół Mohilański, wysłany z ministeryum, dla zwiedzenia zakładów naukowych w okręgu Białoruskim. Wizyta jego wypadła dla gimnazjum pomyślnie. Naukę wykładaną znalazł prawidłowie; postęp i zachowanie się uczniów, wzorowe. Słowem, zadowolenie z obu stron było zupełne. Ostatni wszakże dzień jego pobytu, zachmurzył ten nastrój pogodny. Na obiedzie danym dla niego przez marszałka, gdy pod wpływem dobrego usposobienia i toastów, ktoś z gości zagaił rzecz o krążących pogłoskach co do wrócenia uniwersytetu w Wilnie, i zapytał pana Mohilańskiego, coby o tem myślał, odpowiedział z całą dobroduszością, zwykłą niekiedy Rossyanom:

— Mogę panów zapewnić, że myliłby się bardzo, ktoby żywił w tym względzie jakiegokolwiek nadzieje. Aż nadto bowiem znanem jest rządowi, czym był w swoim czasie, i czym być mógłby w obecnych warunkach uniwersytet Wileński, aby go miał wracać, gdy go raz zniósł; szczególnie w widoku programu, który od dawna wytknął sobie względem tego kraju.

— Jakiego to, programu, czy nie można wiedzieć, ktoś zapytał.

— Zasymilowania Litwy z Rosyą, odrzekł Mohilański. Można sobie wyobrazić przynębiające wrażenie, jakie ta odpowiedź wywarła na słuchaczach, i wkrótce na całej społeczności litewskiej, wśród

której było wielu, co zwykli powtarzać przy każdym wyjeździe Nazimowa do stolicy: „że wojenny gubernator, tym razem, niezawodnie przywiezie w swym portfelu Uniwersytet dla Wilna”.

Po tej odpowiedzi, przeciwnikom manifestacji wypadła ostatnia broń z ręki. Zbliżały się wybory szlachty; ostatnie zatem dni roku zeszły na przygotowaniach, i omawianiu kwestyi adresu do tronu. Wiadomość o zapowiedzianem ustąpieniu Brochockiego z marszałkowstwa, dotknęła wszystkich, którym bliżej były znane niepospolite przymioty tego zacnego męża.

Jako obywatel, znany z najlepszej strony, w ciągu trzechlecia jako marszałek położył zasługi, które imię jego przekażą pamięci na długo. Zrozumieć, ocenić, podjąć i w czyn wprowadzić każdą myśl dobrą szlachetną, umiał on zawsze i wszędzie a czyniąc to, nie szukał ni chluby, ni rozgłosnej wdzięczności robił w przekonaniu, że tak robić należy, szczególnie tym, którym położenie społeczne nie szczędziło przywilejów. Jeżeli zaś jako człowiek w czemkolwiek mógł ustępować innym to nawzajem, nikt go nic przewyższył w poczuciu godności obywatela, w zrozumieniu stanowiska marszałka i w chętnym, oraz pełnym taktu pełnieniu jego obowiązków. Ale nadszedł czas, w którym położenie jego stawało się wobec nowych władz niemożliwym. I to go mianowicie skłoniło do ustąpienia.

Nadesłano mi kilka ostrzeżeń, abym się miał na baczności, z powodu możebnej rewizji. Przejrzałem papiery, spaliłem wszystko, cokolwiek mogłoby mię narażać. Uwięzienia dla siebie nie lękałem się, gdyż oprócz pierwotnego grzechu, w oczach rosyjskiego rządu, żem się urodził Litwinem, i czułem się Polakiem, nic nie mogło przeciw mnie świadczyć, pomimo donosów. Owszem, jako nauczyciel gimnazjum i wierny syn ojczyzny, pracowałem wszędzie i zawsze i nie bez narażenia się nieraz, nad wdrożeniem młodzieży do pracy, do porządku, do posłuszeństwa i spełniania obowiązków, w przekonaniu, że tylko surowa szkoła tworzy dzielne charaktery, i że tych nam przedewszystkiem trzeba...

XXV.

Śród zwykłych zajęć, w szkole, na pensji — w szkółkach i w pracowni, nadeszły święta Bożego narodzenia. Wilię i kilka dni następnych spędziłem w Zadwiei, śród ciepłego kółka bliskich sercu. Zastałem tam gościa z Warszawy B. D... co się później dał poznać jako podróżnik i uczony. Po patryarchalnej willi — w kółku miłych pań, śród których pociągała ku sobie pięknoscią duszy wdzięczna i idealna postać gospodyni domu *), przeszedł nam wieczór i większa część nocy, na pogadance, do której tyle dostarczały materiału bieżące wypadki. Każdy czuł, że się zbliża chwila stanowcza, po za którą ciemna i groźna czeka przyszłość. Nikt o tem nie mówił chociaż słowa nieraz drżały na ustach ale czuł każdy naciągnięte struny uczuć tak wysoko — że dość było czasem lekkiego potrącenia, aby jęły boleśnie. Wypowiedziany nieuważnie wiersz Mickiewicza

*) Z Jodków, Mierzejewska Marya, zmarła w 1864 roku.

„Do matki polki” wobec pewnej matki, która w swym jedynaku złożyła bezmierną miłość, przyprawiła ją o zemdlenie. Chociaż odzyskawszy zmysły, by uspokoić otaczających, rzekła z anielską słodyczą: „a jednak oddaję go wam!” i powtórzyła strofę:

„Zwyciężonemu za pomnik grobowy,
Zostaną, suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy,
I długie, nocne rodaków rozmowy”.

To też niezadługo potem serce to szlachetne pod ogromem nieszczęść, na wieki bić przestało.

I moje też pożegnanie z matką tym razem, inne było niż zazwyczaj. Czuliśmy oboje w uściśnięciu ostatniem, że fatalna ręka losu rozdziela nas na zawsze. Ja, wiedziałem co mię czeka, ona przeczuła to sercem matki. A i nie mogła też nie widzieć, jak cała budowa jej matczynych rojeń, waliła się w gruzy, i czarna noc po dniach jasnych zstępowała, ale też pojmowała i siłę obowiązków ona, co mi nuciła kiedyś nad kolebką piosnkę „matki obywatelki” Książniczka. To też rozstaliśmy się bez słów bo serca zanadto wezbrane były łzami! Długom jeszcze czułem jej błogosławieństwo słane mi z progu domu, którego nie miałem już nigdy przestąpić...

O jakże mi się zajmującym wydało teraz wszystko na com spoglądał w powrocie! Te nasze pola, wsie, lasy, powabem zimowej krasy porywały oczy. Dzień mroźny rozsypał miliardy iskier po śniegu i szronie wśród pól i gałęzi, świerków i sosen. Tajemnicza głębia lasu, zdawała się wabić ku sobie, obiecując spokój. Dymy po nad wsiami unosząc się wysoko zarumienione od słońca, tworzyły u góry fantastyczne kopuły i gmachy jakby jakichś nadpowietrznych świątyń, jakby widma innych lepszych światów.

A tymczasem dzielne konie unosiły sanie po gładkiej drodze. — Migwały wsie, gaje, zajazdy, wzgórza, doliny szybko jak senne widzenia. Chwytałem je chciwie oczyma duszy by utrwalić na zawsze w pamięci.

Miało to mi być zasobem na długie lata!...

Do Nowogródka przybyłem w porę. Ledwie wszedł na próg, wpada kilku gimnazystów, i tak mówią: Przychodzimy prosić o radę. Mamy wiadomość, że dziś wieczorem wyjeżdża horodniczy do Mińska z donosami; pewna więc partya z kolegów naszych, podmówiona, powzięła zamiar zrobić zasadzkę za miastem na drodze korelickiej, i obić go. Myśmy się temu opierali, ale tamci przemogli, i postanowili wykonać napad. Co robić?

Podziękowałem młodzieży za jej zaufanie i taką, dałem odpowiedź:

— Idźcie wraz do nich i powiedzcie, że im tego nie radzę a to dlatego:
1. że to nie po rycersku, a więc i nie po polsku, wypadać z za płotu na jednego człowieka;
2. że Rossyi nie brak podobnych mu ludzi, co by go zastąpili chętnie; 3. że podobny napad byłby tylko dla rządu korzystnym, bo podałby powód do nowych ucisków, których już i bez tego mamy tyle a których pierwszym objawem byłoby zniesienie gimnazjum. Poszli i awantura została zażegnana. Odtąd z każdą myślą spieszyli się ze mną podzielić, i to ich salwowało czas długi. Okoliczność ta wszakże spowodowała mię, że po aradzeniu się ze starszyzną, na usilne żądanie, podjąłem się wystosować odezwę do publiczności, wzywając ją w imię miłości ojczyzny, do zaprzestania manifestacji, podburzania młodzieży, itp. Osnowa jej była następna. Obliczywszy fatalne skutki nadużycia sztucznych demonstracji, zwróciłem uwagę na sprawę piękną, która leżała na stole, sprawę ludową. Zwróciłem uwagę, na mnożące się z dniem każdym podmuchy, którymi starano się jątrzyć lud wiejski przeciw szlachcie. Zachęcałem więc, aby tę energię, jaką dotąd ogół, ze szkodą interesów kraju, rozwijał, dla objawów powierzchownych, spotęgował i zwrócił ku sprawie żywej, od której przyszłość zależy, a której główną podstawą oświata. Postawiłem więc wniosek: aby w czasie gdy ufność ludu ku szlachcie stara się wróg nasz podkopać tażsama szlachta, w odpowiedzi na nieczne potwarze, dała temuż ludowi największe dobro światło. Aby więc w tym celu, za uzbierane ze składek pieniądze, słała do szkół i uniwersytetów, wybranych synów z tego ludu, w celu, aby ci wróciwszy potem, pomni komu zawdzięczają naukę i czymi towarzyszami byli do niedawna, stali się rzecznikami tejże szlachty wobec swych ojców i dali świadectwo prawdzie. Bo tylko na tej drodze, oświeconej pochodnią prawdziwego światła, możliwe pojednanie i porozumienie tych dwóch poważnionych dotąd stanów. Bo i któż nie przyzna, że młody człowiek wróciwszy z ławy szkolnej lub uniwersyteckiej pod rodzinną strzechę, chociażby tam miał być przelotnym gościem nie byłby rzecznikiem prawdy o wiele więcej pożądanym, i z większą wiarą słuchanym niż wszyscy apostołowie fałszu podający go za prawdę często przedajni zawsze nikczemni.

Odezwę tę wysłano w różne strony Litwy.

Rok 1863.

Naród polski nierównie bliższym byłby dzisiaj ostatecznego oswobodzenia, gdyby zamiast wyczerpywać swoje siły w rozpaczliwy sposób, był je oszczędził i rozwinął, w celu podniesienia kraju, we względzie moralnym i materyalnym, i wydobycia w nim sił nieużytych ludu.

(Odpowiedź Kutuzowa jenerałowi Skobelewowi).

XXVI.

Rok 1863 zastał szlachtę gubernii Mińskiej pod wrażeniem niepowodzenia, z powodu nieprzyjętego adresu do tronu, w sprawie przyłączenia tak zwanych „zachodnich prowincyi” do Królestwa.

Ci co byli za jego podaniem, motywowali ten krok, opierając go na danym niegdyś przyrzeczeniu cesarza Aleksandra Igo tem, że wśród okoliczności, które wymusiły na rządzie, nie mało ustępstw, i wobec przyszłości, której konstelacje podług nich, miały być pomyślne dla Polski, zaznaczenie dawnych jej granic takim adresem, było w tym czasie koniecznym i politycznym.

Przeciwnicy utrzymywali, że domaganie się rzeczy, którą bez żadnej wątpliwości, spotkaćby musiała odmowa, było i niepraktyczne i niepolityczne, niepraktyczne gdyż dla braku siły potrzebnej do nacisku, przyzwyczajaliby rząd do lekceważenia proszących niepolityczne bo drażnić go i zwracać uwagę wtedy, kiedy szło o jej uśpienie wśród zaczętej, w tak ważnej dobie, wśród siebie i ludu roboty, byłoby to podkopywać własne dzieło, w samym jego początku. Co więcej, fakt ten, jako wyraz manifestacji, dorzuciłby paliwa do tego rodzaju objawów, które w swym czasie naturalne i pod pewnym względem pożyteczne, z czasem zużyte i nadużyte, coraz bardziej szkodliwymi się stawały. Lud wiejski bowiem, nie tylko w nich nie brał udziału, ale się stał im niechętnym, odkąd, dając ucha podszeptom, słowa śpiewanego hymnu: „Wróć nam Ojczyznę”! brał za słowa: „wróć nam pańszczyznę”!

Gdy wszakże stronnictwo pierwsze przemogło, adres w czasie sejmików mińskich został napisany i podany. Służył mu za wzór takiż, podany przez szlachtę gubernii podolskiej. Podobny też go i los spotkał nie był przyjęty. Skończyło się wszystko na wpisaniu go do protokołu czynności sejmikowych 1862 roku. I gdybyż się to jeszcze na tem skończyło ale naturalnem tego następstwem było wraz obostrzenie stanu wojennego, utrudnienia policyjne, wywiezienie kilku wpływowych osobistości w głąb Rosyi (Napoleon Jeleński, Dominik Korbut) i rozdrażnienie ogólne. Ci zaś, których wpływ i praca mogły mieć skutki dodatnie znalazłszy się w mniejszości pod presją dwóch stron: rządu i demonstratorów opuścili ręce. Słowem, kraj tracił ludzi użytecznych i światłych a nabywał w zamian deklamatorów i warchołów, nierzadko podejrzaną barwy, którzy z łatwego patryotyzmu robiąc profesję ubrani w długie cholewy i konfederatki, przywozili tłumom w tłuczeniu okien tym, co się inaczej na tę sprawę zapatrywali. Tacy to później wyszedłszy ostentacyjnie do partyi, opatrzeni zawczasu w pasporta i pieniądze pierwsi zemknęli za granicę, postrzegłszy że Moskale strzelają nie na żarty.

W tym to czasie przybył z Warszawy w okolice Nowogródzkie delegat, wysłany w celu zbadania, o ile Królestwo liczyć mogło na poparcie Litwy, w razie zdecydowanego powstania. Po rozpatrzeniu się więc należytem i porozumieniu z tymi, co byli rzeczy świadomi, stanęło na tem, aby oświadczyć stanowczo że w położeniu Litwy, w jakim się od niedawna znajdowała wobec zapowiedzianego uwolnienia z poddaństwa ludu, — i zaczętej nad jego podniesieniem pracy, powstanie dla Litwy byłoby ciosem śmiertelnym aktem lekkomyślności samobójstwem. Że korzystnem byłoby tylko dla rządu któryby nieomieszkiał wmawiać ludowi, że jest dziełem szlachty, niechętniej jego uwłaszcczeniu. Że więc nie tylko należy na teraz zaniechać myśli o jakimkolwiek bądź ruchu, ale przeciwnie, starać się najusilniej, o zaprzestanie wszystkiego, co sprowadza niepokój co rzuca młódź na pole niedojrzałych pomysłów, których następstwem ucisk i ruina. Jednem słowem, że należało pracować i czekać.

— Dajcie nam dziesięć lat czasu, a połączym Litwę, Ruś i Polskę silnej o wiele niżby to uczynić mogły wszelkie proponowane adresy i akty! Taka otrzymał odpowiedź delegat warszawski w ostatnich dniach 1862 roku na Litwie w ziemi Nowogródzkiej. Lecz fatalność inaczej chciała. Z jednej strony niewczesne zachcianki emigracyi w kierowaniu sprawami kraju, z drugiej nieporozumienia dwóch ludzi na czele narodu, z których jeden miał za sobą szacunek powszechny, drugi, niepospolite zdolności, lecz jeszcze większą pychę a żaden nie posiadał przenikliwości męża stanu, przyspieszyły uprawę gruntu dla katastrofy. Pobór rekruta, w Królestwie, był już tylko ostatnią kroplą, co przepełniła miarę krzywd i goryczy, jakimi pojono naród od wieku. Rząd rossyjski skompromitowany w wypadkach ulicznych Warszawy, nie mogąc już dalej strzelać do bezbronnych tłumów, bez ściągnięcia nagany nawet nieprzyjaznych Polsce rządów, po wybuchu powstania chwycił się go, jak deski ratunku, by się odegrać na Litwie. Od chwili bowiem, gdy ruch przekroczył granicę i objawił się za Bugiem, podało mu to sposobność skończyć raz na zawsze, z nienawistnym mu tam żywiołem polskim. To czego dotąd uczynić nie mógł, nasuwało mu się samo do rąk; powstanie bowiem na Litwie otwierając mu w tym względzie szerokie pole, dawało mu wszystkie szanse wygranej. A więc działając ze zwykłą sobie perfidyą, nie stawiał przeszkód ani tworzeniu się partyi, które nieraz w dzień

biały jak to było w Mińsku Litt. wychodziły do lasu*), ani tępiąc je pospiesznie. Owszem, od czasu gdy po odprawie danej przez Gorczakowa gabinetom Europy, współczucie jej dla powstałej Polski, okazało się li tylko platonicznem, czekał aż się gorętszy żywioł z miast i wsi wyniesie, aż dopóki organizacja (gdy się o jej istnieniu upewnił) najszerszych kół nie obejmie, aby potem, wszystko to razem zagarnąć i zdusić jednych w nierównym boju wymordować drugich uwięzić, i w Sybir wysłać innych, którzy by umknąć zdołali, nazawsze się pozbyć, majątki zaś tych i owych, na skarb zabrać kościoły jedne pokasować, drugie w przeważnej części, usłużnym rządowi księżom oddać, prawosławie wprowadzić, i jednym zamachem, wszystko, co miało cechę polskości, z jej cywilizacją, dobrobytem, mową, na Litwie zniszczyć. Załatwiwszy się zaś w ten sposób z żywiołem polskim (szlachtą) pozostało mu już tylko, resztki jego z ludem wiejskim skłócić, rzucając zniszczony i znękany kraj na pastwę wyrzutom swojej społeczności. Im to danem było, stłumić uczucie religijne tego ludu, zbudzić niskie instynkta, zatrzeć poszanowanie cudzej własności, prawa, a natomiast depcąc jego wiarę, moralność, wprowadzić anarchię rabunek, z nim nędzę moralną i materyalną jednym słowem, przeprowadzając tabula rasa, jako ostatni wyraz mściwej polityki Murawjewa, dokonać najważniejszego zadania: „Obrusienia Litwy”.

Czy im się to udało i czy uda? przyszłość pokaże. To tylko pewna, że wobec tego co się tam w ciągu lat dwudziestu stało i co dziś się, tam dzieje, powstanie 1863 roku od czasu rozdarcia Polski, uważanem być musi jako cios najcięższy, jaki ugodził Litwę.

*) Dnia 18 kwietnia, o godzinie litej przed południem, sygnał trąbki moskiewskiej, zwołującej na kaszę, był pierwszym hasłem wyjścia powstańców z Mińska. Wszystkie dorożki były przez nich zajęte, obwoząc młodzież po mieście na pożegnania — w ubiorach powstańczych. Wszyscy to widzieli władze, policja itp.; nikt nie bronił. Fiakry głośno wyliczali, wielu z nich każdy dostawił paniczów, do pewnej karczmy na trakcie Ihumeńskim.

Jakże mi pamiętny nieszczęsny ów ranek, w którym szanowny mój sąsiad co się każdą wieścią dzielił ze mną wszedłszy do mnie wcześniej niż zwykle, te fatalne rzekł słowa:

— Złe wieści, przynoszę: — Powstanie w Królestwie!...

Jakkolwiek przygotowany zdrętwiałem. Oba w milczeniu jedną myślą przejęci spojrzeliśmy w ciemną, straszną dal....

— A więc powiadam po chwili, wszystko przepadło mój ojcie kochany nasze szkoły, czytelnie, nasze prace nad ludem, wszystko skończyło się.... Zacznie się robota wrogów, panowanie renegatów i popów a któż wie, może zacznie się robota z nożem i kieliszkiem w rękę. Wszak słyszałeś ich pogroźki! A więc sami dla siebie kopimy grób!

Bóg wielki; odpowie mi ten zacny kapłan w rzeczach takiej wagi, jak obecna nic się bez jego woli nie dzieje. Śnać jeszcześmy niegodni widzieć owocu tej pracy a może nawet i niegodni stanąć do niej.... Zaufaliśmy sobie zanadto. Ot patrz, pocziwy nasz ks. Łaskiewicz przekonany najmocniej, że 400 włościan z pod Wsielubia stanie na pierwsze jego hasło z kosami przeciw Moskwie. I mówże mu teraz, że co długie lata, co mówię, wieki zrobiły nie odrobić tego w jednej chwili; i że to w czym on i jemu podobni widzą dziś zasługę wobec ojczyzny, stanie się dla niej klęską. Zapomnieliśmy, że co ma być trwałem, niemało czasu i pracy wymaga, aby się przyjęło i wzrosło i że zapal tworzy cuda tylko na przygotowanym gruncie a myśmy na to ni czasu ni chęci nie mieli. Jaka praca taki plon.

Prawda mój ojcie, ale cóżeśmy temu winni — my? I my winniśmy. Nie mieliśmy odwagi mówienia prawdy, gdy był czas po temu, tym co byli możni a których przykład na innych oddziaływał milczeliśmy gdy mówić należało wszyscyśmy winni!

— O tak, odrzekłem, za późno niestety wzięliśmy się do ludu, za wcześniej do broni.... Entuzjazm nami rządzi nie rozum.... umiemy ginąć za ojczyznę lecz nie umiemy pracować dla niej!

XXVII.

Powstanie 1831 roku, pomimo wyćwiczonych armii i wielu szans zwycięstwa upadło.

Powstanie 1863 roku zredukowane do partyzantki złożonej z garstki młodzieży, służby dworskiej, garstki mieszczaństwa i nielicznych włościan, oparte na sympatiach platonicznych Europy upaść musiało. Dlaczego ?

Oto, tu i tam, masa narodu, siła jego materialna lud, nie brał w niem udziału. Tu i tam, siły jego nie zużytkowane, leżały odłogiem a że one w losach naszych mieć muszą niepoślednią wagę, dowodem zabiegów rządu w celu pozyskania ich. Jeżeli zaś zdarzyły się wyjątki gdziekolwiek, były tak rzadkie i tak sporadyczne, że ich w rachubę brać nie można. Ogół ludności wiejskiej zachował się biernie, tak w Królestwie jak i w Litwie. Tu i tam, usposobienie swoje dla powstania i dla rządu, wyrażał jednako dyplomatycznie: „Niech Bóg pomoże temu kto nam dobrze życzy”. Niechaj Bohpamahaje tamu, chto nam dobre zyczyć....

Otóż, aby te jego słowa były zrozumiałe po wszystkie Czesy niech mi wolno będzie, wobec rezultatów, aż nadto już dzisiaj znanych i jasnych, zwrócić uwagę czytelnika na ich przyczyny, — to jest, rzucić okiem wstecz, choćby pobieżnie, na przebieg sprawy ludowej w Polsce, w głównych jej zarysach.

Pogląd nasz opieramy na powadze autorów znanych z wytrawności sądu, z trzeźwości zapatrywań na sprawy krajowe, że wspomnimy wśród innych Kołatają, Andrzeja Zamojskiego, Lelewela, Tomasza Potockiego (Krzystopora).

Sprawa własności ziemskiej przechodziła w Polsce tożsame koleje, jak u innych narodów Europy. Przedstawia się nam ona w czterech stadyach.

Pierwszy okres, ukazuje ją nam we wspólnym Sławiańszczyźnie gminowładztwie, obejmuje stopniowe jego ścieśnienia, a kończy się w X wieku, za czasów Mieczysława, ustaleniem na jego miejscu absolutnego rządu.

Drugi okres Piastów czyli dziedziczności tronu, wysuwając naprzód w XII, XIII i XIV wieku rycerstwo, wprowadza pierwsze ślady feudalnego systemu, a z nim możnowładztwo, i podkopuje władzę królewską, która z swojej strony — aby zrównoważyć tę dążność, opiera się na gminie i stara się podnieść dobry jej byt i znaczenie. Uwieńczeniem tej dążności jest panowanie Kazimierza. Za niego, jedność państwa już jest ustalona król wprowadzić nie jest wszechwładnym, ale ma wielką siłę w swem ręku. Szlachta występuje jako stan oddzielny, lecz jeszcze nie wyłączny, jej rodowość staje się prawną ale i gmin ma swoje prawa, ściśle określone, a między nim a szlachtą istnieje stan trzeci, miejski, silny przemysłem i bogactwem, choć na nieszczęście wprowadzeniem obcego prawa, tworzący status in statu, niejako wyłączający się od narodu.

Okres trzeci, jest rozwinięciem, rozkiełzaniem, a nareszcie przez wypaczenie ostateczne zasad republikańskiego rządu, upadkiem demokracji szlacheckiej. Śród niego, z początku nagromadzone w poprzednim czasie zasoby, rodzą wielką pomyślność. Litwa i Ruś łączą się z Rzeczpospolitą królowie lubo w zasadzie prawnej obieralni, de facto, dziedziczą koronę lecz aby sobie zapewnić to sztuczne dziedzictwo, coraz więcej puszczają wodze szlachcie, poświęcając jej samowolności miasta i gminy, owe tak obfite źródła bogactwa i potęgi.

Pierwsze, utracają wszelkie prawa polityczne a włościanie za Olbrachta, statutem 1496 roku, wyjęci z pod opieki powszechnego prawa, poddani jurysdykcji dominialnej, utraciwszy możliwość nabywania własności, jakby przepaścią nieprzebytą rozdzieleni od narodu, nędznieją i nikczemnieją. Peryod to możnowładztwa najfatalniejszy w dziejach Polski. Za królów cudzoziemców, jeszcze bardziej wzmagają się przywileje szlachty, lecz już nie owej rycerskiej i dzielnej, lecz zgnuśniałej, i w sejmikowych burdach, pieniactwach, szafującej resztkami animuszu, a co gorsza, służącej bezwiednie partyom kandydatów do tronu. To też pogorszą się dola ludu wiejskiego, wzrasta bezrząd, który nareszcie prowadzi do rozbioru.

Naprawa Rzeczypospolitej, za Zygmunta-Augusta, pogorszyła jeszcze bardziej położenie chłopów w niczem bowiem nie zmieniono zasad prawodawstwa, tylko zaniedbane i zapomniane przepisy policyjne, a zwłaszcza obowiązki i ciężary, napowrót odgrzebano. „Zrządziła ona, mówi Lelewel*), cięższem jarzmo na klasę poddaną nałożone, zatruta swobody, które jeszcze dyszały, jako owoc starej wolności, zniszczyła tę część prawa ziemskiego, która była dla kmieci, targając do ostatka te węzły obywatelskie, które ją do panów zbliżały.

Odtąd, nie było tylko pan i poddany".

Nakoniec konfederacja jeneralna po śmierci Zygmunta Augusta zawiązana, dopełniła miary, głosząc między innymi:

*) Posiadłości kmieci.

„Wszakże przez tę konfederację naszą, zwierzchności żadnej nad poddanymi ich, tak panów duchownych jak świeckich, nie derogujemy, i posłuszeństwa żadnego poddanych przeciwko panom nie psujemy owszem, jeźliby takowa licencya gdzie była, sub praetextu religionis, tedy jako zawsze było, będzie wolno i teraz, każdemu panu poddanego swego nieposłusznego, tam in spiritualibus, quam in saecularibus, podług rozumienia swego ukarać. Odtąd, prawodawstwo zamilkło zupełnie o losie poddanych, a poczęło się trudnić tylko ściąganiem ich i karaniem. (Krzyż - topór).

„Żadnemu już — mówi Kromer — nie wolno ruszyć się bez pozwolenia pańskiego, tak, iż podobni do ludzi przywiązanych do ziemi, i niewiele różnią się od niewolników” itd.

„Prawdziwie, ściska się serce, mówi dalej Krzyż-topór, porównywając czasy Kazimierzowskie, z późniejszymi czasami! Boleśnie pomyśleć na jak zbawiennej drodze, znajdował się naród polski, jak wyprzedził inne o kilka wieków chrześcijańskim wykształceniem, i jak jedno zwichnięcie zasady, całą tę świetność na długie zagrzebało wieki! Statut Jana Albrechta oto pamiętna epoka zepsucia organizacji społecznej, oto główna przyczyna wszystkich nieszczęść jakie się na nas zwały”.

Włościanin nie mając własności ziemskiej, nie starał się o upiększenie swej siedziby, nie myślał nawet o starannej swych działków uprawie żył z dnia na dzień, bez celu i nadziei. Szlachcic zajęty li — życiem publicznym, sejmikowaniem, wojną zewnętrzną, lub wewnętrznymi rozterkami, mało dbał o poprawę swych folwarków. Mieszczanin wykluczony od własności ziemskiej, a prawami fiskalnemi i ciągłym niepokojem tamowany w swym handlu i przemyśle, także zgnuśniał i podupadł. To nam tłumaczy zmniejszenie ogólne produkcji, brak kapitałów, trudność kredytu. Każdy żył tymczasowo, nie myśląc o przyszłości, jakby w obozie bo też cała Polska, była jakby przednią strażą Europy. To też gdy się już stała mniej dla niej potrzebną patrzyła obojętnie na jej rozdarcie dokonane z pogwałceniem praw boskich i ludzkich. Nareszcie okres czwarty, obejmuje usiłowania ku odbudowaniu, ku skupieniu na nowo rozpieczętowanych zarodków organicznych, ku poprawie zwichniętych instytucji i wykorzenienia wad narodowych. Jestto walka patriotyzmu i rozsądku narodowego z zewnętrznym ciśnieniem i wewnątrz zaszczepioną trucizną, rozpoczęta jeszcze za czasów niepodległości, a przedłużająca się po rozbiórce, jakby życiem pośmiertnym, wśród nieustannych odmian politycznych i pod różnymi rządami.

Jednocześnie bowiem, z wzrastającą reakcją szlachty przeciw wiejskiemu stanowi, znaleźli się w gronie samejże szlachty prześladowczej ludzie, z wznioślejszem uczuciem, a zwłaszcza, ze wzrokiem dalej sięgającym, którzy stanęli w obronie uciśnionego wieśniactwa. Wyliczymy ich imiona, jako przynoszące zaszczyt naszemu narodowi, a które każdy Polak, każdy przyjaciel ludzkości znać i powtarzać powinien Kromer, Frycz Modrzewski, Jakób Przyłuski, Petrycy Krasiński, Marcin Szmigielski, Fabian Birkowski, Piotr Skarga, Aleksander Olizarowski, Jacek Liberiusz, Witwicki biskup, Antoni Szyrma, Marcin Kurzeniecki, Opaliński, Starowolski, ks. Rudomina, ks. Gielarowski, ks. Zrzelski. Poszły za tem projekty urządzenia włościan, z pośród których odznaczał się projekt przez Andrzeja Zamojskiego wypracowany upadł wszakże, ale uczynił silne wrażenie na opinii publicznej, jako wyznanie wiary stronnictwa, chcącego szczerze naprawy Rzeczypospolitej. Nie brakło też przykładów, w których te dążności organiczne czynem się objawiły.

Andrzej Zamojski, Stanisław Poniatowski, podskarbi W. Ks. Litewski. Joachim Chreptowicz, ks. prałat Paweł Brzostowski, uwolnili z poddaństwa, zmniejszali pańszczyznę motu proprio, zmieniali ją na czynsz.

„Najciekawszy z projektów, jest bez wątpienia, mówi Korzon (wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta), projekt H. Kołłątaja. Zdaje się, jakobyśmy słyszeli głos Rousseau'a, lub teorie wygłaszane w konstytucji francuskiej. Projekt ten ująć się da w następujące zasady: Wszelki człowiek w Rzeczypospolitej zrodzony, lub do niej przybyły, wolnym jest nikomu nie wolno drugiego brać w swoją własność. Każdy człowiek zwolniwszy się od obowiązków kontraktu przyjętego na siebie, nie ma zresztą innych wobec dziedzica lub właściciela zobowiązań. Kto rolnika zabije, podlega nie tylko grzywnie, ale i karze śmierci, a wszyscy włościanie mogą wieś jego opuścić. Za okaleczenie,

przysługuje chłopu prawo, nie tylko pozwać pana przed sąd, ale nadto opuścić wieś jego, wraz z całą rodziną nie dopełniwszy nawet przyjętych na się warunków kontraktu. W sprawach mniejszych, między włościanami sędzi dziedzic większe zaś podlegają orzecznictwu sądów państwowych. Stosunki między panem a chłopem opierają się wyłącznie na kontrakcie".

To też ustawa 3 maja urządza stosunek dziedziców do ludu w myśl teorii Kołłątaja, na zasadzie umowy. Nie nadaje jednak własności. Brak tu jeszcze tego stanowczego przeprowadzenia reformy, której wykonanie pozostawionym było konstytucji księstwa warszawskiego 1807 roku, ogłaszającej chłopom własność ziemi dostępną dla każdego znoszącej policyjne ścieśnienia i zależność od panów. Nie zapominajmy jednak, że inne rządy, jeszcze w wieku XIX, potrzebowały całych dziesiątków lat do przeprowadzenia takiej reformy w zupełności że gdzieindziej, jak w Węgrzech w roku 1765, odrzucono na sejmie wprost wszelką myśl, uregulowania stosunków między chłopem a panem że nawet w Prusiech, energiczny i wszechwładny Fryderyk II, musiał ustąpić przed szlachtą z zamiarem zniesienia poddaństwa „przypomnijmy sobie, że od wschodu w Rosyi nie dał się słyszeć ani jeden głos za uciśnionymi wieśniakami, których los był o wiele gorszy niż w Polsce", mówi Krzysztopor że ztamtąd oskarżano twórców konstytucji o demagogię". Jeżeli we Francyi sprawę włościańską załatwiono pomyślniej, to niewolno nam spuszczać z oka, że działał tam stan trzeci, nie posiadający dóbr ziemskich, stan, który niebawem potem szlachtę gilotynował. Niepotępiamy więc stronnictwa reformy na sejmie czteroletnim, które bądź co bądź, łamiąc pierwsze lody, uczyniło wielki krok naprzód, w kierunku ulepszenia doli ludu wiejskiego, ogłaszając śród innych, że jest pod opieką prawa".

Konstytucja 3 maja dowiodła, że Polska chociaż upadła nieładem własnym, jak niemniej przemocą i zdradą sąsiadów, nie upadła jednak tak nisko, ażeby nie mogła się podnieść. Do ułożenia tej ustawy należało tylko kilkudziesięciu, lecz cały naród przyjął ją jednomyślnie z zapalem. Jakiegokolwiek były błędy Polaków w przeszłości, konstytucja 3 maja, jako dzieło niewymuszonej woli motu proprio przez szlachtę podjęte, zmazało ich winy, ocaliło honor Polski. „Szczęśliwe to zjawisko, cud ten, nieznane dotąd połączenie mądrości i pomyślnego losu, uświęca się jeszcze tem że ani kropli krwi nie kosztowało" itd. wyrzekł Edmund Burkw w parlamencie angielskim, mówiąc o Polsce na pochwałę konstytucji 3 maja.

XXVII.

Inny stan rzeczy był w tak zwanych „prowincjach zabranych". Dobrodziejstw, które otrzymał lud polski, nie zaznał chłop litewsko-ruski, pod zaborem rosyjskim. Na Litwie i Rusi przez Rosyę zajętych, włościanin ostatek swobód utracił. Przypisany do ziemi r. 1783 za Katarzyny II, ogłoszony poddanym dziedzica, rzucony mu niejako na pastwę, znalazł się stokroć nędzniejszym, niż za najgorszych czasów Rzeczypospolitej. „Gdy zaś tu dziedzice innego są przeważnie szczepu, a nierzadko innego wyznania, rząd więc uważając ich za obcych, i za wrogów, jako z takimi, z całą podejrzliwością władzy nieprzyjaznej postępując, przez popów i urzędników, na zasadzie: divide et impera jątrzy z panem chłopą, przeszkadza ich zbliżeniu i pojednaniu. Przytem łatwość sprzedaży, statutem litewskim do 1836 r. tam panującym, zastrzeżona, i polityczne wstrząśnienia, wydaliby po części posiadaczy, których jakieś wspomnienia z poddanymi łączyły. Jeszcze w majątkach większych, puszcanych w dzierżawę, od chwili zawarcia kontraktu, chłop w swym dziedzicu miał obronę przeciw nadużyciom dzierżawcy, nb. jeżeli się mógł do niego docisnąć, ale tam, gdzie dziedzic przesiadując w Warszawie, Wiedniu, Paryżu, poruczał rządy dóbr administracyi, tak zwanym gubernatorom jak się to praktykowało szczególnie w ziemiach ruskich tam los kmiotka był opłakany dorównywał mu chyba stan włościan w mniejszych majątkach u dorobkiewiczów, gdzie uciemiężenie, a z niem, nędza i niemoralność ludu przechodziła wszelkie pojęcie" (Krzyż-topor).

To też rzeczywistym siedliskiem niewoli, były dobra szlacheckie a nie należy zapominać, że mieścili one w sobie połowę całkowitej ludności wiejskiej. Ta ogromna masa tłumaczy, dlaczego włościanin szlachecki stał się typem u obcych chłopą polskiego dlaczego powiedziano, że powinności dworskie, są cięższe w Polsce niż u innych narodów dlaczego rozróżniali oni w Polsce dwie tylko klasy ciemnych i uciemiężonych. I były w istocie cięższe. Nie co do ilości i jakości, i owszem, były one

prawie jednakowe z powinnościami feudalnymi Francji i krajów niemieckich były nawet mniej liczne, mniej rozmaite ale złe leżało w tym, że rozmiar ich nie był stale określony że mogły być zmniejszane lub zwiększane, stosownie do woli lub chciwości dziedzica, któremu prawo żadnej w tym kierunku nie stawiało tamy". „Uzbrojona we władzę chciwość, szamotała się z nędzą bezsilną i zrozpaczoną" rozkładano robocizny i daniny według najdowolniejszego uznania, przenoszono dawne siedziby, ba, całe nieraz wsie, na pustopola, dla zaokrąglenia dworskich poletków, brano parobków i młodzież do dworu, za lichą opłatę — zależną od widzimisię ekonomów, itp. krzywd dopuszczano się bezkarnie.

Podnieść tu jednak należy, że duch obywatelski, który natchnął motu proprio konstytucję 3 maja i ustawę 1808 r., znalazł oprócz wyżej wymienionych imion J. Chreptowicza w Nowogródzki em, i ks. Pawła Brzostowskiego pod Wilnem, w następstwie czasu, swój wyraz zbiorowy pod zaborem rosyjskim, w podanej prośbie do tronu, przez szlachtę gubernii litewsko - wileńskiej, o uwolnienie ludu z poddaństwa. Ale prośba odrzuconą została, a marszałek szlachty Michał Romer, który ją przedstawił, niedługo potem skazany został na wygnanie, a za nim poszli wkrótce jego synowie.

Rzecz prosta, że o podniesieniu moralnym i materialnym w tym okresie czasu, z rzadkim wyjątkiem, i mowy nie było. Chłop w pokorze chodził na pańszczyznę, odrabiał gwałty, szarwarki, odstawiał furmanką zboże pańskie do miasta, stróżował nocą dwory, dniem posyłał stróżkę do krów, dawał panu dziewczkę, parobka, pastucha, dawał mu daninę z jagód, grzybów, orzechów, dawał mu nawet połowę miodu jeśli miał pasiekę, przepijał grosz ostatni na wódkę w karczmie pańskiej — i szedł w dzień świąteczny do kościoła lub cerkwi podziękować Bogu za swą dolę*). Jedynym wyrazem tej doli, była żałosna i niewymownie w swej monotoności dramatyczna nuta pieśni, co jako jęk niewoli ciągnęła się przez całą krainę co mu towarzyszyła zarówno w weselnych jak i żałobnych obchodach, przy robocie i zabawie, w domu i na polu, jak długa i szeroka Ruś i Litwa. Pieśń ta dotrwała dotąd, jako pomnik niewoli i niedoli....**).

*) Ukaz Mikołaja 1846 r. roztrząsnął inwentarze, usunął wszystko co tchnęło feudalizmem, i biorąc za zasadę status quo, całą ziemię przez włościan posiadaną wyjął z pod rozrządzenia dziedziców w Kr. Pol. Tenże ukaz wzbraniał sprzedaży ludzi bez ziemi, przez co zniósł niewolę osobistą w Rosji.

**) Dziwna rzecz, że nikt z naszych kompozytorów nie zużytkował tej melodyi. Jakież to byłoby pyszne tło do pierwszego aktu Wallenroda. Zebrał ją w wydaniu pieśni z nad Niemna i Dźwiny Jan Czeczot r. 1844.

Oto krótki wyciąg z praw, jakie obowiązywały chłopu pod panowaniem Rosji od czasów Godunowa aż po 1846 rok. Nie były one na chlubę naszą zastosowane w zupełności w prowincjach zabranych, zawsze jednak, jeżeli nie de facto, to de jure było tam utrzymane w swej sile.

1. Pan był nieograniczonym właścicielem, nie tylko ziemi, ale całego dobytku poddanego miał tylko obowiązek z natury rzeczy wypływający, żywienia go i odziewania.
2. Mógł mu kazać pracować dla siebie ile chciał, bez wynagrodzenia.
3. Mógł dowolnie nakładać daniny, osepę, dziesięciny itd.
4. Mógł go najmować do fabryk, i w odległe gubernie na roboty posyłać, zatrzymując dla siebie wartość zarobku.
5. Mógł go bezkarnie przenosić do innych dóbr, lub nawet sprzedawać pojedynczo.
6. Mógł go dowolnie oddawać w rekruty, a nawet całe familie posyłać na Syberję, nibyto darem cesarzowi.
7. Mógł go karać cieleśnie bez ograniczenia tylko w razie śmierci lub kalectwa następowało śledztwo, które się zwykle kończyło przekupieniem urzędników sądowych.
8. Nadto, nie wolno chłopu żenić się, ani oddawać nawet czasowo, bez pozwolenia pana. Nie przysługuje mu żadna akcja sądowa nie może się z nikim procesować. W razie doświadczonej krzywdy od obcego, skarży się przed swoim panem, który dopiero ma prawo za nim się upomnieć, w razie zaś doznanej krzywdy od pana, może włościanin podać skargę do sądu ziemskiego, który zwykle opłacany przez dziedzica rocznie, załatwia skargę: podwojeniem kary na skarżącym. (Ad. Krzyżtopór). Po tem cośmy powyżej przedstawili, zdaje się być zbyt cennym szukać innego objaśnienia dla słów, któremi kmiotek litewsko - ruski określił swoje stanowisko wobec powstania

1863 r.: „Niech Bóg pomoże temu kto nam dobrze życzy!” Zbytecznym też byłoby i stawić pytanie czy w widoku zapowiedzianej emancypacji ludu, i w warunkach w jakich znajdowała się Litwa, powstanie to było na dobre.

XXIX.

W pierwszych dniach miesiąca lutego 1863 roku oddział powstańczy Romana Rogińskiego i Trauguta przekroczył granicę Litwy. Nastaly czasy ciężkie, czasy, w których już nie budować ale burzyć miano. Postanowionem zostało, aby zatwierdzając Unię Korony z Litwą, ruch zbrojny zaznaczyć krwią swoją granice Rzeczypospolitej u najdalszych jej kresów.

Rząd w początkach strwożony, nie wiedząc jaką wobec tego ruchu sympatyzująca rzekomo nam Europa przybierze postawę, niepewny też i co do usposobienia ludu, w obawie o utratę Litwy, o którą mu szło przede wszystkim, użył w tej grze niebezpiecznej dawno przygotowanego atuta, przyspieszył ogłoszenie emancypacji włościan. Miał w tem na widoku dwa cele:

1-szy, zjednanie ludu — 2-gi, zyskanie u świata opinii oswobodziciela. — I oto lud wiejski ujrzał się naraz w położeniu zupełnie nowem obie strony wojujące, ubiegały się o zjednanie go dla siebie. Obie mu dawały wiele bo wolność i obie mu też obiecywały wiele bo własność z tą wszakże różnicą, że jedna miała za sobą urok potęgi i całego aparatu jaki daje władza druga, rozrzucając złote hramoty, kryć się musiała po lasach. Gdy jednak za pierwszą przemawiały w przeszłości tylko krzywdy, tylko zdzierstwa — tylko dzikie zapędy czy w czasie wojny, czy w pokoju za drugą: jakiekolwiek bądź były jej stosunki z ludem, mówiła wspólność dziejów, wspólność pożycia, i nierzadko wspomnienia ojcowskich rządów i ojcowskiej opieki. A może też i kilkuletnia praca nad nim nie była tu bez wpływu. Zrozumiał to i ocenił jedno- i drugie swym prostym instynktem chłop litewski i zachował się wobec jednej i drugiej strony neutralnie. Że jego sympatye były po stronie powstania, przekonać się mógł każdy, kto widział, jak pomimo poduszczań, z narażeniem się własnem, chętnie niósł pomoc nieraz powstańcom dłaczego zaś nie spieszył bić się za ojczyznę? odpowiedź łatwa bo jej nie pojmował, a jeśli gdzie i pojmował, to jako macochę nie zaś jako matkę.

A więc, jak długa i szeroka Ruś i Litwa, zapanował chaos i popłoch. Wieści o bitwie Siemiatyckiej 6 Lutego, o najściu na Pruzanę powstańców 13 Lutego, o wkroczeniu Trauguta i Rogińskiego na Polesie jako też i o rzekomych zwycięstwach Langiewicza w Królestwie o całych oddziałach ba nawet o całych pułkach gdzieś już niedaleko widzianych, obiegały okolice podawane z ust do ust. Co raz częściej zaglądali do Nowogródka przysyłani to od Rządu Narodowego, to z sąsiednich powiatów delegaci, dla porozumienia się, urządzenia komunikacji, udzielenia instrukcji. Oczywiście że to wszystko rzucało popłoch i na miejscowy garnizon, który dzień i noc w ciągłych rekonesansach, marszach i kontrmarszach wyglądając ze wszystkich stron najścia powstańców, chwili spokojnej nie miał. Jak zaś dalece widmo to niewidzialnego wroga trwożyło umysły Moskali w początkach, miałem sposobność przekonać się osobiście. Zmuszony przenieść się z powodu reparacji mieszkania do zajazdu na dni kilka, znalazłem się w sąsiedztwie kwaterującego oficera przez ścianę drzwi tylko nas dzieliły. Otóż, nie było prawie nocy, abym nie słyszał wołania jego przez sen na trwogę, którą napróżno śpiący przy nim (dienszczyk) służący, starał się uspokoić. To raz mu się zdało widzieć pułki francuskie, to znów ułanów polskich, to powstańców uzbrojonych w kosy, wypadających z lasu więc się zrywał, komenderował — krzychał w niebogłosy, „spasajcieś!” aż go nie zbudził wreszcie famulus, podając mu szklanekę wody i ciesząc, że stuk który mu się wydał strzałem armatnim był spowodowanym wiązką drzewa rzuconego na ziemię, że więc sprawcami tego nie byli francuzi — „no starają jewrejka, czort by jee wziął(ale stara żydówka, bodaj ją itd.).

To też puszczano umyślnie w obieg przeróżne wieści. Drażniło to obie strony. Tymczasem w gimnazyum lekcyje szły regularnie młodzież zachowywała się spokojnie, pomimo nagabywań i poduszczań nie rzucała nauk. Wpojone przekonanie, że ojczyzna przede wszystkim potrzebuje ludzi światłych, i że aby jej skutecznie służyć, trzeba wprzód nauką i pracą wzbogacić rozum, trzymało ją na wodzy i to ją uratowało.

W Nowogródku wszakże nie zasypiano. Ks. Łaszkiewicz*) między włościanami, Dr. B.... między szlachtą krzatali się czynnie. Co do obywatelstwa, te w owym czasie stało na uboczu. Majętniejsi o wiele już przed tem, w przewidywaniu wypadków, przenieśli się do większych miast w kraju lub za

granicę. Ci co pozostali, po chybionym adresie, trzymali się zdaleka od ruchu. Rzadko kto wydalał się z domu bo i niełatwem to było dla obostrzeń policyjnych i niebezpiecznie. Nadzór dworów i rogatek poruczono straży chłopów.

Zarządzono obławę: a przywozili w tem zwykle popi, albo ludzie nieznani jakby z pod ziemi wyrośli.

Nadszedł nareszcie dzień 19 Lutego, przeznaczony na odczytanie ludowi carskiego manifestu, nadającego mu wolność.

Dzień ten bądź co bądź, pozostanie dniem pamiętnym w dziejach ludzkości. Litwa powitała go z jednej strony z radością negrą, któremu zdjęto okowy, z drugiej trzeba *) Był organizatorem i kapłanem partii Nowogródzkiej. Po jej rozbicia uciekł do Galicji, skąd udał się do Francji, gdzie przebył lat kilka. Wrócił do Galicji i umarł z suchoty w Czerwonogrodzie jako kapłan Sióstr miłosierdzia. To przyznać, na chlubę większości z zadowoleniem plantatora, któremu ohydne piętno ciemnicy starto z czoła. Pan i chłop mogli odtąd podać sobie ręce.

Spędzono ludność wiejską do cerkwi. Byłem na tej uroczystości w Nowogródzkim Soborze, przerobionym z franciszkańskiego kościoła, i nie zapomnę wrażenia jakie na mnie zrobiła mowa osławionego renegata popa Czudowskiego*), szwagra metropolity Siemaszki. Po nabożeństwie, które sam celebrował, wstąpił na podniesienie stałem blisko aby wszystko dobrze widzieć i słyszeć. Po skończeniu czytania manifestu, zwracając mowę do włościan, w te przemówił słowa: „Długo łyż wasze łały się strumieniem przed tronem Najwyższego. Długo waszym potem, krwią waszą tuczyci się polscy panowie, długo was darli z ostatniej koszuli, aby żyć w rozkoszy, gdyście wy umierali pod batogiem w nędzy. Ale oto wybiła godzina, i car nasz najmiłościwszy ulitował się i jak niegdyś Mojżesz wyprowadził lud swój z niewoli egipskiej, tak on was dzisiaj, z niewoli pańskiej wyswobadza.

Jemu więc, i tylko jemu, temu najmiłościwшему naszemu ojcu, zawdzięczać macie to najwyższe dobro człowieka wolność za Niego i Jego rodzinę wznosić modły ku niebu jego tylko czcić, jego kochać i ubóstwiać winniście”.

„To też widzicie, jak przerażona buntownicza szlachta i polskie pany, rzucili się z bronią na jego wojsko i jego sług wiernych, aby nie dopuścić dania wam swobody, aby was nadal w jarzmie swem ohydny utrzymać. Nie słuchajcie więc ich poduszczają! Stójcie wiernie przy waszym najukochańszemu carze-oswobodzicielowi pomagajcie jego urzędnikom, jego wiernemu wojsku, w tępieniu ich obrzydłych partii służcie wiarą i prawdą (?) jego rządowi, czuwajcie” itd. itd.

*) Zmarł w 1886 r. nagłą śmiercią.

Gdy to mówił, lica jego zwykle od pijaństwa purpurowe zbladły, jakby na świadectwo, że każde słowo było fałszem*).

Wychodząc z cerkwi słyszałem chłopów, mówiących tak:

— Pryhmali nas sa dzwie mili — i na szto ?

— Sztoż my tu pastyszali, szto jeszcze treba żdać dwa hody! Siedzieliby ja lepsz u chacie, jak oś tali ciachać sie hałodny i hałodny kab ich czort z ich manifestom!

Mowa ta wypowiedziana w różnych miejscowościach, nie pozostała bez skutku dały się słyszeć wkrótce jej następstwa w kilku parafiach. — Zaszły nawet tam i ówdzie sceny dość groźne, wywołane przez popów lub ich posługaczy. Odstawni żołnierze i diaki, włócząc się od wsi do wsi, przy kwaterce w szynkach, podburzali lud przeciw szlachcie. Tylko tam, gdzie wstrzeźliwość była wprowadzoną — lub gdzie był stosunek wsi do dworu przyjazny, zachowała się ludność spokojnie. Zaledwośmy ochłonęli z wrażenia, jakie te mowy, wygłaszane wobec władz i wojska wyrzucić na nas musiały, kiedy oto w kółku naszym zdarzył się wypadek, co nas dotknął boleśnie.

Rodzinę Czasznickich spotkało nieszczęście. Córka ich starsza, a właściwie córka pani Czasznickiej z pierwszego małżeństwa, Tekla Politowska, miła i sympatyczna panienka, skutkiem nagłego i bez nadziei ratunku cierpienia, po kilkuniedniowym konaniu umarła. Była narzeczoną i bliskie czekało ją zamęście. Byłem z nimi zbliżony, a więc dni i noce spędziłem przy łożu umierającej, wobec rozpacz rodziny.

Po pogrzebie w parę dni, wybuchnął pożar w mieście. Było to wieczorem. Zapaliła się oficyna domostwa niegdyś Mickiewiczów.

*) Przemówienie to do ludu - było nadesłane popom okólnikiem władzy.

Kwaterowali w niej gimnaziści a że się to zdarzyło w czasie, kiedy garnizon spodziewał się napadu powstańców, uważano ten pożar za hasło. To też trzeba było widzieć przestraszyć Moskali. — Uderzono na trwogę, wysypały się wojska na plac kozacy przebiegali ulicę nakazując zamykanie domów nikomu nie dozwolono przystępu do pożaru jedni tylko mieszkańcy palącego się domu, biegali Wśród dymu i ognia, unosząc co się dało pochwycić. Gdy się to dzieje a światło płomieni wznosząc się wysoko oświeciło cały rynek, żołdactwo zaś tratuje końmi i rozpędza tłum, z podwórza palącego się domu pada strzał w stronę, gdzie stał właśnie i wydawał rozkazy naczelnik powiatu pułkownik Czortów.

I oto zakipiało wśród wojska i tłumu.

— Strzelili do pułkownika! ktoś zawołał. Miatież! dało się słyszeć wśród żołdactwa.

Byłem blisko więc patrzę: — Czortów stoi nietknięty nic mu się nie stało tylko po strzale, znać że się strwożył, a był to ogromnego wzrostu człowiek, cofnął się ku szeregom, coś tam zakomenderował, zrzucił płaszcz, bo już i od ogniska zanadto prażyło a może się gotował do ataku ale na tem też był i koniec. No myślę sobie, chwała Bogu! że chybił toż byśmy się tu mieli z pyszną, w razie danym, bezbronni, wobec rozjuszonego żołdactwa, kilku batalionów piechoty i kilku sotni kozaków, którzy tylko czekali ulubionego rozkazu „pagulajcie rebiata”! (zabawcie się dzieci) by rzucić się na miasto i przypomnieć Oszmianę.

A tymczasem dom palił się jak świeca — nie broniony, bo też i atmosfera była dziwnie cicha. Spłonęło jeszcze kilka innych domów przyległych — i na tem się skończyło.

Noc przeszła spokojnie.

Co do strzału, to zarządzone wnet śledztwo wykazało, wbrew twierdzeniu tych co go radzi byli policzyć na karb gotującego się powstania, że jeden z uczniów niosący strzelbę gospodarza, (który jako dymisyonowany oficer miał prawo w tym czasie posiadać broń), zawadził nią o płot i ta wypaliła. O ile w tem było prawdy, Bóg to jeden wie dość że cała ta sprawa, pokierowana przez zacnych oficerów, którzy komisję składali, a byli to przeważnie Polacy, szczęśliwie się zatarła.

XXX.

Zaledwie się to skończyło, zdarzył się drugi wypadek, który już mię osobiście dotknął. Rzecz się tak miała. Gdy coraz częściej powtarzano że mogę być uwięzionym, przejrzałem papiery, wyłączyłem z nich wszystko co miało dla mnie wartość, bądź pamiątkową, bądź literacką i artystyczną jak notatki z podróży, luźne artykuły pisane do dzienników, szkice rysunków, dokumenty rodzinne, urzędowe itd. — i wręczyłem to wszystko do schowania nauczycielowi muzyki Dragatowi, z prośbą, aby to polecił schować swej żonie, zapewniwszy go, że nic w tych papierach pod względem politycznym kompromitującego nie było. Trzebaż zdarzenia, że w kilka dni potem, przyjeżdża do Nowogródka wędrowny księgarz, niejaki Zawadzki policja znajduje u niego plany topograficzne Litwy i co za tem idzie bierze go do kozy. Że zaś widziano mówiącego z nim na rynku Dragata, więc aresztują i Dragata. Żona zaś tego, zrozpaczona, przypomniawszy powierzoną sobie moją paczkę z papierami, w obawie aby to ją nie naraziło jeszcze więcej rzuca ją w ogień. I oto tym sposobem, wszystko co mi było potrzebnem, i com zebrał w ciągu wielu lat życia, poszło z dymem!

Przystano mi do rozdania kilka egzemplarzy manifestu Rządu Narodowego. Trzeba było coś z tem zrobić. Ale jak, gdzie i kiedy i komu to ogłosić?! Wybrałem się więc na wieś dla narady.

Było to w pierwszych dniach Marca czuć już było zbliżającą się wiosnę, sanna zaledwie się trzymała. Ujechawszy mil cztery, remizą nowogródzką, musiałem ją rzucić w Horodyszczu, bo już dalej kutem saniami jechać było niepodobna. Nająłem chłopca wracającego z targu. Zmierzch już był zapadł, gdy się puścił z nim w dalszą drogę. Z początku szło nam niezgorzej, bo koń był dobry, a pakunek lekki. O milę wszakże, śnieg zginął prawie, i tylko po naboju od biedy jechać było można ale na wzgórzach i tego nam wkrótce zabrakło. — A więc, pożałowawszy konia, nogi za pas, i dalej na piechotę a sanie jak po smole ciągną się po błocie. Idziemy tedy bokami drogi, wybierając twardsze miejsca pod stopę, a księżyc przyświeca z ukosa i ciepły wietrzyk pociąga z południa, jakby na wiosnę. Idziemy tedy i gawędzimy.

— A ot słyszysz pan, zórawie gdzieś ciągną — ozwał się mój automedon Janko będzie już wiosna. Dałby to Bóg. Przystanąłem. Rzeczywiście, dojrzałem jak długim klinem, szybując wysoko, pociągnęły

ku północy żurawie. Miła bo to zawsze ta pierwsza zapowiedź wiosny i trzeba już chyba bardzo wystygłego serca albo wielkiego nieszczęścia aby obojętnie powitać pierwszy kwiatek z pod śniegu — albo takich gości.

— A jakże tam u was z karmem dla bydła? — nawiązując rozmowę — pytam.

— Da jeszcze u nas niczoho, chwalić Bohu — odpowiada mi. Nawoziłem przez zimę siana z pod Bytenia com przez lato nakosił — i ot dociągnę może do nowego ale u sąsiadów, gdzie nie ma koni — to będzie bieda. Bo z koniem panoczku, to zawsze jakoś lepiej bo i do Pińska po sól pojedziesz i tam i sam jaki grosz zarobisz. Ot w przeszłym tygodniu zawiozłem też jakiegoś pana, do Słonima i dał mi jeszcze gościńca przy rozstaniu. Dobry jakiś panek, niech go Bóg prowadzi wybrał się znać na wojnę — bo miał szablę i pistolety toż to my z nim nagadali się jadąc dzień cały.

— I cóżeście mówili? — pytam niby od niechcenia.

— At wiadomo, o tem, o czym teraz wszyscy mówią, a zresztą, czy to człowiek spamięta. Ot mówił, że jak Moskala pobiją to nam chłopom oddadzą ziemię i pańszczyznę darują panowie. Czyż to prawda?

— Prawda mój bracie. Jak Moskala wypędzim, wszyscy będziemy wolni i my i wy. Nie będzie już ni pańszczyzny, ni niewoli i będziemy żyć jak sąsiedzi, pracować każdy dla siebie, na swoim, i bronić się razem, by nam się krzywda nie stała. Bo tak jest teraz na całym świecie, prócz Moskwy. To rzekłszy, rozwinąłem przed nim moje poglądy i nadzieje w tej sprawie. Słuchał mię chłop z zajęciem i uwagą ale gdym mu wyluszczał powody powstania, widać było że mię nie rozumiał. Nie mieściło mu się w głowie, zkąd naraz przyjść mogła panom taka miłość dla ludu, że się biją z Moskwą, aby go uszczęśliwić. Zkąd np. taki p. X. lub p. Z... znany z uciemiężenia włościan, mogli i chcieli na rzecz tego ludu nieść ofiarę z mienia, dobrowolnie. Znęcania się i krzywdy, których się dopuszczali bezkarnie, sami lub ich ekonomowie i rządcy, stały tu niestety, w pamięci chłop na straży, jako przestroga zapisana krwawymi zgłoskami. To też widać było, że chociaż słuchał mię nie bez wzruszenia, bo to com mówił, dogadzało jego najgorętszym pragnieniom, ale nie podzielał moich nadziei. — Przykro mu to było widocznie chciałby wierzyć — cóż kiedy nie mógł. Widząc to, mówię: przecież widzicie, że dziś panowie pomagają wam, radzi nawet uczą wasze dzieci zachęcają was do dobrego dłaczegóż to robią? — oto, aby was oświecić, abyście mieli rozum i nie dali się obdzierać czynownikom i złym ludziom i żebyście potrafili siebie bronić i sami sobie umieli nadal poradzić i abyście idąc z nami razem, trzymali się wiary waszych ojców, nie dawali się popom bałamucić.

— Ta to prawda, że nas drą na wszystkie strony. Bo to i podatki i rekrut i rekrutczyna, i szarwarki i podwody, nie licząc powinności dla pana a co policzyc, co popi z nas wy-
cisną — i co się jeszcze nagłumia — to już Bogu tylko Wspomnienia zbliżka i zdaleka. 10 wiedzieć. — Bo wiadomo, jak człowiek niepiśmienny, to każdy go popycha gdzie zechce, a ty idziesz jak ślepy.

— A więc widzicie sami, kto wam dobrze życzy zakoni ludowałem rad z okazji. Konkluzja ta wszakże w innych okolicznościach, prawdopodobnie decydująca, tutaj niestety! — nią być nie mogła. Uprzedziły ją zabiegi wroga, którym jakkolwiek brakło podstawy jaką daje prawda, potrafiły jednak zachwiać zaufanie ludu, jeżeli nie co do szczerości intencji — to co do samego powodzenia powstania, które ogłaszając złotą hramotę, kryć się musiało w lasach. To też i tym razem rozmowa nasza w tej materii, zakończyła się zwykłym ze strony włościan życzeniem: „Niechaj Boh pomahaje tamu chto nam dobro życzyć!”

Po drodze, wstępowaliśmy nieraz do karczmy, dla zapalenia fajki lub cygara, bo wódki nie pijał. Robiliśmy to po kolei, dla pilnowania rzeczy i konia. Karczmy były pełne ludzi wracających z targu. Bez wątpienia rozmowny mój furman, niejednemu tam zakomunikował, co słyszał odemnie i dokąd mię wiezie. Nie naraziło mię to jednak wcale, pomimo iż wiadomo było chłopom, że podobne denuncjacje w owym czasie, obiecywano hojnie opłacać. Dowód to pocziwey i nie zepsutej jeszcze natury naszego ludu, co się nie łatwo daje pociągnąć fałszywym prorokom.

Tak więc gawędząc, i idąc, a niekiedy i podjeżdżając trochę dociągnęliśmy około północy do celu mojej podróży. Zdziwił się chłop ujrawszy piękny dwór, którego nie znał imponowały mu murowane zabudowania z całym otoczeniem. I dziwnem mu też być musiało nie mniej, że ten z którym tak poufale przegawędził całą drogę — każe mu mijać oficynę przed którą się był zatrzymał, i jechać pod ganek dworu. Zaciął więc konia, jakby w nim upatrywał przyczynę swej pomyłki, a wywijając biczem spozierał to na mnie to na dwór — jakby przymierzał do jego skali wszystko co

odemnie słyszał, i jakby nie dowierzał żem tensam co z nim mówił przed chwilą. A jakież było jego zafrasowanie, gdyśmy stanęli przed gankiem i gdy służba ze światłem wybiegła na spotkanie. Wkrótce wszakże przyjęcie jakiego doznał w tym domu, gdzie z chłopem mówić i żyć umiano, uspokoiło go i wyprowadziło z kłopotu. Ja go też z mojej strony, pożegnałem przyjaźnie, dodając mu ze słowem podzięków sowity naddatek do umówionej zapłaty, jako podarek dla dziatwy. Rozumie się, że pan domu polecił go służbie, aby mu wieczerzę i nocleg koniowi wygodę dano. Pora też była i mnie wypocząć, po dwumilowej prawie pieszej podróży. Tak mi się to wszakże zdało na razie bo się stało inaczej bo był to czas kiedy w każdym prawie domu „o tej posępnej losów naszych dobie” ciągnęły się „długie nocne rodaków rozmowy”.

To też i przegawędziliśmy do rana.

Co do manifestu, stanęło na tem, aby nie narażając nikogo, wręczyć go partyom powstańczym, dla ogłoszenia, w czasie i okolicznościach pomyślnych dla powstania*).

*) Dekret Rządu Naród, z dnia 22 Stycznia i 10 Maja — (Złota hramota) nadający wolność i własność ludowi.

Powstawszy wraz z Polską i Litwą, przeciw panowaniu moskiewskiemu, aby zdobyć wieczną wolność i szczęsną dolę dla całej naszej ojczyzny, oświadczamy przed Bogiem, całym światem i narodem, że innego szczęścia nie pragniemy dla drogiej ojczyzny i nie szukamy go w niczem więcej, jak tylko w wolności, swobodzie, równości i szczęściu wszystkich mieszkańców, jakiejkolwiek są wiary i stanu. A pragnąc najwięcej szczęścia dla ludu wiejskiego, postanawiamy na wieczne czasy:

1. Lud wiejski w siołach i futorach pańskich i rządowych, jednodworcy, czynszownicy i inni, od tego dnia są wolni, swobodni i równi co do praw innym obywatelom ojczyzny.

4. Wraz z innymi mają prawo wybierać z pomiędzy siebie deputowanych do sądów, rad i urzędów wiejskich powiatowych, ziemskich i najwyższych narodowych.

7. Ziemie orne, sianożęci i sadyby pańskie i skarbowe, które za czynsz, albo za odrodek, albo na wykup trzymali włościanie, będą od niniejszego dnia po wieczne czasy, własnością każdego gospodarza, bez żadnej za nie zapłaty. Dziedzicom za te ich ziemie zapłaci skarb narodowy.

XXXI.

Gdym wrócił do domu, zastałem wieści z kilku miejscowości, o groźnych scenach wyprawianych dworom przez podburzone i pijane chłopstwo, któremu przewodniczyli agenci popów, diaki, panamary, i ludzie nieznani. Trzeba było coś w tym względzie przedsięwziąć. Uradzono zatem, wydać odezwę do popów redakcyę mnie poruczono.

Nie łatwe to było zadanie i niezbyt bezpieczne, mówić do ludzi, co się od dawna dla celów doczesnych wyparli wiary ojców, czci i sumienia. To też i odezwa napisana ze spokojem, bez wyrzutów i gróźb, głównie miała na celu przedstawić możebność pomyślnych rezultatów powstania, a następnie, podnieść tę myśl, azali godziło się sługom Bożym, w miejscu pokoju i miłości, wnosić rozterkę i siać nienawiść wśród ludzi ażali, wobec niepewnych

8. Co do nadziału ziem włościan, którzy jej dotąd nie mieli, jako to: budnicy, bobyle, chałupnicy, ludzie dworscy itd., postanowi w stosownym czasie, najwyższy Sejm państwa.

9. Jednodworcy i szlachta czynszowa będą na równi z włościanami na wieczne czasy mieć ziemię sadybną i gruntową z ziem pańskich, gdzie jej będzie podostatkiem, za zapłatą ze skarbu narodowego, albo z ziem koronnych.

10. Wiejskim księżom prawosławnym, oprócz ziemi cerkiewnej, naznaczamy płacę w pieniądzach, aby nie potrzebowali od ludu zapłaty za duchowne posługi, a ile przypadnie płacy każdemu księdzu, orzecze najwyższy Sejm państwa.

11. Prócz tego co się wyżej powiedziało, każdemu kto chwyci z nami za oręż przeciw panowaniu moskiewskiemu — i albo zdrów wyjdzie, albo rannym zostanie, udzieli się najmniej sześć morgów ziemi i sadybę w ziemiach koronnych, albo dożywotnią płacę ze skarbu narodowego.

12. Nadając wiejskiemu ludowi wyż wykazane prawa wolności i obywatelskiej równości wszystkich wobec każdego, poręczamy i na wieki obiecujemy swobodę praw i wiary — jakiej się kto trzyma i używania swego języka w szkołach, sądach i innych ziemskich urzędach.

rezultatów walki (w jej początkach) roztropnem było, narażać przyszłość swych dzieci, któreby może zapragnęły żyć i umrzeć na tej ziemi — gdzie była kolebka i groby ich pradziadów.

W parę dni po wysłaniu tej odezwy, wezwano mię do pewnego domu dla narady. Zastałem tam nieznaną mi osobistość przybyłą z Mińska lit. w charakterze quasi urzędowo patryotycznym. Okazało się wszakże, że chociaż było to indywiduum zacne, ale jedno z tych, co na nieszczęście hołdując zasadzie: liberum conspiro, przy najlepszych chęciach, nie mało się przyczynili do naszej klęski, działając na własną rękę. To też i konferencja nie miała żadnych rezultatów wieści zaś przyniesione o mniemanych zwycięstwach i zbrojnych partyach włościan — nie budziły już wiary. Był to już manewr zużyty i nadużyty.

Wróciwszy do siebie zastałem fatalną wiadomość, o wywiezieniu Leona Mierzejewskiego z Zadwiei, i Wincentego Klimowicza z Połoneczki do Mińska. Przeraziło mię to. Bliski stosunek łączył mię z nimi. — Obu ich też przed kilku dniami widziałem. Wyobrażałem sobie przerażenie zacnej, miłej, a tak wątłej i wrażliwej żony Mierzejewskiego, a mojej serdecznej przyjaciółki. Niepokoiła mię też myśl i o Klimowiczu, któremu przy ostatnim widzeniu, wręczyłem kopię mojej broszury, posłanej na sejmiki do Mińska. Późno już było gdym się spać położył długo zasnąć nie mogłem stukwały okienice, wiatr wył po za węglami i pudel mój, to warczał, to się zrywał do drzwi, jakby czując obcego. Przywołałem go parę razy i skarciłem, ale napróżno warczał nawet przez sen. Nareszcie nadedniem i ja usnąłem. Nazajutrz, jak dziś pamiętam, było to we czwartek 19/7 marca, po rannem śniadaniu i przechadzce, tym razem na zgłiszczach świeżo spalonego Mickiewiczów domu, udałem się na lekcye do gimnazjum. Ranek był chmurny. Góra zamkowa ze swemi baszty utonęła we mgle, chłód nawskróś przejmował. Gdym mijał okna dyrektora, przypomniała mi się bolesna scena, przy łożu umierającej, przed kilku dniami. Pomyślałem o biednej jej matce — o narzeczonym... Jedna chwila i całe ich życie zatrute! I niechże ich teraz kto przekona, że szczęście (jak się to niekiedy mówi) od nich samych zależy. Wszedłem do klasy, odmówiono modlitwę. Mówiono ją zwykle po polsku, wbrew nakazowi mówienia po rosyjsku. Powtórzę ją, aby dać poznać, jak była stosowną dla uczącej się młodzie. Ułożono ją za czasów kuratorji Czartoryskiego, dla szkół Litwy i Rusi — a bodaj że i dla szkół Królestwa.

Oto jej słowa:

„Boże wszechmogący! zeslij nam dar Ducha Twego Świętego dla oświecenia rozumu naszego, i wzmocnienia sił duszy naszej, abyśmy korzystając z wykładanych nam nauk, wzrastali Tobie Twórczo na cześć, rodzicom i całemu krajowi na pożytek. Amen”.

Zaczęła się lekcja. Pamiętam, że objaśniałem znaczenie porządków architektonicznych. To mi posłużyło do rozwinięcia myśli w zastowaniu jej od dziedziny piękna do szerszych poglądów. To też zakończyłem temi słowy: — porządek, ład harmonia, były zawsze i pozostaną na zawsze podstawą wszelkiego dobra i piękna, i rękojmią ich trwałości bo niczem nauka, niczem talenta, niczem najwznioślejsze porywy... gdzie nie ma ładu więc uczcie się go, ukochajcie i pomnijcie, że tylko ładem podźwignąć się zdoła co nieładem padło....

Ledwie tych słów domówił, zapukano do drzwi.

— Proszę wejść, zawołałem.

Wchodzi Pedel Pszonkowski, nieco zmieszany, i mówi:

— Jacyś oficerowie przyszli, i chcą widzieć pana...

Zrozumiałem o co idzie więc, zwróciwszy się do uczniów, którzy już przez okno spostrzegli wojsko otaczające gimnazjum i zaniepokoiili się, przemówiłem słów kilka, by ich uspokoić — dodając:

— Jeżeli mię kochacie zachowacie się spokojnie, ja o to was proszę żegnam was moi drodzy — polecam was Bogu — bądźcie zdrowi!

Wyszedłem. Na korytarzu otoczyło mię kilku oficerów, przeczytano rozkaz gubernatora, w którym poleca naczelnikowi wojennemu niezwłocznie mię aresztować, zrobić rewizję i zabrawszy papiery i książki, wysłać z tem pod konwojem kozaków do Mińska.

A więc nie minęło co mi groziło od dawna! O tak, nastał dla mnie nowy peryod życia, co się rozpoczął uwięzieniem, a zakończyć miał najsroższym dla człowieka wyrokiem: wygnaniem z rodzinnej ziemi!

Gdy przestąpił próg gimnazjalny, słowa „Dziej się wola Twoja Panie!” wyrwały mi się z duszy.

Do koła gimnazjum, na ulicy, rynku aż do klasztoru gdzie miałem mieszkanie, stały rozciągnięte po obu stronach szpalery wojska. Spojrzawszy na to, nie mogłem się powstrzymać, aby nie powiedzieć do otaczających mnie oficerów, wśród których postrzegłem i tego co się tak walecznie przez sen z Francuzami rozprawiał:

I pocóż tyle zachodu, aby mnie jednego uwięzić? Czy się lękano może oporu? albo odsieczy Francuzów, dodałem z uśmiechem, zwracając się do mego hotelowego sąsiada. Zmieszał się trochę i odpowiedział:

— Taki mamy rozkaz. Przykro to, ale musimy go spełnić. Tak, był to stan oblężenia w którym oficerowie pełnić musieli nieraz rolę policyantów lub zbirów!

Idziemy tedy. Rynek, ulice, aż do murów podomikańskich, poza szpalerami wojska, zapętnia ciżba żydów i ciekawej gawiedzi. Pierwsze to bowiem było tego rodzaju widowisko w Nowogródku. Działwa szkolna wymknąwszy się z klasy, zabiega drogę aby mię spojrzeniem pożegnać unosi czapki do góry. Kozacy rozpędzają tłum cisnący się by mię widzieć. Istny pochód tryumfalny! Nareszcie wchodzimy do bramy. Przy drzwiach głównych, na korytarzach u drzwi mojego mieszkania, słowem wszędzie, rozstawione warty pod bronią.

— No, myślę dobrze znać jestem u nich położony.

Przemknęła mi myśl, o wysłanej świeżo odezwie do popów, którą dałem do odpisania Skrzywankowi z Korelicz. Alem odrzucił od siebie podejrzenie, aby ten znany z prawości człowiek mógł mię narazić.

Otworzyłem więc drzwi mieszkania, i wzięto się do rewizyi. Przetrząsnięto wszystko, zabrano papiery i książki i oto gdym już był przy ukończeniu składania podróznego tłómoka i już na wyjściu, nadszedł mój zacny sąsiad i gospodarz ks. Ejm....

— Przychodzisz ojciec w porę bo jak widzisz, odjeżdżam i musiałbym was najść dla pożegnania z całą swiatą dość liczną mówię mu tonem niby swobodnym.

Odjeżdżam dokąd? nie wiem. Wiem tylko, że pierwszą stacją ma być dla mnie Mińsk. Tu mu wręczyłem parę słów do mojej matki. Gdy zaś już wszystko było gotowe, rzuciłem okiem dokoła, by pożegnać moją przystań te miłe ściany, wśród których nie bez korzyści kilka lat przeżyłem. Czułem, że je opuszczam na zawsze, i żał mi serce ścisnął. Śród tych bowiem ścian, wykonałem nie jedną pracę natchnioną miłością dobra lub piękna ztąd, leciała nieraz myśl moja w świat, powierzona prasie myśl której źródłem była zawsze miłość prawdy. Tutaj to, miałem pociechę widzieć i przyjmować wszystko, co Ruś litewska miała zacnego i znakomitego w swych warstwach. Tu się zbliżali, poznawali — tu podawali sobie dłonie ludzie różnych stanów w imię jednej idei: pracy dla wspólnego dobra. Tu mię odwiedzali moi najbliżsi tu przybiegała moja działwa szkolna po naukę radę działwa, dla której drzwi i serce, były zawsze otwarte. Tu też niejedną radość i niejedną boleść te ściany widziały....I oto jednym razem wszystko to trzeba rzucić! i dla czego? i za co?

Dziwne losy! To co w innych warunkach mogłoby być zasługą, tu siłą fatalnego położenia rzeczy stało się zbrodnią. Bo i czyż nie było zbrodnią służyć prawdzie, wobec władzy opartej na fałszu!...

Serdeczne było moje pożegnanie z ks. Ejm... żegnałem w nim najzaczniejszego kapłana i przyjaciela. Gdym przestępował próg, zwróciłem się jeszcze raz po za siebie i ujrzałem jego rękę żegnającą mię krzyżem świętym. Poprowadzono mię do wojennego naczelnika. Postrzegłszy, że mię pies mój nie odstępuje, zatrzymałem się aby go poruczyć komuś z poleceniem oddania moim przyjaciołom. Pocziwe zwierzę, jakby czując rozstanie, tuliło mi się do nóg i nie dawało oderwać. Gdym go pogłaskał raz ostatni, żegnając w nim towarzysza moich samotnych przechadzek łza mi się stoczyła. Była to pierwsza łza wygnania!

Przed pomieszkaniem naczelnika, w domu Palczewskich na ulicy Żydowskiej, czekała już na mnie pocztowa trójka z kozakami. Przy wejściu przyjął mię pułkownik uprzejmie, oświadczając, iż mu żal, że tak przykra okoliczność daje mu sposobność poznania się ze mną, i że ma nadzieję, iż po wyjaśnieniu tej sprawy ujrzy mię wkrótce z powrotem. Kazał wszakże podać moją tekę z papierami i przy pomocy oficerów wziął się do rozpatrywania.

Usiadłszy przy stole, przypatrywałem się spokojnie tej ich czynności. Gdy natrafiono na kopię adresu szlachty podolskiej, widząc arkusz zapisany.

— Eto czto takojce ? zapytał pułkownik.

Oficer chcąc mi usłużyć, odpowiada spojrzawszy na rękopis:

— Eto kakoje to filozoficzeskoe rasużdenie (rozprawa filozoficzna) niestoit wnimania Wasze wysoko błagorodie (nie zasługuje na uwagę).

Kak niestoit tonimania? — wied' eto wažno! Wazmitie.

No, myślę sobie mniejsza o oto, aby się tylko nic ważniejszego nie znalazło. To też, gdy już do dna wszystko zostało przejrane, przyłożono pieczęcie i zapakowano. Że zaś była obiadowa pora więc podano mi obiad przyniesiony z traktyerni, i gdy go na prędcie spożył i zapłacił dano znak do odjazdu.

I oto o godzinie 2giej, przeprowadzony od oficerów, wsiałem do bryczki jako więzień obok mnie zajął miejsce kozacki podoficer naprzeciw drugi kozak obaj uzbrojeni jusqu' aux dents. Jęknął dzwonek pocztowy ruszyliśmy. Spojrzałem na prawo, ku oficynie gdzie była moja pierwsza kwatera z balkonu żegnało mię kilka znajomych osób, powiewając chustkami, a z pośród nich mała rączka dobrej i miłej niegdyś wilnianki śp. Moniki Palczewski ej, błogosławiła mię na drogę. W taki to sposób opuściłem Nowogródek, po czteroletnim w nim pobycie i tak się zaczęła ta moja długa i daleka podróż, której końca i celu któżby mógł podówczas dojrzeć...

Spuszczając się z góry, spojrzałem przed siebie ciemne chmury zalegały horyzont. Był to istotny obraz losów moich.

CZĘŚĆ II.

WIĘZIENIE.II.

Stacya pocztowa Korelicze. Napoleon Nowicki. Mir. Świerzeń. Agatin. Wincenty Klimowicz i Fr. Dobkiewicz, ich obu poświęcenie i moc ducha. Kojdanów. Przyłuki. Ś. p. Horwatowa. Mińsk Lit. Więzienie w klasztorze pp. Bernardynek. Indagacye. K. Swieżyński, sąsiad więzienny. Rozmowa pukana. Stankiewicz Karol, jego zeznania co do mojej broszury. Mój pogląd na oświatę ludową, wypowiedziany w komisji. Rewizya moich papierów. Wielki Czwartek. Groźne odkrycie. Von Bratke.Józef Hauke (Bosak) mię ratuje. Pocciwy żandarm Taras. Wielkanoc. Śpiewy wieczorne z Ciundziewickim. Zmiana systemu w rozmowie więzienniej. Wiosna. Przenosiny do gmachu policyi w rynku. Odwiedziny nowego dyrektora nowogr. gimnazjum. Zapowiedziane uwolnienie. Nareszcie uwolnienie. Uczucie swobody. Ogród publiczny. Fyzjognomia Mińska. Pismo Komisji. Rodzina Wołodźków. Mieszkam u Karola Pieszki. Objęcie rządów Litwy przez Murawjewa. Rozstrzelanie Ciundziewickiego i pielgrzymki na grób jego. Wywiezienie marszałka guber. Łapy, Hausmana. Partya Świętorzeckiego. Wiezienie pośredników. Prośba o pasport do Druskienik. Powtórne uwięzienie moje. Wiozą mię do Wilna. Oszmiana. Wjazd do Wilna. Przywitanie generała. Plac - komendant gen. Wiatkin. Kazamaty Nr. 14. Hausman. Oziębłowski. Oczekiwanie. Zapowiedziane wygnanie. Opuszczam cytadelę. Plac - adjutant Bryling. Wyjazd z Wilna.

XXXII.

Pomimo złej drogi i gór, któremi trakt korelicki pofalowany, trójka pędzi w cwał. Mijamy malownicze okolice Ruty, Wołkowicz i wraz za niemi lasek, gdzie w 1855 r. zginął w pojedynku z ręki Adama Przygodzkiego, młody Wołk dalej mijamy uroczą Połonnę, okolice Boracina Czeczotów wiatr dmie w oczy ze śniegiem i deszczem bryczka trzęsie fatalnie, więc każę się zatrzymać i poprawić siedzenie zawahał się podoficer, azali ma mię usłuchać lecz gdy stanowczym tonem kazałem się zatrzymać pocztyljonowi, i przełożyć tłomoki, usłuchali, poprawili, i ruszyliśmy dalej, a zawsze w cwał aż do Korelicz. Myśl o matce mojej i o bliższych sercu których dojdzie wieść o mem uwięzieniu, trapi mię boleśnie.

W Koreliczach stacya. Dzierżawi ją razem z majątkami Witgenstejna dobry mój znajomy bar. Harting. Wiele bym dał, aby się dowiedzieć o Skrzyw... co się z nim dzieje. Jemu to dałem do odpisania egzemplarz odezwy do popów. Pytać wszakże o niego, w mojem położeniu było niebez piecznie. A więc rozglądam się przez okno, czy kogo ze znajomych nie ujrzę.

Nikogo. Widzę tylko kilka osób, koło ganku, ciekawych kogo i dokąd wiozą. Natomiast, gdy spojrzałem na dwór powitało mię tam wspomnienie miłe, z dawno minionych czasów. Tam to bowiem w 1835 roku, gdy jeszcze był uczniem szkół śluckich spotkałem po raz pierwszy, w czasie Wielkanocnych feryj, Napoleona Nowickiego, tego co wkrótce potem, jako więzień stanu, zasłynął mocą charakteru i

co miał tak ciężko pokutować za miłość i pracę dla ojczyzny. Towarzysz Szymona Konarskiego, gościł tu czas jakiś u brata swego Tadeusza, administratora dóbr korelickich. Tutaj to po raz pierwszy z ust jego usłyszałem wzniosłe przemówienie o obowiązkach obywatela, o potrzebie podniesienia ludu dla dobra ojczyzny pierwsze to było tak potężne wrażenie w tym względzie, co mój młodociany umysł tak silnie uderzyło. To też nie bez zadowolenia i pewnej dumy, pomyślałem teraz, że po wielu latach los mię podobny zastał w tych samych Koreliczach na drodze, którą mi on podówczas wskazał. Pokrzepiło mię to wspomnienie i pogrążyło w zadumę... przerwał je kozak słowy:

— Łossadi gatowyje (konie gotowe). Dozorca (smotritiel) stacyi, żegna mię życzliwie:

— Daj Boże, prędkiego powrotu

— Daj Boże! — Bądźcie zdrowi!

— Paszoł! krzyknął kozak.

Pędzimy na złamanie karku. Droga nie zła, bo na środku gościńca leży jeszcze nabój zimowy, miejscami tylko porznięty wpoprzek strumieniami, co sprawia, że od czasu, do czasu, bryczka w pędzie robi z nami szalone salto mortale. W jednym z takich podskoków spadła czapka Kozakowi więc zatrzymujemy się to też odtąd widząc na co się zanoszą, każę zwolnić biegu, bo już i zmierzchn zapadał.

Jakoż zciemniało na dobre kiedym stanął w Mirze.

— Zdieś budu pit' czaj (tu będę pił herbatę), powiadam wysiadając, kozakom. — Kaźcie nastawić samowar i zawołajcie gospodarza.

— Weszła gospodyni, a więc zamówiłem wieczerzę zająłem drugi pokój dla siebie, w pierwszym rozlokowali się kozacy.

Jedyny to sposób dotąd, zaimponowania rosyjskiemu stupajce, zachować względem niego stanowczy ton wyższości, dając mu zarazem poznać, że się go traktuje jako człowieka po ludzku. Nie należy przytem skąpić, gdzie idzie o wygodę własną i jego. Stanowczość i hojność robią zawsze wrażenie na długich lat niewolniku, zmuszając go do respektu, jeżeli nie dla siły moralnej, której nie pojmuję to dla materialnej, której wyrazem pieniądza a na który jest łakomy wszędzie i zawsze.

Po kilku milach złej drogi, położyłem się na sofie, w oczekiwaniu herbaty. Natłok wrażeń dnia tego zmuszał szukać chwili spoczynku. Rój wspomnień i tu mi się przemknął w pamięci. Mir, do niedawna jeszcze zaliczał się jako miasteczko, do ważniejszych miejscowości ziemi Nowogródzkiej. Jarmarki na konie i bydło, w t. z. „Mikuły” ciągnęły się tu od 6 grudnia przez kilka niedziel. Handel futer, sukna, płócien i bławatnych materyi — ściągał tu przez długie lata przyjezdnych z różnych stron Litwy, dopóki kilkakrotny połów kontrabandy, pożary, a co najbardziej dozwolony wyjazd za granicę, a z nim koleje, nie przywiodły do nędzy mieszkańców i kupców.

Znana kupcowa Mirka zaopatrzyła tu kilka pokoleń w wyprawy ślubne. Wabiły też niemniej i malownicze ruiny zamku niegdyś Iliniczów, następnie Radziwiłłów, gdzie pierwsze lata młodości spędzał hulaszczo ks. Karol (panie kochanku), zanim nie rozebrał wewnętrznych ścian jego wspaniałych komnat, generał Miller — dzierżawca tych dóbr, dla postawienia sobie oficyny w Zamirzu. Nie pomogły w tym względzie artykuły dziennikarskie Syrokomli i innych bo zasadę „siła przed prawem”, praktykowano u nas niestety daleko wcześniej, niżli ją Bismark do teorii państwowej podniósł. Bywałem tu nieraz w różnych zdarzeniach a nawet bawiłem tu dni kilka, wróciwszy z akademii, dla zdjęcia widoku zamku. Jeden z nich zrobiłem od strony Mińska, gdzie się jeszcze dochowały aleje lipowe dawne zamkowego ogrodu. Na pierwszym planie umieściłem obóz cyganów, na podstawie tradycyi, która naznacza stolice króla Cyganów w Mirze. Był tu klasztor i cerkiew Bazylianów, zniesiony po 1831 roku. Kościół parafialny*) posiada sławnej wielkości dzwon, pod imieniem Karola, dar ks. panie kochanku, którego głos dosięgać miał Nieświeża.

Ludnie tu, wesoło i hulaszczo, bywało nie raz za mojej pamięci.

Ale oto i samowar podają. Wnosi go jakaś panna, widocznie zaimprovizowana na ten raz służąca. Zrozumiawszy o co idzie, zaproponowałem aby mi nałóż herbatę. A więc zapytania, odpowiedzi z jednej i z drugiej strony, krótkie, zwięzłe, bo kozak przypomina, że nie prikazano nikawo puskať. (Nie wolno wpuszczać nikogo).

— Da wiet' eto służanka (to przecież służąca), mówię mu a któż nam da wieczerzę, jeżeli nie wpuszcicie służącej czy nie ty może, dodaję z uśmiechem.

— Zaczem ona bałajet? odpowiada już nieco udobruchany na wzmiankę o wieczerzy. (Po co ona gada).

— Daj im pani herbaty i to z rumem, to im gębę zamknie, mówię z cicha. I rzeczywiście tak się stało. Gdy zaś po herbacie dano im wieczerzę gdzie było i piwo grzane ze śmietaną i kawał mięsa i wódki kieliszek, tak się udobruchało kozactwo, że już odtąd miałem ich na moje usługi.

Po wieczerzy, zaszły konie, siadamy, i dalej w drogę.

Z Mira do Świerżnia przestrzeń nie wielka bo tylko wiorst 17, więc przelatujemy prędko i oto już bór, spuszczamy się w dolinę Niemna, i jesteśmy w Świerżniu. Mijając kościół, przypomniałem chwilę uroczą w jednej z moich podróży do Mińska. Było to w piękny wieczór czerwcowy w czasie oktawy Bożego Ciała. Zanim na poczcie założono konie, słysząc dzwony kościelne, poszedłem na nieszpory. Trafiłem na nabożeństwo w czasie procesyi. Staruszek proboszcz, jak gołąb biały, celebrował niosąc monstrancję *)

Zabrany na prawosławie po 1863 r.

śródtłumu wiejskiej ludności. Wspaniała, uroczysta nuta pieśni:

„Twoja cześć chwała nasz wieczny Panie Na wieczne czasy niech nie ustanie !” rozlegała się szeroko podczas gdy kapłan zatrzymawszy się na cmentarzu kościelnym, błogosławił Przenajświętszym Sakramentem na cztery strony świata, ponad głowy wiernych, co jak kłosa zboża, schyliły się wszystkie ku ziemi. Piękne to było!

Ale oto i stacya. Na ganku pełno żydów i ciekawych, bo oto drugi już dzień jak wiozą szlachtę do Mińska. Żwawo zaszły świeże konie, przełożono rzeczy, ruszamy. Za miasteczkiem, widać nieopodal na lewo migające światełka, to Stołbce. Pierwsze to od źródeł Niemna portowe miasteczko, z kąd zwykle z pierwszą wodą, wychodzą wiciny ze zbożem do Królewca sławne wspaniałym kościołem i klasztorem niegdyś OO. Dominikanów, fundacyi Czartoryskich i grobem św. Fabiana, do którego ciągną tłumy ludu w pewnych dniach, z najdalszych stron.

Przejechawszy długi most na Niemnie i takąż groblę na wylewach, wjeżdżamy do lasu. Tu się zaczyna puszcza Ihumeńsko Poleska. Miałem lat 15, kiedy raz pierwszy tę drogę przebywałem. Zaczęły mój opiekun, urządził mi tę wycieczkę do Mińska w nagrodę za otrzymaną w gimnazjum promocję i list pochwalny. Było to latem, upały były wielkie, piaski głębokie w borach więc dla ulżenia koniom i przyjemności własnej szliśmy nieraz ubocznymi ścieżkami, wyszukując cienia a konie szły powoli, ścigane rojami bąków śród kłębow kurzu i spieki. Te to właśnie miejsca teraz przebywam lecz w jakże innem usposobieniu. Dzwonek pocztowy jęczy monotonna, wiatr chłodny na wskroś przejmuje migając w szybkim biegu drzewa, jakby gdzieś biegły skryć się w cieniach nocy. Smutno.

— Co się tam dzieć będzie z moimi ukochanymi, myślę sobie gdy ich wieść doleci o mojem uwięzieniu! Boże, daj im siłę i nadzieję, że mię ujrzą jeszcze, daj im wiarę, że ich nadziei, położonej we mnie nie zawiodę, daj im rezygnację, gdy ich zła wieść dojdzie! Ujrzą ich kiedy! moich drogich, których miałem być starości podporą!...

Gdy to dziś piszę, już ich nie ma! Zawiele trucizny mieli do wypicia za mało sił, nie ducha, lecz ciała, ażeby przeżyć to wszystko, na co patrzeć musieli!

XXXIII.

Stanąły konie. Stacya „Agatin”. Godzina lita, światło w oknach, nikt nie spi. Widocznie panuje tu niepokój.... Wchodzę do izby „smotrytiela”, kozacy tuż za mną. Gdym usiadł, postrzegłem w mroku dwie osoby była to żona smotrytiela i jej córka, dwónastoletnia może dziewczeczka. Siedziały w kącie, i widocznie chciały zwrócić moją uwagę, bo mówiły z sobą po francusku. Z rozmowy tej, która do mnie właśnie adresowaną była, dowiedziałem się, że w dniu poprzednim, przewożono tędy Leona Mierzejewskiego z Zadwiei, a po nim w nocy Wincentego Klimowicza z Połoneczki, i że ten ostatni niewymownej oddawał się rozpacz.

Zdziwiła mię niepomatu na razie ta wiadomość. Znałem go na wskroś i nie mogłem ani na chwilę przypuścić, żeby ten dzielny, szlachetny charakter mógł się zachwiać, śród najcięższych prób nawet — a cóż dopiero na samym wstępie.

— Nie, to być nie może, pomyślałem. Prędzej żał za biedną dziaćką, która od lat paru osierocona przez matkę, teraz ojca w nim traciła — i za chwilę miała się spotkać z nędzą, zatrzęsał tak tem pocziwem sercem.

Tak też i było.

Dziś, gdy już mu carskie wyroki niestraszne, gdy go już na dalekim gdzieś Sybirze, nazawsze przed nimi ukryła mogiła*) można i należy przyznać i wypowiedzieć głośno że niewielu prawdopodobnie naliczyliby można było podówczas, coby z takim zaparciem się z taką miłością i z takim pojęciem zadania, oddali się na usługi ojczyźnie, w zakresie swej skromnej działalności i z takim pożytkiem, jak śp. Wincenty Klimowicz. Był on prawdziwym dzieckiem Nowogródka był wyrazem ducha czasu i usposobienia lepszej części jego społeczności był owocem pracy którą tam w swoim czasie podjęto.

Syn ubogich rodziców z okolic Nowogródka, zawczasie, bo jeszcze w wieku dziecięcym sierota, znalazł przytułek, jak to bywało dawniej, na probostwie Nowogródzkim. Los tak szczęśliwie zrzędził, że stało się to w czasie, gdy plebanem był kapłan szanowny, i w całym znaczeniu słowa godny tego stanowiska. To co tam widział to czego doświadczył wpłynęło korzystnie na wykształcenie jego serca i umysłu, które natura obdarzyła niepospolicie a że z zamiłowaniem brał się do nauki i książki, więc w krótkim czasie, kierowany starannym wyborem lektury, nabył wiadomości, na jakich zebranie nieraz długich lat potrzeba. Tażsama ręka co nim kierowała w zakresie wiedzy — ułatwiła mu później nie mało, gdy szło o rozwinięcie dostrzeżonego w nim talentu muzycznego.

Kiedym go poznał, był już muzykiem z professy i udzielał lekcji w zakładach naukowych a gdy się utworzyła z młodzieży gimnazjalnej orkiestra kościelna, pod kierownictwem Dragata, objął w niej świeżo ustawiony pyszny organ, przywieziony z Rajcy. W tym to czasie zamieszkałem w Nowogródku. Nie potrzeba było wiele czasu, aby w kilku spotkaniach poznać i ocenić w nim niepospolity materiał wobec rozpoczętej sprawy włościańskiej i pracy nad ludem którego był dzieckiem. O ile sobie przypominam, śmierć jego żony zbliżyła mnie z nim. Odtąd, nie było już pracy, zamiaru, nadziei, w zakresie sprawy publicznej którą bym się z nim nie dzielił — lub nie powierzał mu.

*) Umarł w Irkucku z tęsknoty, kochany i szanowany od kolegów i Moskali.

To też gdy sprawa oświaty ludowej weszła na stół, pierwszym był Klimowicz co otrzymał posadę nauczyciela szkółki wiejskiej. Następnie, gdy przy tworzeniu gmin wiejskich rozglądano się za ludźmi pewnymi na posadę pisarzów gminny, dano mu tamże zarazem ten ważny urząd pisarza. Ile na tem podwójnem stanowisku, położył zasług wobec ludu i sprawy, której służył, ile tam dowiódł umiejętności, taktu, miłości i poświęcenia, a zarazem, szczęśliwego daru w rozwikłaniu zawiłych często spraw wiejskich, w pośredniczeniu między wsią a dworem, w owych szczególnych czasach gdy tam i ówdzie pojawiały się już zdradliwe podmuchy wśród ludu, a nowy stosunek wsi do dworu otwierał im na roście pole niech o tem zaświadczy świeża jeszcze pamięć tych wszystkich co na to zbliżka patrzali, jak niemniej żał i wdzięczność dziaćki, wsi i dworów, z pośród której wyrwany został. Gdy stanął przed śledczą komisją, w odpowiedziach swych, w ciągu badań taką wykazał moc duszy, w tak dosadny, porywający, w tak wzniosły sposób wypowiadał swoje przekonania polityczne, tak świetnie bronił swej sprawy, że ze względu na skromne stanowisko, jakie wśród hierarchii społecznej zajmował, budził niejednokrotnie podziw niezwykły, wśród samego nawet grona komisji. I zaprawdę, niemożna tu nie zaznaczyć z pociechą że po latach 30stu naszej niedoli, więzień stojący na najniższym szczeblu społecznej drabiny, wypowiedział w podobnych okolicznościach, to samo, co kiedyś wyrzekł wobec śledczej komisji ks. Roman Sanguszko! Szkoda tylko, że dzisiejsza demokracja nie umie uczcić swoich męczenników tak, jak to niegdyś umiała arystokracja*).

*) Gdy ks. Roman Sanguszko był badany w komisji śledczej — urzędnicy, wiedząc z kim mają, do czynienia, podsuwali mu odpowiedzi które mogły go salwować. Śród innych, że może księżę jako młody i niedoświadczony dał się wciągnąć wbrew

Gdy go zapytano z kąd miał wiadomą broszurę, tyżącą się adresu, i kto jej autorem? nie wydał mię przyjął ją na siebie, i pomimo życzliwej przestrogi członków komisji, że mówiąc nieprawdę, gubi siebie, pozostał przy tem. Skazany wyrokiem Murawjewa do katorgi na Syberyę, przyjął to ze spokojem i rezygnacją człowieka, co spełnił swój obowiązek. Trafiła go tylko myśl o dzieciach lecz i w tem ufał Bogu.

Idąc w tę daleką podróż (po etapie) nie opuścił żadnego zdarzenia, jak mi to jeden z jego towarzyszy dr. medycyny i chirurgii Michał Koz.... opowiadał, aby w zawiązanej z żołnierzami rozmowie (w czym był niezrównany), nie wypowiedział im wszystkiego, co uważał za potrzebne, by rozjaśnić nie rozumiane dotąd przez nich kwestie. To też etapy, a nawet cała droga, były to istne na ten raz naukowe kursy, w których ten dzielny szermierz swobody, ten prawy syn ojczyzny, służył jej nieustannie, rzucając ziarno w tę drzemiącą dotąd duszę rosyjskiego chłopca. Lubili go żołnierze i jedni drugim polecali nieraz, przy zmianie konwoju. Po wydostaniu się z katorgi, osiadł w Irkucku, jako nauczyciel muzyki. Działo mu się dobrze, o tyle, że mógł zasilać swoją rodzinę. Zabłysła mu nawet po kilkunastu latach nadzieja powrotu. Nie wrócił wszakże! — Dla tej czulej i tęskniącej duszy, za długo było na to czekać. Umarł w Irkucku, szanowany i kochany od wszystkich, co go znali. Niech mu tych słów kilka, zastąpią wieniec czci i pamięci, którego mu złożyć na trumnie Nowogródzianie nie mogli! Miał Nowogródek wśród swych wybranych synów i jeszcze jednego z tej samej sfery i podobnej miary, przekonaniu. Sanguszek w odpowiedzi napisał: „wszystko com robił, robiłem z przekonania”. Odtąd noszono w sferach arystokratycznych pierścienie z napisem: z przekonania. Wiadomo zaś że skazany został na Sybir do „katorgi” a później na Kaukaz w żołdacy. Car Mikołaj na wyroku dopisał: „podróż tę ma odbyć pieszo”.

...o którym nie godzi się zamilczeć był nim F. Dobkiewicz. Skazany w 1845 r. na Sybir, w żołdacy, gdy się raz zdarzyło, że dowódca batalionu przed frontem bezcześcił imię Polaków, rzucił się nań i uderzył go. Zasądzony na 2000 pałek, wytrzymał je pomimo że obiecywano mu złagodzenie kary byleby się upokorzył. Wrócił wskutek amnestyi 1858 r. i mieszkał w Nowogródku aż do czasu otrzymania posady pisarza gminy w Kroszynie. Z tamtąd w 1863 r. gdy dano hasło, wyszedł do powstania. Po rozbiciu partii Nowogródzkiej, tułał się po lasach aż nareszcie w późnej jesieni, został ujęty w pobliżu Stwołowicz. Gdy mu w komisji robiono zarzut, że będąc już raz karany, powstał nanowemu przeciw władzy, co go niedawno ułaskawiła, odpowiedział bez ogródek: „Jestem i pozostanę wiernym tylko mojej ojczyźnie i ile razy nadarzy się sposobność walczyć za nią będę!...” Powiadają, że członkowie komisji, przejęci podziwem dla takiej mocy ducha zasądzi go lekko, bo tylko na wygnanie!(!?)

XXXIV.

Z Agatina do Kojdanowa droga idzie lasami. Po jednej i po drugiej stronie głęboka puszcza. Konie dobre, bryczka wygodna, noc więc spią w najlepsze moi stróże. Pocztylion też drzemie, od czasu do czasu tylko pomrukuje do koni. Ot i ucieczka łatwa, myślę sobie noc ciemna, las dokoła zsunąć się z bryczki i zemknąć nic łatwiejszego. Mknęła mi ta myśl wszakże, nie jako zamiar, lecz jako możebność w razie danym. Co do mnie bowiem, sądzę, że podobny postępek usprawiedliwiać może tylko wielkiej wagi powód. Ocalenie bowiem jednej głowy, która była na widowni, w pewnych okolicznościach, rzadko może zrównoważyć stratę, jaką ogół ponosi, przez upadek ducha tem spowodowany. To też ile razy mię namawiano do opuszczenia Nowogródka, i korzystania z łatwości dostania pasportu za granicę, nie zgodziłem się nigdy na to, uważając to za niegodne i siebie i sprawy, której służy. Obecnie, chociaż z chwilą uwięzienia, zadanie moje przerwanem zostało, nie mając sobie wszakże nic do zarzucenia, abym działał w czemkolwiek na szkodę społeczności, owszem, gdy wszystko com robił, zmierzało do krzewienia szlachetnych uczuć — tak niezbędnych w każdym rządzie, wolałem spuścić się na losy i płynąć z wodą, niż w upokarzający sposób szukać ocalenia w ucieczce.

W Kojdanowie kazałem zrobić herbatę, bo mroźny wiatr czuć mi się dawał pomimo ciepłego futra. Żał mi też było i kozaków biedactwo to w krótkich półkożuszkach drżało od zimna. Pokój w którym podano herbatę przypominał mi dawniejszą podróż z Mińska w towarzystwie wesołym, Tomasza Puszkina, Anastazego Abłamowicza i Edwarda Szulakowskiego, po spędzonym przyjemnie karnawale. Jechaliśmy w jednym powozie zaprzężonym szóstką koni pocztylion wiedząc kogo wiezie, nie żałował koni i tak się zwinął gracko, że o pół mili przed stacją pękła u powozu oś. Było to późnym wieczorem nikt nie jechał, żywej duszy w okolicy więc nie czekając aż wróci konny pocztylion z bryczką ze ze stacy — ruszyliśmy na piechotę, zarzuciwszy futra na plecy, i przyszedłszy na stację zmęczeni i

zgodniali, jedliśmy tu wesoło wieczerzę wśród scen i epizodów komicznych przy jej gotowaniu. Rozumie się, że towarzyszyła temu młodość, a z nią i dobra fantazja!

Jakże mi się dziś innym i niepodobnym wydał ten sam pokój!...

Ogrzawszy się należycie, ruszyliśmy dalej. Śnieg obfity zaścielał drogę i nim przyjechałem do Przyłuk, było już go tyle, że dalej można było jechać saniami. Przyłuki! — I ta stacja budzi wspomnienia! Jedną bo to z najpiękniejszych miejscowości i najwspanialszych rezydencji na Litwie. Długa, cienista ze starych lip aleja prowadzi do niej. Do niedawna dwór ten stał pustkami, lękano się w nim zamieszkać, bo wieść głosiła, że coś tam straszy, i nocą ukazywać się tam miały widma. Pamiętam nawet balladę, w zbiorze czyichś poezji, osnutą na romantycznym zdarzeniu, o dwóch rycerzach, co walcząc o kochankę, oba polegli przy łukach z kąd miała pójść nazwa: „Przyłuki”.

Gdy po śmierci właścicielki ich Iwanowskiej, majątność ta drogą familijnego spadku przeszła do rąk Horwatowej jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski wszystko tu przybrało inną postać.

Piętrowa kamienica zmieniła się w gustowny pałac na tle ogrodów, zstępujących w malowniczych parowach i kondygnacjach ku rzece. Za rzeką stanęła piękna na wzgórzu cerkiew, z drugiej zaś strony gościńca, stacja i oberża a wszystko to wzniesione zostało z wytwornym smakiem i ogromnym nakładem. Kierowała tem sama pani, z Osztórpów marszałkowa, Horwatowa i jej to zamiłowanie piękna dzięki to niegdyś pustkowie zmieniło w rozkoszną rezydencję. Jadąc pod górę głębokim parowem, ponad którym, z jednej strony wznosi się kościół, z drugiej pałac wśród bujnych kłębów angielskiego ogrodu, mignął mi w pamięci spędzony piękny wieczór letni, gdy tu byłem gościem w dniach wesela śp. Sianożęckiej, siostrzenicy pani domu, wydanej za Horwata. Miła to była dla mnie gościna, ze względu, że ta wysoce wykształcona i zacna pani, wśród innych pięknych przymiotów, co ją wyróżniały od wielu ówczesnych wielkich pań, posiadała rozwinięte wysoce poczucie estetyczne, i co za tem idzie, znajomość i zamiłowanie sztuki, i wszystkiego co zacne i dobre.

Gdy to dziś piszę, już i jej nie ma nie ma też i tej, na której tu byłem weselu! Ze śmiercią dziedziczki dobra te przeszły w inne ręce*), a pałac znowu pustkami stoi.

*) Nabył je hr. Em. Czapski, (numizmatyk).

XXXV.

Rozwidniało na dobre, kiedy minąwszy bór ostatni, ujrzałem Mińsk. Oświecone blaskiem wschodzącego słońca, migotały krzyże kościołów i cerkwi. Razem z tym widokiem nie mogło mi się w myśli nie powtórzyć pytanie:

— Co mię tam czeka?...

Była już siódma godzina, gdyśmy zajechali przed dom gubernatora. Był nim Każownikow, człowiek światły i uczciwy niegdyś „Diekabrysta”. Kilka chwil musiałem się zatrzymać, zanim z powodu rannej pory drzwi otworzono. I tu, przestępując próg, pomyślałem, że był czas, kiedy do tego domu wchodził jako gość, za gubernatorstwa hr. Kelera, gdy robiła honory domu piękna i niepospolicie wykształcona i miła, jego żona, z domu Ryżnitz, córka Rzewuskiej.

Weszliśmy na lewo do kancelaryi. Zbudzony urzędnik dyżurny, przejrzał podane sobie przez kozaka papiery, i po porozumieniu się w ciągu małej chwili z kimś niewidzialnym w drugim pokoju, zarządził, aby mię odstawiono do komisji śledczej, która się mieściła w klasztorze niegdyś pp. Bernardynek. Że to było niezbyt odległe, więc nie wsiadając do sanek, poszedłem pieszo, a tłum ludzi, który miał już czas zebrać się na widok świeżo przywiezionego więźnia, zachodził mi drogę, zaglądając w oczy. Kłaniali mi się niektórzy ze współczuciem, chociaż ich przypomnieć nie mogłem. Tak przeszedłem rynek, minąłem kościół OO. Bernardynów, z którego dochodził głos organu, z miłą notą godziniek. Skręciwszy nareszcie w dół na lewo, stanąłem przed furtą niedawnego jeszcze klasztoru. Zadzwoniono. Otwarty się drzwi przestąpiłem próg i oto po raz pierwszy w życiu znalazłem się w więzieniu!...

Wprowadzono mię do kordegardy pełnej żołdactwa, zrewidowano rzeczy, szukając broni, co spełnili miejscowi żandarmi, poczem, kazano mi czekać przybycia członków komisji. Przykra mi dotąd jeszcze pamięć tego trzygodzinnego oczekiwania. Nieznośny zapach żołdackiego tytoniu (machorki) zmieszany z właściwym koszarom rosyjskim zapachem, gwar żołdactwa tarzającego się wzdłuż i w poprzek na brudnych narach, ich pieśni ich cyniczne koncepta ich wstrętne rubaszność, z pewnym

rodzajem popisu, dały mi na wstępie przedsmak tego co mię czekało dalej. Patrząc na tę degradację ludzkiej natury, trudno było nie powtórzyć sobie w myśli słów naszego wieszczą.

„O biedny ruski synu! biedny moskwinie!żał mi twojej doli,
Jeden znasz tylko heroizm — niewoli" !

O godzinie 10-tej wezwano mię do komisji. Przyjął mię tam jej prezes, pułkownik żandarmeryi Rejhardt, w podeszłym już wieku, ale jeszcze rześki człowiek. Spisano protokół mego uwięzienia, z wymienieniem wieku, stanu, zajęcia, zkaąd i kiedy przybyłem. Gdym to podpisał, kazano mi się udać do przeznaczonej celi z propozycją, abym dni parę wypoczął, zanim wezwany będę do komisji.

Odkbyło się to wszystko w formie przyzwoitej, nie bez pewnego nawet odcienia grzeczności. Przy wyjściu, zapytał mię prezes, jaki mam zamiar co do mego stołu? czy chcę się żywić z kuchni rządowej, wspólny dla więźniów i żołnierzy czy z restauracyi, za własne pieniądze? Podziękowawszy uprzejmie, oświadczyłem się za restauracją. Poczem, poprzedzony przez klucznika żandarma (Skorochođa) w asystencyi drugiego, który niósł mój tŁomok, przeszedłem dŁugi korytarz, aż do ostatnich drzwi. Gdy je otworzono i gdym wszedŁ do przeznaczonej celi, uderzył mię przykry widok ruiny. PodŁoga na wpół zgniŁa, piec popękany, Łciany brudne, chŁód wilgotny tchliną przejęty, wszystko to robiŁo wrażenie grobowego Łochu, nie mówiąc już o kratkach, na wpół zakrytego deskami okna.

JakŁe tu żyć, powiadam, zwróciwszy się do klucznika toŁ tu grób za życia miaŁby, ktoby tu zamieszkaŁ. Ja tu przynajmniej mieszkać nie mogę jestem niezdrów i proszę o inną celę. Powiedziałem to stanowczym tonem. SpojrzaŁ mi w oczy klucznik, a Łe to bystry i przebiegŁy zbir, wnet się zorientowaŁ i zmiarkowaŁ, Łe mu się to opŁaci, więc mi odpowie:

— Pan pułkownik sądziŁ, Łe tu jako w ostatniej celi, będzie panu spokojniej, ale gdy się tu panu nie podoba, proszę parę słów napisać ja wnet to zaniosę i niewątpię Łe kaŁe dać panu inny numer a mamy właŐnie bliŁej komisji ciepŁy i czysty pokoik, który wczoraj p. N. opuŐciŁ. PoszedŁ i za chwilę wróciŁ z upowaŐnieniem zamiany mieszkania, WsunąŁem mu do ręki trzyrublową bunaŁkę ktorą ze wdzięcznym uŐmiechem ŁcisnąŁ, i oto za chwilę, znalazŁem się w suchej, schludnej i ogrzanej celi, ktorę okno nawet, aczkolwiek zakratowane, niebyŁo wcale deskami zabite. Źandarm Taras, dany mi do posŁugi, wziąŁ się wnet Łwawo do roboty uŐlaŁ mi na ŹwieŁem sianie łóżko, dostarczyŁ parę krzesŁ, stolik i inne drobne ruchomoŐci i otrzymaŁwszy polecenie, aby przyniósŁ mi o 2giej obiad z restauracyi i postaraŁ się o samowar na wieczór zostawiŁ mię samego, zamknąwszy, drzwi na klucz. Trzask rygŁa, niemiŁą sprawiŁ sensacyę. SpojrzaŁem w okno: kraty, po za kratami widok na dawny wirydarz klasztorny, pusty, z ktoręgo kilka tylko drzewek suchotnicznych zostaŁo z trzech stron jakieŐ mieszkania z czwartej wysoki parkan. SpojrzaŁem na drzwi u góry wycięte okienko, a przez nie, od czasu do czasu, zagŁada z kurytarza szyldwach. Pora byŁa spocząć. PoŁoŁyŁem się ale o Źnie i mowy być nie mogŁo, bo nieustanny ruch na kurytarzu, woŁanie, zmiana warty, zamykanie i odmykanie sąsiednich cel, przeprowadzanie więźniów, ciąŁy podtrzymując rozgardyarz, myŐli spocząć nie daŁo ani na chwilę. PrzypomniaŁy mi się słowa, ktorę, znalazŁszy się w podobnych warunkach Silvio Pellico, wypowiedziaŁ*): „ Pensava : — Un secolo fa, questo era un monastero: avrebero mai le sante e penitenti vergini che lo abitavano, immaginato che le loro celle suonerebbero oggi, non piÙ di femminei gemiti e d' inni divoti, ma di bestemmie e di canzoni invereconde, e che conterrebbero uomini d' ogni fatta, e per lo piu destinati agli ergastoli o alla forche? E fra un secolo, chi respirera in queste celle? Oh fugacita del tempo! Oh mobilita perpetua delle cose! etc.

„MyŐlaŁem: — Wiek temu, byŁ to klasztor: mogŁyŁy kiedy sobie wyobrazić Źwięte i poboŁne dziewice, co go zamieszkiwaŁy, Łe ich cele rozlegać się dziŐ będą, nie już poboŁnymi hymny i jękiem niewieŐcim, ale przekleńtwy i beswŐtydnymi Źpiewy i Łe mieŐcić w sobie będą wszelkiego rodzaju ludzi, skazanych w przewaŁnej części jako zbrodniarze, na więzienia lub cięŁkie roboty. A po dŁugich stuleciach, ktorŁ te cele zamieszka" ! ?... „O znikomoŐci rzeczy ludzkich"! itd.

Gdy tak dumam, sŁyszę pukanie za Łcianą przy ktorę stoi łóżko. Pukanie znaczące. Tak, znam ten rodzaj rozmowy. OczywiŐcie, ktoŐ miŁ do niej wzywa, i to Łwawo, jakby z naleganiem, jakby mu pilno byŁo, bo za kaŁdym przestankiem, zaczyna na nowo. KtorŁby to byŁ? MoŁe Źpieg nasadzony umyŐlnie. KtorŁ go wie, to się w więzieniach politycznych praktykuje. Więc nic mu nie odpowiadam. To go

jednak nie zraża puka dalej puka ciągle. Zniecierpliwiło to mię wkońcu więc daję znak i pytam : jak się zowie i zkąd jest?

— Konstanty Świeżyński z Polesia, syn Ottona — odpowiada.

A no, myślę, jeśli Świeżyński, to wszelka wątpliwość upada to zacna rodzina, znałem jego ojca. To wnuk sławnego myśliwca, który zginął głośną śmiercią o której długo mówiono na Litwie, bo w uścisku niedźwiedzia. Czyliż lepsza dola czeka jego wnuka!...

*) Le mie priogini — S. Pellico.

A więc zaczęła się pogadanka szło to z początku niesporo, bom nie był wprawiony do pukanego alfabetu, i musiałem pisać litery na marginesach słownika włoskiego, jedynej książki jaką mi pozwolono przy sobie zatrzymać. Była to jednak niemata dla mnie pociecha i rozrywka. Dowiedziałem się, że komisję składają przeważnie, pułkownik Rejchart prezes izby głównej Panafidiew i przysłany z Petersburga członek, dymisyonowany oficer gwardyi pułku ułanów, von Bratke oraz kilka osób z żandarmeryi i policyi. Dowiedziałem się też, że liczba więźniów nie przechodzi jeszcze dwudziestu że traktowani są z wielkim rygorem, trzymani osobno pod kluczem że listy przychodzą przez komisję odpieczętowane, i że strzedz się należy klucznika Skorochoda, bo to przebiegły i chytry Moskal. Tak mi przeszedł pierwszy wieczór. Około północy usnąłem. Spałem twardo, jak spi rozbitek po burzy. Zbudziła mię rano zmiana warty, i słowa przekazywane zwykle szyldwachom: „Nabludat! nie ziewat” itd. Przypomniały mi się słowa Silvio Pellico. „Okropna to rzecz powiada, zbudzenie się pierwszej nocy w więzieniu Jakto? czyliż to być może? ja tutaj! Więc to prawda że jestem uwięziony? O tak! W tej chwili myślę sobie, moi kochani spią jeszcze spokojnie, marząc może słodko o mnie, nie przeczuwając gdzie jestem. O, jakże byliby szczęśliwi, żeby ich Bóg zabrał z t ej ziemi, zanim ich dojdzie bolesna wiadomość o moim nieszczęściu. Któż im da siłę do zniesienia tego ciosu?!

Głos wewnętrzny mi odpowiadał: Ten, którego wszyscy zasmuceni wzywają czczą i czują w sobie, jego krzyżem. To była pierwsza chwila, w której wiara odniosła tryumf w moim sercu i dobrodziejstwo to zawdzięczam miłości synowskiej”.

XXXVI.

Po dwóch dniach jak to było zapowiedzianym otworzył drzwi celi o godzinie 11 stej przed południem Skorochod, i ozwał się z emfazą:

— Pażalujtie w kamissiju! (proszę do komisji). Jakkolwiek czekałem tego przebiegło mię mrowie, na te słowa.

— O co mię tam pytać będą? o com obwiniony! pomyśliłem w duchu. No, śmiało! idźmy w imię Boże! Narzuciłem pled, wychodzę. Przedemną i za mną eskortują z karabinami żołnierze. Gdy wszedłem do komisji pułkownik po przywitaniu mię, podał papier i wezwał, abym obok zapytania, napisał na nim odpowiedź.

— Podano mi krzesło i wskazano stół na uboczu. Pominąć tu muszę wiele zapytań, postawionych jedynie w celu wybadania moich przekonań politycznych, a przejdę do pytania, które było głównym powodem mego uwięzienia i osi, na której się obracała moja sprawa. Otóż śród innych, które mi sam prezes podaje, czytam:

— Wiele i w jakim celu, posłałeś pan pieniędzy do Mińska Karolowi Stan....? Zdziwiło mię to zapytanie, gdyż ani Kar.... Stan..., ani komukolwiek bądź, nie posyłałem pieniędzy w tych czasach. Więc też i odpowiedziałem przecząco. Napisawszy odpowiedź, podałem ją na stół prezydalny, i czekam. Po krótkiej cichej naradzie członków, dają mi znowu arkusz gdzie czytam:

— Nie przyznajesz pan abyś posyłał Stan.... pieniądze, a oto bilecik, który przeciw panu świadczy. Czy przyznajesz, żeś go pisał? Tu mi wręczają listek, w którym poznaję swoją rękę. Czytam rzeczywiście bilecik przed kilką tygodniami pisany, przy posłaniu broszury mojej na sejmiki Stan..., który tak opiewa:

— Posyłam na ręce Pańskie, mój grosz wdowi wnieś go Pan gdzie należy. Jakkolwiek myśli w nim zawarte nie nowe, nie będzie może za nadto powtórzyć je w czasie i miejscu, które za stosowne Pan uznasz. Łączę wyrazy szacunku itd.

— Rzeczywiście to jest moje pismo, powiadam ależ w niem nie ma mowy o pieniądzach.

— Jak to, przerywa mi Panafidiew, przecież tu wyraźnie powiedziano: „posyłam mój grosz wdowi” itd. Oburzenie połączone z gorzką ironią musiało mi się odbić na twarzy, bo nim odpowiedziałem, dostrzegłem zmieszanie i jakby konfuzję w jego towarzyszach którzy jakby na uczynku złapani, czekali na moją odpowiedź.

— Smutna to rzecz moi panowie, pomyśleć, odpowiadam po małej chwili, że kiedyś dzieje, nie państw, ale ludzkości, zapiszą, że w pełni XIX stulecia, które się liberalnem być mieni, był czas kiedy frazes źle rozumiany, stanowił o losie człowieka, a gorzej, bo o losie całych rodzin! Przecież wyrażenie użyte przezemnie, „grosz wdowi” (Lepta wdowicy) niczem innem tu nie jest, jak retoryczną figurą, zapożyczoną z Pisma Ś-go, które panu prezesowi Izby kryminalnej nie może być nieznanem. Że się zaś to wyrażenie nie odnosi do pieniędzy, to dalszy ciąg najdokładniej stwierdza gdzie się mówi wyraźnie o myślach, nie zaś o pieniądzach. Wypowiedziałem to ze spokojem, chociaż wszystko we mnie wrzało z oburzenia na myśl, że tak błahy powód, a nawet pozór powodu, stał się przyczyną tylu niepokojów, tylu bóleści dla mnie i dla moich bliskich.

— Chciej pan to napisać, rzecze mi prezes, podając papier. Siadłem, i napisałem odpowiedź, o ile sobie przypominam w sposób dość cięty. Na tem się też i zakończyła indagacja dnia tego. Nadeszła pora obiadowa więc posiedzenie przerwano wezwano żołnierzy, i odprowadzono mię do celi. No, myślę pierwsze lody złamane zdaje się, że o broszurze wiedzą ale jej nie mają. Pierwszy raz obiad jadłem z apetytem.

XXXVII.

Nazajutrz, o 11stej przed południem, znowu słyszę odmykanie zamka, otwierają się drzwi, i kardynalne złowrogie:

— Pażałujcie w kamissiju! Nie omyliłem się w przypuszczeniu że badany będę w dalszym ciągu wczorajszych indagacji, o to mianowicie, co zawierały w sobie przesłane Stan.... myśli. To też pierwsze pytanie, jakie mi zrobiono, odnosiło się właśnie do tego nieszczęsnego frazesu. Zapytano mię na wstępie:

— Jaki był mój stosunek z p. Stan...., potem, co to były za myśli jemu przysłane i w jakim celu? ad byłem pytaniu, bom się do odpowiedzi przygotował. A więc odpisałem:

— Stosunek mój z p. St. był natury czysto literackiej, nie znałem go osobiście, nawet nie widziałem. Znałem go tylko z opinii, i prac naukowych, które mię interesowały, gdyż poglądy nasze, pod wielu względami były podobne. Że zaś w sprawie podniesienia ludu, pracowaliśmy na jednym polu, jemu więc posłałem moją ostatnią pracę, w celu, aby ją zakomunikował, komu to uzna za słuszne.

Gdym to napisał, dają mi pytanie:

— Jakiż jest pogląd pański na sprawę podniesienia ludu? i jakie podług pana mogą być najistotniejsze jego warunki.

— Oświata! oświata! i jeszcze raz oświata! odpowiedziałem.

— Zechciej to pan wyrazić kategorycznie, jak pojmujesz tę oświatę? A no, myślę podajcie mi bicz na siebie to posłuchajcież co wam powiem więc rzekłem:

Dać ludowi wolność, po długiej jego niewoli i niedoli, a nie dać mu światła, to dać ślepemu miecz w rękę, aby szukał sobie nim drogi. Porani siebie i innych. Człowiek przez wieki trzymany w poddaństwie, jakby w powijkach, gdy się znajdzie na swobodzie, niepodobna przypuścić, aby jak dziecię na wolę puszczone, nie nadużył jej szczególnie, gdy nie brak mu zdradnych podszeptów. Aby go więc uchronić od upadku, a społeczeństwo od następstw, w interesie jest tegoż społeczeństwa, dać mu światło. Ale, aby mu to światło przyniosło pożytek, by mu oświeciło drogę życia i było podporą istotną trzeba aby było rzeczywiste, trzeba je podnieść wysoko tak wysoko, aby oświeciło fałsz i prawdę a zarazem, i to rzecz najważniejsza, trzeba uszanować w nim wiarę, gdy ją ma bo wiara i światło, to dwie potęgi co się dopełniają wzajem. A więc, nie zniżać ich do funkcji środków, lecz je podnieść jako cel sam sobie, wzniosły i szlachetny. To też raz na zawsze, powiedzieć sobie trzeba, że religia i oświata, jeżeli nie mają sprowadzić następstw, o jakich nam mówi nieraz krwawemi głoskami historia, powinny być wolne od wszelkich przymieszek polityki bo bądź co bądź, poczucie wiary i narodowości, nie zaszczepia się jak ospy a zgwałcone lub wprowadzone w błąd sumienie ludów, gdy do pełnoletności dojdą mści się nieraz surowo za wyrządzoną mu krzywdę.

Co do samej religii, to rzecz stwierdzona faktami, które tu nie miejsce cytować, że tam, gdzie się ją zniża do posług sprawom doczesnym traci na poszanowaniu prędszej lub późniejszej.

Panowie, żyjemy w czasach brzemiennych w wypadki w których stary porządek ustąpić musi niebawem nowemu. Zbliżamy się do przełomu, po za którym, prawdopodobnie, znajdzie się ludzkość wobec innych celów i innych ideałów. Niechże praca nasza, jeżeli ma mieć doniosłość dodatnią będzie rzetelną!...

Lud, któremu wola monarchy rozwiązała pęta jest to żyzna dziewicza niwa, pługiem dotąd nietknięta. Rzućmy na tę niwę my starsi jego bracia, zdrowe i posilne ziarno to mu się od nas należy, to zrobić powinniśmy powinniśmy !.... powiadam, przez sam instynkt zachowawczy, by nie wybujały na nim trujące dla nas zioła!... Sat sapientiae!... Skończyłem. W czasie gdy to mówiłem, czułem na sobie wzrok zwrócony wszystkich wzrok co mi się wpijał do duszy. Słowa moje wywarły wrażenie silne, chociaż różne, stosowne do usposobienia indywidualnego słuchaczy. Na jednych znać było zdziwienie na drugich potakiwanie i zadowolenie, na innych przestraszanie.

— Czy pan to zechce wyrazić na piśmie? — zapytał prezes.

— I owszem, odrzekłem zabierając się do pisania. Chciałbym z całym światem podzielić się moją myślą.

Gdy to napisał, podano mi pytanie:

— Jaki jest pogląd pana na sprawę proponowanego adresu szlachty do tronu, o przyłączenie zachodnich prowincji do Królestwa? i czy o tem była mowa w przesłanym piśmie do Stan....?

— Projekt adresu uważałem za niestosowny i byłem mu przeciwny czy zaś pisałem o tem do p. St. nie pamiętam.

Nie chciałem się przyznać, że o tem pisałem, i że to była główna treść mojej broszury, dlatego, że w razie gdyby ją posiadała komisja łatwiej mi byłoby wyprzeć się jej autorstwa, gdyż pisana była obcą ręką.

Po chwili dają mi nowe zapytanie:

— P. St. twierdzi, jak oto z jego zeznań widać że właśnie główną treścią pisma pańskiego, było oświadczenie się przeciw adresowi oto jego odpowiedź:

Czytam, i rzeczywiście widzę, że z pewnym nawet naciskiem p. St. powtarza, że pisałem przeciw adresowi. Przychodzi mi więc myśl, że mój niefortunny korespondent, wiedząc może, że broszura nie egzystuje i że o jej tendencji potępiającej mnie, zapewne już się rząd nie dowie, a chcąc zarazem poprawić mą sprawę którą znalazł u siebie moim

bilecikiem spowodował, stara się bronić mnie, wykazując przed komisją tę właśnie stronę mojego pisma, która w oczach rządu mogła, podług niego, dobrze mnie postawić. W istocie tak było.

To też kolizja ta, w której St... chcąc mnie ratować, narzucał mi rzecz, przed którą się broniłem, nie wiedząc o losie mojej broszury, była powodem długich jeszcze i zawiłych badań, aż nim się nie upewniłem, że jej u niego nie znalazł co gdy się stało, przyznałem że prawdopodobnie mogłem o tem pisać, bo mnie to interesowało i sprawę tę traktowałem nie rzadko i słownie i piśmiennie lecz czym pisałem o tem mianowicie do p. S., stanowczo twierdzić nie mogę, gdyż nie pamiętam jakkolwiek wiem, że to świadczyłoby dobrze na moją korzyść w oczach komisji.

Manewr ten powiódł mi się było w nim zadosyćczynienie i względem p. S., i położył koniec wątpliwości mojej i obawie co do broszury. Po latach dopiero kilku, gdy już był w Ołońcu, dowiedziałem się, że znalazł jej odpis u Wincentego Klimowicza, i że ten zacny człowiek przyjął na siebie jej autorstwo. Po dniach kilku takich i tym podobnych badań w których komisja rozwinęła cały aparat subtelności śledczych, gdzie nie zaniedbano nawet mnie pytać, do jakiej zaliczam siebie narodowości, i na odpowiedź że Litwin z urodzenia a Polak duchem żądano bym określić pod względem jeograficznym i historycznym granice Litwy itp., wezwano mnie, abym był obecnym przy rewizji moich papierów i książek zabranych w Nowogródku. Tu się zaczęła żmudna robota. Przeznaczony do niej urzędnik z policyi, Polak, przeziarać musiał każdy szpargał kilku tek, dając mi do skonstatowania każdy papier, który uważał być godnym uwagi komisji. Trwało to dni kilka, a tymczasem zbliżała się wiosna i z nią Wielkanoc. Na kwietną niedzielę, po nabożeństwie, przyniósł mi mój żandarm Taras, śliczną palmę, mówiąc:

- Kakaja to barysznia, prikasała wam atdat'.

Nie wiele mając znajomych w Mińsku, nie mogłem wszakże domyślić się, kto była ta panna, co mi tak miłą, niespodziankę zrobiła czułem tylko, że była to istota co miała i czuła w sobie serce! bo jakby gołąbek wśród potopu przyniosła mi gałązkę nadziei...

XXXVII.

Pewnego dnia, a zdaje mi się, że to było w Wielki czwartek, podczas odczytywania moich papierów, zbliżył się do stołu, na którym rozłożone były moje podróżne notatki, studia, albumy, listy itd., p. von Bratke jeden z tryumwiratu komisji. Był to młody człowiek, ze sfer petersburskiej arystokracji więc gładki, wymowny, wykształcony na sposób gwardyjskiej młodzieży, a jako ruski Niemiec przebiegły. Spojrzawszy na moje albumy, zapytał, czy pozwolę mu do nich zajrzeć.

Na tę grzeczność odpowiedziałem grzecznością, podając mu jeden z nich z dodaniem że mnie to właśnie prosić by o to należało teraz członka komisji.

— A! wy byli w Italii! — rzekł spojrzawszy na studia rzymskie.

— Tak jest, powiadam, po ukończeniu akademii sztuk w Petersburgu, udałem się do Włoch, jako ojczysty sztuki.

— A eto każetsia wid Granady wy byli i w Ispanii? (A to zdaje się widok Granady — byłeś pan i w Hiszpanii?)

— Tak, byłem tam, dla Velasquez' a i Murilla. Trzeba znać Moskali, aby pojąć jakie wrażenie zrobiła ta rewelacja, na panu von Bratke. O ile są dzicy i brutalni bezwzględnie w stosunkach z tymi o kogo nie dbają, (mówię o tych co do nas przychodzą) o tyle pozować na wykształconych europejskich ludzi uważają za obowiązek przy każdym zdarzeniu to ich słaba strona, ich mania, pomimo Katkowa et tutti quanti, którzy dzisiaj tak są nie łaskawi dla cywilizacji zachodniej. Znalazłszy się więc wobec kogoś, kto znał Rzym, Paryż, a nawet Granadę itd., poczuł jakby ostrogę w sadzeniu się na popisy o znajomości sztuki, świata i jego cywilizacji itd. Zaczęła się więc mowa z innego już tonu niż dotąd mowa sfer wielkokwiatowych, przeplatana francuszczyzną, w której mię już nie jako więźnia, którego pod kluczem trzymano, lecz jako człowieka sfery, której on czuł się być członkiem, traktował. Oddziało to wnet i na urzędników, a mianowicie na tego, co moje papiery odczytywał. To też wraz mu podał brulion odezwy do duchowieństwa w sprawie propagowania wstrzemięźliwości wśród ludu mówiąc:

— Pasmatritie wasze siatelstwo, kak eto skazano prekrasno.

— Da, odrzekł, przebiegłszy parę ustępów i dodał zwróciwszy się do mnie, Eto wam djelajet czest! (To panu zaszczyt przynosi). Zresztą, nic w tem dziwnego, po tem coś pan niedawno w tej sprawie wypowiedział.

Przyjąłem tę pochwałę milczącym ukłonem, myśląc w duchu:

— Jeżeli wy widzieć chcecie we mnie chłopomana, któryby chciał rzucić lud na szlachtę to się grubo mylicie. Nazajutrz, w ciągu dalszym rewizji, nadszedł i von Bratke i już mię powitał nie jak uprzednio, z wysokości majestatu, lecz jako dobrze znajomego, po francusku.

— Bon jour Monsieur, comment ça va fil? — Eh bien, dites done, qu' est ce que vous faites dans Votre celule?

— Merci Monsieur je me porte assez bien, mais quand à votre demande qu' est ce que je fait, je vous dirai franchement, que je m'ennuis diablement vu, qu' on me garde, sous la clef — comme un objet precieux — ce que Vous n'ignorez sans doute. On ne m'a pas laiss e ni un livre, ni même un morceau du papier et da crayon, objets si necessaires pour ne pas mourir d'ennui — powiadam na wpół z uśmiechem. A on mi na to. Oui, oui, ce n'est pas gai, mais comme il n y a pas des r egies sans execption, on peut y remedier, pour vous soustraire à la mort — rzecze śmiejąc się.

— Pażalujtie gaspadin N. pazwoltie wziat gasp. Pawłowiczu czto nibud' is jewo knih. (Proszę Pana, pozwolić p. P. wybrać książkę jaką zechce). To rzekłszy spojrzał na paczkę związanych listów i zawołał.

— Eto czto takoje! pismo grafa Hauke, cztoli?

— Tak jest odpowiadam.

— Wy s nim znakomye? zapyta zdziwiony. Wied' eto mój zaduszewny druh my s nim towarzyszczy, z pażeskaho korpusa. (Pan go znasz? To mój serdeczny przyjaciel myśmy koledzy z korpusu paziów). On radnia Imperatrice!!! znajetie?! (On jest krewnym Cesarzowej, czy to pan wiesz?)

— Bardzo rad, że mamy wspólnego przyjaciela, bo jak się pan możes przekonać z tych listów, jest też i moim przyjacielem, odrzekłem. Tu mu opowiedziałem mój stosunek, związany z Hauke jeszcze w czasie wojny Krymskiej, gdy był na Litwie, a następnie stosunek piśmienny, gdy był na Kaukazie. Łatwo zrozumieć, jak mię to wszystko podniosło w oczach pana von Bratke. Uprzejmość i grzeczność nie miały już granic. Poleciał raz jeszcze dozwolić mi wybrać jedną z moich księzek ofiarował swój ołówek i poczęstowawszy cygaretką, odszedł wezwany do komisji.

No, myślę, może się to na coś i przyda vederemo!

Gdyśmy zostali sami ja i ów czytający urzędnik, rzuciłem okiem na stos papierów i księzek moich, zabierając się do skorzystania z tak niespodziewanego obrotu rzeczy, i wybrania z nich czegośkolwiek. Patrząc i oczom nie wierzę! bo oto ze zdumieniem spostrzegam, w partji przygotowanej do odczytania, błękitny papier dobrze mi pamiętny, który miałem za zniszczony, a który zawierał w sobie rzecz, co mię mogła zgubić. Uderzyła mi krew do głowy zciemniało w oczach słowem fatalność! Pozycja krytyczna! bo za chwilę będzie za późno.

— Co począć!

A tymczasem urzędnik najspokojniej kontynuuje swą robotę czyta papiery rzuca jedne do kosza — drugie odkłada dla komisji i już się zbliża i jest nie daleko fatalnego rękopisu. Widzę, że nie ma chwili do stracenia! A więc upatrzwszy jakąś książkę co leżała w pobliżu przygotowanej do odczytania partji, powiadam z dobrą miną:

— Korzystam zatem z pozwolenia i biorę tę książkę to mówiąc w tej właśnie chwili, gdy urzędnik pochyła się w stronę kosza, by tam coś wrzucić, ja nachylam się ku książce, aby ją wziąć jedną ręką gdy tymczasem drugą szybkim ruchem wyciągam ów nieszczęsny papier, i ściskam go w garści. Stało się to w jednej chwili tak szybko że nim się ten zabrał do dalszego czytania i sięgnął po nowy papier, rękopis był już w mojej kieszeni. Odetchnąłem, i z głębi duszy poślałem westchnienie ku niebu!...

Zaprawdę, była to chwila, w której czułem rękę Bożą przy sobie!...

Można sobie wyobrazić wzruszenie moje. Aby je ukryć zwróciłem się ku oknu przypatrując niby wziętą książkę. Odtąd, byłem już o mój los spokojny.

XXXIX.

Gdy wróciłem do celi, i zabierałem się do obiadu, który zwykle był wprzód rewidowany sąsiad dał mi znak że ma ze mną do pomówienia. A więc rzucam obiad, i odpowiadam, że gotów.

Biorę ołówek i spisuję litery z których złożyły się następne wyrazy:

— Dzięki, dzięki! w imieniu własnem i kolegów, za dzielną obronę oświaty ludowej. W komisji mówią, żeś dyktatorskim tonem wypowiedział swoje przekonania. Uznanie to, niewypowiedzianą sprawiło mi przyjemność. Pierwsza to radość co mię spotkała w więzieniu a gdy się doda świeży, pomyślny wypadek w komisji to nic dziwnego, że cały mój obiad nietknięty prawie dostał się Tarasowi.

— Cóż to pan nie jesz? czyś nie chory? pyta mię troskliwie, pan się tak smuci, i to mu szkodzi na zdrowiu. Że zaś w tej chwili leżałem na łóżku dla łatwiejszego pukania zanim nie nadszedł, więc zbliża się do mnie staje przy łóżku i spojrzawszy mi w oczy z współczuciem powiada.

— Nie tużicie baryń, Boh miłostiw wszystko się dobrze skończy. Podziękowałem pocziwemu Moskalowi uściskiem ręki, bo miło mi było dojrzeć serce w piersiach żandarma. W tej chwili przez otwarte okno i kratę wleciał ptaszek i nuż fruwać po celi.

— A wot k wam i gosti prileieli powiada mi wesoło, chcąc mię widocznie rozbawić. Nie tużicie! Boh z wami rzeczy mi wychodząc. Rzeczywiście, w miły sposób zajęła mię ta scena i pomyślałem sobie, że dziwnie mi się tyle na raz złożyło miłych wrażeń, w wielki piątek. Może to i prawda co mówią że „dobry piątek na początek”. Daj Boże! Zachowałem się spokojnie, aby mego gościa nie płoszyć. Więc polatał do koła celi, a był to trznadel jakby dla obejrzenia mojej gospodarki i widząc że wszystko w porządku usiadł na kracie okna, poprawił pióra w skrzydełkach coś tam zaszczebiotał, jakby na pożegnanie, i odleciał.

Wieczór zeszedł mi na pisanie listów w odpowiedź na otrzymane od przyjaciół i rodziny. Tym razem łatwiej mi już przyszło przelać w nie więcej nieco otuchy. W najgorszym bowiem razie czekała mię

deportacya, co uważałem za dobrą dla siebie szansę. Tak to wiele w życiu zależy od punktu widzenia i porównania! Tylko deportacya?!

Nazajutrz, w wielką sobotę, sąsiad mój zakomunikował, że powstanie na Litwie ogarnęło wszystkie już prawie gubernie i że spodziewaną jest interwencya Europy. Daj to Boże!

Dzień był pogodny, słoneczny. Wyobrażałem sobie, jaki to ruch być musi w mieście przy zwiedzaniu grobów wobec takich wiadomości. Wieczorem, ozwały się dzwony, w czasie rezurekcyi dochodził nawet głos organu i śpiewu z sąsiedniego kościoła OO. Bernardynów. Chwila to uroczysta i niezwykle patetyczna, słyszeć pieśń zmartwychwstania w więzieniu i to jeszcze w więzieniu za sprawę której celem zmartwychwstanie.... Zdaje się, że głos tej dawnej pieśni zmieszany z głosem organu i dzwonów, bijący w niebiosy, to jakby protest ducha wobec siły pięści że to głos wiary w przyszły tryumf prawdy zaprzeczanej, odpychanej, ale wkońcu zwycięskiej...

A więc słucham i chociaż mię krata przedziela od ludzi, łączę się z nimi duchem i nucę: „Wesoły nam dziś dzień nastał”! Naraz słyszę, aż oto z sąsiedniej celi, dochodzi mię tażsama nuta tylko silniejszym i dźwięcznym wyśpiewana tenorem. A więc dalejże mu wtorować, i już na prawdę. I oto rozległ się bas i tenor w duecie, na nutę nie licującą wcale ze ścianami więzienia nutę tak wszystkim miłą, że nikt nam nie przeszkadzał że widocznie się podobała nawet szyldwachom że sam Skorochod, który zwykle pukania zabraniał, nic przeciw temu nie miał. Na zapytanie, kto jest moim towarzyszem duetu, powiedział że jest nim także więzień, oficer Ciundziewicki....

Tak się to zakończył wieczór sobotni, przed wielkim dniem Wielkanocnym w więzieniu Mińskim, i tak się zaczęły moje produkcye śpiewne z Ciundziewickim. Odtąd śpiewaliśmy co wieczora.

XL.

Nazajutrz, jako w pierwszy dzień wielkanocny, jeszcze nie wydniało kiedy mię już zbudziły powtarzane na kurytarzu słowa: „Chrystos wskres!” — Wypukaliśmy tożsamo z moim sąsiadem i miły nastrój ducha rozpoczął nam ten dzień uroczysty. Około południa, zrobił się niezwykle ruch na kurytarzu, niedługo zatem, otwały się drzwi mojej celi i wszedł prezes komisji w galowym uniformie „z pozdrowieniem prazdnika”.

Obchodził bowiem wszystkie cele.

— Przychodzę, obyczajem starym, powinszować i życzyć panu miłych świąt, rzekł podając mi rękę, i wraz zatem, ze słowem „Chrystos wskres!” całując się po trzykroć.

— Wo istinie wskres! — odpowiadam mu, dodając z uśmiechem, że przyjmuję z podzięką tylko drugą część tego, co mi raczył powiedzieć bo przyzna zapewne, że co do powinszowania, to Bogiem a prawdą nie ma czego mi winszować.

— Nie unywajcie, rzeczcie ściskając mi rękę. Chciej pan wierzyć, że zadaniem komisji, przynajmniej dopokąd jestem jej prezesem, jest nie tylko sprawdzenie winy, lecz i niewinności więźnia. Poczem, zapytał o zdrowie, i czyli mi tu wygodnie, i pożegnawszy mię uprzejmie odszedł. Zaledwo drzwi się zamknęły, gdy znowu z łoskotem obraca się klucz w zamku, otwierają się drzwi i wnoszą święcone przysłane z miasta, w którym figurują babki, torty, szynki, zwierzyna, i wina przeróżne jednym słowem, przyniesiono mi tyle, żem się znalazł w kłopotcie, gdzie to wszystko podziąć. Poczestowawszy więc żandarmów i żołnierzy, i wycatowawszy się z nimi należycie, część zostawiłem sobie resztę kazałem oddać temu z więźniów, któremu by nikt inny nic nie nadesłał.

Otóż i Wielkanoc moja! — pomyślałem gdzież to z kim i jak, przepędzę ją za rok?

XLI.

Nazajutrz ku wieczorowi daje mi znak mój sąsiad Świeżyński, i mówi:

— Przyłóż ucho do ściany! i słuchaj. Zrobiłem co kazał, i o dziwo! — o radości! słyszę najwyraźniej jego mowę przez ścianę. A on mi powiada:

— Była tu przed chwilą moja żona, i widząc z jakim trudem odbywa się nasza pukanina, mówi: — to nic nie warto popróbowacie innego sposobu. To mury ograne jak skrzypce jestem pewna że słyszały one wiele...

— A co, czy słyszysz? pyta mię Świeżyński.

— Słyszę doskonale. — Brawo! zatem niech żyją wynalazki klasztorne! podziękuj odemnie swej żonie — zanim kiedyś damy jej za to order zasługi większej niż wiele innych. Cóż okazało się? oto, że był to sposób praktykowany przez płeć nadobną wychowywaną w klasztorze, prawdo podobnie po wieczornem przedzwonieniu na „Silencium”. Można więc sobie wyobrazić, jak skwapliwie skorzystaliśmy zeń, by sobie wynagrodzić czas stracony. Jedyną była niedogodność w tem, że należało się oglądać na fatalne we drzwiach okienko ale i na to znalazł się sposób.

Po dniach kilku wezwano mię znowu do komisji. Były to już badania mniejszej wagi, odnoszące się jedynie do moich papierów. Chciano widocznie czemkolwiek upozorować moje uwięzienie. Pytano mię np. zkąd i w jakim celu otrzymałem i miałem u siebie adres szlachty podolskiej?

Odpowiedziałem na to z całą otwartością że go znalazłem w kieszeni, po powrocie z kościoła. Był to bowiem czas, w którym w podobny sposób komunikowano zakazane pisma. Dlaczego zaś go miałem u siebie? to też rzecz bardzo prosta bo była to sprawa co mię interesowała jak to komisji wiadomo. Nic więc dziwnego, że chciałem znać cały jej przebieg w różnych prowincjach kraju.

Zapytano mię jeszcze z powodu znalezionej korespondencji z Michałem Hausmanem jakiego rodzaju był mój z nim stosunek. Znałem Hausmana, odpowiadam, jako człowieka niepospolitych zdolności, inicjatywy i najlepszych chęci, czego dowodzi znaleziony u mnie odpis jego przemówienia na otwarciu towarzystwa wzajemnej pomocy urzędników w Mińsku, którego był twórcą. Działając w podobnych celach w Nowogródku, mianowicie, w celu podniesienia moralnego tej klasy połączności, nic dziwnego że z nim porozumiewałem niekiedy. Pierwszym zaś i głównym powodem mojego z nim zbliżenia była sztuka której jest amatorem i znawcą. Malowałem dlań obrazy.

Dano mi jeszcze kilka innych pytań i na tem zakończono badania i zostawiono mię w spokoju. Mijały dni na rozmowie, czytaniu, a i śpiewy wieczorne nie były też zaniedbywane. Kończyliśmy zwykle naszą kantatę smętną piosnką:

„Lecą liście z drzewa” itd.

Z początkiem kwietnia nastały dni piękne, zawitała wiosna w całej krasie. Zamknięty w szczupłej celi pozbawiony świeżego powietrza, czułem z dniem każdym upadek sił i zmagające się oznaki niezdrovia. Siła tylko woli podtrzymywała mię. To też wiedząc, że jest inny oddział więzienia, umieszczony w murach policyi, obok katedry przy rynku, napisałem do prezesa, prosząc o przeprowadzenie mię tam.

Prośbie stało się zadość, i oto pewnego poranku odbyły się przenosiny. Pożegnałem nie bez żalu Świeżyńskiego, pocieszając go nadzieją rychłego spotkania na swobodzie. Żał mi było i Tarasa, a nawet i ścian tej celi, w której tyle emocji doznałem. Tak to niekiedy zmiana znanego na nieznanie, chociażby nawet na lepsze, w pewnych warunkach, budzi żal za tem, co się rzuca.

Gdym się znalazł na ulicy i odetchnął świeżem powietrzem taki poczułem zawrót głowy, spowodowany zmianą atmosfery, że szedłem zataczając się, i o mało że nie upadł mijając Bernardynów.

— Seto s wami? — pyta mię zaniepokojony żandarm.

— Niczewo eto prajdiot, odpowiadam zatrzymując się chwilę odetchnąłem, i dalej przez rynek rześko już przeszedłem.

Nowe więzienie było na piętrze, z oknem na plac główny przed katedrą. Okno wprawdzie do połowy zabite deskami, zawsze jednak przez szyby u góry, dawało dosyć światła, i dozwalało spojrzeć na świat, stojącemu na jakimś podwyższeniu. Łatwo pojąć, że nie żałowałem sobie tego widoku. Żandarm przydany mi do nadzoru i drugi żołnierz do posług, wiedząc prawdopodobnie z kim mają do czynienia, ochoczo mię powitali i urządzili żwawo moje nowe pomieszkowanie.

„Rubl małczit — rubl gawarit” jest to aksjomat, co długo jeszcze bodaj, mieć będzie znaczenie niepoślednie w Rosji i zajdzie tam daleko kto nim manipulować umie. Nazajutrz, odwiedził mię prezes zapytując, czy mi tu wygodnie.

— Dziękuję panu, panie pułkowniku. Mam tu lepsze powietrze i widzę trochę nieba, rzekłem wskazując na zakryte do połowy okno.

— Ba, da, gdzieś wam budiet udobnieje i będziesz tu Pan miał zręczność użycia przechadzki na wolnem powietrzu, udając się do komisji. No, myślę sobie, wołałbym wyrzec się tej przechadzki, byleby uniknąć nadal tej waszej komisji, i nie słyszeć tego: „pażałujtie w kamisiju!” Nad wieczorem,

nieopodał, ozwała się muzyka wojskowa przed domem gubernatora. Grała parę godzin. Odtąd, słyszałem ją często, bo w sąsiednich murach pojezuickich, były koszary, z kąd mię dochodziły jej egzercycye. W sąsiedztwie mojem, z jednej strony za ścianą była więzienna kordegarda żołnierzy pułku liniowego piechoty z drugiej kamera z której nie dawno uwolniony więzień odjechał. Wiadomość ta miłą mię przejmowała otuchą. Obiady przysyłali mi zacni dawniejsi moi nowogródzcy koledzy: Kowzan i Hejbowicz, obecnie profesorowie mińskiego gimnazjum. Miałem też i książki. Było mi tu więc dość wygodnie i dobrze, o ile to w więzieniu być może brakło tylko żywego słowa. To też rozmówiwszy się z żandarmem i widząc w nim materyał nie zły na człowieka, wziąłem się do jego nauki. Umiał trochę czytać, ale co do pisania to ani w ząb a chciało mu się bardzo nauczyć, bo odbierał listy od swojej rodziny, z kądś tam aż od Samary. A więc w krótkim czasie nauczyłem go tyle, że pierwszy list w życiu napisał do ojca, własnoręcznie.

XLII.

Tak mi przechodziły dnie i tygodnie. Parę razy wzywano mię do komisji. Pewnego dnia odwiedził mię p. Wasilijew, dyrektor świeżo mianowany dla nowogródzkiego gimnazjum w miejsce Czasznickiego, który wziął dymisyę.

Przyszedł aby się ze mną zapoznać. Opowiadał o wypadkach w nowogródzkim o egzekucji młodego Pusłowskiego, domniemanego naczelnika partji i o wielu innych rzeczach, które mię interesować mogły. Powiedział mi zarazem, że uważa sobie za prawdziwą przyjemność oznajmić i że z tem właściwie do mnie przychodzi od gubernatora u którego był przed chwilą, że mam być uwolniony.

Podziękowałem mu, dodając nie bez wzruszenia, że jeśli mi danem jeszcze będzie pracować w Nowogródku pod jego przewodnictwem, to mogę go zapewnić, że nie pożałuje, iż mi tę dobrą wiadomość przyniósł.

Nastał więc czas oczekiwania a z niem trawiącej gorączki.

Pewnego dnia, a był to piękny dzień kwietniowy, zwabiony śpiewem żałobnym jakiegoś prawosławnego pogrzebu, którego kondukt wychodził właśnie z przeciwległego soboru, zająłem moje obserwatorium u okna. Gdy się tak przypatruję i słucham pięknego śpiewu, słyszę otwierające się drzwi wchodzi prezes.

Zstępuję z mego rusztowania, witamy się. — Prekrasna siewodnia pagoda powiada mi, z jakimś na wpół żartobliwym tonem i uśmiechniętem obliczem. Panie prezesie, odpowiadam mówisz pan głodnemu o chlebie i o przysmakach. To też znalazłeś mię pan właśnie w pozycji w której wykradam dla siebie te okruszyny uczy jaką Bóg ludziom zastawił bo oto patrzę przez szpary na piękny świat Boży! A on mi na to:

— Tak panie, rzeczywiście piękny dziś świat Boży to też przyszedłem powiedzieć panu żeś wolny!

W milczeniu uścisnąłem serdecznie podaną mi rękę, bo mówić na razie nie mogłem. Uczucie radości rozpiekało piersi. Wystarczyło też mu to zapewne, bo mię uścisnął i dał rozkaz, aby mi dozwolono wchodzić i wychodzić swobodnie, zanim się nie przeprowadzę na kwaterę do miasta.

— Wy u nas tiepier kak w hotele rasparasajtieś kak wam ugodno. (Pan tu jesteś odtąd tak, jak byś był w hotelu urządzaj się jak ci się podoba). Przy pożegnaniu uścisnąłem go raz jeszcze bom przeczuwał w nim zawsze zacnego człowieka pomimo stanowiska, jakie zajmował. Bo też to jeszcze był czas, kiedy w komisjach olitycznych nie prezydowały murawjewowskie kreatury, kiedy zasiadali tam ludzie, nie szakale.

Po rozstaniu z nim, nie czekając chwili wyszedłem zamknąwszy po raz pierwszy kwaterę sam, i zabrawszy klucz do kieszeni. Tuż obok policyi katedra więc pierwsze kroki do kościoła. Drzwi już były zamknięte, więc na progu dziękowałem Bogu za tę chwilę radosną, w której posłać będę mógł słowa pociechy mojej biednej matce. Z pod katedry, aby się nieco uspokoić, udałem się do ogrodu. O jakież bo to miłe uczucie swobody po dniach niewoli i trwogi! o siebie i innych trzeba ją utracić aby poczuć całą jej wartość. Idę, a idąc nie dowierzam i oglądam się, azali nie kroczy za mną, nieodstępny cień błękitny lub karabin z najeżonym bagnetem. Nikogo! więc całą piersią oddycham swobodnie. Czuję się znów nie już jako numer więzienny lecz jako człowiek, jako ogniwo ludzkości i tych wszystkich co oto żyją, chodzą działają co się czują być członkami kraju, społeczności rodziny!

Dzięki Ci Boże!

Zaprawdę, nigdy mi się tak pięknym Mińsk nie wydał. Bo też i rzeczywiście pięknym był podówczas. Chcę tu mówić o jego stronie duchowej. Okazało się bowiem, że praca lat ostatnich, nie pozostała tu bezowocną. Jeżeli zaś dodamy duch reform, przez sam rząd natchniony, wpływ osobistości znanych z obywatelskich cnót i zasług, które tu pracowały czas długi i w Komitecie dla spraw włościańskich i poza nim udział młodzieży uniwersyteckiej, w szczepieniu światła i nowych idei, bądź w kole prawników bądź lekarzy co z zapałem właściwym młodości, nurtowali wśród warstw społecznych to nic dziwnego, że wszystko to razem, spowodowało pomyślną zmianę w nastroju całej społeczności. A gdy się jeszcze do tego doda, ów prąd gorący, niepowstrzymany a podsycany nieustannie z zewnątrz i wewnątrz prąd, co nie obliczał, ani rezonował, ale był wyrazem drażnionych najświętszych uczuć gnębiętego narodu to dziwić się nie można, że Mińsk, dotąd li tylko biurokratyczny, zmienił się naraz do niepoznania, nie dając się prześcignąć nikomu na polu objawów patryotycznych. Owszem, oskarżany nieraz o obojętność ku sprawie narodowej, rwał się teraz do życia by na tem polu powetować czas stracony.

XLIII.

Przechadzka po ogrodzie, posłużyła mi przedziwnie na uspokojenie uczuć wzburzonych. Szmer gałązek świeżym liściem odzianych wierzb i brzoź ponad cichym nurtem rzeki brzęk muszek, miły szczebiot ptastwa, wśród cienistych świerków, a nadewszystko jakaś błogość właściwa wiosnie, rozlana w całej naturze, dziwnym kontrastem z tem, co mię otaczało przed chwilą, radowały oczy i serce. Otaczał mię spokój. To też po przybytych tylu trwogach i troskach czułem się tu, w obec natury jak dziecię splekane u kolan swej ukochanej matki.

Była to, jakby dziękczynna i bez słów modlitwa.... zadosyćuczynienie potrzebie duszy. Odtąd mogłem już iść między ludzi.

Gdy wróciłem, żandarm wręczył mi pismo komisji następne:

Do nauczyciela nowogródzkiego gimnaz. Artysty Edwarda Pawłowicza.

Komisja z woli najwyższej ustanowiona dla spraw politycznych w Mińsku.

15 Kwietnia 1863 r

Nr. 154. Mińsk.

Wskutek przedstawienia komisji, p. naczelnik gubernii postanowił uwolnić i wrócić pana do zajmowanego przezeń obowiązku z tem, abyś pan do zupełnego ukończenia sprawy w komisji, nie wyjeżdżał z Nowogródka.

Zawiadamiając o tem pana, komisja proponuje panu abyś się nie wydalał z Nowogródka, aż do osobnego rozporządzenia i prosi o zawiadomienie o czasie wyjazdu pańskiego z Mińska.

Prezes: Pułkownik Rejhardt.

Członkowie: Radca Dworu M. v. Bratke.

Kollegialny Assesor Panafidiew.

Po wyekspedycowaniu listów w nowogródzkie pożegnałem moich stróżów i przeprowadziłem się do hotelu. Wieczór spędziłem w miłym kółku, wśród zacnej rodziny Wołodzków, dokąd się zebrało na wieść o mem uwolnieniu kilka osób z bliższych znajomych. Nie potrzebuję mówić, jak mi tam czas przeleciał szybko, na szczerą, serdeczną pogadankę, wśród miłych mi objawów radości i sympatii. Co się tam czuło mówiło, w natłoku różnych wiadomości, nadziei itp. to się opowiedzieć nie da. Dość przypomnieć, że świeżo opuścił więzienie był wolny, i że to było w najgorętszym czasie patryotycznego ruchu.

Nazajutrz, na usilną prośbę zacnego śp. Karola Pieszki, przeniósłem się do niego na mieszkanie tuż obok ewangelickiego kościoła. Był to kawaler więc było mi tam swobodnie i dobrze.

Po kilku dniach tej nowej egzystencji, poczułem, że duch mój od dłuższego czasu targany na wsze strony, nadwątlił zdrowie. Napięte sprężyny organizmu, podczas trudnych dla mnie przejść nie ekscytowane więcej, widocznie osłabły i po wyczerpaniu sił moralnych i fizycznych, nastąpiło osłabienie,

jakby po ciężkiej chorobie. Udałem się do lekarza i rozpocząłem kurację. O wyjeździe do Nowogródka na teraz i mowy być nie mogło tem bardziej, że w dni kilka po wyjściu z więzienia, zawiadomiono mię, że moje miejsce w gimnazjum oddano innemu, z rozporządzenia kuratora szkół ks. Szachmatowa Szyryńskiego, znanego wroga Polaków.

— „Znajęcie czto, powiada mi pewnego dnia przy spotkaniu von Bratke, oburzył mię postępек ks. Szyryńskiego względem pana zrobiono panu krzywdę. Ale to się da naprawić i oto co bym panu teraz radził: Jedź pan do Petersburga. Będiesz tam sobie przez czas niepokojów malować w Ermitażu a my tu postaramy się tymczasem w drodze urzędowej, aby pana wrócono do Nowogródka. Jedź Pan będziesz tam miał spokój”.

Podziękowałem mu za dobre chęci, ale propozycji przyjąć nie mogłem. Bo jakkolwiek nie brałem udziału w ruchu, jaki zapanował i nie wierzyłem w pomyślny rezultat, uważałem za niegodne umykać i to jeszcze do Petersburga, wtenczas gdy nad głowami wszystkich zawisło nieszczęście.

A tymczasem powstanie coraz szersze przybierało rozmiary, jeżeli nie co do liczby powstańców, to do miejsc przez powstanie zajętych. Stan umysłów podniesiony, chwycił w lot każdą wieść o rzekomych pomyślnych bitwach, nie przeczuwając, że na przygotowanym przez entuzjazm gruncie, rozsiewała je nieraz zdradliwa ręka tych co tylokrotnie korzystając z łatwowierności naszej i szlachetnych uniesień, przywykli robić z nas, ile razy tego była potrzeba jęczącą ranę na ciele Rosyi.

Z drugiej znów strony, z chwilą gdy już było widoczne, że sympatye Europy dla nas były natury li tylko platonicznej, i że ludność wiejska (oprócz Żmudzi) nie bierze w niem udziału, Rosya uważała powstanie jako rzecz w najwyższym stopniu pożądaną dla siebie, a więc i nie spieszyła go tłumić bo w każdym kęsie chleba podanym powstańcowi, widziała sposobność uwięzień, deportacji, konfiskat, wśród szlachty, którą chciała zniszczyć.

Jednem słowem, to co było oddawna pragnieniem rosyjskiego rządu, tośmy mu ułatwili sami, idąc na oślep w przygotowaną zasadzkę. W dodatku, ogłoszonej amnestyi nie przyjęliśmy. Kazano nam wytrwać bądź co bądź i czekać. Czekaliśmy. Pomimo to, przyznać to dzisiaj należy, że nawet wtenczas, gdy już się nadzieje rozwiały gdy wyjście do partyi miało następstwem, zgon w nierównym boju, sybir lub tułactwo nawet i wtenczas młodź litewska wierna idei braterstwa z Koroną, posłuszna skinieniu, biegła by zasilić przerzadzone szeregi powstania, by zaświadczyć przed światem, że duch polski ją ożywia szła na śmierć, by zaznaczyć krwią swoją granice dawnej Polski!

Dnia 14 maja Michał Mikołajewicz Murawjew, zaszczycony nieograniczoną władzą, objął rządy Litwy. Mściwa polityka caryzmu znalazła w nim godnego wykonawcę. Odtąd, nastaje nowy peryod w dziejach Litwy peryod męczeństwa i eksterminacyi wszystkiego, co w niej było polskie.

A gdy już powstanie, prócz partyi ks. Mackiewicza na Żmudzi i Świętorzeckiego w lasach Ihumeńskich, było stłumionem a tylko rozbitki tam i ówdzie się snuły szukające przytułku lub sposobności wyjścia za granicę, rozesłano po ich śladach chmury szpiegów po wsiach, dworach itp., chwymano, więziono każdego, co miał z nimi styczność. I oto nastał sądny dzień, przepełniły się więzienia uorganizowały się nowe komisye (poprawnej edycyi). Wyroki śmierci obiegały miasta i miasteczka, rozpoczął się krwawy szereg egzekucyi. Zapanował terroryzm!

Pierwszą ofiarą Murawjewa, był oficer artyleryi, mój towarzysz śpiewów więziennych, Ciundziewicki. Rostrzelano go dnia 2 czerwca.

Na wsi, po lasach zarządzono obławy z chłopów i wojska. Rabowano dwory wleczono przed komisye, każdego, kto się nie mógł opłacić policyi lub popom. Jak się działy tam rzeczy, jakie tam duch ludzki przechodzić musiał stopnie katuszy, co się działo w bitwach obławach, wśród rozjuszonego żołdactwa i rozpojonego chłopstwa, któremu powierzano eskortę pojmanych powstańców co się działo w komisjach, gdzie nie ludzie lecz kanibale dzicy zasiedli gdzie wyrafinowany podstęp daleko za sobą zostawił czasy inkwizycyi na "opowiedzenie tego braknie mi słów i pióro wypada*).

*) Jenerał żandarmów Łosiów, prezes śledczej komisyi, tak mówi o jednym z więźniów skazanym do katorgi. Wot kanalia! Waabrazitie siebie, siem raz pocelował jewo płakał s nim daze... i wsio naprasno — nieskazał ni słowa! nie soenał sia i nikawo nie wydał kakow?! (Ruskaja Starina). Jako drugi przykład znęcania się i mocy charakteru przytoczymy jeszcze jedno.

A jednak rzecz dziwna duch nietylko nie upadał ale się wzmaczał....

Codzień odbywały się nabożeństwa majowe kościoły były przepełnione.

Widzę jeszcze dziś jak po niesporach, gdy się już miało ku wieczorowi tłum nieprzeliczony, z wszelkich stanów, wyznań, narodowości nie wyłączając żydów, zalega ulice i ciągnie ku miejscu jakby czarna chmura, gdzie była świeża Ciundziewicki ego mogiła. Widzę, jak to wszystko w skupieniu ducha uklękło i otoczyło ją z trzech stron, bo z czwartej stał sztyldwach z bagnietem. Śpiewają „Anioł Pański” i „wieczne odpocznienie” a tymczasem, czyjaś malutka dziecina zabiera od klęczących przyniesione kwiaty i wieńce i kładzie je na mogile potem, jedna z kobiet odmawia modlitwę za umarłych. Potem jeszcze odśpiewano „Boże coś Polskę”, i zapanowała cisza, cisza przerwana tylko czasem tłumionym łkaniem z którym się miesza cichy, głuchy szmer falujących się kłosów zboża ponad mogiłą. Zapada noc i oto patrz, cały ten tłum, do niedawna różnorodny, dziś jedną myślą, jednym Floryan Danowski, 1822 r. urodzony w Poniewieżkiem, skazany został w 1849 r. do ciężkich robót w kopalniach sybirskich i 2000 kijów. Straszna ta egzekucja odbyła się w listopadzie 1850 r. w Wilnie skąd zakuty w kajdany wysłany został piechotą, do kopalni w Nerczyńsku razem z Michałem Bokiem, który wytrzymał 3000 kijów, Ludwikiem Uklejewskim 2000, Skrzetuskim 1500, i Dobkiewiczem 2000 kijów. W 1858 roku ułaskawiony, wrócił do kraju i osiadł w Antonoszu u Edwarda Romera a następnie w obowiązku zarządzającego zamieszkał u jego syna Alfreda Romera. W r. 1862 został pisarzem gminy w Szatach, w Wiłkomierskim. Tu go zastały wypadki 1863 roku. Uwięziony przez kapitana oddziału rosyjsk. Kawera, badany, po trzykroć był wieszany i zdejmowany ze stryczka, w celu wymuszenia zeznań. Nareszcie ponownie uwięziony za rządów Murawiewa przebył trzy lata w dominikańskim więzieniu w Wilnie z kąd wysłany został do Tomska „na żywotność” gdzie przebył do 1874 r.

uczuciem i żalem przejęty w dziwnym skupieniu ducha odchodzi milczący, poważny, zadumany — zbratany O jakże mi się boleśnie przypominały słowa piosenki niedawno z nim śpiewanej:

„O biedna kraino,
„Gdyby ci rodacy
„Co za ciebie gina,
„Wzięli się do pracy....
„I po garści ziemi
„Z Ojczyzny zabrali,
„Jużby dłońmi swemi
„Polskę usypali!

Tak to było w 1863 roku w Mińsku, tak się tam modlił naród na grobach swych męczenników! Kto to widział nie zapomni.

— Dzielnie szedł na śmierć, jakby na paradę, mówił mi jeden z oficerów, obecny przy egzekucji. Mijając baterie ustawione na wzgórzach, nieopodał miejsca, gdzie miał być stracony zdjął czapkę pozdrawiając kolegów. Na placu, gdy go postawiono u fatalnego słupa, prosił by mu nie zawiązywano oczu, mówiąc:

— Przecież jestem żołnierzem i potrafię spojrzeć w oczy śmierci.

To były jego słowa ostatnie. Rzuciło mu do dołu wiązankę kwiatów przedartszy się przez szeregi wojska jakieś dziewczę wiejskie ze wsi Połoń.....

XLIV.

Takie pielgrzymki odbywały się codzień.

Dlaczego ich nie broniono? Odpowiedź łatwa. Dawały ono sposobność szpiegom, spisania wszystkich, co w nich udział brali. A gdy to już było zrobiono, gdy uwięziono mnóstwo osób, lub, jeśli to byli żydzi, obłożono sztrafami gdy mężowie żon noszących żałobę, zostali wydaleny ze służby, lub wywiezieni w głąb Rosyi, ogłoszono rozkaz wzbraniający wszelkich patryotycznych objawów. Zasadzka już była niepotrzebna.

W tym czasie zaludnił się Mińsk przybyciem pośredników całej gubernii, powołanych do komisji, dla wytłumaczenia się z powodów złożenia gremialnego urzędu, po znanych podburzających lud przeciw szlachcie odezwach, podczas ogłoszenia carskiego manifestu.

Urządzono dla nich wspólne więzienie, w domu Szlachty spotkałem wśród nich wielu znajomych. Przywiezione przez nich wieści o rozbiciu partii Maszewskiego w Słuczyźnie, o niepomysłnej bitwie połączonych partii Włodka, Jundziła, 3 czerwca na grobli.... pod Mołowidami w Słonimskim gdzie były szanse zwycięstwa o nieporadności i nieporozumieniu dowódców, przygnębiające wywarły wrażenie. A tymczasem nie było dnia, żebyśmy nie widzieli wleczonych z różnych stron pojmanych powstańców. Obdarci, pokrwawieni, kurzem pokryci, zgłodnieli całymi godzinami czekali nieraz przed policją zanim ich rozlokowano. I rzecz dziwna, gdy jednych w ten sposób traktowano drudzy, ocierając się, że tak powiem o nich wymykali się do lasu. Co prawda, nikt im nie przeszkadzał. Tak przeszedł cały maj. Z początkiem czerwca, nakazano zamykanie domów wieczorem noszenie latarek patrole nocne przeciągały ulice. Generał Zabołocki ten sam co w czasie pierwszej demonstracji w Warszawie kazał strzelać do ludu objął rządy jako wojenny gubernator. Policmajster Czechowski, człowiek zacny wziął dymisję, a jego miejsce zajął jakiś małej rangi, ale wielkiej przebiegłości Niemiec. Ciężkie nastało życie. Podałem prośbę o pasport do Druskienik. Obiecano mi go z początku, wszakże okazało się wraz, że na decyzję w tym względzie trzeba było czekać z Wilna. Więc czekam rzadko gdzie bywam czytam, rysuję leczę się. W ciągu tego czasu, wywieziono do Permu marszałka guberskiego Łapę. Znakomity był to obywatel, zacny człowiek, jeden z najdzielniejszych marszałków Litwy. To też stratę jego odczuł boleśnie cały ogół. Zapanowało ogólne przygnębienie. Partya moskiewska zaś podniosła głowę. Przywodził jej renegat archirej Hołubowicz i prezes izby Gatowców. Skład komisji został też zmieniony.

Tymczasem, wpada wieść do Mińska, że powstańcy z partii Świętorzeckiego którą dowodził Laskowski powiesili popa, jako szpiega. Wściekłość moskali nie zna tu już granic. Murawjew szle telegram po telegramie z rozkazem „wa czto by ni stało, pajmat' Swietorzeckaho! a tu ani rusz pomimo opasania wojskiem, dostać go nie mogą. Dziwne bo wieści krążą wśród żołnierstwa o jego czarach, minach, fortyfikacjach wśród niedostępnych lasów którymi się otoczył. To też oddziały Moskwy idące zwykle ochoczo przeciw powstańcom w nadziei łupów, tym razem wychodzą z miasta przejęte trwogą jakby na śmierć. Trwało to kilka tygodni.

Aby jednak zadośćuczynić pragnieniu zemsty zburzyli dwór jego Bohuszewicze czego nie ukradli, spalili i miejsce gdzie stał zaorali. W kołach zaś naszych nadzieje jak liście jesienne, z dniem każdym padały. Każdy ranek przynosił wieści o nowych klęskach nowych stratach. Biuletyny dołączane do Kurjera, podawały wiadomości o egzekucjach skazanych na śmierć w różnych miastach. Rząd uspokojony co do zachowania się ludności wiejskiej i interwencji Europy, działał teraz spokojnie, systematycznie, w przyjętym raz kierunku. Mścił się z krwią zimną, i z wyrafinowaniem tępił wszystko co polskie.

Dnia 15 w nocy, wywieziono Michała Hausmana, sekretarza guberskiego marszałka. Dotknęło nas to bardzo był to bowiem człowiek światły czynny i pożyteczny.

Lato było upalne. W parę dni potem, ku wieczorowi, rozszalała się burza z ulewą, połamała drzewa i mnóstwo szkód zrządziła. Wieczór ten spędziłem u Mierzejewskich. Zaskoczony burzą, bez latarki, zaledwie mogłem dostać się późno do domu, wymijając patrole. W następnym dniu odwiedziłem więzienie pośredników. Znalazłem ich w usposobieniu ludzi, co wyrwani z zamętu i ciągłej trwogi, radzi prawie byli że się znaleźli pod strażą, w czasie gdy nikt nie był pewny dnia i godziny, i że już nadal odpowiedzialność wszelką z nich zdjęto. Rozumie się, że za nimi przyciągnęły i ich rodziny*). Jeden z nich śp. Piławski ze *) Lista pośredników uwięzionych w Mińsku. Z Mińskiego: Jelski Włodzimierz, Protasewicz Zenon, Łapicki Julian, (zesłany) Świętorzecki Aleksander, Suszczyński Hilary Z Borysowskiego: Lappa Dominik, Ciundziewicki Wiktor, Wołłowicz Henryk Z Ihumeńskiego: Jodko Otton, Jelski Aleksander, Rewkiewicz Józef, Łukaszewicz Jakób, Z Bobrujskiego Wańkowicz Konstanty, Rajkiewicz Józef, Bykowski Antoni, Kiełczewski Aleksander, Muraszko Romuald Z Rzeczyckiego, Oskierko Henryk, Oskierko Szczesny (zesłany do Rosyi) Kuncewicz Stefan (zesłany do Rosyi) Z Mozyrskiego: Wiszniewski Tadeusz (zesłany do Rosyi) Z Fińskiego: Korsak Gerard, Świeżyński Michał, Czechowski Aleksander, Nielubowicz Jan, Skirmunt Kazimierz (zesłany) Ze Słuckiego: Szpilewski Jerzy, Ciekawy Michał, Jabłoński Adam, Mierzejewski Seweryn Z Nowogródzkiego: Nargielewicz Jan,

Bronowski Konstanty, Mierzejewski Leon, Naruszewicz Tomasz, Kobyliński Adolf. Członkowie Gubr. włościan. Zarządu: Pilawski Ignacy, Wańkowicz Adam.

Śluczyny, dobry mój znajomy, zaproponował czylibym się nie zgodził przeprowadzić na kwaterę do jego mieszkania, w którym zostawił żonę z małą dźwiatwą samą bez opieki. Nie mogłem mu tego odmówić, zrobiłem tylko uwagę że nie czując się sam dość. bezpiecznym mógłbym zrobić im zawód bo któż wie co mię jeszcze czeka.

— Cóż znowu? odpowiada na to Pilawski, przecież gdyby cię miało spotkać co złego nie uwolniliby z więzienia bądź pewny. Nie pozbywają się oni tak łatwo, kto im do gustu przypadł.

— A no, myślę może i ma rację. Więc przystałem na rolę wojskiego, i nazajutrz obiecałem się mu przeprowadzić. Wieczór po burzy był piękny, spędziłem go zatem na przechadzce z Pieszką i Kornelimi Pelikszą (wojewódzkim mińskim). Poczem zostawszy sami przegawędziliśmy do późna. Żal za Hausmanem, którego byliśmy oba przyjaciółmi, długo nam sen odpędzał. Nareszcie usnęliśmy.

Zaledwem zasnął pierwszym snem, gdy oto, budzi mię stukanie do drzwi i głos po rusku: Atwarytie! Zrywam się z pościeli idę do drzwi (spałem w pierwszym pokoju) i pytam:

— Kto tam? a serce uderzyło mi na trwogę.

— Zdieś gaspadin Pawłowicz? i wtem słyszę brzęk szabel na wschodach. A no, pomyślałem: — to po mnie.

— Zdieś, powiadam. Otwieram drzwi czego chcecie? pytam. Wt em przerażony Pieszko wnosi światło, i oto wchodzi policmajster z żandarmami i policją.

— Wy gaspadin Pawłowicz?

— Tak jest, ja jestem.

— Sabirajties w darogu.

— Kuda? — pytam.

— K Gienerału Murawjowu! — i tu mi czyta rozkaz wysłania mię do Wilna.

— Niech się pan spieszy, dodaje, konie już czekają przed bramą. A więc dalej pakować tłómnoki. Nadszedł i sąsiad z dołu p. Żuk, co mi w ten dopomógł razem z Pieszką i oto nie upłynęła godzina, siedziałem już na "powózce, mając dwóch żandarmów przy sobie, a przed sobą nadzieję ujrzenia Murawjewa! Uwiązano dzwonek, i o drugiej po północy pożegnałem poczcziwego Pieszkę i z nim Mińsk.

Pierwszego na zawsze drugi na długo.

Tak się rozpoczął akt drugi mojego więzienia dnia 27/15 czerwca.

Noc była chłodna droga świeżą ulewą popsuta leżały jeszcze tam i ówdzie w poprzek gościńca powywracane brzozy. Koło Radoszkowicz zaświtał dzień. Jakżem zazdrościł losowi pastuszka, który z niedalekiej wsi wypędzał trzodę swobodny i pewny, że o południu wróci do swej chaty...

Łatwo pojąć, jakie usposobienie towarzyszyło mi w tej podróży. Gubiłem się w domysłach, co mogło być powodem nowego uwięzienia a co więcej, wysłania mię do Wilna. Na stacyi następnej za Radoszkowiczami, zjechałem się z Oziembłowskim, wiezionym też przez żandarmów do Wilna. Znękany, obłożony poduszkami, biedak oddawał się rozpacz, na wspomnienie żony i dzieci, które zostawił. Pocieszałem go jak mogłem i to mnie samego uspokoiło nieco. Żandarmi próbowali bronić nam rozmowy, aleśmy na to nie zważali. Gdy przyszło siadać, zająłem miejsce te które dotąd zajmował żandarm z lewej strony, aby zmienić pozycję. Nie podobało mu się to, nie wiem dla czego, i długo się upierał, abym mu ustąpił gdy wszakże zrozumiał że tego nie zrobię usiadł niezadowolony. W Oszmianie, że to była pora obiadowa, kazałem się zatrzymać przed restauracją. Zastałem tam kilkanaście obiadujących osób, przeważnie podróżnych, z których jeden w ciągu obiadu, gdy się żandarm uchylił na stronę, podał mi świeży numer Kurjera. Jakaż była moja boleść, gdy w nim znalazłem na raz dwa biuletyny, o śmierci dwóch moich przyjaciół: T. Ancypy w Mohilewie, i W. Białozora w Kownie, obu straconych wyrokiem Murawjewa. Pierwszy dawny szkolny kolega, był towarzyszem moim w Paryżu, drugiego odwiedzałem na Żmudzi w czasie Petersburskich moich studyi. Któż z nas mógł przewidzieć wtenczas, że taki będzie epilog naszych pogadań marzeń nadziei...

Na ostatniej stacji, kazałem podać samowar. Zaledwiem zasiadł do herbaty nadeszła poczta z Wilna, eskortowana przez żołnierzy (jak to było wówczas we zwyczaju, w obawie napadu powstańców). Piję tedy herbatę i słucham następnej rozmowy żandarmów z gwardiakami.

— Nu czto, niet apasnosti na darogie? Miatieźniki nas nie wystrelajut, pyta któryś żandarma.

— Czort ich znaj et, odpowiada ten, a u was czto słyszno?

— U nas wczera pawiesili, wot toczno takowo kak twój, da barykał sia dołgo — niedawał sia, - paka nie kończyli s nim... Kakożto gawarat gwardiejski pałkownik, cztołi kanalia! *)

Nad wieczorem ujrzałem okolice Wilna.

Miły Boże, wieleż mi tu wspomnień ciśnie się do serca! Jakże one dziś bołą! Te gaje, dąbrowy, góry, parowy to świadki najmilszych lat młodości! Niedawno jeszcze, tąż samą drogą jechałem do Wilna ale w jakże odmiennych okolicznościach. Przeprowadzałem parę osób z którymi łączyły mię serdeczne stosunki. Przydrożne gaje rozlegały się śpiewem słowików, śród nocy majowej. To też przemknęła mi ta noc, podobnie jak uroczyste marzenie....

A przedtem jeszcze o lat wiele, na czwartej wiorście od miasta żegnałem ukochanego kolegę i przyjaciela Mikołaja Bułhaka, z którym mieszkalem. Wraciał do domu na dalekie Polesie, a z nim nasz Filip pocziwy. Pierwsze to dla mnie było w życiu tak ciężkie rozstanie.

*) Zygmunt Sierakowski, powieszony 27 czerwca.

Kilku mi towarzyszyło kolegów, przyjaciół: Józef Świącicki, Otton Rodziewicz, Aleksander .Tarkowski, Eleut. Prawosudowicz, Bernatowicz, wszyscy uczniowie akademii medycznej. Gdy już przyszło do ostatniego uściśnienia, rozplakałem się i wracając ku miastu, długo się uspokoić nie mogłem przeczułem, że go nie ujrzę więcej!

XLV.

Ale oto już i Wilno. Wieczór zapada słońce jakby widmo złowrogie krwawą tarczą zachodzi za bór ponad Zakrętem.

Wilno!...

Nieszczęsna Litwo stolicu! dolino łez i boleści! twoje trzy krzyże na wyniosłej górze *) to twoje godła to herby twoje!

Droga którą wjeżdżam, to szlak męczeński, po którym mija już wiek jak ciągną na Sybir najlepsi z twoich synów, by tam za miłość dla ojczyzny kości położyć!...

Otóż i Ostra brama! i napis na niej: „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko!”**)

Spojrzałem nań — powtarzając w duszy słowa, których mię jeszcze matka nauczyła. Wszystko tak jak było. N. Panna, z rękami na krzyż złożonymi na piersi — zda się modlić za swój lud nieszczęśliwy.— módl się, módl za nami, pocieszycielko strapionych!...

*) Pamiątka męczeństwa pierwszych apostołów Litwy, XX. Franciszkanów. Zrąbane z rozkazu Murawjewa — na ich miejscu rosną trzy topole.

**) Skasowano napis polski — dano łaćski: „Sub tuum praesidium" itd.

Wjeżdżam do miasta. Powózka zwalnia biegu, bp ulicę zalega tłum modlących się.... Widok żandarmów i więźnia zwraca oczy wszystkich ku mnie. Czytam w nich przynębnienie, boleść, współczucie.

Minąwszy Karmelitów, pomknęły konie pędzimy przez wielką ulicę, mimo Św. Kazimierza*) i ratusz wjeżdżamy na Zamkową, plac katedralny mijamy katedrę skręcamy na drogę Antokolską po nad Wilię ztamtąd minąwszy most na Wilejce, zwracamy w prawo przed dom jenerała plac komendanta Wiatkina, i tu się zatrzymujemy. Wysiadam. Na balkonie, widzę kilku jenerałów piją herbatę. Jeden z nich przechyla się po nad balustradę i pyta żandarma:

— Odkuda? (z kąd?)

— S Mińska.

— Świętorzecki?! — i na to imię, błysły mu oczy jak u hyeny.

— Nikak niet-s wasze prewoschoditelstwo, Pawłowicz.

A więc zdekoncentrowany, dalejże mnie okładać ruskimi epitetami. Spojrzałem przechodząc na p. generała, i gorzkim uśmiechem odpowiedziałem na to powitanie, myśląc, smutna dola kraju, gdzie u szczytu społecznej drabiny stoją tacy ludzie....

Wprowadzają mię do sali na piętrze.

Wychodzi stary Wiatkin. Człowiek to nie zły żył się z Litwinami grając z nimi w karty od wielu lat więc pyta:

— Kuda i za szło was sosałi? (Dokąd i za co pana zesłano?)

— Nic znają W. Prew. — odpowiadam. Wsiali mienia noczu iz pastieli kuda i za szło wiezut, vir znoju. (Nie wiem, wzięto mię z łóżka w nocy — a za co i dokąd wiozą nie wiem).

*) Qbecnie Sobór prawosławny.

Wtem oddaje mu żandarm papiery — i pyta: — Kuda prikażetie W. Pr. ich atwiesti? Rzucił okiem na kilka pisem pomyślał i odpowiedział:

— W czetyrnadcaty nomier.

Poczem, ukłoniwszy się, zawrócił się i odszedł. Czternasty numer!!!

Jakby głos pogrzebowego dzwonu, te dwa słowa odbiły się w mej duszy. Numer czternasty to kazamaty w cytadeli gdzie zwykle lokują najwięcej obwinionych lub skazanych!

No, myślę sobie, wsiadając do powózki, tym razem będzie to widać poprawna edycja mego więzienia! Edyeya Murawjewska....

Zwracamy znowu na drogę Antokolską przejeżdżamy most, skręcamy w prawo i stajemy przed palisadą otaczającą więzienie. Szyldwach daje znak otwiera się furtka, wchodzę na podwórze pełne żołdactwa, i wraz na lewo wstępujemy na wschody wiodące do mieszkania smotrytiela. Krępy, rumianej twarzy i opasłej tuszy oficer, istny typ moskiewskiego zbira przyjmuje mię u drzwi. Zapisał moje nazwisko, kazał przetrząść kieszenie, oddać pieniądze i wszystko com miał z kosztowności przy sobie poczem kazał mię odprowadzić do kazamaty Nr. 8 na dole. Idę tedy, otoczony bagnetami. Wiodą mię na drugie podwórze na które wychodzą wąskie horyzontalno-podłużne okienka. Wszędzie strażę szyldwachy. Wchodzimy do więzienia. Uderzył mię na wstępie do korytarza swąd latryn i wilgoci, jakby z lochu. Mijamy jedne drzwi, mijamy drugie do trzecich przyszedłszy, klucznik je otwiera, i oto przy bładem świetle lampy w głębi ciemnej kazamaty poznaję, kogo? — Hausmana!

A więc radość obustronna!

— A co ? widzisz panie Michale odjechałeś bez pożegnania więc zatęskniłem i oto jestem powiadam z uśmiechem, ściskając go serdecznie.

— A no, zjawiasz się w porę bo oto i herbata gotowa rzecz wskazując na kipiący samowar. A tom się nie spodziewał takiego gościa, i to jeszcze gdzie! — Przecież cię uwolnili?! cóż to znaczy?

— Ha, któż ich tam wie. — „Novus rex — nova lex -uwolniono mię za rządów Nazimowa, a teraz panowanie Murawjewa. „Drugiej wietier".... Tymczasem wniesiono tłumoki, urządzono jakie takie legowisko i nareszcie zostawiono nas samych zamknawszy drzwi na klucz i rygle.

— Powiedz że mi naprzód, co tu robisz i czego chcą od ciebie? pytam z cicha.

— Nic nie wiem. Siedzę od trzech dni w tej dziurze, nigdzie mię nie wołają, o nic nie pytają co chwila czekam wezwania do komisji i to męczą ty to pojmujesz.

— A no, co będzie to będzie, odpowiadam dobrze i to żeśmy razem. Gdy więc tak gawędząc pijemy herbatę zgrzytnął zamek, otwierają się drzwi wprowadzają kogóż? Oziębłowskiego z Mińska.

— Wot wam jeszcze adin towarzysysz na kwartiru, powiada klucznik. Zaczem, wnoszą tłumoki, poduszki, urządzają posłanie i znowu krzątania nowej instalacji, nareszcie zostawują nas samych. Ucieszył się też nie mało nasz gość, ujrawszy towarzyszyów losu znajomych. Więc dalejże na stół wiktuały podróżne, a więc herbata, opowiadania itd.

— Mówcie sobie co chcecie, powiadam im, czuję się tu lepiej niż w Mińsku. Wprawdzie komnata trochę za szczupła, no, i okienko trochę za małe, i to jeszcze zakratowane ale wieczorem to oczu nie razi, a dym cygara nie daje dojrzeć innych akcesoriów tego przybytku spokoju zawsze to lepsze niż t. z. cela sekretna w której prócz zbirów, nie widzisz nikogo. O, pamiętam to!

— Tylko nie mów o spokoju, przerywa Hausman bo oto słyszysz ten ciągły łoskot za ścianą, to pompy tak pracują, aby nas woda nie zalała a pracują dzień i noc. Na górze zaś, po nad nami, od dwóch dni

przywieziony jakiś proboszcz, nie może się uspokoić, i całe noce spędza na promenadzie po celi a że to ogromnej tuszy „numer”, więc się belki gną pod nim i trzęsą. Przeszłej nocy tak mi już dokuczył, nie dając zmrużyć oka, że musiał stukać w sufit i wołać : Reverendissime! Pax vobiscum ! — a siadając jegomość raz przecie, bo mi tu spadniesz na głowę. I cóż powiecie, usłuchał ale za chwilę posłyszałem chrapanie aż się mury trzęsły.

— Ciekawa jednak rzecz, powiadam, jak się to stało, że oto dziś, wszystkich nas trzech sprowadzono do jednostajnego mianownika. Bo przecie wiadomo, że ja nim się tu dostałem, przeszedłem nowicyat i dalsze stopnie, by mieć kwalifikacje do awansu i promocji, jaka mię teraz spotyka. Odbylem egzamina, czy jak tam dziś mówią rygoroza, zanim uznano mię godnym 14go numeru. Ale panowie oba, wprost przybywacie tu z domu, bez żadnych wstępnych formalności i preliminarij toż to zaszczyt nie mały, stanąć od razu na t ej wyżynie przemawia więc za wami nie lada kwalifikacya, mówię na wpół żartem, zwracając się do Oziębłowskiego. No, powiedz nam pan szczerze, coś tam zbroił?...

— Bogiem się świadcę że nie mam sobie nic a nic do zarzucenia. Owszem byłem zawsze przeciwny wszystkiemu co się u nas działo, przewidując zły koniec. Ale trudna była rada z kobietami i młodzieżą!

— I z duchem czasu, dorzucił Hausman, potakując niby.

— Tak pan mówisz, odpowiadam, zwracając się do Oziębłowskiego. A no, toć i jesteśmy w domu. Zawiniłeś mój panie, i co gorzej słowo twoje „owszem” mówi żeś niepoprawny.

— Jakto, w czym zawiniłem, odpowiada zaniepokojony;

— ależ ja przecie nie brałem udziału ani w śpiewach, ani w pielgrzymkach ani w popieraniu powstania. Przeciwnie ja....

— No, dość, dość. Zawiniłeś i basta a wina pańska nie w tem żeś nie wzbraniał żonie i dzieciom przywozić w demonstracyach, śpiewach itp., ale w tem właśnie, żeś był temu niechętny, przeciwny, jak to sam mówisz bo tym sposobem działałeś wbrew intencyom rządu, któremu to było właśnie na rękę a więc paraliżowałeś jego zamiary. Prędzej przebaczył by ci wyszyftowanie całego pułku dla powstania, niż, że mu byłeś przeciwny. Czy to pojmujesz? Bo raz już przecie trzeba to zrozumieć, że nie ci byli dlań niebezpieczni, co ostentacyjnie drażnili go, dając folgę uczuciom patryotycznym, szczerym czy kłamanym, ale ci, co trzeźwo patrząc, nawoływali do pracy rozumnej, na której można było oprzeć nadzieje przyszłości to byli jego wrogowie i tych się chciał pozbyć i pozbywa. A czy przypominasz sobie dzień 18 kwietnia, w którym wyruszyła pierwsza partya powstańców z Mińska? Było to, jak wiesz, o 11tej godzinie przed południem. Wszystkie drożki zajęte były rozwożeniem powstańców, z pożegnaniem do znajomych, ubranych w burki i czamarki, jak do lasu.

Dorożkarze opowiadali sobie głośno na rynku, wiele z nich który odwiózł „paniczów” do pewnej karczmy na trakcie Ihumeńskim. Wszyscy na to patrzali. Czy pan sądzisz, że tylko Moskale tego nie widzieli, oni, co każdy nasz krok śledzili. A jeśli widzieli czemuż na to pozwalali? Toż mogli przecie pobrać na ulicach wszystkich z całym wojennym rynsztunkiem dla czegoż tego nie zrobili? Czy może się bali Europy? co? Czyś pan zadawał sobie to pytanie?

Zmieszał się i posmutniał biedak, gdy mu to jeszcze obszerniej objaśnił, i trzeba było dużo naciągali i paradoksów w czym mi dopomógł Hausman, aby podtrzymać tę pocziwą ale wątłą i słabą naturę. Tak przegawędziliśmy do późna. Nareszcie skołatanie moralne i fizyczne, wśród nocnej podróży, wzięło górę usnąłem. Spałem jak zabity. Gdy się zbudziłem, wydniało już było na dobre. Jakiż mię widok uderzył. Podłużna, niska, o ciemnych, brudnych ścianach kazamata, z otworem wązkim u góry, wilgotna — przyćmiona, cuchnąca zdawała się szydzić ze wszelkich systemów ulepszeń więziennych. Spojrzałem po ścianach. Opowiadały one dzieje tych, co wśród nich gościli. Czytając resztki niezatartych napisów, czułem tu jęki, łzy, przekleństwa, modlitwy i całe dramaty pasujących się ofiar z przemocą, z prawem i bezprawiem. Boć złe i dobre duchy przechodziły nieraz ten próg który niejednemu z nich był progiem wieczności!

Stanął mi też przed oczyma obraz ukochanych moich boleść ich, na straszną dla nich wieść o mym losie. I w tem to była najcięższa dla mnie męczarnia! Próbowałem modlić się. Nie mogłem.

XLVI.

O 7-mej rano przyszedł żołdak po notatkę dla zakupu w mieście potrzebnych prowizji. Chcieliśmy aby nam przyniesiono obiad z miasta. Nie pozwolono. Jakoż około południa dano obiad kazonny. Był tam kapuśniak z pokrajanym mięsem i kasza ze słoniną. Nieźleby to było, gdyby nie było nad wszelki wyraz cuchnące i brudne. O nożach i widelcach mowy nie było. Zrobiliśmy więc drewniane. Że zaś, jak się wyżej rzekło, rubel w Rosyi wszechmocny, po urzędowym więc obiedzie, odegraliśmy się na dobrej herbacie i wybornych zakąskach.

Wszystko to się wszakże spożywało bez apetytu, bo go nam odjął niepokój, niepewność obawa, co będzie dalej. Każdej chwili, przy każdym drzwi otwarciu, czekaliśmy fatalnych słów: „pażajcie w kamissiju!”

Dla zabicia czasu, gdy już i gawędka nie szła, wstępowaliśmy po kolei na podmoszczoną estradę aby spojrzeć przez okienko. Widać zeń było część góry, w kierunku prochowni, i część podwórza więziennego. Przechadzali się po nim od czasu do czasu więźniowie, przeważnie księża. Tak przeszedł pierwszy dzień, i wieczór nastała noc nikt nie wołał. Biedny Oziębłowski w niepokojach i trwodze, literalnie topniał we łzach. Podtrzymywała go tylko wymowa

Hausmana. Dar jego słowa i jasny pogląd na rzeczy, przydał się tutaj, jak niemniej i w następstwie czasu pokrzepił nie jednego.

Nazajutrz była niedziela. Nic nie zaszło nowego nie wołali nigdzie oczekiwanie to jednak męczyło o wiele więcej, niż najgorsza pewność. Spojrzałem na góry jakieś krążące postacie ludzi różnych stanów, spoglądają ukradkiem ku więzieniu. Kto oni jaka ich intencja? któż to wie...

Próbuję zasnąć ale i sen już nie dopisuje. Tak przeszło dni kilka, dały mi one naprawdę obraz czysca!

Dnia 23 czerwca wchodzi zwykły nasz furazer, dla jakiejś posługi, i gdy mu daję przygotowaną notatkę sprawunków, mówi:

— Wam siewodnia niczewo nie nada.

— Kak nie nada? — pytam.

— Da tak... rzekł — i wyszedł.

— A no, powiadam, oczywiście dziś nas powieszają. Wiktuały zatem niepotrzebne dodają z uśmiechem. Słyszysz to Oziębłowski i dalej w płacz. I tu już wymowa Hausmana na nic się nie zdała. Żal za żoną, za dziećmi, wymowniejszy był niż byćby mogły nawet Złotoustego słowa. Rozpacz jego nie miała granic. Wtem otwierają się znów drzwi wchodzi smotrytiel, i mówi: — Gaspada, sabirajcieś w darogu! (panowie, gotujcie się do drogi!)

— Kuda? zapytaliśmy wszyscy trzej razem.

— Gaspadin- Hausman w Wologdu.

— Gaspadin Pawłowicz w Pietrozawodzk.

— Gaspadin Oziębłowski w Perm. I dodaje: - Posle abieda w 6 czasow, zawiedut was w kancelariju a patom, atprawitieś na wagzał. Do świdania. (Po południu o 6 godzinie zaprowadzą was do kancelaryi a potem udacie się na dworzec). Zaledwie drzwi się, za nim zamknęły, rozpromieniony Oziębłowski rzuca się nam na szyję, i w uniesieniu radości śmieje się i płacze zarazem spojrzałem nań w obawie, czy nie oszalał!....

— Mój Boże, pomyślałem, mógłżeż ten człowiek przewidzieć kiedy, że płakać będzie z radości, na wieść, że go od żony i dzieci wywiozą do Permu!

Biedak, cieszył się że się wyrwał ze szponów Murawjewa!...

O 6-tej zatem zabrano nasze rzeczy, zwrócono pieniądze, potrąciwszy wydatki i zaprowadzono do kancelaryi plac-komendanta. Z jakąż rozkoszą odetchnąłem czystym powietrzem, przechodząc mostek na kanale botanicznego ogrodu.

Po odbytych formalnościach, co trwało około godziny, zaszły trzy doróżki dwie z nich zajęli moi towarzysze z żandarmami, do trzeciej wsiadłem ja z plac-adjutantem ruszyliśmy.

Odetchnąłem na chwilę ale po chwili niewypowiedziany żal mię ogarnął, na myśl, że wszystko to na co patrzę dokoła, ta ukochana Wilia te okolice urocze, te piękne góry, parowy, ruiny, to miasto gdzie tyle miłych dla mnie pamiątek rozsianych, że to wszystko na długo, może na zawsze, do krainy wspomnień już tylko należeć będzie.

O tak, rozsiadł się wróg mściwy, w twoich murach nieszczęsny grodzie i zanim twój trzeci dzień nadejdzie jeszcze cię nieraz dziki żołdak żółcią napoi i piersi twoje bezbronne włócznią przebije!...

Przejeżdżamy ulice, place spotykamy mnóstwo osób lecz to już nie te, co dawniej, swobodne i pogodne twarze. Troska, niepokój, pochyliły wszystkie czoła wolni, spoglądają na więźniów z obawą posądzenia o współność z nimi. Terroryzm widocznie wycisnął już na nich swe piętno. Zbliżamy się ku Ostrejbramie. Odkryliśmy głowy. Towarzysz mój dotąd milczący, odzywa się w te słowa:

— Szczęśliwie zaczynasz Pan swoją podróż...

— Jakto pan rozumiesz? — odpowiadani zdziwiony jego przemówieniem po polsku.

— A tak, bo przez Ostrąbramę ... Uścisnąłem mu rękę, i zapytałam jak się nazywa?

— Bryling.

— Dziękuję panu, rzekłem wzruszony tem niespodzianem spotkaniem zacnego człowieka, w tym czasie, pod mundurem rosyjskim. Poczciwe słowa pańskie, oby były dobrą wróżbą...

Poczem zapytał, dokąd mię wiozą? a gdym powiedział, że do Ołońckiej gubernii, dał mi radę, abym się starał zamieszkać w mieście gubernińskim Petrozawodzku, ze względu, że to gubernia jedna z najuboższych w Rossy i co do mieszkańców, zaludniona jedynie przez chłopstwo pokryta lasami, pusta, odludna, pozbawiona inteligencji. Tak gawędząc przyjeżdżamy na dworzec. Żegna mię mój towarzysz, polecając żandarmom, aby nam byli usłużni w drodze. Zjawił się jakiś opasły adjutant Murawjewa zarządził dla nas oddzielny wagon, w pociągu towarowym, dla uniknienia styczności z publiką. A więc po chwili wsiadamy żegna nas kilka przybyłych osób co się zdołały przecisnąć przez strażę, i oto o godzinie 8mej wieczorem ruszyliśmy. Była to wilija św. Jana. Gdyśmy mijali okolice "Rosy" tłumy publiczności ciągnęły do sąsiednich gajów, szukać tam, podług dawnego obyczaju, kwiatu paproci, w noc,

„Kupała” — szukać szczęścia!...

— Szczęść wam Boże! pomyślałem, gdy tymczasem lokomotywa buchając dymem i świszcząc, pędziła z nami ku północy....

CZĘŚĆ III. WYGNANIE. HOWARDOWI PAWŁOWICZOWI po odczytaniu jego „WSPOMNIENI”.

w Twych „Wspomnieniach” Zacny Litwinie Zanurzę serce i oko:

Odczuwam boleść która z nich płynie,

I która wzrusza głęboko.

Nieraz me oko łzą się przyćmiło,

Błądząc po Twoich obrazkach;

Wraz z Tobą lkałem nad tą Mogiłą,

Co tonie we mgle i blaskach.

Lecz jak po nocy ranek się wdzięczy,

Jak cisha jest po zawiei:

Tak Ty w nich wieszasz łuk jasnej tęczy,

W zwątpieniu — tęczę nadziei.

I choć wypileś kielich goryczy,

Nie bryzgasz jadem w swych braci:

Pewny, że smutki Twe Bóg policzy,

A ziomek łzami zapłaci.

Wi. Bełza.

III.

Podróż do Petersburga. Wspomnienie podróży z Petersburga w 1853 r. Cholera. Czasznikow, b. dyrektor szkół Słuckich. Rzeżyca. Psków. Wycieczka do miasta. Zegarmistrz. Wjazd do Petersburga. Krytyczna chwila. Pieresyloczna turnia. Msza Św. Wieści z kroju. Wizyta ks. Suworowa. Wyjazd do Petrozawodzka. Rossyjska jazda na pieknieładnej, Pogląd na kraj. Przyjazd do Pietrozawodzka. Przyjęcie u gubernatora. Miasto. Mogiły Polaków. Machnauer z Wilna. Jadę do Ołońca. Rzut oka historyczno - statystyczny na gubernię Ołonioką. Przyjazd do Ołońca. Sprawnik Ryndin. Zaprowadzamy gospodarstwo. Pierwszy list z kraju. Rodzina Lubiczankowskich. Korespondencye z

wygnañcami. Lista straconych wyrokiem Murawjewa. Pio/bitki litewskiego powstania. Ks. Mackiewicz. Przyjazd gubernatora. Recepcja. Wieczór u sprawnika. Piękny rys charakteru gubernatora. List ks. Suworowa polecający mię. Zakładamy szkołę dla dzieci. Przybycie z kraju nowych towarzyszy. Zachwianie nadziei po mowie Napoleona 5 grudnia. Pierwsze święta na wygnaniu. Msza św. w moim mieszkaniu. Zima północna. Przyjazd księdza i nabożeństwo publiczne polskie. Śmierć moich przyjaciół na Litwie. Moja choroba. Przenosiny. Złe wieści. Zapusty (Maslanica). Samojedy z Laponii. Ostatnie dni zimy. Wiosna. Wodne wycieczki. Wyprawa na Ładogę. Monaster Andrusowski. Uprzejmość mnichów. Uczta na wyspie u marynarzy. Karbunkuł (Sybirska jazwa). Lubiczankowski ratuje ludność. Dajemy koncert na pogorzalców Simbirsk. Hr. Wiktor Starzyński. Fatalne wieści z Litwy. Przyjazd Podolanów. Polowania. Rozterki. Skandal. Otrzymuję pozwolenie przeniesienia się do Ekaterynosławia. Wyjazd z Ołońca. Podróż do Petersburga na dołkich. Petersburg. Posłuchanie u ministra. Takież u gen. Baranowa. Wyjazd do Wilna. Wilno. Wyjazd do Nowogródka. Obraz Nowogródka po latach czterech. Pobyt w nowogródzkim. Droga do Pińska. Wiosna 1867 r. Polesie. Podróż parostatkem do Kijowa. Kijów. Ukraina. Żegluga. Ekaterynosław. Step. Pobyt w Ekaterynosławiu. Amnestya Wierżbołowska. Jadę do Odessy. Noc na stepie. Morze. Odessa. Warszawa i w niej dwuletni pobyt. Kraków. Szczawnica. Tatry. Lwów.

XLVII.

Podróż w podobnych warunkach, nie nastęcza zbyt świetnych barw dla obrazu. Opuszczać kraj rodzinny w chwili dlań najkrytyczniejszej, rzucać starą matkę, przyjaciół, i jechać w towarzystwie żandarmów, gdzieś na daleką północ na wygnanie to rzecz, o której bez emocji, nawet we wspomnieniach mówić niepodobna.

Ale niedoła, gdy się ją dzieli z innymi, łatwiej się znosi. Jechało nas trzech. Szczęśliwy los zdarzył, że dodani nam jako stróże żandarmi, byli to poczciwe chłopaki jeden z nich był rodem z Pińska, drugi z Wilna. Służyli nam o ile mogli — i więcej nawet, bo nieraz z narażeniem własnem, ułatwiali to co nie było dozwolonem, spuszczając się na naszą dyskretyę.

Po kilku milach drogi, gdyśmy się uspokoili nieco, i zajrzeli śmiało w oczy naszemu losowi, zawiązała się pogadanka, w której ja z kolei, śród wspomnień na tej drodze rozsianych, opowiadałem o mojej ostatniej podróży z Petersburga.

O, pamiętna to podróż.

Było to w 1853 roku. Po ukończeniu studyów w akademii sztuk pięknych, wracałem na Litwę. A że miałem dużo rzeczy, obrałem drogę morzem do Rygi, aby stamtąd, najętym furmanem dostać się do Wilna. Był to rok w którym panowała cholera. Parostatek co nas wiozł, zaopatrzony był we wszystko, czego wymagała ostrożność w takich okolicznościach. Pozdawano nawet gratis ciepłą strawę tym, co tego sobie pozwolić za własne pieniądze nie mogli. Na domiar złego, gdyśmy minęli Kronsztad, zachmurzyło się niebo, zerwała się burza, i całą, noc trwała. Trzeba było nawet cofnąć się, gdzieś na wysokość wyspy Oezel, w obawie rozbicia statku, pędzonego na mielizny. W dodatku, choroba morska nikogo prawie nie oszczędziła. A że jej symptomata podobne cholerze, zapanował popłoch nie do opisania podawano sobie poufnie wieści, o zmarłych pasażerach ulokowanych gdzieś na dnie parostatku, o nowych kandydatach do łódki Charona, itp. — A więc wszystko co żyło, tłoczyło się w przerażeniu na pokład, chociaż wiatr i bałwany przewracały ludzi sprzęty, i trzeba było trzymać się balustrady, by nie być porwanym falami.

Przerażająco - komiczne działy się tam rzeczy, bo groza i komizm, stykały się z sobą, oddzielone tylko deską od przepaści...

Można sobie zatem wyobrazić radość, gdyśmy przybyli do portu w Rydze. Ale niedługo była radość. Spłoszyła ją wieść o strasznym popłochu w mieście, z powodu grasującej cholery. A więc, zamiast do miasta, kazałem się zawieźć za Dźwinę na przedmieście, do znajomej gospody, utrzymywanej przez Litwinę.

Wypocząwszy nieco, posilony smacznym obiadem, ruszyłem najętą bryką furmańską w dalszą podróż ku Wilnu. Przed wieczorem, ubiegłszy mil sześć, stanąłem w Mitawie. Tu miałem przepędzić cały dzień następny, z powodu szabasu. Rozlokowawszy się wygodnie w hotelu Kurlandzkim, poszedłem

odwiedzić znajomego lir. Kajzerlinga, ówczesnego marszałka, licząc na to, że w miłym towarzystwie jego rodziny, spowinowaconej z domem Gadonów i Rogatków, a moich przyjaciół, zejdzie mi przyjemnie czas przymusowego oczekiwania.

Wchodzę do sieni, spotyka mnie służący z jakimś dziwnym wyrazem na twarzy, pytam o hrabiego i otrzymuję odpowiedź:

— Wczoraj pochowaliśmy p. hrabiego! Umarł z cholery...

Przeraziło mnie to. Zaczynał być to człowiek, znakomity obywatel. Wracam więc do hotelu. Po drodze, napotykam wspaniały kondukt pogrzebowy. Chowano hr. Platerowę, zmarłą też z cholery, w chwili wsiadania do powozu. Idę, za konduktem na cmentarz, by tam odszukać mogiłę przyjaciela mojej rodziny, ks. Karola Jackowskiego, exmisyonarza, który ze Stwołowicz w nowogródzkim, gdzie po ks. Ulatowskim był plebanem, przeniósł się do Mitawy i tam umarł. Odszukawszy jego mogiłę, wracam do miasta. Gdzieś pojrzę, popłoch. No, myślę, niewesoły mi tu będzie pobyt. Ale co począć?...

Po wieczery, przy której gospodarz podziwiał moją obojętność wobec epidemii, udałem się na spoczynek w najlepszym zdrowiu, i spałem do dnia. Zbudziły mnie dzwony było to święto narodzenia N. P.

Po nabożeństwie, zwiedziłem osobliwości miasta, mianowicie pałac ks. kurlandzkich sławny ogromem, gdy tymczasem, przez ulice przeciąga processya, na uproszenie odwrócenia klęski. Łączy się z nią ludność wszelkich wyznań i stanów, zbratana wobec wspólnego strasznego wroga. Jednym słowem: panika powszechna!

Przy obiedzie, o niczem nie mówiono, jeno o wypadkach spowodowanych cholerą. Ktoś mnie zapytał: ażali widok jaki przedstawia miasto w obecnej chwili, nie robi mi przykrego wrażenia?

— Zapewne, odpowiadani, wołałbym być ztąd daleko jakkolwiek mieszkając w Petersburgu, przywykłem do scen podobnych, ale cóż ztąd, kiedy szabas mojego prawowiernego automedona zmusza mnie czekać do wieczora. A więc nolens rolens siedzę i czekam.

A on mi na to.

Gdyby mi się coś podobnego zdarzyło, to wołałbym już czekać na pierwszej ztąd stacyi, np. w Oelej, gdzie przynajmniej czyste powietrze, i widok o wiele przyjemniejszy. Wołałbym piękną naturę, niż przerażone tłumy idące za trumną

— A no, pomyślałem, dobrze mówi warto pójść za tą radą.

I oto, niespełna w godzinę, zawiadomiwszy furmana, gdzie mnie ma szukać wieczorem, biorę pocztę i jadę do Oelej.

Dzień był chłodny, prawdziwie jesienny. Po drodze, gdzie wypadło jechać pod górę, wysiadałem i szedłem pieszo, aby się rozgrzać, poczem jechałem dalej. To sprawiło, że wiatr mnie przejął gdy był rozgrzany. Jakoż, przybywszy na stację, poczułem dreszcze. A więc kazałem podać samowar. Po wypiciu herbaty, dla zwalczenia niemocy, i zabicia czasu, wybrałem się na przechadzkę, w stronę pięknej rezydencji hr. Medemów. Ale uszedłszy nieco, poczułem się niedobrze, na seryo. Więc wracam i znowu każę robić herbatę i podać wina. Zanim to jednak podano, objawiły się nagle symptomy cholery....

Dzierżawcy poczt, (dobry ludek niemiecki) postrzegłszy co się ze mną dzieje, przystali mi wprowadzić samowar i wino, ale zamknęli drzwi na rygiel, łączący pokój gościnny z ich mieszkaniem. I oto, zostałem sam, w czterech ścianach, bez pomocy, bez ratunku. Napisałem list do domu, położyłem go na stole, i poleciłem się Bogu....

A na dworze ciemno i deszcz leje jak z wiadra.

Gdy tak w boleściach pasuję się, z chorobą i gdy mi już znika nawet cień nadziei, słyszę dzwonek pocztowy. Za chwilę wchodzi podróżny, zrzuca płaszcz, i oto widzę niewielką postać wiekowego człowieka wpatruję się i dostrzegam jakby znajome rysy, kogoś, kogo znałem. — Ale gdzie i kiedy?...

I on też mnie dostrzegł, w ciemnym kącie, wijącego się w bolach na sofie. Więc pyta:

— Wy padarozny? kuda? i odkuda? a że znać gaduła, więc nie czekając odpowiedzi ciągnie:

— A ja, izwoltie widiet', jedu z Pietierburh iz Szawel, hdie był directorom gimnazii. Gdy to powiedział, przemknął mi jakby promień jasny w zakątkach pamięci więc mówię:

— Czy nie p. Czasznikow, niegdyś dyrektor słuckiego gimnazjum?

— Da, da, ja sam ja był tam directorom w 1836 roku. A wy kto?

Mówiąc to, zbliża się ze świecą, i widzi co się ze mną dzieje.

— Sato z wami, radi Boha, wy balnye....

Ale tu mu już odpowiedzieć nie mogłem ponowił się atak, porwały mię bole, wznowiły się kurcze... Po jakimś czasie, gdy oczy otworzył, i spojrzał przed siebie, ujrzałem go jak się krzątał koło mnie, a przy nim, miejscowa służba biegła w różne strony, posłuszna jego rozkazom.

— „Wot izwoltie, widiet"*)— Boh mienia wam pasłał na pomoszcz! Niebojcieś, u mienia jest wsio, czto wam nužno, rzeczke wskazując na otwartą kantinę, i Inoziemcowa kapli, i raznye medikamenty. W Szawlach, mnogo piereboleło ucsenikow i ja ich, izuoltie widiet, spasał nieodnokratno. Ja tam priobreł praktiku niechuże lubowo doktora. Uspokojcieś, budietie zdorowye, upowajtie na Boha. Nu, niemcy kanalii!

I oto, pocziwy Czasznikow przepędza noc całą przy mojem łozu, krząta się, pomaga, ociera, podaje mi lekarstwa, czuwa jak ojciec nad synem. Poznał mię i przypomniał. I nie dziwneż to zaprawdę zrządzenie Boże! W chwili najkrytyczniejszej, gdy się czułem opuszczonym, bezsilnym, pozbawionym wszelkiej pomocy, zjawia się człowiek znajomy, zacny, który ma wszystko czego mi brakło, czego mi było potrzeba, który mi to podaje, ratuje i wyrwa mię śmierci i tym człowiekiem któż jest? oto mój ulubiony niegdyś dyrektor, zacny Czasznikow, ten sam co mi tak chętnie niegdyś książek swych udzielał, co mię lubił, i najlepszą pamięć po sobie w Słucku zostawił!

*) Czasznikow dr. filozofii — znakomity pedagog i uczony, człowiek zacny i szlachetny w całym słownictwie ze Słucka przeniósł się do Szawel stamtąd do Mitawy gdzie przebył na stanowisku dyrektora aż do wysłużenia emerytury. Posiadał liczną bibliotekę. Miał przysłowie „wot izwoltie widiet".

Było potrzeba, który mi to podaje, ratuje i wyrwa mię śmierci i tym człowiekiem któż jest? oto mój ulubiony niegdyś dyrektor, zacny Czasznikow, ten sam co mi tak chętnie niegdyś książek swych udzielał, co mię lubił, i najlepszą pamięć po sobie w Słucku zostawił! Nazajutrz, gdy minęło niebezpieczeństwo, nie wprzód odjechał, opatrzywszy mię w ziółka i krople, aż go upewniłem, że czuję się na siłach do dalszej podróży, i będę mógł wraz opuścić tę stację i tych ludzi, których w imię prawa zmusić potrzebowałem do pomocy choremu. Tacy to niegdyś wśród nas byli Rosyanie!

Gdy mój furman nadjechał, cofnął się z przerażenia ujrawszy mnie, tak byłem zmieniony. Jakkolwiek słaby i zbolący, opuściłem niezwłocznie tę stację, ulokowawszy się leżący w wygodnej bryce, i tak dojechałem do Janiszek na Żmudzi, gdzie parę dni przeleżałem, rad że znalazłem na swojej ziemi. Ot co jest. Różni różnie to nazwą. Dla mnie była to widoma łaska Boża.

XLVIII.

Tak gawędząc, dojechaliśmy do Świącian... Była już noc. Wagon nasz, uczepony na końcu pociągu, dotykał lasu. Wysiadłem aby wyprostować nogi. Noc, las... zwróciły myśl moją na łatwość ucieczki dla każdego, ktoby chciał korzystać ze sposobności, narażając siebie na tułactwo, a pocziwych żandarmów na odpowiedzialność. Dla mnie to wszakże nie było pokusą.

Ruszył pociąg. Nam też pora do snu się ułożyć. Gdyśmy się rozlokowali, jak i gdzie kto mógł i umiał, powiadam:

- A cóż panowie, choć twardo i ciasno, pierwsza to podobno będzie noc spokojna od Mińska nieprawdaz? Nawet i o wypadek wykolejenia nie łatwo, bo pociąg towarowy, wlecze się jak żółw powoli. A kiedy staniemy w Petersburgu? — pytam żandarmów.

- Za dwa lub trzy dni, zresztą jak się zdarzy odpowiadają.

- No, to dość mamy czasu na wypoczynek. Będzie to jakby antrakt w naszych losach. A tymczasem ciesz się, że już dzisiaj na pewno nie posłyszysz słów pamiętnych:

- Pażałujcie w kamissiju!

- Tak, tak nie ujrzysz też i miłego oblicza Murawjewa, które ci zapowiedział miński policmajster dorzucił z uśmiechem Hausman.

- O, tak oczywiście chciał mi ten niegodziwiec popieprzyć moją dolę, powiadam, i widząc mój spokój, przerazić perspektywą oglądania męża, który mówił o sobie: „Ja nie iz tiech Murawjewych, katorych

wieszają, no z tych katoryje wieszają". (Ja nie z tych Murawjewych jakich wieszano, lecz z tych co wieszają).

- Pal go licha, odzywa się z animuszem Oziembłowski, nie dbam ja teraz o niego, i mam nadzieję, że w Rosyi spotkamy inne poglądy, i innych ludzi, niż „trechpragony Murawjew" *), i jego kilka zbójców i złodziei. Tu, się zaciął, spojrzawszy na błękitne mundury.... i już się nie ozwał więcej. Usnęliśmy. Spałem jak na erdredonie. Gdyśmy się zbudzili, pociąg stał na stacyi, gdzieś za Dynaburgiem. Że zaś to trwać miało parę godzin, posłaliśmy jednego z żandarmów, dla zaopatrzenia się w prowizję do śniadania. Jakoż, przyniósł nam wraz nieco wiktuałów i samowar. Zaczęła się więc krzątania koło herbaty na brzegu narowu przyległego do wagonu. Ranek był pogodny, świegotało wesoło ptastwo, spokój królował w naturze, więc i nam rozchmurzyły się lica.

*) Murawjew zanim został wielkorządcą Litwy, posiadał w hierarchii urzędniczej trzy stanowiska — które mu dawały prawo pobierania gotówką kosztów podróży (prochonów). Otóż zwykle, w każdej podróży kazał sobie zaliczyć pieniądze w potrójnej kwocie, ztąd nosi nazwę „Trechpragony Murawjew".

Po śniadaniu, czytanie gazet, zdobytych gdzieś przez żandarma, pisanie listów, zajęło nam większą część dnia, gdy tymczasem pociąg posuwał się powoli robiąc długie przestanki na stacyach. Śród innych korespondencyi, napisałem do ks. Adeli Radziwiłłowej licząc w razie danym na szerokie stosunki i doświadczoną dla mnie życzliwość tej zacnej i powszechnie szanowanej pani. W Rzeżycy, jedliśmy obiad, ostatni obiad litewski. Tu już byliśmy na kresach dawnej Polski. Na prawo, widać jeszcze nasz kościółek w dali, o dwóch wieżach, a tam gdzieś dalej dalej unoszą się jakieś dymy. To świeże zgłiszcza popalonych dworów, to Inflanty polskie, wydane na łup burłaków!... ilustracja rządów Murawjewa! Ale oto i granica. Gdzie słowa na wypowiedzenie boleści podobnego rozstania z ojczyzną! Zaledwie w przybliżeniu to pojmie chyba ten, komu los kazał rzucić matkę ukochaną złożoną na łożu śmiertelnym. Czy wrócę?... czy ich ujrzę? i w jakiej doli!... myśl ta każdemu z nas pochyła czoło dobywa łzę.... A tymczasem zmienia się postać kraju wszystko, na co spojrzę, obce, posępne, dzikie.

Jesteśmy w Rosyi.

Tak wlokąc się powoli, następnego dnia dojechaliśmy do Pskowa. Było to rano mieliśmy stać do wieczora. Więc co robić V Pogoda piękna miasto niedaleko wabią nas starożytne cerkwie tego dawnego a tak nam pamiętnego grodu. Zatem, oświadczamy zamiar zwiedzenia go.

— Dobrze, pojdziem, mówią żandarmi tylko tak się urządzmy, że panowie pójdziecie o wiele naprzód, a my za wami z dala, aby nie zwrócić uwagi.

Więc ruszamy. Po drodze, u wejścia do miasta, pytamy o kościół katolicki. Staruszka jakaś wskazuje nam drogę, każe iść za sobą, mówiąc że właśnie w tej chwili ozwał się dzwon kościelny. Idziemy więc i oto jesteśmy w kościele i słuchamy mszy św. po raz pierwszy na obczyźnie. Pokrzepieni modlitwą spieszymy obejrzeć miasto. Stare cerkwie bizantyjsko - romańskie szronem wieków pokryte, oryginalne, malownicze, każą się podziwiać. Chciałoby się tu zatrzymać, rozpatrzeć w tej tak ciekawej karcie dziejów sztuki ale czas nagli więc dalej, przebiegamy ulice, place, notując co się uchwycić tłało swobodniej bo też tu pierś oddycha bo tu już nie gniecie stopa Murawjewa!

Tak pędząc przez kręte ulice i zaułki, po drodze wstępuję do zegarmistrza, aby kupić kluczyk do zegarka. Gdy mi go dobrał i oddaje, pyta, postrzegłszy żandarmów przed oknem, czy to moja eskorta? i czy jestem więźniem?

— Tak jest, odpowiadam, wiozą mię....

— Niezawidnaja dola, rzekł ze współczuciem, niechże was Bóg prowadzi i odprowadzi najprędzej. Gdym się wziął do sakiewki aby za kluczyk zapłacić, tak mię serdecznie i usilnie prosił, abym przyjął go bezpłatnie, żem mu tego odmówić nie mógł, i uściskawszy rękę Moskala, przyjąłem ten skromny podarek z wdzięcznością i chowam go dotąd, jako pamiątkę współczucia, po raz pierwszy spotkanego w Rosyi. Wróciwszy do pociągu, zastaliśmy kipiącą burzę, śród miejscowej żandarmeryi. Oficer stacyjny zawiadomiony o naszej wycieczce, nie posiadał się z oburzenia, że nasi stróże pozwolili na to bez jego wiedzy. Zagroził im telegrafowaniem do Wilna, surową karą, degradacją itd. Zaledwo nasze

usilne instancje, i parę rubli wetkniętych do ręki podwładnego mu podoficera, który tego piwa nawarzył, uspokoiły i zażegnały burzę.

XLIX.

Nareszcie czwartego dnia, po nocy chłodnej z przymrozkiem, o wschodzie słońca, ujrzeliśmy migocący jasny punkt na krańcach horyzontu to błyszczała kopuła cerkwi Śgo Izaaka. O godzinie 6tej zrana stanęliśmy w Petersburgu.

Było to 27 Czerwca. Czekala nas tam niespodzianka.

W chwili bowiem, gdy skrzepli od zimna, wsiadamy do karety, by się udać na „Dymidowski Piereułok, do Pieresyłocznoy turmy”, widzimy jak wychodzi z miasta tłum chłopów spieszących gdzieś na robotę. Skoro spostrzegli żandarmów uwijających się koło powozu, domyślili się kogo eskortują. A więc, w jednej chwili, całą bandą, zbrojną w oskardy i siekiery zwracają się i pędzą ku nam z wrzaskiem, grożąc i wyjąc w niebogłosy. W mgnieniu oka otoczyli powóz. I była chwila krytyczna, pomimo, że nasi żandarmi dobyli pałaszów i rewolwerów, broniąc przystępu. Szczęściem nadbiegła miejscowa straż żandarmów i policyi, i rezegnała to dzikie stado, poduszczone prawdopodobnie przez nurtujących już tam stronników Murawjewa. Śmielsi z nich tylko, podbiegłszy do powozu, oplwali nam spuszczone szyby u okien.

Taki to był nasz wjazd do Petersburga*).

*) Składając hołd prawdzie, powiedzieć należy, że był to epizod wyjątkowy gdyż w tym czasie spotykało się wszędzie współczucie dla więźniów Polaków. Z nastaniem zaś dni chłodnych, zasnęła i piękna p. generałowa Etlinger, żona lekarza W. ks. Maryi Leichtemberskiej przyjmowała zwykle więźniów na dworcu herbatą, i przez adjutantów ks. Suwarowa, którego była córką chrześną, załatwiała ich interesa.

Przysłowie, iż „nie ma złego, coby nie wyszło na dobre”, sprawdziło się dla nas tym razem. Gdyśmy bowiem stanęli przed turmą i gdy wraz za nami zgrzytnęły wrzeczadze zamykanej bramy, w miejscu przykrego uczucia, poczuliśmy się jakby u bezpiecznego portu. Tak to nieraz wiele zależy od punktu widzenia, z jakiego się na rzeczy spogląda, i od porównania. Wprowadzono nas do parlatorium, tuż obok kancelaryi smotrytela. Nowy nasz cerber spał jeszcze. Kazano więc czekać. O ósmej wyszedł. Był to oficer w randze majora, o pargaminowej cerze twarzy, jakby przedwcześnie zwiędłej wśród atmosfery moralnych cierpień i zbrodni. Patrząc nań, czułeś, że ten człowiek całemi secinami ofiar przerzucał bezustannie, szląc je w dalekie pustynie Sybiru. To też spotkał nas z zimną grzecznością, przyjął od żandarma papiery, dorywczo je przejrzał i kazał nas zaprowadzić na piętro dół bowiem zajmowali zbrodniarze. Nazwa pieresyłocznoy turmy, mówi o jej przeznaczeniu. Jest to jakby rozsądek, zkąd wedle brzmienia wyroku, przywiezieni z różnych stron więźnie wysyłają się do miejsc przeznaczonych za karę jakoto: do katorgi w kopalniach, do aresztanckich rot, do wojska, na zaludnienie, na „żytełstwo” itd.

Co do lokalności, to przyznać trzeba, że o ile parter przeznaczony dla zbrodniarzy, odrażającą miał fizyognomię o tyle pierwsze piętro, gdzie lokowano więźniów politycznych, wcale się nam dobrze wydało, gdyśmy po szerokich wschodach weszli na górę. Długi, obszerny, i światły korytarz dawał wejście do kilkunastu kamer, po nad których drzwiami czytałeś napisy: Dworianskaja. Dla Inostrancow. Oficerskaja itd. Na końcu zaś korytarza była kaplica katolicka i obok prawosławna. Czystość i porządek wzorowe. Czuć tu było stolicę.

Wprowadzono nas do kamery dworiańskiej. Już w niej kwaterowało kilka osób z różnych stron Litwy. Że to była godzina ranna i czas śniadania, więc też wraz, po wzajemnej prezentacji, zaproszono nas na gotową herbatę. Amfitryonem był tym razem śp. Józef Szyszko, obywatel z Dziśnieńskiego, znany mi z wybornych artykułów, jako postępowy i dzielny ziemianin, a więc kolega po piórze. Zaledwieśmy zasiedli zeszło się wraz wielu innych ze swych kamer na wiadomość o przybyciu naszym. Byli tam bowiem wśród nich i tacy, co już od kilku tygodni siedzieli, przedłużając pobyt pod różnymi pretekstami, w nadziei obrobienia interesów w stolicy, licząc na dawne stosunki.

— Zkąd? — dokąd? — za co? — co się tam dzieje? — to były pierwsze słowa, któremi się zawiązywała rozmowa.

O jakże to boleśnie dziś pomyśleć, gdy się zważy i oceni doniosłość przyczyn i skutków, które ciężarem klęsk spaść miały wkrótce na Litwę i kraj cały, że w tem kole kilkudziesięciu osób zebranych pod dachem turmy, z małym wyjątkiem, ginął marnie kwiat społeczności litewskiej! i że się tyle zmarnowało sił które przy zbudzonym duchu reformy i popędzie do pracy mogłyby z czasem kraj podźwignąć. A była to tylko mała częśćka, tej ogromnej razi, którą nam kraj wyludniono. Ale podówczas nie myślano o tem. Poczucie obowiązku raz zbudzone, stało się jakby dogmatem wiary wśród szlachty. Nie obcą wprawdzie była i nadzieja pomyślnego jej rezultatu, i że ten nie długo każe na się czekać że Europa, której znane były noty w sprawie Polski, raz nią zainteresowana, nie poprzestanie na platonicznem wdaniu się w jej sprawy, a więc, że nie minie bliski i nie bez pewnego tryumfu powrót. Ba, nawet niejednemu się zdało, że go z drogi wrócić.

Liczono też i nie bezzasadnie na partyę nieprzyjazną dla Murawjewa, na której czele stał Suwarów, pierwsza podówczas osobistość po cesarzu, jak niemniej Wałujew i inni, których kłuta w oczy udzielona mu dyktatura, i niezaszczytny dla rządu terroryzm w uśmierzonym kraju. To też dobra fantazyja patrzała wszystkim z oczu.

— Bądź pan dobrej myśli, rzecz jeden ze Żmudzinów (Bronisław Ludkiewicz) zwracając mowę do Oziembłowskiego, który schorzał i znępany, był jakby uosobieniem chronicznego smutku. Nie zjedzą nas Moskale. A dokąd pana wysyłają?

— Do Permu.

— No, to nie tak daleko przejedziesz się i wrócisz. Ja panie, drugi już raz jestem w ich szponach, a nie tracę nadziei. Ten krzyż, rzecz wskazując na order św. Jerzego, zawieszony u pętlicy, zdobyłem przy szturmie Achałcyka w bitwie z Kokańcami. A było nam tam nieco gorzej, bośmy skazani byli w żołdacy. Bronisław Zaleski, dr. Kruniewicz, Sierakowski, którego przed kilku dniami stracono, byli tam ze mną. I wszystko się jednak przeżyło. I znów da Capo.... taka to już dola. Nie wiem czy i o ile to mogło uspokoić naszego towarzysza, gdyż w tej chwili uwagę nasze zwróciło wejście kilku ludzi z koszami bułek (sajki).

— To podajanie (jałmużna), przysyłane zwykle przez kupiectwo dla więźniów, objaśnił nas któryś z towarzyszy. Rzecz prosta, że nikt z nas nie przyjął tej jałmużny, nie przeszkadzało to wszakże, że co dzień powtarzała się ta scena. Dziwiło to i nawet gorszyło widocznie służbę miejscową.

— Zaczem nie brat', jeżeli dajut', mawiał zwykle Hrynko, posługacz, o chytre obliczu skończonego łotra Wisz, gordye palaki! Łatwo się domyśleć, jak i na czem czas nam schodził. Wszystkie prawie gubernie i powiaty miały tu przedstawicieli. Ze znajomych znalazłem: marszałka Tukałę, Paszkowskiego, Kowerskiego, Tabeńskiego, światłych i dzielnych ludzi, znanych krajowi z prac użytecznych. Więc udzielanie sobie wzajemne wiadomości o stanie rzeczy w prowincjach i powiatach dostarczało wątku rozmowie na długie godziny. Byli to bowiem wszystko ludzie, którym znany był dobrze stan kraju, jego zasoby i siły, jego potrzeby, jego dodatnie i ujemne strony ludzie świeżo oderwani od pracy pożytecznej i pilnej z miłością podjętej dla, dobra kraju. Więc mówiono otwarcie i szczerze.

Tu się przypatrzyłem odwrotnej stronie medalu, w sprawie powstania tu się przekonałem ostatecznie, że oprócz Żmudzi i przyległych jej okolic, ludność wiejska na Litwie i Kusi litewskiej, nie brała w niem udziału. P»o i mogłoby być inaczej! Spóźniliśmy się niosąc jej światło spóźniliśmy się, podając jej dłoń bratnią! gdy tymczasem „Inni szatani byli tam czynni!...”

„Zapóźno przekonano się o tem, że tylko wojna ludowa jedna, może wrócić narodowi niepodległość”. To też w tym czasie, całe powstanie litewskie, można już było uważać za stłumione. Pomimo to jednak, Murawjew nie przestawał ścigać, więzić, wieszać. Nie szło tu już teraz o zapewnienie całości państwa, lecz o wykrycie organizacji rewolucyjnej, której się domyślał, a która miała mu oddać na pastwę zemsty, polską szlachtę. A więc jak Litwa długa i szeroka, pokryła ją sieć komisji śledczych i więzień. Każde miasto, miasteczko miało swój trybunał sądów wojennych swoje szubienice*). Wymuszano postrachem zeznania, aby wciągnąć do śledztwa jak największą liczbę osób, chociażby najzupełniej niewinnych, by je potem (kak neblaho-nadieźnych) wygnąć, a ich dobra przymusowo sprzedać. Tym sposobem miał być dopięty cel najważniejszy, pozbycie się żywołu polskiego z Litwy.

*) Lista osób powieszonych i rozstrzelanych na Litwie w czerwcu, lipcu, sierpniu i pierwszej połowie września 1803 r. 2 czerwca, Ciundziewicki, oficer art., rozstrzel, w Mińsku.

- 3 czerwca, ks. Stanisław Iszora, rozstrzel, w Wilnie.
- 5 czerwca, ks. Ziemiacki i Albert Laskowicz, rozstr. w Wilnie.
- 8 czerwca, ks. Rózgo i Leon lir. Plater, rozstr. w Dynaburgu.
- 9 czerwca, Bolesław Kołyszko, powieszony w Wilnie.
- 10 czerwca, Wincenty Białozor, rozstr. w Kownie.
- 18 czerwca, Teofil Ancypa, Korsak, bracia. Micewiczowie, rozstrzelani w Mohilewie (nad Dnieprem).
- 22 czerwca, Leśniewski, rozstr. w Wilnie.
- 27 czerwca, Zygmunt Sierakowski, powieszony w Wilnie.
- 30 czerwca, Michał Ciuchna w Sokółkach i ks. Adam Falkowski, rozstr. w Lidzie.
- 6 lipca Konstanty Żebrowski, rozstr. w Borysowie.
- 8 " Adam Pusłowski, rozstr. w Nowogródku. — Smyśłowski (Stefański), Ungebauer, powieszeni tamże.
- 9 " Młyński, rozstr. w Nowoaleksandrowsku.
- 20 " Stanisław Kossakowski, w Poniewieżu i Michał Staniszewski, rozstrzelani w Wiłkomierzu.
- 22 " Zawistowski, rozstr. w Wołkowysku.
- 25 " Ułas, powieszony w Brześciu.
- 28 " Tomasz Hryniewicz, rozstr. w Rohaczewie.
- 30 " Adamowicz: i Feliks Radziontkowski, rozstr., Zacharczuk, powieszony w Brześciu.
- 31 " Bogusław Pawłowicz, rozstr. w Brześciu.
- 12 sierpnia Tomasz Waszkiewicz, powieszony w Kownie.
- 14 " ks. Norejko, rozstr. w Połędzie.
- 17 " Karol Massalski, rozstr. w Słonimie. — Aleksander i Józef Rewkowscy, powieszeni w Wilnie.
- 19 " Włodzimierz Zelnic i Ludwik Jocz, rozstrzelani w Jeziernicy, powiat Słonimski. Józef Jabłoński i Karol Sipowicz, powieszeni w Wilnie. Adrian Landzki, rozstr. w Oszmianie.
- 24 " ks. Teofil Raczkowski, rozstr. w Kownie.
- 20 " Ignacy Wróblewski, doktor, rozstr. w Kownie.
- 29 " Henryk Makowiecki, rozstr. w Wilnie.
- 1 - września Józef Zybers, rozstr. w Popielach, Nowoaleks. pow.
- 3 " Andrzej Wojtalewicz, rozstr. w Poniewieżu.
- 9 " Jan Bieńkowski, Jan Marczewski i Edward Czapliński, powieszeni w Wilnie. Ignacy Budziłowicz, rozstr. w Orszy.
- 11 " Antoni Czyżewski, rozstr. w Dusiadach.
- 15 " Kwiatkowski i Braulis, rozstr. w Szawlach.

To też i tułające się resztki rozbitych partyi, nie spieszo tuż, patrzano przez szpary na ich koczowiska po lasach bo każdy kęs chleba im podany, ściągał uwięzienia, deportację konfiskatę. Akcja wojenna była skończona nastąpiła akcja polityczna, i trzeba to dziś przyznać, była godną swej tradycji. Organizacja została wykryta dzięki małoduszności stojących na jej czele szlachta a z nią cała Litwa zrujnowana.

L.

Nazajutrz, jako w dniu św. Piotra, zapowiedziano nam mszę św. w kaplicy. Można sobie wyobrazić z jakim uczuciem przyjęliśmy tę wiadomość. Msza św. w więzieniu ! to była pierwsza nowość miła na wygnaniu...

Zakonnik Dominikanin kość. św. Katarzyny, który zwykle odprawiał mszę św. w tem więzieniu, z zalem wyznać przychodzi, ani swem zachowaniem, ani usposobieniem nie zbudował i nie pociągnął nas ku sobie. Spragnieni ciepłego słowa od stóp krzyża, który ogarniając wszystkich miłością, zalicza do cnót chrześcijańskich współczucie dla więźniów, zawiedliśmy się srodze, spotkawszy w nim w miejscu kapłana, urzędnika Jego Cesarskiej Mości. Dzień ten nam zeszedł na czytaniu gazet, komunikowaniu sobie wiadomości przynoszonych z miasta i nawzajem odwiedzaniu się po kamerach, czego nie

broniono poprzestając na zakazie wychodzenia na dół i za bramę bez szczególnego pozwolenia. Wielu miało w stolicy przyjaciół i krewnych, do wielu też przybyły z kraju rodziny, czyniąc zabiegi u możliwych, w interesie męża, brata, syna, itd. Ciągły zatem stosunek i kontakt z miastem trzymał nas w biegu rzeczy będących na dobie. I zaprawdę, gdy się do tego doda nie skąpy u niektórych zapas pieniężny, nie mniejszy zapas nadziei, to przyznać trzeba, że po więzie niu mińskim i wileńskim, pobyt w pieresylocznej turmie nie zostawił przykrego wspomnienia. Dodać tu jeszcze należy, że obiady przynoszone z sąsiedniej restauracji wcale były dobre. Jeden tylko Hryszko jako główny intendent i dostawca wszystkiego, w rachunkach pieniężnych zmuszał nas do ciągłej baczności. Nic więc dziwnego, że nie obeszło się tu bez kradzieży i że jeden z więźniów po nocy, nie znalazł swego zegarka.

Nazajutrz był to dzień w którym ks. Suworów zwiedzał więzienia, jako wojenny gubernator. Zanim przybył, opowiadano, że w uprzednich odwiedzinach zdarzyło się, że się zetknął z przybyłą partią więźniów z Litwy, wśród których dostrzegł starca 80cioletniego księdza w kajdanach. Staruszek szedł z obliczem pogodnym pobrzękując łańcuchami. Był to ks. Syrwid, pleban z Litwy, skazany do katorgi, ukochany od parafian.

— Sniat eto siejczas! — krzyknął oburzony. Eto warwarstwo! (To barbarzyństwo). Zacny ten człowiek zapisał się też w pamięci i sercu Polaków, jak najmniej i w dziejach ludzkości, w najzaszczytniejszy sposób.

O 10-tej posłyszeliśmy ruch niezwykły na korytarzu.

— Ewo Swietłost' *) izwolili prybyt', oznajmił nam jeden z urzędników. Siej czas u was budiet. (Jego Światłość raczył przyjechać — wraz będzie u panów). Czekamy tedy. I oto po chwili, otwierają się drzwi na oścież, wchodzi ks. Suworów, otoczony świtą okazałej postawy, szlachetnego oblicza, na którym wiek podeszły, wrodzona dobroć, wysokie stanowisko, oraz egzystencja wśród najwyższych sfer, wycisnęły piętno tego duchowego piękna, które bywa najczęściej warunkiem prawdziwej dystynkcji człowiek ten, którego pojawienie się na ulicach miasta witał lud zwykle okrzykiem jakiego mu może sam car zazdrościć..., wszedłszy do kamery powitał nas uprzejmie, zbliżył się do jednego z więźniów, w którym poznał byłego oficera (Bohdanowicz) pułku huzarów, którym kiedyś dowodził i rzekł podając mu rękę:

— I wy dzieś popali!

*) Tytuł najwyższy w Rosyi osób nie należących do panującej dynastji.

— Szto dielat wasza swietłost' sudba! odpowiada Bohdanowicz.

— Da, da, niebłagopałuczna sudba, dodał Suworów ciągnąc z nim dalej rozmowę. Gdy przeszedł nas wszystkich po kolei, i z każdym się na prędce rozmówił, otoczyliśmy go, i zaczęła się pogadanka ogólna gdy zaś jeden zapytany, za co mianowicie został wysłany odpowiadał z niejaką nieśmiałością i jakby obawą. Mów pan otwarcie i śmiało, rzekł kładąc mu rękę na ramieniu przecież sądzę i mniemam że się nie mylę, że my tu wszyscy ilu nas jest, jesteśmy ludzie honoru. I dalej rzekł, nieco głos podniósłszy: — Bud'tie uwierenny gaspada, czto ja nieadnaszerstnyj s Murawjewem ... (Proszę wierzyć że nic wspólnego nie mam z Murawjewem).

Wiązała się więc rozmowa, w której można było zapomnieć żeśmy więźnie, i że stoimy wobec najwyższego dygnitarza państwa. I zaprawdę, poczuliśmy to wnet wszyscy, że mamy przed sobą człowieka zacnego, któremu leżało na sercu, przynieść nam ulgę w czemkolwiek. To też żegnając nas, powiedział: — Przygotujcie zapiski jutro przyszłe tu do panów adjutanta, zapiszcie więc wasze życzenia i potrzeby i wręczcie mu, a ja upewniam panów, że wszystko co tylko będzie w mojej mocy, zrobię najchętniej dla was. Bądźcie zdrowi, niech Bóg was prowadzi.

LI.

A więc dzień ten cały zeszedł na przygotowaniu zapisek. Kto nie umiał sam tego zrobić wyręczyli go inni wprawni do pióra jak śp. Paszkowski Szyszko Hausman. Ja napisałem prosząc o wyrobienie mi pozwolenia zamieszkania w Petrozawodzku. Jakoż nazajutrz przybył zapowiadany adjutant i zabrał nasze zapiski. Trzeba też było pomyśleć o dalszej podróży. Codziennie kogoś wywożono a nie było dnia by też w zamian nie przywieziono kogoś. Nareszcie przyszła kolej i na mnie. Była to niedziela.

Wysłuchałem mszy Św. a po południu zaszła pocztowa powózka zjawił się przeznaczony dla mnie żandarm i oto po serdecznym pożegnaniu towarzyszy, nie bez bólu przy ostatnim uścisku z bliższymi puściliśmy się w dalszą drogę ku północy.

Wyrażam się w liczbie mnogiej gdyż na drugiej powózce jechał też zesłany do tejże gubernii pewien urzędnik z Białego Stoku. Podług instrukcji danej żandarmowi minęliśmy wielkie ulice przemykając się cwałem bocznymi zaułkami i aż dopiero na „pieskach” wjechaliśmy na koniec Newskiego prospektu niedaleko ławry. Czas piękny. Wille i dacje rozsiane wśród cienistych gajów po nad brzegami Newy pociągają oczy. Na lewo na prawo wyglądają z zieleni ładne wiejskie mieszkania ludność świątecznie ubrana zalega place przysionki cerkwi tam i ówdzie widać jakąś zabawę dolatując głosy muzyki śpiewu wszystko się cieszy weseli...

Miły Boże pomyśliłem i czemuż tak różne losy nasze!

Wieczorem stanęliśmy w Szlisselburgu. Spojrzawszy na mury tej strasznej twierdzy nad Ładogą trudno było nie porównać swego losu z tymi co tam jęczą i nie podziękować Bogu że ją mijamy. Przyjechawszy na stację że już było późno postanowiliśmy w niej noc przepędzić okazało się jednak że ani na stacyi ani w gospodzie miejsca nie było wszędzie było pełno podróżnych albo bawiących się. Co począć? a więc zrzuciwszy pychę z serca jak to mówią kazaliśmy rozlokować się w szopie i przepędziliśmy noc na sianie mając u wrót nieodstępnych żandarmów.

Droga ze Szlisselburga do Petrozawodzka nie nastrocza wcale zajmujących krajobrazów. Z początku biegąc brzegami Ładogi daje widoki na jezioro którego ogrom i masztowe statki morze przypomina potem zwraca się w głąb kraju i ciągnie się po nad kanałem Maryjskiego systemu przez niziny i moczary co kiedyś być musiały dnem morza. To też częścią brukowana częścią wymoszczona drzewem piekielne sprawiała męki. Tu pożałowałem że się nie starał o pozwolenie odbycia tej podróży wodą przez Ładogę Swir Onegę do Petrozawodzka w wygodnym parostatku który dwa razy w tygodniu odchodził z Petersburga. Ale pragnąłem poznać ten tak mało znany niegdyś szwedzki kraj a tylko podróż lądowa mogła mi to ułatwić. Jak okiem rzucić pustynia. Wytrzebione lasy nieuprawne pola bo rzadkie wsie i siedziby tylko się nad brzegami rzek lub jezior spotyka. Zresztą pusto bezludnie. Ruch i życie skupia się jedynie po nad kanałami którymi płynie drzewo ciągnięte końmi (na biczowkie) do Petersburga. Ludność przeważnie czuchońska pracowita to rasa i skrzętna ale typ jej szpetny turański wyróżnia się widocznie od napływowych Wielkorusów.

Dojeżdżając do Nowej Ładogi miasta powiatowego przebywa się na promie ogromną rzekę Wołchów szeroką co najmniej wiorstę. Podziwiałem zręczność i siłę przewoźników pędzących prom na prysach. Już to przyznać trzeba że chłop rosyjski (a byli to Wielkorusy) w robocie ręcznej gdzie trzeba siły fizycznej odwagi wytrwałości i zimnej krwi przewyższa wielu i jako taki z wyrobioną aż do szpiku kości karnością wobec władzy którą czcić go nauczono na równi z wiarą jako siłą fizyczną ma przyszłość której ludy zachodu lekceważyć nie powinny. Nie wstrzyma go w pochodzie głód ani chłód gdy na jego czele stanie ten komu zaufa. A że się tacy znajdują kiedyś któżby to dzisiaj śmiał wątpić... Za Nową Ładogą o wiorst kilka spotkaliśmy orszak weselny. Wracano z cerkwi: Kilkanaście powózek pędziło w cwał wśród krzyków śpiewów hulaszczej młodzieży z których niektórzy śpiewali pieśń jakąś w postawie stojącej ująwszy się jedną ręką pod boki a drugą dając sobie nawzajem w takt muzyki (apleuchy) to jest policzki z jednej i drugiej strony w najlepszej komitywie! Co kraj to obyczaj mówi przysłowie.

Już to przyznać trzeba że w Rosyi bicie jest ciągle na porządku dziennym ba nawet w zabawie. I nie bez racji może powiedział Puszkin: w wierszu napisanym z powodu pomnika wzniesionego dla Cara:

A wieś naród razinów rot —

Kryczyt' ura! nas bit' para!...

To też biada temu kto tam zmuszony podróżować na „pierekładnej”. Taka tam szalona szybka jazda takie nieludzkie katowanie koni że siadając na powózkę gdzie na tak zwanym pierepłocie siedzi podróżny jak pies na płocie trzeba polecić duszę Bogu. O hamulcu nikt tu nie słyszał. Za to słyszysz bezustanne: „paszo!” i świst bata to też przypominasz sobie sławną tegoż Puszkina Trojkę: Uch ty nu! wskryczał kuczer s balszój baradoj, Swisnuł wożzy prypadniał i plet' pustil pa karennoj,...

Ostatnie trzy słowa znaczą: że w chwili gdy pomknęły z miejsca konie na grzbiet rysaka zaprzężonego w hołoblach spada grad batów bez względu czy na to zasłużył. Jest to zwyczaj rodzaj zaliczki na rachunek przyszłości...

Za tern przychodzi kolej na orczykowych o których mówi poeta: - Wdruh użasno pristiażnije w pryskok na wozduch podnialiś Wichrom razduło ich grywy lichie czertom w zemlu zaryliś!... I tak się to leci na złamanie karku! „ Wdol pa darożkie stałbawoj”. Zimą wszakże ta szalona jazda ma swój urok. W podobnej podróży wielką dogodność stanowi żandarm. Bo oprócz bezpieczeństwa i usługi w której chętnie zastępuje lokaja gdy czuje że mu się to opłaci jego obecność w czasie noclegów popasów chroni od natłoku i imponuje gawiedzi. Mundur błękitny magiczne ma znaczenie w Rosyi. Gdy więc się zdarzy że jednocześnie kilka osób zjedzie na stację żandarm zamyka wszystkim drzwi przed nosem jeśli to jest w nocy lub zabiera pierwsze konie jakie mu się nawiną.

LII.

Na pół drogi zmienia się fizyognomia kraju teren się podnosi droga przeważnie idzie lasami. Ludność tu już karelska mowa inna inny jej typ i obyczaj. Tam i ówdzie spotykają się wzgórza i nie rzadko dostrzega się sterczące wśród pól i lasów olbrzymie złomy granitu którego tu już leżą pokłady. Tak jadąc minawszy miasta Ładiejnoje-Pole nad rzeką Swirem Ołoniec u ujścia Megregi do Ołonki trzeciego dnia około południa stanęliśmy w Petrozawodzku. Widok jaki nasze oczy uderzył z ostatniej góry na miasto położone nad Onegą był w całym znaczeniu słowa czarujący. Ogrom jeziora którego brzegów przeciwnych oko nie dosięga o malowniczych wyspach wśród błękitu wód rozsianych nadawały temu miastu pozór jakiejś zagranicznej okolicy tem bardziej że nic dokoła ani ludzie ani ich mowa ani sposób życia nie przypominało Rosyi. Wszystko tu było obce nowe. Na lewo miasto. Obszar jego ogromny i jak zwykle na północy na wpół zabudowany. Domy przeważnie drewniane prócz kilku rządowych i kilku cerkwi. Na prawo fabryki żelaza ludwisarnie hamownie itd.

Zajechaliśmy przed dom gubernatora jedyny gmach okazały. Po oddaniu przez żandarma papierów urzędnikowi dyżurnemu i załatwieniu stosownych formalności wprowadzono nas do sali audyencyjnej. Zastaliśmy tam policmajstra. Po niedługim czekaniu wyszedł i gubernator. Był nim Juliusz Arseniew. Średniego wzrostu szczupłej postawy nerwowej natury o bladym i jakby schorzałym obliczu o spojrzeniu bystrem inteligentnym spotkał nas uprzejmie. Zapytał o zdrowie i drogę ubolewając żeśmy ją łądem odbyli. Ponieważ wiedział już z papierów kto jestem zbliżył się do mnie i oświadczył że się dobrze składa dla Petrozawodzka iż przybywa artysta którego właśnie braknie temu miastu. Zachęcony tym pomyślnym dla mnie zwrotem rzekłem:

Byłoby też mojem życzeniem zamieszkać w Petrozawodzku i jeżeli Wasza Excellencya pozwoli....

Ale i owszem i owszem przerywa mi lokuj się pan tutaj a będziemy mu radzi. Znajdziesz tu swego ziomka Machnauera z Wilna który tu już jakiś czas mieszka*), on panu ułatwi zainstalowanie się i poznamy ze wszystkiem to zacny człowiek. A pan rzecz zwracając się do policmajstra nie wątpię że ze swego miejsca postarasz się aby temu panu wśród nas było dobrze. Do widzenia zatem. Co powiedziawszy zwrócił się do mego towarzysza zapowiadając mu że po kilku dniach wypoczynku ma się udać na mieszkanie do Pudoża. No myślę bądź co bądź sztuka i tym razem przyszła mi w pomoc, bo oto najniespodziewaniej stało się czegom chciał zostając w Petrozawodzku. Po wyjściu od gubernatora zabrał mnie policmajster do swej dorożki aby zawieść do Machnauera poleciwszy policjantowi odwieść tam moje rzeczy. Gdyśmy przyjechali rzekł podając rękę: -Jesteś pan wolny urządzaj się jak ci się podoba tylko chciej jedno pamiętać że liczymy na pana że nie wyjedziesz z miasta bez wiedzy. I tu mnie pożegnał poleciwszy w imieniu gubernatora Machnauerowi. Tegoż dnia nadjechali i inni ci którzy wodą odbyli tę podróż z Petersburga: Br. Lutkiewicz z żoną którą zaledwie miał czas przed wyjazdem zaślubić z Siebieża, dr. Józef Serafinowicz z Siebieża, Henryk Kibort z Rzeżyckiego.

*) Jan Machnauer z Wilna - student moskiewskiego uniwersytetu uwięziony w 1861. w Druskiwnikach jako mniemany agitator wysłany do Petrozawodzka.

A więc wieczorem całe to kółko wygnańcze zeszło się do Machnauera. Więc pogadanka do północy aż nim każdy w skróceniu opowiedział swoją Odyseję. Nazajutrz trzeba było wyszukać pomieszkania.

Znalazłem je w dość schludnym domku na piętrze tuż za ogrodem gubernatora. Stół zamówiłem u gospodyni Machnauera dość dobry i niedrogi która umiała już nawet kilka litewskich potraw przyrządzić. Jadało nas kilku wygnańców więc się i dola nieco osłodziła w tem koleżeństwie. A tymczasem rozpatrywanie się w mieście i okolicach dnie całe zajęło. Ponieważ kopalnie słyną tu ze znakomitej rudy żelaznej fabryki więc żelaza odlewnie gdzie się robią działa itp. przedmioty główną stanowią cechę tego miasta. Ztąd więc zarząd górniczy ma tu swoją siedzibę.

Śród chierarchii urzędniczej znalazłem kolegę ze szkół Słonimskich Karola Borowskiego. Byłto kiedyś zdolny uczeń zwykle powtarzał matematyczne zadania na tablicy po wykładzie prof. ks. Więckiewicza. Przypomnieliśmy się przyjął mię uprzejmie poznałem jego rodzinę i żonę Rosyankę. Biedny niegdyś chłopczyzna.... dzięki zdolności i pracy posuwając się ze stopnia na stopień społecznej drabiny z najskromniejszego punktu wyjścia doszedł do zaszczytnej pozycji starszego sowietnika (radcy) jakiejś pałaty. Znaleść więc kolegę z ławek szkolnych gdzieś między Onegą i Ładogą to też należy zaliczyć do pomyślnej dla mnie konstellacyi. Byli też tu i inni Polacy (bo gdzież ich nie ma) bądź w wojsku bądź w urzędach inżynierii nawet w kole nauczycieli gimnazjum. Kościoła tylko nie było. Więc w niedzielę zebrawszy się na umówioną godzinę poszliśmy rano na cmentarz by się pomodlić na grobach rodaków których zły los tam zapędził. Cmentarz tu położony w sosnowym lasku w cichej i pięknej ustroni. Pokazano nam krzyż na mogile żołnierza z dziwnie rzewnym polskim napisem. Uklękliśmy pod nim.... do wspólnej modlitwy. Nie jednemu myśl przemknęła: gdzie mu też przyjdzie kości położyć?...

Nad wieczorem udaliśmy się do ogrodu publicznego gdzie grała muzyka na placyku w środku którego stoi pomnik Piotra Wgo jako założyciela Petrozawodzka. Dzień był piękny więc widzieliśmy publiczność całego miasta. Klasa wyższa wśród której był i gubernator z żoną mało nas zajęła bo miała odcień stolicy, zato mieszczaństwo i ubiory wiejskie mianowicie kobiet były ciekawe. Niektóre miały ubranie głowy w rodzaju dyademu z pereł koronki własnego wyrobu itd.

LIII.

W parę dni wybrałem się do gubernatora aby mu się przedstawić jako mieszkaniiec Petrozawodzka. Przychodzisz pan w porę rzecz mi przy powitaniu. Mam panu do zakomunikowania niemiłą wiadomość. Zatrzymawszy pana w Petrozawodzku odniosłem się z tem do ministra i oto wczoraj otrzymałem odpowiedź że rozporządzenia jenerała Murawjewa co do osób zesłanych muszą być co do słowa spełnione. A że wysiani do mojej gubernii podług brzmienia tych rozporządzeń mają być osiedleni w odległych powiatach zatem nikt w Petrozawodzku zamieszkać nie może. Przykro mi to bardzo ale na razie nie mogę temu zaradzić jedno tylko co mogę dla pana zrobić to dać mu do wyboru jedno z czterech miast przeznaczonych dla panów a takimi są: Ołoniec Pudoż Kargopol i Powieniec. Wiadomość ta tak niespodziana zasmuciła mię musiało to sir odbić na mej twarzy bo ująwszy mię za rękę dodał: Bądź pan dobrej myśli przyjdzie czas że się to wszystko przemiele i że się stanie czego życzymy. Boć ja jestem w tem zainteresowany abyś wśród nas zamieszkał. Żona moja oddaje się malarstwu a nie mamy tu nikogo ktoby w tem jej mógł dopomódz. Liczyliśmy więc na pana oboje. Więc tym czasem wybieraj sobie jedno z miast które panu podaję i czekajmy.

Dziękuję Waszej Excellencyi za słowa życzliwe w położeniu mojem mają one wielką wagę odrzekłem lecz co się dotyczy wyrobu miejsca to ponieważ nie znam wcale ani kraju tego ani ludzi proszę racz mi Excellencya wskazać gdzie mi mogłoby być najlepiej.

Jedź pan zatem do Ołońca. Tani już dobry człowiek sprawnikiem miasto leży na drodze do Petersburga więc będę tam zaglądał niekiedy jest tam też kółko Polaków mam więc nadzieję że z wielu względów będzie tam panu dobrze. Namów swoich towarzyszy i jedźcie tam.

Podziękowawszy mu za dobre chęci powiadam: - Ponieważ Excellencya tak jesteś dla mnie łaskaw ośmiela mię to zapytać: Co mianowicie było powodem zesłania mię? Bo mi tego nikt nie objawił a mniemam że to zawierają dotyczące mnie papiery. Komisya bowiem usprawiedliwiła mię i uwolniła. Wysłano pana jako osobistość wpływową. (Wlijatelnojw lico).

O tak! to był powód dostateczny w oczach Murawjewa aby mię wygnać z ojczyzny pozbawić kawałka chleba przyjaciół zatruć mi życie i rzucić na pastwę losu w kraj na wpół dziki. I pomyśleć tylko że ja

byłem jednostką tysięcy i krociów tylu ofiar co słyż zaludniać stepy Sybiru i to nie rzadko w cięższych o wiele warunkach !!

Po rozmówieniu się zatem z kolegami postanowiliśmy udać się do Ołońca. Nazajutrz więc z parostatku żegnaliśmy kilka osób co nas odprowadziły i nad wieczorem ujrzelśmy się na falach Onegi. Wpłynąwszy na pełne jezioro poczuliliśmy się jakby na morzu. Noc była chłodna i wietrzna bałwany rzucały statkiem jakkolwiek był nie mały i silny. Choroba morska opanowała też wielu co nie przyzwyczajeni byli do żeglugi to też wiedząc z doświadczenia że najlepszym środkiem przeciw tej chorobie jest spokojnie leżeć zabrałem się do kajuty i wygodnie całą noc przespałem. Gdy się zbudziłem byliśmy już na rzece Świrze łączącym Onegę z Ladogą krzątano się około śniadania. W południe zawiniliśmy u portu w Ladiejnem- Polu. Tuśmy wysiedli i ztąd już pocztą mieliśmy się udać do Ołońca.

Ładiejnoje -Pole położone wśród lasów nad rzeką Świrem nie wielkie schludne miasto (żydów tu niema) dobrze się na oko przedstawia. Posiada szkołę powiatową kilka cerkwi i zamożnych kupców dla których handel drzewny stanowi główny artykuł handlu. Znaleźliśmy tam ks. Kulwanowskiego byłego kapelana gimnazjum w Mozyrzu zesłanego przed dwoma laty. Poznałem go kiedyś na Litwie w Luninie u XX. Lubeckich w czasie świąt wielkanocnych. Zaczynał to być człowiek i kapłan więc jako taki zesłany został w czasach demonstracji 1802 roku. Zmienił się bardzo zestarzał posmutniał podupał na siłach chociaż jeszcze był młody. Tęsknota mnie zabija nie mogę sobie dać rady! powiedział mi gdy go rozpytywałem jak też pędzi życie. To pustynia! Ani praca której mam sporo (nad działwą rodziny polskiej z którą mieszkał) ani modlitwa nic mi nie pomaga. Czuję jak z dniem każdym siły mi ubywa i niknę! Snać już pora odpocząć obyż prędzej! Pocieszałem go o ile nas na to stało robiąc mu nadzieję powrotu a tymczasem przeniesienia do naszego kółka gdzie moglibyśmy pomagając sobie razem cierpieć i czekać lepszej przyszłości....

Ale nie wierzył już on w nic lepszego dla siebie. Słuchał cośmy mówili i ze smutnym uśmiechem dziękował za słowa pociechy mówiąc:

Nie dla mnie to już....

Umarł też niezdługo przeniósłszy się do Ołońca. Malowałem mu trumnę z wieńcem cierniowym co mu się należało z tylu względów. Tak to marnieli ludzie pod wpływem smutku i osamotnienia wśród obcej społeczności ludzie których umysł i serce można było zużytkować dla dobra kraju! Nad wieczorem zaszły trzy pocztowe powózki i ruszyliśmy dalej. Ujechawszy nieco przeprawiliśmy się przez Swir na promie pędzonym na przyczepach. Szło to nie dość zręcznie, ztąd strachu było nie mało bo rzeka szeroka i bystra. Dalej ujrzelśmy na lewo mury i kopuły cerkiewne Swirskiego monasteru sławne ugodnikami t. j. (błogosławionymi) do których w pewne dni doroczne ściągają się tłumy pątników z różnych stron Rosji. Ponieważ noc nas zaskoczyła w drodze postanowiliśmy przenocować na ostatniej stacyi w Megredze. Myliłby się kto by sądził że stacye pocztowe w głębi Rosji urządzone podobnie jak na Litwie gdzie podróżny ma pokoje wygodne w których w razie danym może całą dobę przepędzić jak u siebie w domu. Tu jest inaczej. Dom który się stacją nazywa niczem się nie różni od innych we wsi. Tylko słup malowany z napisem zapowiada że w tym domu stacya. Pierwszą izbę zajmuje zwykle rodzina gospodarska i czeladź druga mniejsza służy w razie potrzeby dla podróżnych. O wygodzie więc i spokoju mowy tu być nie może. Co zaś do zarządu stacyi to ta jest w ręku starosty który gdy braknie koni zbiera je na wsi. Nazajutrz gdyśmy powstawali rano w miejsce herbaty zaproponowano nam kawę, ho trzeba wiedzieć że w Karelii kawa jest prawie głównym artykułem pożywienia. W dostatnich domach (chłopskich) piją ją co najmniej sześć razy na dzień ze śmietanką i bułką którą każda gospodyni sama wypieka. Zwyczaj to przyniesiony z Finlandyi z którą graniczy. Mięsa mało jadają gdyż mając tyle postów w roku i podostatek ryb z ogromnych i licznych jezior i rzek rybą przeważnie żyją mają też i zwierzynę w którą obfitują jeziora i lasy. Rzadko wszakże jadają sami te wyborne gatunki jakimi słyną tamte wody albo knieje poprzestając na tak zwanej koruszcze suszonej drobnej rybce której całe góry na rynkach zatrują powietrze Tallitemi bowiem jak sigi ladońskie sandacze łososie i inne szlachetne gatunki prowadzą handel wioząc je do Petersburga świeże lub wędzone.

Tożsamo dzieje się i ze zwierzyną. Całe fury zamrożonych jarząbków ułożone jakby fury siana dostawiają zimą do stolicy. Ranek był piękny i zapowiadał dzień upalny co nas zachęciło do kąpieli w

rzece sławnej niegdyś z połowu pereł*) po kąpieli więc i śniadaniu ruszyliśmy w drogę tym razem prosto do Ołońca**).

*) Zapewniano nas że do niedawna w rzece Megredze poławiano perły ztąd takie ich mnóstwo widzieć tu można w ubraniach kobiet.

**) Starożytne dzieje Skandynawii wspominają często o niezależnym kraju fińskim Karelii albo Karijolandyi. Kraj ten graniczył na północ z morzem Białym na wschód z Bijarmią na północno-zachód z Kwenlandią albo Kajamią zajmując dzisiejszą gubernię Ołoniecką część gubernii petersburskiej i wielkiego księstwa Finlandzkiego. W XII wieku mieszkańcy Karelii brali udział w wyprawie Nowogrodzian na sąsiednie ludy fińskie Jem' i Sum' w odwecie za napady tychże na Karelię ztąd wnoszą niektórzy z dziejopisarzy iż Karelia ówczesna od Nowogrodu zależną była. W r. 1203 regent Szwecyi Tornei Knutson podbił Karelię i zbudował zamek Wyborg na miejscu zburzonego przezeń miasteczka Suome-Lippa dawnej stolicy Karelii. Następnie Karelia wchodzi do składu posiadłości nowogrodzkich pod nazwą piatyny Obonegskiej albo pohostów Zaonegskich. Z upadkiem Nowogrodu kraj ten do W. ks. moskiewskiego wcielony. Za panowania cara Michała Fiedorowicza osada piatyny obonegskiej Kargopol na miasto zamieniona. Z ukazów carskich z r. 1657 i 1660 widać iż istniał już wtedy powiat (ujazd) kargopolski a w mieście Kargopolu był wojewoda. W tymże czasie 1657 r. powstało tu drugie miasto Ołoniec.

W r. 1702 z rozkazu Piotra W. zbudowano nad rzeką Swirem warsztaty okrętowe a w pobliżu zatoki onegskiej fabryki żelaza. W r. 1710 otwarte marcyalne wody mineralne. Za Katarzyny II. utworzona prowincja ołoniecka w 1784 r. zamieniona została na namiestnictwo z miastem gubernialnym Pietrozawodzkim.

Praszczajcie praszczajcie! Daj Boh wam shareje nazad! wołali z ganku żegnając nas gospodarz i Sta... Dzisiejsze swe urządzenie gubernia ołoniecka otrzymała w r. 1802.

Zajmuje ona obecnie 2.415 mil kw., graniczy: na północ i wschód z gubernią archangielską na południe z wołogodzka nowogrodzką i petersburską, na zachód z jeziorem Ładogskim i Finlandią. Dzieli się na 7 powiatów w których miasta powiatowe: Pietrozawodzk Wytegra Kargopol Łodiejnoje-Pole Ołoniec Powieniec i Pudoż (zwany od ludu Pudoga).

Cała prawie gubernia pokryta jest lasami i górami znanymi pod imieniem (Monieckich idą one w kierunku od północnego zachodu do południowego wschodu. Z rzek dwie tylko Swir i Wytegra są żeglowne. Na rzece Sunie znajduje się wodospad Kiwacz. Z jezior znaczniejsze Onegskie Sandań Kończ - oзеро Pert-ozero Sund-ozero Kowzeńskie Kacza i inne pomniejsze. Z jezior tych i błot początek biorą różne rzeki. Lasy zajmują około 10,500.000 dziesięci. Obfitują w nie szczególnie: powiaty Powieniecki Ładiejno-Polski i Pudogski. Z powodu jednak ostrości klimatu i krótkiego lata las rośnie zwolna. Z drzew iglastych znajdują się. tu obficie: sosna modrzew jodła, z lesistych: brzoza osika olsza niekiedy jarzębina wierzba lipa czeremcha i bardzo rzadko klon.

Z komunikacji wodnych znajduje się w gubernii system maryński i kanał onegski. Komunikacja lądowa jest jeszcze dotąd znacznie pomimo starań utrudniona. Klimat z powodu znacznej nad powierzchnią morza wysokości tudzież mnóstwa wód zimny i wilgotny. Silne wiatry i częste zmiany temperatury stanowią szczególne tutejszego klimatu przymioty. Wiosna zaczyna się zwykle w końcu kwietnia (v. s.) lecz śnieg trwa do połowy maja. W północnej zaś części gubernii aż do czerwca. Lato następuje nagle tak że w końcu maja upały dochodzą niekiedy do 25° Reomira i trwają aż do połowy sierpnia. Lecz i w porze upałów w miejscach zwłaszcza niskich i otwartych nadzwyczaj bywa chłodno, gęste mgły białe panują tu ciągle prawie. Jesień nie dłuższa nad dwa miesiące. Już na początku listopada ustanawia się sanna Mrozy dochodzą do 30° Reomira.

Grunt z bardzo małymi wyjątkami jest wogóle nieurodzajny same tylko południowe krańce gubernii nieco zdutniejsze do uprawy. Posuwając się ku północy gleba staje się coraz bardziej kamienistą tak że północne części gubernii przedstawiają samo skały już to obnażono już to lasem i zaroślami pokryte. ...rosta którzy jedni mówili po rusku. Do świdania! (Do widzenia).

Z rzeczy kopalnych na wzmiankę zasługują: ruda żelazna i miedziana granit kwarc łupek mikowy porfir marmur glina andamska (biała) czerwona ochra żelazna torf i węgiel kamienny. Gubernia obfituje w wody mineralne jest także podostatkiem źródeł słonych. Kruszcze i lasy stanowią główne kraju

bogactwo. Rolnictwo z powodu ostrości klimatu i nieurodzajności gruntu jest nie znaczące. Prócz żyta i owsa sieją tu len i jęczmień, rzepa stanowi główną w gubernii roślinę kartofle w niektórych tylko sadzą powiatach.

Ogrodnictwo warzywne w nędznym jest stanie o ogrodach owocowych i mowy tu nie ma. Konie są dość rosłe mocne i wytrwałe. Bydło rogate przez rasę Chołmogorską poprawne kilka tysięcy sztuk tegoż corocznie sprzedaje się w Petersburgu. Hodują tu owce fińskimi zwane. Trzodę chlewną utrzymują tylko dla użytku domowego. Chowem drobiu nie trudnią się prawie. Ludność w stosunku do powierzchni jest bardzo mała wynosi 290.000 głów płci

obojga. Składa się z Finnów Karelczyków i Rossyan.

Mieszkańcy trudnią się rybołówstwem połowem ptastwa leśnego i zwierząt wyrabianiem i sprzedażą futer dobywaniem rudy żelaznej i miedzianej marmuru porfiru i innych kamieni budowaniem statków tkaniem płótna (głównie w pow. pudogskim) pędzeniem smoły i dziegciu wypalaniem węgla sprzedają drzewa zbieraniem grzybów jagód i ziół lekarskich itd. Fabryki i zakłady przemysłowe wogóle produkują rocznie około 800.000 rs.

Z zakładów rządowych słynną jest ludwisarnia aleksandrowska założona w r. 1772. Odlano w niej dotąd około 30.000 dział różnej nazwy. Z miast gubernii znaczniejsze: 1) Pietrozawodzk miasto gubernialne z ludwisarnią aleksandrowską leży nad rzekami Łososinką i Nieglinką i jeziorem Onegskim, w powiecie tegoż znajdują się łomy marmuru i porfiru. 2) Ołoniec miasto powiatowe o 2 2/4 mili od jeziora Ładońskiego nad rzeką Megregą i Ołonką. 3) Ładiejnoje Pole słynne z warsztatów okrętowych za Piotra W. dziś znajduje się tu zarząd Bałtyckiego okręgu lasów rządowych. 4) Wytegra posiada kanał maryiński łączący rzekę Wytegrę z rzeką Kowzą. 5) Kargopol jedno

ze starożytnych miast na północy. Herb gubernii: w złotym polu ukazująca się z obłoków ręka trzymająca niebieską tarczę u spodu na łańcuchach wiszą na krzyżu ułożone cztery kule działowe.

Tak prawie wszędzie w owym czasie żegnano nas na stacyach.

LIV.

Nie bez emocji przybyliśmy te parę mil ostatnich. Co tam nas czeka? co będzie dalej? to były pytania które każdy z nas w swej duszy stawiał nie znajdując odpowiedzi....

Przed południem stanęliśmy w Ołońcu. Jużem go widział w przejeździe do Petrozawodzka. Położony pod 60° 59' szer. północn. 50° 37' dług. wschód. przy zbiegu rzek Ołonki i Megregi w nizinie która niegdyś mogła być dnem jeziora lub morza rozrzucony na rozległej przestrzeni daje obraz nakreślonego planu dla wielkiego miasta jak się to praktykowało za panowania Katarzyny II. To też jedyny z tych czasów zabytek „Gościnny dwór” (Bazar) świadczy dziś o szerokiej skali jaka przeznaczoną była dla obszaru tego miasta. Obecnie liczy Ołoniec mieszkańców 1228 głów 6 cerkwi i szkołę 3-klasową. Zatrzymaliśmy się przed mieszkaniem sprawnika. Był nim Wasyli Ryndin. Zanim mu wręczono papiery pozostaliśmy na dole w kancelaryi. Za chwilę słyszymy pędzi ktoś z góry wołając:

- Pażałujcie gaspada pażałujcie na wierch! (proszę panów na górę!)

I oto staje przed nami człowiek postawy przyzwoitej około lat 50ciu i z uprzejmym wyrazem w oczach i głosie przemawia:- Zdrastwujcie gaspada! Miłosti prosim! pażałujcie (Witam panów! Proszę bardzo!) i to mówiąc podaje rękę pani Lutkiewiczowej i prowadzi nas na górę. Idąc daje rozkazy służbie aby zniosła nasze rzeczy i by wnet posłano szukać pani,... Sofii Iwanowny.

Moja żona ujechała w kupalniu no ona siejczas budiet a państwo tymczasem niech raczą po drodze odpocząć i rozgościć się zanim podadzą śniadanie dodał po polsku skorośmy weszli do salonu.

Spojrzelśmy po sobie zdziwieni nie pomału że nas spotkało tak niespodzianie uprzejme powitanie. Dziwi państwo zapewne odezwanie się moje po polsku. Zostało mi jeszcze nieco polszczyzny z czasów pobytu na Litwie gdzie z pułkiem kwaterowałem kiedyś. Wyniosłem ja ztamtąd nie mało wspomnień! toż rad będę prosił mi wierzyć jeśli zdołam w czemkolwiek państwu być tu użytecznym. Zaczęła się więc pogadanka wśród której nadjechała pani sprawnikowa. Wysoka szczupła dość jeszcze młoda i przystojna rodem Kurlandka powitała nas uprzejmie dodając do zwykłych słów grzeczności. Chociaż to z mojej strony egoizmem trąci powiem jednak państwu otwarcie że się cieszę z waszego przybycia. Ożywi się i skorzysta z tego Ołoniec w którym doprawdy niekiedy umrzeć można z nudów rzekła siadając obok naszej towarzyszki.

No już ciż znów tak źle nie jest nie przestraszaj proszę cię tych państwa na wstępie. Żyjemy tu jako tako a prze dewszystkiem spokojnie o co jak sądzę idzie państwu najbardziej. Są tu polskie rodziny co nawet prosperują jak leśniczy Bobrowski jest tu okružny Wojewódzki sędzia Dmochowski jest tu doktor powiatowy Wojniłowicz Sledowatiel Wojtkiewicz. Mamy i ks. Mościckiego zesłanego przed parą laty z Płocka. Nie zabraknie więc tu państwu i swojego kółka. Nie ma tu wprawdzie tak pięknych okolic jakie ma Litwa ale na teraz bezpieczniej tu o wiele niż tam.... mogę za to ręczyć. Zanim zasiedliśmy do śniadania rozesał woźnych dla wyszukania nam mieszkania o kilku pokojach gdyż postanowiliśmy zamieszkać razem. Przy śniadaniu którego honory nie bez pewnego wdzięku robiła pani domu rozmowa przeszła na grunt kosmopolityczny. Więc literatura sztuka teatr itd. wystąpiły na plac. Oczywiście był to plac popisu. Tuśmy się dowiedzieli że pani uwielbia George-Sand'a Feuillet'a że się oddaje muzyce że śpiewa lecz że niestety tym emanacyom poetycznych usposobień między ładogą i Onegą braknie słuchaczy a szczególnie znawców. To też od razu nawiązał się z nami stosunek przyjazny skoro się dowiedziała że śród nas są nie tylko ci co w pełni to uwielbienie dzielają ale nawet i tacy co się tym pięknym sztukom na różnych polach oddają. Wśród tej rozmowy w której sentymentalizm niemiecki gospodyni miał obszerne pole nadszedł ksiądz Mościcki. Młody przystojny o kruczych falujących się włosach o licu okraszonym czerwonym rumieńcem, pełen męskiej energii w ruchach i mowie przedstawiał istny typ mazura zrodzonego raczej do kordą niż do brewiarza. Zawiadomiono mię w tej chwili o przyjeździe państwa więc co tchu pędzę i wpadam aby was powitać rzecz wyciągając ku nam dłonie i witając od serca jak się to zwykło praktykować między ziomkami na drugim końcu świata.

Ot i dobrze żeś pan przyszedł rzecz gospodarz myślałem właśnie że najlepiej poradzić możesz ziomkom co do wyszukania pomieszkania. Już tam moi pachotkowie biegają w tym celu po mieście.

Bądźcie państwo spokojni odrzecz biorę ja to na siebie. Nie napróżno przecież mieszkałem dotąd w Ołońcu rad więc jestem że mi się przecie raz nadarza sposobność spożytkować moją z nim znajomość. A więc nie tracąc czasu chodźmy. Zatem przeprosiwszy gospodarstwo że ich tak spieszenie żegnamy po oświadczeniu podziękowania za ich uprzejme przyjęcie i nie mniej uprzejmą inwitycyą odwiedzania ich w wolnej chwili ruszyliśmy pod komendą księdza tym razem już dla wyszukania stałego sobie legowiska.

Nie długo szukając znaleźliśmy wygodną dość kwaterę o czterech pokojach na piętrze z kuchnią. Brakło jej wprawdzie umeblowania ale o to najmniej przyszło nam się troszczyć, mając dach nad sobą. Le strict necessaire miało tu już mieć ściste zastosowanie. Przed wieczorem posiadaliśmy już i kucharkę podżyłą Hannuszkę z którą się było można jako tako rozmówić po rusku. Zakupiło się też co było potrzebne na prędcie dla improwizowanej gospodarki której berło, ku wielkiemu naszemu zadowoleniu przyjęła nasza towarzyszka losu p. Lutkiewiczowa.

Nie spodziewałam się idąc od ołtarza że mi przyjdzie rozpocząć mój zawód gospodyni w Ołońcu, rzekła że łąz w oku tuląc się do męża. Dodaj pani i być duchem opiekuńczym nie tylko dla męża ale dla współbraci dorzucił z nas któryś całując drobną rączkę młodej gosposi. I oto zaczęliśmy życie w otoczeniu i warunkach jak niemniej w usposobieniu zupełnie dla nas nowem życie z perspektywą przyszłości posępnej jak to niebo co było nad nami.

Wieczór spędziliśmy w kole licznej i uprzejmej rodziny państwa Bobrowskich gdzie poznaliśmy wszystkich prawie Polaków. Pora też była odetchnąć....

Odetchnąć!...

W istocie jedyny to był okres czasu w życiu wygnaćczem co nam dał możność wypoczynku po tem wszystkiem cośmy przeszli i wobec tego co nas czekało w pobliżu. Nadzieja wdania się Europy w nasze losy jakkolwiek znaną już nam była odpowiedź Gorczakowa tłała jeszcze. Charakter i usposobienie cara dawały też nie mniej prawo do nadziei że system eksterminacyjny wprowadzony przez Murawjewa nie potrwa długo. Zapomnieliśmy że w dziejach ludzkości najcięższe i najkrwawsze były panowania ludzi słabych i tak zwanych dobrych.

A więc dobra fantazyja nie opuszczała nas. Nawet skazani do ciężkich robót szli w owym czasie na Sybir, potrząsając z uśmiechem łańcuchem, jakby mówiąc: „Nie bardzo mig to boli”.

Załatwiwszy się z instalacją trzeba było zabrać się do listów aby oznajmić i uspokoić bliższych sercu o swym losie. Pierwszą dogodność jaką mieliśmy do zawdzięczenia gubernatorowi była: że listy nasze nie czytane w gubernii szły prosto podług adresu. Toż samo było później, gdyśmy otrzymywali z kraju. W innych guberniach inaczej się działo. A któż nie wie jaką to miało doniosłość dla wygnańców.... Przyszła też kolej i na urządzenie sobie egzystencji, aby ta nie była jałową i nudną. Skazani bowiem byliśmy na nieczynność. Dawanie lekcji w domach prywatnych zajęcia biurowe w obawie wpływu naszego na mieszkańców były przez ministra surowo zakazane. Los parij był nam przeznaczony i trzeba było z tem się zgodzić co więcej wobec obcych a nie rzadko i wobec swoich co upadali na duchu trzeba było dobrą miną nadrabiać *faire bonne mine au mauvais jeu*.... Pewne zatem godziny dnia przeznaczone były na zajęcia umysłowe o ile na to pozwalał szczupły zasób książek przywiezionych lub znalezionych w Ołońcu. Ponieważ obaj z Kibortem zajęliśmy wspólny pokój wzięliśmy się do roboty co się nadawała najlepiej usposobieniu w nieukołysanym jeszcze stanie duszy: do studyowania literatury włoskiej w czym jako obeznany z językiem chętnie mu dopomóż miałem. Młody ten człowiek przybył niedawno z Metz gdzie kończył nauki pod kierunkiem uwielbianego od młodzi śp. księdza Kurowskiego nadał mi się bardzo ukształceniem i usposobieniem które zawdzięczał przeważnie swemu zacnemu mistrzowi ujęto go z bronią po rozbiciu partyi Platera*).

W oczekiwaniu zatem odpowiedzi na listy po całych dniach i wieczorach pracowaliśmy razem korzystając z włoskich lub francuzkich dzieł z których ostatnich dostarczała nam p. sprawnikowa. To też od czasu do czasu spędzaliśmy u niej wieczory gdzie muzyka i śpiew królowały przedewszystkiem. Lutkiewicz zaś polował znośił jarząbki bekasy pardwy do spiżarni naszej gosposi. I tak to nam czas przechodził w pierwszych dniach osiedlenia.

Że zaś Lutkiewicz i Woj.....(Sledowatiel) mieli dobre głosy i jako Żmudzini posiadali pewną wprawę w chóralnym śpiewie uorganizowaliśmy chór dobrawszy jeszcze kilku do którego weszły wszystkie znane polskie i litewskie pieśni. Udało się to nam wybornie tak że nietylko było to dla nas miłym i pożądanym dając nie rzadko folgę usposobieniu ducha ale zrobiło to dobre wrażenie na mieszkańcach którzy tłumnie się nieraz schodzili na brzeg rzeki by nas słuchać gdyśmy płynąc środkiem miasta, zanucili jakąś pieśń lub hymn narodowy. Ciekawi też byli poznać tę sławną pieśń: „Boże coś Polskę....” o której tyle im prawyły gazety.

Podobała się im jej melodia. W takich warunkach egzystencya byłaby dość znośną, i możnaby się było z nią pod pewnym względem pogodzić zczasem gdyby im towarzyszyła świadomość pomyślnego, a przynajmniej normalnego stanu opuszczonego kraju... Ale tu było inaczej. Troska o tych co się tam zostali zatruwała dnie i noce. To też z gorączkowym niepokojem oczekiwaliśmy listów. Dwa razy w tygodniu w poniedziałek i piątek oblegaliśmy pocztę długi czas napróżno. Nareszcie przybył pierwszy list z okolic Siebieża.

*) Plater rozstrzelany został w twierdzy Dynaburskiej. Matka jego tamże zawiadomiona o czasie egzekucyi - straszna tę chwilę przebyła w kościele - u stóp ołtarza przed którym w tym samym czasie odprawiała się Msza św. za Jego duszę!

Wiadomości były fatalne. Polityka Murawjewska tryumfowała i jak mówią moskale: swirepstwowała w całym znaczeniu słowa. Bandy burlaków niszczyły w Inflantach dobra szlacheckie bezkarnie. Forteca Dynaburska zaledwie mogła pomieścić więźniów szubienice pracowały jak długa i szeroka Litwa i Polska.

Nadszedł też wkrótce z etapem Jasiukowicz wysłany z Dynaburskiej forticy który dopowiedział to o czym listy powiedzieć nie mogły. Młody ten człowiek uczeń Horyhoreckiej szkoły dostał się do Ołońca pieszo „po etapie” z aresztantami dobrawszy za towarzysza nie wielkiego pieska znalezione na drodze. Zabraliśmy go do siebie na kwaterę uprosiwszy gubernatora by go nam zostawił.

W kilka dni przyjeżdża do nas sprawnik zwraca się do mnie i mówi:- Jak? wam z pismom Ewo Prewowschoditelstwa Julija Konstantinowicza i to mówiąc oddaje mi list przyjaciółki mojej Anety Bogatko siostry Fr. Bogatki razem z listem gubernatora w którym ten powiada: że z prawdziwą przyjemnością prośbę jej spełniając teje chwile po otrzymaniu list mi odsyła.

Łatwo pojąć uczucie z jakim tę pamięć serca przyjąłem jak nie mniej i zadowolenie że znaczny Arseniew nieomieszkiał mi w tem dać dowodu dobrych chęci co nie mogło zostać bez wpływu korzystnego dla mnie i kolegów tak w oczach sprawnika jak i władz miejscowych. Był to pierwszy promyk jasny w ołoneckim życiu.

Nadeszła jesień z nią posypały się listy ze wszystkich stron. Nie mówiły one całej prawdy ale z tego czego się można było domyśleć nie trudno było widzieć że los nasz o wiele był lepszym niżeli tych co w kraju pozostali. Jedyłą pociechą była wiadomość że żyli. Ależ jakież to było życie wśród rabunków samowoli zdzierstw wszelkiego rodzaju znęcań i upokorzeń tego już nikt chyba wypowiedzieć nie zdoła! Co było najpodlejszego w Rosyi wszystko to pociągnęło na wezwanie Murawjewa do Litwy dla zajęcia tam opróżnionych miejsc w urzędach po wygnaniu Polaków. Patrzyliśmy na to i słuchaliśmy jak oburzeni tem mieszkańcy widząc tę chałastwę zabierającą się do drogi robili swoje uwagi mówiąc: „Da razwie ich tam primut, wied' eto padlecy pijanicy kanalii izwiestnye maszenniki" *). (Czyliż ich tam przyjmą toż to łotry pijaki znani złodzieje)!...

Jesień była dziwnie pogodna i ciepła (1863 r.). To też wyjeżdżaliśmy często do lasu gromadnie by sobie przy roznieconem ognisku przypomnieć lepsze czasy. Herbata krupnik litewski do którego mieliśmy specjalistkę z Wilna to były jedyne napoje których pozwalaliśmy sobie i co nam niekiedy podtrzymywały wenę przy śpiewie i pogadance. Zrobiłem też w tym czasie kilka widoków z okolic i miasta.

Pod koniec jesieni przywieziono Tomasza Reuta obywatela z pod Połocka i wraz za nim hr. Michała Wesła, z pod Warszawy. Obaj ludzie poważni i zacni.

Niedługo potem przywieziono całą rodzinę Lubiczankowskich z Mińska litew. złożoną z ich dwojga i sześciorga drobnych dzieci. Już się były zaczęły chłody i śloty. Toż widok tej rodziny wiezionej na prostych tielegach skrzepłej od zimna i znękaney budził litość i współczucie nawet wpośród miejscowej ludności i eskortujących żandarmów.

Była to rodzina znajoma mnie od dawna. Stosunek mój z nim samym sięgał jeszcze akademickich wileńskich czasów kiedy w sprawie Konarskiego z innymi uwięziony, dwa lata pod Trubeckim wytrzymał męki piekielne aż go oswobodzili Kawelin i Nazimów których prawość i sprawiedliwość uratowała pół Litwy.

*) Gdy po latach trzech Potapów został wojen generał-gubernatorem Litwy porozpędział tę lichotę i kazał ich odstawić na miejsce zamieszkania czego dotąd Kątków i jego klika darować mu nie może.

Od przybycia tej rodziny zaczął się jakby nowy okres naszej wygnańczej egzystencji. Był to bowiem dom w całym znaczeniu słowa litewski gościnny serdeczny. Gospodarz jego jako człowiek i lekarz zostawił po sobie najpiękniejszą pamięć na Litwie*). Żona zaś jego była istnem uosobieniem poświęcenia miłości i pracy cichej a wytrwałej do heroizmu nieraz posuniętej dla rodziny i rodaków. Działwa ich zaś miła zdawała skupiać się w sobie to wszystko co było dobrem i pięknem w duszy jej rodziców. Dość powiedzieć, że nie upłynęło kilka tygodni potrzebnych dla urządzenia nowego gniazda wśród twardych warunków położenia a dom ten stał się dla nas wszystkich ogniskiem gdzieśmy zapomnieć nieraz mogli że nas tak wielka przestrzeń dzieliła od ojczyzny.

LVI.

Aby dać o ile to możebne wierny obraz stanu umysłów i położenia wygnańców w innych stronach północnej Rosyi owego czasu jak niemniej i tych miejscowości w jakich się znaleźli przytoczymy tu kilka wyjątków z listów wybitniejszych osobistości.

Oto co mi pisze śp. Jarosław Tabeński przedtem obywatel ziemski i pośrednik ludzkiego powiatu:

6 września 1863 r. Wierchoturya guber. Permska. Na los szczęścia posyłam to piśmko ponieważ nie wiem na pewno adresu jeśli trafem dojdzie rąk twoich, nie poleń się wzajemnością odpłacić i odpisz rychło, wszak korespondencya jest dopiero jedyną naszą rozrywką.

*) Umarł w 1880 r. w Ładiejnem-Polu ołonieckiej gubernii.

„Miejscem pobytu mojego obecnie jest powiatowe miasteczko Wierchoturya niezbyt dawno do tej gubernii dołączone choć rzeczywiście ta nędzna miejscina jest czysto Azyatycka położona za górami

Uralskimi stanowiącymi naturalną granicę Europy od Azji. Klimat jest tu zbyt srogi zwykle mrozy dochodzą 40 stopni.

Mam towarzyszków dopiero sześciu, a tymi są: Adolf Białokos nauczyciel muzyki z Białego Stoku, Adam Oziembłowski sekretarz mińskiej dumy Romuald Piotrowski, kasjer kolei żelaznej ze stacyi Zośle (w pow. trockim), Mieczysław Tukałło Marszałek Wilejski i dwóch księży, jeden z Królestwa był proboszcz Michał Fiszer a drugi kapelan gminny kowieńskiego Klemens Kajro. Słyszeliśmy że „sztat” do Wierchoturji jest przeznaczony na 16 oczekujemy więc jeszcze dziewięciu kolegów.

Nie można sobie wyobrazić tej nędzy jaką tu cierpimy pod każdym względem brak nam tu pokarmu dla duszy i dla ciała. Za wielkie pieniądze nic tutaj dostać nie można. Poczta przychodzi za ledwo raz w tydzień i to nie akuratnie, mówią że w zimie z racyi głębokich śniegów na czas jakiś zupełnie się przecina komunikacja ze światem. Listy przy najpomyślniejszych okolicznościach przychodzą z naszych stron nie prędzej jak przez miesiąc czasu. Żyjemy więc w niewiadomości dobrego i złego jak pierwsi rodzice w raju tylko z tą różnicą że nie tylko tu jabłek niewidzim lecz i o kartofle trudno. Dyeta zatem ścisła w całym znaczeniu tego słowa. Zato miliardy rozmaitych obrzydliwych i złośliwie gryzących owadów dokuczają nam we dnie i w nocy i nie ma sposobu obronić się od nich.

Droga do Wierchoturji (ciągnąca się od miasta gubernialnego około 700 wiorst) jest jedna tylko na Ekaterynburg. Na północ zaś wszelka komunikacja już jest przerwana, choć powiat ciągnie się jeszcze na mil kilkadziesiąt. Nikt z miejscowych urzędników tutaj urodzonych nie pochłubi się znajomością całego powiatu. Niektórzy czasem z obowiązku puszczają się konno przez kilku przewodników przeprowadzani po niedostępnych i błotnistych lasach bez drogi po słońcu i często ulegają kalectwu i śmierci nawet. Mówią że tam gdzieś dalej żyją dzikie koczujące narody, tak zwane Waguły i Ostjaki żyjące surowem mięsem i rybami którzy obowiązani wnosić za podatek skóry z sobolów i innych dzikich zwierząt od czego jednak oni z łatwością uchylają się przenosząc się ciągle z miejsca na miejsce. Urzędnicy więc zmuszeni są niekiedy robić obławy i polowania na nich lecz to ze wszech miar jest niebezpieczne i bywały przykłady że czasem zupełnie nie wracali i gdzie się podzieli nie wiadomo. Tak się stało lat kilka temu z całą partyą mierniczych posłanych dla zbadania i wymiaru granicy wierchoturskiego powiatu. Oto jest pobieżny szkic naszej rezydencji itd.

Listy Michała Hausmana z Totmy (guber. wołogodzkiej).

15 sierpnia..... Totma gdzie stale mieszkam jest to licha powiatowa miścina licząca dwa tysiące kilkaset mieszkańców i 14 cerkwi. Tu zsyłano dotąd za zbrodnie za fałszerstwa złodziei itp. Liczy się obecnie zastanych 60 osób, lecz ani jednej nie ma tu ze stron naszych albo z Polski. Z całej tej rzeczy znalazłem dwa tylko indywidua wykształcone pokutujące za ideje: student kazańskiego uniwersytetu, który napisawszy jakąś broszurę rozsiewał ją między kolegów i naczytel „permskiej seminarii” co rozpostrzeniał między młodzieżą jakiś rękopis Staroobradców przeciwny zasadom panującej wiary.

Przy takim sieroctwie pobyt mój w Totmie bardzo nie zazdrosny. Otóż rozpocząłem starania o przeniesienie mnie do Wołogdy. 1 Września.... Dziś przejeżdżał przez Totmę Pawłowicz z wileńskiego ptu młody i bardzo przystojny chłopiec. Powieźli go do Uściuga powiatowego miasta wołogodzkiej gubernii dalej na północ od Totmy o 260 wiorst. Wiozą go wprost z Moskwy gdzie uczęszczał na prawo i był na tym samym kursie co i mój syn. Mówił mi że aresztowano go w lipcu w samej Moskwie. Czy nie krewny twój panie Edwardzie? Wspominał o Kostkach jako o swych kuzynach. Ten Pawłowicz przywiózł mi z Wołogdy nadesłane przez żonę kilka książek i fotograficzny album. Jakże byłem rad znalazłszy w nim twoją fotografię zrobioną w Mińsku przez Del-pace. Pieszko musiał mi zrobić tę niespodziankę. Mam więc ciebie z sobą jeżeli nie żywego to choć w wizerunku.

Życie mnie tu kosztuje drogo mimo całą skromność wżywaniu. Płacę za obiad z dwóch nędznych potraw 12 rs. miesięcznie za kwaterę rs. 4 słuźde 5 rs. Dostałem tu służę żmudzina zesłanego na mieszkanie za to że rekruta zbiegłego przyznał za brata przez co zwolnił go od aresztu i dał mu możliwość ucieczki do Prus. Poczciwy żmudzin choruje na politykę i każdodziennie przynosi mi uzbierane z miasta nowiny kiedy zaś poczta nadejdzie i przywiezie gazety on co ich nie czyta bo po rusku czytać nie umie, wie wszystko co się w nich zawiera. Zdziwiam się często jego jeograficznymi wiadomościami, a wiadomość o stosunkach państw europejskich i ich serdeczności jednych z drugimi, tak mu nie obce że w istocie zastanawiam się z kąd w prostym człowieku nie umiejącym czytać taka wiadomość rzeczy.

O ile mieszkańcy Totmy leniwi i przeważnie pijacy o tyle wiejska ludność pracowita, ztąd byt jej dobry, ile że na utrzymanie zużywają mało bo żyją bardzo skromnie a zarabiają i zarabiać mogą bardzo wiele. Ziemia tu dobrze rodzi lasów mają ogrom wody też dużo. O żeby tu więcej inteligencji i pracy byłaby to kraina dziwnie bogata i piękna.

Ja tu także znalazłem sprawnika z wykształceniem i sercem w tym względzie i tylko w tym jednym położeniu nasze zeszyły się z sobą Oprócz sprawnika i dwóch jeszcze urzędników (Polaków) reszta cała wyszła z śród ludu do ludu podobna, zdziczała i najczęściej pijana.

Przez Totmę przewieziono niedawno sześciu znajomych moich osiedlonych w Wołogdzie do najbardziej odległych powiatowych miast gubernii. Między nimi był ks. Józef Burzyński od półtora roku osiedlony w Wołogdzie przywieziony z głośnych Maciejowic gdzie był plebanem. Zajmująca to osobistość. W ciągu pobytu swego w Wołogdzie (a był tam półtora roku) potrafił urządzić kaplicę mieszczącą z górą 200 osób, ze składek kupił dom gdzie urządził mieszkanie dla księży dla służby i część domu wypuszczał w arędę zjednął szacunek już nietylko katolików ale prawosławnych, pobudzał wszystkich do dobrych uczynków i był istotnym aniołem tych nieszczęśliwych co pędzeni w głąb gubernii zatrzymywani byli w turmie wołogodzkiej. Tych zwykle odwiedzał osobiście wzmacniał słowami pociechy udzielał wsparcia, przyodziewał. Sam nie znając dostatku obfitą rozsypywał jałmużnę i nigdy nie zabrakło mu środków bo ufał w dobroć ludzkiego serca które gdy umiejętna ręka doń kołaczę łącznie się roztwiera.

Przybyła do Totmy jedna familia Szczuków z okolicy Szczuki którą spalono w grodzieńskiej gubernii. Familia składa się z ojca matki i dwóch synków 13 i 16 lat. Osadzono ją na wsi o wiorst 40 od Totmy. Miło i boleśnie zarazem było zobaczyć tego poczciewego szaraka. Jakaż bo to typiczna postać tego Szczuki! Przez niego przeglądały wszystkie zaścianki nasze.

Bliskie musi być skończenie świata mówił do mnie. Nas spalono siedziby nasze 300 lat istniejące z ziemią zrównano, ale to mospanie fraszka kiedy i na sługi Boże targnięto się kiedy ich rozstrzeliwają a co okropniejsza poczepiają... księży przyczepiać to strasznie i szkaradnie !... itd. itd.

Stefan Kowerski z Pinegi (archangielska gub.) tak pisze: Bóg zapłać kochany kolego wygnania za twoje miłe pismo na które spieszę z odpowiedzią z pełną nadzieją, że owe pierwsze listy posłużą za preliminarza do dalszej korespondencji.

List kochanego pana nie obrażając jego skromności, w taki sposób napisany że musiałby być zawsze z przyjemnością czytany a cóż dopiero w dzisiejszych okolicznościach, i w takiej Pinedze!

Pinega z dawien - dawna była to sobie prosta wiosczyna, która się nazywała Wołok. Ukaz 1780 r. przekształcił ową wiosczynę w powiatowe miasto kazał nazywać je Pinegą. Zmurowano kaznaczejstwo wielkością i strukturą do psiej budy szlacheckiej podobne, przysłano urzędników mundurami i tytułami od tutejszych włościan różniących się, i poprzestano na tem.

Wymurowano cerkiew archangielsko - pinegskiej architektury która wygląda jakby kto trzy pudełka od cygar na sztorc jedno na drugich ustawił i u góry niewiedzieć czego (co jednak wieżyczki ma reprezentować), nakleił. Odtąd rząd poprzestał na inicjatywie mieszkańcy jej nie rozwijali samo przez się nic nie stanęło a wiele się rozwaliło - i tak do dziś dnia Pinega pozostała. I dziś tytuł i mundur tylko odróżnia dostojnika powiatu od reszty śmiertelników a nazwanie miasta od wioski i to dość nędznej.

Ja jako pierwszy szczep kolonii która się w przyszłości rozrosnąć tu miała potrafiłem wynaleźć dogodną czystą o trzech pokojach kwaterę w której z p. Bolcewiczem mieszkam. Inni dwaj koledzy mieszkają każdy z osobna a Popławski mocno się biedzi gdyż w ciupie którą obecnie zajmuje zimować niepodobna a lepszego mieszkania odszukać nie można. Wczoraj w nocy zwiastun zimy śnieg wysypał ulice i dachy dosyć rzęsiście. Mrozik pocisnął pomimowolnie więc przyszło mi zacząć od kąta w którym długo jak sądzę przebyć przyjdzie.

Oprócz naszych kolegów i Litwinów: dra Chodzki i leśniczego Aleksandrowicza od lat kilku tu mieszkających, nie znamy się (przynajmniej ja i p. Bolewicz) z nikim. Witamy się grzecznie na ulicy wprawdzie z ukosa na mnie spoglądają ale ja wolę to koszenie się i samotność nad nieznośne towarzystwo z którym w żaden sposób skwadrowaćbym się nie mógł.

W Pinedze zamiast ary z „Roberta dyabła” erotyczne wycia pijanych słyszeć się tylko dają a zamiast: — „Grace! grace!” częste błogosławieństwa matek chociaż w dalszym ciągu tej ary o ile ją przypominam, tu więcej prawdy... choć mniej głosu.

Urzednicy tutejsi prawie bez wyjatku w kucharki sie zaopatruja, bo tez i trudno inaczej. Z czasem zjawiaja sie malce i dziewczynki ktore oczyszczac garnki pomagaja nakoniec zwykle kucharka przedzierza sie w cerkwi w pania urzednikowa ktora juz potem sama wyszukiwaniem kucharek sie zajmuje uwalniajac meza od tej zmudnej roboty. To tez cale zenskie poglowie tutejsze z homeopatycznym wyjatkiem ejusdem generis.

Oprócz trzech nas przybył do Pinegi jak to już powiedziałem p. Bolewicz Włodzimierz z Wiłkomirskiego który żonę dwie drobniuchne córeczki i wcale donośny folwark, pod opieką sekwestru zostawił. Pojmany w Oniksztach w przeddzień bitwy Sierakowskiego przez generała Ganeckiego (20 kwietnia) w cytadeli wileńskiej i u Dominikanów do 5 lipca przesiedział.

Wówczas z 79 innymi wyprawiony koleją do stolicy a nakoniec etapem wiedziony ze stolicy do Archangielska brnął dwa miesiące. Bardzo zacny łatwy w pożyciu a co jeszcze rzecz nie mała raczył zająć się całą moją gospodarką a że się zna expedite na sztuce kulinarnej, karmi mię zawieszistym barszczem kołdunami i innymi specyałami. I ja com za własne i dość dobre pieniądze pół tygodnia bywał głodny a drugie pół na niestrawność chorował od jego przybycia prosperuję w najlepsze.

List śp. Kazimierza Paszkowskiego.

20 grudnia 1863 r. Kargopol. 1 stycznia 1864 r.

....Zaczynam tę gawędę z panem w pierwszej godzinie nowego roku witanego w tej chwili przez cały świat chrześcijański. My tylko zmuszeni jesteśmy patrzeć jeszcze na powolne konanie starego oszusta co tak okrutnie zawiódł nadzieje w nim pokładane i pośród łez krwi i jęku swych ofiar przechodzi do wieczności. Co następca przyniesie czy większe jeszcze bole? czy pociechę?... Witajmy go z nadzieją bo bez ni ej już i żyćby nie warto było.

Turma nas zbliżyła. Wspólne cierpienie łączy ludzi. Jakież braterstwo wyrobić się musi w narodzie którego cierpienia do męczeństwa posunięte!

Chcesz wiedzieć jak żyjemy. Kolega mój posyła kilka szczegółów. Wszystkie wygnańcze kolonie jakby się umówiły i stanęły w opozycji losowi które je na próżniactwo skazał i przyjęły za hasło pracę i kształcenie się ażeby nie marnować czasu a wróciwszy kiedyś do kraju stać się pożytecznymi jego obywatelami. Każdy z nas postanowił czegoś nauczyć się lub przypomnieć co się zapomniało. Tym sposobem unikamy nudy a co najwięcej czarnych myśli i upadku ducha. Wspieramy się wzajemnie i krzepimy ducha cnotami ewangelicznymi.

Niektórzy nie przyzwyczajeni do pracy umysłowej lub potrzebujący zapracować na chleb powszedni, wzięli się do pracy mechanicznej a młodzi uczą się rzemiosł. Utrzymujemy stałą korespondencję z niektórymi koloniami, jak z Wierchoturą gdzie jest marszałek Tukałło z Pinegą gdzie jest Kowerski z Kiriłowem (nowogrodzkiej gubernii) gdzie jest panna Plater i uważam że. wszędzie mniej więcej podobnie się urządzili.

Ze wszystkich miasteczek ołonieckiej gubernii nasze najdogodniejsze pod względem materialnym. Mieszkania wcale nie złe i nie drogie. Mamy np. we trzech 6 pokoi z kuchnią i opałem za 7 rs. na miesiąc. Materyały żywności można mieć także niezbyt drogo. Poczta dwa razy w tygodniu 7go dnia z Wilna a 5go z Petersburga przychodzi. Mamy gazety i dzienniki: Ind ependance Belge Gazetę Polską Kurjera Wileńsk. Gołos Przegląd katolicki i Przegląd europejski. Od nowego roku zamiast Ind ependance Belge zaabonowaliśmy L'Europe dziennik frankfurtski. Jestto organ austriacki ale dotąd sympatyczniejszy był jak belgijska gazeta.

Listy z Wilna od rodziny i przyjaciół co pocztę najregularniej odbieram. Każdy smutne i bolesne przynosi wiadomości. Już nie my pozostałym braciom w kraju zazdrościć ale oni nam powinni.

Dotąd zazdrościmy jednemu Ołońcowi który dwa domy familijne posiada. Brak towarzystwa kobiecego bardzo dotkliwie czuć się daje. Prócz wygnańców jest tu kilku Polaków służących między nimi dwóch lekarzy Wołodźko i Sielicki. Ich tylko znamy nigdzie nie bywamy siedzimy po swych norach i tylko siebie wzajem odwiedzamy. Raz przynajmniej w tygodniu zbieramy się dla pogadanki i rozrywki od ciągłych zajęć. Policja tu grzeczna i żadnej od niej przykrości nie mamy. Jest tu jeszcze jeden wygnaniec Moskał student moskiewskiego uniwersytetu Praotcew. Widujemy go czasem. Jakaż różnica

między nami! My z rezygnacją i spokojem patrzymy w przyszłość on biedak upadł na duchu bo widzi że nawet swoi go nie pojęli współczucia znikąd nie ma itd.

Wiosna „brzemienna w światodziejowe wypadki”, jak mówi nasz sędziwy M. Malinowski jak się jej uda porodzić i co? Patrzym z góry (62° pół. wys.) jak się smaży kartofle jak się gotują makarony jak fermentuje się węgrzyn czy przy tym ogniu uda się upiec pieczeń... Bóg to jeden wiedzieć raczy. Mnie się zdaje że do upieczenia tej pieczeni trzeba wielkiego ognia...”.

Takie to i tym podobne były losy zesłanych administracyjnie do północnej Rosji. Zależało tu wszystko od gubernatorów a następnie od sprawników jako władzy najbliższej. To też jeżeli w wielu miejscowościach życie było znośne nie brakło takich gdzie upokorzenia i wszelkiego rodzaju szykany zatruwały gorzki chleb wygnańczy nie kładąc w rachubę niedostatku tych co pozbawieni zasiłków z kraju a zaś prawa zarobkowania na wygnaniu zmuszeni byli żyć z 6ciu rs. wypłacanych przez rząd jeżeli szlachtą byli, gdyż nie szlachcie dawano tylko 3 rs.

LVII.

Gdy się tak ciężko wlecze życie wygnańcom na obczyźnie obaczmyż co się działo wtymczasem w lasach litewskich gdzie garstka rozbitków zgniecionego powstania tropiona przez Murawjewskich siepaczy pędzi żywot wobec którego błędną powieści Coopera o dzikich ludach Ameryki.

Komu znana „Lituania” Grotgera gdzie sztuka i uczucie dostrojone do najwyższej nóty podały sobie ręce niech do szeregu obrazów jakie ten genialny i serdeczny artysta przedstawił dołoży jeszcze jeden którego treść w słabym zarysie chciałbym tu podać.

Rozpieszczone dzieci losu i wy wszyscy co zanurzeni w rozkoszach miękkiego życia z uśmiechem politowania słuchacie o poświęceniach dla idei przerzucicie te kartki nie dla was one.

Zima. Śród moczarów głębokiej puszczy przytuleni do pnia starej jodły siedzą dwaj młodzi ludzie uzbrojeni burką okryci. Jeden z nich z pochyloną głową, głębokim snem zasypia drugi czuwa. Migotny blask dopalającej się u stóp ich głów ni od czasu do czasu przez tumany śniegu i dymu którymi wiatr miota rzuca przelotne światło na ich twarze wychudłe na ich ubiór zmięty, wyszarzały. Dokoła cisza noc nadedniem.

Któż są ci ludzie co się tak kryją przed ludźmi? — co z dzikimi zwierzętami dzielą się łóżem? Kto oni? zapytasz. Może to złoczyńcy zbrojcy co się targnęli na cudzą własność na życie cudze! a teraz kryją się przed surowością prawa.

To „zabitej matki dzieci”! to ci dla których poświęcenie celem życia a wiara życiem to młodzież litewska co na dane hasło porwała za broń by walczyć za ojczyznę! a teraz unosi głowę przed zemstą wroga. To rozbitki oddziału ks. Mackiewicza. Jeden z nich potomek szlacheckiego rodu student drugi chłop.

A któż ten ks. Mackiewicz? spyta mię kto może. Oto krótki ale treściwy jego życiorys: Ks. Antoni Mackiewicz urodził się w okolicach Cytowian. Syn ubogich rodziców od najmłodszych lat musiał liczyć tylko na własne siły. Dwunastoletnim chłopakiem dostał się pieszo do Wilna, tam posługując zakonnikom w klasztorze dostawał od nich strawę, mieszkanie i utrzymując się w ten sposób chodził do szkół przez lat sześć. Wyrósłszy na młodzieńca zapragnął nauki wyższej i znowu pieszo powędrował do Kijowa gdzie przez dwa lata przy pomocy kolegów zostawał jako wolny słuchacz uniwersytetu. Tam mu otwartą się oczy na obowiązki człowieka obywatela. W 1846 r. wstąpił do seminarium duchownego w Worniach, a w 1850 został księdzem. Religijny dobroczynny kochający szczerze lud wiejski pozyskał wielki wpływ nad nim*). Wypadki 1863 r. zastały go w Podbrzeziu filii *) Dr. Jan Stella Sawicki w swoich pamiętnikach opowiadając o wrażeniu jakie na nim zrobił ks. Mackiewicz jako kaznodzieja, w kościele Św. Anny w Wilnie tak o nim mówi: „Gdy wchodził do kościoła skończyły się nieszpory a na kazalnicę wstąpił kapłan średniego wzrostu o wyrazie twarzy łagodnym i sympatycznym. Nic lubując się w kazaniach dogmatycznych, chciałem wyjść z kościoła gdy kapłan przeżegnał się i zaczął parafii krokinowskiej. Skoro więc dał hasło do powstania, wnet w lasach krokinowskich zebrało się dokoła niego, przeszło 500 włościan ze strzelbami. Jego bohaterska wytrwałość jego energia jego czystość charakteru jako kapłana wzbudzała szacunek nawet wśród Moskali. Jeden z powstańców tak opisuje ks. Mackiewicza i jego obóz: „Twarz opalona wydatne rysy

długa ciemna broda gęste brwi pomarszczone czoło" nadawały jego fizygnomii surowy pełen energii i siły wyraz który zniewalał do głębokiego szacunku. W obozie „żadnych wozów żadnych bagaży, na noszach tylko dźwigano kilka pak napelnionych jak później dowiedziałem się prochem i kulami". Powstańcy zachowywali głębokie milczenie co dziwiło koroniarza przyzwyczajonego do wesołej hałaśliwości obozów w Kongresówce. „Wiesz co cię czeka tu? mówił ks. Mackiewicz do przybyłego ochotnika. Będiesz codziennie głodny sypiać będziesz na twardej ziemi częściej wypadnie ci chodzić boso niż w obuwiu, jeżeli zostaniesz raniony wpadniesz w ręce moskiewskie jeżeli stchórzysz własny naczelnik cię zastrzeli". Wy koroniarze mówił dalej zdolni jesteście do wielkiego poświęcenia i ogromnego zapatu ale brak wam wytrwałości, zapominacie że Moskwy nie można złamać w kilku miesiącach zapominacie że jest to walka olbrzymów w której musi zginąć całe nasze pokolenie, mówić. Jego melodyjny głos mowa piękna obrazowa poetyczna i natchniona powstrzymała wszystkich chcących zrobić to samo co ja zamierzałem. Staliśmy zdumieni wzruszeni i zawieszeni na ustach mówiącego. Tematem była cześć dla cieni zmarłych gdyż był to dzień zaduszny. Tak pięknej mowy takich szczytnych myśli i przejęcia się posłannictwem swoim jeszcze nie słyszałem ani razu w życiu. Mówiący w miarę rozwoju cudownie pięknych obrazów naszej historycznej przeszłości i dawnych cnót domowych rósł w oczach naszych. Jego oblicze piękniało i pociągało, z oczu jego tryskało przekonanie a z ust lały się spokojnie i krasomowcze słowa miłości dla przodków i holu z powodu zraty tych skarbów ducha naszego. Kto to taki? ze wszech stron pytano. Był to ks. Antoni Mackiewicz".

...by wykupić błędy ojców i zdobyć prawo istnienia dla przyszłych pokoleń. Dlatego to pytam jeszcze raz, czyś gotów na walkę wiedząc że w niej zginiesz"?

Istotnie Mackiewicz ani sam siebie ani innych nie łudził, „wziąwszy się za broń powiadał: musimy z nią umrzeć!"

Ale wróćmy do naszych rozbitków. Już dzień zaczyna. Czuć to po wzmagającym się mrozie i rozjaśnionem niebie. Ogień dogasa bo już go nikt nie podsyca w obawie aby dym nie wydał schronienia. Chłód i senność wabią w zdradliwe objęcia znużony organizm czuwającego rozbitka. Tentacyja straszna!... Więc by się jej nie poddać odmawia pacierz otula śpiącego i słucha... A dokoła głucho i cicho bo już i wiatr upadł i śnieg ustał. Gdy nagle zerwał się wytyczył ucho tak, to głos puszczyka rozległ się w głębi boru słucha, raz dwa trzy, tak to hałas!

Paniczu! wstawaj rzecz pochyliwszy się nad śpiącym wstawaj! ktoś idzie.

I oto po chwili poruszyły się i rozsunęły gałęzie, strzęsły się płachty śniegu i z gęszczaru ciemnych jodeł, wyszło dwóch ludzi osypanych szronem. Józefie! Kazimierzu! Janku! zmieszły się na raz trzy ciche wykrzyknienia radości razem z uściskiem trzech rozbitków. O bo spotkali się tu ci co już stracili nadzieję spotkania się kiedykolwiek a byli to bracia przyjaciele. Więc z kąd ? co i jak ? posypały się pytania na przemian. A no widzicie pocziwy wasz Marcinek rzecz przychodzić ściskając rękę swego przewodnika chłopca, doprowadził mnie szczęśliwie do was niech mu Bóg to nagrodi. Ale gdzieś był co się z tobą działo? od owej chwili gdyśmy się rozbiegli opowiedz nam rzecz z nich jeden gdy się uspokoili nieco i zasiedli około ogniska. Gdzieś był? pytaj raczej gdzieś nie był? Ale to na potem powiem tylko jedno: wracam z Kowna uciekłem z więzienia !...

A teraz posłuchajcie: Nie ma już naszego Mackiewicza! nie ujrzą go już nasze oczy! Tu zamilkł a po chwili tak dalej mówi: Ot jak było kiedy po ostatnim rozbiciu z którego, ośmiu już nas tylko zostało dalsza walka nie miała celu, gdy już tylko na straty i klęski nas narażała postanowiono jak wiecie rozejść się unosić głowę gdzie kto może i przemknąć granicę. Zawiadomiona śnać o tem Moskwa wytyczyła wszelkie siły by nas pojmać a szczególnie Mackiewicza. Dzień i noc bez wytchnienia tropili nas po lasach i wioskach a zawsze napróżno. Doprowadziło to ich do ostatniej wściekłości. A tymczasem my przy pomocy chłopów przebiegając z kniei do kniei tuląc się nieraz w chatkach dla wypoczynku po nocach dotarliśmy w nadniemeńskie okolice nieopodal Niewiaży gdzie już nas tylko kilka wiorst oddzielało od granicy. Już tylko ostatnią noc trzeba nam było przepędzić na brzegu litewskim skąd nad rankiem mieliśmy się przeprawić za Niemen. Ach serce mi się krwawi na to wspomnienie! Zmęczeni kilkudniową pogonią radzi ciepłej izbie w chacie leśnika układaliśmy się do snu. Jeden z nas jak zwykle czuwał palił się świeca. Trzebaż nieszczęścia przechodził tamtędy oddział

Moskali i dostrzegł w okienku światło a gdy jeden z żołnierzy chcąc zapalić fajkę zapukał do drzwi ktoś zgasił świecę. To zwróciło uwagę. Zatrzymali się zakomenderowano otoczyć chatę. Ale nim się to stało Mackiewicz wymknął się i uciekł w las. Moskale wpadają do izby trzęsą szukają aresztują nas i nie znalazłszy kogo szukali, pędzą dalej. A tymczasem dzień już zaczyna. Tak pędząc rozsypani jak psy gończe po lesie dostrzegli świeże ślady krwi na śniegu i ślady butów nie chłopskich. Więc nuż dalej gonić aż na koniec dopadli do miejsca, gdzie on tuż ponad Niemnem wybiwszy się z ostatnich sił, raniony w nogę odpoczywał w oczekiwaniu przewoźnika. Wściekli rozjuszeni postrzegłszy uzbrojonego powstańca zamordowaliby go niezawodnie na miejscu nie wiedząc kogo mieli przed sobą. Ale on w tej chwili gdy się nań rzucają powstaje i zawoła: jestem Mackiewicz !... Jak gromem rażeni odskoczyli otoczyli go w niemym podziwieniu i aż dopiero gdy dowodzący oficer podszedł by mu powiedzieć że jest jego jeńcem i że już wszelka obrona daremna zbliżyli się by go związać...

Toż to była radość Moskali! Z tryumfem obwozili go po wsiach i ulicach Kowna chcąc pokazać ludowi bezpożyteczność oporu. Wszystkie gazety przepełnione były szczegółami ujęcia tego najstraszniejszego dla Moskwy na Litwie wroga. Chlubiąc się ze zwycięstwa przyznawali mu niesłychane męstwo dzielność i moc ducha godne rzymskich czasów. To też i dotrwał w nim aż do końca. Uwzięni w tych samych murach wiedzieliśmy o wszystkich szczegółach jego indagacji. Podtrzymało to z nas nie jednego. Gdy już został osądzony na śmierć obiecywano mu życie jeżeli wyda członków organizacji. Ale nasz żmudzi bohater odpowiedział na to swoim oprawcom.

Skończyłem moje wyznanie teraz swoje...

26 grudnia zginął na szubienicy.

Tak mówił przybyły a gdy skończył pochylili się czoła rozbitków i cicha modlitwa za duszę wodza uleciała ku niebu. I stanęła im przed oczyma długa ciernista droga tułactwa i ujrzeni po nad Litwą to samo złowrogie straszne widmo które jako prolog krwawego dramatu otwiera szereg obrazów Lituanii Grotgera... Mamże dodać co więcej aby ukazać tego dramatu epilog!?

LVIII.

W pierwszych dniach listopada zaszedł ważny wypadek w życiu mieszkańców Ołońca. Przyjechał gubernator. Wiadomość o tem zelektryzowała wszystkich przeważnie urzędników których miał właśnie zrobić urzędowy przegląd czynności. Zjawienie się takiej figury na partykularzu jakiegokolwiek prowincji nie przechodzi bez wrażenia cóż dopiero w tak głuchej i zapadłej stronie jaką był Ołonec. To też wszystko literalnie zerwało się na nogi. Co do nas po tem czegośmy już byli doznali dzięki jego wyrozumiałości i dobroci należało mu się od nas złożenie dowodu uszanowania. Oświadczyliśmy zatem sprawnikowi że mamy zamiar jeżeli na to pozwoli powitać go. Jechał z żoną do Petersburga a więc ta okoliczność tem bardziej nakazywała zachować wszelkie w tym względzie warunki formalności i etykiety.

Otrzymał odpowiedź że nas chętnie przyjmie. A więc na umówioną godzinę wybraliśmy się w sześciu dr. Serafinowicz Br. Ludkiewicz dr. Lubiczankowski nr. Wessel Kibort i ja. Wielkie było zdziwienie miejscowej rzeszy co nas z widzenia tylko znała gdy zaledwośmy weszli wnet nas zaproszono do salonu tuż obok audyencyjnej sali w której zebrane różne stany oczekiwały wyjścia Jewo prewoschoditielstwa. Przyjęcie było uprzejme. Przedstawieni p. gubernatorowej, spotkaliśmy w niej niepospolite wykształcenie które podnosił jeszcze bardziej wdzięk mający źródło w bogatych zasobach szlacheckiego jej serca. Mówiła chętnie po francuzku, tym pięknym językiem który się w wyższych sferach rosyjskich przechował. Oboje rozpytywali się troskliwie o nasze powodzenie zajęcia. Do mnie zaś zwróciwszy mowę ubolewali że jako artyście nadarzyła mi się na mieszkanie okolica uboga w piękne położenie i widoki. Na co rzekłem:

Jakkolwiek los to nie zazdrośny co mię tu zagnał ma jednak tę dobrą stronę że mi wykształcił wzrok ducha który sięgać może daleko po za granice Ołońca. A tego już mi i p. Ryndin*) zapewne za złe wziąć nie zechce dodałem z uśmiechem zwracając mowę do gubernatora który na to odpowiedział po rusku.*) Ryndin sprawnik ołoniecki.

Ja też mam nadzieję że on tu panom ciężyc nie będzie, sądzę nawet że stosunek z jego domem będzie dla obu stron pożądanym. Na tem się zakończyła owa recepcja która przyznać trzeba dobre na nas zrobiła wrażenie. Przy pożegnaniu oświadczył gubernator, że spodziewa się spotkać nas jeszcze. Jakoż nad wieczorem przyjechał sprawnik z inwitacją na wieczór do siebie mówiąc że tym razem, prosi nie tylko w imieniu swoim i swej żony lecz i na żądanie obojga gubernatorstwa. Tak więc chociaż z zasady nie bywaliśmy na zabawach i tłumnych zebraniach obcego nam towarzystwa tym razem jednak wypadało zrobić wyjątek i o 8-mej godzinie wieczorem znaleźliśmy się wszyscy w mieszkaniu pp. Ryndinów. Skoro przybyli ich excellencye i powitani przez tłum słuźalczy czynowników i kupców zajęli miejsce w głównym salonie rzecz prosta że stali się wnet celem obserwacji całego zgromadzenia i jakby jego centrem w około którego uprzejmość gospodarstwa starała się zebrać wszystko co się najwięcej kwalifikowało do towarzystwa tak dostojnych gości. Nie wiem czemu przypisać ale pierwsze miejsce u wielkiego ołtarza nam się dostało. Dziś gdy to piszę po latach dwudziestu jakże mi żywo staje przed oczyma ta scena w której rozbitki bez jutra spotkaliśmy tyle współczucia śród ludzi co nas zaledwie z imienia znali śród ludzi którzy zajmując wysokie stanowiska w hierarchii rządowej nie bali się to współczucie okazać wtenczas gdy prześladowanie i tępienie wszystkiego co polskie gdzie indziej policzone było za zasługę i patriotyzm!... Niechże tych słów kilka jako hołd wdzięczności złożony pamięci zacnego człowieka*) będą dowodem że Polacy umieją cenić i czuć wszystko co szlachetne i wzniosłe i poszanowania godne.

*) Juliusz Konstantynowicz Arseniew przeniósł się. w 1867 roku na gubernatorstwo do Tuły i tam umarł.

Po zwykłych preliminaryach przyjęcia gdy śród rozmowy gospodyni nadmieniła żem jako artysta wiele podróżował potoczyła się konwersacya na szerokie pole sztuk pięknych którym się oddawała pani Arseniew jak niemniej i podróży które dla niej wielu miłych wspomnień były źródłem.... I gdy tak w najlepsze jedna strona bujała po kwiecistych obszarach ideału z drugićj Ludkiewicz świeżo wrócony z Orenburga opowiadał gubernatorowi ciekawe epizody z życia Kokańców i dzieje orderu św. Jerzego który otrzymał za waleczność przy szturmie ich twierdzy. Jednem słowem aromat herbaty i otoczenie podnosząc działanie nerwów tak dobrze nastroiły całe towarzystwo że ku zadowoleniu wszystkich swobodna i ożywiona pogadanka nieznacznie zbliżyła ludzi obcych sobie dotąd i położeniem i narodowością.

Gdy więc tak przy herbacie toczy się rozmowa muskając z jednej strony lekkim skrzydłem po kwiatach krainy piękna z drugiej potrącając kwestye wojskowe i polityczne dzikich ludów Azji ozwał się w przyległym pokoju fortepian. Poznałem grę Broni i Józi dzieci pp. Lubiczankowskich, a moich faworytek. Grały na cztery ręce uwerturę z Oberona, Zampy Halki Potpouri z Hugenotów. Po każdej sztuce sypały się oklaski gubernatorstwo byli oczarowani, otoczono fortepian i dwie małe wirtouzki z których jedna 10 druga 9 lat zaledwie miały.

I zaprawdę było co podziwiać nie zdarzyło mi się dotąd w dzieciach tak drobnych napotkać równie rozwiniętych muzycznych zdolności. Ależ to niesłychane talenta u tych dzieci rzecz mi pani Arseniew. I to wszystko miły Boże musi tu zmarnieć, dodała ciszej. Biedne dzieci!... Biedni rodzice! dorzuciłem.

I rzeczywiście widok tych drobnych i wątłych latorośli, wyrwanych z rodzinnej ziemi rzuconych na pastwę złych losów a których przed chwilą drobne paluszki uderzając w klawisze potrąciły strony w niejednej duszy nie mógł nie wywołać współczucia. Po pewnym więc czasie gdy już muzyka ustała i towarzystwo podzieliło się na grupy zwraca się ku mnie pan Arseniew i wzięwszy na stronę rzecz:

Przed chwilą pod wrażeniem muzyki tych dzieci mówiłem z moją żoną o ich losie i przyszła nam myśl, którą panu chcę zakomunikować. Jeżeli ją znajdziesz wykonalną prosiłbym abyś nam dopomógł ją urzeczywistnić. Może dziwną się wyda ale jestem wrażliwy i co czuję wypowiedzieć muszę. Otóż patrząc na te dzieci które tu zły los rzucił w czasie gdy ich wychowanie wymaga tyle warunków staje mi przed oczy ich smutne położenie w Ołońcu gdzie o podobnych warunkach i mowy być nie może. Wiem że rodzice mają ich kilkoro nam zaś odmówił Bóg dotąd tej pociechy. Racz więc pan zaproponować w imieniu naszym czyby się nie zgodzili powierzyć nam tych dwoje na czas ich tutaj pobytu. Nie mając własnych wzięlibyśmy je aby wychować i kochać jak własne. Co pan o tem sądzisz?

Nie przypominam sobie co mu odpowiedziałem na to ale to pamiętam że wzruszony do głębi i wciąż przejęty uściśnięciem dłoni zacnego Rosjanina myśląc w duchu. Cemu to nam Eosya podobnych ludzi nie przysyła. Cemu? odpowiedź nie trudna. Ludzie tej miary otoczeni w swej ojczyźnie zasłużonym szacunkiem nie nadają się do systemu którego zadaniem, gwałcenie przyrodzonych praw człowieka znęcanie się nad duchem powalonego narodu asymilacja. Tacy ludzie tam nie pójdą. Idą tam inni. Idą ci co w mętnej wodzie szukając połowu gotowi na wszystko.... Oni to wyrzuci ze czci i sumienia oszukując władzę we własnym interesie który patriotyzmem być mienią nie dopuszczają zbliżenia i na hańbę ludzkości stali się katami pokrewnego narodu oni to wykopali przepaść dzielącą dwa sławiańskie szczepy!

Gdy tę propozycję zakomunikował pp. Lubiczankowski stało się co było do przewidzenia: rozstanie z dziećmi i to jeszcze z takimi dziećmi było niemożliwym. Niemniej jednak nie obeszło się bez rzewnej sceny w której z jednej strony żywa wdzięczność z drugiej szlachetne współczucie utwierdziły wiarę że bądź co bądź są dusze wybrane, dla których polityka i narodowość pod wszelkimi szerokościami świata nie zdolne postawić granicy....

Przed wyjazdem gubernatora wezwano mnie jeszcze do niego.

Mam pana zawiadomić rzecze że dzisiejsza poczta przywiozła coś takiego co obchodzić może pana. Jewo świetłost' książę Suworów pisze bardzo gorąco za panem prosząc, abym go załokował na mieszkanie w Petrozawodzku. A więc jeżeli chcesz tego to dzisiaj dałoby się zrobić przy tak wysokiej protekcji.

Spadło to na mnie niespodzianie. Chwila jednak rozważań podała mi odpowiedź w której podziękowawszy za ten nowy dowód życzliwości prosiłem by mi pozwolił zostać przez zimę w Ołońcu gdzie w ciepłym kółku świeżo zawiązanych stosunków czułem się dość dobrze i radbym w nim wypocząć. Z wiosną zaś jeżeli pozwoli odwołałbym się może do jego łaskawej propozycji. Tak więc obietnica ks. Suworowa zrobiona w Pieresylotschnoj turmie nie była płonną. Nie sądzonem mi było jednak korzystać z tej jego protekcji ani tym razem ani też później.

LIX.

Wkrótce po wyjeździe gubernatora rozszerzyło się nasze kółko. Przywieziono Hieronima Kuczalskiego z Podolskiego Pobereża. Zjawienie się jego zrobiło pewne wrażenie przyjechał bowiem własnym powozem ze strzelcem i psem legawym, en vrai gentilhomme de la Podolie. Zaimponowało to mieszkańcom Ołońca którzy dotąd jedynie tylko karetę gubernatora widzieli. Człowiek to był dobrego towarzystwa, gładki i wykształcony typowy, w rodzaju tych o których Pol wspomina w pieśni: „O ziemi naszej” mówiąc o Podolu. Za nim wraz przywieziono ks. Wąsowskiego z Podlasia, (z Kocka). Młody jeszcze wątły nerwowy nosił już w sobie zaród choroby piersiowej co go w lat kilka po przeniesieniu się z Powieńca (gdzie został internowany za odprawianie Mszy Św.) do Jekaterynosławia zabiła.

Za tym przywieziono niejaką pannę czy panią Malwinę ujętą w lesie po rozbiciu partii w okolicach Mławy która się powiadała być poślubioną dowódcy tej partii a do czego powodował ją stan błogostawiony w jakim do Ołońca przybyła. O ile w tem było prawdy nie wiem, to tylko pewna że cała jej postać przypominała subretkę. Nadjechała też i p. Raczkowska ze Żmudzi z kilkorgiem dzieci. Następnie przywieziono z Królestwa z nad granicy Galicyi Szczęśnowicza urzędnika straży celnej. Tak więc w niespełna kilka tygodni liczba wygnańców podwoiła się prawie. Inny też i nastał pogląd mieszkańców na Polaków zesłanych od czasu wizyty gubernatora. Dotąd bowiem byli tu zsyłani tylko najniższej warstwy ludzie, za kradzież i oszustwa. Zdarzało się nawet że podobni towarzysze losu przychodzili „posnakomyt sia z nami”. Teraz zmieniała się postać rzeczy. Ubiegano się o posiadanie nas w najzamożniejszych domach miasta uciekano się do naszej protekcji. A tymczasem nadeszła zima. Odezwanie się Napoleona o Polsce 5 grudnia przy otwarciu ciała prawodawczego odbiło się w duszy naszej jak echo pogrzebowego dzwonu bośmy poczuli że to było ostatnie słowo bieżącej polityki w naszej sprawie zepchnięto ją ze stołu gabinetów. Złamanie traktatów znalazło rzekomą obronę w świeżo wprowadzonym systemie, nie mieszania się do spraw wewnętrznych państwa. Odtąd siła przed prawem miała zastąpić traktaty.

A jednak trzeba było żyć i przyszłość życia zapewnić wbrew woli co nas na zatracenie skazała. Zebrała się spora gromadka dzieci bądź wygnańców, bądź miejscowych które były w wieku stosownym dla nauki. Była więc to niwa która wymagała uprawy i której nie godziło się zaniedbać. Więc nie długo czekając obliczywszy się z siłami wzięliśmy się do roboty. I oto ksiądz Mościcki ks. Wąsowski Wessel Kibort Ludkiewicz i ja rozebraliśmy między siebie przedmioty nauk i sporządziwszy rozkład godzin otworzyliśmy pewnego dnia w Imię Boże, szkołę. Pamiętny to był dzień bo był początkiem niejednej pociechy niejednej radości którą w tej pracy spotkaliśmy z czasem.

Miało to jeszcze i tę dobrą w naszym położeniu stronę że dawało nam że tak powiem moralną podporę w codziennym życiu dając przekonanie że to życie nie było jałowem. Każdy z nas wiedział od rana że pewne godziny miał przeznaczone dla lekcji że tam zebrana dziatwa czekała i że to był obowiązek święty by nie czekała na próżno. I trzeba też powiedzieć że od początku do końca, prosperowała szkoła w najlepsze dzieci się pilnie uczyły, rozwijały jakby lepiej być nie mogło wśród najlepszej pensyi. Starsi też w pewnych dniach tygodnia zbierali się dla odczytów i pogadanki przeplatanych muzyką i śpiewem. Zwykle zaś dnie i wieczory zabierała lektura i studia wspomniane wyżej. A tymczasem mrozy z dniem każdym przypominały coraz dotkliwiej żeśmy mieszkali pod 68° szerokości północnej. Nareszcie nadeszły święta pierwsze święta na wygnaniu! Wiliję spędziliśmy w gościnnym domu pp. Bobrowskich, gdzie w sam czas przy opłatku nadeszły listy z kraju i od kolegów z innych miejscowości. Łamaliśmy więc opłatek z obecnymi i nieobecnymi. Nazajutrz zaś w moim pokoju, przy zaimprovizowanym ołtarzu którego kamień z relikwiami mnie powierzono odprawiła się Msza św. Stało się to w największej tajemnicy gdyż to było najsurowiej nam wzbronione. To też tajemniczość ta przywołując na pamięć katakumby pierwszych chrześcijan potęgowała niewymownie wrażenie tej cichej ofiary.

Po Nowym roku podczas 30-stopniowego mrozu przywieziono staruszkę śp. Żochowską z Warszawy (wdowę po profesorze skazanym do aresztanckich rot na Sybir gdzie umarł pod pałkami za przemówienie do ludu w katedrze św. Jana u pomnika St. Małachowskiego w 1846 r.). Przywieziono ją z córką schorzałą do Ołońca syna zaś jej zesłano gdzieś za Ural jako malkontenta!*) Umieściliśmy ją u siebie zanim znalazło się stosowne mieszkanie. Zaledwieśmy je odchuchali.... Był to czas t. z. „Kreszczeńskich marozow" w którym poznaliśmy co to jest północna zima. A była to zima wyjątkowa bo mroźna burzliwa i śnieżna. Po całych dniach i nocach szalały wichry wyjąc i zasypując śnieżną zamiecią ulice i domy. Rzeki mosty parkany płoty, wszystko się wyrównało i pokryło jedną białą oponą. Dnie cało od rana do nocy pracowała ludność nad wydobyciem się z pod śniegów rozkopywaniem ulic i chodników które się w korytarze a nie rzadko w tunele zmieniały. Treugolnik (trójkąt) pracował dzień i noc uprzątając ze śniegu gościńce dla poczty. Mieszkania jednak były dość ciepłe dzięki praktycznemu budowaniu domów. Nie jest tam bowiem we zwyczaju obciosywanie wewnątrz i zewnątrz ścian domu. Przeciwnie oczyszczone tylko z kory kładą drzewo w wyżłobienia grubo wystane mchem co daje mu trwałość i przyczynia się do ciepła gdy zaś taką ścianę oszaluje się na zewnątrz szczelnie deskami a wewnątrz obciągnie się obiciem (szpalerami) to nie rzadko jednorazowe palenie w piecu wystarcza na ogrzanie pokoju, przyznać też trzeba że takie domy drewniane o wiele więcej mają wartości pod względem higienicznych warunków niż murowane na wilgotnym gruncie.

*) Po roku odjechała na Syberyę. gdzie odszukała syna i nim umarła.

Dodać jeszcze do tego piece szwedzkie kaflowe i które długo konserwują ciepło i przy nich leżanki ogrzewane luftami jak nie mniej łaźnie które każdy dom posiada. Utrzymanie zwykłe kosztowało nas nie drogo. Po obliczeniu miesięcznym mieszkania stołu opału oprania światła i posługi licząc w to sprowadzenie jarzyn i innych wiktuałów z Petersburga nie przechodziło 15 rs. od osoby. A jednak żyliśmy przyzwoicie i wygodnie nawet od czasu do czasu dawaliśmy herbatki w umówione wieczory.

LX.

W połowie zimy zjawił się gość niezwykle rzadki pożądanym, przyjechał w charakterze urzędowym ksiądz w objeździe parafii na którą się składały gubernie: archangielska wołogodzka i ołonecka. Urządzono kaplicę i rozpoczęło się publiczne nabożeństwo i spowiedź. Trwało to więcej tygodnia.

Można sobie wyobrazić z jakim usposobieniem przyjęła i powitała tę niespodziankę wygnańcza kolonia, ale czego już niepodobna chyba wypowiedzieć to tego wzruszenia jakie zawładło wszystkimi gdy wśród nabożeństwa wśród podniesionego do najwyższej skali zbolątego ducha rozległ się śpiew: Święty Boże święty mocny Święty nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!...

O kto to słyszał i widział ten niezawodnie zrozumiał potęgę wiary co jedna tylko dać zdolna pociechę i spokój „jakiego świat dać nie może”. Dla mnie to szczególnie przyszło w porę bo na krótko przed bolesną stratą co mię dotknąć miała. Umarł mój kochany Franciszek Bogatko w Tambowie na wygnaniu a wraz zatem nadeszła wiadomość o śmierci mojej przyjaciółki Maryi Mierzejewskiej w Mińsku!

Tyle przebytych kolei tyle wstrząśnień tyle cierpień targanego ducha nie mogły nie podzielać na mój organizm i wrażliwą do zbytku naturę to też ostatnia wiadomość o śmierci dwojga przyjaciół dopełniła miary. Zaniemogłem. Choroba obłożna przeciągnęła się kilka tygodni. Los jednak tak zrzucił że skutki jej były dla organizmu zbawienne. Wszakże gdy się podźwignął dzięki troskliwości kolegów poczułem nieprzepartą potrzebę znalezienia ciszy w samotności któraby warunkom rekonwalescencji i usposobieniu memu odpowiadała. I w tem to był powód żem opuścił spółkę i przeprowadziłem się do domu gdzie zamieszkał sam w całym słowa znaczeniu. Pokój znalazłem wygodny na piętrze z widokiem na rzekę i miasto.

Cisza i spokój były tu najskuteczniejszym dla mnie lekarstwem. Czytanie rysunek korespondencya praca nad dziećmi do których przywiązywałem się coraz więcej oto były moje zwykłe zajęcia. A dodać trzeba że przed oknami po za rzeką była poczta, która dwa razy w tygodniu przysyłała mi listy i gazety. Tak przechodziły tygodnie i miesiące. Nie próżne były one udręczeń! Złe wieści sypały się jakby z rogu obfitości. Komisye śledcze wojenne sądy jako wyraz polityki nieprzebierającej w środkach całemi secinami skazywały szlachtę litewską na wygnanie a dobra ich na konfiskatę lub sekwestr. Widmo nędzy zajrzało w oczy nie jednemu w kraju, a co gorsza upadek ducha aż do odstępstwa aż do wyparcia się wiary ojców jak się to wykazało na Bis, Wojn Lub świadczyły nie dwuznacznie, o spodzeniu wprawdzie wyjątkowem ale wydarzonem wśród znanych dotąd z zacości rodzin. Słowem nie wiele brakło aby wśród tego kataklizmu usprawiedliwić obawę zatracenia poczucia godności narodowej. I oto co było do przewidzenia stało się. Kraj się wyludnił bo jednych wygnano drudzy zemknęli inni w boju poległi. Ci zaś co pozostali ogłuszeni walącemi się gruzami ojcowizny nie mieli już ani siły ani woli stawiać czoła losowi i w biernym poddaniu się przemocy ulegli. Prasa też zagraniczna nie widząc już interesu służenia pokonanym przeszła nad nami do porządku dziennego. Takie to były objawy skutków powstania w ciągu jednego roku.

Okolo tego czasu przywieziono dra Orzelskiego z Białej Rusi Ostromęckiego z powiatu sokolskiego Stankiewiczową z Wilna z synem wyrostkiem Raczyńskiego z Warszawy Wojniłowicz zaś opuścił Ołonec i przeniósł się do Pietrozawodzka na stanowisko miejskiego lekarza. Wkrótce potem przyjechał Węclawski pośrednik obywatel powiatu telszewskiego z synem.

Nastaly dnie dłuższe słoneczne w miejscu ciągłego zmierzchu.

Pewnego dnia gdy się w czasie zapust przypatrywał z okna przeciągającym tłumom t. z. „gulanja” które i tutaj na sposób większych miast Rosyi ściga ludność miejską i wiejską dla popisu uprzęży i strojów i zbliżenia się młodzieży płci obojga uderzył mię widok dotąd nieznan. Na uboczu przed oknami rozłożył się obóz Samojedów z Laponii. Ludzie reny sanie uprzęż sposób jazdy wszystko to było nieznane dziwne z innego świata. Ciągnęli do stolicy wioząc na pokaz siebie swoją rodzinę swój domowy statek. A takie to było dziwne takie ciekawe że patrząc na to trzeba się było dobrze rozpatrzeć aby przyznać i uwierzyć że te postacie o ruchach zwierzęcych zaszyte w skóry zwierzęce że ci ludzie byli ludźmi. Człowiek i człowiek! Jakaż to przestrzeń ogromna dzieli ich obu!

Jakąż to olbrzymią drabinę wytworzyła cywilizacya od poziomu na którym stoi Lapończyk do tej wyżyny gdzie stoi ten na którego wskazując społeczność mówi: oto człowiek!... Szczególniejszego rodzaju nastała wkrótce sanna. W miarę jak się podnosiło słońce powierzchnia śniegu skutkiem jego operacyi w dzień a działania silnych mrozów w nocy tak stężała że nie tylko po niej chodzić ale i jeździć wybornie było można wszędzie gdzie się spodobało gdzie oczy niosły. A że głęboki śnieg pokrył i wyrównał wszystko więc jazda odbywała się po nad płoty mosty a nierzadko i budowle. Trwało to

prawie do ostatnich dni kwietnia. Odtąd, jakby na skinienie dał się czuć szybki postęp wiosny. Widocznie nagradzała czas stracony. W pierwszych dniach maja już puściły rzeki a w drugiej połowie zazieleniały brzozy. Nastaly dnie długie słoneczne noce jasne jak dzień. Zanucił skowronek.

Niektórzy z kolegów pokupowali sobie konie ja kupiłem łódź.

Nabytek ten niemało mi dostarczył przyjemności. Pominąwszy już że była to wyborna egzercycja jako gimnastyka higieniczna że hartowała organizm ale ileż to miłych dała mi chwil w mojem życiu samotnem gdy znękany, struty nieraz szukałem ukojenia na łonie matki natury gdzieś daleko od ludzi. Albo znowu jeżeli się zdarzyło że przelotny promyk otuchy rozjaśnił nam czoła jakże mi ta łódka była pożądaną gdy usadowiwszy w niej miłą działwę moich przyjaciół żeglowałem z nią po cichych wodach gdzieś za miasto do boru gdzie nas czekał podwieczorek. Ileż to tam było wesela radości dla mojej Broni Józi Maryni Bronisia i ich ukochanych rodziców! Toż to tam było gwaru śmiechu swawoli dokoła ogniska! Lub też gdy już nastała pora nocy jasnych, uroczych kiedy wieczór stykał się prawie z porankiem wieleż to razy przez tumany mgły dzierzganej promieniami księżyca płynąłem z kolegami kędyś daleko przez lasy, lub na wybrzeża ładogi budząc naszym śpiewem chmury dzikiego ptastwa którego tam była stolica. Jakże się nam nadała wówczas ta pieśń Masaniella:

Poranek dzień od nocy grodzi,

A nas jednoczą brzegi te.

Wesoło każdy wstępuj do łodzi,

Niech wiatr zkąd chce przeciwny dmnie ...

Więc bacz na ster w godzinę złą ...

(Niema z Portici).

O ta łódź zastępowała mi przyjaciela!

LXI.

Pewnego dnia wybraliśmy się w licznm towarzystwie na ładogę na półwysep Andrusowski zaproszeni w gościnę do Monasteru czernców których lekarzem był Lubiczankowski. Była to wycieczka w kolorycie przeważnie miejscowym gdyż oprócz gościny w Monasterze czekała nas jeszcze uczta na jednej z wysp gdzie była stacya marynarzy przysłanych dla pomiarów jeziora a którzy odpłacając się za uprzejmość okazaną im w Ołońcu zaprosili nas do siebie. A więc pewnego poranku zawiadomiwszy sprawnika, wybraliśmy się jak kto mógł i chciał, jedni w dwukolnych biedkach praktykowanych tam najczęściej na sposób finlandzki drudzy w tielegach inni konno nie brakło nawet i czyjegoś tarantasa jednym słowem wyruszył cały obóz Polaków. Dzień był pogodny. Droga do Andrusowa prowadzi w kierunku Ołonki, która połączywszy się z rzeką Megrcgą wcale pokaźnie wygląda. Po drodze mijamy wsie jak zwykle położone nad rzeką. O kilkanaście wiorst zbliżając się ku Ładodze teren widocznie się podnosi falują się wzgórza pokryte lasem droga tu usypana okruciami granitu którego złomy olbrzymie coraz częściej występują na powierzchni. Mchy rozlicznej barwy miękkie puszyste jakby perskie kobierce zaścielają poziom ciemnego boru. O milę od Andrusowa gdy inni udali się wprost do monasteru my trzej, Lubiczankowski Kibort i ja zatrzymaliśmy się przed chatą znajomego nam chłopca rybaka. Zagroda jego samotna położona na wzgórzu po nad stromym brzegiem rzeki przypomniła nam litewski zaścianek śród lasu. Rozpięte sieci łodzie u brzegu trzoda wracająca z boru a za nią kilkoro dzieci pastuszków z nieodstępnym psem kundysiem po nad tem zaś ulatujący wysoko w fantastycznych kłębach dym z komina wszystko to razem przedstawiało obraz miły wieśniaczej zagrody.

Na progu chaty siedział starzec jak gołąb biały wiązał sieć. Był to ojciec gospodarza patryarcha rodziny. Postrzegłszy nas powstał i powitał uprzejmie poznawszy doktora oświadczał zarazem że mu przykro iż w tej chwili nie ma jego syna w domu z którym byłoby nam łatwiej się rozmówić. Popłynął wczoraj na rybę i dotąd nie wrócił.

Zaproszeni do chaty weszliśmy aby się wewnątrz życia Karelskiego przypatrzeć. Była to obszerna o czterech oknach świetlica. U głównego węgła (jak mówi się na Rusi litewskiej: „na pokuci”) płonęła lampka przed obrazem, wraz pod nim stół nakryty z bułką chleba. Dalej u okna krosna przy nich córka gospodarska dziewczę lat może 18 żwawo wywija czółtenkiem jedną ręką drugą przybija berdem jakąś tkaninę wzorzystą*). U drugiego węgła duże familijne łoże, nad niem kilkanaście obrazów świętych za

szkłem. U trzeciego węgła, piec z nieodstępną leżanką i zawieszonym u pułapu ogniskiem do rozpalenia suchego łuczywa. Ściana po nad drzwiami aż do czwartego węgła wypełniona półkami na których błyszczą samowary garnki miski i cały statek kuchenny i stołowy a wszystko błyszczące czyste. *) Karelia słynie z wyrobów płócien i koronek któremi zdobią kobiety swa bieliznę. ręczniki itp.

Dokoła izby szerokie ławy. Dodać należy że w wielu domach ściany bywają oklejone papierowem obiciem (szpalerami). Podłoga z desek powała także ułożona szczelnie na grubych belkach. Wchodzi się do takiej chaty zwykle po wschodach gdyż pod izbą mieści się t. z. podwał na skład narzędzi gospodarskich a niekiedy stajnia dla koni lub obora. Z drugiej strony sieni jest skład na siano i słomę którą w czasie zimy przywożą ze stert i stogów, na dole obora dla bydła. Wszystko tu bowiem musi być skupione i pod ręką z powodu długiej i surowej zimy. Latem zaś wszelki dobytek nocuje nieopodal domu w zagrodzie.

Dla uzupełnienia obejścia gospodarskiego dodać należy, z jednej strony opodal od chaty t. z. Rygacz budowę w rodzaju litewskiej „osieci” gdzie się suszy zboże w snopach z drugiej nieodstępną zwykle łaźnię.

Gdyśmy się zabierali do wyjścia zastąpiła nam drogę na progu domu gospodyni niosąca naczynie pełne świeżego mleka mówiąc: - Nie wzgardźcie państwo kubkiem mleka nie godzi się przecie abyście na sucho z domu odeszli. Ja wiem kto wy jesteście mówi zwracając się do Lubiczankowskiego wyście nam dziecko uratowali przeszłego roku.

Bóg to uratował rzeczy doktor jemu dziękujcie matko!

To też my i za was Boga prosim więc nie wzgardźcie proszę. Mówiła to łamanym ruskim językiem a prosiła tak szczerze tak serdecznie żeśmy się chwilę zatrzymali i wypiliśmy po szklance wybornego mleka poczem pożegnawszy puściliśmy się w dalszą drogę. A co powiadam do doktora dobrze mówi nasze przysłowie: „Kiń za saboju znajdziesz piered saboju”. Mamy tu już przyjaciół a niezawodnie będzie ich i więcej z czasem.

LXII.

Ujehawszy wiorst kilka ujrzeliśmy wychylające się z boru mury monasteru. Była to niegdyś podług podania, pustelnia założona przez mnicha którego świątobliwe życie zjednało sławę tej dzikiej ustroni. Z czasem stanął tu monaster z cerkwiami: letnią i zimową, jako posterunek prawosławia wysunięty w celach prozelityzmu wśród ludności mieszanych wyznań odpadłej od Szwecyi. Pobudowano też oficyny dla pielgrzymów.

Jest coś dziwnie posępnego w monasterach Rosyi. Nie spotyka się tu na obliczu mnichów tej świątobliwej pogody, co jest wyrazem skończonego rachunku ze światem i życia oddanego Bogu i posłudze ludzkości a której miłość jest źródłem jakto widzieć można w klasztorach zachodu. Ich ubiór posępny tak jak i ich śpiew cerkiewny poważny lecz surowy zdaje się mówić raczej o Bogu zemsty i kary niż o Bogu miłosierdzia.... Nabożeństwo też ich bardziej wstrząsa i przeraża niż uspokaja i otuchę budzi. Coś złowrogiego mają postacie tych ascetycznych czernców którym nie rzadko skłócenie ze światem fanatyzm lub kara narzuciły strój czarny na duszę i ciało. Pomimo całego przepychu i aparatu na jaki zdobyć się może potęga odkąd cerkiew stała się służebnicą polityki caryzmu forma zabiła w niej ducha a duchowieństwo zszedłszy z zaszczytnej przed wieki wyżyny na poziom carosławia utraciło to co było jego siłą: powagę w oczach ludu. To też jak długa i szeroka Rosya pop i monach są dziś to jedyne istoty, które tam bezkarnie lekceważyć wolno ich cerkwie prócz dorocznych dni w których zabobonną ludność ściga fanatyzm, stoją pustkami ich monastery z małym wyjątkiem stały się gniazdem wszelkiego rodzaju zepsucia i zgorszenia....

Monaster Andrusowski składało oprócz przełożonego (Igumena) kilkunastu mnichów, z tych kilku tylko było kapłanów reszta byli tak zwani: „posłuszni” to jest laicy w ubiorze mniszym przeznaczeni do posług cerkiewnych i gospodarki którą stanowiło przeważnie rybołówstwo utrzymanie obory i fabryka świec jarzących jako produkt najbardziej zyskowny w cerkiewnych obrzędach. Wszyscy bez wyjątku byli to ludzie prości i w duchu ubodzy.

Gdyśmy przyjechali już nasi towarzysze zalokowali się byli po złożeniu wizyty Igumenowi w jednej z okazalszych oficyn zainstalowani przez niego samego i już tam dostarczono wszystkiego co było potrzebne do kuchni i posługi przygotowano nawet łodzie.

Zdrastwujcie gaspada! rzecze Igumen w odpowiedź na powitanie nasze. Wot wam kwartira, izwoltie w niej razparażatsia hale u siebie doma, (proszę się w niej rozgościć jak u siebie w domu) a jeżeli nie wzgardzicie naszym skromnym posiłkiem to prosimy do monasteru bo oto właśnie godzina naszej klasztornej trapezy.

Podziękowaliśmy za uprzejmość wymawiając się tćm, żeśmy już zamówieni na obiad na wyspę do marynarzy. Jakoż, po chwili ujrzelśmy na jeziorze zdążający do brzegu bat na przodzie którego stał właśnie oficer który przed kilką dniami był całą dobę moim gościem w Ołóncu.

Nastąpiło więc z nim powitanie. Że zaś większa część towarzystwa nie była dość biegłą w mowie rosyjskiej więc pozostać musiała kontentując się zapowiedzianą wyprawą na rybę. Kilku nas zatem tylko wsiadło niebawem do przyszanego batu.

Odczaliwaj! (Odbijaj!) zawołał nasz młody Charon. I oto 12 wiosł miarowym ruchem uderzyło po sinych falach ładogi. Trzeba przyznać że była to pyszna żegluga! Jezioro ogromne jak morze. Usposobienie towarzyszyło wyborne. Szerokie horyzonty mają to do siebie że oddziaływają korzystnie na ducha. Z przyległych wysp dolatywał nawet śpiew słowika. Wietrzyk lekko nadymał żagle chmury wodnego ptactwa wzbijały się co chwilę unosząc się po nad głowy zdała zaś błękitny dymek ukazywał cel naszej podróży i oto kilkanaście wiorst przemknęliśmy w niespełna godzinę. Na brzegu powitało nas głośnie hurra! Inny tu świat stanął przed nami.

Towarzystwo wyspiarskie składało się z kilku oficerów marynarzy i kilkunastu subalternów i majtków. Czekał już nas zastawiony stół więc nie tracąc czasu zasiedliśmy pod cieniem starej pochylonej brzozy której rozplecione i rozkołysane powiewem gałązki zdawały się wieńczyć obyczajem rzymskim ochocze grono. To też trzeba przyznać że i ucztą była godną czasów Lukulla. Spotkaliśmy tu dawno niewidziane przysmaki jakich Elisiejew bracia Milutiny i Dussó dostarczyli ze stolicy.

Rozmowa szła raźnie podsycana kielichem*). Od razu czuć było że to ludzie z innego świata ludzie o szerokich poglądach których nabyli w otarciu się o kontynenta obu półkuli. Kwestye zatem polityczne miały tu już bezstronnych wyznawców i chociaż były nie rzadko stawiane na stół nie drażniły żadnej strony. Uprzejmość i cywilizacja stały na straży.

Po obiedzie udaliśmy się na polowanie na tiulenie (psy morskie) których na Zadodze ma być mnóstwo. Zabrało to nam parę godzin czasu wszakże napróżno nie dały się podejść ni podpłynąć na strzał te ostrożne zwierzęta i skończyło się na tem jedynie żeśmy je widzieli.

Skoro wróciliśmy o zmierzchu zapalono olbrzymi stos suchych gałęzi. Płomień buchnął pod niebiosą, zagrzmiął śpiew marynarzy podsycany ponczem i zabawa przybrała charakter wspólny sławiańskiej naturze a więc serdeczność zapanowała po nad wszystkim... I dobrze nam z tem było! czuliśmy się braćmi wobec jednej doli... To też godziny leciały. *) Pierwszy kielich u Rzymian spełniano dla pragnienia drugi dla ochoty trzeci dla rozkoszy czwarty dla szafu.. . (L'Instruction publique dans l'Empire Romain p. Gaston Boissicz).

LXIII.

Gdyśmy wracali do Andrusowa było już po północy. Noc czerwcową na Zadodze gdzie z oblicza niebios nie znika rumieniec do rana gdzie po nad sennym horyzontem wód oddalenia toną w opałowych barwach a mgły przejrzyste, snują fantastyczne obrazy co każą zapomnieć o ziemi to coś tak uroczego dla nas mieszkańców innych stref że na oddanie tego pióra odmawia posługi.

Gdyśmy się zbliżali do brzegu rąbek słońca wynurzył się z wód i w jednej chwili jakby na dane hasło ozwał się ze wszystkich stron z lasów łak i wód gwar zbudzonego ptactwa. Był to chór tak olbrzymi o jakim pojęcia mieć nie może ten komu nieznane północne pustynie. Więc i my dostrajając się doń pod wrażeniem uroczystej chwili zanuciliśmy starą pieśń Karpińskiego:

*Kiedy ranne wstają zorze
Tobie ziemia Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon Boże wielki!*

Z tą pieśnią zawinęliśmy do brzegu. Pomimo utrudzenia, o spaniu przynajmniej co do mnie i mowy być nie mogło. Żał mi było zamykać oczy wobec tak nowego widoku tej dziewiczej i dzikiej natury która zbudziwszy się ze snu, w lasach i na wodach rwała się do życia. Więc gdy wszystko dokoła usnęło dosiadłszy konia, puściłem się wiadomą leśną drożyną ku brzegom pełnego jeziora. Ujechawszy wiorst kilka natrafiłem na miejsce gdzie łowiono rybę. Był to zakątek cichy kołyszany dzień i noc jedynie szumem lasu i fal. Kilka kołowrotów ciągnęło liny ogromnego niewodu. U każdego z nich pracowało kilka osób, mężczyzn i kobiet. Ludzie ci ciągnąc nucili z cicha unisono jakąś pieśń monotonną i tęskną prawdopodobnie sięgającą jeszcze skandynawskich czasów bo nikt z nich nie umiał mi słów jej wytłumaczyć. Tlejące ognisko na uboczu pod lasem dymiło się dogasając zwolna.

Usiadłem opodal uwiązawszy konia i oparty o złom granitu patrzę słucham i dumam ... Świegot ptactwa krople rosy lśnące się na listkach i kwiatach przypomniały mi inne niebo inne czasy więc zwykłym szlakiem myśl uleciała ponad te wody i bory daleko. Słowa Bohdana w rzewnej melodii Moniuszki dodały jej skrzydeł.

*Nigdyż serce stęsknione,
Mar minionych nie prześni,
Zawszeż w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni...*

A tymczasem w oddali skrzypiały kołowroty wtórując pieśni karelskiej a nad jeziorem unosiły się rybitwy i jak ich skrzydła migały gdzieś błyszczące w słońcu żagle okrętów. Tak upłynęło dość czasu gdy nareszcie koń mój czegoś się spłoszył więc i mnie to zbudziło z zadumy. Dosiadłem go i wiedząc że jest we zwyczaju w takich miejscowościach zakupywać na ryzyko całą toń połowu zbliżyłem się do rybaków oświadczając że chcę próbować szczęścia.

Izwoltie bariń odrzekli z zadowoleniem i zarzucili sieć. Po nie długim oczekiwaniu zaczęto ściągać skrzydła niewodu i oto ukazał się na mieliźnie brzegu kul pełen trzepioczącej się ryby. Jednym słowem za rubla wyciągniono kilka dużych sigów kilka sandaczy i okuniów bez liku.

Wot wam pawiezio (A to się udało panu nie ma co mówić) rzeczce przywódca rybaków. Paszczaśliwość! niczewo skazat'. Niepaszczaditie bariń na wodku. Nu Grisza — rzeczce do podrostka ty zniesiosz eto za bariniom w Monastyr.

A więc podziękowawszy słowem i datkiem wróciłem do Andrusowa i na dzień dobry przy herbacie zaprezentowałem towarzystwu mój pomyślny połów.

Toż to my wczoraj i połowy tego nie dostali chociaż kilka godzin cięły nas bez miłosierdzia komary rzeczce jedna z pań której lica aż nadto świadczyły o prawdzie ostatnich słów.

A la guere comme a la guerre Mme mówię z uśmiechem na widok jakby ospą pokrytej fizyognomii. Ale opowiedzcież państwo swoje dzieje dnia całego bo to co się dotyczy wyprawy na wyspę sądzę że moi towarzysze mieli już czas opowiedzieć. A no rzeczce Kuczalski nie długa to historia ale zabawna. Po odjeździe waszym i odejściu Igumena zjawił się wkrótce inny pop z zapytaniem czy nam czego nie braknie. A że to była hora canonica przed śniadaniem więc i jemu zaproponowano kieliszek gorzałki. Wymawiał się wprawdzie, że mu tego broni reguła ale to szło jakoś nieskładnie słowom przeczytył czy gdy mu zatem przypomnieliśmy przysłowie: „nulla reguła sine exceptione” dał się przekonać i wychylił sporą dozę kminkówki zakąsiwszy kielbasą. Oczywiście była to w swoim rodzaju une donec violence. Wypogodziła mu też czoło opowiadał zabawne sceny i śmiał się z nami jak zwykły śmiertelnik. Przypomniało to nam historię zbiedzonego konia który na odgłos wojskowej trąbki stanął z wozem w szeregu przechodzącego wojska. Dowiedzieliśmy się później że był zmuszony do przyjęcia rasy. Ale to nie koniec. Zaledwo wyszedł zjawia się inny a zawsze z t em samym pytaniem na początku czy nam czego nie trzeba i z tym samym finałem, za tym znowu inny i tak aż do końca mieliśmy sposobność prócz jednego starca poznać całe gremium klasztorne. I nie dziw. Czuć było że oprócz owocu zakazanego co im u nas smakował pilnie im było w tej pustyni pomówić a bardziej jeszcze posłyszeć mówiących ludzi z innego świata, dowiedzieć się co się na nim dzieje. Byliśmy dla nich oknem, którem na świat spojrzeli.

I nie dość na tem. Gdyśmy wsiadali do łodzi zaopatrzeni w wiktuały jeden z nich dobrej tuszy zaprosił się do nas mówiąc że wskaże miejsce gdzie można zapolować na kaczkę.

Wzięliśmy go. I wyobraźcie sobie państwo, gdyśmy z nich kilka zabili rzucał się wpław za każdą, na wpół rozebrany by ją nam dostać z mielizny. Rozumie się, że po takiej ekspedycji nie mijała go propozycja: - A szto batiuszka nie ugodnoli pagrefsia. Wied' chałodnaja wada...

Propozycja oczywiście ochoczo przyjęta i con amore, spełniona. Co zaś do rybołówstwa to już o tem dostatecznie opowiada nasza fizyognomia!...

Spędziwszy w taki sposób dni parę drugiego dnia, przed wieczorem wróciliśmy do Ołońca obiecawszy mnichom odwiedzić ich jeszcze co się też zdarzało nieraz.

LXIV.

W Ołońcu zastaliśmy nowych gości. Przywieziono p. Teofilę Żakowiczównę i p. Teklę Sawaszkiewiczównę z Litwy obie z zawodu nauczycielki. Me długo za nimi przybyli Paweł Gąsowski i Grajber obywatele ziemscy z Królestwa. Przybyło zatem kolonii naszej kilka wykształconych osób, z czego też niebawem skorzystała nasza szkoła. Przybył też Moroz z Pińszczyzny z żoną i dzieckiem.

Nastało lato upały dochodziły 30 stopni, a co gorsza, że skutkiem tego w wielu miejscowościach zjawiała się straszna w tych stronach kłeska - „sibirska jaetvau (karbunkuł). Ofiarami jej padali ludzie i zwierzęta. Pewnego poranku, ujrzelśmy przed oknami doktora kilkunastu ludzi dotkniętych tą chorobą przywiezionych i porzuconych w nocy. I tutaj to właśnie okazało się w całej pełni poświęcenie Lubiczankowskiego. Ołonec i wsie przyległe położone w miejscowości niskiej i wilgotnej nadawały się szczególnie do szerzenia tej choroby którą aby przenieść dość było ukąszenia muchy. Można więc sobie wyobrazić jakie dla nas nastało życie. Nosiliśmy woale na twarzy. Niektórzy z obawy, wcale nie wychodzili dniem z domu. Nie zapomnę sceny jakiej byłem świadkiem w pobliżu miasta. Gospodarz konia chorego na karbunkuł gdy już mu powiedziano że nie ma dlań ratunku żegnał go wyprowadzwszy w pole. Żegnał i płakał rzewnie na głos obejmując jego szyję. Ty mój druh serdeczny! my z taboju trudiliś praszczaj družok! wołał nie mogąc się oderwać od konia, co zdawał się pojmować boleść swego pana i patrzył mu w oczy smutnie i tulił swą głowę do piersi jego.

Gdym go ostrzegał że niebezpiecznie dotykać chore zwierzę odpowiedział: To mój przyjaciel mogę go tak porzucić!...

Śród takich to i tym podobnych scen i wrażeń przeszło nam lato nastąpiła jesień. Lubiczankowski stał się istną opatrnością wiejskiego ludu ubóstwiali go chłopcy a gdy już minęła z nadejściem chłodów zaraza wysłali deputację do gubernatora domagając się nagrody dla swego, jak go powszechnie zwali Spasitiela.

W początkach zimy przyjechał dr. Michał Kozłowski, z Mińska. Zamieszkał u mnie. Gość to był pożądany bo oprócz wiadomości autentycznych jakie przywiózł z kraju przywiózł też z sobą i piękny talent muzyczny. Grał na wiolonczelli. A że zostawił w kraju narzeczoną więc nie brakło mu ani usposobienia ani natchnienia. Nie długo zatem czekając utworzyliśmy trio ze skrzypców fortepianu i wiolonczelli Wesslowi dostał się fortepian mnie skrzypce z którymi obeznany byłem od pierwszej młodości. Zebraniom zatem naszym przybył ważny i wdzięczny sukurs. Odbływały się tedy egzercycje próby popisy tak że gdyśmy się wciągnęli zapełniło to nam nieraz w sposób najprzyjemniejszy całe wieczory.

W tym czasie wskutek zakulisowych intryg sprawnik Ryndin przenieść się musiał z Ołońca w głąb Rosyi. Żał mi go było bo oprócz uprzejmego przyjęcia jakiegośmy doznali na wstępie do Ołońca spotkałem w jego domu niejedną miłą chwilę. Miejsce jego zajął łazarew człowiek wykształcony, trochę literat trochę poeta przedewszystkiem zaś dyletant muzyczny. Skorośmy się z nim zbliżyli mieliśmy w nim stałego słuchacza naszych produkcji wokalnie-instrumentalnych. Wiecie co panowie muzycy rzecz pewnego razu jeden z koroniarzy a był to dyletant warszawskiej opery Gąsowski gracie już tak że was można słuchać otóż przychodzi mnie myśl czyby nie można było spożytkować waszego talentu na szersze cele.... Wiecie jak szkalują nas dzienniki rosyjskie od czasu pożaru Symbirska oskarżając bezczelnie, że to my podpalamy matuszkę Rosyę. Dajcie koncert na dochód pogorzalców Symbirska, będzie to dla nich dobra odpowiedź. Cóż wy na to?

Nie wiem już kto z nas pierwszy wystąpił z opozycją, mówiąc że co uchodzi w ciasnym kółku kolegów i przyjaciół nie uchodzi na estradzie publicznej chociażby to było pomiędzy Ładogą i Onegą. Pomimo to jednak zaczęły się debata pro i contra. Myśl dania głośnej odpowiedzi na niecną potwarz tak się wszystkim podobała że w końcu oblegani i nalegani ze wszystkich stron poddaliśmy się większości i zamiar koncertu został uchwalony. Należało więc tylko uprzedzić sprawnika. Wiadomość tę przyjął z uniesieniem.

Ależ to myśl cudowna i z góry już za nią dziękuję. To będzie coś czego dotąd nie widział ani słyszał Ołonec. Ułóżcie więc panowie program a ja go wnet poszlę gubernatorowi do zatwierdzenia.

Więc nastąpiły próby ćwiczyce z Hajdna Reisingera, Mejerbera Rossiniego Beliniego Moniuszki i w ślad zatem wszelkie kłopoty muzyczne. Zajęło to nam dość czasu, nam starszym bo dziewczynki Lubiczankowskich miały cały swój repertuar gotowy. Miłe to jednak były kłopoty. I gdy się to dzisiaj wspomni po latach z górą dwudziestu snem się to wszystko być zdaje.

I oto po kilku tygodniach w sali koszarów wojskowych, ubranej staraniem sprawnika w zieleń i kwiaty na estradzie okrytej pysznym kobiercem stanęło nasze muzyczne grono, wobec zaciekawionej publiki. Złożyła się na nią miejscowa inteligencja stan kupiecki i chłopstwo z powiatu uosobione w swoich starostach i naczelnikach gmin wraz z ich połowicami strojnemi w bławaty perłowe dyademy sarafany itp. Wszystko to zaś było u wejścia przyjęte i wprowadzane z całą kurtoazją godną stolicy przez członków naszej polskiej kolonii ku wielkiemu zadowoleniu i zdziwieniu zebranej publiczności. Od czasu do czasu dochodził szmer: Palaki palaki! wot ani!...

Miły Boże pomyśliłem patrząc z estrady na tę ruchomą mozaikę głów i ubiorów sięgających czasów przedhistorycznych któżby temu uwierzył że ja com wjeżdżał do Ołońca zbiedzony i złamany stanę tu kiedyś przed tą publicznością ze skrzypcami w ręku.

Doprawdy zabawne to wszystko było.

No ale bądź co bądź cofać się tu już było nie pora a więc vogue la galere! Uwertura z Zampy ognista i dziarska dała początek. Odegrały ją Bronia i Józia doskonale. Zatem ja odśpiewałem polonez Komorowskiego „Chociaż to życie idzie po grudzie” itd. Nareszcie przyszła kolej na trio Hajdna. Dniem przedtem gdyśmy robili próbę omylił się był Wessel więc mówię mu przy pożegnaniu: „pamiętaj hrabio o szóstym takcie, aby nas jutro to samo nie spotkało”. I oto zaczynamy, trzebaż jak raz na szóstym takcie myli się Wessel ale się wnet połapał, dyzsonans minął niedostrzeżony i andante płynie wspaniale aż do chwili gdy Ostromecki przewracając mnie karty trąca w smyczek skutkiem czego powstaje znowu konfuzja gubię takt posiłkuje mnie jednak wiolonczela pokrywa fortepian wypływamy znowu na szeroką wodę. Odtąd idzie wszystko jak z płatka. Nareszcie przychodzi allegro z czardaszem. Tu dopiero zaczyna się sukces... Cięty rytm tej melodyi elektryzuje publikę sypią się frentyczne brawa ruska i karelska krew rozgrzana kipieć zaczyna objawiając stopień swego animuszu w konwulsyjnych ruchach ramion i podrygach całych postaci już już gotowych wybuchnąć w ulubionej riiskój plasce na rozpaszlcu. Słowem wrażenie niesłychane! To też burza oklasków zmieszana z grzmiącym finałem tria zatwierdziła sukces o jakim może sam Hajden nie marzył. Inne produkcje miały też swoje powodzenia ale już ogół publiczności wysiliwszy się w owacy dla czardasza, mniej był usposobiony dla utworów Mejerbera Beliniego i Moniuszki. Powodzenie wszakże ogólne było znakomite. Gdy się to wszystko skończyło zaproszono nas muzyków na wieczerzę której honory robiły panie łoneckie.

Ochota trwała do późnej nocy podziękowaniom nie było końca. Mnie dostał się puchar na pamiątkę. Nazajutrz wysłaliśmy na ręce gubernatora 150 rs. z napisem „na zapomogę ogorzalców Symbirska, jako dochód z koncertu na ten cel danego przez Polaków w Ołońcu. Po dniach kilku wyczytaliśmy w petersburskich gazetach że grosz wdowi zesłanych Polaków w Ołońcu o wiele przewyższył stosunkowo złożone datki na ten cel, obu stolic potężnej Rosyi.

LXV.

W drugiej połowie zimy powiększyło się znowu nasze koło o parę osób. Przywieziono p. Narbutowę z córką z powiatu kobryńskiego a grodzieńskiego więzienia. Panie te wykształceniem i pozycją należące do sfer wyższych litewskiego towarzystwa były dla nas cennym nabytkiem. Ich opowiadania o wypadkach jakich były świadkami o osobistościach nam znanych o tem wszystkim co nas obchodziło

i bolało dodane do tego cośmy już wiedzieli dało nam obraz całkowity stanu Litwy. Niechcemy tu wspominać haniebnej pamięci tych osobistości co kierowane pychą wdarłszy się na poważne stanowiska wtenczas gdy błysła w ich oczach nadzieja powodzenia nikczemnie potem zdradzili położoną w nich ufność imiona te aż nadto znane pozostaną na wieczne czasy na pręgierzu opinii publicznej jako przestroga że do świętej sprawy trzeba rąk czystych. Natomiast zamilczeć nie możemy tego co dać może pogląd na działalność takich ludzi których charakter i zdolności mogłyby dodatnio wpłynąć na losy kraju w pomyślniejszych warunkach. Chcemy tu mówić o hr. Starzyńskim marszałku grodzieńskim. Nie mając pod rękę innych źródeł czerpać musimy ze źródeł urzędowych rosyjskich które tym razem nie odbiegają zbytecznie od prawdy. W „Ruskoj Starinie” za 1885 r. mies. marca str. 559, w artykule poświęconym wspomnieniom działalności Nazimowa na Litwie autor tak mówi o hr. Starzyńskim. „Ażeby jeszcze bardziej rozwinąć przed czytelnikiem tę sieć intryg jakimi był otoczony Włodzimierz Iwanowicz Nazimów w ostatnich latach zarządu krajem a z którymi wypadła mu ciężka dola walczyć po większej części bezskutecznie z powodu przeciwdziałania w sferach wyższych petersburskich uważamy za potrzebne poświęcić tu kilka stronic dla dania zarysu działalności agitatorskiej hr. Starzyńskiego byłego marszałka gubernialnego szlachty gubernii grodzieńskiej podczas ostatniego polskiego powstania”. „Hrabia Wiktor Starzyński przyjaciel i towarzysz zięcia ks. Adama Czartoryskiego hr. Andrzeja (sic) Zamojskiego, i gorliwy stronnik hotelu polityki Lambert był najważniejszym i najrzeczniejszym kierownikiem polskiej sprawy w północno-zachodnim kraju. Dla przeprowadzenia tradycyjnej programy naczelnika polskiej emigracji którego uznawała partia „białych” w księciu Adamie trudno było znaleźć bardziej stosownego człowieka. Po ukończeniu kursu nauk w kolegium OO. Jezuitów w Frejburgu gdzie hr. Starzyński dopełnił świetnego wychowania jakie otrzymał w domu rodziców wrócił do ojczyzny i wraz potem udał się do Petersburga dla jakichś spraw rodzinnych czy też procesu. W czasie bytności w naszej północnej stolicy nadarzyła się młodemu Starzyńskiemu sposobność zawiązania obszernych stosunków i znajomości w kole ruskiej arystokracji a panujący podówczas nastrój wojenny stołecznej młodzieży mianowicie gwardyi podniecanej przez cesarza Mikołaja pobudził Starzyńskiego po ukończeniu interesów wstąpić w 1841 r. do wojska w jednym z dragońskich pułków w stopniu junkra, lecz następnie będąc już w randze sztabs-kapitana —pociągnięty skłonnością serca wyjechał do Włoch bez pozwolenia władzy i tam poślubił przedmiot swych zapałów za co został zdegradowany i zaliczony jako prosty żołnierz do pułku liniowego grebieńskiego na Kaukazie. Tam pełna przygód służba wolna od pedantyzmu i drobiazgowych reguł, krępujących gwardyjskich oficerów jego dawnych przyjaciół nareszcie hulaszczą bez trosk o jutro egzystencja w kole dzielnych towarzyszy wszystko to musiało przypaść do serca hr. Starzyńskiemu i utrzymało go w szeregach kaukazkiej armii do końca Krymskiej wojny. Po zawarciu pokoju, wyszedł do dymisyi w randze „sotnika” wrócił do domu ze sławą dzielnego w boju oficera ozdobiony orderem św. Jerzego za waleczność na polu bitwy w niejednokrotnych walkach z Czerkiesami”. „Taka była początkowa karyera i szkoła życia grodzieńskiego gubernialnego marszałka szlachty o którym nieco później jeden z naszych najbardziej wpływowych wyższych dygnitarzy pociągnięty ku niemu pewnego rodzaju sympatją, a nawet dający ucha w ciągu pewnego czasu jego politycznym mrzonkom (?) w liście do W. J. Nazimowa tak się wyraża: „Hr. Starzyński bez zaprzeczenia jest to człowiek światły utalentowany ambitny ale chytry i przebiegły. Obok tego, posiada wykwiłtne towarzyskie formy które się nie zawsze spotykają w równej mierze wśród pp. marszałków. To też, obok zdolności i pretensye jego nie małe ale środki materyalne widocznie posiada dość szczupłe i to ścieśnia zakres jego działalności. Duszą jest Polakiem, lecz nie żywi bezwarunkowego zaufania w powodzenie zamiarów polskich na konto Litwy. Podczas pobytu jego w Moskwie gdzie mówił przeważnie po francuzku zauważanem było (przez Cesarza) że hr. Starzyński daleko lepiej i bez zarzutu wyraża się ustnie niż na piśmie”. „Atestując w ten sposób swego „protege” ów dygnitarz, nie podejrzewał zapewne że w tym samym czasie Starzyński gotował się do przyjęcia wakującej funkcji głównodowodzącego wszystkimi oddziałami powstańców tułających się w głębokich puszczech grodzieńskiej gubernii*). (Racz. Swidenie o polskom miatesi. Wilno 1867 h.)li „Uważaliśmy za potrzebne nakreślić w rysach dobitnych typową postać hr. Starzyńskiego aby objaśnić o ile to możebne tę niepojętą dla wielu przyczynę zaufania i atencji jakich używał ten przywódzca polskiej sprawy na *) To fałsz gdyż Starzyński jako człowiek

rozumny i strategik w boju doświadczony nie mógł przywiązywać wagi do partyzantki, w otwartym kraju nie opartej ani o regularne armię ani o fortece tem zaś mniej gotować się do objęcia nad nią dowództwa. Owszem ubolewał jak wszyscy ludzie rozumni nad wybuchem powstania które zniszczyło całą pracę dla ojczyzny. Litwie i w wyższych sferach petersburskiego towarzystwa bez względu na to że generał gubernator niejednokrotnie wskazywał nań jako na zuchwałego i niebezpiecznego agitatora, „Ale w stolicy naszej sądzono inaczej, tam patrzano nań, jako na człowieka najbardziej zdolnego utrzymać po stronie legalnej władzy konserwatywne żywioły kraju to jest osiadłą szlachtę stanowiącą po wszystkie czasy najliczniejszą i wpływową partję a przy jej współdziałaniu położyć tamę burzliwej agitacji demokratycznych i anarchicznych żywiołów, zdolnych zburzyć nie zaś stworzyć porządek bez którego niemożliwa egzystencja jakiegobądź państwa”. „Na nieszczęście kombinacje petersburskich stronników hrabiego były mylne już tem samem że ze zniesieniem poddaństwa szlachta osiadła utraciła swą siłę i wpływ w oczach bez ziemieli szlachty (proletaryatu szlacheckiego) i mieszczaństwa a w takich warunkach i ustępstwa naszego rządu nie miały już rękojmi co do pożądaných dlań rezultatów. „Podług planu hotelu Lambert osnutego prawdopodobnie jednocześnie z pierwszemi manifestacyami w Warszawie zadanie włożone na hr. Starzyńskiego zależało na tem aby nie potrącając kwestyi połączenia zachodniego kraju z „Kongresówką” jako zbyt drażliwej i według wyrażenia się markiza Wielopolskiego będącej tylko kwestyą czasu*) dobić się wprzód pewnego rodzaju (autonomii) udzielnosci w drodze powrócenia tych ustaw z jakich korzystał za panowania Aleksandra Igo a zarazem dozwolenia mu rozwijać się na czysto legalnym gruncie przy równouprawnieniu religijnem, jak niemniej i różnorodnych etnograficznych żywiołów zaludniających kraj wszystko to zaś pod egidą najwyższej władzy monarchy i petersburskiego rządu wymaganie, jak to widać skromne lecz przy okolicznościach przyjaznych zapewniające w bliższej lub dalszej przyszłości zlanie się tego kraju z królestwem polskiem”.

*) Zapiski Berga o polskich powstaniach str. 256.

„Na ten temat Starzyński gorliwie układał różne podania i projekty przedstawiając je jako jedyny sposób uspokojenia i wprowadzenia trwałego porządku ale spostrzegłszy opór miejscowej administracyi a szczególnie głównego naczelnika kraju który nietylko nie dał się pociągnąć utworami jego pióra i dyalektyki ale uważał je jako szkodliwe brednie, a jego samego jako niebezpiecznego agitatora Starzyński przerwał swe dyplomatyczne stosunki z jenerał-gubernatorem Nazimowem i wszedł w bezpośrednią styczność z petersburskimi władzami sądząc je nie wiedzieć dlaczego bardziej skłonnemi do ocenienia wysokiej wartości proponowanych przezeń środków”. „Pierwsze próby uzyskania czegokolwiek bądź w naszej stolicy spotkało najkompletniejsze fiasko więc i prośba do ministra oświaty o pozwolenie wydawania w Wilnie „Wiejsko-ekonomicznego” dziennika w języku polskim nie została uwzględnioną, gdyż przyznanem zostało za niewłaściwe rozpowszechnienie utworów prasy sprzyjających wprowadzeniu żywiołów polskiej cywilizacyi wśród ludności nie dość jeszcze umocnionej w swoim poczuciu obywatelstwa a przeważającej liczebnie i pragnącej zachować swą narodowość. Podobny los spotkał i drugie podanie hr. Starzyńskiego do ministra spraw wewnętrznych o pozwolenie mu i kilku innym większym właścicielom założenia towarzystwa kredytowego w Wilnie, o czem jak się wyżej okazała była wzmianka w dziennikach zagranicznych. „W nadziei że wobec nieustannych rewolucyjnych zaburzeń w Warszawie zapowiadających zbliżenie katastrofy, chytre zabiegi Starzyńskiego napotkają wszędzie opór Nazimow nie widział podstawy do śledzenia czynności hrabiego w stolicy i zostawił go w spokoju. Tymczasem w końcu grudnia 1863 a zatem wraz po Mińskich elekcyach na których obywatelstwo wciągnęło zuchwale do protokołu zamiar podania do tronu adresu o przyłączenie Mińskiej gubernii do królestwa polskiego doszło do wiadomości Włodzimierza Iwanowicza że jakoby jeden z wyższych petersburskich dygnitarzy pod urokiem wpływu Starzyńskiego udał się z nim jednocześnie i w tym samym wagonie do Moskwy, gdzie się znajdował podówczas cesarz i tam ułatwił mu zaszczyt być zaproszonym do dworu i sposobność wręczenia Jego Ces. Mości jakiegoś podania o sposobie rozwiązania kwestyi polskiej w litewskich guberniach które przyjęte być miało z uznaniem co do zasady że oprócz tego hr. Starzyński dostąpił zaszczytu być przedstawionym Najjaśniejszej pani i był od niej przyjętym łaskawie i że następnie otrzymawszy polecenie wręczenia kopii swego memoriału namiestnikowi Królestwa

Polskiego udał się z nim spieszenie do Warszawy nie zatrzymując się ani w Wilnie ani w Grodnie. „Wiadomość ta zdziwiła w najwyższym stopniu Nazimowa który przywykł widzieć siebie podług wprowadzonego i wielce rozumnego zwyczaju stałym współnikiem rządu w decyzjach co do spraw powierzonego mu kraju a zatem niezwłocznie zakomunikował tę wiadomość ministrowi prosząc go o wyjaśnienie mu tej jak mniemał „mystyfikacji”, w razie zaś jeżeliby wiadomość o przedstawieniu cesarzowi podania Starzyńskiego była prawdziwą o danie mu sposobności poznania jej treści. Nie długo mu przyszło czekać na odpowiedź. Z własnoręcznego obszernego listu byłego ministra 17 stycznia 1803 r., w którym szczegółowo opowiedziane były zabiegi przedstawiciela polskiej szlachty w obu naszych stolicach ze zdumieniem dowiedział się Nazimów że otrzymane wiadomości były prawdziwe z wyjątkiem polecenia Starzyńskiemu przedstawienia memoriału namiestnikowi i wraz zatem przysłaną była i kopia jego opatrzona wielce trafnymi i rozumnymi w niej uwagami ręką śp. cesarza. „Nie wchodząc w ocenienie kwestyi azali to było politycznem i stosownym dopomagać hr. Starzyńskiemu w przeprowadzeniu kombinacji obmyślonej przez Jezuitów dla zapewnienia powodzenia polskich widoków na zachodni kraj bez przekonania że ten nowy Konrad Walenrod posiadał dość środków aby powstrzymać swoich rozhukanych współziomków, zwracamy uwagę na ten oryginalny epizod jako na dowód, jak mało w owym czasie troszczyło się petersburskie towarzystwo o podtrzymanie autorytetu legalnej władzy w prowincjach wzburzonych rewolucyjną agitacją i jak trudno było tej legalnej władzy nakazać dla siebie poszanowanie obok ułatwienia dla opozycji możliwości przeprowadzenia swych planów ubocznymi pomimo niej drogami”. Oto jakie było nasze stanowisko wobec rosyjskiego rządu do 1803 roku. Ten jęk boleści zwolennika polakofobii jakże wymownie daje nam poznać i ocenić cośmy lekkomyślnie utracili!

LXVI.

I znowu przeszła zima. Mniej była surową niż poprzednia, to też i wiosna wcześniej się zbudziła tylko się już nie zbudziły nasze nadzieje... Na Litwie po ustąpieniu Murawjewa zajął jego miejsce Kaufman osobistość jedyna podówczas co się nadawała do przeprowadzenia murawjewskiego systemu. Nie brakło mu i własnych pomysłów. Jemu to zawdzięcza rząd kasatę i zabranie na cerkwie tyłu katolickich parafialnych kościołów na Rusi litewskiej. On to jest autorem ukazu 10 grudnia wzbraniającego nabywania majątków Polakom. On to prześladował język polski na ulicach biurach, restauracjach on obmyślał środki zrujnowania szlachty i poróżnienia jej z ludem. On to znęcał się i deptał społeczność polską bezkarnie do tyłu że nawet wśród samej prasy rosyjskiej odzywały się głosy z upomnieniem: „leżacsalw nic bjut! (Nie uchodzi bić powalonego!). Ale to nic nie pomogło eksterminacja szła po swojemu. „Djejatele” (zwani u nas „Bratja razbojniki”-) zrywali na odpustach i jarmarkach szkaplerze z piersi włościankom, a na pozdrowienie starodawne: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” odpowiadali policzkiem. Opierających się zaś prawosławiu oddawali popom na tak zwane „uwieszczywanie” gdzie ich obarczano robotą w dzień a zamykano z trzodą chlewną na noc. Takimi to drogami miało postępować „obruszenie” Litwy. To też lud przejrzał i poznał czym byli jego protektorowie rzekomi. Święta wielkanocne jak zwykle spędziliśmy gromadnie w mieszkaniu Lubiczankowskich którzy od pewnego czasu, zajmowali je w tymże domu gdzieś mieszkał. Odtąd nie byłem już samotny. Miłe ich dzieci ich nauka wychowanie pociągnęły mię całego ku sobie. I muszę to dziś powiedzieć że ta improwizowana funkcja dała mi nie jedną chwilę takiej pociechy takiego błogiego zadowolenia żem Bogu dziękował nieraz za tę moją dolę w której na dalekim wygnaniu czułem się jakby wśród własnej rodziny*). O przenosinach zatem do Petrozawodzka mowy już nie było. Z początkiem wiosny opuścił nas dr. Kozłowski. Pozwolono mu przenieść się do miasta Wytegry siedliska inżynierii wodnej komunikacji które jako takie przezorność rządowa wyłączyła z miejscowości przeznaczonych na mieszkanie dla wygnańców Polaków. Tam się on wkrótce połączył z narzeczoną i poślubił ją. Z żalem go żegnaliśmy tracąc w nim miłego towarzysza muzyka a przede wszystkim zacnego człowieka. Wkrótce za nim wyjechali i pp. Bobrowscy. Przyjechał zaś Józef Zawadzki technolog z Odessy.

*) Jakże mi się dziś jeszcze mile przypominają te wieczory w których staropolskim obyczajem zebrana dziatwa i służba przed pójściem na spoczynek odmawiała pacierz za matką lub siostrą starszą. Słyszając to z mego pokoju na górze wieleż to razy i ja z nimi łączyłem moją modlitwę.

Za nim wkrótce Hofmejtrowa z powiatu brzeskiego żona skazanego przed kilku laty Hofmejstra na Syberyę. Zawiozłem ją z tłumokami w mojej łódce za miasto na kwaterę którą przedtem zajmowali Lubiczankowscy i zainstalowałem. Ustronna ta i wygodna siedziba podobała się jej tem bardziej że oczekiwała przybycia siostry Domaradzkiej z dziećmi. Zanim to nastąpiło nadjechały kuzynki pp. Podgórskie przeniesione z Biełozierska. Od razu więc przybył dom familijny którego ozdobą była sama ze wszech miar zacna i szanowna pani*).

Lato było upalne i burzliwe. Wiatry z Ladogi i nawałnice spowodowały kilkakrotne wylewy rzek co nam dostarczyło kilka zajmujących epizodów w monotonii naszego życia. Obok zaś tego polowanie na ptactwo wycieczki do lasu, wieczorne zebrania czy to dla powitania czy pożegnania któregoś z kolegów szły swoim porządkiem. W jesieni jak zwykle przyjechał gubernator bawił dobę i na wieczór zapowiedział się do Lubiczankowskich. Zeszło się tam zatem nas kilku bliżj mu znajomych. Jechał do Petersburga. W toku rozmowy opowiadał o nędzy jakiej doświadczały wygnańcy prowadzeni do aresztanckich rot Archangielska gdzie w cuchnących etapach pełnych robactwa żałowano im nawet słomy na poślanie ale za to na miejscu nie żałowano pałek.

Któż jest tam gubernatorem ekscelencyo? zapytałem. Baron Harting kurlandczyk.

A więc to brat mego dobrego znajomego na Litwie, powiadam. Zaliczają go tam do najzacniejszych obywateli nowogródzkiego powiatu. Osiedlił się u nas przez ożenienie z Litwinką. Ha to widać że przysłowie: niet siemji bieg uroda, (nie ma rodziny bez wyrodka) prawdziwe odrzekł zacny Arseniew.

*) Po roku wyjechała na Syberyę do męża - i tam wkrótce zmarła.

Wkrótce potem przywieziono kilka osób z Podola. Przyjechał naprzód Władysław Janiszewski i Karol Czarnomski z bałckiego powiatu. Za nimi wkrótce Czechowski z żoną, a wszyscy karetami i szóstkami co na miejscowej ludności robiło wielkie wrażenie, za nimi Edward Czarnomski brat Karola, potem Waśniewski z Ukrainy i Piotrowski aptekarz z Winnicy.

Odjechali zaś koroniarze: hr. Wessel Grajber Gąsowski Szczęsnowicz. Nastał nowy okres w życiu Ołończanów. Po zamachu Karakozowa obostrzenia policyjne objęły całą Rosyę. Wionął inny wiatr wśród samejże społeczności rosyjskiej, stronnictwo Katkowa podjęło głowę a wkrótce i nam dało się to poczuć. Dodano sprawnikom t. z. pomocników dla wzmocnienia policyi i ściślejszego nadzoru nad wygnańcami. Przysłany do Ołońca, należał właśnie do moskiewskiej partii więc z zasady był nam nieprzyjaznym a następnie i sprawnikowi który trzymał z nami a w ostatnich czasach miał nie mało dowodów naszego współczucia szczególnie podczas choroby i śmierci swej żony której nawet zajmowaliśmy się pogrzebem. Wszakże nie zmieniło to trybu naszego życia które płynęło jednostajnie cicho, w przeważnej' części zapełnione to nauką to pracą nad dźiatwą której przybyło sporo niekiedy tylko urozmaicone żegluga po rzece lub wycieczką do boru. Nie brakło też i muzyki gdyż wśród pań niektóre były muzykalne, a Janiszewski grał dobrze na skrzypcach i śpiewał. Utworzyły się więc znowu produkcyje wokalne-instrumentalne w domach gdzie były fortepiany a więc u Lubiczankowskich u p. Hofmejtrowćj u pp. Narbut przy których zamieszkał Leon Ostromęcki.

Tak przeszła jesień. W początkach zimy przyjechał znowu po dwóch latach urzędowy kapelan tym razem już inny. Więc znowu nabożeństwa zajęły nas w ciągu dni dziesiątka w których znowu ludność miejscowa prawosławna, przypatrywała się z wielkiem zajęciem naszym obrzędom. To nam wytłumaczyło poniekąd ostrożność rządu który w obawie prozelityzmu najsurowiej zakazywał wygnałym księżom odprawiania Mszy św. w miejscu ich osiedlenia.

W ciągu zimy myśliwi nasi mieli niejednokrotną sposobność dać folgę swej' ochocie. Zwierzyny było mnóstwo, a niedźwiedzie pokładły się nie dalej jak o wiorst kilka od Ołońca.

Polowania zatem bywały nie bez emocyi co mi przypomniało bobrujskie ostępy i łowy na łosie i niedźwiedzie. Otóż zdarzyło się raz że wracający z polowania zaskoczeni nocą zgubili wśród zawiei drogę. Noc całą błądzili po polach. Nareszcie dobili się do jakiejś wsi nad jeziorem. Zziębli znużeni z radością ujrzeni wśród pustyni ludzkie siedziby więc dalejze kołatać do pierwszej chaty prosząc o przytułek. Po długim kołataniu a było to już nadedniem, ozwał się głos z chaty:

Kto tam? i wraz zatem nie czekając odpowiedzi a idźcież do licha tu nie karczma ruszajcie! A tymczasem wicher ze śniegiem szaleje a psy ujadają.

Gdy jednak kołatanie nie ustawało i stojący na dworze coś tam między sobą mówią po polsku a przewodnik ozwał się po karelsku otwarty się drzwi wchodzi nasi do środka mówiąc kim są i z kąd przybywają.

Tak wy palaki z Ałońca! nu tak drugoje dicło a my dumali Abjeszczyki kanalii!*). Tak z wami żywiół doktor Br. Iwanowicz? (No to co innego myśmy myśleli, że to ci hulteje objeszczyki, więc to z wami mieszka doktor Br. I.....?)

Z nami jakże to nasz towarzysz odpowiadają radzi obrotowi rzeczy.

Nu tak miłosti prosim sadietś pakamiesf. Ej rebiata skarej**) samowar! Wied'1 etot iwasz doktor on nasz błaJioditiel, my za nieho Boha prosim. (A więc prosimy siadajcie tymczasem. Hej dzieci prędej samowar! Toż to nasz dobroczyńca ten wasz doktor my za niego prosimy I oto jednym razem wszystko się zrywa na nogi rozpalają w piecu nastawiają (duchom samawar) (piorunem samowar) cała czeladź i cała wieś w ruchu na jedno hasło: Bronisław Iwanowicz nasz doktor!... Boga).

*) Od granicy Finlandyi straż celna.

**) Żwawo dzieci toż to nasz doktor nasz dobrodziej!

W parę godzin pokrzepieni ogrzani myśliwi nasi siedzieli już w wygodnych saniach a dzielne świeże konie pędziły galopem przy śpiewie karelskiego wañhi wioząc Polaków do Ołońca. Powodowany podobnemże poczuciem potrzeby jednania ludności z którą wypadło nam żyć pociągnąłem ku sobie młodego chłopaka upatrzawszy w nim zdolność do rysunku, uczyłem go tóż i innych przedmiotów. Był to syn popa otca Michaiła Polężajeica błahoczynna (dziekana) tamecznego duchowieństwa zatem osobistości wielce wpływowej. Chłopak był pojętny a że pochodził z rodziny wykształconej niezwykle, w tej klasie społeczeństwa więc szybkie robił postępy. To też nie szczędzono mi dowodów wdzięczności a razem i całej naszej kolonii.

Rozumie się że lekcye były bezpłatne. Pomimo wszakże takie i tym podobne epizody egzystencya nasza stawała się coraz bardziej posępną. O ile nam sił starczyło wybijał się jak tonący z pod lodu aby żyć i wynieść z tej topieli choćby cień nadziei i przelać ją w duszę braci naszych którym los kazał zostać w kraju bywały jednak chwile i to nie rzadkie, kiedy literalnie opadały ręce. Dawało się to czuć szczególnie w porze zimowych nocy mroźnych posępnych długich do nieprzebycia co jakby kajdany ciążyły na duszy potęgując gorzkie uczucie niewoli! Każdy list choćby najbardziej pożądany otwierany był z obawą że przynosi wiadomość o nowem nieszczęściu to zaś co między wierszami było powiedziane przygnębiało jeszcze bardziej dając pole wyobraźni której kanwa zawsze tylko ciemną była.

LXVII.

Przybyły też i inne miejscowe utrapienia. Z tego cośmy już powiedzieli widzi czytelnik że w ciągu lat trzech liczba wygnańców w Ołońcu wzrosła znacznie. Była to już kolonia licząca około czterdziestu osób. Składały ją różne stany wieki różne stopnie wykształcenia a więc i różne obozy. W tej' ostatniej kategorii była reprezentowaną cała gamma politycznej naszej krzątany. Więc naprzód szli demonstratorowie (rzetelni i fałszywi) za nimi powstańcy ujęci z bronią na polu bitwy dalej stronnicy ruchu biali, czerwoni dalej stronnicy spokoju pracy organicznej reformy dalej indyferentni zesłani wskutek intryg lub osobistej zemsty dalej konserwatyści w najgorszym słowa znaczeniu którzy w niczem nie zawinili o niczem nie wiedzieli i wiedzieć nie chcieli. Owóż więc jak w korabiu Noego wśród potopu było tu wszystkiego po trosze. Nie był to więc powiedzmy prawdę, wybór ludzi jak się to zdarzało w innych epokach bądź wygnania bądź emigracyi. Teraz bowiem tu i tam jedna miotła wyrzuciła perły i śmiecie. To też dopóki korabiem miotały fale dopóki szalała burza wszystko to siedziało potulnie i cicho przybite popłochem wszelka szorstkość chcąc nie chcąc musiała się ztuszować w poczuciu potrzeby solidarności wobec wspólnego losu lecz skoro ten lub ów oswoił się z położeniem skoro tam i ówdzie, wśród tej czarnej nocy błysło gdzieś choćby przelotne światółko i przemknął się choćby cień zielonej gałązki przyniesionej z kraju zmieniała się postać rzeczy korab zniknął wypłynęła z powodzi z całym właściwym jej aparatem republika szlachecka! Gdy się zaś do tego doda rozgoryczenie i drażliwość jednych a butę zarożumiałą wypielęgowaną w epoce urojeń o swej wielkości drugich to można sobie łatwo przedstawić jak to wszystko wpłynąć musiało na

zmącenie spokoju i zmianę całego wątku naszej egzystencji. Najbliższą ilustracją tego była następna okoliczność. Wiadomo było wszystkim że w obawie prozelityzmu nabożeństwo t. j. Msza Św. wzbroniona była nam najsurowiej. Za każdym spotkaniem z nami powtarzał gubernator: — „Róbcie panowie co się wam podoba tylko o jedno proszę baczcie abyście nie dali powodu do donosów ministrowi boby to i was i mnie narazić mogło”. Otóż, jakem to już uprzednio powiedział w niedzielę i święta, Msza św. w wielkiej tajemnicy odprawiana była w moim pokoju który był i obszerny i odosobniony. Zwykle więc, na czas umówiony zbierano się w taki sposób aby to nie zwracało niczyjej uwagi i tak to przetrwało lat trzy.

Tymczasem z nastaniem nowego peryodu zaszła w tem zmiana bo nietylko zaniechano ostrożności lecz jakby dla brawowania zajeżdżano przed nasz dom w porze nabożeństwa szumnie paląc z bąta jakby to było przed farą, gdzieś w środku Polski. Nie pomogły ani prośby ani przedstawienia, fantazyja szlachecka wzięła górę.

Ale co tam zważać! wy bo się wszystkiego boicie głosił któryś z przybyłych od nie dawna. Przecież modlić się wolno.

Ale nie wolno księżom Mszy św. odprawiać odpowiadano mu, nie godzi się narażać gubernatora któremu zawdzięczamy tyle no i księdza nareszcie który to odpokutować może. Mamy tu przecież w osobie pomocnika szpiega, co nas śledzi. Nie pomogło to jednak i skończyło się na tem że ja odmówić musiałem pokoju na kaplicę a ks. Wąsowski który Mszę św. odprawiał przeniesiony został wkrótce do Powieńca gdzie w zabójczym dla jego zdrowia klimacie i smutku rozwinęły się mu suchoty z których niedługo potem przeniósłszy się do Jekaterynosławia, umarł.

To jedno.

Co do drugiego tak się rzecz miała. Po zamieszkaniu w Ołońcu szczególnie zaś po pierwszej wizycie gubernatora podczas której zacny ten człowiek przyjmując nas uprzejmie chciał widocznie podnieść nasze stanowisko wobec miejscowej społeczności przywykłej widzieć dotąd w zesłanych, ludzi podejrzanego charakteru lub złoczyńców, - nagabywani i pociągani bywaliśmy niejednokrotnie z różnych stron do zbliżenia się z mieszkańcami do wzięcia udziału w zabawach — mianowicie w porze karnawałowej.

Przecież widzicie panowie mówili do nas my was poważamy i nie mieszkamy się wcale do waszych zatargów z rządem jesteście ludzie zacni to nam wystarcza więc czemuż mamy stronić od siebie gdy los kazał nam żyć razem. Odpowiadaliśmy zwykle: że wygnani z ojczyzny którą na łup zniszczenia wydano trzymani w niewoli nie mamy i mieć nie możemy ani usposobienia ani chęci do zabaw tego rodzaju jakie tylko wolnym i szczęśliwym przystoją. Odpowiedź tę przyjęto z uznaniem i co więcej ze współczuciem dla pobudek naszej odmowy.

I na tem rzecz stanęła. Odwiedzaliśmy się niekiedy nie szczędziliśmy sobie dowodów dobrych chęci ale o zabawach tańczących wieczorach i mowy nie było. Natomiast muzyka odczyty lektura w mniejszych lub większych kółkach to były jedyne resursa co nam w wolnych chwilach wystarczały. A gdy się zdarzyło w porze karnawałowej że jako tam bywa we zwyczaju wpadła do nas kompania wesółych masek przyjęliśmy je chętnie zagrano im nawet do tańca ugoszczono, ale na tem się wszystko skończyło ku zadowoleniu obu stron. I tak to trwało bez zmiany.

Z napływem wszakże nowych towarzyszy gdy nasza kolonia zasilona przeważnie z prowincyj południowych rozrosła się i gdy jako się wyżej rzekło wypłynęła z powodzi republika szlachecka zmieniała się postać rzeczy przyszło bowiem wraz z nią to co oddawna było jej właściwością a dla ojczyzny nieszczęściem.

Pomięszanie języków wieży Babel. Przestaliśmy się rozumieć.... Panowie ci którym prawdopodobnie ścierpły nieco nogi w kamienieckim więzieniu znalazłszy się w Ołońcu wśród warunków wcale znośnych postanowili skorzystać z wyrobionej przez nas wygodnej pozycji i urządzić się nie żenując się i nie oglądając na nic i na nikogo. Powiedzieli więc sobie:

Bawią się inni dla czegoż my bawić się nie mamy tyleżmy się przecie wynudzili bawmy się więc.

Ależ panowie zważcie ktoś im rzecze oni się bawią bo są u siebie bo są wolni szczęśliwi my zaś ofiary przemocy jesteśmy tu w niewoli. Przypuśćmy że wasz optymizm pozwala wam widzieć w różowym świetle położenie nasze ależ są obowiązki wymagania których się nie lekceważy pod karą ściągnięcia

zarzutu lekkomyślności. Są tu między nami przecież matki siostry żony pomordowanych świeżo! uszanujcie ich boleść ich łzy co jeszcze nie oschły! jeżeli nie wypieracie się solidarności z ogółem. Wydobywasz pan działa wielkiego kalibru dla tak małej sprawy odpowie któryś z oponentów. Cóż na tem straci ojczyzna że młodzież potańczy mazura w swoim kółku. Zresztą, mamy już dosyć tych demonstracji co nam kazały wdziawać żałobę po pięciu zabitych gdy jej nie nosiliśmy przez ciąg tylu męczeństw narodu.

Nie ma małej sprawy gdy idzie o godność narodową. Wiadomo panom jaką odpowiedź daliśmy ile razy zapraszano nas na zabawy do miasta cóżby dziś powiedziano gdyby doszło do ich wiadomości że my cośmy dali za powód odmowy nasze smutne położenie bawimy się w najlepsze i weselim u siebie pod kluczem, więc albo wziętoby nas za hipokrytów którzy pogodziwszy się z losem chcą pozować na męczenników sprawy narodowej albo za półgłówków którzy nie pojmując swego położenia bawią się i tańczą na grobie ojczyzny. Alternatywa nie zazdrosna!

Co zaś do demonstracji o której wspomnieliście panowie to i my się na to godzimy żeśmy ich mieli zanadto i że takowe podtrzymywane lekkomyślnie sprowadziły na kraj klęskę ale przecież tego o co nam dziś idzie demonstracją zwać nie można jak nie można porównywać czasów w których one miały miejsce z czasem i losem naszym obecnym. Tu już nie o demonstrację tu idzie o wyraz usposobienia całego gnębnego narodu którego bądź co bądź przedstawicielami jesteśmy.

A zatem znowu terroryzm....

Nie panowie to tylko poczucie obowiązku. Może nie próżno los nas rozrzucił po całej Rosji.... Zostawmy w niej po sobie pamięć: żeśmy z godnością znosili naszą dolę. Zwycięzeni na polu bitwy winniśmy się odegrać zdobywając na wrogu szacunek dla siebie to będzie nasze najwალniejsze nad nim zwycięstwo!

Zresztą panowie przybywacie ostatni znajdujecie grunt przez nas uprawiony wygodny czem się nie pochlubią inne powiaty a może i gubernie wszelkie dogodności jakie napotykacie bądź u władz bądź u mieszkańców zawdzięczacie nam czyliż więc nie słuszną abyście weszli w tęsamą rolę która nam dotąd tak pożyteczne dała rezultaty.

LXVIII.

Takie to były smutnej pamięci rozprawy na wygnaniu! Niestety nie wydały one pożądaných skutków. „Złota wolność”, jak widmo złowrogie i tam się dała poczuć! i stało się co się nieraz u nas zdarza pomimo przyznania słuszności naszym wywodom prywata wzięła górę i kilku warchołów przemogło.... To też i rezultat nie długo kazał na się czekać. Gdy bowiem w ciągu następnej zimy która już była czwartą w nasz em wygnaniu znaleźliśmy się wszyscy prawie w dniu Trzech króli na wieczorze u jednego z urzędników polaka który jako zacny człowiek solidaryzował we wszystkim z nami zaszła scena jakiej nikt nie przewidywał a która nas skompromitowała wszystkich.

W ciągu tego wieczora bawiono się jak zwykle: produkcje wokarno-instrumentalne gry towarzyskie rozmowa, zajmowały towarzystwo, jakkolwiek wiadomem było że amatorowie tańców pod rozmaitymi pozorami w ukryciu pozwalali sobie tej zabawy zowiąc z przekąsem purytanami tych wszystkich co byli im przeciwni. Rozumie się że po ich stronie były młodsze panie.

Otóż po kolacyi tak się zdarzyło, żeś się znalazł w pokoju przyległym do salonu w którym się bawiono w towarzystwie pewnej pani poważnej wiekiem i stanowiskiem jakie zajmowała w kraju. Siedzimy więc na kozetce i gawędzimy. Wie pan co powiada mi ja się boję żeby oni po tylu toastach których nie żalowali sobie przy wieczerzy nie splełali nam na odchodnem figla zauważałam jakieś szepty między pannami to źle wróży. Wątpię aby to mogli zrobić przez sam wzgląd na gospodarzy którzyby pewno nie życzyli abyśmy w ich domu doznali przykrości i aby ich samych o udział w tem posądzono, byłaby to już niedelikatność nie do darowania. Zaledwie te słowa wymówił zagrzmiął fortepian stuknęły hołubce i pomknął się dziarski mazur zawrzało wszystko.

Spojrzałem na moją sąsiadkę zbladła chciała powstać zachwiała się i zemdlła. Powstał zamęt, bo oto gdy w sali kipi w najlepsze mazur a obok w pokoju krzątania by ocucić zemdloną wpadają obyczajem karnawałowym z ulicy maski. Łatwo sobie wyobrazić zgiefk konfuzyę i gorzkie uczucie upokorzenia jakie wśród nas zapanowało. Po takiej lekkomyślnej swawoli i kompromitacji która była jej koroną nie można już było mieć nadziei utrzymania nadal jakiegokolwiek w nasz em kole harmonii. Potworzyły się

koterye patrzano na się z ukosa i tylko dom Lubiczankowskich w którym była szkoła pozostał odtąd jedynym punktem gdzie się stykały czasem niechętne sobie żywioły a i tam trzeba było nieraz walczyć z wyznawcami pozytywizmu aby uchronić dzieci od tej przedwczesnej dla nich erudycji. Jednem słowem zgoda jedność i spokój spłoszone anarchią uleciały bez powrotu.

Nastąpiła więc zmiana frontu na całej linii naszej egzystencji. Dysonans raz zbudzony nie przestawał drażnić nerwów. Pożegnał też nas wkrótce i Łazarew udając się gdzieś aż do Turkestanu. Na jego miejsce dano p. Łaszczyńskiego, zruszczonego polaka. Jako sprawnik był nam dogodnym tembardziej że był pomocnik sprawnika a wróg nasz został za wyrządzoną nam przykrość o co podaliśmy nań skargę przez gubernatora wydalony. Wyjechał też i Kibort otrzymawszy pozwolenie przeniesienia się do Woroneża, przysłano zaś kilka innych osób ze stanu ubogiej zaściankowej szlachty. Tuliło się to biedactwo na razie do tych którzy mieli coś do ofiarowania zanim się nie znalazła dla nich robota. Wraz z nimi przywieziono Łopatę z rodziną a za tym przyjechał Mazaraki z Podola.

Odtąd życie płynęło posępną strugą bo go już nieurozmaicała ani nowość położenia ni jakakolwiek podtrzymywała nadzieja. Tęsknota jakby zmore dusząca dławiała ducha i ciało. I jeżeli jej nie uległ zawdzięczał to przeważnie ukochanej dziatwie. To też myśl że mi przyjdzie ją rzucić, bolała mię niewymownie. Zdrowie bowiem moje od lat dwóch zachwiane coraz większą budziło obawę. Potrzeba zmiany klimatu i opuszczenie wilgotnej ołonieckiej miejscowości, uznana i zalecona od lekarzy stała się konieczną. Po wielu więc wahaniach jakkolwiek ciężko mi to przyszło nie zwlekając dłużej napisałem do gubernatora z dołączeniem prośby do ministra o pozwolenie przeniesienia się dla poratowania zdrowia na południe Rosji do Odessy lub Ekaterynosławia. I oto we dwa tygodnie dzięki poparciu gubernatora otrzymałem pomyślną odpowiedź, pozwolono mi przenieść się do Ekaterynosławia.

Wiadomość tę w innych okolicznościach pożądaną przyjąłem z bólem serca na myśl o rozstaniu z tymi których ukochałem których zwałem dziećmi mego ducha. Płaciły mi też one hojnie swem przywiązaniem. Ale sumienie kazało ratować się dopóki była pora był to obowiązek miałem jeszcze matkę.

Otwierał się więc przedemną nowy nieznany i wręcz przeciwnej natury świat. Z dalekiej północy miałem się przenieść na najdalsze południe Rosji z pod białego ponad czarne morze.

Po drodze miałem ujrzeć Litwę!

Kilka dni zabrały przygotowania do podróży. Odbić ją mieliśmy we czterech bo Reut i Janiszewski otrzymali również pozwolenie udania się do domu jeden w okolice Połocka, drugi na Podole. Nadszedł też i Paszkowski mój korespondent z Kargopola w podróży do Petersburga. Więc i on zabierał się z nami. Postanowiliśmy jechać na t. z. „dołhich*).

*) „Na długich” znaczy podróż najętą furmanką z popasami.

Dzień ostatni poświęcony był pożegnanom. Żegnałem wszystkich i wszystko z czem się zrosłem w ciągu lat czterech. Dziwna bo to własność pamięci serca. Co niemiłe zaciera się w niej prędzej lub później pozostawując nieraz zaledwie jakiś ślad jakby ślad zagojonej blizny. Przeciwnie, to co było miłe pozostaje co więcej im dalej w głąb czasu się zasuwa im chmurniej dokoła tem jaśniej świeci we wspomnieniach. Gdy wróciłem do siebie aby wieczór ostatni w domowym kółku przepędzić zastałem w moim pokoju Bronię i Józię. Kochane dziewczeczki w smutnym nastroju krzątały się nad moją wyprawą. Spisywały i układały rzeczy do drogi. Spojrzałem na rejestrzyk spisany ręką Broni były na nim ślady łez! O jakże łzy te dały mi żywo poczuć że samotny w życiu znalazłem tu wśród niedoli rodzinę i że ją tracę. Biedne dzieci pomyślałem jakąż przyszłość was czeka! Będę mógł się przyczynić tam gdzie o losach naszych stanowią by was ztąd wyrwać?! Nie przewidywałem że gdy ta chwila nadejdzie połowa ich zostanie na cmentarzu a Józia nasza ukochana pianistka nasza chluba i pociecha w poranku życia wiosny pożegna wprawdzie Ołoniec ale znajdzie grób na Powązkach*).

Po chwili serdecznej pogadanki i pieszczoty zeszliśmy na dół aby zasiąść razem w swoim kółku zwykłym przy stoliku co tyłu naszych zajęć i rozrywek był świadkiem. Próbowali mi zagrać coś z

ulubionych mi rzeczy ale już to nie szło usta chciały się śmiać ale co chwila oczy zachodziły łzami. Nie uszło to mojej uwagi to też połykając własne łzy myślałem:

- o jakże to trudno wyrwać się z serdecznego koła!

No mój Edwardzie rzecz Lubicz (tak go zwaliśmy zwykle) wypuszczamy ciebie stąd jak owego biblijnego ptaka w potopie co to już nie miał wrócić do korabia przyslij-że nam przynajmniej zieloną gałązkę bracie kochany a pamiętaj że zostawujesz tu serca na zawsze ci oddane.

Z tej więc temy i połączonej z nią nadziei wydobyć ich z Ołońca i wyrobienia u władz przeniesienia do Królestwa gdy już nie wolno było do Litwy przegawędziliśmy do późna a gdy przyszła pora pożegnać się na „dobranoc” gdy powiedział że jutro nie posłyszę już ich wieczornego pacierza z którym zwykle lubiłem łączyć moją modlitwę taki nas wszystkich ogarnął żal taki płacz powstał że tylko myśl iż mój wyjazd przydać się im może dodała mi siły aby się nie cofnąć i nie pozostać z nimi.

*) Józia umarła z suchot w Warszawie.

Nazajutrz nad wieczorem opuściliśmy Ołonec. Było to 11 stycznia 1867 roku. Przeprowadzała nas cała prawie kolonia do pierwszej stacji w Megredze. Mróz zelżał - więc i cała rodzina Lubiczankowskich brała w tym udział. Jechałem z nimi. Nareszcie rozstaliśmy się.

Dziwne losy! mógłbym się spodziewać wjeżdżając poraz pierwszy do Ołońca że go opuszczać będę ze łzami! O tak, płakałem...

LXIX.

Z dziennika podróży z Ołońca do Ekaterynosławia 11 stycznia 1867 r.

Jedziemy tedy. Ja z Paszkowskim w jednych saniach pokrytych budą Reut z Janiszewskim w drugich dwie drugie furmanki wiozą nasze rzeczy dokoła lasy i lasy noc. Z pośród rozdartych chmur gdzieś migocą gwiazdki jakby mrugając do siebie na widok czterech lichych budek wlokących się powoli a w nich czterech rozbitków których los twarde zmusił ciągnąć się „na dołhich!” Ujechawszy mil parę gdy się uspokoił nieco powiadam do mego towarzysza. Gdyśmy się żegnali „w pieresylocznoy turmie” ktośby był powiedział że za lat cztery wracać będziemy razem, nieprawdaż?

Ba żebyż to wracać odpowie gdy tymczasem pan do Ekaterynosławia ja do Pskowa jechać musimy „pramym putiom!” (prosto). Wszakże dobre i to żeśmy się wydobyli z tej krainy wód

moczarów i mrozów a jeszcze bardziej z otoczenia co już nam ciężać zaczęło. O to prawda ale i to przecież czegoś warte że już tym razem bądź co bądź jedziemy sami bez błękitnych towarzyszy, a mamy przed sobą w perspektywie i dogodniejsze warunki życia i zbliżenie do kraju bo oba żyć będziemy na dawnych jego kresach: pan na północy ja na południu wprowadzić hak gosudarstwiennye przestupniki?!! zawsze jednak w warunkach prawdopodobnie lepszych niż dotąd.

A co pytam woźnicy jak się wam zdaje jadąc tak jak jedziemy kiedy staniam w Petersburgu? Jeżeli droga się nie popsuje odpowie bijąc sobie rękami po bokach dla ogrzania się to możemy być po jutrze. Może Bóg da że się wyjaśni bo mróz cisnąć zaczyna. Nie bardzo bym sobie tego życzył myślę w duchu bo chociaż mam na sobie kozuch barani i futro bobrowe cóżby to jednak znaczyło na wietrze i 30" mrozie. Wtem stój! stój! wołają z tyłu. Co tam? pytamy. Wóz wywrócił się!

No tylko tyle myślałem że zbójcy napadli, rzecz Paszkowski ależ tu przecie o nich nie słyhać, rzadko się nawet zdarzają wypadki kradzieży w całej Karelii. Zabytek to może praw szwedzkich dodałem które karały złodziei ucięciem ręki. U nas przez ciąg lat czterech raz jeden tylko zdarzyło się że skradziono z sieni, w czasie naszych wieczornych zebrań salopę pewnej pani i oto po paru tygodniach zjawia się żołnierz z salopą i powiada że ją znalazł. Oczywiście gdy nikt jej nie kupił, podejrzewając pochodzenie wołał odnieść licząc na otrzymanie znaleźnego.

Gdy wóz podnieśli rzeczy ułożyli co się nie mogło obejść rozumie się bez klasycznego rosyjskiego zaklęcia które jako avant coureur ruskiej cywilizacji najłatwiej przyjmuje się w podbitych przez nią krajach ruszyliśmy dalej.

Było już około północy gdyśmy stanęli przed gospodą (postojały dwór) gdzie miał być nocleg. Stało tam już kilkadziesiąt fur siana. Zły to znak myślę bo tyluż ludzi musi być w izbie. Wchodzimy. Uderzył nas naprzód niewypowiedziany zaduch z dziegciu ryby tytoniu, dalej oczom naszym przedstawił się

następny widok: w obszernej izbie oświeconej zaledwie migotnym blaskiem pełgającej przed obrazem lampki leżało kilkudziesięciu chłopów bez posłania jakby drewna rzędami rozciągniętych na ziemi. Wszystko to spało snem kamiennym. Chrapanie i majaczenie zdradzało jedynie że to byli żywi ludzie. Widząc że tak szczelnie zapełniona izba pytamy:

- Czy nie można by mieć osobnej stancyi?

Jest jest miłości prosim. I oto wprowadzają nas, po niełatwej przeprawie przez szeregi śpiących do małej izdebki której połowę zajmuje ogromne rodzinne łóże mieszczące całą rodzinę gospodarza. Pytamy więc gdzie jest ta izba osobna? A wot Mieś izwoltie (a oto tu bardzo proszę).

A gdzie tu i na czym położyć się w tej izbie ? pytamy znów nie widząc ni łóżka ni ławy. A wot na pału (a ot na ziemi). Krótko i węzłowato.

Nie było nic do wyboru więc nie tracąc czasu, dalejże jeden kozuch pod siebie drugi na siebie czapkę pod głowę i tak uekwipowani podług miejscowego komfortu nie pytając już o nic więcej padliśmy w objęcia Morfeusza.

Nie pamiętam czym kiedy spał lepiej. Gdy nas zbudzono, już był dzień izba wielka była już pusta pozostał w niej tylko „wozduch"... Przy wyjeździe zapłaciliśmy zań dwa ruble sr. co wyniosło po pół rubla od nosa. Na zapytanie Reuta który jako praktyczny gospodarz był intendentem wyprawy dlaczego i za co płacimy tak drogo gdyśmy nic w gospodzie nie brali odpowiedziano że płacimy za wozduch i osobuju komnatu (za ciepły i osobny pokój).

Ranek był mroźny. Po drodze utartej furami siana dostaliśmy się prędko do Ładiejnego Pola gdzieśmy się posilili i ogrzali w dość schludnej traktynie. Po herbacie ruszyliśmy dalej. Ku wieczorowi zerwał się wiatr z zadymką. Tu dopiero zaznaliśmy biedy. Jedyna bo to miejscowość, gdzie bez przeszkody szaleją wichry. Z jednej strony Ładoga z drugiej Onega a w pośrodku ogromne rzeki Swir i Wołchów toż to nie lada przestrzeń dla rozhulania się zamieci.

Całą dobę trwała zawierucha. Czegośmy doznali zanim udało się nam późno w noc dobić się do Nowej Ładogi tego już wypowiedzieć niepodobna. Wieleż to razy gdy literalnie świat zniknął z przed oczu trzeba było pomagając ludziom tarzać się w śniegu by podźwignąć wywrócone wozy. Wieleż razy aby ulżyć koniowi co się z ostatnich sił wybijał trzeba było iść pieszo bez drogi kierując się jedynie dźwiękiem telegraficznego drutu co był jedynym głosem i przewodnikiem w tej śnieżnej pustyni. A jednak ten cichy drżący szept druta to był głos pożądany głos cywilizacji głos znany co z pośród wycia rozpasanych żywiołów zdawał się mówić: O! wy wszyscy którzy cierpicie niewinnie wy prześladowani nękanie za prawdę nie traćcie nadziei podnieście czoła! Przyjdzie czas sprawiedliwości Bożej padną ciemiężcy zgnębiona ludzkość odzyska swe prawa i wasza zmieni się dola!...

Taka to była nasza podróż. Widocznie żegnała nas północ tem co w niej najznakomitsze było: mrozem i zawieją. Nareszcie po takich i tym podobnych przeprawach znękanie zmaltretowani do nec plus ultra piątego dnia a była to niedziela ze wzgórza okolicy Pargałowa ujrzelismy Petersburg. Złocene kupuły stolicy jakby naigrawając się z naszych przygód migotały wesoło kąpiąc się w blaskach słonecznych. Gdyśmy stanęli u rogatki było już południe. Tu pożegnaliśmy się z Paszkowskim i Janiszewskim, którzy podążyli na kwaterę do znajomych. Ja zaś i Reut pociągnęliśmy do znanej mu gospody utrzymywanej przez Polaka, gdzieś na rogu Wielkiej morskiej i Garochowej.

Minęła godzina zanim wlokąc się powoli wybrzeżem kanału dojechaliśmy do miejsca gdzie u Aniczkina mostu trzeba było przeciąć Newski prospekt aby się udać dalej w głąb miasta. Zegar wieżowy wydzwonił pierwszą. Był to więc czas zwykłego spaceru eleganckiego świata na newskim. Tłumy pań i panów w wykwinnych zimowych toaletach, wesoło gwarnie przeciągają po szerokich trotuarach tej pysznej ulicy co jakby mleczna droga roi się i błyszczy w tej chwili od blasku swoich gwiazd i przepychu sklepowych wystaw. Liberya w bogatych futrach powozy o pysznych zaprzęgach brodatych stangretach ciągną za nimi krokiem. Środkiem tylko ulicy jakby jaskółki migają lotne jednokonne saneczki „na rysakach".

Widok pyszny. Patrząc na to myślę mimo woli azaliż nie jest snem to co widzę lub też to com widział niedawno. Wtem patrząc posypały się w górę chłopskie czapki zakipiało w ciżbie koło mostu i oto w mgnieniu oka, przemknęły sanki o siwym rysaku a w nich ktoś mignął w wojskowym ubraniu. Domyśliłem się kto to był.

Gosudar! gosudar! ura!! zawołała czerń. A była to chwila właśnie w której wjeżdżaliśmy na newski prospekt. Zaprawdę źleśmy ją wybrali. Zdarzyło się tu bowiem jak się to zdarza niekiedy w dramacie że efekt był zanadto jaskrawy. Ofiary caryzmu i car o mało nie spotkały się oko w oko. To też dwie budy oszarpane, nędzne wydać się musiały stróżom porządku jako dwie szkaradne plamy na tym świetnym szlaku bo jednym razem gdy nas spostrzeżono policja żandarmi i już nie wiem kto więcej rzucają się ku nam jak wściekli wołając procz! procz! ubierajcieś k czortu. Gosudar siejczas budiet nazad.... (Precz precz do djabła. Cesarz wraca zaraz).... I oto jednej chwili pędzą ciągną niosą i zanim spostrzeżliśmy się wyrzucają nas het gdzieś w odległy zaułek.

A no powiada Reut gdyśmy się po przenosinach wysapali oczywiście nie chciano cesarzowi popsuć apetytu do śniadania.

Niech mu tam będzie na zdrowie powiadam szkoda tylko że po raz drugi spotyka mię tak niespodziane przyjęcie w jego stolicy. Gdym do niej wjeżdżał przed czterema laty o mało mię nie udusiła banda burłaków w uścisku bratnim teraz znów usłużna policja tak nas gorąco w objęcia swe przyjęła tak żwawo ułatwiła nam przejazd że doprawdy chciałoby się jej powiedzieć słowami Taylleranda: „point de ze le Messiers” Mości panowie nietak gwałtownie!... po co taka gorliwość? W każdym jednak razie gdy już nam sądzonem było być dzisiaj plamą na newskim prospekcie to łatwiej im pono udało się wyrzucić tę plamę z ulicy niżby ją przyszło wytrzeć z karty dziejów ich dobrego cara....

LXX.

Petersburg w 1867 roku wcale inną miał postać niż w ostatnich latach panowania cara Mikołaja. Wypieszczona przez niego gwardya wyćwiczona armia którą był tak dumny po upokorzeniach wojny krymskiej zakończonych tragiczną jego śmiercią nie znalazły już w jego następcy równej zachęty i poparcia. Na miękkiej i wrażliwej naturze młodego cara zanadto ciążyła pamięć nieustannych ojcowskich przeglądów manewrów itp. aby jego sybarytyzm miłujący przedewszystkiem spokojne użycie.... mógł podobać w tej ciągłej zabawce „w żołnierzy”. I jeżeli się jej od czasu do czasu oddawał czynił to więcej z obowiązku z tradycji, niż z zamiłowania.

To też nie mogło to nieoddziaływać i nieodbić się na wojsku. Gdy zaś weźmiemy w rachubę duch czasu który przenikając warstwy społeczne powoli lecz stale pod wpływem takich myślicieli jak Bukle i jemu podobnych, w owej epoce szczególnie podkopywał militarystykę jeżeli dodamy wynalazki eksplodujące które uczyniły zbyt cennym bohaterstwo indywidualne a obok tego jeżeli przypomnimy powodzenia późniejsze dyplomacyi Gorczakowa która w sprawie polskiej zmusiła całą prawie Europę do milczenia bez wystrzału to dziwić się nie będziemy że w nadnewskiej stolicy mundur wojskowy stracił wiele ze swego dawnego uroku i jeżeli nie ustąpił stanowczo to już nie zaćmiewał więcej przedstawicieli fraka i białej krawatki.

Wprawdzie czas jakiś po uśmierzeniu ruchawki 1863 r., była moda pobrzękiwania szablą spuściwszy ją poniżej kolana szczególnie na trotuarach Warszawy, ale gdy zrobiono gdzieś za granicą uwagę że tej rycerskości ulicznej wcale nie usprawiedliwiała ani nierówna walka na polu bitwy gdzie uorganizowana armja miała do czynienia z wycieńczoną głodem i chłodem garstką partyzantki ani też nie przynosząca zaszczytu dla oficerów rola zbirów*)

w sądach więzieniach komisjach śledczych itp. zaprzestano tej śmiesznej donkiszoteryi.... Oczywiście przeczuwano Plewnę....

Co się zaś dotyczy usposobienia społeczności w najszerszych jej kołach rzecz się przedstawia następnie:

Po zamachu Karakozowa jak się było można spodziewać wionął wiatr inny. Niedowierzanie baczność, weszły na porządek dzienny. To też serwilizm w najobszerniejszym znaczeniu słowa znalazł tu dla siebie wdzięczne pole dość przypomnieć do śmieszności posunięte owacy, wyprawiane w całej Rosyi na cześć Komisariewa przezwanego „Spasitielom Spasitiela” **)!? A

tymczasem zauważano, że się coś niedobrego święci coś się psuje w maszynie caryzmu, że jest coś co grozi nie na żarty. Zaczęto się rozglądać i spostrzeżono że rzeczywiście jest niebezpieczeństwo i że źródła jego nie w Polsce należało szukać. Zniesiono generał-gubernatorstwo wojenne w Petersburgu, rozszerzono zakres działalności policji dodając ministerstwu spraw wewnętrznych oddział

„ispołnitelnoi policyi”. Nihilizm wprawdzie swej firmy jeszcze nie wywiesił ale go czuć już było w powietrzu bo praktykowano go już w Polsce i Litwie.

*) Podczas czytania w grodzieńskiej komisji wyroków skazujących na katorgę i Sybir więźniów stanu oficerowie członkowie tej komisji urządzali między sobą farsy np. przypinali jedni drugim wystrzygane figurki na plecach - i tym podobne figielki.

**) Zbawca zbawcy aluzja do oswobodzenia ludu.

Dzięki bowiem podszeptom usłużnego sąsiada pierwszą oddano na łup experimentalnej wiwisekcji Milutinowi drugą zgłodniałej zgrai murawjewskich siepaczy. Odtąd losy Litwy zależały już jedynie od indywidualnego usposobienia jej wielkorządców, że zaś we wszystkim kierowano się systemem tu i tam miano jedno na celu: obruszenie a więc zgnębienie szlachty i poróżnienie jej z ludem.

Zapyta kto może: jakież był moralny nastrój ówczesnej społeczności jakie były jej dążenia ideały? i czy były jakie?

Odpowiedź na to podają fakta.

Co do pierwszego: jeżeli probierzem moralności publicznej ma być rodzina a przykład z góry oddziaływać ma na dół to dość przypomnieć stosunek cara z księżniczką Dołhor....

który nim został ulegalizowany wobec świata małżeństwem trwał przez lat kilka to jest do śmierci carowej którą choroba piersiowa spowodowana prawdopodobnie nadmiarem goryczy domowego pożycia wpędziła do grobu.

Co do pragnień i ideałów rosyjskiej społeczności o tych wymownie i z niepospolitym talentem o ile to było możebne opowiedział Turgeniew w znakomitych powieściach „Dym” oraz „Otcy i dieti”. W nich to ktokolwiek umie czytać pomiędzy wierszami znajdzie wypowiedzianą boleść zawodu nadziei zbudzonych w początkach panowania tego cara co się potem rozwiały jako dym i zapowiedź groźnej przyszłości. Sprawdziły to też w części zaszłe wypadki a wśród tych wypadków dały do myślenia owe wielkie isticie rzymskiej miary charaktery jakie świat podziwiał w postaciach Żelabowa Perowskiej i tylu innych co syci fałszu u góry ze słowem prawdy zstępowali z wyżyn społecznych w niziny szli w naród. Odtąd już cele i dążności postawione zostały otwarcie i jasno nihilizm odsłonił przyłbicę a wkrótce za tem katastrofa 13 marca dała poczuć przedsmak „Narodnej woli”. Tleje tam podobno towarz. sławianofilskie z pretensją kierowania losami Słowian lecz gdy te własnych pęt dotąd rozerwać nie umie może być branem na seryo od innych. Rezultaty wojny wschodniej aż nadto tego dowiodły....

LXXI.

Pierwsze kroki po krótkim wypoczynku zwróciłem do biura oberpolicmajstra w celu uzyskania pozwolenia zatrzymania się w Petersburgu dla kuracji która po odbytej podróży tym razem stała się niezbędną. Oberpolicmajstrem był Trepów. Gdy mu opowiedział o przebytej drodze i tej jaka mię jeszcze czekała w porze roku tak surowej gdy mu zarazem przedstawił że jako malarz, zatrzymawszy się w Petersburgu mógłbym ten czas zużytkować na zrobienie kopii z obrazów Ermitaża coby było pożądanem dla moich nadwierzonych finansów uznał słuszność mej prośby i pozwolił pozostać do czasu wyzdrowienia a ewentualnie do wiosny.

Tak więc chociaż mię ciągnęła tęsknota do Litwy przemogła jednak obawa narażenia zdrowia nadzieja wykołatania czegoś dla Lubiczankowskich a zarazem i nadzieja zdobycia do dalszej podróży potrzebnych resursów.

Nie tracąc zatem czasu po wyprawieniu Reuta do domu, przenieśliśmy się na stałą kwatere.

Z jaką radością gotowałem się powitać na nowo świat sztuki z którą prawie zerwałem był w Ołońcu. Ermitaż, galerie akademii której byłem uczniem ileż mi przypomniały chwil miłych spędzonych tam wśród pracy. Uśmiechała mi się nadzieja znalezienia znowu tej błogiej ciszy tego ukojenia w sobie któremu nie znał oddawna a których siedlisko znane mi było w tej przystani pokojowej poświęconej Wspomnieniom zbliska i z daleka.

...pielęgowaniu piękna. Miał to być wypoczynek dla ducha zanim miałem ujrzeć Litwę....

Śród nie wielu znajomych znalazłem kilku moich dawnych uczniów ze szkół nowogródzkich których tam ściągnął uniwersytet lub instytut technologiczny a że należeli do liczby moich ulubieńców ucieszyło mię ich spotkanie. Pocziwie chłopaki nie odstępowali mię przez ciąg pobytu w stolicy.

Zamówiwszy więc sobie płótno do kopii ze znakomitego obrazu Murilla: „Ucieczka do Egiptu” wziąłem się do krzątania w interesie Lubiczankowskich. Zacząłem od senatora hr. Kellera byłego mińskiego gubernatora którego stosunek osobisty z tą rodziną dawał nadzieję niejaka że jej zechce być pomocnym. Omyliłem się jednak tak jakem się omylił i na wielu innych którzy mi byli wskazani jako tacy coby mogli coś dla niej zrobić. Myśl przesiedlenia w charakterze urzędowym lekarza do Królestwa okazała się niewykonalną przynajmniej w bieżącej chwili. Przytem czuć było że wszyscy już byli zanadto znużeni i mieli zadość w ciągu lat czterech tylu nieustannych próśb zabiegów, instancyi w sprawie wygnańców których krocie wzywały o litość lub sprawiedliwość. Gdy więc ktokolwiek z nich znalazł gdzieś przytułek i kawałek chleba jakto się najczęściej zdarzało lekarzom nie spieszo z polepszeniem jego doli, kiedy tylu innych było bez sposobu do życia. Wszakże tu i ówdzie robiono nadzieję kazano czekać. Tak ubiegło dni kilka podczas których w antraktach uciążliwej roli suplikanta i adwokata cudzej sprawy korzystając z resursów stolicy ścierałem z siebie powoli osiadłą rdzę w ciągu lat czterech. Po dniach dziesięciu otrzymuję wezwanie oberpolicmajstra. Przychodzę i oto co słyszę:

Zgodziłem się powiada mi Trepów abyś pan zatrzymał się w Petersburgu okazało się jednak że to jest niemożliwem chyba otrzymałbyś na to pozwolenie od pana ministra lub naczelnika (szefa) żandarmów. Zatem jedno, co mogę panu poradzić to abyś niezwłocznie podał o to prośbę, z dołączeniem świadectwa od lekarza gdyż inaczej będziesz pan musiał niezwłocznie opuścić stolicę.

Ha nie było rady więc dalej-że pisać prośbę do ministra. Napisałem krótko w kilku wierszach żem chory na oczy że podróż tak daleka w porze tak surowej byłaby dla mnie ryzykowną nareszcie żem artysta-malarz, dla którego wzrok jest wszystkim. Że zatem proszę o pozwolenie zatrzymania się do wiosny.

I oto w dniu recepcyi jestem w sali audyencyjonalnej p. ministra i czekam wraz z innymi wyjścia Jego Excellencyi. Mając czas rozpatruję się dokoła. Uderza mię naprzód ogromem swych rozmiarów karta geograficzna Rosyi rozpięta na sztaludze jakby dla przypomnienia że tutaj to właśnie decydują się twe losy biedny Polski synu! Dalej widzę kilkanaście osób kobiet i mężczyzn z prośbami w ręku siedzących dokoła. Troska u jednych nadzieja u drugich u wszystkich niepokój patrzy z oczu. Jakiś generał w huzarskim uniformie widocznie się niecierpliwi pobrzękuje to szablą to ostrogami bo godzina zapowiedziana dawno już minęła. Od czasu do czasu jacyś dygnitarze młodzi, starzy a wszyscy udekorowani z papierami pod pachą przesuwają się i nikną gdzieś w dalszych komnatach a musi im być pilnie bo na zapytanie krótko odpowiadają i to tylko wtenczas gdy je zrobiono po francuzku. Jakiś młody

urzędnik z gwiazdą na piersi przechodząc wita jedną z młodszych pań zapewnia że jej sprawa dobrze stoi i po kilku francuzkich frazesach nagrodzony wdzięcznym uśmiechem znika też wraz z innymi. Nareszcie rozwarły się podwoje wchodzi minister Wałujew. Wysokiego wzrostu, sztywny podżyty z wyrazem znużenia na twarzy przypominającym angielskiego lorda wszedł z miną człowieka któremu obowiązki nie dają spożyć śniadania. Powstali wszyscy zaczęła się audyencyja. Mówiono po rusku.

Gdy z kolei zbliżył się do mnie podałem mu prośbę przyjął oddał sekretarzowi i pyta mię:

Czego pan życzy?

Nie przygotowany do ustnego tłumaczenia się opowiedziałem treść mojej prośby. Szło mi to jakoś nieskładnie, bo należę do kategorii ludzi o których się mówi że posiadają esprit d'escalier t. j. że im najczęściej przychodzi koncept po niewczasie. Wysłuchawszy coś mi odpowiedział w sposób niejasny więc mu znów powtarzam żem chory na oczy i że jako malarz mam obawę narażenia wzroku w tej podróży.

A on mi na to rzecze szorstko: - dajcież mnie razuznat ab was! (Pozwólże pan wywiedzieć się o sobie!) i to powiedziawszy pociągnął dalej. Na tóm się zakończyła moja audyencyja u p. ministra. Kiedym odchodząc przestępował próg tej sali trudno było nie pomyśleć: wieleż to leż naszych matek i sióstr, w ciągu lat czterech widziały jej ściany! i o jakże to drogo i jak długo opłaca ludzkość owe sławne i praktykowane dotąd „raison d'etat...”.

Kilkanaście dni następnych zeszło na zabiegach kłopotach przenosinach z kwatery na kwaterę aby umknąć z oczu policyi która nagliła mię do wyjazdu a od czego jam się zastaniał koniecznością wyczekania odpowiedzi ministra.

Jednem słowem w ciągu tego czasu a były to ostatnie dni karnawału poznałem zbliża tę tak nam boleśnie pamiętną drogę krzyżową wydeptaną przez krocie nieszczęśliwych naszych braci. Nareszcie zakomunikowano mi odpowiedź ministra odmowną i zarazem wzięto podpisę że w ciągu trzech dni wyjadę.

Rozbiły się więc moje artystyczne marzenia i nadzieje na wypoczynek, natomiast niemoc po tylu kłopotach zawodach zmęczeniu ośwładła całym organizmem. A dodać trzeba, że zima była nadzwyczaj surowa i niestała i nie było nocy, żeby kilkunastu nie zmarzło „zwozczyków”. Trzeba było wszakże jechać. Gdy zaś była obawa że również nie pozwolą mi zatrzymać się na Litwie poradzono udać się do generała Baranowa świeżo zamianowanego wielkorządcą Litwy, po Kaufmanie. Chory zgryziony zaledwie włączając nogi udałem się do niego z prośbą by mi pozwolił zatrzymać się do wiosny na Litwie. Przyjął mię. Na zapytanie za co byłem zesłany odpowiedziałem że jestem jeden z tych wielu, którym to nie powiedziano. Wzięto ię w nocy z łóżka pomimo że mię komisya usprawiedliwiła i uwolniła.

Ale przecież cóż miano przeciw panu? mów pan szczerze.

Miano mię podług brzmienia papierów co mi towarzyszyły za osobistość wpływową.

Spojrzał mi w oczy i rzekł z uśmiechem: O to wiele to więcej niż gdybyś pan partją dowodził.

To rzekłszy pożegnał mię mówiąc: że pojutrze ma być w Wilnie i że tam otrzymam jego odpowiedź.

A więc nie czekając dłużej w obawie aby mię choroba nie powaliła na łożę i nie wpędziła do grobu na obcej ziemi nad wieczorem tegożsamego dnia wsiadłem do wagonu przeprowadzony od moich kochanych uczniów i w imię Boże wyjechałem do Wilna.

LXXII.

Podróż nad wszelki wyraz była uciążliwa. Jechałem 3cią klasą. Mróz dociskał, gołe ściany wagonu pokrywał jakby politurą lód. Po drodze nic nie widziałem bo szyby okien były zamrożnięte, nie wysiadałem też przez noc całą w obawie przeziębienia i dopiero nazajutrz koło Dynaburga powitałem Litwę. Po południu stanąłem w Wilnie.

Ból piersi i oczu zmusił mię wezwać lekarza i całą dobę pozostać w pokoju gdym się poczuł nieco lepiej, wybrałem się do biura wojennego gubernatora. Już też był i Baranów przyjechał. Na szczęście udało mi się trafić do jednego z wyższych urzędników niejakiemu Jakowlewu który gdym opowiedział o co idzie upewnił mię w sposób wielce uprzejmy że doloży starań by się zadość stało mej prośbie. Jakoż gdym przyszedł nazajutrz już był papier podpisany który mi oddając powiedział: że jeśliby wypadła potrzeba pozostania dłużej mam w takim razie przestać mu telegram z prośbą a on mi najsolenniejsz przyrzeka wyrobić prolongatę.

Ujęła mię ta uczynność nieznanego człowieka niewypowiedzianie szczególnie po tem wszystkim czegom doświadczył w Petersburgu. To też żegnając serdecznie mu dziękowałem tem bardziej że była i bezinteresowną i niespodzianą. W Wilnie znalazłem kilka znajomych rodzin przybyłych ze wsi a wśród nich ks. Radziwiłłów z Połoneczki. Miłe to było lecz o jakże smutne nasze spotkanie. Przygnębienie pochyliło wszystkich przedwczesną starością. Byli też i tacy co pozbywszy się Murawjewa i Kaufmana w nadziei że już się złe przebyło radzi byli nieco się rozerwać i zabawić. Spotkałem J. Pileckiego Rajmunda Mączyńskiego*) dawnych przyjaciół więc pogwarzywszy po dawnemu przygotowany do tego co miałem wkrótce własnymi oczami zobaczyć nie zwlekając więcej wzięłem pocztę i znanym traktem z pod Ostrejbramy puściłem się do Nowogródka. Stacje: Jedlina, Soleczniki, Lida, Łopienica, Niemen, Nowiny ileż to wspomnień miły Boże! spotkało mię naraz. Nazajutrz nad wieczorem ujrzałem zdała Nowogródek.

Zmierzch już zapadał gdym przejechawszy rynek wjechał do Warszawskiego hotelu. Z jakim uczuciem stanąłem na ziemi nowogródzkiej o tem mówić nie będę. Zaledwem wszedł do numeru i zrzucił futro wpada kilku żydów i żydówek poznali mię i dalejże witać i ścisnąć!

*) Znakomity fortepianista i nauczyciel muzyki umarł w Wilnie 1873 roku.

Wkrótce nadeszli i inni z małej liczby znajomych co jeszcze tam dosiedzieli. Witano mię jakbym wrócił z drugiego świata. Nikogo bowiem nie uprzedziłem o przyjeździe w obawie zawodu i niepewności kiedy to nastąpićby mogło. A więc pytania oglądanie itd. i to bez końca bez końca...

O tak czułem się wśród swoich! To też i nie mogłem nie pomyśleć że bądź jak bądźnic nie przepada, Co jak ofiara na ołtarz się składa! (W. Pol).

Nazajutrz po mszy św. w kościele gdzie się dochował niejednen ślad pracy mojej udałem się do proboszcza ks. Puchalskiego*) z prośbą by mi otworzono moje dawne mieszkanie. Nie bez wzruszenia mając w żywej pamięci ostatnie z niem pożegnanie zbliżyłem się do progu z którego w ciężkiej chwili rozstania dojrzałem błogosławiącą rękę zacnego kapłana. Wszystko mi teraz stanęło przed oczyma: i ta pogodna atmosfera mojej pracowni i te moje ulubione planty kwiaty krzewy którymi byłem tak dumny i te uroczne dźwięki organu tak poważne wspaniałe co dolatując kościoła ze śpiewem ludu tyle mi wśród pracy dały chwil podniosłych i ten spokój któremu tam zakosztowałem i ten nawet pies wierny co mię do ostatniej nie opuścił chwili wszystko mi tu naraz odżyło w pamięci! Nareszcie wchodzę i jakież widok mię uderza!

To miłe i tak poetyczne niegdyś ustronie przedstawiało obraz rudery! Połamane meble potłuczone okna rozbite piece powydzierane z ram i blejtramów obrazy rozrzucone na podłodze rysunki etudy papiery rozdrapane przyrządy malarskie ukazały zdziwionym oczom, czym jest spustoszenie dokonane mściwą ręką pastwiącego się nad bezbronnym wroga. Ścisnęło mi się serce nie pytałem już o nic więcej i zabrawszy co można było jeszcze ocalić wyszedłem przymknąwszy drzwi jak się przymyka wieko trumny w której zgnilizna objęła swe panowanie.

*) Zesłany później do łoneckiej gubernii.

Jakże to prędko odbywa się proces zniszczenia tam skąd ustąpi życie! mówię do proboszcza. Toż to za ledwie cztery lata jakem stąd wyszedł...

Tak tu wszystko zastałem odrzecze gdy te mury obejmowałem i odtąd nie pozwoliłem tu nikomu zaglądać. Powiadają że po wywiezieniu pana pomieszkano to przez kilka miesięcy było zamknięte i opieczętowane przez policję. Następnie przeniesiono tu bibliotekę. Kto zaś potem gospodarzył na pewno nie wiem bo jedni pomarli drudzy rozpierzchli się.

Po tej wizycie udałem się na zamek, szedłem mimo naszego niegdyś teatru tą samą drogą po której lat kilka chodziłem na lekcje do sąsiedniego z zamkiem gimnazjum i po której mię ztamtąd w asystencji wojska wyprowadzono. Pustka ruina nędza zewsząd wyglądały. Wszystko zmarniało. Gimnazjum skasowane ustąpiło miejsca lichej szkółce, rozegnano uczniów i nauczycieli dawnych, i ta chluba powiatu, te poważne mury rojące się do niedawna młodzieżą teraz jakby zakłute milczały złowrogo. Jedna tylko stara baszta zamkowa zwrócona ku północy wyszczerbionymi szczytami jakby widmo przeszłości wrosła w ziemię zdała się urągać zmianom jakie zaszły dokoła. Tyle ona już ich widziała!... O! gdzie słowa na wypowiedzenie co czułem patrząc na to!

Zaproszony od proboszcza na śniadanie a był to wtorek zapustny przyszedłszy o południu zastałem całą polonię. Witano oglądano mię dotykano się prawie niedowierzając oczom i aż dopiero pokazany urzędowy papier, dany mi jako paszport z podpisem jen. Baranowa przekonał a może nawet i uspokoił nie jednego żem ani w awanturniczy ani w cudowny nie zjawił się tam sposób. Pytaniom nie było końca a gdy już wszystkich zadowolniłem z większego przeszedłem z kolei sam do zapytań. I cóż się stało z naszą biblioteką i czytelnią co nam tyle pociechy przyniosła a innym tyle krwi napsuła?

Rozkradli ją zresztą brał tam kto chciał gdy nie było właścicieli odpowie Furowicz. Cóż się stało z kołem nauczycieli?

Dyrektor Czasznicki wkrótce po otrzymaniu dymisy umarł w Wilnie, inspektor Bielawski przeniósłszy się do Rosyi poderżnął sobie gardło inni straciwszy posady, poszli w świat szukając chleba gdzie oczy zawiodły. Pedel zaś Pszonkowski i sekretarz Kamiński przyjęli prawosławie i zapili się. A cóż się stało z żeńską pensją p. Wolfowej?

Zamknięto ją wraz po wybuchu powstania.

A nasze szkółki dla żydów żydówek rzemieślników?

Wszystkie zamknięto, gdyż posądzono Żydów o sprzyjanie powstaniu. Nawet piękna Soreta podejrzana o dostarczanie broni powstańcom musiała umknąć za granicę. A cóż się dzieje z naszym kapelmistrzem orkiestry, Dragatem.

Poderżnął sobie gardło z nędzy i rozpacz. Gdzież jest ks. Baszkiewicz niefortunny organizator nowogródzkiej partii.

Po rozbiciu w Nalibokach i straceniu Pustowskiego domniemanego dowódcy umknął w charakterze chłopca wiozącego smotę do Galicji a obecnie ma być podobno we Francji*).

A gdzie dr. Borzobohaty? Umknął również i jest teraz w Paryżu.

A doktorowie: Gnoiński Truskowski Wydźga? Pomarli.

*) Po powrocie z Francji - otrzymał miejsce kapelana na Podolu W Czerwonogrodzie u Sióstr miłosierdzia - i tam umarł z suchot,

- Gdzież nasze demonstratorki: pp. Woj... Dob... i ich sztab śpiewaków?

Pierwsza w Tobolsku drugie też gdzieś na Syberii. Wróblewscy zaś Bereśniewicz Narbut dr. Brzeziński wszyscy na wygnaniu. A nasze kościoły wieleż z nich zabrano i jakie?

W Nowogródku skasowano kościół i klasztor pp. Dominikanek. W powiecie kościoły: w Starojelnej w Niehnieviczach w Mirze w Horodyszczu w Zadwiei w Iskołdzi w Snowiu w Swojatyeczach w Krzywoszynie w Stwołowiczach. Ogółem dziesięć kościołów i tyleż parafii. Proboszczów jednych zesłano do Rosji drugich usunięto i zamieniono innymi. Cóż porabia wysoko-prepodobny otiec Iwan Czudowski, mój niegdyś kolega jako katecheta prawosławny w gimnazjum? Ten jeden prosperuje po dawnemu i po dawnemu pije drwiąc z pogardy Rosjan i Polaków odpowie dr. Siemiradzki. Przepraszam prosperuje też i drugi pański kolega ks. Biedrzyński i ten pono zajdzie daleko...*).

Ktoż tu jest marszałkiem po ustąpieniu zacnego hr. O'Rurka?*) i kto są inni urzędnicy po wydaleniu Polaków?

*) Mianowany został prałatem przez rząd w kapitule wileńskiej. W 1886 r. ozdobiony orderem.

**) Marszałkowie nowogródzcy po zaborze kraju:

1. Wereszczaka (ojciec Marylli) od 1796—1799 r.
2. Wierzejski od 1799—1808 r.
3. Korbut od 1808—1811 r.
4. Rdulowski Kazimierz od 1811—1814 podprefekt 1812 r.
5. Rajewski Franciszek od 1814—1817 r.
6. Wojniłowicz Józef od 1817—1826 r.
7. Wereszczaka Józef (brat Marylli) od 1826 1829 r.
8. Kaszyc Józef od 1829 naczelnik powstania w 1831 r.
9. Radziwiłł książę Konstanty od 1832—1835 r.
10. Wolski Mikołaj od 1835—1858 r.
11. Brochocki Władysław od 1858—1863 r. ostatni od wyboru marszałek.
12. Hr. O'Rurk Aleksander.

Marszałkiem jest niejaki N... N ..., urzędnikami są wypisani z Rosji przybłędy zgraja pijaków i złodziei. Ocalał jeden O. Nacewicz dzięki swemu prawosławiu. W takim to stanie zastałem Nowogródek po latach czterech.

Był to wszakże tylko początek jego klęsk i ich strona że tak powiem zewnętrzna bo jakie tam ludzkie przeszli koleje zanim włos im pobierał na co tam patrzeć musieli wśród znęcania się jednych upodlenia drugich ci co jeszcze dochowali w sobie poczucie godności człowieka, tego pewnie nikt nie wypowie. Stało się co było nieuniknione: po gorączce przyszła prostracya. Przeciwnicy zaś pracy i reformy podjęli głowę zwalając odpowiedzialność za klęski na tych co słowem i czynem do niej nawoływali. Serwilizm i kosmopolityzm zastąpił u nich znaczenie ojczyzny i honoru... Wy płynęły w górę męty...

LXXIII.

26 lutego.

Następnego dnia byłem już w drodze do mojej matki, znalazłem ją w domu moich przyjaciół w Ustroniu. Wiedzano już tam o moim zjawieniu się w Nowogródku. Radość i boleść wszystko tu było zmieszane z jednej strony z drugiej pobożne kłamstwo co siliło się wmówić że mi dola moja nie ciąży że mię najlepsza ożywia nadzieja kłamstwo które serce matki zapewne przeczuło a Bóg przebaczył...

Po tem serdecznem spotkaniu czekało mię drugie, udałem się do mego starego przyjaciela tego co od lat dziecinnych był dobrym duchem mojej młodości. Kto wypowie uczucia tego starca co widział jeszcze Polskę wolną a teraz witał mię na takiej drodze i wkrótce miał żegnać... I tak mi przeszło dni kilka. Poczem w obawie aby nie narazić nikogo moją obecnością obrałem główną kwaterę w Stajkach u przyjaciela którego rosyjska nazwa broniła od podejrzeń. Tu nieco wypocząłem jeśli wypoczynkiem zwać można słuchanie opowieści o dziełach Murawjewa i Kaufmana. Pierwszego poranku wyszedłem na ulubiony mi wzgórek pod kaplicę ścieżką od wsi szło kilku włościan na robotę do dworu. Znałem ich. „Zdrastwujcie!” ozwali się rezolutnie zamiast dawnego powitania. Nie poznali mię.

Ztąd też robiłem wycieczki do moich serdecznych do wszystkich co z tego potopu wynieśli nieskalane imię. Byłem więc w Zadwiei Kołdyczewie Haczyszczach Saczywkach Czernichowie i t. p.

W tem ostatniem miejscu odwiedziłem towarzysza lat młodych p. A. A... jednego z tych niewielu ziemian których jasny i trzeźwy pogląd na zadanie obywatela był dla wielu drogokazem. Ociemniały od lat kilku posiadał w zamian ten wzrok ducha który mu pozwalał sięgać o wiele dalej i szerzej niż innym. Ledwie stąpił na próg poznał mię po głosie. A witaj-że mi gościu miły! zawołał porywając mię w objęcia. Czekam cię już od dni kilku. I miałeś słuszność powiadam oddając mu uścisk. Mógłbym ja ominąć towarzysza młodości towarzysza marzeń no i prac które wprowadzie wiatr rozwiął ale których pamięć tem miłsza.

Ach tak pozostała tylko pamięć! odpowie smutnie. I czemuż cię widzieć nie mogę rzecze sadowiąc mię obok toż to najmiłszy okres mego życia z tobą się wiąże!... Gdzie te czasy miły Boże!...

Zawszem ten sam dla ciebie odpowiadam, i więcej nawet bo mię tęsknota za wami nauczyła was cenić jeszcze więcej. Wszak to się kocha najbardziej co się utraci nieprawdaż? Ty to przecie znać powinienes....

I oto zaczęła się pogadanka długa serdeczna szczerą, a gdyśmy się nagadali o wszystkim co nam ciążyło na sercu, i następnie gdym mu opowiedział dokąd i po co jadę i com robił i jak żył rzecze mi:

O tak to cię uratowało. Z twojem usposobieniem już byś tu dawno jak inni leżał na cmentarzu gdybyś z nami był pozostał lub co gorsza może byłbyś upiorem chodzącym po świecie jak tyłu co ni umrzeć ni żyć nie mogą!... Przysłowie: nie ma złego coby nie wyszło na dobre sprawdziło się pono na tobie.... Obyż to się sprawdziło i na nas wszystkich powiadam.

Dotąd nie zanosi się na to odrzecze nawet sędzę że się dzieje przeciwnie. Dorzynają nas tępym nożem. Ha samiśmy winni. Pamiętasz nasze narady nasze debaty adresowe nasze sejmikowe sceny co tyle krwi nam napsuły nasze troski obawy przeczcucia jakże się to one sprawdziły fatalnie! Padła szlachta a z nią padło wszystko na czem tu w Litwie oparliśmy nadzieje. Wpadliśmy w pułapkę. Powiadają że lud się dźwigać zaczyna. Daj to Boże. Chociaż wątpię aby przy podmuchach jakich mu nie brak z różnych stron przy ciemnocie w jakiej go systematycznie utrzymują potrafił skorzystać z danej mu swobody i użył jej na dobro. Gdyby tak było byłby to jedyny dodatni rezultat nieszczęsnego powstania. Rezultat olbrzymi dodałem, bo Imo stałoby się zadość sprawiedliwości zapoznawanej przez wieki 2 do zbudziłoby to potężną siłę w narodzie której brak czynił go dotąd bezbronnym. Tak ale w tem właśnie pytanie na czyje korzyść ta siła padnie. Dotąd rzeczy tak stoją ciągnął dalej chłop na całej Rusi litewskiej gdzie oddano go w ręce popa i „diejateli” miał już sposobność i czas poznać czem są dla niego rzekomi jogo protektorowie. Chodzi więc jak dawniej do dworu na zarobek na poradę po lekarstwa i z rzadkim wyjątkiem nie zrywa stosunku jaki wyrobiły wieki. Gdy mu zaś deklamują o łasce carskiej co mu dała ziemię ma jedną wszędzie i zawsze tak w Litwie jak i w Polsce, odpowiedź: - Alboż to nam cesarz ziemię z Petersburga przysłał? - to ziemia nasza tutejsza tak jak i my tutejsi. My się tu urodzili nasze dziady i pradziady tutaj spoczywają i my tu leżeć

będziem.... Inaczej jest ze stroną moralną. Tu stało się co było do przewidzenia. Lud wiejski zanim otrzyma oświatę znalazł się w położeniu gdzie jeśli rzeczy pójdą tymsamym torem — grozi mu

niepowetowana klęska bo utrata wiary a z nią podstawy jego moralności. W jednym naszym powiecie ubyłoby naraz 10 kościołów i tyleż parafii. W pozostałych zaś siedmiu osadzono księży z małym wyjątkiem bez czci i wiary. Ludność przedtem katolicką całymi wsiami w sposób podstępny na odezwanie się kilku podstawionych ludzi aktem urzędowym wpisano do prawosławia. Opozycja skargi nawet wobec samego cesarza jakto miało miejsce w Wilnie na nic się tu nie przydały. Owszem uważane jako bunt jako lekceważenie wiary którą sam cesarz wyznaje surowo są karane. A że gotowość do męczeństwa za wiarę w czasach obecnych nie trwa przez pokolenia więc z czasem przychodzi rezygnacja za nią obojętność za tą zaś brak poszanowania dla narzuconego obrządku wkońcu bezwyznaniowość. Naturalnem więc tego następstwem: zatracenie poczucia bojaźni Bożej sprawiedliwości i cały szereg bezprawii, występków i zbrodni nieznanymi dotąd.

Dotąd ratuje nas jeszcze spokojna i nieprzedsiębiorcza natura chłopów naszego ale czy to potrwa długo czy nowe pokolenie wychowane w szkołach gdzie przezydują popi i nihiliści dotrwa i nauczone przykładem tyłu którym to bezkarnie uchodzi nie zapragnie wprowadzić w czyn tego co mu w ucho kładną i teorię w praktykę zamienić o tem bardzo wątpię. Taki to u nas stan rzeczy obecnie. Już to co prawda rzekłem nie tęga była nasza polityka od dawna ale od połowy tego stulecia zdaje się jakby nam ją sam szatan dyktował. Leży to już pono w naszym charakterze niszczyć własnymi rękami własne dzieło a potem narzekać i oskarżać się nawzajem,... No i trudno aby było inaczej odrzecz mi gdy nasze warcholstwo dziedziczne skonać nie mogło nawet pod obuchem Murawjewów i Bergów. Sam powiadasz jakie to były u was zatargi w Ołońcu i o co? i gdzie? - wielki Boże! Gdy nam tu ostatni gwoździć zabijano do trumny tam u was na wygnaniu toczyły się debaty, czy wypada tańczyć!!! I jakże może być przyszłość kraju w którym niesforność inteligencji ciemnota ludu perfidia rządu idą na wyścigi.

LXXIV.

Pierwsze dni wiosny w których skowronek zadzwonił mi swą piosnką jakby na pobudkę do drogi powitałem w Ustroniu żegnając matkę i ziemię nowogródzką. Nadchodzące bezdroże zmuszało mnie spieszyć by skorzystać z przymrozków i dociągnąć do Pińska zkąd już parostatkami miałem dostać się do Kijowa. Wczesnym więc rankiem 25 marca, w dniu Zwiastowania wyruszyłem w drogę. Był to ranek najsmutniejszy w mem życiu! Po tem wszystkiem com widział com pożegnał w przeczuciu że to co mi było najbliższe najmielsze pożegnałem na zawsze! wobec przyszłości ciemnej niepewnej jaka mię daleko od ojczyzny czekała taki mię żal opanował że nie widząc już potrzeby udawania w poczuciu gorzkiej samotności dałem folgę boleści.... Tu mi dopiero stanęła w całej grozie zła dola tej nieszczęsnej ziemi.... O bo się zdarzają w życiu chwile gdzie nagłe światło jakby błyskawica wśród nocy rozedrze i oświeci głębię przyszłości. Wzrok w niej chciwie utonie dojrzy nieznane horyzonty aż go mrok znowu otoczy rzucając do duszy trwogę lub nadzieję. Dziwnym zbiegiem rzeczy stało się to wobec widoku miejscowości tyle nam pamiętnej. Spojrzałem przed siebie i na przestrzeni lekko pofalowanych pól w nizinie ujrzałem Lachowicze pamiętne zwycięstwem nad Moskwą i grobem Rejtana mamże dodać zapomnianym!! w miejscu zaś dawnego kościoła wznoszącą się zielonymi dachy cerkiew prawosławną! Patrząc na to kto sobie w duchu nie powie: Jakże to daleko odbiegliśmy od czasu owej pamiętnej bitwy!

W Niedźwiedzicy zatrzymałem się. Tu się już zaczynają lasy poleskie. Miejscowość ta od niedawna stała się sławną oporem ludności katolickiej przeciw zabraniu kościoła oporem uwiecznionym zwycięstwem. Na hasło że zabierają kościół na prawosławie wyroliła się cała ludność wsi i okolicy z czem kto mógł zamknęła kościół zabrała klucze i pomimo groźby i prośby nie wprzód się rozeszła aż odjechali urzędnicy odwołani przez władze która wobec tak energicznie zmanifestowanej solidarności włościan widziała się zmuszoną ustąpić.

Że to był czas nabożeństwa i uroczyste święto więc poszedłem do kościoła. Na wzgórzu ocienionem wiekowymi drzewy nie mniej wiekowa o starożytną strukturę drewniana świątynia nie mieściła w sobie ludności zebranej a więc tłum pobożnych zalegał całą przestrzeń cementarza. Gdy przystąpił próg bramy śpiewano „suplikacje”. O jakże mi się tu nadało w mojem usposobieniu połączyć głos mój ze śpiewem ludu i wołać z nim razem: „My grzeszni Ciebie Boga prosimy wysłuchaj nas Panie!” Tu dopiero poczułem że nie byłem samotny i to mi ulgę przyniosło. Bo i zaprawdę ten kościół ten dzielny

lud ten śpiew błagalny a tak uroczysty co z jego piersi leciał w niebiosy spotkane na mej drodze mogły mi nie dodać otuchy!

Podróż na Polesie w owym czasie gdy nie było jeszcze mowy o osuszeniu jego błot którego dokonał później znakomity pułkownik Żyliński do najciekawszych w kraju zaliczyć można. Dotąd „Polesie” była to istna terra incognita, dawnej Polski. Spotykałeś tu ludzi zwyczajnie zagrody które śmiało rzecz można w niczem się nie zmieniły od czasów zamierzchłej przedhistorycznej przeszłości. Dla archeologa badacza etnograficznych cech ludności dla miłośnika przyrody pierwotnej niezmaconej przymieszką cywilizacji dla poety artysty przyjaciela ludu Polesie nie przestaje być dotąd istną kopalnią skarbnicą podań legend, czarów które tam w całej sile nurtują wśród tej do niedawna na wpół jeszcze dzikiej krainy. Co więcej pomimo politycznych przemian dotrwał tam jeszcze stosunek patryarchalny między chatą i dworem zabytek starożytnej gminy. Dobroduszość prostota serdeczna uprzejmość osłonięte puszcza głęboką odcięte od świata przestworami wód lub co większa nieprzebranych bagien zachowały cały swój pierwotny naiwny wdzięk co je tak od innych wyróżnia. Pomimo lat tysiąca nic się tam prawdopodobnie nie zmieniło ni w zwyczajach ni w ubiorach ni w obliczu ludzi i kraju. A jeżeli było gdzieś inaczej jeżeli gdzieś wcisnął się postęp i zapanował w jakiejś okolicy i dał zakosztować owoców kultury to okolice takie były że tak powiem jakby wyspy samotne otoczone zewsząd morzem przedwiekowych wyobrażeń które zaledwie tylko wybranym udawało się przebywać niekiedy. I zaprawdę gdy już dziś i tam lokomotywa i drut zbudziły z uśpionego drzemienia od wieków puszcze i spłoszyły ich mieszkańców niosąc im obietnicę dobrodziejstw cywilizacji to z żalem a może i ze zgorszeniem wielu powiedzieć muszę że ubywa nam zakątek jedyny gdzie jeszcze można było odpocząć i skryć się niekiedy od burz zatargów i trosk jakimi duch obecnego prądu uderował ludzkość pozbawiwszy ją największego dobra jakie mieć może człowiek spokoju!

Żałować mi przychodzi że moja podróż przypadła w porze roku najmniej przyjaznej dla poznania tej naszej litewskiej Ameryki z jej” najciekawszej strony. Gdy ją ujrzałam natura zaledwie się budzić zaczynała ze snu zimowego. Topniały śniegi puszczały rzeki całe obszary łąk i błot stały pod wodą. Niestłuchanej długości groble o wypukłych mostach po nad topielą nieprzejrzanym moczarów, jakby olbrzymie taśmy spięte klamrami łączyły z sobą gdzieś tam suche łąki na których zwykle czernił się bór. Tam i owdzie z tajemniczej jego głębi zstępowały ku wodzie ścieżki wydeptane przez zwykłych tych puszczy mieszkańców to też od czasu do czasu gdzieś zaszeleściły suche sitowia i z gęszczaru mignęły rogi łosia lub kudły niedźwiedzia czasem po nad głową zaszumił lot orła.

W okolicach Jasiołdy i kanału Ogińskiego zdarzyły się przeprawy na przerwanych groblach tak dalece ryzykowne że tylko szczęściu zawdzięczam uniknięcie katastrofy i ocalenie ludzi i koni. O była to podróż! co mogła iść o pierwszeństwo z niejedną powieścią Coopera*).

*) „Grunta używane w Pinszczyźnie pod uprawę rolną należą przeważnie do piaskowej i torfowej formacji. Stopień urodzajności ich, przecięciowo wzięty wogóle uważa się za średni. Na niezmiernych obszarach łąk tamtejszych trawy rosną bujnie ale większą częścią należą do podrzędniejszego gatunku. Brakowniejsze z tych traw podrzędnych są szczególnie : calta palustris poa palustris poa aquatica juncus carex itp. Średni zbiór siana z dziesięciny dochodzi do 60 pudów. Jeżeli się zdarzy lato suche to też dziesięcina wydaje od 65 do 150 pudów. Wogóle w całej Pinszczyźnie, rocznie zbiera się siana około 11,000.000 pudów. (E. Chłopicki).

LXXV.

Po dwóch dniach drogi około południa w dzień pogodny słoneczny przybyłem do Pińska. Trafiłem w sam czas kiedy przygotowywano parostatki aby z pierwszą wodą puścić. Kultura ogrodów owocowych jest dosyć znacznie rozwinięta. Sady w majątnościach większych Lubieszów Duboj i Łunin słyną z wybornych gatunków najrozmaitszych owoców. Lasy większe w powiecie są: Telechański i Rużelicki Pusłowski, Chotyński, hr. Potockich, Łuniński Lubeckich, Kożangredzki Szczytów, Czerwinszczyński Zaleskich, Zadożyński Strawińskich, Stoliński i Witczowiecki Skirmuntów.

Rybołówstwo i łowiectwo stanowią główne źródło zamożności wieśniaka pińskiego. Zatoki Prypeci co rok z wiosną zapełniają się różnymi rodzajami ryb. Wiunów (piskorzy) tak się wielka poławia ilość że często na wsi za funt ich nie więcej się płaci nad 2 grosze, Mieszkańcy Kożangródka i Dawidgrodką handlują wyłącznie rybą. Niektóre gałęzie przemysłu fabrycznego prowadzone są na wielką skalę.

Fabryka świec stearynowych i mydła w Albrechtowie Skirmuntów pod samym Pińskiem wyrabia w ciągu roku: pierwszego z tych produktów 15.000 pudów a drugiego 13.000. Fabryka sukna innych znów Skirmuntów w Porzeczu słynie jako jedna z lepszych w kraju. Założenie jej kosztowało 80.000 rubli a towaru wysyła się do Wilna Mińska Kijowa Odessy Berdyczowa Warszawy i Moskwy na 800.000 rubli rocznie. Expedycja wyrabianej na Polesiu smoły i terpentyny pierwszej w ilości 70.000 drugiej 4.000 pudów posiada główne swoje kantory w Pińsku. Oleju lnianego wysyła Pińsk około 9.000 pudów rocznie. W samym mieście założono przed laty młyn parowy o 5 żarnach mielący 800 pudów zboża dziennie. Miasto powiatowe jest zarazem i głównym punktem handlu zbożowego, stąd się wysyła produkta rolne na Bałtyk przez Rygę i Libawę oraz Niemnem i Wisłą. Tędy również idzie zboże z gubernii Wołyńskiej i Kijowskiej. Wogóle handlowe obroty Pińska znaczne bywają bardzo, zarząd lądowej i wodnej komunikacji przeciętnie w ciągu lat 16 obliczył je na 3,000.000 rubli rocznie. Najwięcej się towaru posyła Dnieprem i Prypecią do Pińska a tam już żydzi nabywcy przeładowują go i wysyłają kanałowo-rzeczną komunikacją do Warszawy".

„Widzieliśmy powiada tenże Chłopicki w ciągu wieloletnich podróży najrozmaitsze mniejsze i większe portowe miasta je do Kijowa. Wypadło mi więc czekać dni parę nim nadeszła wiadomość o ruszeniu się lodów na jeziorach które przebywać trzeba zanim się wejdzie na bystre wody Prypeci. Czas mi ten zatem przeszedł na wypoczynku i oglądaniu miasta.

Pińsk dzisiejszy liczy koło 15.000 mieszkańców. Wyjawszy kilkanaście kamienic kilka kościołów i klasztorów całe miasto ale jako żywo podobnej do Pińskiej przystani w przeddzień targu nie zdarzyło się nam spotkać nigdy i nigdzie. Gdy z jednej strony w szeroki em łózysku rzeki przeglądają się stare wieżyce świątyni domy składy drzewa i zboża parostatki i olbrzymie, naładowane towarem łodzie kupieckie z drugiej na przestrzeni wiorst kilku wśród tak zielonych błyszczą srebrzysta sieć rozlanych szeroko rzek rzeczek błot jezior i strumieni po których kryształowej powierzchni pomiędzy szeregami tych zielonych oaz, oraz stadami wracających z pastwisk krów tucznych płyną setki łódek napęcznionych gromadkami ludzi tudzież różnym gospodarczym dobytkiem. Za zbliżeniem się żeglarzy wioskowych do brzegu, popychane tykami łodzie ich zawijają do portu w okolicach Monasteru a światła latarek gdakanie kur pisk nierogaczny ciśnięcia się szukających zawczasu taniego kupna krzykliwych żydów i opędzanie się przed natrętami zniecierpliwionych wieśniaków zarzecznych tworzą obraz Hogartowskiego zakroju jedyny w swoim rodzaju. Gdy się już przybysz widokiem tym nasycił i chciałby tam obejrzeć inny nadwodny obrazek to niech się uda w głąb wybrzeża tam gdzie się zatrzymują zwykle ładowne bajdaki. Zobaczysz on w jednej chwili: tu gotujące się na łodziach wieczerze ówdzie całe gromady flisów obwiniętych w kożuchy i śpiących głęboko na wysłanych słomą lub trawą wodną pokładach indziej na wzgórzach nadbrzeżnych biorących z sobą za bary wioskowych Tytanów ówdzie intonujących pieśni naddnieprzańskie i nadhoryńskie wędrownych menestrelów turbujących po szynkach dokolnych gawiedź żydowską nietrzeźwych Bachusa wyznawców. Zaprawdę gdyby turysta zwiedzający Polesie i błota pińskie nie poznał bliżej ani wiosek ani dworów ani pełnych zwierza ostępów ani błotnistych wśród puszczy odwiecznych z wiunami i wierozubami obszarów to zobaczywszy tylko o nocnej porze ten port piński cienie starych świątyni ogień towar sprzedawany lud oryginalny żydowstwo zapobiegliwe i ten ruch i zamęt właściwy nawpół dzikiej portowej ludności na długo uniesie z sobą wrażenie podróży ciekawej pamiątkę zwiedzenia Okolicy odmiennej nieznaney patryarchaln ej i sympatycznej".

...zbudowane z drzewa. Najpokaźniejszą dzielnicę jego stanowią: rynek ulica wielka i ocembrowane kamieniem wybrzeża Piny. Ze świątyni pierwsze miejsce należy się gmachom pojezuickim, które po kasacie tego zakonu długi czas stojące pustkami, oddane zostały na monaster wschodniego obrządku. W świątyni tej po nad drzwiami wchodowymi widzieć jeszcze można.

Dla dopełnienia pobieżnego szkicu okolic pińskiego Polesia, dołączamy tu notatkę o celniejszych tej prowincyi miejscowościach:

Pod samym Pińskiem leży nad rzeką Piną dawne opactwo Bazylianów... Leszcz pamiętne w dziejach walk wielkoksiażących pogańskiej Litwy. Tutaj bowiem Wojsiek po zabiciu w 1263 r. ojca jego Mendoga został mnichem i przed napaścią Trojnata ukrył się w ścianach klasztornych. Ztąd też ze

zgonem zabójcy ojca wezwany został na tron Litwy w 1265 r. Przed laty opactwo po zniesieniu Bazylianów zamieniono na parafię świeckiego wschodniego obrządku z zachowaniem starożytnej cerkwi i plebanii. W Horodyszczu wsi o milę od Pińska położonej sterczą resztki sławnego klasztoru Benedyktynów fundowanego w 1662 r. przez wojewodę połockiego Jana Karola Kopcia który prowadził zakonników z włoskiego klasztoru Monte - Cassino. Opustoszały kościół z klasztorem wznosi się wspaniale wśród wyspy otoczonej rzeką Jasiołdą i wielkimi błotami. Kożengrodek miasteczko położone na wschód od Pińska nad rzeką Cną sławną niegdyś z wielkiej ilości gnieźdzących się w jej zaroślach bobrów. Dorota z Zawiszów Podbereska założyła w tej osadzie zbór kalwiński 1635 roku. Lahiszyn miasteczko położone wśród lasów w północnej stronie od Pińska słynęło z fundacji kościoła Aleksandra Stanisława Radziwiłła noszącego datę 1634. Mieszkańcy tego miasteczka wstawili się po 1863 r. wygranym procesem z gubernatorem Tokarowem który chciał ich pozbawić ziemi nadanej im przez królów.

Lubieszów nad rzeką Strumieniem dawna rezydencja książąt Dolskich z których Jan Karol marszałek W. L. założył tu w 1693 r. sławny zakon Pijarów. W 1745 r. sami zakonnicy wzniesli własnym kosztem istniejącą do chwili obecnej wspaniałą upiększoną freskami bazylikę. Twórcą świątyni był Łukasz Hubel Pijar miejscowy i on to własną ręką przez trzy lata freski te malował. Oprócz Pijarów byli tu i Kapucyni fundacji z 1761 r. protoplaszki dziedziców dzisiejszych Lubieszowa Czarneckiej.

Szereg osad tych historycznych uzupełniamy wspomnieniem nawiasowem o Dawidgrodzku miasteczku wchodzącym dziś w zakres piękny fresk przedstawiający chrzest św. w Jordanie, a w presbiterium „Wskreszenie Łazarza”. Dalej kościół pofranciszkański dziś parafialny wielkich rozmiarów wysłany granitową posadzką posiada również kilka ciekawych królewskich w presbiterium portretów z których się widzi zamierczłą i wspaniałą przeszłość i wielkie wspomnienia tej pierwotnej z czasów jagiellońskich fundacji. Dwa z tych portretów na lewo przedstawiają Zygmunta Igo i Bonę dwa na prawo: Zygmunta Kiejstutowicza i siostrę jego Annę księżnę mazowiecką. Oto wszystko co zasługuje na uwagę pod względem historycznym. Po za tem oprócz dawnego kościoła niegdyś komunistów a dziś filii należącej do fary oprócz kilkunastu kamienic gmachu gimnazjalnego kilku hoteli z pośród których wyróżnia się dobrym smakiem pałacyk marszałkowej Skirmuntowej reszta domów drewnianych niczem się nie odznacza. Zato przystań jako główna arteria życia tego przeważnie handlowego miasta wre życiem i zapowiada mu przyszłość świetną i niedaleką. Z wielką radością spotkałem tu ks. Kozłowskiego z którym zbliżyły mię czasy gdy był jeszcze kapłanem w Łuninie u ks. Lubeckich. Poznałem go tam w czasie świąt wielkanocnych wraz po powrocie z zagranicy.

Dziś jeszcze mam przed oczyma obraz tej iście pańskiej starodawnej rezydencji. Z głębokiej puszczy wychyla się ogromna wieś. Chaty porządne wszędzie dostatek i ład. Między wsią a dworem mozyrskiego powiatu a należącym niegdyś do Pinczyczyny. Przed laty było to siedlisko mieszczań-ogrodników którzy pod nazwą ogólną Pinczuków rozwozili za naszej jeszcze pamięci po całym północno zachodnim kraju nasiona warzywne. Osada ta stanowiąca jedną z licznych posiadłości ordynacji kleckiej ks. Radziwiłłów położona jest na wyspach między trzema odnogami rzeki Horynia, który stąd o 2 mile dwoma korytami wpada do macierzy wód poleskich Prypeci. Mieszkańcy Dawidgrodku mają być podług miejscowej tradycji potomkami dawnych Nowogrodzian wypartych przez Iwana Groźnego z ojczystej ziemi. ciągnie się długa ulica zwana „jurydyką” w jej schludnych domkach mają przytułek stare sługi i ich dzieci. Dalej wznosi się kościół ocieniony drzewy dalej zabudowania dworskie obszerne rozległe liczne jak to bywało w wielkich dworach nareszcie minąwszy na prawo kaplicę grobową szkółkę dla dzieci oficyny gościnne wjeżdżasz na obszerny dziedziniec przed kształtny podjazd pałacu. Spotyka cię służba wysiadasz i oto naraz czujesz że cię owiała zewsząd jakaś nieznana pogoda i spokój. Widzisz to na twarzach panów służby domowników. Żadnego nigdzie zamętu, przymusu kłopotu, czuć że tu życie płynie szeroką pełną strugą. Przestronnie tu i w sercach i w domu radzi też gościowi wszyscy po staremu bo po staremu tu jeszcze wierzą: że „gość w dom Bóg w dom”. Po przebyciu głuchych borów licznych brodów grobli mostów przedhistorycznej konstrukcji i piasków godnych Sahary z jakimże to miłym uczuciem wchodzi się na próg takiego domu!

Czujesz żeś się znalazł naraz jakby wśród oazy gdzie napotykasz wszystko co świat zajmuje, a więc pisma książki i dzieła sztuki itp. słowem, czujesz tętno jakim świat żyje niewyłączając rozumie się i tego co dziś komfortem się zowie w najobszerniejszym słowa znaczeniu. To też można sobie wyobrazić jak w takim domu którego panią była szanowna ze wszech miar matrona obchodzono uroczysto święta. Córka znakomitego rodu Szczytów, wdowa po znanym z zasług obywatelskich ks. Karolu Lubeckim z religijną czcią przechowała zwyczaje i tradycje obu tych rodzin. Wszystko tu więc coś widział miało cechę tej starodawnej powagi i zarazem szlachetnej prostoty która wiedząc czym jest nie pozuje nie ubiega się o imponycję nie goni za efektem ale w pełnieniu obowiązków widzi cel życia i prawo do szacunku.

Posiadała go też w pełni. Podczas nabożeństwa w ostatnich dniach wielkiego tygodnia na które rano i wieczór zbierał się cały dwór zdało mi się nieraz że mam przed sobą tę pełną wiary społeczność dawnej Polski gdzie u stóp krzyża wszystko padało w prochu. Intonowane pieśni nabożne przez kapłana który tu na różnych polach nie mało zasług położył śpiewała ludność dobranymi głosy posiłkowana młodzieżą wyuczoną w szkole powaga skupienie ducha stały tu na straży. Cóż mówić o rezurekcyi o dniu Zmartwychwstania Pańskiego który całą ludność wiejską i całą rzeszę służebną ze wszystkich działów gospodarstwa folwarków leśnictw i najdalszych zaścianków i uroczysk sprowadził. Jakichże to tam nie było postaci ubiorów fizygnomii jakich tam nie nasłuchałeś się opowiadań poglądów właściwych miejscowym stosunkom gdy cała ta Boża czeladka obyczajem staropolskim, po złożeniu powinszowań księżnej zapełniła komnaty zastawione olbrzymimi stołami święconego na których wszelkiego rodzaju suto reprezentowana zwierzyna podawała niejednemu z myśliwych obfity temat do opowieści i jakichże opowieści! O tak wszystko tu dla mnie było nowe nieznane inne. Wszystko budziło szacunek i uwielbienie dla tych, co pilnie strzegli tak drogich i tak już niestety dziś rzadkich i mało cenionych gdzieindziej tradycy. Tak to tam było kiedyś....

Pisząc dzisiaj zdała co do czasu i miejsca poświęcam tych słów kilka tej okolicy tem bardziej że i ją zły los nie oszczędził i że spią tam snem wiecznym te serca istot mi drogich z którymi odbyłem zajmującą podróż na Polesie i kilka dni miłych w Łuninie wspólnie przeżyłem*).

LXXVI.

Po trzech dniach oczekiwania dał nareszcie pożądane hasło parowiec że już gotów do drogi. A więc przeprowadzony od ks. Kozł.... do przystani pospieszyłem na statek.

*) Tomasz Puszkina i jego żona Ewelina z XX. Lubeckich pochowani w grobach rodzinnych w Łuninie.

Dzień był wietrzny deszcz z gradem dzwonił w szyby zanim więc ruszyliśmy wszystko co było na pokładzie wcisnęło się do ciepłej kajuty bez względu na różnicę ceny biletów. Ale że na dworze była słońca więc nikt nie oponował biedactwu co się tuliło około pieca. Nareszcie dano znak ruszyliśmy. Towarzystwo 1szej klasy składało pięć osób, młoda i wcale przystojna żydówka z Warszawy dwóch Niemców, prawdopodobnie komiwojażerów pop i żyd stary towarzysz czy też sługa młodej żydówki. Resztę towarzystwa pokładowego czyli 2giej klasy składali chłopcy i żydzi przeważnie. Przeznaczenie widocznie chciało aby ta moja podróż odbywała się z przeszkodami bo nie tylko wśród nieustannej słońcy i chłodu niepodobna było korzystać z pokładu aby się rozpatrzeć w okolicy ale i w kajucie przepełnionej ciżbą różnego stanu która rozgościwszy się na dobre całą podłogę zaległa trudno było mieć chwilę spokoju. Ku wieczorowi wszakże rozjaśniło się i wiatr ustał. Pierwsze jezioro spotkane na drodze przebyliśmy szczęśliwie, pokrywał je wprawdzie lód ale był już tak miękki że go parowiec kroił jak masło. Dodało to otuchy parochodowej czeladzi więc gdy przyszło przebywać jezioro następne tak energicznie wziął się do tego stemik że w połowie jeziora nieopodal ujścia Jasiołdy złamał się rudel. Zatem konfuzyja i mitręga ale był inny w zapasie więc po małej pauzie, płyniemy dalej. Nareszcie nadeszła noc było to już na wodach Prypeci. Że zaś szeroko z brzegów rozlana budziła obawę zboczenia z koryta wśród ciemnej nocy zatem postanowiono na kotwicy noc przepędzić. Wyjrzałem z kajuty jak okiem rzucić woda i woda zatopione lasy ziemi ani piędzi. A zatem nocleg. Ponieważ większa część podróżnych opuściła była już statek w różnych przystaniach dla reszty zaś uprzątniono miejsce w kajucie 2giej klasy więc na noc można już było rozlokować się wygodnie. Zawczasu jeszcze

zająłem był miejsce na jednej z sof ciągnących się wzdłuż kajuty zostawując drugą jej połowę owej ładnej żydówce. Przeciwną sofę zajęli Niemcy, pop ulokował się na stole żyd zaś stary położył się w taki sposób na ziemi że jego głowa wskazywała jakby idealną linię graniczną małej przestrzeni, która oddzielała kończyny stóp moich i ładnej sąsiadki. I to mi podało myśl że prawdopodobnie stary sługa w tej podróży stanowić miał decorum tej pani w roli improwizowanego eunucha czy zaś ją spełniał ku zadowoleniu strony interesowanej przesądzać nie chcę to wiem tylko że przez noc całą chrapał kapitalnie.

Gdym rano oczy otworzył słońce całą wiązką promieni wciskało się do kajuty parowiec już płynął. Wyszędłem na pokład. Poranek wiosenny w całym majestacie swój krasę rozsypał swe skarby. Gwar ptastwa szum tysiącznych strumieni i rzeczek biegnących jakby na wyścigi do Prypeci odbłaski odbitych światła na wodach i ciemnych głębiach puszczy wszystko to tworzyło nowy dla mnie i dziwnie wspaniały widok. Tu dopiero poznałem czym jest Zarzecze i do jakiej skali dochodzą wylewy wśród roztoczy rzek poleskich.

Okolo południa minawszy ujście Horynia ujrzałem na lewo na wyniosłym brzegu Dereszewicze dwór Kieniewiczów. Przypomniało mi to moje studia rzymskie w galeryi Borghese, gdzie pewnego dnia gdym malował kopię św. Stanisława z Ribery*) miała miejsce taka scena. Kiedy cały zatopiony w mojej pracy maluję nie zważając na przeciągające tłumy t. z. forestierów (wojażerów) naraz słyszę po polsku wymówione słowa: ale cóż kiedy już miejsce zajęte ktoś go kopiuje dodała tonem w którym czuć było lekki odcień żalu. Zelektryzowały mię te słowa. Ach cóż to za piękna prawdziwie polska postać tego świętego! rzekła jedna z kilku przybyłych osób jakiejś polskiej rodziny. Jakże rada byłabym to skopiować

*) Obraz ten ofiarowany przeżeranie kościołowi znajduje się w Druskienikach nad Niemnem.

A więc ujęty uniesieniem tej artystycznej duszy zwracam się jak Deus ex machina i oświadczam:

Jeżeli pani tego życzy z przyjemnością ustąpię jej miejsca a wezmę się do czego innego gdyż mi wcale o pospiech nie idzie. Oczywiście efekt tych słów był znakomity więc zdziwienie radość podziękowanie zaznajomienie i t. d. I oto w jaki sposób poznałem p. Jadwigę Kieniewiczównę tęsamą której stosunek serdeczny z nieodżałowanej pamięci autorką szachów ś. p. Skirmuntową dał książce Br. Zaleskiego „Z życia litwinki” kilka niezwyklej piękności ustępów.

Spojrzałem więc mijając w okna tego dworu i przemknęła mi myśl: ażali nie byłoby dobrze tu odpocząć. Niestety! był to wszakże czas kiedy wizyta takiego gościa, mogła dla gospodarza niemiłe skutki spowodować. A więc: Vogue la gal eré! dalej biedny wygnaćcze!

Nad wieczorem minęliśmy Turów*) pamiętny rozbiem w jego okolicy Rogińskiego partyi w powstaniu 1863 roku. Prypec w tej miejscowości zabrawszy wiele rzek na swej drodze płynie szeroko i bystro a że kierunek ma kręty, a wody szeroko wystąpiły z brzegów przeto utrzymanie się na głównym prądzie było trudne. Jakoż zdarzyło się parę razy że zmyliwszy drogę siedliśmy na mieliźnie. Była to mitrega nielada gdyż w takich razach trzeba się było uzbroić w cierpliwość trzeba było na gwałt zbierać ludzi po wsiach dalekich aby ściągnąć parowiec na właściwy prąd i czekać.... czekać a gdy nadeszła pomoc to dopiero piekielna była praca i męka nawoływania zakłęcia, krzyżowały się w powietrzu bo ludzie brnąć musieli po szyję w wodzie. Tutaj to miałem pole podziwiać ich wytrwa, łość przytomność ich odwagę.

*) Turów starożytna miejscowość znana już w IX wieku. Tutaj ujęty został Rogiński przez chłopów.

Na koniec na domiar złego około Petrykowa złamało się koło. Tu już nie było rady, płynąć dalej niepodobna było, a więc chyba stać i czekać nie wiedzieć jak długo lub dostać się na brzeg. Wt em gdy tak obmyślamy co począć słyszym za sobą świst lokomotywy i oto za chwilę wysuwa się parowiec pędzący jakby w pogoń za nami. Gdy się zatrzymał powitaliśmy go jak się wita zbawcę. Wyglądał wcale pokaźnie, był większy i o większej sile a że należał do tejże kompanii i prawdopodobnie w przewidzeniu wypadku wysłany został za nami więc nie czekając długo ja i moja sąsiadka przeprowadziliśmy się doń. Reszta bowiem naszego towarzystwa 1szej klasy już po pierwszych niepowodzeniach opuściła była statek w okolicach Turowa.

Tymczasem nadeszła noc. Było to w miejscowości, gdzie nieopodal stała karczma oblana dokoła wodą snuły się dokoła niej liczne łódki pełne ludzi brodziło bydło, ptastwo i wszelkiego rodzaju dobytek nawołując się wzajem przeróżnymi głosy, z szynkowni dolatywał gwar śpiewy krzyki. Jak okiem zajrzeć krzyżowały się czołna różnej wielkości i kształtu. Przypatrując się ewolucjom tej domorosłej flotylli podziwiałem zręczność i śmiałość kobiet i dzieci które na drobnym czółenku co je zaledwie unieść mogło puszczały się na bystrą wodę i śmigały wesoło jak stado kaczek.

Po zaintrygowaniu się na nową siedzibę trzeba było pomyśleć o noclegu. Kajuta była wprawdzie wygodna i z pewnym komfortem ale nieogrzana a noc chłodna. Podano zatem duży samowar i oto za chwilę miłe ciepło napełniło nasz podróżny salon a zaś aromat herbaty podanej ładną rączką warszawianki usposobił do niemniej miłej gawędki w której nie trudno było dostrzedz że moja towarzysząca, która już wiedziała kto jestem miała siebie za polkę że dużo czytała że nieobce jej były ostatnie w Polsce wypadki.

Mówiła zaś o nich z takim przejęciem się i tak była uroczą w t em patryotycznym wzruszeniu żem się ani spostrzegł jak nam mijały godziny i aż dopiero senne majaczenie wiernego jej famulusa z kąta kajuty przypomnielo że pora byłai nam spocząć. Gdym wyszedł rano na pokład staliśmy w przystani Mozyrza. Tutaj to do niedawna był kapelanem szkół zacny ks. Kulwanowski tensam któremu przed pół rokiem malowałem trumnę w Ołońcu.

Położenie Mozyrza górzyste inny już daje charakter okolicy. Odtąd brzegi Prypeci z obu stron falują się nierzadko wzgórzami aż do Czarnobyli gdzie nurt rzeki kręty poplątany wiję się jak wąż przez mil kilka i aż dopiero wyciąga się i prostuje przy ujściu rzeki Uszy zanim w okolicy Ocieszowa poza ujściem rzeki Braginki połączy się z Dnieprem. Nad wieczorem wpłynęliśmy na Dniepr. Odtąd żegluga poszła bez przeszkody. Parowiec pędził śmiało nagradzając czas stracony, znikaty szybko brzegi prawy falował się wzgórzami lewy układał się w stepowe zadnieprskie równiny. Nie bez emocji powitałem Ukrainę tonąc okiem i duchem w jej niezmiernych obszarach. Nazajutrz rano a było to czwartego dnia od wyjścia z Pińska zdała przez tumany mgły ujrzałem Kijów.

LXXVII.

5 kwietnia.

Pożegnawszy na przystani moją towarzyszkę która miała się zostać u swych krewnych na Podolu kazałem się zawieść do hotelu na Kreszczatyk. Ledwie wsiadł do dorożki brodaty woźnica w ruskim jermiaku rzecze zwracając się ku mnie po polsku. Zapewne każe Pan zawieść siebie do Europejskiego hotelu?

Dobrze odpowiadam wież gdzie chcesz byle tylko do hotelu dobrego. Ucieszyła mię na wstępie ta miła niespodzianka spotkania polskiej mowy pod ruską powłoką więc pytam: - Zkądże wiesz przyjacielu mówiąc do mnie po polsku, żem Polak? O proszę pana my naszych panów czujemy przez skórę.

Dobre i to pomyślałem. Jedziemy tedy pod górę. Wjazd pyszny. Na prawo, wysoko wznosi się malownicza cerkiew ś. Andrzeja jakby zawieszona na krawędziach góry. Poniżej śród uroczej promenady ponad stromą pochyłością tejże góry stoi pomnik ś. Włodzimierza po drugiej stronie parowu którym wiję się droga wiekowe dęby i kasztany rozłożystymi konary ocieniają wyżyny publicznego ogrodu pochylone ku rzece, którą przeskakują żelazne mosty. Na lewo w dół pomnik chrztu Rusi a dalej dalej szeroko rozwija się wspaniały Dniepr. Wyteżasz wzrok i ducha dostrajasz bo po za Dnieprem aż do brzegów horyzontu ginie twe oko w niezmiernie sianej dali bujnych stepów Ukrainy! Widok niezrównany ! O tak trzeba to widzieć aby mieć pojęcie całego uroku położenia tego odwiecznego grodu trzeba to widzieć powtarzam gdyż tego żadne słowo ni pędzel oddać nie zdoła.

Wszystko tu wielkie wspaniałe olbrzymie jak jego przeszłość i prawdopodobnie jak jego przyszłość!... Tu dopiero czujesz żeś w stolicy Rusi*).

*) Kijów jedno z najstarszych miast słowiańskich niegdyś stolica Rusi następnie główne miasto województwa kijowskiego, dziś miasto gubernialne gubernii Kijowskiej leży na prawym brzegu Dniepru na malowniczych górach i dolinach pod 50° 27' szerokości północnej i 47° 13' długości wschodniej. Podług świadectwa Nestora ś. apostoła Andrzeja opowiadając w tych krajach (w dawnej

Scytyi i Sarmacyi) naukę Chrystusa postawił krzyż na górach kijowskich i przysłą światność miasta przepowiedział. Pewniejsze dzieje tego miasta zaczynają się od r. 864 w którym dwaj współtowarzysze Ruryka Arkold i Dir płynąc z drużyną Bywają położenia w życiu gdzie pocucie iż się jest nieznanym nikomu daje na razie pewne zadowolenie. Czuje się tam bowiem człowiek niezależnym a więc swobodnym, Dnieprem do Carogrodu odebrali go Chozarom którym mieszczanie Kijowa płacili daninę i panować w nim zaczęli. W r. 882 Oleg opanowawszy Kijów po zabiciu Askolda i Dira przeniósł tu swą stolicę z Nowogrodu i nazwał miasto (jak powiada Nestor) matką grodów ruskich. Włodzimierz przyjąwszy chrzest św. w roku 988, upiększył Kijów wystawieniem wielu świątyń chrześcijańskich jak cerkiew św. Bazylego monaster św. Michała i cerkiew Bogarodzicy (Desiatinnaja). Koniec X i początek XI wieku najświetniejszym były czasem dla Kijowa. Kronikarz niemiecki Ditmar współczesny Włodzimierzowi (976 1018) świadczy że w „grodzie wielkim” Kijowie było wtenczas 400 cerkwi 8 wielkich placów targowych i niezliczone mnóstwo ludu. Słynąc z handlu swego na zachodzie i w odległych krajach wschodu stanowił zbiorowe miejsce wszystkich statków handlowych które z całej Rusi płynęły do morza Czarnego. W r. 1017 większa część Kijowa stała się pastwą płomieni, w tymże roku Kijów był zdobyty przez króla polskiego Bolesława Chrobrego. Potem wielki książę Jarosław rozszerzył miasto, opasał je murem i główną bramę nazwał Złotą. Zbudował cerkiew św. Zofii wystawił monaster św. Jerzego i św. Ireny. Następnie nowy pożar napady i rabunki Suzdańczyków w 1169 później Ruryka Rościszlawowicza w połączeniu z Połowcami. Nareszcie w r. 1240 groźny Chan mongolski Baty podstąpił pod Kijów i po rozpaczliwej obronie mieszkańców pod wodzą tysięcznika Dymitra, zdobył miasto 6 Grudnia. Odtąd w przeciągu lat 80 Kijów pod jarzmem mongolskim zostawał a chociaż pojawiali się książęta kijowscy głównymi jednak rządcami byli baskakowie tatarscy. W r. 1320 Gedymin wielki książę litewski opanował Kijów i ze wszystkimi jego posiadłościami do swego państwa przyłączył. Odtego czasu Kijów rządzony był prawem lennem przez książąt z rodem Gedymina spokrewnionych. Ostatnim był Symeon Olelkowicz (zmarły 1470). W końcu XIV wieku wielki książę Witołd zbudował zamek w Kijowie w roku zaś 1415 staraniem tegoż księcia metropolia Kijowska oddzieloną została od Moskiewskiej i pierwszym metropolitą zależnym tylko od patriarchy Konstantynopolskiego, obrany był Bułgar Grzegorz Czamblak. Odtąd dzieje tego miasta łączą się z dziejami Polski aż do roku 1686 w którym na mocy pokoju Grzymałkowskiego odstąpiony został Moskwie z okręgiem i częścią Zadnieprską województwa kijowskiego. (J. S....) 368 wolnym od wszelkich więzów jakimi nieraz krępują nas stosunki. Wszakże długo to nie trwa i trwać nie może jeżeli się nie jest mizantropem. Prędzej lub później wrodzony instynkt towarzyski a często nawet i zachowawczy każe zbliżyć się do ludzi.

W takim to położeniu znalazłem się w Kijowie. Nie znałem tam nikogo. Że zaś lubię mieć sąd o wszystkim niezależny rad byłem tym razem iż mogłem że tak powiem, zanurzyć się w tym świecie dla mnie nowym spojrzeć na miasto którego znane mi były tylko przeszłe dzieje i nie ulegając autorytetom patrzeć nań własnymi oczyma. Po obiedzie więc wzięwszy dorożkę objechałem główne części miasta obejrzałem celniejsze gmachy place, ogrody poprzestając na objaśnieniach mojego automedona słowem zrobiłem przegląd powierzchowny Kijowa. Wrażenie wyniosłem takie: że wszystko co się dziś tam przedstawia jako dzieło ludzkie jakkolwiek pod wielu względami godne uwagi a niekiedy podziwu przedstawia się na pierwszy rzut oka nader skromnie wobec wspaniałej majestatycznej natury która bez zaprzeczenia temu miastu wśród wszystkich miast kontynentalnych pierwszeństwo daje.

Temu to zapewne przypisać należy że wogóle i architektura czy to kościelna czy świecka nie zadowolniła mię wcale. Trudno było nie dostrzedz że jak na zachodzie tak i tutaj wiek siedemnasty widocznie wycisnął na niej swe piętno. I zaprawdę żałować przychodzi że niemało z tego co dochowała była Ruś stara co było wyrazem jej wiary głębokiej i natchnienia z czasów bizantyjskiej lub romańskiej sztuki zginęło bezpowrotnie w pożarach rabunkach tylu wojen lub co najgorsza pod powłoką naleciałości rosyjskiego prawosławia. Patrząc na to ostatnie nie można nie czuć że artysta który tych zmian dokonał nie czerpał już natchnienia w miłości sztuki i wiary lecz posłuszny był ślepo wskazówkom które kierowały polityczne a niekiedy i serwilistyczne względy jak tego dowodzi

olbrzymi dwógłowy orzeł jako herb państwa osadzony na frontowym krzyżu soboru św. Zofii. To też widzi się tu z żalem dotykany ślad przeobrażeń*) jakim uległa Ruś przechodząc z rąk do rąk swych narzuczanych władców.

Nazajutrz wychodząc z kościoła zatrzymałem się u przedsionka w niedecyzji jaką obrać drogę aby dostać się do uniwersytetu. Gdy się tak rozpatruję w lewo i w prawo wychodzi z kościoła młody człowiek. Spojrzałem nań i widząc sympatyczną postać zwracam się i proszę by mi wskazał najbliższą drogę. Zatrzymał się i rzecze mi uprzejmie:- A więc proszę pana ze mną gdyż właśnie w tamtą stronę idę.

Trafiłem wybornie bo się okazało że był to student, i jeden z tej zacnej młodzieży co to jeszcze uniwersyteckie dobre czasy przypominał a który ukończywszy studia gotował rozprawę na stopień naukowy. Nazywał się Radl....ski. To też po rozmówieniu się przypadł mi do serca i odtąd był mi nieodstępnym towarzyszem przez cały mój pobyt w Kijowie.

Widziałem u niego dużo młodzieży która korzystając z koleżeńskiej jego gotowości niesienia pomocy w stosunkach życia i pracach akademickich otaczała go szacunkiem i miłością. Przypomniało mi to czasy i studia Wileńskie. To też z przyjemnością jakiej się nie spodziewałem kilka dni miłych w ten sposób w Kijowie przeżyłem, jakkolwiek trudno było nie dostrzedz z żalem że zwrot nowy kosmopolitycznej natury zaczynał już przeważać wśród młodzieży szukającej chleba**).

*) Wyjątek stanowią cerkiew św. Zofii św. Michała.

**) Wiadomo że uniwersytet kijowski (św. Włodzimierza) utworzony ze szczątków uniwersytetu wileńskiego w 1836 roku miał być zorganizowany w ten sposób aby nie był dla Rusi tem czem był wileński dla Litwy. Czy się to udało rządowi wątpić się godzi przez sam wzgląd na ducha czasu który drwi sobie z baryery, jaką mu stawia bagnety.... Wykłady znakomitego profesora Pawłowa wykołysały tam całe pokolenie pionierów przyszłości a chociaż twarda rzeczywistość posiłkowana pesymizmem Schopenhauera obniżyła z czasem temperaturę entuzjazmu i obciążała mu nieco skrzydła to wszakże co zeń pozostało wystarczy na długo.

Nareszcie po obejrzeniu co było uwagi godnem szczególnie w historycznych pomnikach miasta jak „Złota brama” cerkiew św. Michała Sobór św. Zofii ławra pieczerska z jej pieczarami sławnymi na całą Ruś a niemniej i po rozpatrzeniu się w kolorycie miasta którego starodawn ej patyny nie zdołały jeszcze zetrzeć nowe porządki.... pożegnałem nie bez żalu moją nową znajomość, i wzięwszy miejsce na parostatku odpłynąłem do Kremieńczuga.

Było to nad wieczorem. Wyniosłe brzegi Dniepru porznięte malowniczymi parowymi mogiła Askolda Wydobycy monaster żelazne mosty nadbrzeżne wille wszystko to raz jeszcze przemknęło przed oczyma i zasunęło się w ciemną dal do dziedziny wspomnień.... Nadeszła noc cicha wiosenna, niebo szafirowe jakby płaszczem gwiazdzistym otuliło ziemię. Ściemniało. I oto wstęga dymu rozwiana na niebie i srebrzysta bródza na szerokiej tafli wód jedyny ślad drogi kędy jak nocne widmo przemykał parowiec, zniknęły wkrótce za nami. Żal było odrywać oczy od tego widoku. To też do późn ej nocy nie schodząc z pokładu brałem udział w pogadance wśród koła kilkunastu osób przeważnie szlachty wracającej do domu.

Nazajutrz jakto bywa na wiosnę zmieniała się aura, zachmurzyło się niebo powstał wiatr i dał się poczuć dojmujący chłód na pokładzie, zatém wszyscy się zebrali do stołowej sali, a że kuchnia była zaopatrzona dobrze więc ten i ów spieszył pokrzepić się w bufecie nie wiele się troszcząc co działo się na dworze.

Mało mi dotąd była znana szlachta ukraińska. Tu dopiero spostrzegłem że pomimo iż w ostatnich czasach los nami rzucał tassując jakby kartami w grze hazardowej to przecież wszędzie i zawsze pod pewnym względem wszyscyśmy pozostali jednacy. Tesame dodatnie tesame ujemne strony, pomimo przemian losu dochowały się w nas niezmiennie, a jeśli tam i ówdzie klimatyczne lub inne miejscowe warunki mniej lub więcej wpłynąć mogły na usposobienia lub krewkość temperamentu to wszakże grunt charakteru pozostał tenżesam jak długa i szeroka Polska. Małomówny Żmudzin rozważny Litwin dobroduszny Białorusin butny Wołyniak rubaszny Ukrainiec spanoszony Podolanin gładki

Kongresowiak hulaszczy Wielkopolarin utytułowany Galicyanin gdy się go pozna jakim go Bóg stworzył widzi się jasno że każdy z nich zachował te same wspólne wszystkim cechy które przez wieki były naszym pierwotnym grzechem lub naszą zaletą. I jeżeli można szlachtę naszą o konserwatyzm posądzić to pod tym względem bez zaprzeczenia jest konserwatywną. Owóż więc, jak wszędzie i zawsze gawędka przy cygarach kipiała jak w kotle.

LXXVIII.

Bodaj to żeglować po rzekach! rzecze jeden z podróżnych zakrapiając befstyk maderą. Tu przynajmniej można spokojnie się posilić i nie stracić apetytu jak to bywa na morzu. No i dodaj pan rzecze drugi można się wy wczasować i wyspać należycie bez obawy zbudzenia się w brzuchu rekina. O pamiętne mi te morskie sceny ciągnął dalej turysta ten krzyk płacz świst ten huk bałwanów które wpadając na pokład przewracają wszystko do góry nogami te trupie twarze pasażerów uczipionych konwulsyjnie o balustradę patrzących ze śmiertelną trwogą w przepaść w którą się rzuca parowiec z wysokości bałwanów jakby z wieży a co najgorsza to właśnie to że gdy się to wszystko dzieje gdy niejednemu przypominał się pacierz co go nauczyła matka gdy ci się przewracają wnętrzości i jak Piotrowin z grobu wyglądasz z kajuty patrzysz a oto dają do stołu i te żarłoczne wilki morskie kapitan i jego towarzysze zasiadają i żrą jakby nic nie było.

I to jest pono najtragiczniejsza sytuacja wtrącił ktoś z boku śmiejąc się boś zapłacił zgóry za obiad, i jeść go nie możesz. Zdarzają się też i zabawne nieraz sceny, dodałem z kolei. Widziałem jedną z takich w wycieczce z Neapolu do Capri, pamiętam ją. Gdyśmy wsiadali na statek ranek był pogodny chociaż lekki wietrzyk pociągał od zachodu. Towarzystwo było liczne, toalety pań strojne urządzenie wszystkich wyborne. Żegnali nas wprawdzie lazaroni z brzegu podejrzanym uśmiechem, aleśmy na razie tego nie rozumieli. Płyniemy tedy. Statek nie wielki energicznie rozcina pomarszczoną lekko powierzchnię wody eleganckie grono pań rozlokowało się w malowniczych pozach pod cieniem markizy przyćmiony blask słońca rzuca matowe miękkie światło refleksów na tę wdzięczną grupę której tłem szafirowe morze i także niebo a dalej dalej na ostatnich planach oddalenia widok Neapolu Pauzilipów, Kamedułów i Wezuwiusz! Zaprawdę obrazek nielada! Ale, w miarę jak się posuwamy w głąb zatoki zmienia się dekoracja fale rosną dostają grzyw białych statek się coraz bardziej kołysze morze przybiera kolor posępny, złowrogi bo z ciemnego punktu który zaledwie był dotąd widzialny wyrasta chmura. I oto skryło się słońce zerwał się wiatr. Już niejedna z pań zmyka do kajuty niepokój zaczyna udzielać się innym zasępiły się uśmiechnięte przed chwilą lica i po małej chwili znikają wszystkie z pokładu.

Burza!!

A no widziałem nie jedną ale tak zabawnej sceny jakiej ta była powodem nie widziałem nigdy. Jeszcześmy nie byli dojechali do wyspy kołatani na wsze strony falami kiedy patrzę aż oto wszystkie te strojne panie co niedawno zeszły do kajut teraz jakby widma jedno za drugą wychodzą napowrót z pod pokładu, blade straszne jak upiory.... Strój pomięty w oczach trwoga rozpacz chwieją się zataczają padają a tymczasem symptomata choroby morskiej oddają je na łaskę każdego co im spieszy na pomoc. Słowem rwetes zgiełk. Kto tego doświadczał wie że w takim razie nie ma tu już na względzie ni płci ni wieku ni stanu nikt tu na nic nie zważa nikt się nie żenuje, wobec grozy i cierpienia, różnica nawet płci znika wszyscy tu równi. A tymczasem parostatek w szalonych podskokach przewalając się z boku na bok pędzi do brzegu.

Mijamy groty lazurowe biją ponad niemi bałwany, het na kilka metrów wyżej! Nareszcie rzucają kotwicę spuszczaają baty. No myślę koniec utrapienia. Ale gdzież tam, fale miotają statkiem a o wiele jeszcze więcej miotają batem do którego trzeba się spuścić po drabinie. Bagatela! I tu dopiero zaczyna się manipulacja zabawna szczególnie dla kobiet a należy wiedzieć że były to czasy szerokich sukien. To też i opowiadać jak się to odbyło nie będę niech to już sobie każdy w swej wyobraźni dopiewa, dodam tylko o czym nie należy zapominać że przestrasz i pospiesz były u każdego na piętach. Otóż gdy już nieszczęsna ofiara złapana za nogi znalazła się w baciku co jak łupina orzecha rzuca się jak szalony wiozą ją do brzegu. A tu kłopot nowy brzegi miałkie bat niesiony na falach w pewnej odległości siada na mieliźnie. Więc co począć? Lecz oto w tejsamej chwili podbiegają rybacy i

tęgo co się przygotował chwytają na barki i dalejże z nim wśród wichru, huku fali i śmiechu na brzeg. Ale to rzecz nie łatwa, rozszalałe żywioły niechętnie zrzekają się zdobyczy więc nieraz się zdarza że bałwan dognawszy taką rozdętą wiatrem grupę przewraca ją i tu dopiero bukiet tej komicznej sceny tu dopiero powstaje zamęt: sypią się frenetyczne oklaski z brzegu wołania wrzaski zaklęcia ze statku a rozbawiona gawiedź kładzie się ze śmiechu wołając: fora! fora! i bravi forestieri! E viva! e vivat słowem awantura tragi - komiczna którejby sam Hogart mógł pozazdrościć. Po takiej tedy escapadzie gdy przyszło wracać zmaltretowane towarzystwo niedowierzając już wieczornej ciszy popłynęło brzegami zatoki do Castel-mare skąd koleją wróciło do Neapolu. Pora też była odetchnąć. Śród takich to pogadanek przy płynęliśmy do Kremieńczuga z kąd już pocztą miałem się udać do Ekaterynosławia, jakoż nazajutrz wzięwszy „podorożną” wsiadłem na pierkładną i wczesnym rankiem wśród najpiękniejszej pogody, puściłem się w głąb Ukrainy.

LXXIX.

Ani wesołej szlachty ni rycerstwa głosy, Tylko wiatr szumi smutne uginając kłosa, Tylko z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy, Co spią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy. Dzika muzyka dziksze jeszcze do niej słowa, Które duch dawnej Polski potomności chowa - (.4. Malczeski Marya).

Takie to wrażenie robi dziś Ukraina na każdym kto znając jej przeszłość widzi ją po raz pierwszy. Szeroko tu pierś oddycha ale tęskna zaduma pochyła czoło na wspomnienie tylu błędów klęsk tylu łez i krwi przelanej którą ta ziemia przesiąkła. O jakże inne byłyby jej losy gdyby ci co byli jej panami umiłowali ją byli i nie rzucali na pastwę rządcom gubernatorom dzierżawcom i t. d. Ale woleli oni żyć w Paryżach Wiedniach i t. p. ciągnąc z pracy ludu olbrzymie dochody, woleli korzystać z przywilejów zdobytych trudem i krwią przodków i tonąć w rozkoszach na obczyźnieniż spełniać obowiązki względem tegoż ludu i kraju. To też pop wódka i żyd były tu jedyne czynniki, co na tej mlekiem i miodem płynącej krainie wycisnęły niezatarte piętno.

Po drodze napotykam włościan idących do miasta. Lud to dorodny rośli. Kobiety strojne w kraśne chustki Iskniące paciorki szeroko rozpostarte na szyi i piersiach bardziej hożeniż ładne rezolutnie odpowiadają na zwykłe pozdrowienie, rzucając zalotne spojrzenia podróżnemu. Droga wyborna, twarda równa bryczka pędzi po niej jak po toku. Im dalej Dniepru tem się teren podnosi bardziej aż do płaskowzgórza gdzie się już zaczyna step. Wszystko tu inne formacja geologiczna rodzajność ziemi flora zbiorowiska wód i atmosferyczne właściwości. Głównem wszakże znamieniem tej krainy brak lasów szerokie horyzonty i liczne mogiły....

Tam i ówdzie tylko w głębokich jarach zielenią się gaje zwierciadła się stawy a po nad nimi u stóp dąbrowy rozsiadły się wsie ocienione sadami. To też mgły poranne i wieczorne gdy się nad nimi uniosą przywodzą na pamięć słowa poety:- „Oto chaty dymią w dole, „Górą kalinowe gaje i t. d. i t. d. (B. Zaleski).

„Do najosobliwszych zjawisk i widoków w tych jarach należą tak zwane spławy na stawach. Są to pływające wyspy które się już lasem rozrosłych dębów i olch pokryły niekiedy tak wielkie że na nich stada koni i bydła się pasą i czasem służą do przewozu. Na tych to stawach bujne oczerety z ich szumem ostrym tak się rozrosły że siadłszy w łódkę można jak w wielkiej puszczy jeździć i błędzić w nich po dniach całych. Tam to swobodnie żyją i gnieźdzą się nieprzeliczone stada wodnego błotnego i trzciniego ptastwa“).

Inną znów stanowią osobliwość t. z. futory, są to stepowe oazy ogniska skupionej roślinności na niewielkiej przestrzeni gdzie nierzadko wśród ciszy w cieniu sadów pasieki upływa życie samotne starego pasiecznika. Uroczy one mają widok szczególnie na wiosnę gdy drzewa owocowe zakwitną a wietrzyk odświeżony rosą przejęty wonią kwiecia rozkołysze dokoła jakby fale jeziora łany zielonego zboża. *) Słowa cudzysłowem objęte pochodzą z dzieła „Obrazy z życia i natury” W Pola.

„To też nic bardziej zajmującego jak ta wielka warcabnica uprawnych pól i łąk w krainach stepowych mianowicie w czasie kiedy każdy rodzaj zboża inny przybiera koloryt a łany hreczki kwitnącej wydają się zdaleka do wielkich jezior lub stawów podobne. Rosy też obfite które nawet pod

najsuchszą porę ożywiają roślinność dodają niemało uroku tej ziemi. Już słońce nieraz podbiegło wysoko, a tu stoją jeszcze całe kielichy kwiatów i zwoje burzanów napełnione wodą tak że się z nich nie tylko ptaszek nie tylko zwierzątko ale i człowiek wody napić się może na roślinach też szerokiego liścia skrapla się rosa jak gdyby w talerzach".

Charakterystyczną postacią tej krainy jest lirnik. Dziad lirnik na tle mogiły oto prawdziwa ilustracja Ukrainy. „Znałem takiego na Podolu przed dwudziestu laty powiada Pol. Chodził on od wsi do wsi i od wszystkich był znany i lubiony bo śpiewał pobożne i światowe pieśni miał głos bardzo wyrobiony i przygrywał po mistrzowsku na lirze. Głęboka czułość i dobór pieśni które do każdej chwili dnia i nocy stosować umiał skupiała dokoła niego gromady ludzi wszędzie gdzie tylko usiadł wszędzie gdzie się tylkojozwało granie jego liry. Dziwnie też umiał obierać miejsca spoczynku i chwilę w której przybywał do dworu lub do wsi. Tu przysiadł na okopie cmentarza tam około bramy około cerkwi lub kościoła pod krzyżem wiejskiej drogi lub na mogile a kiedy się ozwała jego lira w krótkich żałosnych przygrywkach biegły niewiasty i dzieci ku niemu a ze dworu wychodziła cała družyna by przysłuchać się graniu jego liry i pieśniom starego ociemniałego Panka.

Przewodnikiem w pielgrzymkach jego była koza, trzymając się jedną ręką obłącznej witki którą nosiła na szyi, szedł od wsi do wsi znając drogę tak dobrze że przy pomocy kozy nie potrzebował przewodnika innego.

Czasami miewał i chłopczyka sierotę ale gdy chłopca podchowwał oddawał go dobrym ludziom na służbę i poty tylko trzymał przy sobie dopóki był chłopcu potrzebny bo dla niego wystarczała koza, żył głównie jej mlekiem a koza żywiła się sama kiedy ludzie jego pieśni słuchali.

Patrząc nieraz na życie i losy tego lirnika myślałem sobie nad zrządzeniem Opatrzności która przez usta ciemnego przymnaża chwały bożej i podaje tradycje w pieśni nie spisanej od wieków żyjącemu pokoleniu".

Podróż zatem moja była dziwnie zajmująca nie brakło jej ni wrażeń ni widoków nowych a tak różnych od tego com widział niedawno na dalekiej północy. Stał przedemną świat nieznany. Niby. to biała karta w dziejach przyrodzenia czy wielkie pobożowisko tumanów!... Świat otworem leżący wietrzny ruchomy i nieustalony. Myśl zdaje się tęsknić za rozleglejszym widokiem a oko nie zdoła objąć tego co widzi.... Ztąd to ta rzewna tęsknota, która się w ludzie i w dziejach jego i w jego pieśniach rozlała!...

Kędy spojrzysz wzrok twój ginie w nieskończonej dali. Nigdzie nie ujrzeć drzewa na właściwym stepie i tylko szumną trawą porasta odłóg wieczysty.... Jedyne wznioślejsze miejsca gdzie spocząć może stanowią mogiły. To też nieme a wymowne są one dotąd godłem Ukrainy....

LXXX.

Dojeżdżając do Wierchdnieprowska spotkałem wóz zaprzężony parą wielbłądów. Konie się zlekły uniosły i me wiele brakło abyśmy z wysokiego brzegu runęli w jar. Nad wieczorem po całodzienną podróż na połowie drogi do Ekaterynosławia zatrzymałem się na noc na stacyi z której wzrok sięgał na dalekie zakręty Dniepru. Nocleg miałem wygodny bo już tym razem stacya po naszymu urządzoną była. Dzierżawił ją żyd. Że to był dzień szabasu zaprosiłem go na herbatę i gawędę. Jakoż pogląd jego na bieżące sprawy okolicy wytrawny dał mi ją w części poznać.

Jakże tu idzie pańskim współwyznawcom których tu widzę wielu pytam w ciągu rozmowy. A no idzie nam tu niezgorzej, naród tutejszy leniwy, więc cały handel w naszym ręku. Obywatelstwo też nie słynie z poradności dobra więc pańskie my dzierżawim. Więksi panowie siedzą w Petersburgu mniejsi zaś.... W kieszeni u żydów dodałem.

Nu kto im winien kraj bogaty jest tu wiele do roboty byle spryt pieniądze i praca. Nareszcie nazajutrz a była to kwietna niedziela z ostatniego wzgórza ujrzałem Ekaterynosław. Nie bez wzruszenia powitałem tę przyszłą moją siedzibę to miasto stepów które zdobił szeroko rozlany Dniepr. Wiejska ludność w odświętnych strojach konno i pieszo z palmami spieszyła do miasta. Ranek był pogodny, szafirowe niebo przypominało mi inne kraje i inne czasy. Przypomniał mi się też prawem kontrastu Ołonieć! gdzie w tejsamej porze zwykle jeszcze najwyborniejsza panowała sanna!... Biedni!... co się z niemi tam dzieje?...

pytało serce.... Ujrzeź ich ja kiedy!...

Gdy o południu wjechałem do miasta, ulice roiły się publicznością. Gwar tłok ludzi wszelkich stanów i mowy napełniał powietrze. Zalokowawszy się w hotelu wyszedłem by się przypatrzeć mieszkańcom. Ciekawe to miasto. Małorusini Polacy Mołdawianie, Wołochy Serby Ormianie Niemcy Żydzi Karaici Cyganie wszystko to zmieszane mrowi krząta się żyje mówi po swojemu ulegając wpływom południowej przyrody. Dziwna mozaika ludzi. I toż to ma być Rosya pytasz zdziwiony.... A gdy spojrzysz na te postacie o różnych typach, mowach ubiorach gdy się przypatrzysz tej ich hulaszczey, istnie stepowej fantazyi co to o nic i o nikogo nie dba.... tym słowiańskim lazaronom co w biały dzień roboczy, rozciągnięci na kozuchach używają wczasu pod cieniem morwy, nie troszcząc się o jutro, to zaprawdę poczujesz się na tem samem Zaporozu co przed laty przy całej swej wojennej sławie było przytuliskiem przybłądów niekiedy bohaterów najczęściej wichrzycieli a zawsze awanturników.

Nazajutrz o południu wybrałem się do gubernatora. Był nim Borkowski. Oświadczył że się mego przybycia spodziewał zachęcał abym otworzył pracownię gdyż prócz rzadkich dyletantów miasto nie posiadało artysty-malarza nareszcie dodał co mi było najbardziej pożądanem żem zupełnie wolny i swobodny w mojej egzystencji. A ponieważ przy tej prezentacji obecnym był policmajster więc i z nim zabrałem znajomość i idąc za jego radą znalazłem wkrótce dogodne mieszkanie bo przy końcu bulwaru nieopodal od publicznego ogrodu i Dniepru. Był to domek parterowy cichy ocieniony morwami z ogrodem pełnym krzewów i kwiatów. Właścicielką była staruszka wdowa matka dwóch córek. Dwa pokoiki umeblowane z usługą i samowarem kosztowały miesięcznie r. s. 6. Stół zamówiłem u rodziny polskiej pp. Szemiotów. Była to młoda para. On był urzędnikiem na pocztce ona dawała lekcye muzyki. Zanim to jednak nastąpiło parę dni przemieszkalem u pp. Janusz.... którym byłem polecony od wspólnych naszych przyjaciół. Zbliżały się święta wielkanocne więc ich uprzejmość litewska nie pozwoliła abym w takich dniach pozostał w obcym mieście samotny. W taki więc sposób chociaż pod innem niebem zawsze wśród rodaków na dawnej Polski kresach zaczął się nowy peryod mojego tułactwa. Po zalokowaniu się na stałą kwaterę zbudził mię pierwszej nocy alarm za ścianą gdzie było mieszkanie gospodyni. Słucham tedy i słyszę płacz i jęki.... A więc ubieram się na prędkę wychodzę i pukam do drzwi tych pań, pytając co to znaczy i czy nie mógłbym w cz em im dopomóc? Odpowiadają mi:

Matuszka zachwareła pamirajet! i dalej w płacz.

Jak co? gdym się rozpytał dokładnie przypominałem że mam w zapasie krople dane mi w Wilnie na podobne cierpienie. Więc żwawo wyszukuję i daję córkom, aby je matce do zażycia dały. Porywają więc flakonik i unoszą. Położyłem się ałem zasnąć nie mógł dochodziły mię jęki a co najgorsza majaczyła myśl, a nuż to jej zaszkodzi co mnie pomogło może to inne cierpienie, a więc i innej kuracyi wymaga a nuż kobieta umrze, ot i zostanie wyrzut żem ją mojemii kroplami zabił.... Słowem w niepokoju i gorączce całą noc przebyłem. Nareszcie uciszyło się za ścianą i jam też zasnął nadedniem. Gdy rano weszła sługa z samowarem pytam:- A szło jak się ma. dzisiaj barynia?

Sława Bohu lepsze stała. No Sława Bohu! i ja też rzekłem w duchu. W istocie spadł mi ciężar z serca. Jakoż po dniach kilku kobiecina wróciła do zdrowia. Oczywiście wdzięczność ich odtąd nie miała granic tak matki jak córek. I było mi tam dobrze tak żem się czuł u nich jak we własnym domu. Pierwsze dni pobytu poświęciłem rozpatrywaniu się w mieście i okolicy*).

*) Ekaterynosław założył Potemkim w 1786 roku w miejscu gdzie była wieś Połowiec na prawym brzegu Dniepru, liczy mieszkańców około 13.000 płci obojga domów 1.890 cerkwi 10 dom modlitwy i synagogę żydowską,. Posiada gimnazjum gubernialne, szkołę powiatową. parafialną seminarium duchowne pensyj żeńskie 3 dom obłąkanych bibliotekę publiczną muzeum dwa ogrody miejskie bazar - fabryki: sukienną odlewów żelaznych mydlarnię topienia łożu świec, litografię drukarnię, apteki 2 zajazdów 10 Jarmarków 3. Gubernia Ekaterynosławska należy pod względem własności fizycznych do stepowej przestrzeni Rosyi. Powierzchnia jej z wyjątkiem nieznacznych wyniosłości granitowych od brzegów Bohu przez Inguł i Ingulec idącym ku porohom dniewprowym jest w ogólności równą i składa się po większej części z pochyłości stepowych znaczną przestrzeń zajmujących. Położenie otwarte sprawia że tu bardziej niż w innych miejscach czuć się daje gorąco i zimno. Ponieważ brak lasów, na opał używają sitowia i trzciny. Ogólna liczba mieszkańców gubernii wynosi 100.000. Składają ją w przeważnej części Małorusy dalej idą Mołdawianie Wołochy Serby Ormianie,

Niemcy Żydzi Karaici Polacy Cyganie. W powiecie Ekaterynostawskim istniała „Sicz zaporozka”. (J. S. Encyklopedia powszechna).

Z miastem załatwiłem się prędko.

Założone w 1786 roku przez Potemkina na sposób zakładanych miast za panowania Katarzyny II na wielką skalę zabudowane zostało zaledwie w części. Dzieje więc jego ani ciekawe ani też nie sięgają dalekiej przeszłości architektura zaś cywilna i cerkiewna nie wyszła tu wcale z granic urzędowego szablonu. Miasto dzieli się na dwie części, dolną i górną. W pierwszej na wzmiankę zasługuje główna ulica „wielka zwana” drzewami zasadzona stanowiąca bulwar, blisko pół mili długi który jednym końcem dotyka ogrodu miejskiego gdzie się szkoła ogrodnictwa znajduje a drugim górnej części miasta gdzie wystawiono w 1846 r. pomnik dla Katarzyny II. Tu się znajduje także katedra grecka po za nią pałac księcia Potemkina z obszernym ogrodem dziś na resursę zamieniony i gimnazjum. Ogród ciągnie się ponad brzegami Dniepru skąd malownicze otwierają się widoki. I oto wszystko co warte widzenia. Co do towarzystwa to prócz nielicznych osobistości ze sfer wyższych urzędników lekarzy nauczycieli niski poziom cywilizacji na każdym kroku był widoczny. Urzędnicy i żydzi stanowili główne jądro społeczności. Pierwsi jak to w Rosji zwykle bywa godziny pozasłużbowe spędzali w klubie przy kartach i kieliszku drudzy zamknięci w sferze handlowej, pomimo zamożności nierzadkiej nic wspólnego z cywilizacją nie mieli i mieć nie chcieli. O zamięłowaniu więc sztuk, literatury mowy tu nie było. Artysta muzyk towarzystwo dramatyczne rzadkimi tu bywali gośćmi. Wprawdzie tam i ówdzie idąc za modą odzywały się fortepiany niepokojąc sąsiadów ale to były wyjątki które tonęły w morzu indyferentyzmu ku wszystkiemu co piękne. Słowem było to miasto urzędników i spekulantów. Oczywiście że po rozpatrzeniu się nie trudno było dojrzeć że nie było tu co liczyć na prace artystyczne. Zatem poprzestawszy na szkicach i etiudach z natury wziąłem się do czytania korzystając z biblioteki. Wiele rzeczy nie znałem z tego co w ostatnich czasach wzbogaciło rosyjską literaturę więc zabrałem się do niej. To też i korzyść odniosłem nie małą bom się przekonał o ogromnym postępie na różnych jej polach, co mi dało do myślenia, że my Polacy źle wyjść możemy wobec tej ich pracy zasilanej potężnymi środkami jeśli dłużej spoczywając na laurach starej sławy ignorować ją będziemy.

LXXXI.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu, Wóz się nurza w zieloność i jak łódka brodzi Śród fali łąk szumiących śród wiatrów powodzi Pomijam koralowe ostrowy burzanu —A. Mickiewicz.

Wiosna była dziwnie wczesna i piękna. Już w początku kwietnia drzewa pokryły się liściem zakwitły bzy i czeremchy a cały step wyglądał jakby kwiecisty kobierzec. To też po długiej prywacy o jakże miło było teraz całą pierś odetchnąć wonią wiosennego kwiecia. Co zaś ważniejsza czułem się swobodnym bo mię tu żadne już nie krępowały zajęcia i żadne zatargi nie mąciły spokoju. Żyłem śród natury a co najważniejsza zdała od ludzi....

Wielką mi dogodność wyświadczył jeden z oficerów dając do rozporządzenia wierzchowego konia. To też zwykle nad wieczorem gdy upał przeminął lubiłem zapuszczać się na daleki step i jakby na pełn em morzu błędzić tam samotnie „aż pomrok przedmioty zasini”. Dziwny urok miały dla mnie te wieczorne konne wycieczki. Nieprzejrzane morze zieloności tajemniczość mroku otulająca mogiły.... cichy zmieszany gwar tysiąca głosów jakby szept modlitwy, zabierającego się do snu ptactwa a dokoła step a nad nim iskrzące się gwiazdami niebo to był zaprawdę obraz, co całą duszę porywał, obraz tak głęboki że w nim tonęła nieraz boleść i pamięć tego com zaznał....

To też wracałem z tych wycieczek smutny wprawdzie zawsze ale pokrzepiony nieraz.

W wilią Zielonych świąt kilku nas Litwinów wybrało się na majówkę o mil parę na tak zwany Nienasytny poroh największy i najstraszniejszy ze wszystkich na Dnieprze. Że był upał wybraliśmy się krytym szarabanem powoził kolonista niemiec. Po drodze mieliśmy sposobność przypatrzeć się jego kolonii. Po niemiłem wrażeniu jakie robią małorosyjskie wioski gdzie chaty do psich bud podobne a

obejście jest Obrazem niedbalstwa i nieładu jakże miły widok przedstawia kolonia niemiecka gdzie na każdym kroku widać ślad rozumnej pracy.

Domy owocowe sady zabudowania gospodarskie ogrody warzywne łąny zboża wszystko tu na co spojrzysz przedstawia obfitość i ład. Ludność dobrze odziana dostatnia skrzętna. Widziałem ją w kościele gdyż to kolonia katolicka przykładnie, nabożnie zachowywali się wszyscy. To jednej stronie kobiety po drugiej mężczyźni śpiewali razem pieśni zanim się zaczęły nieszpory. I rzecz dziwna pomimo tak widocznych rezultatów pracy i ładu przykład tej kolonii nie oddziałwał dotąd wcale na tubylców. Słowo „memec” jest tu słupem granicznym w pojęciach i usposobieniu tego słowiańskiego ludu.

O dobre pół mili od porohów już się nam hukiem Dniepr zapowiedział. Gdyśmy przybyli wieczorem na „Nenasytiec”, jak go zwykle tam zowią dano nam kwaterę z powodu że był z nami jeden z wysokich urzędników gubernii w t. z. Sielskom uprawnień (wiejskim zarządzie) w pośrodku wsi. Ogłuszający szum wody zaledwie dozwalał rozmówić się na razie. To też podziwiałem szczęśliwy organ słuchu generała Sinielnikowa którego dwór stoi tuż nad Dnieprem. Wchodzimy do kwatery na wstępie uderzył nas zapach macierzanki i cząbrku którym wysypano podłogę tak obficie że nogi w tem toną. Co to jest i na co to? pytamy.

A to proszę państwa jutro mamy uroczyste święto więc pachnącem zieleń wysypują się izby i zdobią się strzechy i ściany chałup odpowiada „starszyna”, u nas taki zwyczaj....Bądź co bądź niepodobna było wytrzymać długo, w tym odurzającym zapachu a coś dopiero noc przepędzić. Gdyśmy zatem zostali sami wyprzątnęliśmy parę pokoiów otworzywszy okna i wtenczas dopiero po jakimś czasie można było pomyśleć o noclegu. Wszakże źle się spało, huk ciągły i zapach napędził bólu głowy, zbudziwszy się zaś rano udaliśmy się do kąpieli i to nas orzeźwiło.

Nienasytny poroh długością swego spadku zajmuje blisko pół wiorsty. Obramowały go wysokie lite skały wystające zaś lub podwodne głazy granitu o które się roztrąca w pędzie swym woda w czasie gdy nie jest wysoka są przyczyną tego nieustannego huku któremu zaledwo by dorównać mógł huk tysiąca młynów. W takiej więc porze przeprawa statków bywa wielce ryzykowną i to właśnie tłumaczy jego nazwę.

W miarę większej wody cichnie i szum w powietrzu, a zamienia się jakby w głuche drżenie i dudnienie ziemi bo naówczas pokrywa woda łomy granitu i wali wierzchem spieniona kręcąc się w wielkich wirach poniżej porohów. Jeden tylko nienasytniec sterczy naówczas hardo.

Brzegi dneprowe przybierają na tej przestrzeni porohów pozór górzystego kraju: lite skały dziwacznie poszarpane wznoszą się na obu brzegach. Widok tych potężnych skał i widok tak olbrzymi ej masy wód walącej się z wysokości porohów pomiędzy łomami granitu przechodzi tu już nieco skałę europejskich wymiarów powiada W. Pol. Tu kładzie wśród spienionych wód ostrożny sokół swe gniazdo. Ze szczytu tych urwistych skał wyprawia się orzeł o świcie po noclegu za żerem na stepy. Ostrowy dneprowe indziej płytkie i piaszczyste zjeżyły się tutaj granitem i porastają dzikim winem które się dowolnie po drzewach wspina i rozkosznie ku słońcu po skałach rozkłada. Natura występuje tu w wielkich potężnych zarysach w całej dzikości pierwotnej ale zarazem i w całej świeżości swych wdzięków pierwotnych.

Dzień cały zszedł nam na rozpatrywaniu się w tej ciekawej miejscowości. Nad wieczorem gdyśmy już byli na wyjeździe dano znać że się zbliża barka czy galar. Tego nam tylko brakło do całego obrazu. A więc dalej na wzgórek, z którego odkrywa się widok na całą długość porohów. Rzeczywiście było co widzieć. Straszna to chwila gdy już statek zbliża się do przeprawy! Prąd rzeki dotąd bystry zwalnia się widocznie bo tu powierzchnia wód przed pierwszym progiem znacznie się podnosi. Statek jakby w przeczuciu niebezpieczeństwa płynie coraz wolniej. Chwila krytyczna. Idzie mu teraz o to aby trafić wśród złomów i skał najeżonych zewsząd wśród kotłującej piany i zamętu na pewien prąd szczęśliwy który tylko doświadczone oko rozróżnić potrafi co gdy się uda wszystko pójdzie pomyślnie jeżeli chybi i u wejścia trąci o pewien kamień statek w swym pędzie trącić się musi 9 razy o skały a takich uderzeń gdy nie każdy wytrzyma kończy najczęściej katastrofą!... Chwila to zaś w której życie tych

wszystkich ludzi co tam są zależy teraz od jednego drgnięcia rudla... To też cała gromadka skupia się na środku nieruchoma niema.

Jeden tylko sternik z wyężonym okiem przed siebie silnem ramieniem ujāwszy ster kieruje nawā... Ludzie i nawa stanowią teraz —jakby jedną istotę... Płynā..., już już dochodzą do progu... Zdjęli czapki przeżegnali się... chwila i oto jednym razem prąd ich porywa unosi! Zaparliśmy oddech patrzymy stoją przytuleni do masztu czasem ich piana pokryje czasem fala ponad nimi przemknie oni pędzą w dół coraz prędzej prędz ej a statek to się przechyla to nurza to drga i wgórę się ciska jak rumak śród topieli... Ale sternik stoi jak dąb silny nieustraszony wiatr mu rozwiał włosy, on dzierży rudel w potężnej prawicy i jak mitologiczny Neptun trójzębem śmiały mi rzuty nadaje kierunek to w lewo to w prawo zręczny szybki śmiały. Jeszcze chwila i oto bystre jego oko przez mgłę wodnego pyłu dojrzało koniec przeprawy jeszcze jedno poruszenie steru, jeszcze jedno drgnięcie nawy i oto ręka jego unosi do góry czapkę na znak tryumfu a razem z t em hurra! słyszeć się daje śród huku i szumu spienionych bałwanów!

Nieopodal od porohów z pośród wód dniewprowych wystaje złomami skał najeżona pamiętna w dziejach naszych wyspa Chortyca. Prócz położenia geograficznego i formacji geologicznej nic tam z przeszłości tej oryginalnej stolicy Siczy zaporozkiej nie zostało. „W obecnej chwili powiada Nowicki (Kłosa 1886 N.) wyspa Chortyca owe niegdys gniazdo „zbójckie" przybrała postać zupełnie do dawnej niepodobną. Kurzenie czyli jurty mieszkalne kozaków zarosły burzanami śród których w cieniu drzew zasadzonych przed lata kilkudziesięciu z rozkazu Potemkina który tu zamierzał ogród zaprowadzić i postawić pałac wypasają się stada owiec i piękne rasowe konie kolonistów niemieckich, gdzieindziej w środkowej i dolnej części wyspy szumią łany dające każdorocznie plon obfity, błyszczą na słońcu złote dynie i harbuzy na wschodnim brzegu wyspy rozpacza się wieś kolonistów z ich domkami schludnymi nurzającymi się w morzu zieleni.

Na Dnieprze który zewsząd ramionami sw emi oplata wyspę zamiast dawnych kozackich „czajek" kołyszą się małe czółenka rybackie obok przepływają też i grubsze łodzie, galary berlinki parowce ale już nie brzmią z nich pieśni o chwale i dzielności mołojców zaporozkich...".

LXXXII.

Z końcem maja nastały upały deszczu ani kropli, czasem tylko spadły nawałnice z grzmotami oświeżyły na chwilę powietrze poczem znowu wiatr wschodni dmie jak z pieca. Po nad miastem zawisł szary tuman kurzawy, tarantule dobyły się z ziemi a co najgorsza i co tu w letniej porze jest plagą dla ludzi i zwierząt od rana do nocy zjawiły się chmury drobnej jadownej muszki. Jedynym ratunkiem były dniewprowe kąpiele.

To też z nastaniem kanikuły zmieniała się cała postać stepu, smutny przedstawił się widok. Po zeschniętych trawach rozpalony wiatr przegania unosząc puchy zeschniętych bodjaków, wychudzone brakiem paszy i spieką woły snują się jak widma na wypalonym stepie, ptastwo z rozwartymi dzióbami szuka cienia, nawet pomniejsze wyschnięte jeziora i o milę o dwie, pędzą spragnione stada do pojęcia. Czasem nasuną się chmury i już już się zanoszą na deszcz, ale zaledwie spadnie kilka kropel znów upał doskwiera i znowu słońce srężogą zadęte stoi na niebie samotne. Zamarło wszystko tylko gdzieś w dali przegania tuman kurzawą a gdy się młynem zawinie idzie słupem wysokim w niebiosa rwąc pod się pokosy trawy i pyły ze stepu.

Niemile nastało życie. Pogorszyła je fatalna wieść o zamachu wykonanym w Paryżu przez Berezowskiego na cara. Nastały obostrzenia policyjne a chociaż nie wiele dotknąć mogły ludności tego miasta dla której polityka była w całym znaczeniu słowa terra ignota wszelako poczułem to wraz w stosunku moim do znajomych którzy nie rzadko przy spotkaniu na ulicy widocznie unikali sposobności przywitania się ze mną. Perspektywa zatem otwierała się nie wesoła!...Na szczęście taki stan rzeczy nie potrwał długo, zaszedł bowiem wypadek który miał wpłynąć na losy moje i zmienić je stanowczo. Ogłoszono amnestię podpisaną w Wierzbolowie, dla wygnańców z kategorii: zasłanych

administracyjnie. Do tej kategorii ja należałem. A więc po przeprowadzeniu formalności które mi nadawały prawo do wyjazdu, otrzymałem po niejakiem czasie pismo uwalniające mię, z zaleceniem udania się prostą drogą do Warszawy. Po czterech zatem miesiącach pobytu w Ekaterynosławiu skończył się akt drugi mojej niedoli.

Pomimo całego uroku jaki ma słowo swoboda ostatni ten dodatek: do Warszawy obniżył o wiele wartość jego dla mnie bo zapowiadał dalszy ciąg wygnania tym razem wprowadzie nie do Rosyi ale do Polski zawsze jednak wygnanie z Litwy. Na wyjeździe sprzedałem dwa obrazy co mi było bardzo na czasie.

I oto 25 Lipca r. z. opuściłem Ekaterynosław. Żegnała mię moja gospodyni płaczem powtarzając po małorusku: Niezdbudu ja was nikoli nie mięta i mieć niebudu takoho żyłca! Doprawdy miły mi był ten dowód żalu dobrej staruszki. Odprowadziło mię kilka osób.

Pomimo zalecenia abym jechał prosto do Warszawy, udałem się w przeciwną stronę bo do Odessy kierując się myślą że ta droga najprostsza która najtańsza. Tentowała mię przytem nowość: żegluga Dnieprem po Niżu limany Chersoń morze Odessa... itd. itd.

Ażeby ominąć porohy udałem się dyliżansem do Nikopola. Wyjechaliśmy nad wieczorem towarzystwo podróżne skadali kupcy i komiwojażery. Na jedncj ze stacyi zaczęm odmieniono konie poszedłem naprzód. Słońce już było zaszło i zmrok zapadł. Odszedłem tak daleko że mi zginęła z oczu stacya i znalazłem się sam wpośród stepu. Przystanąłem słucham cisza głęboka żadnego ruchu wszystko spoczęło naraz słyszę ozwał się gdzieś daleko daleko dzwon kościelny na Angelus! słucham raz, dwa trzy uderzyło mi żywiej serce. Głos ten drżący na alach wieczoru doleciał zapewne z jakiejś stepowej kolonii. Zmówiłem pacierz.... potem jeszcze chwila i wszystko utonęło w pomroku ... Pamięć tej chwili pozostała mi dotąd ! W dalszym ciągu tej nocnej podróży spotkaliśmy obóz czumaków wieźli pszenicę do Odessy, przed każdą „wałką” płonął stos z suchych burzanów naniecony. Malowniczy to był widok tych na wpół dzikich synów Ukrainy warzących sobie wieczere przy odgłosie supilki i śpiewu na tle ciemnej nocy i głuchego stepu.

W Nikopolu wsiadłem na parostatek. Było to przed nocą czemu nierad byłem bo mię to pozbawiło widoku nadbrzeżnych okolic „Niżą”. Wczesnym więc rankiem stanęliśmy w Chersonie *). Krótki czas jaki się tu zatrzymał statek zaledwie pozwolił obejrzeć nieco to miasto. Ulice były jeszcze puste bo wszystko spało. Żadnych okazałych niedostrzegłem gmachów, nieliczne drzewa skwery akacją przeważnie zasadzone pokrywał kurz którego tu było panowanie. Wogóle nic ciekawego ani pięknego nie było do widzenia, wszystko zbudowane na jedną modłę monotonne i ubogie, tak co do myśli jak i smaku. Jedno tylko co zwraca uwagę w pobliżu miasta to miejsce wiecznego spoczynkuprzyjaciela ludzkości Howarda któremu Alexander I. wzniósł pomnik.

Od Chersonu i nawet nieco pierwej Dniepr w swym spadku i pędzie znacznie wolniej i dzieli się na liczne odnogi, odsypiając wielki emi trzcinaми porośłe ostrowy nareszcie przechodzi szerokimi gębami w mielizny limanu. Brzegi jego w potężnych pokładach konchowych wapieni podnoszą się do znacznej wysokości. Tu już wchodzimy w morze mijamy na prawo Oczaków na lewo przesuwamy się nieopodal lądu co jakby długą wąską taśmą aż do Krymu sięga. Nareszcie jesteśmy na pełnym morzu.

*) Cherson z fortecą i portem wojennym i warstatami dla statków do żeglugi wzdłuż brzegów (Cabotage) na prawym brzegu Dniepru założony w 1778 r. liczy mieszkańców około 35.000 cerkwi 10 kościoł katolicki 1 synagogi 2. gimnazyum i t. d.

Dzień pogodny powierzchnia wody zaledwo zmarszczona, statek idzie spokojnie równo usposobienie całego towarzystwa wyborne. Wkrótce podano obiad, alem ja nie spieszył i został na pokładzie poprzestając na śniadaniu w które mię zaopatrzyła w Ekaterynosławiu zacna Rosyanka żona polaka p. Zukot... Tak mi było dobrze tak miło poić się świeżością powietrza i nasycać się widokiem nieskończonego obszaru morza po przykrościach stepowej kanikuły. Około trzeciej po południu z ciemno-modrych wód, wyłonił się biały rąbek jakby brzeg koronki. To była Odessa!

Znałem już to miasto z tejsamej właśnie strony, z obrazu Ajwazowskiego który kopiowałem niegdyś w Ermitażu. To też gdyśmy przybili do portu powitałem je jakby starą znajomość. spaniało o 200

stopniach wschody zstępujące ku morzu z wysokiego wybrzeża na którym wznosi się pomnik na cześć ks. Richelieu i cały szereg pysznych gmachów, rozkosznych skwerów szerokiego bulwaru imponujące robią wrażenie. Jest to część najpiękniejsza miasta któremu podobnych co do położenia niewiele się znajdzie tu się koncentruje wszystko co najświetniejszego posiada Odessa od pałaców publicznych gmachów do kawiarni i sklepów. Cyrkulacja publiczności jest tu nieustanna, widok na morze, nadbrzeżne wille futory porty niezrównany. Przypomina to Genuę, brak jej tylko tego co posiada tamta wspaniałej historycznej przeszłości...

Założył ją w 1794 r. na miejscu tatarskiej osady Chadzibej generał de Ribas i dał jej nazwę Odessy na pamiątkę dawnej osady greckiej Odissos nieopodal znajdować się mającej. Podniósł ją potem i do świetnego doprowadził stanu, ks. Emanuel Richelieu 1803 r. na naczelnika miasta powołany. Obecnie pod względem bogactwa handlu i piękności gmachów należy do pierwszorzędných miast Europy i liczy przeszło 180.000 mieszkańców. Posiada teatr francuski operę włoską. Ludność w niej mieszana język włoski przeważa. „Pożycie towarzyskie tu łatwe swobodne administracja pobłażliwa wyrozumiała niższe jej organa grzeczne usługowe jak nigdzie co wszystko razem czyni tu życie dość przyjemnem komu się nie marzy o ideale ogólniejszym. Jest tu niewielka kolonia polska którą się spotyka w kościele w niedzielę a na którą się składa kilkanaście domów zamożniejszego obywatelstwa i dużo ubóstwa”.

Szczęśliwym trafem znalazłem w Odessie towarzysza młodości z którym nie mało miłych dni w Nowogródzkiem spędziłem kiedyś Jana Żuraws... Dzielny to był chłopak. Obecnie żonaty zajmował dość ważną posadę przy kolei. Przyjął mię uprzejmie zabrał z hotelu i był ciceronem aż do wyjazdu.

LXXXIII.

Po kilkodziennym pobycie pożegnałem Odessę i udałem się do Bałty kolejną, ztamtąd zaś gdy jeszcze kolei dalej nie było pocztą do Warszawy. Sto kilkadziesiąt mil odbyłem na pieknieładnej. Komu znany ten sposób jazdy pojmie o ile to było wygodne. Ale możnaż się było nad tem zastanawiać temu kto wracał z wygnania!

Powrót z wygnania! Ileż to treści i ile nadziei ile radości byłoby w tych słowach wpośród innych okoliczności. W innych czasach ileżby to miała powabu taka droga dla tego szczególnie kto ją po raz pierwszy przebywał. Podole Wołyń ziemia Chełmska Lubelskie ileż to i jak różnorodnych nastroczały punktów widzenia dla oka i myśli... Teraz wszystko się to przedstawiało jak w obrazie przysłoniętym czarną krepą. Miasta zubożałe zasypane gruzami kościołów klasztorów zamków, dwory opustoszałe zaledwie gdzieś szeregami wyniosłych topoli przypominają czem były wsie nędzne lud rozpojony ciemny na co spojrzysz ruina! gdzie się zwrócisz żałoba! wszystko przybite zgłuszone przerażone zbiedzone. I rzecz dziwna: wśród tego kataklizmu prześladowcy i prześladowani zrównali się tu z sobą na wspólnym polu bankructwa! Jedni tylko żydzy w miastach wsiach i karczmach, nauczani korzystać z dobrej i złej naszczy doli jak robactwo toczące trupa prosperują tu w najlepsze na gruzach przeszłości a co gorzej nieporadności naszej. To też nie będę się zatrzymywał na szczegółach tej podróży. Miasta Tulczyn, Braclaw, Niemirów, Winnica, Lityn, Latyczow, Międzybórz, St. Konstantynów, Zasław, Ostróg, Dubno, Jarosław, Łuck, Włodzimierz, Uściług, Horodło, Chełm, Lublin które w tej podróży przebywałem jakże wymownie świadczą czem byliśmy! Z jednego tylko Lublina wyniosłem miłe wspomnienie. Gdym się tam zatrzymał dla wypoczynku dawano Halke Moniuszki nie widziałem jej dotąd na scenie. Łatwo więc sobie wyobrazić com uczuł w chwili gdy się rozwinął w pierwszym akcie wspaniały polonez a potem dziarski mazur...

Przybyłem do Warszawy w połowie sierpnia. Przeciąg lat czterech od 1863 r. zataił w niej prawie wszystkie ślady niedawnej klęski. Jest to właściwością tego miasta o naturze apalnej... że zdolne do wrażeń i porywów łatwo zmienia ich cel który jakkolwiek nie przestaje być szlachetnym, prędko wszakże zaciera minione wrażenia. Ktoby chciał sądzić o Warszawie z jej fizyognomi zewnętrzną musiałby wierzyć, że się tam wszystko najpomyślniej dzieje że Praga 94 r., więzienia karmelickie cytadela z jej szubienicą na stokach z jej filią na Pawiaku że to wszystko co się tam przed kilku laty stało jest fikcją wymysłem bujnej fantazyi taka tam siła żywotna taka niespożyta niczem energia i wiara że bądź co bądź musi być kiedyś inaczej!

Toż i nie dziw że tą wiarą przejęci Warszawianie znoszą lekkim sercem wszelkie ciosy jakimi los ich doświadcza. Wyżej i niżej od pałacu do poddasza wszyscy czują się być sobą i u siebie, i żaden ucisk żadne mamidła nie zdolne ich zwrócić z tej drogi ni zatrzeć w nich tej wiary. Wszystkich tu łączy jedno uczucie! I to jest strona piękna medalu przed którą należy uchylić czoła.

Ale jest i druga.

Przy końcu przeszłego czy na początku bieżącego stulecia powiedziano o Warszawie: że jest Paryżem północy, i oto na nieszczęście nazwę tę daną przez salonowych labusiów gród syreni wziął na seryo i odtąd wierzyć nie przestaje że tak jest rzeczywiście i co za tem idzie nie przestaje hołdować wszystkiemu czem Paryż słynie. A że złe łatwiej się przyswaja niż dobre więc mody toalety wszelkie liczmany t. z. dobrego tonu którego podstawą francuzczyzna*) stały się epidemią która dotknąwszy szerokie warstwy postawiła je na pochyłości niebezpiecznej bo wszczepiła chorobę, życia nad stan i zbytek!

Tak modny szyk i zbytek.... oto grzechy co ciążą na Warszawie grzechy co rujną dobrobyt spokój, domowe szczęście tylu rodzin co ucząc hołdowania pozorom sprawy toaletowe podnoszą do znaczenia pierwszorzędnej kwestyi pomyślności nierzadko kosztem najświętszych obowiązków! i co za tern idzie siłę woli i charakterów zniżają do posług błahostkom.

Nie zapomnę sceny jakiej byłem razu pewnego świadkiem w Saskim ogrodzie. Na ławeczce gdzieś siedział, siedziała też jakaś pani a przy niej córeczka może lat 7 bawiła się opodal. *) Dobrze powiedział „przyjaciel prawdy”-walcząc cicho i głośno o język ojczysty wymiatamy go pawim ogonem francuzczyzny z byle saloniku i depcemy sami ten klejnot zanim go inni na śmiecie wyrzucą”. Toaleta obu była bardzo staranna. Na sąsiedniej ławce siedziała inna pani również z córeczką podobnego wieku, ubiór ich chociaż nie miał wprowadzić jak u tamtych koronek i atlasów był wcale przyzwoity acz skromny. Obie dziewczynki bawiły się zdaleka od siebie każda osobno i widocznie im to jakoś nie szło. Czemuż się nie zbliżysz do tej dziewczynki rzecz pani siedząca koło mnie będzie wam weselej razem. O ja się bawić z nią nie będę odpowie mała nadąsawszy buzię, ona tak nieładnie ubrana.... Któż nie przyzna że to gotowy materyał na „Lalę”, której obraz tak znakomicie nam skreślił w swej powieści, nieodżałowanej pamięci St. Grudziński. Takimi Lalami niestety roi się Warszawa! Toż i nic dziwnego że to wszystko niewypowiedzianie przykre musiało robić wrażenie na tych co dotąd daleko będąc od kraju mieli czas do refleksyi a teraz utraciwszy prawo powrotu do rodzinnej ziemi znaleźli się naraz wobec tak odmiennych usposobień społeczności z którą im żyć kazano. To też gdy całemi partjami przywożono w tym czasie ułaskawionych (?) wygnańców i rzucono ich na bruk nie pytając czy mają gdzie głowę oprzeć nic dziwnego że zbytek i nędza spotykały się oko w oko a nie długo też i rozpacz dała słyszeć o sobie....

Z towarzyszy ołonieckich nadjechali wkrótce: Kibort, Lutkiewicz Kuczalski przyjechał też Hausman i Oziębłowski. Wkrótce zaś zgłosili się ze wsi Wessel i Gąsowski. Tym działa się dobrze byli u siebie. Z nami było inaczej. Zależni od policyi nie mogliśmy wychylić się nawet za rogatkę bez pozwolenia. Słowem przyszło nam w Warszawie zakosztować tego czegośmy dotąd nie znali w Rosyi gorczy wygnania i niewoli. W dodatku trzeba było szukać sposobu do życia, bo Rząd już tu nic nie dawał a utrzymanie było kosztowne. Zbliżał się zatém moment krytyczny!

Niektórzy zaopatrzeni w jakie takie zasoby wzięli się do handlu pozakładali sklepy inni do przemysłu do gospodarstwa na dzierżawach lub weszli do obowiązku jako rutynowani rolnicy ale było wielu bez żadnego sposobu, bez żadnych środków do życia. I tak to trwało dość długo zanadto może długo dla tych co byli głodni a wyciągnąć ręki nie śmieli....

Nareszcie po kilku miesiącach utworzył się komitet w celu niesienia pomocy litwinom, przeznaczono dla nich na mieszkanie czasowe koszary na „Koszykach”, z płacą dziennie po 15 kop. na życie. I oto jakkolwiek lało im tam za kołnierz z sufitu było to jednak już wiele dla biedaków co dotąd przytułku nie mieli.

No i cóż panowie Litwini jesteście w Warszawie! Pazdrawlajem! rzecz do H...a Gat...w jeden z warszawskich dygnitarzy który był przedtém w Mińsku Lit. Ale nie spieszą tu odoobno z przyjęciem was bracia Polacy! Co?...

Tak źle nie jest odpowie mu H..., przynajmniej nikt się na to nie skarży. Wprawdzie nie rozsuwają się tu ściany na nasze przyjęcie ale to może dlatego że Warszawa nadto jest obszerną aby pomieścić przybyłych. A i czas obecny nie sprzyja czułościom. Wiadomo panu że jest tu gość dzisiaj ważniejszy od nas cholera.... Każdy więc myśli o sobie. Tak tak zła pora nadarzyła się wam panowie Litwini !... Łatwo pojąć jak te słowa powiedziane nie bez intencji przez znanego z bystrości Polako-żercę zabolaty nas... Z końcem jesieni dostałem kilka lekcji, przyszło mi to w porę bom się też znalazł niespodzianie w trudnem położeniu. Stało się to w sposób następny. Pewnego dnia kiedym zajęty był pilną robotą nad obrazem przychodzi jeden z kolegów i pogawędziwszy czas jakiś o tem i owem przy wyjściu powiada: - - A do licha! zapomniałem wziąć sakiewki a tu pora obiadowa daj mi tam proszę rubla, oszczędzisz mi fatygi wracania do domu. Dobrze powiadam znajdziesz oto w tej szufladce biórka bilet dziesięcio-rublowy weź go ale po obiedzie odnieś mi resztę bo to wszystko co posiadam. Poszedł i tylem go widział. Po kilku tygodniach, gdym go spotkał a był to typowy półpanek podolski oddał mi tłumacząc się że zapomniał o tej bagateli. Mało mię to już podówczas obchodziło bom był przy pieniądzach ale na razie miałem sposobność dowiedzieć się szczególniej mijając restauracye co to jest nie jeść obiadu....

LXXXIX.

Z nastaniem zimy objąłem lekcye wespół z J. Kossakiem w nowootworzonej przez hr. Łubieńską szkole rysunku i malarstwa dla kobiet. Przez lat kilka szkoła ta cieszyła się wielkiem powodzeniem gdyż była kopia taki ej-że w Paryżu, założonej przez sławnego De la Croix była nawet w modzie bo rodziny arystokratyczne posyłały tam swoje córki matki zaś w przyległym salonie miały wyborną sposobność parlowania w godzinach południowych. To mi dało poznać śmietankę warszawskiego towarzystwa a że stosunki moje sięgały aż do najuboższych sfer wygnańczych w niedługim więc czasie poznałem Warszawę od izdebki do pałacu.

Często odbierałem listy z Litwy i Ołońca i to była moja jedyna pociecha. Teatr włoska opera z panią Artót i Padillą jak niemniej opery Moniuszki dyrygowano przez niego samego jakkolwiek ponętne wszakże jako kosztowne rzadko mogły ożywiać to szare tło mojej nowej egzystencji. Zwrotka:

"Cudzo ach pusto wśród świata i ludzi!" - dźwięczała mi nieustannie w uszach wśród zgiełku i stuku wesołej Warszawy. Mamże wyznać żal mi było stepów!

Nic zatem dziwnego że obarczony uciążliwą pracą poprzestając na obowiązkowych zetknięciach z ludźmi prócz rzadkich wyjątków nie spieszyłem ich szukać w bliższych stosunkach. Oddalenie z którego na nich spoglądałem wystarczało by czuć ich obecność a miało tę dogodność, że nie dozwalało dojrzeć tego czego bym w nich widzieć nie chciał. I nie była to wcale mizantropia. Nie, była to potrzeba spokoju unikanie rozdzwisku mogącego zakłócić harmonię uczuć nastrojonych siłą refleksyi i okoliczności. Zresztą ten nieustanny zamęt ruch ta krzątanina ludzi goniących przeważnie za marnym celem to życie jałowe obliczone na efekt podszyte fałszem t. z. towarzystwa słowem te szumowiny pływające po wierzchu kipiącej życiem stolicy a co najgorsza ten zgiełk zagłuszający to wszystko co w niej znaczne i szacunku godne były mi wstrętne tem bardziej, że czyniły ją właśnie podobną do Paryża widzianego z odwrotnej strony medalu. A więc najmniej uczęszczane okolice przedmieścia i ogrody były zwykle celem moich wycieczek. Głuchy szum sosen bielańskiego boru gdy mi już było wolno wyjść za rogatkę jego kręte drożyny ginące w głębi ciemnej zieleni wyniosłych brzegów Wisły milsze mi były stokroć nad wszelkie wdzięki jakimi słynie rozkoszny gród syreni. Powie kto może że zarzut miastu które czując w sobie nadmiar sił żywotnych otwiera im upust na wszystkie strony zanadto surowy że trąci pedantyzmem że to co się dzieje w Warszawie dzieje się wszędzie. Prawda odpowiemy ale też niemniej i to jest prawdą że co się dzieje gdzieindziej u nas się dzieć nie powinno jeżeli ma być prawdą żeśmy „na dorobku”. I nie o żadne demonstracye tu nam idzie, o nie, mieliśmy ich zanadto nie o deklamacye patryotyczno-strzeliste wygłoszone gorąco i zapomniane jeszcze prędzej ani o nowe wybuchy entuzjazmu i im podobne ognie sztuczne po których gorzki dym łyż wyciska nie i stokroć razy nie idzie nam o godność narodową, co zna swą cenę idzie o to: aby postać owdowiałej stolicy powagą swą zmuszała do szacunku samych nawet wrogów! I w t em to byłoby nasze największe nad nim zwycięstwo....

Wiemy o bardzo pięknych wyjątkach gdzie czyny nie przeczą słowom gdzie więcej się czyni niż mówi gdzie duch zbolewały znajduje wypoczynek i podniecie lecz to są niestety tylko wyjątki ...

Widzieliśmy Wenecję gdy była w okowach.... i pamięć o ni ej razem z szacunkiem na zawsze chowamy. Bo i zaprawdę jakiegoż to uwielbienia godną była ta publiczność włoska która poczucie obowiązku posuwając do najdrobniejszych szczegółów wieczorem w chwili zjawienia się wojskowej orkiestry opuszczała gromadnie plac św. Marka!...

Kółko więc moich bliższych stosunków w Warszawie było szczupłe. Dom St. Moniuszki dom I. Simlera autora „Barbary” z którym zbliżyły mię studia rzymskie dom hr. Aug. Zamojskich gdzie pani domu istne usposobienie miłosierdzia była też uosobieniem litewskiej uprzejmości a co najważniejsza gdzie nie podawano jednego palca do uścisku ręki namulonej pracą i po za tem kilka rodzin wygnańczych oto jedyne domy gdzie bywał chętnie i gdzie mi było dobrze.

Tak przeszła jesień i zima minęła wiosna i lato i nic się na lepsze nie zmieniło. Owszem pomimo pochlebnej dla litwinów opinii obostrzenia policyjne wzmagaly się. Gdy się zdarzyło raz że na dni parę wyjechał w okolice Piaseczny dla odwiedzenia towarzysza Ołonieckiej niewoli, hr. Wessla takiego to nabawiło niepokoju policyję jak gdyby szło o ucieczkę więźnia z pod szubienicy. Widocznie leżało w rachubie urzędników carskich na każdym kroku dowodzić że tylko ich czujności zawdzięcza rząd utrzymanie w korbach posłuszeństwa „buntownicze plemię Polaków!...”

W pierwszych dniach jesieni przyjechał cesarz. Ponieważ starania moje u władz miejscowych o pozwolenie wyjazdu na Litwę dla odwiedzenia chorej matki na dni kilka, były dotąd daremne postanowiłem podać o to prośbę do samego cesarza. Wręczyłem ją generałowi Potapowowi wielkorządcy ówczesnemu Litwy. Po kilku tygodniach odczytano mi w policyi odpowiedź odmowną umotywowaną tem że prośba moja była „nieudoboispołnimaja”.

Starania wydobywania Lubiczankowskich z Ołońca nie powiodły się również. Oczywiście ubieganie się o lepszą posadę wobec tych co nie mieli żadnej było nie na czasie. Jedyne miejsce urzędowe lekarza w Kaliskiej gubernii jakie było do wzięcia tak mało nastroczało nadziei utrzymania licznej rodziny w okolicy obcej że gdy przyszło do ostatecznej decyzji trzeba było zaniechać wszelkich widoków sięgających dalej dla kwestyi codziennego chleba.

Oto co mi pisał L. w tym względzie.

Mój drogi bracie Edwardzie.

Na list twój 14/26 września będąc ciągle w rozjazdach teraz odpowiadam. Sądziłeś drogi bracie że już to przeniesienie zdecydowane, i że rychło już zobaczymy się tymczasem to jeszcze pono widłami pisano. Dzisiaj mam tu 1000 r. s. rocznie, gubernator zaś ma mi za złe podanie prośby o przeniesienie gdyż to przeszkodziło przeprowadzeniu korzystnych dla mnie na przyszłość zamiarów. Ot i masz tobie i znowum się znalazł między młotem a kowadłem. Co począć? Napisz mi więc jak najprędzej co to są te Słupce? czy jest tam apteka ilu lekarzy i czy można w Kaliszu liczyć na praktykę, bo pięcioro dzieci to aż strach pomyśleć co będzie!

Tak więc po namyśle gdy przyszło do ostatecznej decyzji biedna dziatwa musiała pozostać w Ołońcu. Czem była dla mnie niech to opowiedzą jej własne słowa.

W lat kilka tak mi pisała Bronia:

Ołonec.

Najdroższy mój przyjacielu.

Chociaż tak długo nie mieliśmy od Ciebie wiadomości przecucie jednak mówiło że nie zapomnisz biednych Ołonczanek. Tak się i stało, i gdy nazajutrz po imieninach Józii przyniesiono listy po charakterze, zanim go tato odpieczętował poznałyśmy ten któregośmy tak długo oczekiwały. Odtąd już jesteśmy spokojni i mamy nadzieję że przynajmniej listownie będziemy mogli częściej rozmawiać z tobą drogi nasz przyjacielu. Przebacz tę śmiałą nazwę ale sam temu winiłeś przywiązałeś dzieci do siebie których z laty miłość dziecinna zmieniała się w wieczną przyjaźń.

Jakże my tu często wspominamy przeszłe czasy! Czy pamiętasz te nasze lekcje któreśmy nieraz cię martwiły, te długie zimowe wieczory przeplatane nauką muzyką a nadewszystko pogadanką w której tak lubiliśmy słuchać twoich opowiadań lub odczytów. A też nasze wycieczki do lasu po jagody na łąki po kwiaty do botaniki te nasze dziecinne zabawy w których lubiłeś brać udział niekiedy. Jakże to wszystko staje dziś w pamięci! O teraz umiemy ocenić twe prace. Obyż je Bóg tobie wynagrodził itd. itd.

Później w lat parę kiedy tażsama Bronia (Lubiczankowska) była już narzeczoną oto co mi pisała:
Ołonec.

Boli mię bardzo żeś nie otrzymał naszych listów pisanych w Czerwcu z moją i Józi fotografią. Tam ci opowiedziałam jako najlepszemu przyjacielowi wszystko co zaszło wszystko co czułam i czuję. Jeden tylko taki list napisałam do Ciebie i zdaje mi się że już drugiego takiego nigdybym napisać nie mogła. Toż mi przykro żeś go nieotrzymał i tak późno dowiedział się o t em cobyś najpierwej wiedzieć był powinien. Gdyby nie pożar pierwszej byśmy napisały ale nieszczęście którym podobało się Bogu nas dotknąć nie pozwoliło w tym zamęcie myśli zebrać itd.

A oto list Józi:

Nie mając tak długo wiadomości od drogiego przyjaciela pewni byliśmy że tylko niebłaha jakaś przyczyna mogła nas przez tyle czasu pozbawić jego tak zawsze miłych tak serdecznych listów. Nigdy nam jednak przez myśl nie przeszło aby powodem tego było tak wielkie nieszczęście. Utraciłeś najbliższe sercu istoty! Pojmujemy całą twoją boleść. Mój Boże czegobym nie dała bym ją mogła choć w części ukoić. Czuję że teraz więcej niż kiedy potrzebujesz serca i przywiązania, to też wierząc że je masz z naszej strony że cię bardziej jeszcze kocham i że więcej niż kiedykolwiek chciałabym wiedzieć że nie wątpisz o tem. Nie wyobrażaj więc sobie drogi mój przyjacielu żeś osamotniony w świecie bo masz w nas bliskich bardzo sobie masz w nas prawdziwych krewnych bo krewnych z ducha kochających cię serdecznie. Wszyscy się tu mają do odlotu tylko nie my biedni! Broniś i Bronia z mężem byli u nas na świętach itd. itd.
Józia,

Taki był mój stosunek z tą rodziną i takiej to miary była moja żałość gdy niedługo potem z wyjątkiem dwojga, cała ta Boża czeladka odleciała ale już na wieki!

I znowu przeszła zima wesoła dla Warszawianów długa dla wygnańców. To też z dniem każdym rozszerzała się nie powiem przepaść ale linia graniczna dzieląca nas od od nich. Zresztą trudno było nie czuć że nasze posępne fizyognomie nie przypadają do ogólnego tonu razity dyssonansem a może i ciążyły na niejednym sumieniu.... Nierzadko robiono nam z tego zarzut zaliczając do chorobliwego usposobienia to co było wyrazem trzeźwego poglądu. Dziwna rzecz nie chciano pojąć że ta ciągła ich żądza wrażeń zabaw, to nieustanne szukanie sposobności odurzenia się zapomnienia szatu ta obawa zajrzenia w oczy rzeczywistości osłanianych złudną nadzieją nieprzewidzianych wypadków a co najgorzej owem nieszczęsem i tak dla nas w skutkach fatalnem „jakoś to będzie” że to właśnie zdradzało stan chorobliwy społeczności stojącej nad przepaścią....

Patrząc na to trudno było nie czuć tego co z czasem jeden ze znakomitych mężów wszechnicy krakowskiej wypowiedział publicznie*).

„W charakterze naszym w wadach „lekkiej głowy polskiej” w tej luźności przypadkowości sporadyczności usiłowań, leżał najgłówniejszy psychologiczny powód upadku inne wpływy przyczyniły się tylko pośrednio do wyhodowania ziarna złego które w nas samych utkwiało oddawna”.

*) Odczyt St. hr. Tarnowskiego w Warszawie 1880 r.

Po dwóch więc latach w których śmierć mi zabrała wszystko com miał najbliższego sercu gdy już egzystencja dalsza w Warszawie stała się prawie niemożliwą a obawa nowych prześladowań coraz bardziej uzasadniona, doczekawszy się zdjęcia policyjnego nadzoru podałem prośbę o pasport

zagranicę i otrzymawszy go wyjechałem do Galicji. Oczywiście że pierwszym etapem mojej podróży był Kraków.

Gdy stanąłem w Krakowie trafiłem w sam czas uroczystości z powodu przeniesienia zwłok Kazimierza Wielkiego do odnowionego grobu. Napływ przyjezdnych z różnych stron był ogromny. Można więc sobie wyobrazić z jakim pietyzmem w tak uroczystej chwili powitałem starą Polskę stolicę a dodać należy że była to epoka kiedy w Królestwie wprowadzono język rosyjski jako urzędowy w Galicji zaś wprowadzano polski. Pomimo wszakże wspaniałości obchodu na który się wszystkie dzielnice rozdartego kraju złożyły trudno było nie czuć że była to raczej stupa po pięciu wiekach wznowiona - ale już stupa nie tylko na grobie wielkiego króla lecz i na grobie dawnej wielkości narodu którego źródło nieszczęść było właśnie w zapoznaniu dróg jakie mu on przekazał.

Pominę zatem opis tego pamiętnego dnia którego świetność była w swoim czasie tylu zajmujących opowieści treścią a powiem tylko że nastrój uczuć wszystkich stanów, wszystkich wyznań był tak podniosły że popęd ku uczczeniu pamięci króla chłopków tak powszechny że kto to raz widział kto patrzył na ten pochód za trumną króla, co mądrymi prawy Polskę udarował ten się nie mógł oprzeć potężnemu wrażeniu i pomimo potopu świeżych nieszczęść spojrzeć śmieiej w przyszłość. Po tych uroczystościach zwiedziłem Wieliczkę. Przyjmowano tam dalekich gości a więc przyjmowano z całym właściwym Wieliczkę przepychem. Com widział przewyższyło wszystko cokolwiek zdarzyło mi się słyszeć lub czytać o niej. Ogrom pracy ludzkiej i ogrom wiedzy co nią kierowała przez ciąg wieków tak tam olbrzymi że się zdaje być raczej dziełem duchów niż ludzi. To też ani zdumiewającej wspaniałości tego obrazu ani wrażenia jaki na widzach wywarł, opowiedzieć niepodobna. Trzeba to widzieć a widząc uchylić czoła przed wielkością Boga i przed geniuszem człowieka.

Nareszcie po tem wszystkiem więc com czuł i podziwiał na ziemi i pod ziemią należało wypocząć. Gdzież lepiej jeśli nie w górach, bliżej nieba dalej ludzi. Obaj zatem z Kibortem który był mi nieodstępnym towarzyszem pożegnawszy Kraków udaliśmy się w Pieniny. Pieniny to prolog poematu któremu nazwa: Tatry! A więc Sokolica Trzy korony Czerwony Klasztor Dunajec i jego skały nadbrzeżne co tam jakby kamienne strofy tego prologu pozuja dla malarza-poety były zwykle celem naszych wycieczek.

*A czy znasz ty bracie młody
Te spienione górskie wody
Z tym oddechem z tym uśmiechem
Jakim Bóg je tylko darzy,
A o których serce marzy?
Jeśliś miłość pił ze źródła
Rajskich oczu a w przyjaźni
Poznał człeka a lud w boju,
A skarb czysty w wyobraźni.
Jeśliś kochał walczył wierzył,
Poznał prawdę stwierdził w czynach,
Przebrnął morza świat przemierzył
Poznaj jeszcze łódź w Pieninach.
Jak cudowna modra żmija
Hen! Dunajec się przewija,
Jak odwieczne grają dąmy,
Tak tam szumią jego szumy,
Jak w dwa mury w pion dwie skały
W górze niebo w dole woda.
Łódka szybka jak myśl młoda,
A na łodzi sternik śmiały.
Stara orłów to dziedzina:
Tutaj Czorsztyń tam Niedzica
Nowotarska hen dolina,*

*Nad Tatrami błyskawica,
A tu stoi łódź u brzegu
Góral wita cię uśmiechem
Nie myśl długo skocz z pospiechem
I płyn bo już łódka w biegu.
Gdy cię chwycą wodne tonie
I na przepaść łódka bieży
Silniej drga ci serce w łonie
Mocniej dusza twa uwierzy:
W skarby ziemi w skarby nieba
W siebie w Boga i w człowieka
I uczujesz że potrzeba
Wierzyć kochać było z wieka.
Modre tonie i kipiele
Gdy zagrają wkoło ciebie
To ci porwą duszę śmieie
Jakbyś skrzydła miał i w niebie
Miał się oprzeć na tej łodzi
Jakbyś w chmury z tej powodzi
Miał wylecieć z łódką spolem
Nie żeglarzem lecz aniołem.
(W. Pol).*

LXXXV.

W Szczawnicy zastaliśmy towarzystwo liczne, pogoda sprzyjała i tylko zrzadka dymił się wierzchołek Sokolicy zapowiadając deszcz. Ponieważ nie mieliśmy zamiaru pozostania dłużej trzymaliśmy się więc na uboczu poprzestając na szczupłym kółku bliżej znajomych. W chwili przybycia zastaliśmy towarzystwo pod wrażeniem przykrego wypadku. Umarł tam był na kilka dni przedtem ubogi kleryk i zanim został pogrzebiony nadszarpały go w cmentarnej kostnicy koty czy szczury gdyż nie miał trumny bo jakem to powiedział był biedny. Oburzyło to na razie wszystkich ale wnet o tem zapomniano bo był to czas kiedy bale koncerty wycieczki pikniki fraternizacje z Węgrami nie schodziły z porządku wśród zdrowych a nierzadko i chorych.

Między ostatnimi zauważyliśmy szczególnie jednego. Zwykle samotny nie brał udziału w zabawach gdyż zaledwie mu już sił starczyło do powolnej przechadzki po deptaku. Kto on był z kąd i jak się zwał? nie wiem, był jeszcze młody a rozwinięte suchoty jako często bywa nadały jego postaci wyraz sympatyczny. Zwykle co rana spotykaliśmy go u źródła Józefiny. Wypił wodę podziękował uprzejmie źródlanej dziewczeczce i przeszedłszy się nieco chwiejnym krokiem siadał zwykle z książką nieopodal kapliczki. Kilka dni przeszło i nie widzieliśmy go wcale. W przedostatnim dniu pamiętam dawano bal dla Węgrów. Gdyśmy się nazajutrz znaleźli w naszym kółku u źródła i gdy nam opowiadano o szczegółach balu przyszło mi jakoś zapytać o nieznanym suchotniku.

Umarł onegdajszej nocy ktoś odpowie, i niech mu ziemia lekką będzie - bo nielekkie miał pono skonanie. Mieszkał tuż obok sali balowej konał więc przy dźwiękach czardasza. Pójdźmyż obaczyć gdzie go złożono bo i ten podobno nie był bogaty a żył samotny rzekłem do towarzyszy. Poszliśmy. Na cmentarzu zastaliśmy zmarłego w znanej kostnicy pełnej śmiecia i wstrętnego brudu. Był jednak w trumnie. Po chwili nadszedł ksiądz a że dół był już wykopany więc nie czekając długo pogrzebliśmy go bez zachodu. I gdy się już wszystko skończyło i ostatnią łopatę ziemi rzucono na mogiłę taki mię żal ogarnął na widok krzywdy wyrządzonej ubóstwu że w nadmiarze oburzenia przemówiłem słów kilka za biednymi kładąc nacisk: że w miejscu gdzie ludzie przed śmiercią się bronią gdzie zbytek króluje ciała zmarłych biedaków rzucone na poniewierkę nie mają nawet przyzwoitego przytułku na poświęconym miejscu!

Słowa te z natury rzeczy jako skierowane do zarządów kościelnego i kąpielowego nie mogły nie być cierpkie. To też prawdopodobnie ksiądz nie zaniedbał tem co posłyszał podzielić się wraz z zarządem jednym i drugim.

Jakoż nazajutrz a było to w wilię mego wyjazdu gdy nad wieczorem poszedłem na muzykę do parku spotyka mię Elżanowski dobry mój znajomy z Paryża i mówi:

Przed chwilą miałem tu scenę z powodu pana z panem S..... ale mu dał należyłą odprawę. Jaką scenę? pytam zaciekawiony.

A no nie domyślisz się nigdy. Oto ni mniej ni więcej, powiedział o panu gdyś chodził tam po górze: „a czy wiecie kto jest ten co go tam widzicie? to agent moskiewski”. Osłupiałem. Po chwili wszakże to co słyszałem wydało mi się tak potwornem i głupiem że na razie wobec tego com w duszy nosił zdało mi się być nieprawdopodobnem, sądziłem że źle słyszał nie mieściło mi się w głowie, aby ktoś mógł o mnie coś podobnego powiedzieć na seryo, tak mi w duszy było uroczyście tak tam nie było miejsca na obelgę i krzywdę. Więc machnąwszy ręką jako na lichą mistyfikację zdzieciniałego starca pojechałem w góry. Nie przewidywałem że te słowa rzucone lekkomyślnie miały zaważyć na szali mych losów.... miały mi zatruć pierwsze dni pobytu w Galicyi.

Jakże to słusznie wkrótce potem napisał mi J. 1. Kraszewski nie wiedząc wcale o tem co mi się zdarzyło*):

- „Nasze klęski od nieprzyjaciół to dopiero połowa nieszczęść naszych ale te które sami sobie zadajemy niepowrotne. Ciężkie życie drogi panie” itd.

Nazajutrz byłem już w Zakopanem.

Kto widział Tatry w przyjaznych warunkach dla tego wszelkie opisy i obrazy pozostaną blade kto ich nie widział nie dadzą o nich pojęcia. To też słowa: „Nie wszystko co jest piękne wymalować da się” które w „Świątyni dumania” wyrzekł hrabia do p. Tadeusza pochylić muszą upokorzeniem niejedno czoło artysty-poety. I zaprawdę wobec widoków co tu w całej krasie i pełni roztoczyła natura wobec arcy-mistrza” „sztukmistrz ziemski” zmuszonym się tu czuje złożyć wszelkie swej sztuki narzędzie klęka duchem i woła z pokorą:

Panie!

Przed Twojem obliczem, Jestem prochem i niczem!

*) Zbiór autografów w Muzeum Zakładu Narodowego Imienia Osolińskich 1. 2694.

W Zakopanem aby się usunąć przed zgiełkiem zamieszkaliśmy W Jaszczurówce ukrytej podówczas w ciemnej zieleni świerkowego lasu. Była to istna pustelnia którą zrzadka tylko odwiedzano dla rokosznej kąpeli w tej jedynej naszej cieplicy. Niewielki domek o kilku pokojach postawiony świeżo dla gości dał nam schronienie, z bliskiej zaś leśniczówki, w której mieszkał z córką gajowy żołnierz niegdyś z korpusu Dębińskiego dostarczano nam pożywienia i posługi. Było to więc życie jakby na wzór Robinsona pełne przygód wycieczek wrażeń i nowych sytuacji. Nie brakło nam nawet jakby dla dodania uroku tej dziekiej ustroni miłego towarzystwa kobiet gdyż pod tym samym dachem mieszkała rodzina złożona z matki i dwóch ślicznych pańienek pp. Kie.... z nad Pilicy co jakby rusałki urocze dorzuciły nam niejedną motyw do najmielszych wspomnień. Tam to spoglądając z wysokości szczytów obejmując miłością nie tylko ojczyznę lecz i ludzkość całą pogodziłem się poraz pierwszy z losem i ludźmi tam mogłem się modlić....

I zaprawdę gdy sobie dziś przypomnę co widziałem i czułem stąpając ponad chmury i burze co szalały na dole lub spoglądając w bezdenne przepaście nie mogę, nie powiedzieć z poetą:

„Tam widziałem com widział opowiem po śmierci, „Bo w języku żyjących nie ma na to głosu!” A. M.

Nie dziw zatem że wzmocniony na duchu i ciele po kilku tygodniach wróciłem do Krakowa.

Ale nic trwałego na świecie.

Gdy bowiem pełen najlepszej myśli i fantazyi nurtuję w podwawelskim grodzie rozczytując się w dziejach i dziełach wśród kościołów klasztorów pomników grobowców gdy się zaczynam rozpatrywać w ludziach i zbliżać się do nich, gdy mi się nawet nadzieja znalezienia punktu oparcia w Galicyi uśmiechać zaczyna ktoś ze znajomych mi rzeczy: Strzeż się pan - za panem chodzą szpiegi!

Co? jakie szpiegi? moskiewskie? pytam myśląc o niedawnych uroczystościach krakowskich na które zbiegła się chmura szpiegów z Warszawy.

Ale gdzie tam powiada tutejsi nasi znamy ich przecie. I oto rzeczywiście spostrzegam za sobą dwa cienie, gdziekolwiek się zwrócę. Tu mi dopiero stanęła w oczach scena cmentarna w Szczawnicy i odezwanie się pana S..... . Miałoby to być jej następstwem? myślę, nie to niepodobna to chyba jakaś

pomyłka. Pojąć wszakże łatwo jak mię to odkrycie brutalnie ściągnęło z wysokości ideałów na padół ziemski. Gorzka bo to chwila w życiu tułacza gdy przyjdzie mu ująć kij pielgrzymi a dokąd iść sam nie wie....

Wieczorem jestem u śp. W. Pola by go pożegnać, opowiadam co zaszło i oświadczam że już nie jadę do Lwowa, gdyż jechać tam z taką asystencją nie ma po co. Zadumał się i rzecze: - Zapewne rzecz to nie miła mieć na piętach szpiegów, aleśmy przez to wszyscy prawie przeszli niech więc to pana nie zraża jedź! Wszak jesteś już niedaleko masz paszport, masz listy do osób wpływowych i możliwych przy stosunkach więc jakie się tam wytworzą rzecz się wyjaśni i jestem pewien że wszystko dobrze się skończy. Jedź pan. Znajdziesz tam zacnych ludzi a przecucie mi mówi że nie pożałujesz tego.

A więc debata pro i contra wahania namowy nareszcie wiara w gwiazdę co mię prowadziła dotąd w złej doli a może i wiara w inspirację poety przechyliła szalę pojechałem. Trafiłem do Lwowa w czasie gdy się rozglądano w Instytucie Narodowym Imienia Ossolińskich za kimś komuby można było poruczyć urządzenie Muzeum z nagromadzonych od lat wielu przedmiotów z zakresu archeologii historii pamiątek dzieł sztuki itp.*).

Zawód mój i wieloletnie studia w muzeach pierwszorzędnych stolic tudzież obycie się z ich urządzeniem dawały mi niejako prawo do ubiegania się o tę posadę. Przywiezione zaś listy od hr. Zamojskich hr. Łubieńskich z Warszawy otworzyły mi wstęp do Kuratorii Instytutu. Że zaś był to czas energicznej działalności Kuratora którym był nieodżałowanej pamięci ks. Jerzy Lubomirski więc po rozpatrzeniu się i wzajemnem poznaniu w niedługim czasie otrzymałem nominację na podwójną funkcję: organizatora i konserwatora Muzeum nb. jedyne podówczas we Lwowie. *) S. p. Henryk hrabia na Wiśniczu i Jarosławiu książę Lubomirski, obejmując wskutek umowy z Józefem hrabią Ossolińskim Kuratorię zakładu jego imienia kierowany miłością dobra publicznego przedsięwziął podnieść znaczenie tej instytucji włączając doń Muzeum poświęcone zbiorom rzeczy historycznych i pamiątkowych oraz dzieł sztuki. W tym więc celu mąż ten zarówno wielkiego serca jak wzniosłego umysłu przeznaczył wspinałomyślnie wszystkie swe zbiory w księgach obrazach medalach starożytnościach, bądź familijne bądź przez się zgromadzone na użytek publiczny. Następnie syn jego ś. p. książę Jerzy Lubomirski idąc śladami ojca myśl tę rozwinął i w pewnym stopniu wykonał włączeniem do zbiorów muzealnych znakomitej kolekcji broni przyjęciem i zatwierdzeniem planu Muzeum co do układu w jakim się obecnie znajduje jak niemniej poleceniem go opiece obranego przez siebie zastępcy hr. Kazimierza Krasickiego pod którego zarządem uporządkowaniem zostało. Tym sposobem dzięki szlachetnej ofiarności dwóch ludzi którzy w danym czasie wśród ogólnej niedoli i zwątpienia nie zawahali się. ukazać, ziomkom drogę obowiązku a z nim drogę ku lepszej przyszłości dwie te instytucje Ossolińskich i Lubomirskich z których jedna obejmuje księgi i rękopisy druga przedmioty muzealne połączone obecnie, dopełniając się wzajem stały się źródłem obfitości dla pracowników na polu nauk i sztuki co więcej budząc ducha i kierując lot jego ku celom pięknym i wzniosłym utworzyły jeden z narodowych przybytków który złożoną w sobie myśl wieków i uczucia narodu w księgach obrazach wojennych ryzsztunkach i pamiątkach minionej chwały i klęsk przekazuje potomnym.

Było to więc powodzenie co zadowolnić mogło niejedną ambicję i niejedno pragnienie, dla mnie zaś przychodziło w porę bo gdy od pewnego czasu wzrok osłabiony pracą w Ołońcu utrudniał mi oddanie się nadal malarstwu oddawało mi do rąk to właśnie co było celem i osłodą mojego życia, strzeżenie świętego ognia w dziedzinie ducha pielęgnowanie drogiej spuścizny, słowem oddawało mojej czujności wszystko co miłości i poszanowania godne i co piękne, przedewszystkiem zaś dozwalało służyć krajowi! I oto przeszłość zaklęta w kamieniu bronzie monetach, medalach pergaminach uosobiona w wizerunkach zbrojach orężu wskrzeszona w dziełach sztuki pełna pamiątek aż do szczątków śmiertelnych aż do kropli łez i krwi na polu męczeństwa lub walki uzbieranych słowem niejedno co się ocalić i dochować dało z tyłu pogromów złożonej na łożu niemocy ojczyzny wszystko to teraz leżało przedemną!

Było to więc zadanie co mi wynagrodzić miało co mi zapomnieć dało wiele. Czym je wypełnił należycie — nie mnie o tem sądzić to wszakże pewna że włożyłem w nie moją duszę.

LXXXVI.

Niezadługo potem zdarzyła mi się inna sposobność pracy niemniej zaszczytnej i wdzięcznej.

Gdy sprawa ludowa podjęta na seryo wywołała potrzebę zajęcia się oświatą ludu i gdy w tym celu założone Seminarja miały być rozsądnikiem nauczycieli szkół wiejskich otwarło mi się pole wzięcia w tem udziału a zarazem sposobność nawiązania przerwane go ognia zaczętej na Litwie roboty więcej nawet gdyż posada w Seminarjum żeńskim otwierała mi pole działalności o wiele szerszej bo dozwalała przyłożyć ręki do wykształcenia nietylko nauczycielek lecz co większa piastunek przyszłości....

Rzecz zatem prosta że wobec tak ponętnej perspektywy, wziąłem się z całą energią do starań aby tę posadę otrzymać. ymczasem gdy się tak krzątam pełen nadziei gdy marzę już o chwili w której rozpocznę lekcye przerwane w Nowogrodzku dochodzi mię wiadomość z wyższych sfer rządowych że nietylko spodziewać się nie mogę otrzymania tej posady ale zmuszonym będę opuścić Galicyę bo jestem notowany przez policję jako agent rosyjski. Jak piorun przeraziła mię ta wiadomość. Jak to więc mię tu na seryo posądzają że służę Rosyi mnie! Ależ to przechodzi wszelką miarę głupoty to aberacya! toż chyba niedołęgi i nieuki składają tę waszą policję zawołam w oburzeniu. Toż to zbrodnia co woła o pomstę do nieba mnie oskarżać żem agent moskiewski! A więc to tak się tu dzieje w tym kraju swobody?! — rzeknę do zwiastuna tej fatalnej wieści.

Ha co pan chcesz odpowie mi niestety! nie pierwszy to i zapewne nie ostatni raz tak się tu zdarza.... Com uczuł wobec tej krzywdy wyrządzonej mi bezkarnie śród swoich! i to w chwili gdy po burzach mniemał być już tak bliskim portu to się wypowiedzieć nie da. Dokąd iść co począć? zadawałem sobie pytanie nie znajdując odpowiedzi. Uniewinniać się? ale przed kim i z czego? zresztą po tem com przeszedł legitymować się z moich uczuć i przekonań przed lada kim uważałem za ubliżające i niegodne siebie.

O tak chwila ta zapisała mi się w pamięci krwią z pod serca wytoczoną!

Takie to przechodziłem koleje i taki to był mój nowicyat w Galicyi!

A jednak gdy dziś mówię o tem po latach kilkunastu, a mówię nie bez bólu nie mogę nie powtórzyć słów któremi zacząłem tę książkę zapożyczając je z Silvio Pellicco — „Pomimo wszystko com wycierpiał nie znalazłem ludzkości ani tak nikczemną ani tak ubogą w dusze wybrane za jaką ją przedstawiają zwykle”. Tak gdzie są cienie tam być muszą i światła. W tej ciężkiej dla mnie kolei otoczyli mię zacni ludzie i zasłonili przed nowym ciosem. Dzięki kilku osobistościom na których czele winienem z najwyższą czcią wymienić ks. Leonowę z hr. Zamojskich Sapieżynę sprawa ta zanim na stół weszła została zaniechaną i zatartą. Oczywiście szlachetna ta pani, której życie całe to jedno pasmo pięknych czynów a miłość ojczyzny i prawdy życia tego godłem dotknięta krzywdą człowieka którego stosunek z jej rodziną był najlepszym probierzem jego charakteru miała w tej sprawie głos przeważający i jej to szczególnie zawdzięczam że mię minęło nowe tułactwo. Niechże więc te słowa natchnione najżywszą wdzięcznością dołożą jeszcze jeden listek do wieńca, który jej imię otacza.

Gdym się z czasem uspokoił i gdy o tem była mowa nieraz co mianowicie było powodem tej sprawy oto co mi powiedział razu pewnego zacny Marceli Madejski.

Wiesz pan co? przychodzi mnie myśl: czy w tem wszystkiem nie sprawdziło się na panu przysłowie: litera docet litera nocet przypuściwszy że ta sprawa ma związek ze Szczawnicą. Trzeba bowiem żebyś wiedział że przed niedawnym czasem był tu niejaki rusin imieniem Pawlewicz, dziś on jest w Petersburgu i jako zdeklarowany renegat służy Moskwie. Być zatem może iż p. S..... dowiedziawszy się o reprimandzie jakąś dał zarządowi Szczawnicy na cmentarzu nie znając pana osobiście a złudzony podobieństwem nazwy wziął pana za Pawłowicza i w oburzeniu płacąc pięknem za nadobne powiedział o panu to co się należało tamtemu. Policja zaś to podsłuchiwała i hejże na Soplicę! Nie broni to wprowadzie ani pana S... ani policji wszakże jest to okoliczność zmniejszająca winę którą uwzględnić należy.

Być to może. Przypominam nawet że się nieraz mylono w wymawianiu mego nazwiska nazywając mię Pawłowiczem. Bądź jak bądź tak czy owak dano mi spokój, policya zaś ówczesna (1869 r.) złożyła dowód czego była warta.

Wkrótce potem przyjąłem poddaństwo austriackie — a w ślad zatem nadesłano mi nominację na posadę w Seminarjum. Oczywiście protegował mię ze swćj mogiły nieznany nieboszczyk....I oto znalazłem się w pośród dwóch światów. Po jednej stronie przeszłość Muzeum pełne wspomnień pamiątek po drugiej, przyszłość młodzież a w niej nadzieja....Upłynęło lat kilkanaście. Mamże mówić o pracach dokonanych w zaciszu? o nadziejach zawodach co się budziły i tonęły w odmęcie światodziejowych wypadków tego czasu mamże mówić o tęsknocie za rodzinną ziemią co się stała dla mnie jedną wielką mogiłą! mamże mówić o tern wszystkim co trzeba było przeboleć patrząc zbliżając na to co było piękn em zdaleka!?

Kogo interesować mogą uczucia jednostki gdy cały ogół cierpi gdy cały naród jak ów biblijny łazarz żółcią pojony zdeptany spogląda w niemem osłupieniu jak mu ziemia z pod stóp umyka gdy wszystko dokoła co było dotąd świętem w gruzy się wali....

A jednak śród tego zamętu śród tej mdlejącej nieraz wiary i nadziei zdarzają się chwile w szczupłym zakresie pracy codziennej tak promienne że je lekceważyć i nie podzielić się niemi z ogółem byłoby grzechem. Bo i jakimże słodkiem uczuciem przejmują duszę te pełne treści słowa, powiedziane mi a następnie wpisane do Albumu prac seminarzystek jako wyraz ich uczuć przez jedną z ich koleżanek (p. Annę Czermakównę) w dniu 18 Marca 1884 r.

„Mowa sztuki i piękna której nas uczyłeś panie jest najpowszechniejsza i dla wszystkich zrozumiała lecz ty panie umiałeś tchnąć w nią nowe ciepło i życie bo stawiać wielkie imię ojczyzny obok imienia sztuki zdołałeś spleść i zjednoczyć tak silnie miłość Polski z miłością piękna że ucząc kochać ostatnie wpoieś jednocześnie w nasze umysły głębokie poczucie obowiązków względem narodu i przysposabiałeś je do pracy na korzyść lepszej i szczęśliwszej przyszłości. Pozwól więc złożyć Ci itd.”.

Miałyby te słowa nie budzić otuchy?...

To też dzień w którym je słyszałem był jednym z najmiłszych w mem życiu. I na tem kończę.

Gdy to piszę dobiega północ dokoła cicho tak cicho że słyszę szum wiatru co jakby po stronach przygrywa po gałęziach starych lip ogrodowych i raz umilknie to znów zanuci żałośnie lub przelatując po załomach ścian i dachów ciśnie śniegową zamiecią jakby pyłem zapomnienia w szyby moich okien. Pusto posępnie cicho. Spokój!

A przecież cenny to nabytek gdy się ma poza sobą tyle lał ubiegłych śród troski tyle burz i mogił!... Toteż stojący u brzegu rozbitek jedyne ma tylko już dzisiaj życzenie aby mu ta przystań była trwałą i bezpieczną zanim ją przyjdzie na wieczną zamienić.

KOPIA AKTU OBYWATELÓW WTTWA NOWOGRODZKIEGO NA DNIU 8. CZERWCA 1792 ROKU W NOWOGRÓDKU NASTĄPIONEGO.

(Z raptularza Jana Czczota [Filareta]).

My Urzędnicy Szlachta Obywatele Rycerstwo Wttwa Nowogrodzkiego na dniu dzisiejszym do Miasta Wolnego Rzeczy pos. Nowogródka zgromadzeni jednocząc nigdy nierozdzielnie Serca y umysły nasze, ku wspólnemu Oyczyzny dobru wierni zawsze wykonaney przez nas przed Bogiem przysiędze nieustraszeni żadną napaścią i pogrózkami Woysk Moskiewskich a mniey ceniąc życie i maiątek nasz niż pomyślność kraiową przez ustawę Rządową utworzoną oświadczamy się przed Bogiem, Oyczyzną i wszystkiemi sprawiedliwość kochającemi Narodami Jż iakośmy rozmyślnie i dobrowolnie wszyscy Obywatele naszego Wttwa przyjęli ustawę. Rządu na dniu 8. Maja 1791. roku przez Seymujące zkonfederowane stany uchwaloną iakośmy się z chęcią pod nią poddali oraz posłuszeństwo i obronę icy zaprzysięgli iakośmy tę dobrą chęć naszą przez wysłaną za jednomyślną wolą Seymików Delegację u N. Pana y Seymujących Stanów okazali y nayuroczysciey dowiedli tak dziś nieodzownie zanaszamy y w pośrodku uapastnego w Oyczyźnie naszej Moskiewskiego gwałtu mowiemy i ogłaszamy, Iż wyż rzeczoney ustawie Rządowej prawom i Consequentii teyże ustawy zapadłym oraz wszelkim Seymu teraznieyszego ustawom podlegać chcemy y przy nich a mianowicie przy ustawie

Rządowcy nieodstępni iesteśmy i zawsze będziemy. a chociażby gwałt iaki obcego męża czy domowey zdrady przez nie wspartej na którymkolwiek obywatelu reces iaki y podstępek ninieyszemu oświadczeniu y konstytucyi naszej dnia 3. Maja 1701. roku uchwaloney przeciwny wymusił, to wszystko iako dziełb gwałtu i przymusu nigdy ważne niech nie będzie w oczach Oyczyzny oświadczamy a to icdne za trwale wieczne y nieporuszone wiekom następny podaiemy że Konstytucyi ogo Maja nieodstępuiemy i że na utrzymanie i obronę oraz na dotrzymanie przysięgi przez nas Bogu uczynioney (od której nas Imperatorowa JEymosć Rossyyska przez swoją eklaacyą niewiedzieć z iakiey mocy groźbami i prośbami odstrasza) wszyscy życia i maiątki naszełożyć pragniemy, gotowi na wszystko za przewodnictwem czystego Sumienia i niewinności naszej za przykładem Nayiasnieyszego Augusta Króla y Wodza naszego a Nayukochanszego Oyczyzny naszej Oyca. A to aby ustawę Rządową którą Oycyźnie naszej moc wewnętrzną i silną zewnątrz obronę wszystkim zaś Mieszkańcom zupełną iaką tylko Ludzie porządnie wolni mieć mogą i powinni dać i zaręcza nienaruszoną dla Dobra Rzeczypospolitey utrzymali y ku chowaniu wiekom następny podali. A im usilniey napastny obcy oręż przez kilku odrodných polaków na Oycyżnę sprowadzony i w błahe przystroiony pozory przeciwko prawdzie przeciwko ndzielności Rzeczypos. przeciwko iedności Obywatelskiej przeciwko szczęściu Oyczyzny naszej słowem przeciwko ustawie Rządowey 3go Maja powstawać będzie t em większem męztwem y stałością odpierać go przedsiębierzemy za pomocą Bożą, y dla tego Akt niniejszy podpisami

rąk naszych stwierdzamy i krwią naszą utwierdzić gotowi iesteśmy.

Działo się na Zamku w Nowogródku Roku 1792. Miąca Czerwca 8. dnia.

USTĘP Z PAMIĘTNIKA Ś. P. NIKODEMA KIERSNOWSKIEGO, B. PREZESA IZBY CYWILNEJ GRODZIŃSKIEJ - DOTYCZĄCY NOWOGRÓDKA MICKIEWICZA*).

*Wielką miałem przyjemność kiedy między kilkunastu familijnemi listami i telegramami spostrzegłem wasze**) przyjacielską z rodzinnego miasta Nowogródka, tem wzbudziliście we mnie pamięć i wspomnienie o szczęśliwej mojej młodości i chęć pomówienia z wami o sobie i o Nowogródku w którym i bliskich pięknych jego okolicach przemieszkiałem lat 40. Nie był on tom czem jest dopiero. Wiadomo ze starożytnej historyi że był rezydencyą udzielnego księcia litewskiego Mendoga, a podanie miejscowe dotąd powiada że góra Mendogowa przy tym mieście będąca usypaną została na grobie jego rękami niewolników przez niego ujętych. Pamiętam że ta góra do roku 1810 była daleko wyższą i że na samym wierzchu stała murowana kaplica która przez niedbałość magistratu i mieszkańców i lekceważenie policyi ciągle przez długi czas dla potrzebujących piasku podkopywana nareszcie z większą częścią góry na dół spadła i rozebraną została.*

**) Nikodem Kiersnowski w roku 1863 zesłany był do Tambowa zkąd po lalach czterech wygnania a następnie po roku pobytu w Warszawie wrócił na Litwę do Druskienik gdzie po kilku latach życia dokonał. Był to jeden z. najzacniejszych ludzi. K. P.*

***) Mowa tu o rodzinie Szulakowskich i Mokrzeckich z Drohobyli w których posiadaniu jest oryginał pamiętnika.*

Za czasów panowania Jagiellonów w Polsce aż do podziału onoj, Nowogródek był miastem wojewódzkim, granice tego województwa rozciągały się na wschód poza Nieśwież Stuck i Hłusk a na zachód należały dwa powiaty Słonimski i Wołkowyski. Pierwszym wojewodą był Książ Hliński a ostatnim Józef Niesiołowski. Podług kroniki Paprockiego w wieku 17tym to jest 1654 był po Zenowiewu(?)* wojewodą Jan Kiersnowski, dziedzic dóbr Jatra Zaberdów Widźma a zastawnik dóbr Lachowicze, Masalskich i Zacierzewia Radziwiłłów. Po rodzonej wnuczce jego Bakanowskiej ojciec mój z braćmi swymi odzyskali jako sukcesorowie dobra Mołowidy za dekretem trybunalskim. W owych czasach był to sąd najwyższy złożony z marszałka trybunalskiego 22 deputatów i pisarza, który miał tytuł pisarza W. Księstwa Litewskiego. Ostatnim był Nowogrodzianin Jerzy Białopiotrowicz dziedzic niegdyś Brecianki. Trybunał Litewski miał trzy kadenyje pierwszą w Wilnie drugą w Nowogródku, trzecią w Mińsku, skąd powracał do Wilna. Pisarze ziemscy Nowogródzki i Miński pełnili obowiązek pisarza trybunalskiego któryż Wilna nie wyjeżdżał. Pamiętam że gdym był pisarzem ziemskim w

archiwum znajdowały się księgi i różne akta trybunalskie które później odesłane zostały do Archiwum Centralnego w Wilnie. Od podziału Polski Nowogródek już był tylko miastem powiatowym wszakże miał swoje znaczenie. Została sławna na Litwie trybunalska palestra gdzie z różnych powiatów przybywała młodzież dla nauki i praktyki prawa krajowego a Sąd główny apellacyjny Gubernii Grodzieńskiej (do której Nowogródek do 1843 roku należał) po skargach na postanowienia sądowe innych powiatów sprawy zawikłane przedawnione w razie skasowania tych postanowień odsyłał na ostateczne rozstrzygnięcie do Sądu Nowogródzkiego.

Takich spraw za mojego urzędowania było kilka. Wielu obywateli mieli w Nowogródku swoje pięknie zabudowane dworki na swój przyjazd dla edukacji dzieci na sejmiki kontrakta niegdyś sławne na które przybywały kasy naszych magnatów: Radziwiłłów (mieli swój pałac w Nowogródku naprzeciw kościoła Dominikanów) oraz Chodkiewiczów Sapiechów Chreptowiczów Niesiołowskich i wielu innych. Wówczas przy rozplataniu ugiętych stoły pod złotem i srebrem papierowych pieniędzy prawie nie było, wtenczas tylko potrzebowano jeżeli należało wielką sumę odsyłać przez pocztę. Kupcy z towarami z różnych stron przybywali czasami odwiedzała kompania aktorów. Pamiętam za błogosławionych czasów Cesarza Aleksandra I w roku 1822 pod dyktando małżeństwa Kraszewskich doskonałych artystów grą i śpiewem z Oliwińskimi i innymi dobrymi aktorami bawili publiczność Nowogródzką. od jesieni przez całą zimę do Maja.

*) Zapewne po Wołodkowiczu.

Za dziecinnych lat moich Żydów było daleko mniej jak teraz i tylko mieli domy swoje po ulicach mianowicie Żydowskiej i Walowskiej a we środku miasta mieli swoje kramy w rynku zarówno z handlującymi mieszczanami. Wokoło rynku posiadali domy tylko obywatele ziemscy i miejscy szczególnie członkowie Magistratu. Żarski gdzie teraz zajazd naprzeciw Kaznaczejstwa Kamińskiego na rogu ulicy Zamkowej jeszcze teraz exystujący a przy nim na tejże ulicy był dworek obywateli Uzłowskich, na tym miejscu drugi dopiero zajazd żydowski. Przy pałacu Radziwiłłowskim miał magazyn kupiec ruski Maślaników a za nim dom ławnika Piekarskiego potem Newski, Dąbrowski, Tański i inni. Przy ulicach dworki obywatelskie były: Tuhanowskich, Danejków, Mickiewiczów, Zaborskich, Owsianych, Wierzejskich i naszej rodziny przy ulicy Kowalskiej za kościołem Farnym przeciwko plebanii. Kościołów było 6 i 3 cerkwie unickie*) z których jedna parafialna. Klasztorów męskich pięć**) jeden Unicki. Żeńskich dwa katolicki, Dominikanek i Unicki Bazylianek. W powyższych kościołach katolickich z zezwolenia cesarza Alexandra odbywały się Missje i wielki Jubileusz.

Dawniej w każdym powiecie prócz urzędu Marszałka były urzędy Sądowe. Sąd Ziemi Sąd Grodzki w nich po 5-ciu urzędników t. j. prezydent trzech sędziów pisarz i sekretarz czyli regent pomocnik i kilku kancelaryzistów, także sąd graniczny apellacyjny sąd niższy ziemski czyli policyjny w nim sprawnik 6 - asessorów. Wszystkie te urzędy były od wyborów czyli sejmików szlachty prócz tego od rządu: Horodniczy Strapczy to jest prokurator Skarbny, Pocztmajster, Komornik, Leśniczy i magazynier z pomocnikami i kancelaryami, nareszcie adwokaci których najmniej było 10 z ich aplikantami. Oprócz tych było jeszcze kilku doktorów i komenda miejscowego garnizonu. Wszystko to z rodzinami powiększało ludność miasta wyższej klasy a ogół całej różnych wyznań ludności wynosił blisko 10.000 mieszkańców. Co do okolic pięknych Nowogródka jedna została Horodziówka najulubieńsza dla mnie ona najwięcej mnie interesuje, dawniej zwała się Horodeczanka pod tym nazwaniem z włościaninami nadaną została przodkowi naszemu Teodorowi za zasługi przez króla Jana Kazimierza 1665 roku dożywociem a 12 Stycznia 1665 roku za zgodą stanów na wieczność w potomne władanie. Teodor był synem Jana podwojewodzkiego Nowogródzkiego a synowiec Jana podwojewodzkiego także Jan Wojewoda był dziedzicem Jatry Zaberdowa Widźmy zastawnym dzierżawcą Lachowicz Kossakowskich i Zacierzewia Radziwiłłów.

*) Na górze zanikowej (zburzona).

**) Jezuitów Dominikanów Franciszkanów Bonifratrów Bazylianów.

Urodziłem się w Horodziówce w 1794 roku nieszczęśliwym podziałem Polski w dzień powstania generała Kościuszki 15 Września.

Pierwszy raz wyjechałem do Nowogródka 1802 roku do guwernera czyli dyrektora starszych braci moich Feliksa Pawłowicza. Przy wjeździe do miasta widziałem jak zdejmowano dzwony z kościoła Pojezuickiego dla odesłania do kościoła Śgo Kazimierza w Wilnie niedaleko ratusza i placu będącego. Guwerner nasz miewał jeszcze po kilku uczniów przychodzących wśród tych w 1804 roku było dwóch Mickiewiczów Franciszek i Adam cztery lat odemnie młodszy nie umiał jeszcze czytać ja zaś już byłem pierwszo-klasista i doskonale czytałem kazał mnie więc guwerner uczyć czytać Adasia z elementarza, nauka poszła bardzo prędko, bo zdolność miał nadzwyczajną nie potrzebował powtórzenia. Jako starszy pierwsi od niego skończyłem nauki szkół powiatowych ale opowiadali mnie jego koledzy że w wyższych klasach ćwiczenia jego naukowe były zawsze najlepsze i kilku innym uczniom pomagał i poprawiał pochlubić się teraz mogę że sławnego poetę polskiego Adama Mickiewicza czytać uczyłem. Miło mi jest przypomnieć koleżeństwo szkolne składające się prawie całe z synów obywateli tegoż powiatu. Od trzeciej klasy z młodszymi braćmi kwaterowałem w klasztorze gdzie pomieszczał się konwikt, pod dozorem profesora fizyki Lutostańskiego który w lat kilkanaście dawał ślub mnie z Alojzą Pilecką w Wierzbnowie jako przeor kościoła Walowskiego.

W konwikcie byli Jacek i Eleutery Wereszczakowie, trzech Pileckich Xawery, Adam i Konstanty brat żony mojej Józef Kaszyc, Jan Markiewicz, Adam Rymsza Hordyna i inni. Żyliśmy jak bracia — dzwonek nami kierował o szóstej godzinie wstawać o siódmej na mszę, na której studenci na chórach śpiewali, między nimi było czterech z pięknymi głosami dwóch Jabłońskich i dwóch Krasowskich o ósmej do klas na dwie godziny o dziesiątej dzwoniono na odpoczynek obiad i przygotowanie się na lekcje poobiednie które trwały od drugiej do czwartej. We wtorek i czwartek lekcji nie było te godziny przeznaczone były dla uczenia się pisanie i rysunków. Po kolei służyliśmy profesorom do mszy w szkolnym kościele i panien Dominikanek gdzie zakonnice bardzo pięknie na chórach śpiewały. W tym klasztorze były znakomitości : Córka admirała rosyjskiego Koźłainow. Siostra gubernatora ryńskiego Valrond. Dwie marszałkówny gubernialne Korsakówny z Mohilewa i inne w nim była też i moja siostrzenica Zofia Pawłowiczówna. Zgromadzenie to było pożyteczne prawie każda z nich świetnie wychowana zajmowała się edukacją panien, moje dwie córki starsze, póki wzbronionem nie było na pensji były u nich. Rok 1863 jako burzliwy zrujnował ten zakon z posady a zakonnice rozpieczętowały się po świecie*).

W roku 1810 wyjechałem do uniwersytetu w Wilnie było studentów blisko tysiąca prawie samych Litwinów kuratorem był książę Adam Czartoryski a rektorem Jan Śniadecki astronom uczniowie nic nie płacili bo uniwersytet z dóbr edukacyjnych miał rocznego dochodu 105.000 rubli srebrem. Największych tam miałem przyjaciół: Stanisława Jundziłła i Ksawerego Pileckiego w roku 1812 nieszczęsnym wojną Napoleona I powróciłem do domu. Ojciec mój dla obeznania mię z prawem krajowym oddał do kancelarii sądu ziemskiego Nowogródzkiego jako akademika dobrze mnie tam przyjęto i w kilka miesięcy awansowałem na pomocnika regenta a w rok potem zostałem regentem dekretem potem z wyborów trzy trigenia pisarzem jednosędzią i jedno prezydentem ziemskim a od 1834 roku w Grodnie z wyborów 6 lat asesorem a 14 lat prezesem Izby cywilnej do roku 1863 itd. itd.

Druskieniki 29 października 1880 roku.

Wasz przyjaciel

Nikodem Kiersnowski.

*) Obecnie kościół i klasztor w ruinie. E. F.

SPROSTOWANIA.

Str. wiersz zamiast ma być

17 9 to te

44 7 od dołu Czarnieckiego Czasznickiego

59 - 119) Miratycze 119) Mostytcze
232 3 od końca po słowie też dodać była
239 22 Hrynko Hrysko
244 15 wiązała się wywiązała się
252 8 już jest

Do prezentacji internetowej w [BIBLIOTECE KRESOWEJ POTYCZEK Z GENEALOGIA](#) przygotował:
W.M.Stankiewicz